

Wilbur Smith

# Drapieżne ptaki

W&T

WILBUR SMITH urodził się w 1933 roku w Zambii. Ukończył Rhodes University w Rodezji (obecnie Zimbabwe). Jako pisarz debiutował w 1964 roku powieścią „Gdy poluje lew”, która odniosła znaczny sukces w wielu krajach. Była to pierwsza pozycja z najbardziej znanego cyklu Smitha - historyczno-przygodowej sagi rodziny Courteneyów, w której skład weszły m.in. „Odgłos gromu” (1966), „Płonący brzeg” (1985), „Prawo miecza” (1986) i „Złoty lis” (1990). Smith napisał blisko 30 powieści. Do najbardziej znanych należą, oprócz wymienionych wyżej: „Zakrzyczeć diabła” (1968), „Oko tygrysa” (1975), czterotomowa saga rodziny Ballantyne’ów oraz dwa najnowsze utwory - „Bóg Nilu” (1993) i „Siódmy papirus” (1995). „Bóg Nilu”, porywająca opowieść przygodowa, której akcja rozgrywa się w starożytnym Egipcie, to jak dotąd najbardziej popularny tytuł Smitha; w samej Wielkiej Brytanii sprzedano ponad milion egzemplarzy książki. W 1997 roku na rynku pojawił się pierwszy tom nowej sagi historycznej zatytułowany „Drapieżne ptaki” (Birds of Prey).

Powieści Wilbura Smitha ukazują się w blisko 20 językach, a ich łączny nakład przekroczył 70 milionów. Kilka z nich zostało sfilmowanych, m.in. Gold Mine, „Zakrzyczeć diabła” (w obu filmach główną rolę zagrał Roger Moore), „Ciemność w słońcu” (The Dark of the Sun). Na podstawie „Płonącego brzegu” i „Prawa miecza” powstał miniserial telewizyjny, wyświetlany kilka lat temu przez Telewizję Polską.

Smith jest miłośnikiem dzikiej przyrody; pasjonuje się współczesną historią Afryki, co znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości literackiej. Sporo podróżuje, zwykle w okresie zimowym - zarówno po kontynencie afrykańskim, jak po Australii i Europie; odwiedził nawet Alaskę. Mieszka w Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki z żoną Danielle, której dedykował większość swoich książek.

WILBUR SMITH W WYDAWNICTWIE „PRIMA”

WILBUR SMITH - BÓG NILU

WILBUR SMITH - PAPIRUS

WILBUR SMITH - DRAPIEŻNE PTAKI

WILBUR SMITH - OKO TYGRYSA

Wkrótce

PTAK SŁOŃCA

ŁOWCY DIAMENTÓW

CIEMNOŚĆ W SŁOŃCU

Przełożył ANDRZEJ SZULC PRIMA WARSZAWA 1998

Książkę tę poświęcam Danielle Antoinette.

Przez trzydzieści lat twoja miłość była moją tarczą;

twoja siła i odwaga była moim mieczem.

W&T

## OD AUTORA

Chociaż akcja powieści osadzona jest w połowie siedemnastego wieku, galeony i karawele, na których pokładzie żeglują jej bohaterowie, kojarzą się na ogół z szesnastym wiekiem. Siedemnastowieczne statki często przypominają do złudzenia te, którymi żeglowano w szesnastym stuleciu, ponieważ jednak przeciętny czytelnik może nie znać ich nazw, użyłem bardziej znanych, choć może nieco anachronicznych określeń, aby można było sobie lepiej wyobrazić ich wygląd. Ze względu na jasność stylu uprościłem również terminologię dotyczącą broni palnej i posługiwałem się czasami słowem „działo” w znaczeniu ogólnym, występuje ono bowiem jako takie w języku potocznym.

Chłopak zacisnął palce na skraju obszytego płótnem bocianiego gniazda, w którym kulił się sześćdziesiąt stóp nad pokładem. Maszt zaśpiewał cienko, gdy zawrócili dziobem pod wiatr. Karawela nosiła nazwę Lady Edwina, na cześć matki, której chłopiec prawie nie pamiętał.

Słyszał, jak na dole wielkie odlane z brązu kolubryny szarpią się w blokach i uderzają o mocujące je talie. Z dygotem i drzeniem kadłuba Lady Edwina wykonała pełny zwrot i ruszyła z powrotem na zachód. Gnana południowo-wschodnim wiatrem zza rufy wydawała się lżejsza i bardziej zwinna nawet ze zrefowanymi żaglami i trzema stopami wody w zężach.

Hal Courteney znał to wszystko na pamięć. Od sześćdziesięciu pięciu dni witał świt z tego samego miejsca na szczycie masztu. Jego młode oczy, najbystrzejsze na całym statku, miały dostrzec w pierwszych promieniach wschodzącego słońca dalekie żagle obcego okrętu.

Znajomy był nawet chłód. Hal naciągnął na uszy grubą wełnianą czapkę. Wiatr przewiewał go na wskroś, choć miał na sobie skórzany kubrak, lecz chłopak przywykł do tak drobnych niedogodności. Nie zwracając uwagi na zimno, natężył wzrok, wpatrując się w ciemność.

- Holender na pewno się dziś pokaże - powiedział na głos, czując, jak jego sercem targa jednocześnie lęk i podniecenie.

Wysoko nad jego głową zaczynały blednąć i gasnąć gwiazdy. Niebieski firmament wypełniała obietnica nowego dnia. Na dole Hal dostrzegał teraz niewyraźne sylwetki marynarzy. Widział stojącego za sterem Neda Tylera i swego ojca, który pochylał się nad kompasem, by odczytać nowy kurs. W świetle latarni widać było jego pociągłą ciemną twarz i długie pukle włosów, które porywał i plątał wiatr.

Hala ogarnęło poczucie winy i utkwił z powrotem wzrok w ciemnościach; nie wolno mu było gapić się na pokład w ciągu tych kilku kluczowych minut, gdy w każdym momencie na horyzoncie mógł pojawić się nieprzyjaciel.

Było dość jasno, by mógł zobaczyć powierzchnię wody, która połyskiwała niczym świeżo rozłupany węgiel. Zdażył już dobrze poznać południowe morza; szeroką wstęgę oceanu, która omywała od wieków wschodnie wybrzeża Afryki - niebieską, ciepłą i pełną życia. Pod kierunkiem ojca studiował te wody dostatecznie długo, by znać ich kolor, smak i prądy, każdy przypływ i odpływ.

Któregoś dnia on także zostanie pasowany na Rycerza Zakonu Świątyni Świętego Jerzego i Świętego Graala. Któregoś dnia stanie się, podobnie jak ojciec, Nawigatorem Zakonu. Sir Francis pragnął tego równie gorąco jak Hal i obecnie, gdy chłopak skończył siedemnaście lat, ów zamiar nie wydawał się tylko czczym marzeniem.

Tym szlakiem musiał żeglować Holender, jeśli podążał na zachód i chciał dobić do brzegu tajemniczego kontynentu, który wciąż krył się za nimi w mroku. Tę bramę musiał pokonać każdy, kto pragnął okrążyć burzliwy przylądek, oddzielający Ocean Indyjski od południowego Atlantyku.

Dlatego właśnie sir Francis Courteney, ojciec Hala, Nawigator Zakonu, postanowił zacząć się na trzydziestym czwartym stopniu i dwudziestej piątej minucie szerokości południowej. Czekali tu przez sześćdziesiąt pięć długich dni, pływając monotennie w tę i z powrotem, lecz dzisiaj Holender naprawdę mógł się pojawić i Hal przygryzał wargi i wypatrywał zielone oczy, obserwując rodzący się na wschodzie dzień.

W odległości jednego kabla po prawej stronie dziobu, wysoko na niebie zobaczył lśniąca w pierwszych promieniach słońca skrzydła głuptaków, które sunęły ze śnieżnobiałymi pierściami i żółto-czarnymi łbami od strony kontynentu. Prowadzący ptak zszedł trochę niżej, łamiąc klucz i celując dziobem w ciemne fale. Na dole zakipiła woda i zamigotały łuski ławicy ryb, przepływającej tuż pod powierzchnią. Hal patrzył, jak pierwszy ptak zwijsza skrzydła i pikuje, a potem, dokładnie w tym samym miejscu, nurkują za nim jego towarzysze.

Morze pobielalo wkrótce od nurkujących ptaków i srebrzystych sardeli, które stanowiły ich pożywienie. Hal odwrócił od nich wzrok i kiedy omiół oczyma wyłaniający się z mroku horyzont, zabiło mu szybciej serce.

W odległości zaledwie jednej mili zobaczył na wschodzie prostokątne żagle wysokiego statku. Nabral powietrza w płuca i krzyknął w dół, nim jeszcze go rozpoznał. Nie był to jednak Holender z Indii Wschodnich, lecz fregata Guli of Moray. Najwyraźniej zesza ze swojej pozycji, co bardzo go poruszyło.

Guli of Moray wspólnie z Lady Edwiną zasadziły się na Holendra. Kapitan fregaty, Myszołów, powinien pływać daleko za wschodnim horyzontem. Hal przechylił się przez skraj

bocianiego gniazda i spojrział na pokład. Jego ojciec wpatrywał się w niego, zadzierając głowę.

- Guli po nawietrznej! - zawołał Hal.

Ojciec skierował wzrok na wschód. Po chwili dostrzegł na granatowym niebie czarny zarys statku Myszołowa i podniósł do oka wąską miedzianą tubę teleskopu. Po sposobie, w jaki złożył instrument i odrzucił do tyłu grzywę czarnych włosów, Hal poznał, że ojciec jest wściekły. Zanim ten dzień dobiegnie końca, dwaj kapitanowie zamienią ze sobą kilka mocnych słów. Hal uśmiechnął się pod wąsem. Ze swą żelazną wolą i niewyparzonym językiem, mocnymi pięściami i ostrą szpadą, sir Francis siał popłoch wśród tych, przeciw którym obrócił się jego gniew - bali się go nawet bracia w zakonie. Hal dziękował Bogu, że tym razem ojciec wyładuje złość na kimś innym.

Jego wzrok pobiegł ponad Guli of Moray, ku horyzontowi wyłaniającemu się z nadejściem dnia. Nie potrzebował żadnych instrumentów, żeby pomóc swoim bystrym młodym oczom - poza tym na pokładzie był tylko jeden, kosztujący krocie, teleskop. Dostrzegł kolejne żagle dokładnie w tych miejscach, w których powinny się znajdować: dwie drobne blade plamki na tle ciemnego morza. Dwie barki szły wyznaczonym kursem piętnaście mil po prawej i lewej stronie Lady Edwiny, tworząc oka sieci, w którą jego ojciec chciał złowić Holendra.

W każdej z odkrytych łodzi płynęło dwunastu uzbrojonych po zęby marynarzy. Kiedy były niepotrzebne, rozmontowywano je i składano w ładowni Lady Edwiny. Sir Francis zmieniał regularnie ich obsadę, bo nawet twardzi Walijczycy i jeszcze bardziej od nich zahartowani dawni niewolnicy, z których w większości składała się jego załoga, nie nadawali się do walki po dłuższym czasie spędzonym na łodziach.

Słońce wynurzyło się wreszcie ze wschodniego oceanu i niebo wypełniło stalowe światło poranka. Hal przyjrzał się biegnącej przez fale ognistej smudze i nie widząc żadnego obcego żagla, upadł na duchu. Ten świt, podobnie jak sześćdziesiąt pięć poprzednich, również nie przyniósł upragnionego widoku.

A potem spojrział na północ, ku masie lądu, który wznosił się na horyzoncie niczym wielki kamienny sfinks, mroczny i nieodgadniony. Przed oczyma miał przylądek Agulhas, najdalej na południe wysunięty skrawek Afryki.

Afryka! Na sam dźwięk tej tajemniczej nazwy ramiona pokrywała mu gęsia skórka i gęste ciemne włosy jeżyły się na karku.

Afryka! Niezbadana kraina zamieszкана przez smoki i inne straszne stworzenia pożerające ludzi, a także ciemnoskórych dzikich, którzy również żywili się ludzkim mięsem i nosili naszyjniki z ludzkich kości.

Afryka! Kraj złota, kości słoniowej, niewolników i innych skarbów, czekających tylko na śmiałka, który je odszuka bądź zginie podczas wyprawy.

Zawarte w tej nazwie: obietnica, groźba i wyzwanie napełniały go jednocześnie lękiem i fascynacją.

W kabinie swego ojca spędził nad mapami długie godziny zamiast wykuwać na pamięć tablice ekliptyk albo odmieniać łacińskie czasowniki. Studiował wnętrza kontynentu, ozdobione rysunkami słoni, lwów i potworów, śledził zarysy Gór Księżycowych, a także potężnych rzek, jezior i krain, oznaczonych nazwami tak egzotycznymi, jak: Kłioikoi, Cambedoo, Sofala czy Królestwo Księdza Jana. Wiedział od ojca, że żaden cywilizowany człowiek nie zapuścił się dotąd w te dzikie ostępy, i zastanawiał się, czy nie będzie pierwszym, który to zrobi. Szczególnie fascynował go Ksiądz Jan, legendarny władca rozległego i potężnego chrześcijańskiego mocarstwa, od wielu wieków obecny w europejskiej mitologii. Zastanawiał się, czy to imię oznacza jednego panującego, czy też całą dynastię.

Z zadumy wyrwały go wydawane z rufy rozkazy. Poczłł, że statek zmienia kurs, i spoglądając w dół zorientował się, że ojciec zamierza podejść do Guli of Moray. Idąc wyłącznie pod topslami, oba statki zbliżały się do siebie, płynąc w stronę Przylądka Dobrej Nadziei i Atlantyku. Ich szybkość nie była zbyt imponująca - spędziły za dużo czasu na południowych wodach i ich kadłuby przeżarły świdraki. Żaden statek nie mógł się tu długo ostać. Straszliwe robaki potrafiły osiągnąć grubość ludzkiego palca i długość ręki, i borowały drewno tak blisko siebie, że przypominało plaster miodu. Ze swego miejsca na szczycie masztu Hal słyszał pracujące na obu statkach pompy. Ich łoskot nigdy nie ustawał; był niczym bicie serca, dzięki któremu żaglowiec utrzymywał się na wodzie. To stanowiło kolejny powód, dla którego nie mogli pozwolić uciec Holendrowi; musieli zmienić statek. Lady Edwinę zżerały robaki.

Gdy oba żaglowce zbliżyły się na odległość krzyku, marynarze wylegli na pokład i wspięli się na liny, żeby obrzucić się wzajemnie docinkami.

Liczba ludzi, którzy mieścili się na statku, nigdy nie przestawała dziwić Hala. Lady Edwina miała sto siedemdziesiąt ton wyporności, jej długość zaś nie przekraczała siedemdziesięciu stóp, a mimo to załoga liczyła stu trzydziestu mężczyzn po dodaniu tych, którzy płynęli na barkach. Niewiele od niej większa Guli miała na pokładzie prawie dwustu ludzi.



Potrzebny był im każdy członek załogi, jeśli mieli zamiar zaatakować jeden z wielkich galeonów Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Sir Francis zebrał skrupulatnie informacje od innych żeglujących w tym rejonie kawalerów zakonu i wiedział, że co najmniej pięć tych wielkich statków wciąż znajduje się na Oceanie Indyjskim. Do tej pory do niewielkiej bazy zaopatrzeniowej położonej na południowym krańcu kontynentu, u podnóża Góry Stołowej, czyli, jak nazywali ją Holendrzy, Tafelbergu, dotarło dwadzieścia jeden galeonów Kompanii. Skręciły one następnie na północ, biorąc kurs na Amsterdam.

Pięć spóźnionych statków, wciąż prujących fale Oceanu Indyjskiego, musiało okrążyć Przylądek, nim wiatry zmieniały się z południowo-wschodnich na północno-zachodnie. Miało to nastąpić całkiem niedługo.

Zanim Guli of Moray wzięła udział w *guerre de course*, który to eufemizm oznaczał kaperstwo, jej kapitan Angus Cochran, lord Cumbræ, napełniał trzosa, kupując niewolników na targach Zanzibaru. Po przykuciu nieszczęśników do łańcucha, biegnącego przez całą długość ciasnej ładowni, wypuszczano ich na pokład dopiero wtedy, gdy statek dobijał do któregoś ze wschodnich portów. Oznaczało to, że ci, którzy zmarli podczas długiej skwarnej podróży, leżeli i gnili wśród żywych. Wyziewy rozkładających się zwłok zmieszane z odorem ekskrementów przesyciły statki niewolnicze niepowtarzalnym smrodem, po którym można je było poznać z odległości wielu mil. Nawet ciągłe szorowanie i najsilniejszy ług nie były w stanie zabić charakterystycznego fetoru, który bił od takiego statku.

Gdy Guli of Muray znalazła się po nawietrznej, wśród załogi Lady Edwiny rozległy się przesadzone mocno jęki obrzydzenia.

- Na Boga, ona śmierdzi jak krowi placek!

- Nie podcieracie sobie tyłków, zasyfione szczury? Czuć was aż tutaj! - krzyknął jeden z marynarzy w stronę małej eleganckiej fregaty.

Obelgi, jakie posypały się w odpowiedzi, wywołały uśmiech na twarzy Hala. Choć ludzkie wnętrze nie miały dla niego tajemnic, nie wszystko rozumiał, nigdy w życiu nie widział bowiem tych części ciała kobiety, do których odwoływali się często marynarze obu statków, i nie miał pojęcia, do czego mogą służyć. Plastikowe opisy rozpały jego wyobraźnię i uśmiechnął się, wyobrażając sobie gniew, jaki budzą w ojcu.

Sir Francis był gorliwym chrześcijaninem i wierzył, że losy wojny mogą zostać odwrócone przez bezbożne zachowanie nawet jednego członka załogi.

Zabraniał hazardu, przekleństw i pijaństwa. Odmawiał dwa razy dziennie modlitwę i upominał swoich ludzi, by zachowywali się godnie i przyzwoicie, gdy zawijali do portu. Hal wiedział, że mało kto brał to sobie do serca. Słuchając teraz, jak marynarze obrzucają się



wzajemnie obelgami, kapitan pociemniał na twarzy; ponieważ jednak nie mógł kazać wychłostać połowy załogi, by dać wyraz swej dezaprobacie, więc wołał milczeć, dopóki znajdowali się blisko fregaty.

Tymczasem zaś wysłał stewarda do kabiny po swój płaszcz. To, co miał do powiedzenia Cochranowi, nosiło oficjalny charakter i powinien wystąpić w paradnym ubiorze. Kiedy steward wrócił, sir Francis narzucił wspaniałą aksamitny płaszcz na ramiona i dopiero wtedy podniósł do ust tubę.

- Dzień dobry, mój panie.

Cochran podszedł do relingu i pozdrowił go uniesioną ręką. Na szkocką kratę włożył półpancerz, który lśnił w promieniach porannego słońca, ale głowę miał gołą. Ruda czupryna i broda splątane były w jeden wielki kołtun, a włosy tańczyły na wietrze, jakby ktoś podpalił mu głowę.

- Jezus niech będzie z tobą, Franky! - ryknął w odpowiedzi, bez trudu przekrzykując wiatr.

- Twoja pozycja jest na wschodnim skrzydle! - Gniew i wiatr sprawiły, że sir Francis nie bawił się w dyplomację. - Dlaczego z niej zszedłeś?

Cochran rozłożył ręce w przepaszającym geście.

- Mam mało wody i skończyła się moja cierpliwość. Sześćdziesiąt pięć dni to dosyć dla mnie i dla moich dzielnych chwatów. Na wybrzeżu Sofali jest do zdobycia złoto i są niewolnicy - zawołał. Jego akcent przypominał szkocki huragan.

- Twój list kaperski nie pozwala na atakowanie portugalskich statków.

- Złoto portugalskie i hiszpańskie błyszczy tak samo pięknie jak holenderskie! - odkrzyknął Cochran. - Nie ma pokoju za Linią, wiesz o tym dobrze.

- Nie bez racji nadali ci przezwisko Myszołów - zawołał zawiedziony sir Francis. - Masz taki sam apetyt jak ten padlinożerca.

A jednak Cochran nie mijał się z prawdą. Nie było pokoju za Linią. Przed niespełna dwoma stuleciami, 25 września 1493 roku, na mocy ogłoszonej przez papieża Aleksandra VI bulli *Mer Caetera*, przez środek Atlantyku wytyczona została z północy na południe linia podziału świata między Portugalię i Hiszpanię. Czy można było mieć jakąkolwiek nadzieję, że pominięte chrześcijańskie narody będą przestrzegać takiej deklaracji? Spontanicznie powstała nowa doktryna: „Nie ma pokoju za Linią!”. Według powołujących się na nią kaprów i korsarzy, rozciągała się na wszelkie niezbadane połacie oceanów.

Akty piractwa i grabieży, które byłyby ścigane przez połączone floty chrześcijańskiej Europy i których sprawcę powieszono by na rei własnego okrętu, gdyby doszło do nich na

wodach półkuli północnej, były dozwolone i nawet podziwiane, gdy dochodziło do nich za Linią. Każdy wojujący monarcha podpisywał listy kaperskie, które jednym pociągnięciem pióra zmieniały statki handlowe w okręty wojenne, posyłając je na łowy na nowo odkrytych oceanach poszerzającego się globu.

List sir Francis Courteneya podpisał w imieniu Jego Królewskiej Mości Karola II Edward Hyde, książe Clarendon, lord kanclerz Anglii. Dokument pozwalał kapitanowi napadać i łupić statki Republiki Holandii, z którą Anglia była w stanie wojny.

- Opuszczając pozycję, pozbawiasz się prawa do udziału w łupach - zawołał sir Francis przez wąski pas wody, dzielący oba statki, lecz Myszołów odwrócił się już, żeby wydać rozkazy sternikowi.

- Zagraj sir Francisowi skoczną melodię, żeby nas zapamiętał - polecił po chwili dudziarzowi, który stał w gotowości.

W powietrzu zabrzmiały wibrujące tony „Farewell of Isles”, a ludzie Cochrana wspięli się niczym małpy po linach i poluzowali refty. Topsle Guli of Moray wyduły się lekko, a grotzagle rozwinęły z hukiem przypominającym armatnią salwę. Statek ugiął się pod uderzeniem południowo-wschodniego wiatru i oparł na następnej nadbiegającej fali, łamiąc ją.

Cochran podszedł z powrotem do relingu. Jego głos przebijał się wyraźnie przez pisk dud i szum wiatru.

- Niech ma cię w opiece nasz Pan, Jezus Chrystus, mój czcigodny bracie w zakonie! - ryknął. W jego ustach zabrzmiało to jak bluźnierstwo.

Sir Francis odprowadził go wzrokiem, stojąc nieruchomo w ozdobionym szkarłatnym krzyżem płaszczu, który powiewał i trzepotał na wietrze.

Powoli cichły docinki i wulgarne przekleństwa żeglarzy. Pogodny nastrój przysł, gdy załoga zdała sobie sprawę, że ich już przedtem niezbyt liczne siły skurczyły się za jednym zamachem do mniej niż połowy. Mieli teraz sami stawić czoło znacznie silniejszemu od nich Holendrowi. Stłoczeni na pokładzie Lady Edwiny i wiszący na wantach marynarze umilkli, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy.

Sir Francis odrzucił nagle do tyłu głowę i głośno się roześmiał.

- Więcej zostanie dla nas do podziału - oznajmił, a oni roześmieli się razem z nim i wzniesli wiwat na jego cześć, kiedy zniknął w swojej kabinie pod pokładem rufowym.

Hal spędził na szczycie masztu jeszcze całą godzinę. Zastanawiał się, jak długo na statku utrzyma się wysokie morale. Dienne racje wody ograniczone były do dwóch kubków. Chociaż ląd i słodka woda były oddalone zaledwie o pół dnia żeglugi, sir Francis nie odważył

się zwolnić choćby jednej barki, żeby napełnili baryłki. Holender mógł pojawić się w każdej chwili, a wtedy będą potrzebowali każdego marynarza.

W końcu na górę wspiał się zmiennik Hala.

- Zobaczyłeś coś ciekawego? - zapytał, wślizgując się do bocianiego gniazda.

- Nic - przyznał Hal. - Nie wywiesili żadnego sygnału - dodał, wskazując bielejące na horyzoncie żagle obu barek. - Uważaj na czerwoną flagę. Będzie znaczyła, że wypatryli galeon.

- Niedługo zaczniesz mnie uczyć pierdzieć - mruknął marynarz, ale w kąciakach jego ust błąkał się uśmiech. Chłopak był ulubieńcem całej załogi.

Hal wyszczerzył do niego zęby.

- To prawda, w tej dziedzinie nie trzeba was uczyć, mistrzu Simonie. Słyszałem was, kiedy natężaliście się nad wiadrem w latrynie. Wolałbym chyba wystawić się na salwę Holendra. O mało nie rozwaliliście kadłuba.

Simon parsknął głośnym śmiechem i trącił Hala w ramię.

- Złaz na dół, chłopcze, nim nauczę cię fruwać jak albatros.

Hal posłuchał jego rady. Z początku poruszał się sztywno - mięśnie zdrewniały mu i zziębły po długiej wachcie - lecz wkrótce rozgrzał się i zwinnie zsunął na dół po linach.

Część ludzi przerwała pracę przy pompach i przy zszywaniu żagli porwanych przez wiatr i bacznie go obserwowała. Hal był krzepki i barczysty niczym dwudziestolatek i wzrostem dorównywał ojcu. Miał jednak gładką młodzieńczą twarz, nie poraną przez wiatr cerę i pogodne chłopięce rysy. Spod czapki wystawały, połyskując granatowo w świetle poranka, związane rzemykiem włosy. W wieku siedemnastu lat miał prawie kobiecą urodę i po z górą czterech miesiącach spędzonych na morzu - sześciu, odkąd po raz ostatni widzieli kobietę - ci z załogi, których upodobania biegły w odmiennym kierunku, spoglądali na niego łapczywym okiem.

Hal stanął na grotrei i opuściwszy bezpieczne poblize masztu, przebiegł po niej, balansując niczym akrobata czterdzieści stóp ponad grzywą dziobowej fali i deskami pokładu. Teraz utkwione były w nim oczy wszystkich - w tej sztuczce mało kto mógł się z nim równać.

- Tylko kogoś młodego i głupiego stać na takie rzeczy - burknął Ned Tyler, potrząsając głową, lecz ani na chwilę nie odrywał wzroku od Hala. - Lepiej, żeby nie zobaczył go teraz ojciec.

Hal dotarł do końca rei i natychmiast zjechał w dół po brasach. Znalazłszy się dziesięć stóp nad pokładem, skoczył w dół, uginając kolana, żeby zamortyzować siłę uderzenia. Wylądował bosymi stopami na wyszorowanych białych deskach.

Wyprostował się, obrócił w stronę rufy... i zastygł w bezruchu na dźwięk, który przypominał pierwotny ryk, mrozące krew w żyłach wycie jakiegoś wielkiego drapieżnego zwierzęcia.

Przez mgnienie oka stał jak wryty w miejscu, a potem instynktownie uskoczył przed nacierającym przeciwnikiem. Usłyszał świst ostrza tnącego powietrze i uchylił się, nim jeszcze je zobaczył. Srebrzysta stal błysnęła nad jego głową; atakujący ponownie wydał z siebie wściekły ryk.

Przed oczyma Hala mignęła czarna lśniąca twarz, wyszczerzone białe kwadratowe zęby i wywieszony jak u leoparda różowy język.

Klinga śmignęła ponownie w powietrzu i poczuł, jak kord rozdziera rękaw jego kubraka.

- Daj broń, Ned! - wrzasnął do stojącego za nim bosmana, cofając się o krok do tyłu i przez cały czas obserwując twarz napastnika. Jego źrenice były czarne i błyszczące jak obsydian, tęczęwki zmętniały z wściekłości, białka podeszły krwią.

Uskakując przed następnym szaleńczym atakiem, poczuł na policzku podmuch uderzenia. Usłyszał, jak bosman wysuwa z pochwy kord i ciska go w jego stronę po pokładzie. Pochylił się, chwycił gracko broń, której rękojeść sama wsunęła mu się do ręki, i stanął w pozycji obronnej, trzymając koniec klingi na wysokości oczu przeciwnika.

Widząc zagrażające mu ostrze, wysoki czarny mężczyzna ochłonął trochę, a kiedy Hal wysunął zza pasa swój dziesięciocalowy sztylet, szaleństwo w oczach napastnika ustąpiło zimnemu wyrachowaniu. Krążąc po pokładzie, obaj parowali lekkie uderzenia i szukali luki w obronie przeciwnika.

Marynarze porzucili swoje stanowiska - nawet te przy pompach - i otoczyli kołem szermierzy, jakby oglądali walkę kogutów. Spragnieni krwi, pomrukiwali i pohukiwali przy każdym pchnięciu i paradzie, dopingując swoich faworytów.

- Oderżnij mu te czarne jaja, Hal!

- Pokaż temu chwatowi, gdzie raki zimują, Aboli!

Aboli przewyższał o pięć cali Hala i na jego zwinnym szczupłym ciele nie było ani jednej uncji tłuszczu. Pochodził ze wschodniego wybrzeża Afryki, z wojowniczego plemienia, wysoko cenionego przez handlarzy niewolników. Pozbawiona włosów czaszka lśniła niczym wypolerowany czarny marmur, a policzki zdobiły rytualne tatuaże i spiralne blizny, które nadawały jego twarzy przerażający wygląd. Poruszał się z niezwykłą gracją na długich muskularnych nogach, kołysząc się w pasie niczym olbrzymia czarna kobra. Jedyny

jego ubiór stanowiły bryczesy z postrzępionego płótna. Każdy mięsień obnażonej piersi i ramię wydawał się żyć własnym życiem, tak jakby pod naoliwioną skórą kłębił się rój węży.

Hal sparował z najwyższym trudem nagłe pchnięcie, lecz w tej samej chwili Aboli zmienił kierunek sztychu, celując po raz kolejny w jego głowę. Uderzenie było tak silne, że Hal zdał sobie sprawę, iż nie odeprze go samym kordem. Podniósł w górę dwa ostrza, skrzyżował je i zablokował broń Murzyna wysoko nad głową. Stal zadzwoniła o stal, a tłum nagrodził głośnymi okrzykami udaną paradę.

Ustępując przed gwałtownym atakiem, chłopak zrobił jeden, a potem drugi i trzeci krok do tyłu. Aboli nacierał dalej, nie dając mu chwili wytchnienia, wykorzystując swój wyższy wzrost i siłę przeciw talentowi Hala.

Na twarzy chłopaka ukazała się desperacja. Ustępował coraz szybciej i jego ruchom brakowało koordynacji: paraliżowały go zmęczenie i strach. Okrutni widzowie obrócili się teraz przeciw niemu, domagając się krwi, zagrzewając do boju nieubłaganego przeciwnika.

- Pokieruj mu ten śliczny buziak, Aboli!

- Pokaż nam jego flaki!

Aboli zagonił go z powrotem pod maszt; pot wystąpił na czoło Hala. Nagle wydał się o wiele młodszy. W oczach załśniły łzy, wargi drżały mu z przerażenia i zmęczenia. Przestał już kontratakować. Teraz wyłącznie się bronił. Walczył o życie.

Aboli zadał następne pchnięcie, celując w korpus, a potem zmienił kąt, żeby trafić go w nogi. Hal gonął ostatkiem sił, z trudem blokując każdy sztych.

Murzyn zaatakował po raz kolejny - zmusił Hala do nagłego uniku, markując uderzenie w lewe biodro, i przeniósł ciężar na drugą nogę, zadając szybkie proste pchnięcie. Błyszczące ostrze przedarło się przez obronę Hala i widzowie ryknęli radośnie, kiedy w końcu połała się krew.

Hal zatoczył się do tyłu i stanął, ciężko dysząc w słońcu, oślepiony spływającym z czoła potem. Na jego kubrak kapłała powoli krew - lecz rana, jaką odniósł, była zaledwie draśnięciem, choć zadany z chirurgiczną precyzją.

- Kolejna blizna za to, że walczyłeś jak baba! - upomniał go Aboli.

Hal podniósł z niedowierzaniem lewą rękę, w której tkwił sztylet, i starł wierzchem zaciśniętej dłoni krew z policzka. Z przeciętego płotka ucha lała się krew jak z poważnej rany.

Widzowie zataczali się ze śmiechu.

- Na zęby szatana! - ryknął jeden z nich. - Ten piękniś ma w sobie więcej juchy niż odwagi!

Pod wpływem szyderstwa w Halu nastąpiła zmiana. Nie zwracając uwagi na wciąż płynącą krew, opuścił rękę i przybrał pozycję obronną. Na jego twarzy nie odbijały się żadne uczucia, lecz zaciśnięte usta pobladyły, a z gardła wydobył się niski pomruk.

Zaatakował z taką szybkością, że zaskoczony Aboli cofnął się o kilka kroków. Kiedy skrzyżowali ostrza, poczuł, że w chłopaka wstąpiły nowe siły, i zmrużył oczy. A wtedy Hal rzucił się na niego niczym ranny kot.

Uskrzydlały go ból i wściekłość. W jego oczach nie było litości, a zaciśnięte szczęki zmieniły twarz w maskę pozbawioną wszelkich śladów chłopiństwa. Wściekłość wcale go jednak nie zaślepiła, nie pozbawiała rozsądku. Nagle scalała się w jedno cała wiedza, którą zdobywał w trakcie długich godzin ćwiczeń na pokładzie.

Widzowie patrzyli na dokonujący się na ich oczach cud. Wyglądało na to, że właśnie w tej chwili chłopak przeobraża się w młodzieńca, mężnieje, stając oko w oko, twarzą w twarz z przeciwnikiem.

To nie potrwa długo, powtarzał sobie Aboli, parując kolejne sztychy. Wkrótce straci siły. Miał jednak przed sobą kogoś nowego, kogoś, kogo nie znał.

Wtem zorientował się, że ustępuje pola. Chłopak zaraz się zmęczy, pomyślał, ale tańczące przed jego oczyma dwa ostrza były nieuchwytnie i eteryczne niczym duchy ciemnych lasów, które kiedyś stanowiły jego dom.

Spojrzał w płonące w poblądłej twarzy oczy i w ogóle ich nie poznał. Zabobonny lęk osłabił szybkość jego ramienia. Miał przed sobą demona obdarzonego nadprzyrodzoną siłą. Jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Następny sztych, wymierzony w pierś, przedarł się przez jego obronę niczym promień słońca. Aboli odwrócił się bokiem, ale kord przeorał mu tułów tuż pod podniesionym lewym ramieniem. Nie poczuł bólu, usłyszał tylko chrobot stali sunącej po żebrach. Ciepła fala krwi spłynęła po jego boku.

Oszołomiony zlekceważył broń w lewej ręce Hala i dopiero w ostatniej chwili dostrzegł kątem oka celujące w jego serce krótsze, sztywniejsze ostrze sztyletu. Cofając się przed nim, zahaczył piętą o zwinięte brasy, runął jak długi na pokład i wyrznął łokciem prawej ręki o burtę. Kord wypadł z pozbawionych czucia palców.

Leżąc bezradnie na plecach, spojrzał w zielone oczy przeciwnika i zobaczył w nich śmierć. To nie była twarz chłopca, który przez ostatnie dziesięć lat był jego podopiecznym i pupilem, chłopca, którego uczył, trenował i kochał. To była twarz zabójcy. W jego szyję mierzyło lśniące ostrze kordu, wspomagane siłą młodego zwinnego ciała.



- Henry! - rozległ się nagle gromki stanowczy głos, zagłuszając okrzyki marynarzy spragnionych krwi.

Hal wzdrygnął się i znieruchomiał, opierając ostrze o gardło Murzyna. Przez chwilę wyglądał tak, jakby właśnie obudził się ze snu. Spojrzał na ojca stojącego na kasztelu.

- Dostyc tych wygłupów! Chcę cię zaraz widzieć w mojej kabinie - rozkazał sir Francis.

Hal powiódł wzrokiem po spoconych podekscytowanych twarzach. A potem, potrząsając ze zdziwieniem głową, popatrzył na swój kord i wypuścił go z dłoni. Ugięły się pod nim kolana i klękając przy Abolim, objął go, tak jak dziecko obejmuje ojca.

- Aboli! Boleśnie cię zraniłem - szepnął w języku lasów, którego nauczył go Murzyn i którego nie znał poza nimi nikt z załogi. - Ty krwawisz! Na Boga, mogłem cię zabić.

Aboli zachichotał cicho.

- Było, minęło - odparł w tym samym języku. - Nareszcie utoczyłeś trochę krwi z prawdziwego wojownika. Myślałem, że tego nigdy nie zrobisz. Musiałem cię długo prowokować. - Usiadł i odepchnął od siebie Hala, ale gdy spoglądał na tego chłopca, który właśnie przestał być chłopcem, w jego oczach zapaliło się nowe światło. - Idź już, nie każ ojcu czekać na siebie.

Hal wstał na drżących nogach i ponownie przyjrzał się otaczającym go twarzom. Dostrzegł na nich coś, czego wcześniej nie widział: szacunek zmieszany z wcale niebagatelny lękiem.

- Na co się tak gapicie?! - wrzasnął Ned Tyler. - Zabawa skończona. Nie macie nic do roboty? Żwawo do pomp. Te topsle zbliżają się do wiatru. Zaraz wyślę na wanty każdego, kto nie ma do czego przyłożyć ręki.

Bose stopy zabębniły po pokładzie. Ludzie rozbiegli się posłusznie na swoje stanowiska, a Hal pochylił się, podniósł kord i podał go bosmanowi rękojeścią do przodu.

- Dziękuję, Ned. Był mi naprawdę potrzebny.

- I zrobiłeś z niego dobry użytek. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś, z wyjątkiem twego ojca, pokonał tego poganina.

Hal oddał kawałek materiału ze swoich postrzępionych płóciennych bryczesów, przyłożył go do ucha, żeby powstrzymać krwawienie, i ruszył do kabiny na rufie.

Sir Francis podniósł wzrok znad dziennika okrętowego, w którym zapisywał coś gęsim piórem.

- Nie bądź taki zadowolony z siebie, szczeniaku - mruknął do Hala. - Aboli bawił się z tobą, jak zawsze. Mógł cię trafić z tuzin razy, zanim zdołałeś w końcu zadać to pchnięcie.



Kiedy ojciec Hala wstał z fotela, ledwie starczyło dla nich obu miejsca w małej kabinie. Ściany od góry do dołu zastawione były książkami, kolejne leżały na podłodze. Oprawne w skórę tomy piętrzyły się w niszy, która służyła sir Francisowi za koję. Hal zastanawiał się, gdzie znajduje miejsce do spania.

Ojciec zwracał się do niego po łacinie. Kiedy byli sami, chciał, żeby rozmawiali w języku kulturalnych wykształconych ludzi.

- Jeśli nie odnajdziesz stali w sercu i w ręku, zginiesz, nim staniesz się dobrym szermierzem. Każdy Holender poszatkuje cię przy pierwszym spotkaniu. - Sir Francis spojrzał ostro na syna. - Wyrecytuj prawo miecza.

- Miej oko na jego oczy - wymamrotał Hal po łacinie.

- Głośniej, chłopcze!

Słuch sir Francis'a osłabił huk kolubryn - przez wszystkie te lata oddano przy nim ponad tysiąc salw. Pod koniec bitwy krew ciekła z uszu kanonierów i nawet oficerowie słyszeli potem przez wiele dni dźwięk niebiańskich dzwonów.

- Miej oko na jego oczy - Hal powtórzył głośniej i ojciec pokiwał głową.

- Oczy są oknem umysłu. Naucz się czytać w nich zamiary przeciwnika, nim wprowadzi je w życie. Zobacz sztych, zanim zostanie zadany. Co dalej?

- Miej oko na jego stopy - wyrecytował Hal.

- Zgadza się. - Sir Francis pokiwał głową. - Stopy poruszają się, nim poruszy się ręka. Co dalej?

- Trzymaj wysoko klingę.

- Podstawowa zasada. Nigdy nie opuszczaj broni. Mierz w jego oczy.

Sir Francis kazał Halowi powtórzyć cały katechizm, tak jak to robił setki razy przedtem.

- Zapamiętaj jeszcze jedną zasadę - oznajmił na koniec. - Walcz od samego początku, nie od momentu, gdy zostaniesz ranny albo wpadniesz w gniew. W przeciwnym razie możesz nie przeżyć pierwszego cięcia. - Ojciec zerknął na zwisającą z sufitu klepsydrę. - Przed poranną modlitwą masz jeszcze czas na lekturę. - Wciąż mówił po łacinie. - Weź swojego Liwiusza i zacznij tłumaczyć od strony dwudziestej szóstej.

Przez całą godzinę Hal czytał na głos w oryginale historię Rzymu, a potem tłumaczył każdą linijkę na angielski. Sir Francis zatrzasnął w końcu grubą księgę.

- Coraz lepiej - pochwalił go. - A teraz odmień czasownik durare.

Fakt, że ojciec wybrał właśnie to słowo, świadczył o jego aprobachie. Hal wyrecytował, wstrzymując oddech, kolejne formy i zwolnił, dochodząc do czasu przyszłego.

- Durabo. Wytrwam.

To słowo stanowiło dewizę rodu Courteneyów i słysząc je w ustach Hala, sir Francis chłodno się uśmiechnął.

- Niechaj Bóg ześle na ciebie tę łaskę - powiedział wstając. - Możesz teraz odejść, ale nie spóźnij się na modlitwę.

Szczęśliwy, że podarowano mu chwilę wolności, Hal wymknął się z kabiny i wspinał po schodkach na pokład. Aboli kuczał w cieniu jednej ze stojących na dziobie odlanych z brązu kolubryn.

- Zraniłem cię - oświadczył Hal, klękając przy nim. Aboli machnął lekceważąco ręką.

- Kurczak zadaje większe rany ziemi, skrobiąc ją pazurem.

Hal ściągnął brezentową kurtkę z ramion Murzyna, podniósł do góry jego muskularną rękę i przyjrzał się głębokiemu cięciu przez żebra.

- Tak czy inaczej, ten kurczak nieźle cię dziabnął - stwierdził oschle i uśmiechnął się, gdy Aboli otworzył dłoń i pokazał mu szydło z nanizaną już żeglarską nicią. Sięgnął po nią, ale Murzyn powstrzymał go.

- Najpierw obmyj ranę, tak jak cię uczyłem.

- Sam możesz jej dosięgnąć tym swoim czarnym pytonem - mruknął Hal i Aboli gruchnął śmiechem, niskim i cichym niczym daleki grzmot.

- Będziemy musieli zadowolić się twoim małym białym robaczkiem.

Hal podniósł się i rozwiązał sznur, który ściągał w pasie jego bryczesy. Pozwolił opaść im do kolan i ściągnął prawą ręką napletek.

- Chrzczę cię, Aboli, władco kurczaków! - oznajmił, imitując wiernie kaznodziejski ton własnego ojca i kierując strumień uryny w otwartą ranę.

Zdawał sobie świetnie sprawę, jak to boli, ponieważ Aboli robił to nieraz jemu. Czarne rysy pozostały jednak nieporuszone. Chłopak splukał ranę do ostatniej kropli i podciągnął z powrotem bryczesy. Wiedział, jak skuteczna jest ta plemienna metoda Abolego. Gdy ją po raz pierwszy wobec niego zastosowano, skręcał się z obrzydzenia, ale nigdy nie widział, by obmyta w ten sposób rana jątrzyła się.

Aboli ściągnął lewą ręką jej brzegi, a Hal wziął do ręki szydło z nicią i zszył ją żeglarskim ścięciem, przebijając igłą elastyczną skórę i zaciągając mocno szwy. Skończywszy, zanurzył rękę w przygotowanym przez Murzyna kociołku z gorącą smołą, posmarował nią gęsto zszytą ranę i pokiwał głową, przyglądając się z satysfakcją swemu dziełu.

Aboli wstał i podciągnął nogawkę płóciennych bryczesów.

- A teraz zajmiemy się twoim uchem - stwierdził, wystawiając na zewnątrz gruby członek, który tylko w połowie mieścił się w jego dłoni.

Hal odchylił się szybko do tyłu.

- To małe draśnięcie - zaprotestował, lecz nieubłagany Aboli złapał go za włosy i obrócił twarzą do góry.

Na dźwięk dzwonu wszyscy marynarze zebrali się na środkowym pokładzie i stanęli z odkrytymi głowami na słońcu - wśród nich także ci o czarnym kolorze skóry, którzy prócz Ukrzyżowanego czcili innych bogów zamieszkujących ciemne lasy.

- Prosimy cię, wszechmocny Boże - zaintonował sir Francis, trzymając w dłoni wielką, oprawną w skórę Biblię - spraw, byśmy dopadli nieprzyjaciela i mogli odnieść nad nim zwycięstwo.

W tym momencie tylko on podnosił oczy do nieba; wzrok całej załogi zwrócony był na wschód, skąd miał nadpłynąć nieprzyjaciel, wyladowany srebrem, pieprzem i kardamonem.

W połowie długiego nabożeństwa od wschodu nadleciał szkwał. Nad ich głowami przeciągnął gnany wiatrem ciemny wał chmur i pokład zaalały srebrzyste potoki deszczu. Żywioły nie były jednak w stanie zakłócić rozmowy sir Francisa z Wszechmogącym i chociaż załoga kuliła się w swych smołowanych płóciennych kurtach i zawiązanych pod brodą czapkach, ociekając wodą niczym stado leżących na plaży morsów, kapitan nie skrócił ani o jedno słowo swego kazania.

- Miej nas w swej opiece, Panie burz i wiatrów - modlił się. - Panie bitewnego szyku, bądź nam tarczą i pawężem.

Szkwał szybko minął i znowu zaświeciło słońce, połyskując na grzywach fal i susząc deski pokładu.

Sir Francis strzepnął wodę ze swego kapelusza z szerokim rondem i zmoczone białe pióra pokiwały z aprobatą lotkami.

- Każ wytoczyć działa, mistrzu Nedzie!

Tak właśnie należało postąpić, pomyślał Hal. Szkwał zmoczył lonty i proch i zamiast kazać ludziom przeladowywać kolubryny, ojciec postanowił urządzić ćwiczenia w strzelaniu.

- Proszę dać sygnał: „Na stanowiska”!

Ponaglani dźwiękiem werbla marynarze, śmiejąc się i żartując, zajęli swoje pozycje. Hal wsunął koniec lontu do stojącego przy grotmaszcie kosza z palącymi się węglami i kiedy zaczął się równo tlić, wspiął się, trzymając go w zębach, na swoje stanowisko bojowe u szczytu maszty.

Czterej mężczyźni wyciągnęli z ładowni pustą beczkę, dotoczyli ją do burty i na rozkaz z mostka wrzucili do wody. W tym czasie puszkarze wybili kliny spod lawet i wytoczyli działa. Na dolnym pokładzie stało po osiem kolubryn z każdej strony, na górnym pokładzie po pięć kartaun. Długie lufy na górze załadowane były kartaczami, na dole pojedynczymi kulami.

Po dwuletnim rejsie zapas żelaznych kul bardzo się wyczerpywał i kilka dział załadowano otoczkami wybranymi z dna rzek, u których ujścia zaopatrywali się w słodką wodę. Lady Edwina obróciła się majestatycznie o sto osiemdziesiąt stopni i stanęła rufą do wiatru. Pusta beczka unosiła się teraz dwa kable przed jej dziobem, lecz odległość szybko się zmniejszała. Kanonierzy przechodzili od działa do działa, regulując klinami kąt nachylenia luf i wydając rozkazy marynarzom przy taliach. Wymagało to fachowej wiedzy; tylko pięciu ludzi na pokładzie potrafiło załadować i ustawić działa.

Siedząc w bocianim gnieździe, Hal przekreślił zamontowany na obrotowej podstawie długi falkonet i wycelował go w mijającą ich, niesioną prądem beczkę. A potem zdrapał ostrzem sztyletu mokry skawalony proch z panewki i podsypał świeżego. Po dziesięciu latach terminowania u ojca był równie biegły w tej ezoterycznej sztuce jak Ned Tyler, starszy ogniomistrz na statku. Powinien być w tej chwili na dole, na pokładzie działowym, i błagał ojca, by mu na to pozwolił, w odpowiedzi usłyszał jednak stanowcze: „Masz iść tam, gdzie cię posyłam”. Teraz tkwił w gnieździe, nie mogąc brać udziału w zabawie, do której wrywało się jego młode gorące serce.

Wzdrygnął się, słysząc dobiegający z pokładu huk działa. W górę buchnęły gęste kłęby dymu i statek przechylił się lekko pod ciężarem salwy. Chwilę później, pięćdziesiąt jardów na prawo od pustej beczki i dwadzieścia jardów za nią z powierzchni morza trysnęła wysoka fontanna piany. Z tej odległości nie był to wcale zły strzał, ale na pokładzie rozległy się gwizdy i urągania.

Ned Tyler podbiegł do drugiej kolubryny, sprawdził szybko jej ustawienie, po czym dał znak ludziom przy linach, żeby przesunęli ją o jeden rumb w lewo, i przytknął lont do panewki. Do tyłu buchnął z głośnym skwierczeniem kłąb dymu, z lufy wyleciał snop iskier, niedopalony proch i mokre czarne grudy, a po nich kula, która wpadła do morza, nie pokonawszy nawet pół odległości do celu. Z ust marynarzy sypnęły się kolejne docinki.

Następne dwa działa w ogóle nie wypaliły. Klnąc wściekle, Ned kazał wydobyć pociski długimi żelaznymi wyciorami i ruszył dalej- Wielkie marnotrawstwo prochu i kul - mruknął Hal, cytując słowa wielkiego sir Francis Drake'a - na którego cześć nadano imię jego ojcu - wypowiedziane po pierwszym dniu bitwy stoczonyj z armadą króla Hiszpanii

Filipa II, dowodzoną przez księcia Medina Sidonię. Przez cały boży dzień dwie wielkie floty posyłały ku sobie w gęstych oparach dymu salwę za salwą, kanonada nie zatopiła jednak ani jednego okrętu.

- Postraszyć ich armatnim ogniem, ale pokłady zdobywać białą bronią - uczył Hala ojciec, wyrażając swój niezbyt pochlebny stosunek do trudnej, lecz mało skutecznej sztuki morskiej artylerii. Z kołyszącego się pokładu jednego statku nie sposób było dokładnie wycelować w kadłub drugiego; celność zależała w większym stopniu od Wszechmocnego niż od ogniomistrza.

Jakby na potwierdzenie tej opinii sześć dział w ogóle nie wypaliło, a najlepszy strzał padł w odległości dwudziestu jardów od beczki. Hal potrząsnął ze smutkiem głową - pamiętając, że każde działo zostało starannie ustawione i wycelowane. W ogniu bitwy, gdy widoczność jest ograniczona przez kłęby dymu, proch i kule ładowane w pośpiechu, lufy nierównomiernie nagrzane, a lont przystawiają do panewki podnieceni i przerażeni puszkarze, rezultaty byłyby jeszcze gorsze.

Ojciec spojrzał w końcu na Hala.

- Hej tam, na bocianim gnieździe! - ryknął.

Hal bał się już, że o nim zapomniano. Teraz, drżąc z podniecenia, dmuchnął na lont, który rozjarzył się w jego dłoni.

Sir Francis mierzył go z pokładu surowym i groźnym wzrokiem. Nie wolno mu było nigdy zdradzić się, jak bardzo kocha tego chłopca. Musi być przez cały czas twardy, krytyczny i wymagający. Dla dobra Hala - po to, żeby przeżył - powinien go pędzić do nauki i wyteżonej pracy, do dawania z siebie wszystkiego i pokonywania kolejnych leżących przed nim przeszkód. Jednocześnie zaś, nie okazując tego, musi mu również pomagać, zachęcać i stać przy jego boku. Musi prowadzić go mądrze i umiejętnie, aby spełniło się jego przeznaczenie. Zwlekał z wywołaniem go aż do tej chwili, kiedy beczka zbliżyła się do burty.

Jeśli chłopiec trafi ze swej broni w cel, którego nie udało się zniszczyć z wielkich dział Nedowi, jego mir wśród załogi niepomiernie wzrośnie. Marynarze byli w większości hałaśliwymi gburami, prostymi analfabetami, ale któregoś dnia Hal będzie dowodził nimi albo podobnymi im ludźmi. Zrobił dziś wielki krok naprzód, pokonując na ich oczach Abolego. Teraz wyłaniała się przed nim kolejna szansa. Boże, prowadź jego rękę i pocisk, modlił się w duchu sir Francis, kiedy załoga zadarła szyje, obserwując chłopaka kołyszącego się wysoko na maszcie.

Hal mruczał cicho, koncentrując się na czekającym go zadaniu. Czuł wlepione w niego oczy, nie zdawał sobie jednak sprawy ze znaczenia tej próby i nic nie wiedział o

modlitwach ojca. Dla niego była to tylko zabawa, kolejna okazja, by zabłysnąć. Lubił wygrywać i za każdym razem sprawiało mu to coraz większą przyjemność. Młody orzeł rozpościerał z radością skrzydła.

Złapał za długi mosiężny uchwyt, przekreślił falkonet w dół i zezując jednym okiem, ustawił na jednej linii szczerbinę i muszkę, którą zakończona była długa na metr lufa.

Nauczył się już, że nie można dokładnie mierzyć w cel. W ciągu kilku sekund, które upłyną od przyłożenia lontu do panewki, zarówno statek, jak i beczka zmieniały swoją pozycję. Wystrzelona kula też potrzebowała jakiegoś czasu, żeby dolecieć do celu. Musiał obliczyć, gdzie będzie beczka, kiedy dotrze do niej pocisk, i nie celować w miejsce, w którym znajdowała się, gdy zapalał proch.

Przesunął lekko muszkę przed cel i przytknął żarzącą się końcówkę lontu do panewki pamiętając, aby nie odwrócić się od płonącego prochu i nie kulić w oczekiwaniu eksplozji, lecz trzymać lufę dokładnie tam, gdzie wymierzył.

Z hukiem, od którego o mało nie popękały mu bębenki, falkonet odrzuciło do tyłu i wszystko skryła chmura szarego dymu. Chłopak wykręcał desperacko głowę na wszystkie strony, próbując coś dojrzeć, dopiero jednak dobiegające z dołu wiwaty sprawiły, że serce urosło mu w piersi. Kiedy wiatr rozwiął kłęby dymu, zobaczył unoszące się za rufą szczątki roztrzaskanej beczki. Pohukując głośno z radości, pomachał czapką zgromadzonym na dole marynarzom.

Aboli, który stał na dziobie jako bosman i działowy pierwszej wachty, odwzajemnił jego uszczęśliwiony uśmiech i wymachując nad głową kordem, uderzył się pięścią w odkrytą pierś.

Werble oznajmiły koniec ćwiczeń i zwolnienie załogi ze stanowisk bojowych. Przed zejściem na pokład Hal załadował ponownie falkonet i obwiązał panewkę kawałkiem smołowanego płótna, żeby uchronić ją przed deszczem i rosą.

Ładując na deskach, spojrział w stronę rufy, szukając wzrokiem ojca i oczekując jego aprobaty. Sir Francis rozmawiał z jednym z podoficerów. Po chwili obejrzał się przez ramię i zmierzył syna chłodnym spojrzeniem.

- Na co się tak gapisz, chłopcze? Trzeba załadować działa.

Widząc, jak ojciec odwraca się do niego plecami, Hal poczuł ukłucie żalu, lecz hałaśliwe gratulacje marynarzy, którzy klepali go po plecach, gdy szedł po pokładzie działowym, poprawiły mu szybko humor. Ned Tyler odsunął się na jego widok od armaty, którą łądował.



- Byle kiep potrafi z niej strzelić, ale trzeba prawdziwego fachowca, żeby ją załadować - mruknął, po czym podał Halowi wycior i przyjrzał mu się krytycznym okiem, jak nabiera prochu ze skórzanego mieszka. - Ile ma ważyć ładunek? - zapytał.

Chłopak udzielił tej samej odpowiedzi co sto razy wcześniej:

- Tyle samo co kula.

Proch strzelniczy składał się z grubych ziaren. Zdarzało się czasem, że pod wpływem ruchu okrętu bądź też innych czynników trzy podstawowe składniki: siarka, węgiel drzewny i saletra rozdzielały się i czyniły go niezdatnym do użytku. Stąd wziął się proces „granulowania”, w trakcie którego sypki rzadki proch polewany był uryną lub alkoholem i ugniatany w papkę, kruszoną następnie w móżdżerzu na pożądaną wielkości ziarna. Proces ten nie był jednak doskonały i kanonier musiał zawsze pilnować, w jakim stanie znajduje się proch. Wilgoć i długie przechowywanie mogły go zepsuć. Hal rozkruszył kilka ziaren między palcami i położył szczyptę na języku. Ned Tyler nauczył go odróżniać w ten sposób dobry i zepsuty proch. Następnie wsypał odmierzoną zawartość mieszka do lufy i dodał pakuł.

Teraz trzeba było ugnieść ładunek długim wyciorem o drewnianej ręczce. To również miało podstawowe znaczenie; zbyt mocno ubity ładunek nie łapał ognia i w rezultacie dochodziło do niewypału. Zbyt luźny proch mógł z kolei nie wytworzyć siły niezbędnej do nadania kuli odpowiedniej prędkości. Właściwe ugniatanie było umiejętnością, której nabywało się tylko w trakcie długiej praktyki, ale przyglądając się pracy Hala, Ned kiwał z aprobatą głową.

Dopiero kilka godzin później chłopak wrócił na otwarty pokład. Wszystkie kolubryny były załadowane i zabezpieczone, a on lśnił cały od potu po długim machaniu wyciorem w ciasnej i dusznej przestrzeni pokładu działowego. Przystanął na chwilę, żeby otrzeć czoło, zaczerpnąć powietrza i rozprostować plecy - na dole trzeba było pracować kucając - zaraz jednak usłyszał za sobą ironiczny głos ojca.

- Czyżby nie interesowała cię pozycja statku, paniczu Henry?

Zaskoczony Hal spojrział na słońce. Wisiało wysoko nad jego głową: ranek dobiegał już końca. Zbiegł szybko po schodkach, wpadł do kabiny ojca, złapał stojący w pudełku na półce ciężki kwadrant i pobiegł z powrotem na mostek.

- Mam nadzieję, że nie jest za późno - szepnął cicho, sprawdzając pozycję słońca, które świeciło nad reją po prawej burcie. Odwrócił się do niego plecami i stanął tak, aby nie zasłaniał go cień rzucany przez grotzagiel i aby dobrze widzieć południowy horyzont.

Teraz skoncentrował całą uwagę na kwadrancie. Musiał trzymać ciężki instrument zupełnie nieruchomo, nie bacząc na kołysanie statku, i odczytać na skali kąt, pod którym



padaly promienie z za jego ramienia. W ten sposob poznawal nachylenie slonca do horyzontu. Byla to trudna sztuka, wymagajaca nie lada sily i zrecznosci.

W koncu zdolal odczytac nachylenie slonca dokladnie w momencie, gdy stanelo w zenicie. Opuстил kwadrant czujac, jak bolal go rece i ramiona, i szybko zapisal odczyt na tablicy kursow.

Kiedy wbiegl z powrotem do kabiny, tablicy z ekliptykami nie bylo na polce. Zdenerwowany obejrzel sie i zobaczyl, ze ojciec wsunal sie cicho w slad za nim i bacznie mu sie przyglada. Nie odezwal sie ani slowem, lecz Hal wiedzial, ze powinien podac dane z pamieci. Usiadl przy kufrze ojca, ktory sluzyl mu za biurko, zamknal oczy i staral sie odtworzyc w pamieci tresc tablic. Musial przypomniec sobie wczorajsze dane i ekstrapolowac z nich dzisiejsze. Masujac spuchniete ucho, poruszal bezglosnie ustami.

Nagle rozjasnila mu sie twarz. Otworzyl oczy i zapisal liczbe na tabliczce. Minute zajelo mu przeliczenie kata nachylenia na stopnie szerokosci geograficznej. W koncu podniosl z triumfem wzrok.

- Trzydzieści cztery stopnie czterdzieści dwie minuty szerokosci poludniowej.

Ojciec wzial od niego tabliczke, sprawdzil liczby, oddal ja i pokiwal lekko glowa.

- Dostyc blisko, jezeli prawidlowo zmierzyles kat. A co z dlugoscia?

Dokladne okreczenie dlugosci stanowilo zagadke, z ktora nie uporal sie dotad zaden czlowiek. Nie bylo chronometru, klepsydry ani zegara, ktory mozna by zabrac na poklad i ktory odznaczalby sie wystarczajaca dokladnoscia, by moc zmierzyc majestatyczne obroty ziemi. Halowi mogla pomoc w obliczeniach tylko tabliczka kursow, zawieszona koło kompasu. Przyjrzel sie dokladnie kołkom, ktore sternik umieszczal w otworach rozny kompasu za kazdym razem, kiedy zmienial kurs podczas wachty. Nastepnie zsumowal wszystkie wartosci, wyciagnal srednia i naniosl ja na male. Dlugosc geograficzna mozna bylo okreczyc w ten sposob tylko w duzym przyblizeniu i co bylo do przewidzenia, ojciec nie zaakceptowal jego wyliczen.

- Dalbym jej pare minut wiecej na wschod. Z przyczepionymi do dna wodorostami i woda w zezach, Lady Edwina ma tendencje do skrecania na zawietrzna. Ale zapisz swoje dane w dzienniku.

Chlopak spojrzal na niego zaskoczony. To byl rzeczywiscie niezwykly dzien. Do tej pory nikt procz ojca nie mial prawa wpisywac niczego do oprawnego w skore dziennika okrętowego, ktory lezal obok Biblii na kufrze.

Czujac na sobie jego wzrok, otworzyl dziennik i przez cala minute wpatrywal sie w wypełnione eleganckim pismem stronicy oraz przepiekne rysunki ludzi, okrętow i wybrzezy,

którymi ojciec ozdabiał marginesy. W końcu zanurzył z drzeniem serca pióro w złotym kałamarzu, który należał niegdyś do kapitana Heerlycke Nacht, jednego ze zdobytych przez ojca galeonów Holenderskiej Kompanii Wschodnio indyjskiej. Strząsnął nadmiar atramentu, żeby nie poplamieć świętej stronicy, przygryzł czubek języka i zapisał z niezwykłą starannością: „Pierwszy dzwon popołudniowej wachty w dniu trzeciego września roku pańskiego 1667. Pozycja 34 stopnie 42 minuty szerokości południowej, 20 stopni 5 minut długości wschodniej. Z marsu widać na pomocy kontynent afrykański”. Nie śmiejąc dodać nic ponadto i ciesząc się, że nie poplamieł strony kleksami, odłożył pióro i posypał z dumą piaskiem kształtne litery. Wiedział, że ma ładny charakter pisma - choć może nie tak ładny jak ojca, przyznał w duchu, porównując oba.

Sir Francis wziął do ręki odłożone przez Hala pióro i pochylając się przez jego ramię dopisał: „Przed południem porucznik Henry Courteney poważnie ranny w niepoważnej bójce”. Następnie naszkicował szybko obok notatki karykaturę Hala z odstającym spuchniętym uchem i szwem przypominającym kokardkę na włosach dziewczyny.

Hal stłumił wzbierający w gardle chichot i podniósł wzrok; w zielonych oczach ojca również paliły się wesołe iskierki. Sir Francis położył mu rękę na ramieniu, co stanowiło najczulszy gest, na jaki mógł się zdobyć.

- Ned Tyler udzieli ci teraz lekcji stawiania żagli. Nie każ mu długo czekać.

Kiedy Hal wszedł na górny pokład, zapadał już zmierzch, lecz w półmroku mógł jeszcze dojrzeć ciała śpiących po wachcie marynarzy. Niebo jaśniało od gwiazd, które zachwyciłyby każdego przybysza z północy. Tej nocy jednak nie miał ochoty im się przyglądać. Był tak zmęczony, że dosłownie padał z nóg.

Aboli przygotował dla niego miejsce na dziobie, przy kartaunie, która osłaniała ich przed wiatrem. Rozłożył na deskach słomiany siennik i Hal wyciągnął się na nim z wdzięcznością. Członkowie załogi nie mieli swoich kabin i spali, gdzie popadnie na otwartym pokładzie. Noce na morzach południowych były ciepłe i woleli świeże powietrze od duchoty panującej na dole. Leżeli w rzędach, ramię przy ramieniu, lecz sąsiedztwo tak wielu cuchnących ciał było dla Hala czymś naturalnym i nawet ich chrapanie i pomruki nie przeszkadzały mu w śnie. Przysunął się trochę bliżej do Abolego. W ten właśnie sposób przesypiał każdą noc od dziesięciu lat; bliskość potężnej postaci dawała mu poczucie bezpieczeństwa.

- Twój ojciec jest wielkim wodzem wśród mniejszych wodzów - mruknął Aboli. - Jest wojownikiem i zna sekrety morza i nieba. Gwiazdy są jego dziećmi.

- To prawda - odparł Hal w tym samym języku.

- On kazał mi dzisiaj podnieść na ciebie miecz - wyznał Aboli. Hal podparł się na łokciu i zmierzył badawczym spojrzeniem swego towarzysza.

- Mój ojciec chciał, żebyś mnie ranił? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie jesteś taki jak inni chłopcy. Jeśli dzisiaj jest ci ciężko, pamiętaj, że jutro będzie jeszcze ciężej. Zostałeś wybrany. Któregoś dnia będziesz musiał przejąć z jego rąk ten wielki płaszcz z czerwonym krzyżem. Musisz być tego godzien.

Hal opadł z powrotem na siennik i wbił oczy w gwiazdy.

- A może tego w ogóle nie chcę? - zapytał.

- Taki już twój los. Nie masz wyboru. Rycerz zakonu wybiera rycerza, który będzie jego następcą. Tak było od prawie czterystu lat. Tylko śmierć może cię od tego wybawić.

Hal milczał tak długo, że Aboli myślał już, iż zasnął.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - zapytał w końcu.

- Od twojego ojca.

- Ty też jesteś rycerzem zakonu? Aboli cicho się roześmiał.

- Moja skóra jest zbyt ciemna i czczę obcych bogów. Nigdy nie zostanę wybrany.

- Boję się, Aboli.

- Wszyscy mężczyźni się boją. Ale ci, w których żyłach płynie krew wojownika, przezwyciężają strach.

- Nigdy mnie nie opuścisz, prawda, Aboli?

- Będę ci towarzyszył tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował.

- W takim razie już się nie boję.

Kilka godzin później Aboli dotknął ramienia Hala, budząc go z kamiennego snu.

- Ósmy dzwon nocnej wachty, Gundwane - szepnął, używając przezwiska, które w jego języku oznaczało leśnego szczura. W ustach Aboliego nie brzmiało pejoratywnie; nadał je czteroletniemu berbeciowi, gdy oddano mu go w opiekę przed kilkunastu laty.

Była czwarta rano. Za godzinę się rozjaśni. Hal wstał, przetarł oczy i ruszył chwiejnym krokiem do śmierdzącego wiadra na dziobie, żeby się wypróżnić. A potem, całkowicie przebudzony, pobiegł przez rozkołysany pokład, omijając ciała śpiących.

Kucharz rozpałił już ogień w kambuzie i podał mu cynowy kubek z zupą i twardego suchara. Chłopak był głodny jak wilk i wypił zupę, nie bacząc na to, że parzy go w język. Gryząc suchary, czuł wijące się między zębami włóki zbożowe.

Gdy szedł do grotmasztu, dostrzegł żarzącą się na mostku fajkę ojca i poczuł w czystym nocnym powietrzu mocny gryzący zapach jego tytoniu. Wspinając się po wantach zauważył, że podczas jego snu statek zmienił hals i postawiono nowe żagle.

Po wejściu na górę i zwolnieniu swego poprzednika wgramolił się do gniazda i rozejrzał dookoła. Księżyc zaszedł już i na niebie pozostały tylko gwiazdy. Znał każde nazwane przez astronomów ciało niebieskie, od potężnego Syriusza do maleńkiej Mintaki w lśniącym pasie Oriona. Były znakami nawigatora, drogowskazami na niebie i uczył się ich nazw razem z abecadłem. Jego oko spoczęło bezwiednie na Regulusie w gwiazdozbiore Lwa. Gwiazda ta nie należała do najjaśniejszych, lecz wybrał ją jako własną i czuł cichą satysfakcję, gdy pomyślał, że świeci wyłącznie dla niego. Była to najszczęśliwsza godzina długiej doby, jedyny moment, gdy mógł być sam na zatłoczonym statku, jedyny moment, gdy mógł patrzeć na gwiazdy i popuścić wodze wyobraźni.

Chłonał rzeczywistość wszystkimi zmysłami. Poprzez szum wiatru i skrzypienie lin słyszał głos ojca, który rozmawiał cicho ze sternikiem. Widział orli nos sir Francisa i zarys jego ściągniętych brwi, gdy zaciągał się dymem i jarzyła się główka fajki. Wydawało mu się, że ojciec nigdy nie śpi.

Czuł w powietrzu jod, świeży zapach wodorostów i soli. Jego nos był tak wrażliwy, oczyszczony przez długie miesiące spędzone na morzu, że czuł nawet niewyraźną woń łądu, ciepły spieczony aromat Afryki, przypominający zapach świeżo wyjętego z pieca suchara.

Wtem w nozdrza wpadł mu inny zapach, tak słaby, iż doszedł do wniosku, że mu się zdawało. Minutę później wiatr przyniósł go ponownie, słodki jak miód z pasieki. Nie potrafił rozpoznać tej woni i obracał głowę na wszystkie strony, pociągając nosem i czekając, aż znów ją poczuje.

Nagle zapach nadleciał ponownie, tak silny i wyraźny, że zakręciło mu się w głowie niczym pijakowi nad butelką brandy i musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć głośno z radości. Odurzony zapachem wgramolił się z bocianiego gniazda i zjechał po linie na dół. Wbiegł na mostek tak cicho, że ojciec wzdrygnął się, gdy dotknął jego ramienia.

- Dlaczego opuściłeś swoje stanowisko?

- Nie mogłem zawołać do ciebie z marsu... są zbyt blisko. Mogliby mnie usłyszeć.

- Co ty bełkoczesz, chłopcze?

- Nie czujesz tego, ojcze? - zapytał Hal, potrząsając jego ramieniem.

- Czego nie czuję? - zapytał sir Francis, wyjmując z ust cybuch fajki. - O co ci chodzi?

- Przyprawy! - odpowiedział Hal. - W powietrzu czuć woń przypraw.

Ned Tyler, Aboli i Hal rozbiegli się po pokładzie. Budzili tych, którzy zeszli z wachty, i uprzedzając, żeby zachowywali się cicho, kazali im zająć stanowiska bojowe. Nie było sygnału werbla, ale wszystkim udzielało się ich podniecenie. Długie czekanie dobiegło

wreszcie końca. Holender krył się gdzieś blisko, w mroku po nawietrznej. Czuli teraz zapach jego bajecznego ładunku.

Sir Francis zgasił świeczkę przy kompasie, żeby nie zdradziły ich żadne światła, i dał bosmanom klucze do skrzyń z bronią. Trzymano ją w zamknięciu aż do chwili, gdy na horyzoncie pojawiał się nieprzyjacielski żaglowiec; każdy kapitan obawiał się w głębi serca buntu na statku. Normalnie tylko podoficerowie nosili kordy.

Skrzynie pośpiesznie otwarto i rozdano broń, przekazując ją z ręki do ręki. Kordy były z dobrej sheffieldzkiej stali z prostymi drewnianymi rękojeściami. Mające po sześć stóp piki z angielskiego dębu zaopatrzone były w sześciokątne żelazne groty. Ci z załogi, którzy nie byli mistrzami fechtunku, wybierali te potężne drzewca lub topory, którymi można było odjąć człowiekowi głowę z ramion.

Muszkiety stały w prochowni. Wyniesiono je na zewnątrz i Hal pomógł kanonierom załadować ołowiane kule. Była to niezbyt celna broń, jej zasięg nie przekraczał dwudziestu, trzydziestu jardów. Po pociągnięciu za spust i mechanicznym przystawieniu lontu, wypalała w obłoku dymu, potem jednak trzeba ją było ponownie nabić. Operacja ta trwała od dwóch do trzech minut, podczas których muszkietier zdany był na łaskę wroga.

Hal wolał łuk, słynny angielski łuk, który zdziesiątkował zastępy francuskich rycerzy pod Agincourt. W czasie, którego wymagało nabicie muszkietu, mógł posłać tuzin strzał, niosących na odległość pięćdziesięciu jardów i trafiających przeciwnika w środek piersi z taką siłą, że przebijały napierśnik. Zostawił już wcześniej dwie wiązki strzał w bocianim gnieździe.

Sir Francis i kilku podoficerów włożyło półpancerze i stalowe hełmy, zardzewiałe od morskiej soli i poobijane w poprzednich potyczkach.

W ciągu kilku chwil przyszykowano do bitwy cały statek i uzbrojono załogę. Otwory działowe pozostawały jednak zamknięte i nie wysunięto kartaun. Ned i inni bosmani zagonili większość ludzi pod pokład. Reszta miała leżeć płasko, skryta za nadburciem. Nie zapalono ani jednego lontu; woń dymu mogła zaalarmować przeciwnika. Pod każdym masztem tlił się jednak węgiel w żelaznych koszach, a spod dział wybito kliny, używając do tego drewnianych młotków, żeby nie robić dużego hałasu.

Aboli precyzyjnie przesunął się między marynarzami do Hala stojącego przy maszcie. Na ogolonej głowie miał szkarłatny turban ze zwisającymi z tyłu końcami, za szarfą zatknięty kord, pod pachą zwiniętą jedwabną tkaninę.

- To od twego ojca - powiedział, rzucając materiał Halowi. - Wiesz chyba, co masz z tym zrobić? Ojciec powiedział, żebyś został na marsie bez względu na to, jak potoczy się walka. Rozumiesz?

Pociągnął chłopaka za koński ogon i pobiegł z powrotem na dziób. Hal pokazał mu język, ale wspiął się posłusznie po wantach.

Usadowiłszy się w bocianim gnieździe, przecesał wzrokiem mrok, na razie jednak nie było niczego widać. Ulotnił się nawet zapach przypraw. Przez chwilę obawiał się, że go sobie wyobraził.

To dlatego, że mamy go już po zawietrznej. Holender płynie teraz równoległe do nas, uspokajał się.

Przymocował do fału banderę, którą dał mu Aboli, gotów rozwinąć ją na rozkaz ojca. Następnie zdjął smołowane płótno z panewki falkonetu, sprawdził palcem cięciwę łuku i wsunął go do kosza tuż obok wiązki strzał długich na jard. Teraz pozostawało tylko czekać. Na statku zapadła nienaturalna cisza; dzwon nie odmierzał już upływających godzin i słychać było tylko cichy śpiew żagli i stłumiony świst akompaniujących im lin.

Dzień nastał z raptownością, do której zdążył się już przyzwyczać na tych szerokościach. Z mroku wynurzyła się jasna wieża płótna, lśniąca i szklista niczym pokryty lodem szczyt - potężny statek pod połyskującą masą żagli, z masztami tak wysokimi, że wydawały się sięgać ostatnich gasnących na niebie gwiazd.

- Statek z lewej burty! - zawołał Hal, ścisząc głos, żeby usłyszano go na pokładzie Lady Edwiny, lecz nie na galeonie, który pruł ciemne wody zaledwie milę od nich.

- Hej tam, na maszcie! Rozwinąć banderę! - doleciał go głos ojca.

Hal podciągnął fał i na wietrze załopotwały trzy kolory Republiki Holandii: pomarańczowy, śnieżnobiały i niebieski. Po chwili na bezanie i fokmaszcie pojawiły się inne bandery i proporce, wśród nich ozdobiona literami VOC flaga Verenigde Oostindische Compagnie, Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Bandery były autentyczne, sir Francis zdobył je zaledwie przed czterema miesiącami na Heerlycke Nacht. Prawdziwy był nawet proporzec Rady Siedemnastu. Kapitan galeonu nie powinien jeszcze wiedzieć o zdobyciu siostrzanego statku i w związku z tym podejrzewać obcej karaweli o wrogie zamiary.

Statki szły zbieżnymi kursami: mimo ciemności sir Francis trafnie przewidział miejsce, w którym dojdzie do spotkania. Nie musiał teraz zmieniać kursu i niepokoić holenderskiego kapitana. Po kilku minutach stało się jednak jasne, że Lady Edwina, nawet ze



swoim przeżartym przez robaki kadłubem, płynie szybciej od galeonu i wkrótce zacznie go wyprzedzać. Tego musieli za wszelką cenę uniknąć.

Sir Francis przyjrzał się Holendrowi przez teleskop i od razu dostrzegł, dlaczego posuwa się tak opieszale; złamany grot zastąpiono prowizorycznym masztem, ślady uszkodzeń nosiły także inne maszty i ożaglowanie. Domyślał się, że na Oceanie Indyjskim galeon musiał trafić na potężny sztorm - to tłumaczyło także, dlaczego tak późno pojawił się na wysokości przylądka Agulhas. Wiedział, że skracając żagle, zaalarmuje Holendra, ale musiał minąć go za rufą. Był do tego przygotowany: dał znak cieśli stojącemu przy burcie, a ten natychmiast podniósł wraz ze swym towarzyszem wielką płócienną dryfkotwę i zrzucił ją do morza. Lady Edwina przyhamowała, niczym szarpnięty wędzidłem rumak. Sir Francis ponownie ocenił szybkość obu żaglowców i pokiwał głową z satysfakcją.

A potem zlustrował wzrokiem swój własny statek. Większość ludzi schowała się na dole albo leżała za nadburciem, niewidoczna nawet z masztów galeonu. Nigdzie nie widać było broni, baterie kryły się za zasłonami otworów działowych. Karawela, zanim zdobył ją sir Francis, była holenderskim statkiem niewolniczym i żeglowała wzdłuż wschodnich wybrzeży Afryki. Przerabiając ją na okręt kaperski, starał się, jak mógł, zachować jej niewinny wygląd i prozaiczne linie. Na pokładzie i wantach widać było tylko kilkunastu ludzi - normalna liczba marynarzy na powolnym frachtowcu.

Kiedy podniósł ponownie wzrok, na masztach galeonu załopotwały bandery Republiki i Kompanii. Z niewielkim opóźnieniem Holender odpowiadał na jego salut.

- Nabraliśmy ich - mruknął Ned, trzymając Lady Edwinę równo na kursie. - Spodobała im się nasza owcza skóra.

- Być może - odparł sir Francis. - Lecz mimo to stawiają więcej żagli. - Na ich oczach nad galeonem zabłyśły w porannym słońcu bombram i bramżagle. - No tak! - krzyknął po chwili. - Zmienia kurs, chce dać nogę. Holender dmucha na zimne.

- Na zęby szatana! Cóż to za słodki zapach - szepnął sam do siebie Ned, gdy powietrze wypełniła woń przypraw. - Słodki jak dziewica i dwa razy od niej piękniejszy.

- To najbogatszy zapach, jaki kiedykolwiek mieliście w nozdrzach - stwierdził sir Francis wystarczająco głośno, by usłyszeli go ludzie pod pokładem. - Jeśli spiszecie się dzielnie, na każdego przypadnie pięćdziesiąt funtów ze zdobytego łupu.

Żeby zarobić pięćdziesiąt funtów, robotnik w Anglii musiał pracować przez dziesięć lat, toteż stłoczeni na dole ludzie zamruczeli niczym trzymane na smyczy myśliwskie psy.

Sir Francis podszedł do relingu i zadarł głowę w górę.



- Przekonajcie tych serojadów, że jesteśmy ich braćmi - zawołał cicho do marynarzy na wantach. - Pozdrówcie ich z całego serca.

Ludzie zawyli radośnie i zaczęli wymachiwać czapkami, gdy Lady Edwina przeszła pod rufą wysokiego galeonu.

Kalinka van de Velde usiadła na łóżku i zmierzyła surowym spojrzeniem swoją starą piastunkę Zeldę.

- Dlaczego mnie tak wcześnie obudziłaś? - zapytała z pretensją, odgarniając do tyłu falę złotych loków. Nawet świeżo wyrwana ze snu miała anielską różaną cerę. Fioletowe oczy przypominały barwą połyskujące skrzydła tropikalnego motyla.

- W pobliżu płynie inny statek. Inny statek Kompanii. Pierwszy, jaki pojawił się na horyzoncie od czasu tego strasznego sztormu. Myślałam już, że na całym świecie nie ocalała ani jedna chrześcijańska dusza - jęknęła Zeldę. - Stale skarżysz się, pani, na nudę. Może to cię trochę rozbawi.

Zeldę była wymizerowana i blada. Jej niegdyś puciołowate i gładkie policzki zapadły się. Po wielkim brzuchu zostały tylko luźne fałdy, które zwisały prawie do kolan. Kalinka widziała je przez cieką tkaninę nocnej koszuli.

Wyrzygała za burtę cały swój łuszcz i pół ciała, pomyślała z niesmakiem. Siara Zeldę wyjątkowo źle znosiła cyklony, które nękały Standvastigheid, odkąd opuścili wybrzeże Trincomalee.

Odrzuciła na bok satynową kołdrę i wystawiła długie nogi z połączanego łoża. Kabinę odnowiono i umeblowano specjalnie dla niej, córki prezesa wszechwładnej Zevenlien, którą tworzyło siedemnastu dyrektorów Kompanii. Wnętrze wypełniały złocenia, atlasowe obicia, jedwabne poduszki i srebrne puchary. Na ścianie naprzeciwko łożka wisiał jej portfel pędzla modnego amsterdamskiego malarza, Pietera van Hoogha, otrzymany w prezencie ślubnym od kochającego ojca. Artysta uchwycił jej zalotne spojrzenie w chwili, gdy odwracała głowę. Musiał długo szukać odpowiedniej farby, aby oddać cudowny kolor jej oczu... oraz ich wyraz, jednocześnie niewinny i lubieżny.

- Nie budź mojego męża - ostrzegła Zeldę, po czym zarzuciła na ramiona wyszywany złotem brokatowy szal i zawiązała wysadzany kamieniami pas.

Zeldę spuściła posłusznie oczy, godząc się na udział w spisku. Gubernator spał w mniejszej, nie lak wspaniale urządzonej kabinie, zamkniętej od jej strony. Kalinka wymogła to na nim, tłumacząc, że potwornie chrapie, a ona cierpi na chorobę morską. W rzeczywistości, po spędzeniu kilku tygodni w ciasnej kajucie, była znudzona i rozdrażniona. Rozsadzała ją młodzieńcza energia i żądze, których ten tłusty starzec nie był w stanie spełnić.

Wzięła Zeldę za rękę i wyszła z nią na wąski pomost na rufie, stanowiący coś w rodzaju prywatnego balkonu ukrytego przed wulgarnymi oczyma załogi. Widać stąd było kilwater statku.

Słoneczny ranek olśnił ją swoją magią. Nabierając w płuca słonego morskiego powietrza, czuła, jak wszystkie jej nerwy i mięśnie drżą z podniecenia. Wiatr porывał kremową pianę ze szczytów fal, bawił się jej złotymi lokami i szarpiąc jedwab na piersiach i brzuchu, pieścił ją delikatnymi palcami kochanka. Katinka przeciągnęła się niczym kotka i wygięła plecy w łuk.

Po chwili zobaczyła drugi statek. Był o wiele mniejszy od galeonu, ale miał miłą linię kadłuba. Powiewające na masztach piękne flagi i bandery kontrastowały z piramidą białych żagli. Znajdowali się dość blisko, by dostrzegła na wantach kilku majtków. Wymachiwali rękoma i widziała, że niektórzy byli młodzi i ubrani tylko w krótkie spodnie.

Opierając się o reling, pożerała ich wzrokiem. Jej mąż zakazał załodze paradować w niekompletnym stroju, gdy wychodziła na pokład, i ci obcy marynarze zafascynowali ją. Skrzyżowała ręce na piersiach i ścisnęła je, czując, jak powiększają się i twardnieją sutki. Potrzebowała mężczyzny. Pragnęła mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny, byle tylko był jurny i młody i za nią szalał. Takiego jak ci, z którymi spotykała się w Amsterdamie, nim ojciec odkrył jej upodobania do silnych wrażeń i wysłał ją do Indii, wydając za starego męża, który dochrapał się w Kompanii wysokiego stanowiska. Wybrał Petrusa Jacobusa van de Veldego, który po małżeństwie z Kalinką miał objąć pierwsze wakujące miejsce w radzie Kompanii, dołączając do panteonu Zeventien.

- Wróć do środka, Lieveling - zaskrzeczała Zeldą, pociągając ją za rękaw. - Ci prostacy się na ciebie gapią.

Katinka odtrąciła rękę Zeldy, ale stara mówiła prawdę. Marynarze na wantach zorientowali się, że jest kobietą. Nawet z tej odległości ich podniecenie było niemal namacalne; błazeństwa stały się wulgarnie, a jeden z obdartusów na dziobie złapał się oburącz za krocze i zaczął wysuwać ku niej biodra w rytmicznym obscenicznym geście.

- To oburzające! Wróć do środka! - nalegała Zeldą. - Gubernator będzie wściekły, jeśli zobaczy, co wyprawia to zwierzę.

- Powinien być wściekły, że nie potrafi tego tak dobrze robić - odparła anielskim tonem Katinka, zaciskając uda, by móc rozkoszować się nagłym wilgotnym ciepłem, które poczuła między nimi. Karawela była teraz o wiele bliżej i widziała, że to, co oferował jej marynarz, nie mieściło się w jego dłoniach. Czubek jej różowego języka dotknął wydatnych warg.

- Proszę cię, pani.

- Za chwilę - mruknęła Katinka. - Miałaś rację, Zeldo. To mnie rozbawiło. - Podniosła białą rękę i pomachała w stronę drugiego statku. Mężczyzna natychmiast podwoił swe wysiłki, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

- To takie nieprzyzwoite - jęknęła Zelda.

- Ale zabawne. Nigdy więcej nie zobaczymy już tych ludzi, a bycie bez przerwy przyzwoitym jest takie nudne.

Wychyliła się jeszcze bardziej na zewnątrz i pozwoliła, by rozchyliły się poły jej nocnej koszuli. W tym samym momencie rozległo się głośne pukanie w drzwi od strony kabiny jej męża. Nie dając się dłużej prosić, Katinka uciekła z pomostu i wskoczyła z powrotem do łóżka. Podciągnęła pod brodę satynową kołdrę i dopiero wtedy dała znak Zeldzie, która podniosła ciężką zasuwę i niezgrabnie dygnęła przed gubernatorem. Ten zignorował ją i zasłaniając połami szlafroka opasy bruch podreptał do łóżka, na którym leżała Katinka. Na głowie sterczało mu kilka siwych włosów.

- Czy czujesz się dość dobrze, by wstać, moja droga? Kapitan przesłał mi wiadomość. Chce, żebyśmy się ubrali i byli w pogotowiu. W pobliżu pojawił się obcy statek i zachowuje się w podejrzany sposób.

Katinka stłumiła uśmiech, który wywołała w niej myśl o podejrzanym zachowaniu obcych żeglarzy.

- Głowa mi pęka, a żołądek podchodzi do gardła... - poskarżyła się z żalną miną.

- Moje ty biedactwo.

Petrus van de Velde, gubernator elekt Przylądka Dobrej Nadziei, pochylił się nad żoną. Choć ranek był chłodny, miał spoconą twarz i cuchnął wczorajszą kolacją: jawajską rybą w sosie curry, czosnkiem i kwaśnym rumem.

Żołądek rzeczywiście podszedł jej teraz do gardła, ale nadstawiła posłusznie policzek.

- Jeśli taki jest rozkaz kapitana - szepnęła - może będę miała siły wstać.

Zelda podbiegła do łóżka i pomogła jej usiąść, a potem stanąć na nogi. Podtrzymując swoją panią, zaprowadziła ją za niewielki chiński parawan stojący w kącie kabiny. Petrus usiadł na ławie naprzeciwko, ale chociaż wykręcał głowę, jak tylko mógł, przez pomalowane jedwabne ścianki widać było jedynie niewyraźne białe plamy.

- Jak długo jeszcze potrwa ta okropna podróż? - jęknęła Katinka.

- Kapitan zapewnił mnie, że jeśli utrzyma się ten wiatr, za dziesięć dni powinniśmy zarzucić kotwicę w Zatoce Stołowej.

- Boże, daj mi siły, żebym tego dożyła.

- Chciał, byśmy dziś wieczorem zjedli kolację razem z nim i jego oficerami. Będę musiał go zawiadomić, że jesteś niedysponowana. Katinka wystawiła głowę i ramiona zza parawanu.

- Nie waż się tego robić! - warknęła. Jej okrągłe gładkie piersi drżały z przejęcia.

Jeden z oficerów interesował ją bardziej niż inni. Pułkownik Cornelius Schreuder, podobnie jak jej mąż, jechał objąć stanowisko na Przylądku Dobrej Nadziei. Został mianowany komendantem wojskowym kolonii, w której Petrus van de Velde obejmował funkcję gubernatora. Miał kształtne nogi, spiczaste wąsiki oraz modną bródkę w stylu van Dycka i kłaniał się jej wdzięcznie za każdym razem, kiedy pojawiała się na pokładzie. W jego ciemnych oczach, gdy na nią spoglądał, płonął ogień, od którego dostawała gęsiej skórki. Widziała w nich coś więcej niż tylko szacunek dla jej towarzyskiej pozycji, a on odpowiadał nader śmiało na zachęcające spojrzenia, które rzucała mu spod spuszczonej powiek.

Kiedy dotrą do kolonii, będzie podwładnym jej męża. Ona też będzie mogła mu rozkazywać, co z pewnością urozmaici monotonną egzystencję w tej zapomnianej przez Boga osadzie na końcu świata, do której ją zesłano i która miała stać się jej domem w ciągu następnych trzech lat.

- Nie żartuję - powiedziała, zmieniając szybko ton. - Byłoby przecież nieelegancko odmówić kapitanowi.

- Twoje zdrowie jest ważniejsze - zaprotestował.

- Znajdę siły.

Zelda włożyła jej kolejno przez głowę pięć obszytych wstążkami halek. Katinka wyszła zza parawanu i podniosła ramiona. Piastunka wsunęła na nie błękitną jedwabną suknię, ściągnęła ją w dół, a następnie uklękła i zgodnie z najnowszą modą uniosła jej skraj, odsłaniając halkę i szczupłe kostki w białych jedwabnych pończochach. Gubernator nie odrywał od nich oczu. Szkoda, że inne części twego ciała nie są tak duże i aktywne jak te wytrzeszczone gały, pomyślała z pogardą Katinka, stając przed wielkim lustrem i wykręcając przed nim pirueta.

I właśnie wtedy dokładnie nad ich głowami rozległ się ogłuszający huk dział. Katinka pisnęła przeraźliwie i przycisnęła ręce do piersi, a gubernator zaryczał jak zarzynany wieprz i spadł z ławy na orientalny dywan.

Standvastigheid! - Sir Francis odczytał przez teleskop nazwę statku, umieszczoną na wysokiej pozłacanej rufie. - Determinacja. - Odjął od oczu instrument i odchrząknął. - Nazwa, którą wkrótce poddamy próbie.

Kiedy to mówił, z górnego pokładu galeonu bluznęła długa smuga dymu i kilka sekund później dobiegł ich huk strzału. Ciężka kula wpadła do morza pół kabla przed ich dziobem, wzbijając wysoką białą fontannę. Słyszeli wzywający na stanowiska werbel i trzask otwieranych na dolnym pokładzie otworów działowych. Po chwili wyłoniły się z nich długie lufy.

- Zachodzę w głowę, dlaczego tak długo zwlekali ze strzałem ostrzegawczym - mruknął sir Francis. Złożył teleskop i spojrzał na żagle karaweli. - Ustaw statek dokładnie za ich rufą, mistrzu Nedzie.

Fałszywa bandera dała im czas niezbędny na zejście z pola strzału morderczych baterii. Sir Francis odwrócił się do cieśli, który stał przy relingu z toporem w ręku.

- Przetnij linę! - rozkazał.

Cieśla podniósł topór i opuścił go w dół. Ostrze wgrzyzło się z trzaskiem w drewniany reling na rufie, przecinając linę dryfkotwy. Uwolniona Lady Edwina skoczyła do przodu, a potem przechyliła się ściągnięta sterem.

Steward Oliver przybiegł z rycerskim płaszczem i kapeluszem z piórami, które sir Francis szybko włożył.

- Precz z banderą Republiki - zawołał kapitan, zadzierając głowę. - Pokażmy im godło Anglii.

Załoga ryknęła dziko, kiedy na wietrze załopotąła flaga Unii.

Wyroili się z dolnego pokładu niczym mrówki z rozgrzebanego kopca, obrzucając wyzwiskami potężny, górujący nad nimi galeon. Na pokładzie i wantach Standvastigheid trwała gorączkowa aktywność.

Działa galeonu obrócono dookoła, lecz tylko nieliczne były w stanie dosięgnąć karaweli, która fruwała w podmuchach wiatru, zasłonięta przez wysoką rufę Holendra.

Nierówna salwa targnęła powietrzem, większość pocisków wpadła jednak do wody setki jardów od Lady Edwiny lub przeleciała wyjąc nieszkodliwie nad ich głowami. Hala pochylił się, gdy podmuch przelatującej kuli zerwał mu czapkę z głowy i posłał ją łagodnym lotem na fale. Sześć stóp wyżej w żaglu pojawiła się elegancka okrągła dziura. Chłopak odgarnął z twarzy długie włosy i zerknął na pokład galeonu.

Mała grupka holenderskich oficerów miotła się bezładnie po kasztelu. Kilku było bez kurtek, a jeden wpychał do bryczesów poły nocnej koszuli, wspinając się po trapie.

Uwagę Hala zwrócił wysoki mężczyzna w stalowym hełmie, z bródką w stylu van Dycka. Zbierał on muszkieterów na przednim pokładzie. Na ramieniu miał szarfę pułkownika

i sądząc ze sposobu, w jaki wydawał polecenia, oraz skwapliwości, z jaką wykonywali je jego ludzie, mógł okazać się niebezpiecznym przeciwnikiem.

Żołnierze pobiegli na jego rozkaz ku rufie, każdy uzbrojony w niewielki lecz morderczy muszkiet, przeznaczony do walki z wrogą załogą. Na rufie galeonu znajdowały się specjalne otwory, w które wtykano forkiety, żelazne podpórki zwieńczone widełkami. Dzięki temu broń można było obracać i celować z niej w pokład płynącego obok statku. Kiedy zdobywali Heerlycke Nacht, Hal widział, jakie spustoszenie potrafi sprawić taki muszkiet z bliskiej odległości. W tej chwili stanowił dla nich większe zagrożenie niż wszystkie razem armaty galeonu.

Obrócił falkonet i rozniecił trzymany w dłoni lont. Żeby dostać się na rufę, holenderscy muszkietrzy musieli wdrapać się jeden po drugim na kasztel. Przestrzeń między dwoma statkami szybko się zmniejszała. Hal wymierzył w górę schodków. Holenderski pułkownik wspinał się pierwszy, trzymając w dłoni szpadę. Jego pozłacany hełm połyskiwał dzielnie w słońcu. Hal pozwolił mu wejść i czekał, aż pojawią się jego podkomendni.

Pierwszy muszkietier potknął się u szczytu schodków i rozłożył jak długi na nadbudówce, wypuszczając z ręki broń. Następni tłoczyli się za nim, nie mogąc iść dalej, póki nie podniesie się na nogi. Hal wziął na cel grupkę mężczyzn i przytknął płonący lont do panewki. Falkonet zagrział i odskoczył do tyłu. Kiedy rozwiął się dym, Hal zobaczył, że trafił pięciu muszkietierów. Trzech wybuch rozerwał na strzępy, dwóch krzychało przeraźliwie, plamiąc krwią białe deski pokładu.

Ze zdławionym gardłem przyglądał się rzezi. Nigdy jeszcze nie zabił człowieka i czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. To nie było to samo co roztrzaskanie pustej beczki. Przez chwilę obawiał się, że wymiotuje.

Stojący na rufie holenderski pułkownik spojrzał na niego, podniósł w górę szpadę i krzyknął coś, lecz wiatr i nieustanny huk dział zagłuszyły jego słowa. Hal wiedział, że ma teraz w jego osobie śmiertelnego wroga.

Ta świadomość uspokoiła go. Nie było czasu na ładowanie falkonetu, spełnił już swą funkcję. Wiedział, że tym jednym strzałem ocalił życie wielu swoich współtowarzyszy. Zgładził holenderskich żołnierzy, nim zdolali skierować morderczy ogień na atakujących Anglików. Powinien być z tego dumny, ale nie był. Bał się holenderskiego pułkownika.

Sięgnął po swój łuk. Musiał się wyprostować, żeby go dobrze napiąć. Pierwszą strzałę przeznaczył dla pułkownika. Naciągnął do końca cięciwę, ale Holender już na niego nie patrzył; odwrócony plecami dawał rozkazy ocalałym muszkietierom, którzy zajmowali stanowiska na rufie galeonu.



Hal przesunął się o kilka cali, poddając się ruchowi statku, a potem wypuścił strzałę i patrzył, jak leci, obracając się na wietrze. Przez moment wydawało mu się, że trafi w szerokie plecy pułkownika, lecz nagły podmuch zmienił jej lot. Chybiwszy o szerokość dłoni, trafiła w deskę pokładu i zadrzała w powietrzu.

Holender spojrział na niego spode łba, krzywiąc z gniewu spiczaste wąsy, nie próbował się jednak w ogóle ukryć. Zamiast tego odwrócił się z powrotem do swych ludzi.

Chłopak sięgnął gorączkowo po kolejną strzałę, lecz w tym momencie dwa statki zderzyły się ze sobą i o mało nie wyleciał z bocianiego gniazda.

Wszystko zagłuszył zgrzyt i chrobot gruchotanego drewna. Szyby okien na rufie galeonu wyleciały z futryn. Hal zobaczył na dziobie karaweli Abolego. Czarny olbrzym zakręcił powoli nad głową hakiem do abordażu, który pomknął do przodu, ciągnąc za sobą długą linę.

Żelazny hak spadł na deski kasztelu i zaczął się po nich ślizgać, a potem, kiedy Aboli szarpnął go z powrotem, zaczepił o reling rufy. Jeden z holenderskich marynarzy podbiegł z uniesionym toporem, żeby go odciąć. Hal przysunął brzechwę do górnej wargi i puścił cięciwę. Tym razem doskonale ocenił siłę wiatru i grot utkwił w szyi mężczyzny, który puścił topór, chwycił za drzewce strzały, zatoczył się i padł na pokład.

Aboli złapał następny hak i zarzucił go wysoko na rufę galeonu. W ślad za nim pomknęły inne, ciskane przez bosmanów. Po kilku chwilach dwa statki połączyła pajęczna sieć konopnych lin, zbyt gęsta, by mogli ją przeciąć broniący galeonu marynarze, mimo że uwijali się wzdłuż burty z kordami i siekierami.

Lady Edwina nie oddała jeszcze salwy z kolubryn. Sir Francis czekał z tym na dogodny moment. Armatnie kule nie były w stanie poważnie naruszyć drewnianej konstrukcji galeonu, on zaś miał zamiar śmiertelnie ranić swej zdobyczy. Teraz, gdy dwa statki zwały się ze sobą, nadeszła odpowiednia pora.

- Kanonierzy! - Sir Francis uniósł szpadę, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. Stali przy swoich działach, nie spuszczać go z oczu i trzymając w rękach dymiące lonty. - Pal! - ryknął, opuszczając w dół szpadę.

Bateria kolubryn zagrzmiiała jednym piekielnym chórem. Lufy dział przylegały niemal do rufy galeonu i rzeźbione belki kasztelu zniknęły w obłoku dymu, białych drzazg i fruwających w powietrzu okruchów szkła.

To stanowiło sygnał do ataku. Żadnego rozkazu nie usłyszano by w zgiełku, żadnego gestu nie zobaczono w gęstych kłębach dymu, który spowijał złączone statki. Natychmiast po

salwie zabrzmiał wydobywający się z wielu gardeł bojowy okrzyk i załoga Lady Edwiny zalała pokład galeonu.

Niczym wdzierające się do królikami łasice nacierali przez galeryjkę na rufie, wspinając się z małpią zręcznością na kasztel, zasłonięci przed holenderskimi muszkietierami kłębamii gęstego dymu. Inni skakali na pokład galeonu prosto z rej Lady Edwiny.

- Franky i święty Jerzy!

Ich bojowe okrzyki docierały do Hala tkwiącego w bocianim gnieździe. Holenderscy muszkietrzy zdołali położyć zaledwie trzech albo czterech marynarzy Lady Edwiny i zaraz padli pod ciosami atakujących. Druga linia Anglików wdarła się na rufę, nie napotykając żadnego oporu. Hal widział swojego ojca, poruszającego się z szybkością i zręcznością znacznie młodszego mężczyzny.

Aboli pochylił się, żeby pomóc mu przedostać się przez reling galeonu i obaj padli obok siebie - wysoki Murzyn w szkarłatnym turbanie i kapitan w kapeluszu z piórami i rycerskim płaszczu zarzuconym na sfatygowaną stal półpancerza.

- Franky i święty Jerzy! - zawyli ludzie, ruszając w ślad za swym dowódcą i wymiatając przeciwnika z nadbudówki ostrą bręczącą stalą.

Holenderski pułkownik usiłował zmobilizować kilku niedobitków, ale odparto ich i zepchnięto po trapach na śródpokład. Aboli i sir Francis zbiegli na dół. Tłoczący się za nimi Anglicy wrzeszczeli niczym stado psów idące tropem lisa.

Tutaj napotkali poważniejszy opór. Kapitan galeonu sformował swoich ludzi przy grotmaszcie. Muszkietrzy oddali salwę z bliskiej odległości i zaatakowali napastników gołą stalą. Wkrótce na pokładzie galeonu kłębiła się gęsta masa walczących.

Chociaż Hal załadował ponownie falkonet, nie potrafił dla niego znaleźć odpowiedniego celu. Przyjacieli i wróg tak zwarli się ze sobą, że mógł tylko bezradnie patrzeć, jak linia walki przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę na otwartym pokładzie.

Po kilku minutach stało się jasne, że załoga Lady Edwiny nie dorównuje liczebnie przeciwnikowi. Nie mieli żadnych rezerw - sir Francis zostawił na karaweli wyłącznie Hala. Posłał do walki wszystkich ludzi, licząc na element zaskoczenia i powodzenie pierwszego ataku. Dwudziestu czterech marynarzy znajdowało się daleko na pokładzie dwóch barek i nie mogło wziąć udziału w boju. Bardzo ich teraz brakowało, ale spoglądając na dwie małe łodzie, Hal stwierdził, że są o kilka mil od dwóch statków. Na obu postawiono gafle, lecz posuwały się w ślimaczym tempie, walcząc z południowo-wschodnim wiatrem i wielkimi falami. Walka miała się rozstrzygnąć, zanim dotrą do Lady Edwiny i przyjdą im z pomocą.

Hal zerknął z powrotem na pokład galeonu i z konsternacją stwierdził, że szala zwycięstwa przechyla się na korzyść Holendrów. Jego ojca i Abolego odpierano z powrotem w stronę rufy. Kontratakiem dowodził wysoki pułkownik, rycząc jak ranny tur i porywając Holendrów swoim przykładem.

Od tylnych szeregów atakujących oderwała się mała grupka ludzi, którzy dotychczas nie brali udziału w walce. Prowadził ich chytry jak łasica Sam Bowles, samozwańczy rzecznik załogi, cwaniak o niewyparzonemu języku. Jego talenty przejawiały się najczęściej podczas kłótni przy podziale łupów i wtedy, kiedy siał niezgodę i niezadowolenie wśród swych towarzyszy.

Razem z czterema innymi tchórzami wdrapał się na rufę galeonu i zeskoczył z niej na pokład Lady Edwiny.

Złączone ze sobą statki obróciły się ociężale na wietrze i teraz to Lady Edwina napinała liny, które trzymały je razem. Pięciu przerażonych dezertersów dopadło ich z kordami i toporami. Sznury ustąpiły z trzaskiem, który dotarł wyraźnie do uszu Hala sterczącego w bocianim gnieździe.

- Zostawcie te liny! - wrzasnął w dół, lecz żaden nie uniósł nawet głowy. - Ojczcie! - zawołał w stronę drugiego okrętu. - Wracajcie! Zaraz odpłyniemy! Wracajcie!

Jego głos utonął w bitewnym zgiełku. Sir Francis walczył jednocześnie z trzema Holendrami i nie mógł ani na chwilę odwrócić od nich uwagi. Hal zobaczył, jak przyjmuje cięcie na szpadę, a potem ripostuje z błyskiem stali. Jeden z jego przeciwników zatoczył się do tyłu, łapiąc się za rękaw, który nagle poczerwieniał od krwi.

W tym momencie zdrajcy przecięli ostatnią linę łączącą oba statki. Lady Edwina była wolna. Jej dziób obrócił się, żagle wypełnił wiatr i karawela oderwała się od galeonu, który dryfował niezgrabnie rufą do przodu, z trzepoczącymi bezradnie żaglami.

Hal zjechał na dół, nie zwracając uwagi na to, że liny ścierają mu skórę z dłoni, i huknął stopami o pokład tak mocno, aż zadzwoniły mu zęby. Przewrócił się i poturlał po deskach, ale po sekundzie był już na nogach i rozglądał się desperacko dookoła. Galeon znajdował się w odległości kabla od Lady Edwiny, odgłosy walki cichły na wietrze. Hal zerknął na rufę i zobaczył skradającego się do steru Sama Bowlesa.

Na śródokręciu leżał marynarz zabity przez holenderskiego muszkietera, a obok jego muszkiet, wciąż załadowany, z dymiącym i iskrzącym lontem. Hal złapał go i popędził, żeby przeciąć drogę Samowi Bowlesowi.

Dotarł do steru kilka sekund wcześniej i odwrócił się, celując z muszkietu prosto w jego brzuch.

- Cofnij się, podła świnio! Cofnij się albo wypruję z ciebie flaki!

Sam zatrzymał się. Czterej pozostali kulili się za nim, łypiąc na Hala z twarzami pobladłymi ze strachu.

- Nie możecie tak zostawić swoich współtowarzyszy! Wracamy! - zawołał, grożąc im muszkietem.

W jego zielonych oczach płonął dziki gniew, a także obawa o ojca i Abolego. Dym z tłącego się lontu wirował nad jego głową. Palec wskazujący miał zaciśnięty na cynglu. Spojrzawszy w te oczy, dezertrzy nie mieli wątpliwości, że nie żartuje, i zbiegli na dół, na śródkręcie.

Hal złapał za ster. Deski pokładu zadrżały pod jego stopami, kiedy statek poddał się jego woli. Spojrzał ponownie na galeon i zamarło w nim serce. Zdał sobie sprawę, że z tymi żaglami nie zdoła poprowadzić Lady Edwiny pod wiatr: oddalali się od miejsca, w którym ojciec i Aboli walczyli o życie. Bowles i jego kompani domyślili się, co go trapi.

- Nikt nigdzie nie wróci i nic na to nie poradzisz, młody paniczu Henry - zarechotał z triumfem Sam. - Żeby popłynąć po swego tatę, będziesz musiał zmienić kurs, a żaden z nas nie wejdzie dla ciebie na wanty. Dobrze mówię, chłopcy? Mamy cię w saku!

Hal rozejrzał się bezradnie dookoła. A potem zacisnął nagle z determinacją zęby. Widząc zmianę na twarzy chłopaka, Sam pobiegł za jego wzrokiem i szczęka opadła mu ze zdumienia. Zaledwie pół mili od statku sunęła ku nim barka wypełniona uzbrojonymi marynarzami.

- Dalej na niego, chłopcy! - zachęcał swych kompanów Bowles. - Ma tylko jedną kulę w muszkiecie. Potem będzie nasz!

- Jedną kulę i mój wierny kord! - ryknął Hal, klepiąc się po rękojeści. - Zabiorę ze sobą was dwóch i całą chwałę na dodatek.

- Wszyscy razem! - pisnął Sam. - Nie zdąży nawet wysunąć ostrza z pochwy!

- Bardzo dobrze - odkrzyknął Hal. - Chodźcie! Z radością wypruję z was tchórzliwe flaki!

Wszyscy widzieli tego młodego żbika podczas lekcji fechtunku, widzieli, jak pokonał Abolego, i żaden nie kwapił się stawić mu czoło. Szurając nogami pomrukiwali, łapali się za kordy i odwracali wzrok.

- Podejdz bliżej, Samie Bowles - wyzywał Hal ich prowodyra. - Bardzo szybko dałeś drapak z galeonu. Zobaczmy, czy równie szybko uda ci się mnie pokonać.

Zebrawszy całą swą odwagę, Sam skoczył z ponurą miną na chłopaka, kiedy jednak Hal podniósł lufę muszkietu, celując prosto w jego brzuch, szybko zrejterował i próbował wypchnąć do przodu jednego ze swych kompanów.

- Dołóż mu, chłopie - zaskrzeczał.

Hal skierował lufę muszkietu w twarz mężczyzny, który wyrwał się Samowi i schował za swoim sąsiadem.

Barka była teraz całkiem blisko; słyszeli głośne okrzyki siedzących w niej żeglarzy. Na twarzy Sama ukazało się przerażenie i nagle rzucił się do ucieczki. Niczym wystraszony królik zbiegł pod pokład, a jego czterej ogarnięci paniką towarzysze popędzili w ślad za nim.

Hal rzucił muszkiet i chwycił ster obu rękoma. Przez chwilę patrzył na prujący fale dziób, czekając na właściwy moment, a potem oparł się całym ciężarem o uchwyt koła sterowego i wykręcił statek pod wiatr.

Lady Edwina zatrzymała się posłusznie w miejscu. Barka była tuż-tuż; Hal widział na dziobie Dużego Daniela Fishera, jednego z ich najlepszych bosmanów. Daniel wykorzystał okazję i ustawił małą łódź równoległe do statku. Jego podkomendni chwycili za liny, które przecinał Sam ze swymi współnikami, i wdrapali się szybko na pokład.

- Danielu! - krzyknął do niego Hal. - Mam zamiar zawrócić! Przygotuj się do obrócenia rej. Wracamy dać im łupnia!

Duży Daniel pokazał mu w uśmiechu swoje poszczerbione jak u rekina zęby i poprowadził swoich marynarzy do brasów. Dwunastu ludzi, świeżych i rwących się do walki, pomyślał z radością Hal, szykując się do wykonania niebezpiecznego manewru. Wiedział, że jeśli źle oceni siłę i kierunek wiatru, Lady Edwina straci maszt, lecz jeśli uda mu się zawrócić przez rufę zamiast przez dziób, zaoszczędzi kilka cennych minut i dotrze wcześniej do galeonu.

Ustawił rumpel ostro na zawietrzną. Statek zadygotał pod podmuchami wiejącego od rufy wiatru, ale w tej samej chwili Daniel i jego ludzie skończyli brasowanie rej. Żagle wyduły się z łoskotem i Lady Edwina zmieniła hals, ruszając z powrotem do boju.

Daniel podniósł w górę czapkę i wszyscy zgotowali Halowi głośną owację, ponieważ manewr wykonany był odważnie i umiejętnie. Chłopak nawet na nich nie spojrzał, starając się płynąć jak najostrzej pod wiatr i kierując statek ku dryfującemu Holendrowi. Na jego pokładzie wciąż musiała toczyć się walka, słyszał bowiem niewyraźne okrzyki i co jakiś czas wystrzał z muszkietu. A potem po zawietrznej błysnęła biała plama i zobaczył przed sobą żagiel drugiej barki, której załoga wymachiwała energicznie rękoma, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Kolejny tuzin dzielnych ludzi, którzy mogli ich wspomóc. Czy warto było tracić

kilka chwil, żeby zabrać ich na pokład? Dwanaście następnych ostrych kordów? Hal skręcił lekko, kierując się w stronę małej łodzi.

Daniel trzymał już w pogotowiu linę i po kilku sekundach marynarze wspięli się na pokład, a drugą barkę wzięto na hol.

- Każ się przymknąć swoim ludziom, Danielu! - zawołał Hal. - Nie ma sensu ostrzegać serojadów, że wracamy.

- Racja, paniczu Henry. Zrobimy im małą niespodziankę.

- Zamknijcie luki dolnego pokładu! Mamy na dole kilku wszarży i zdrajców, którzy skryli się w ładowni. Niech posiedzą tam sobie do czasu, kiedy będzie mógł się nimi zająć sir Francis.

Lady Edwina podpłynęła cicho do lewej burty galeonu. Być może Holendrzy byli zbyt zajęci, żeby zobaczyć, jak zbliża się na skróconych żaglach, ale niczyja głowa nie wychyliła się zza relingu, kiedy dwa kadłuby starły się ze sobą z głośnym zgrzytem. Daniel i jego ludzie zarzucili na reling galeonu haki z linami i natychmiast wspięli się po nich, jeden po drugim.

Hal zablokował w okamgnieniu ster, popędził po pokładzie i złapał za jedną z napiętych lin. Depcząc Danielowi po piętach, wspiął się szybko w górę i zatrzymał na chwilę, dotarłszy do relingu galeonu. Trzymając się jedną ręką liny i opierając stopami o deski, wyciągnął z pochwy kord, wsadził go między zęby i przeskoczył przez reling zaledwie sekundę po Danielu.

Znalazł się pierwszym szeregu nowej grupy atakujących. Mając przy boku Daniela i kord w prawej dłoni, rozejrzał się szybko po pokładzie. Walka dobiegała końca. Przybyli dosłownie w ostatniej chwili: ich towarzysze walczyli o życie w małych grupkach z otaczającymi ich zewsząd Holendrami. Połowa leżała na pokładzie, kilku było z całą pewnością martwych. Odrąbana od torsu głowa łupała na Hala z pobjowiska, turlając się w tę i z powrotem w kałuży krwi. Z dreszczem przerażenia rozpoznał w niej kucharza z Lady Edwiny.

Inni byli ranni i jęczeli, skrzęcając się z bólu na mokrych i śliskich od krwi deskach pokładu. Jeszcze inni siedzieli wyczerpani i załamani, odrzuciwszy na bok broń i założywszy w geście poddania ręce na kark.

Tylko kilku wciąż stawiało opór. Osaczeni przez wyjątych Holendrów, sir Francis i Aboli stali przy grotmaszcie, tnąc i dźgając szpadami. Z wyjątkiem małego zadrapania na lewym ramieniu ojciec nie wydawał się ranny - od poważniejszych obrażeń uchronił go być może stalowy półpancerz - i walczył ze swoim normalnym animuszem. Stojący obok niego



Aboli, wielki i niepokonany, widząc wyłaniającą się zza relingu głowę Hala, wydał okrzyk wojenny w swoim własnym języku.

Nie myśląc wiele, Hal ruszył im na pomoc.

- Za Franky'ego i świętego Jerzego! - ryknął na całe gardło, a Duży Daniel podjął okrzyk, biegnąc po jego lewej stronie.

Ludzie z obu łodzi szli za nimi, wrzeszcząc niczym horda szaleńców świeżo wypuszczonych z przytułku.

Holenderscy marynarze też byli u kresu sił. Oni również ponieśli duże straty, a wśród tych, którzy walczyli, wielu było rannych. Obejrzeni się przez ramię i zobaczyli nową falangę atakujących ich krwiożerczych Anglików. Zaskoczenie było kompletne. Na zlanych potem twarzach ukazała się trwoga i szok. Większość rzuciła broń i jak każda załoga zdobytego statku szukała schronienia pod pokładem.

Kilku najdzielniejszych odwróciło się, by stawić czoło przeciwnikowi. Tymi przy maszcie dowodził holenderski pułkownik. Lecz dzikie wrzaski prowadzonej przez Hala grupy dodały odwagi wyczerpanym i zakrwawionym współtowarzyszom, którzy skoczyli z nową energią do przodu, przyłączając się do ataku. Holendrzy byli otoczeni.

Rozpoznawszy w ogólnym zamieszaniu Hala, pułkownik Schreuder wykonał obrót i ciął na odlew szpadą, celując w głowę chłopaka. Jego wąsiki zjeżyły się niczym lwie wąsy, kiedy ostrze szpady zaświstało w powietrzu. Jakimś cudem nie odniósł dotąd żadnej rany i wydawał się tak samo silny i świeży jak przyprowadzeni przez Hala marynarze. Hal odparował cios jednym ruchem nadgarstka i zadał kontruderzenie.

Żeby je odeprzeć, pułkownik obrócił się plecami do Abolego, co nie było najmądrzejszym posunięciem. Kiedy wysunął do przodu stopę, szykując się do kontry, Aboli zaatakował go z tyłu. Przez moment Halowi wydawało się, że Murzyn dźgnął Holendra w kręgosłup, ale pomylił się. Podobnie jak inni członkowie załogi, Aboli dobrze znał wartość okupu; martwy oficer był tylko ochłapem mięsa, który rzucali na żer płynącym ich śladem rekinom; wzięty do niewoli wart był wiele złotych guldenów.

Odwrócił broń i wyrznął pułkownika w tył głowy ręką kordu. Holender wybałuszył oczy, a potem ugięły się pod nim kolana i runął twarzą na pokład.

Na galeonie zgasły ostatnie ogniska oporu. Holendrzy złożyli broń, a marynarze z Lady Edwiny, którzy wcześniej się poddali, skoczyli teraz na równe nogi, zapominając o swoich ranach i zmęczeniu. Złapali porzuconą broń i zagonili pokonanych na środek pokładu, zmuszając ich, by ukłękli w szeregu, z dłońmi splecionymi na karku, rozchełstani i żałośni.

Aboli złapał Hala w niedźwiedzi uścisk.

- Kiedy odpływałeś od nas z Samem Bowlesem, myślałem, że widzimy się po raz ostatni - wysapał.

Sir Francis podszedł szybkim krokiem do syna, odsuwając na bok wiwatujących, rozradowanych marynarzy.

- Porzuciłeś swoje stanowisko na bocianim gnieździe! - zagrzmiał, zawiązując opaskę na rannym ramieniu i przytrzymując ją zębami.

- Ojciec - wyjąkał chłopak. - Myślałem, że...

- I choć raz myślałeś jak trzeba! - Twarz sir Francisa rozjaśniła się, a w zielonych oczach zamigotały wesołe iskierki. - Może uda nam się zrobić jeszcze z ciebie rycerza, jeśli zapamiętasz, żeby trzymać wysoko ostrze przy ripoście. Ten wielki serojad - dodał, trącając pułkownika czubkiem buta - połaskotałby cię szpadą, gdyby Aboli nie rozbił mu łba. - Sir Francis wsunął z powrotem broń do pochwy. - Statek nie jest jeszcze bezpieczny. Na dolnych pokładach i w ładowniach aż roi się od Holendrów. Będziemy musieli ich wyłapać. Trzymaj się blisko mnie i Abolego.

- Ojciec, jesteś ranny - zaprotestował Hal.

- Byłbym poważniej ranny, gdybyś wrócił do nas minutę później.

- Pozwól, że opatrzę ci ranę.

- Znam sztuczki, których nauczył cię Aboli... Masz zamiar obsikać własnego ojca? - Sir Francis roześmiał się i poklepał syna po ramieniu. - Może dam ci tę satysfakcję trochę później. Duży Danielu - zawołał, zwracając się do bosmana - weź swoich ludzi na dół i wykurz serojadów, którzy się tam ukryli. Mistrzu Johnie, postaw straż przy lukach ładowni. Dopilnuj, żeby nie było żadnego plądrowania. Równy udział w łupach dla każdego! Mistrzu Nedzie, stań przy sterze i obróć statek dziobem do wiatru, zanim porwie żagle na strzepy.

Wydawszy rozkazy, sir Francis odwrócił się do reszty.

- Jestem z was dumny, szelmy! To była dobra robota. Każdy wróci do domu z pięćdziesięcioma złotymi gwineami w kieszeni. A mimo to żadna dziewczyna z Plymouth nie będzie was kochać tak gorąco jak ja!

Nagrodzili go brawami, wciąż rozdygotani po desperackiej walce, w trakcie której co chwila ocierali się o śmierć.

- Chodźmy! - Sir Francis skinął na Abolego i ruszył w stronę schodków, które prowadziły na dół, do kajut oficerskich na rufie. Hal pobiegł za nimi - Miej się na baczności - mruknął mu do ucha Aboli. - Na dole są tacy, którzy z miłą chęcią wsadzą ci sztylet między żebra.

Chłopak dobrze wiedział, dokąd skieruje pierwsze kroki jego ojciec. Najbardziej interesowały go mapy kapitana, dziennik pokładowy i instrukcje żeglugi. Te trzy rzeczy miały dla niego większą wartość aniżeli wszystkie aromatyczne przyprawy, drogocenne metale i szlachetne kamienie, które mógł znaleźć w ładowniach galeonu. Mając te dokumenty, mógł się dostać do każdego holenderskiego portu i każdej fortecy w Indiach. Chciał poznać trasy konwojów i wykazy przewożonych przez nie ładunków. Były dla niego warte dziesiątki tysięcy funtów w złocie.

Sir Francis zbiegł po trapie i złapał za klamkę pierwszych drzwi na dole. Były zamknięte od środka. Dał krok do tyłu, kopnął je z całej siły i drzwi otworzyły się na oścież.

Kapitan galeonu stał pochylony nad swoim biurkiem, w przepoconym ubraniu, bez peruki na głowie. Krew z przeciętego policzka kapłała na jedwabną koszulę z wyciętymi zgodnie z najnowszą modą szerokimi rękawami.

Na widok sir Francisa przestał wpychać księgi do obciążonej płóciennej torby i podbiegł z nią do okien na rufie. Szyby wypadły z nich po pierwszej salwie z Lady Edwiny i nic nie dzieliło ich od rozkołysanych fal oceanu. Holenderski kapitan uniósł torbę, chcąc wyrzucić ją na zewnątrz, lecz sir Francis był szybszy. Złapał go za ramię i cisnął z powrotem na koję. Aboli odebrał mu księgi, a sir Francis grzecznie się uklonił.

- Mówisz po angielsku, panie? - zapytał.

- Nie - odwarknął kapitan, w związku z czym sir Francis przerzucił się gładko na holenderski. Jako morski rycerz zakonu znał prawie wszystkie języki wielkich żeglarskich narodów: francuski, hiszpański, portugalski, a także holenderski.

- Jesteś moim więźniem, Münheer. Jak się nazywasz?

- Limberger, kapitan pierwszej klasy, w służbie Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej. A ty, Münheer, jesteś korsarzem - odparł kapitan.

- Mylisz się, mój panie. Mam list kaperski wydany przez Jego Królewską Mość Karola Drugiego. Twój statek jest w tej chwili wojennym przyzem.

- Wywiesiłeś fałszywą banderę - zarzucił mu Holender. Sir Francis lekko się uśmiechnął i machnął lekceważąco ręką.

- Uzasadniony fortel wojenny - stwierdził. - Jesteś dzielnym człowiekiem, Münheer, ale walka dobiegła już końca. Jeśli dasz mi słowo, że nie będziesz próbował ucieczki, potraktujemy cię niczym honorowego gościa. W dniu kiedy otrzymam okup, puszcę cię wolno.

Kapitan otarł jedwabnym rękawem krew i pot z policzków. Na jego twarzy pojawiła się rezygnacja. Wstał z koi i oddał swoją szpadę sir Francisowi, rękojeścią do przodu.

- Masz moje słowo, panie. Nie będę próbował uciec.
- I nie będziesz zachęcać do tego swojej załogi? - upewnił się sir Francis.

Kapitan pokiwał ponuro głową.

- Zgadzam się.

- Będę potrzebował twojej kabiny, Münheer, ale znajdę panu wygodną kwaterę gdzie indziej - oznajmił sir Francis, po czym zajął się płócienną torbą, wysypując jej zawartość na biurko.

Hal wiedział, że od tej chwili ojciec będzie bez reszty pogrążony w lekturze, i spojrzął na stojącego przy drzwiach Abolego. Murzyn pokiwał przyzwalająco głową i chłopak wymknął się z kabiny. Ojciec nawet tego nie zauważył.

Trzymając kord w ręku, Hal ruszył ostrożnie wąskim korytarzem. Słyszał dobiegające z innych pokładów krzyki i hałasy. Załoga Lady Edwiny wyławiała pokonanych holenderskich marynarzy, wypędzając ich na otwarty pokład. Tu na dole było spokojnie i pusto. Natrafił na drzwi, które okazały się zamknięte. Po krótkim wahaniu postanowił pójść w ślady ojca. Drzwi oparły się pierwszej próbie, ale on cofnął się, ponownie kopnął i tym razem udało mu się je wyważyć. Wpadł do środka, poślizgnął się na wspaniałych orientalnych dywanach, którymi zasłana była podłoga, i wylądował na wielkim łożu, zajmującym niemal połowę kajuty.

Patrząc na otaczający go przepych, poczuł w nozdrzach aromat silniejszy od woni jakichkolwiek przypraw, jakie w życiu wahał. Zapach buduaru kobiety, na który składały się nie tylko drogocenne olejki kwiatowe, stworzone sztuką perfumiarza, lecz również bardziej subtelna woń skóry, włosów i młodego zdrowego ciała. Wydał mu się tak rozkoszny i tak szedł do głowy, że gdy wstał, ugięły się pod nim nogi i zaczerpnął chciwie powietrza.

Z kordem w dłoni rozejrzał się po kajucie, prawie nie zauważając bogatych gobelinów i srebrnych naczyń wypełnionych słodyczami, suszonymi owocami i potpourri. Toaletka przy lewej ścianie zastawiona była kosmetykami i buteleczkami perfum z zatyczkami z kutego srebra. Obok nich leżał komplet szczotek i szylkretowy grzebień. Między jego zębami tkwił pojedynczy włos, długi jak jego ręka i delikatny niczym jedwabna nić.

Hal podniósł go do twarzy, jakby to była święta relikwia. Ponownie poczuł tę czarującą woń, ten oszałamiający zapach kobiety. Owinął włos wokół palca, uwolnił go z grzebienia i wsunął z czcią do kieszeni poplamionej i przepeconej koszuli.

W tej samej chwili zza stojącego w drugim końcu kajuty, pomalowanego w jaskrawe wzory chińskiego parawanu dobiegło go ciche, lecz rozdzierające serce szlochanie.

- Kto tu? - zawołał, podnosząc kord. - Wylaż albo przebiję cię na wylot!

Odpowiedział mu kolejny szloch, jeszcze bardziej żalony od poprzedniego.

- Na wszystkich świętych, wiedz, że nie żartuję! - wrzasnął Hal, po czym podbiegł do parawanu i przeciął jeden z barwnych paneli. Pchnięty parawan przewrócił się na podłogę. Rozległ się przeraźliwy pisk i Hal ujrzał przed sobą cudowną istotę, która klęczała w rogu kabiny.

Twarz miała schowaną w dłoniach, ale masa lśniących włosów, które opadały w dół, jaśniała niczym świeżo wybite w mennicy złote eskudy. Ścielące się po podłodze halki były błękitne jak skrzydła jaskółki.

- Proszę cię, pani - wyszeptał Hal. - Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Proszę, nie płacz.

Jego słowa nie odniosły żadnego efektu. Najwyraźniej go nie rozumiała. Doznawszy nagłego olśnienia, chłopak przerzucił się na łacinę.

- Nie musisz się bać - oznajmił. - Jesteś bezpieczna. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

Otoczona aureolą włosów głowa podniosła się. Kobieta zrozumiała go. Spojrzała mu prosto w twarz i poczuł się tak, jakby oberwał kartaczem w sam środek piersi. Ból był tak dotkliwy, że wydał z siebie głośny jęk. Nigdy nie sądził, że na świecie może istnieć coś tak pięknego.

- Łaski - szepnęła żałośnie po łacinie. - Proszę nie robić mi krzywdy.

Płakała, a jej łzy podkreślały rozmiary i intensywny fioletowy kolor oczu. Pobludłe policzki przypominały przejrzysty biały alabaster, na którym lśniły drobne perły łez.

- Jesteś piękna, pani - wykrztusił z siebie po łacinie.

Jego głos przypominał głos skazańca rozciągniętego na kole tortur. Obudziły się w nim uczucia, o których istnieniu nie miał dotąd w ogóle pojęcia. Chciał chronić i opiekować się tą kobietą, chciał ją mieć wyłącznie dla siebie, chciał ją kochać i wielbić. Wszystkie rycerskie słowa, które, nim ją ujrzał, były dla niego jedynie pustym dźwiękiem, cisnęły mu się na wargi, domagając się wypowiedzenia, lecz on potrafił tylko wpatrywać się w nią w milczeniu.

A potem jego uwagę zwrócił kolejny cichy dźwięk za plecami. Obrócił się na pięcie, trzymając w pogotowiu kord. Spod satynowego prześcieradła, które zwisało z łóżka, wypełził otyły mężczyzna. Plecy i brzuch miał tak otłuszczone, że trzęsły się przy każdym ruchu. Fałdy tłuszczu zwisały z jego karku i podwójnego podbródka.

- Poddaj się! - ryknął Hal, dźgając go szczytem kordu. Gubernator wrzasnął piskliwie, przewrócił się na podłogę i zaczął dygotać jak mały szczeniak.

- Proszę, nie zabijaj mnie. Jestem bogatym człowiekiem - wyjąkał po łacinie. - Zapłacę każdy okup.

- Wstawaj!

Hal dzgnął go ponownie, ale Petrusowi van de Veldemu starczyło siły i odwagi tylko na to, żeby uklęknąć. Pochylony, zalewał się łzami.

- Kim jesteś?

- Gubernatorem Przylądka Dobrej Nadziei. Ta dama jest moją żoną.

Były to najstraszniejsze słowa, jakie Hal kiedykolwiek usłyszał. Ta cudowna niewiasta, którą zdążył już z całego serca pokochać, była związana małżeństwem... z tą oto żalosną karykaturą klęczącego przed nim mężczyzny.

- Mój teść jest dyrektorem Kompanii, jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych kupców w Amsterdamie. Zapłaci... zapłaci każdą sumę. Proszę, nie zabijaj nas.

Hal nie zwracał uwagi na jego słowa. Pękało mu serce. W ciągu jednej chwili najwyższe uniesienie ustąpiło miejsca skrajnej udręce, promienna miłość najczarniejszej rozpaczy.

To, co mówił gubernator, miało jednak wielkie znaczenie dla sir Francis Courteneya, który pojawił się wraz z Abolim w drzwiach kajuty.

- Proszę się opanować, gubernatorze. Pan i pańska żona znajdujecie się w bezpiecznych rękach. Postaram się jak najszybciej załatwić sprawę waszego okupu. - Sir Francis zamiótł podłogę piórami kapelusza i przyklęknął przed Katinką. Nawet on nie był całkowicie nieczuły na jej wdzięki. - Pozwól pani, że się przedstawię. Kapitan Francis Courteney, na pani rozkazy. Proszę się doprowadzić do porządku. Będę zobowiązany, jeśli o czwartym dzwonku... to jest za godzinę... stawicie się państwo oboje na kasztelu. Mam zamiar przemówić do załogi.

Na obu statkach postawiono żagle: na małej karaweli tylko boczne i topsle, na wielkim galeonie grot. Pływały koło siebie na północny wschód, oddalając się wzdłuż wybrzeży Afryki od Przylądka Dobrej Nadziei. Sir Francis spoglądał ojcowskim okiem na załogę zgromadzoną na środkowym pokładzie.

- Przed walką obiecałem każdemu z was pięćdziesiąt gwinei - oznajmił.

Odpowiedział mu zbiorowy ryk radości. Wielu marynarzy było nieprzytomnych i okaleczonych. Pięciu leżało na noszach opartych o reling. Stracili zbyt wiele krwi, by stać, nie chcieli jednak uronić ani jednego słowa z mowy kapitana. Martwych zaszyto już w płócienne całuny i ułożono na dziobie, kładąc każdemu u stóp holenderską armatnią kulę. Szesnastu



Anglików i czterdziestu dwóch Holendrów zawarło przymierze w obliczu śmierci. W tej chwili nie zaprzętał sobie nimi głowy żaden z żywych.

Sir Francis podniósł w górę rękę. Marynarze ucichli i zaczęli tłoczyć się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

- Okłamałem was - stwierdził. Na moment zapadła pełna osłupienia cisza, a potem rozległy się groźne pomruki. - Nie ma wśród was takiego... - sir Francis przerwał, żeby spotęgować efekt - ...który nie wzbogaciłby się dzisiaj o mniej niż dwieście funtów!

Milczeli jeszcze przez chwilę, wpatrując się z niedowierzaniem w swojego kapitana, a potem oszaleli ze szczęścia. Skakali, pohukiwali i wirowali ze sobą w obłąkańczym tańcu. Nawet ranni usiedli na noszach i pieli z zachwytem.

Sir Francis uśmiechnął się łagodnie, pozwalając, by dali upust rozsadzającej ich radości. Po chwili machnął nad głową plikiem kartek i załoga ponownie ucichła.

- Oto wyciąg, jaki sporządziłem z okrętowego manifestu!

- Przeczytaj nam! - domagali się.

Litania trwała prawie pół godziny, ponieważ witali oklaskami każdą pozycję listy, którą tłumaczył z holenderskiego. Koszenila i pieprz, wanilia i szafran, goździki oraz kardamon, o łącznej wadze czterdziestu dwóch ton. Załoga wiedziała, że każda uncja i każdy funt przypraw są tak samo drogie jak sztaby srebra. Kiedy ochrypli od krzyku, sir Francis ponownie podniósł w górę rękę.

- Może znudziłem was już tą wyliczanką? Macie dosyć?

- Nie! - ryknęli. - Czytaj dalej!

- Mamy zatem również w ładowni trochę drewna balu, tekowego i innych dziwnych gatunków, których nigdy nie widziano na północ od równika. Jest tego prawie trzysta ton. - Chłonęli jego słowa z błyszczącymi oczyma. - Mam tu jeszcze kilka pozycji, ale widzę, że was nudzę. Chyba nie chcecie już mnie słuchać.

- Czytaj dalej! - prosili.

- Najdelikatniejsza chińska biało-niebieska porcelana i jedwab w belach. To powinno ucieszyć wasze panie!

Na wzmiankę o kobietach ryknęli niczym stado ogarniętych szałem słoni. Wiedzieli, że kiedy dotrą do najbliższego portu, z dwustoma funtami w sakiewce, mogą mieć dowolną liczbę kobiet, jakie tylko sobie wymarzą.

- Jest także złoto i srebro, ale złożono je w zapieczętowanych stalowych skrzyniach, na dnie głównej ładowni, pod trzystoma tonami drewna. Zdołamy się do nich dostać dopiero w porcie, kiedy rozładujemy statek.

- Ile jest złota? - rozległy się krzyki. - Powiedz nam, ile jest srebra?

- Srebra w brzęczącej monecie jest pięćdziesiąt tysięcy guldenów. To ponad dziesięć tysięcy naszych angielskich fontów. Wieźli także trzysta sztabek złota z kopalni Kollur nad rzeką Krishny w Kandy, ale Bóg jeden wie, ile dostaniemy za nie w Londynie.

Siedząc w bocianim gnieździe na grotmaszcie, Hal obserwował ojca stojącego na kasztelu. Choć docierało do niego niewiele z tego, co mówił, zdawał sobie mglście sprawę, że musi to być jeden z największych łupów, jakie angielscy żeglarze zgarnęli w trakcie wojny z Holendrami. Oszołomiony i półprzytomny myślał wyłącznie o znacznie cenniejszym skarbie, który zdobył własnym orężem i który siedział teraz skromnie za jego ojcem, w towarzystwie pokojówki. Sir Francis kazał wynieść z kajuty kapitana jeden z rzeźbionych, wyściełanych foteli i ustawić go na tylnym kasztelu dla żony gubernatora. Petrus van de Velde stał za nią wspaniale wystrojony, w peruce, wstążkach i bryczesach z miękkiej hiszpańskiej skóry. Korpulentną pierś zdobiły liczne medale i jedwabne szarfy jego urzędu.

Ku swemu zdumieniu Hal uświadomił sobie, że serdecznie nienawidzi tego mydłka. Żałował, że nie przeszył go kordem, gdy wypełzał spod łóżka, i nie uczynił w ten sposób z jego anielskiej żony tragicznej wdowy.

Wyobrażał sobie, że poświęci życie, odgrywając rolę Lancelota dla swej Ginewry. Marzył, że podda się posłusznie każdemu jej kaprysowi, dokona z czystej miłości wielu bohaterskich czynów. Na jej żądanie mógłby nawet wyprawić się na poszukiwanie świętego Graala i złożyć relikwię w tych przepięknych białych dłoniach. Na myśl o tym przeszedł go rozkoszny dreszcz i posłał jej rozmarzone spojrzenie.

Kiedy on śnił na jawie, trwająca na pokładzie ceremonia dobiegała powoli końca. Za gubernatorem stał kapitan i inni więźni do niewoli holenderscy oficerowie. Pułkownik Cornelius Schreuder jako jedyny nie miał kapelusza, a to z powodu bandaża, którym owinięta była jego głowa. Mimo odniesionej kontuzji wzrok miał jasny i bystry i słuchając wyliczającego łupy sir Francis, spoglądał hardo przed siebie.

- Ale to nie wszystko, chłopcy! - zapewnił sir Francis swoją załogę. - Mamy oto szczęście gościć na pokładzie nowego gubernatora holenderskiej kolonii na Przylądku Dobrej Nadziei.

Mówiąc to skłonił się z ironicznym uśmiechem Petrusowi van de Veldemu, który spiorunował go wzrokiem; teraz, gdy napastnicy zdali sobie sprawę z zajmowanej przez niego pozycji, a także z wysokości okupu, jaki mogli za niego uzyskać, czuł się znacznie pewniej.

Anglicy krzyknęli na wiwat, lecz nie odrywali oczu od Kalinki i sir Francis zaspokoił ich ciekawość, przedstawiając ją.

- Mamy również szczęście gościć uroczą żonę gubernatora... - oznajmił i przerwał, pozwalając załodze wyrazić głośno uznanie dla jej urody.

- Prymitywne bydlę - mruknął van de Velde, kładąc opiekuńczym gestem dłoń na ramieniu Kalinki, która przyjrzała się Anglikom swymi wielkimi fiołkowymi oczyma. Jej piękno i niewinność zawstydziły ich i zmusiły w końcu do milczenia.

- Mevrouw van de Velde jest jedyną córką Hendrika Coetzee, a ten człowiek to stadhouder miasta Amsterdam i przewodniczący rady nadzorczej Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej - dokończył sir Francis.

Załoga wpatrywała się w nią z podziwem. Tylko nieliczni zrozumieli, z jak wybitną personą mają do czynienia, lecz namaszczenie, z jakim sir Francis wyrecytował jej tytuły, wywarło na nich wielkie wrażenie.

- Gubernator i jego żona pozostaną na pokładzie tego statku do chwili, gdy otrzymamy okup. Jeden z wziętych do niewoli holenderskich oficerów popłynie z listem na Przylądek Dobrej Nadziei, a stamtąd następnym statkiem list zostanie dostarczony do Amsterdamu i przekazany radzie nadzorczej.

Marynarze wlepiali oczy w gubernatora i jego żonę, starając się przetrwać te informacje.

- Ile to będzie, sir Francis? Jaki wyznaczyłeś okup? - wykrztusił w końcu Duży Daniel.

- Wysokość okupu wynosi dwieście tysięcy guldenów w złotej monecie.

Załoga ucichła, bo taka suma przekraczała ich wyobraźnię.

- Wnieśmy okrzyk na cześć kapitana, chłopaki - odezwał się ponownie Daniel.

I wiwatowali, aż ochrypli im głosy.

Sir Francis przeszedł powoli wzdłuż szeregu holenderskich marynarzy wziętych do niewoli. Było ich czterdziestu siedmiu, w tym osiemnastu rannych. Idąc przyjrzał się twarzy każdego mężczyzny; ulepieni z twardej gliny, mieli toporne, niezbyt inteligentne rysy. Nie ulegało wątpliwości, że za żadnego z nich nie dostanie ani guldena. Stanowili raczej obciążenie, trzeba ich było bowiem karmić i pilnować, istniało także zawsze niebezpieczeństwo, że obudzi się w nich znowu bojowy duch i wzniesą bunt.

- Im szybciej się ich pozbędziemy, tym lepiej - mruknął pod nosem, po czym zwrócił się do Holendrów w ich własnym języku. - Spełniście, jak należy, wasz obowiązek. Zostaniecie uwolnieni i skierowani do fortu na Przylądku. Możecie zabrać ze sobą wasze marynarskie worki, dopilnuję także, byście otrzymali przed odjazdem należną zapłatę.

Twarze mężczyzn rozjaśniły się. Tego się nie spodziewali. Powinno ich to ułagodzić, pomyślał, ruszając w dół po trapie do swojej nowej kabiny, gdzie czekali na niego bardziej dostojni więźniowie.

- Panowie! - pozdrowił ich, siadając za mahoniowym biurkiem. - Czy macie ochotę na kieliszek kanaryjskiego wina?

Gubernator van de Velde pokiwał chciwie głową. Zaszło mu w gardle i choć jadł zaledwie przed półgodziną, burczało mu wściekle w brzuchu. Służący sir Francis, Oliver, nalał żółtego wina do wysokich kieliszków i podał kandyzowane owoce, które znalazł w spiżarni holenderskiego kapitana. Kapitan zrobił kwaśną minę, gdy rozpoznał swoje własne zapasy, lecz mimo to pociągnął okazały łyk trunku.

Sir Francis zajrzał do pliku odręcznie zrobionych przez siebie notatek, a potem do jednego z listów, które znalazł w biurku kapitana. Nadawcą była dobrze znana firma bankierska w Holandii.

- Dziwi mnie - stwierdził, mierząc surowym wzrokiem kapitana - że oficer o pańskim stażu i pozycji w Kompanii prowadzi interesy na własny rachunek. Obaj wiemy, że jest to ściśle zabronione przez Siedemnastkę.

Kapitan chciał zaprotestować, kiedy jednak sir Francis dotknął palcem listu, zwiesił nos na kwintę i spojrzał z poczuciem winy na siedzącego obok gubernatora.

- Wygląda na to, że jesteś bogatym człowiekiem, Münheer. Na pewno uda ci się zapłacić okup w wysokości dwudziestu tysięcy guldenów. - Kapitan skrzywił się i wymamrotał coś pod nosem, lecz nie zrażony tym sir Francis mówił dalej. - Jeśli skreśli pan kilka słów do pańskich bankierów, będziemy mogli załatwić sprawę po dżentelmeńsku, kiedy tylko otrzymani w złocie wspomnianą sumę.

Kapitan opuścił głowę na znak zgody.

- Co się tyczy oficerów - podjął sir Francis, przysuwając do siebie dziennik okrętowy i otwierając go - przejrzałem waszą listę załogi i zdaje się, że żaden z nich nie ma wysokich koneksji ani nie posiada znacniejszego majątku. Czy to potwierdzisz, panie? - zapytał, spoglądając na kapitana.

- To prawda, Münheer.

- Wyślę ich na Przylądek razem z prostymi marynarzami. Obecnie pozostaje nam tylko zdecydować, komu mam powierzyć misję przekazania radzie Kompanii listu z żądaniem okupu za gubernatora van de Veldego oraz jego dostojnej małżonki... a także oczywiście pańskiego listu do bankierów.

Sir Francis spojrział na gubernatora, który wepchnął sobie kolejny kandyzowany owoc do ust.

- Niech pan wyśle Schreudera - odparł z pełnymi ustami.

- Schreudera? - Sir Francis przekartkował papiery, szukając patentu pułkownika. - Pułkownika Corneliusa Schreudera, nowo mianowanego komendanta fortu Przylądka Dobrej Nadziei?

- Tak, jego. - Van de Velde sięgnął po kolejną słodycz. - Jego ranga sprawi, że zostanie uważniej wysłuchany, gdy będzie przedstawiał pańskie żądania memu teściowi.

Sir Francis spojrział prosto w twarz przeżuwałemu cukierek starszemu mężczyźnie. Ciekawiło go, dlaczego chce się pozbyć pułkownika. Schreuder wydawał się dobrym i wartościowym oficerem; mądrzej byłoby mieć go pod ręką. Z drugiej strony prawdą było to, co van de Velde powiedział o jego randze. A sir Francis obawiał się, że pułkownik pozostawiony na pokładzie galeonu mógł im napytać jakiejś biedy. Większej, niż był tego wart.

- Doskonale - odparł głośno. - Wyślę go.

Gubernator wydał z satysfakcją zlepięte cukrem usta. Świetnie zdawał sobie sprawę z zainteresowania, jakim jego żona darzyła przystojnego oficera. Chociaż był jej mężem zaledwie od kilku lat, wiedział z całą pewnością, że w tym czasie zdążyła zaliczyć co najmniej osiemnastu kochanków, niektórych w ciągu jednego wieczoru lub godziny.

Służąca Zelda była na jego żołądź i donosiła mu o wszystkich romansach swojej pani, z lubieżną przyjemnością opisując pikantne szczegóły.

Kiedy van de Velde po raz pierwszy dowiedział się o nieposkromionych apetytach Kalinki, wpadł w szal. Jego wściekłe wymówki nie zrobiły jednak na niej żadnego wrażenia i szybko się przekonał, że nie jest w stanie upilnować żony. Nie mógł za bardzo protestować ani odesłać jej z powrotem do domu, ponieważ, po pierwsze, okręciła go sobie wokół palca, po drugie zaś, miała zbyt bogatego i wpływowego ojca. Gubernator wiedział, że jego awanse i pozycja zależały prawie całkowicie od żony. W końcu jedyną drogą postępowania, jaka mu pozostała, było odsuwanie od niej, na ile to możliwe, wszelkich pokus i okazji. Podczas ostatniej podróży zdołał praktycznie zamknąć ją w kajucie i miał pewność, że gdyby tego nie zrobił, jego żona uległaby na pewno pułkownikowi, który ją ostentacyjnie adorował. Kiedy się go pozbędzie, możliwości Katinki zostaną poważnie ograniczone i po długim poście ulegnie być może jego własnym obleśnym awansom.

- Doskonale - powtórzył sir Francis, obracając stronę leżącego przed nim almanachu. - Wyślę jako pańskiego emisariusza pułkownika Schreudera. Jeśli wszechmogący Bóg będzie

łaskaw, a wiatry okażą się sprzyjające, podróż z Przylądka do Holandii i z powrotem nie powinna potrwać dłużej niż osiem miesięcy. Miejmy nadzieję, że będziesz mógł przejąć swoje obowiązki w kolonii jeszcze przed Bożym Narodzeniem, panie.

- Gdzie będziesz nas przetrzymywał do chwili otrzymania okupu? Moja żona jest damą o delikatnym zdrowiu i nerwowym usposobieniu.

- W bezpiecznym i komfortowym miejscu. Mogę cię o tym zapewnić.

- A gdzie spotkasz się ze statkiem wiozącym żądany okup?

- Na trzydziestym trzecim stopniu szerokości południowej i dwudziestym stopniu i pięciu minutach długości wschodniej.

- Gdzie to, u licha, jest?

- Dokładnie w tym miejscu, gubernatorze van de Velde, w którym się teraz znajdujemy - odparł sir Francis, którego nie tak łatwo było skłonić do wyjawienia, gdzie znajduje się jego kryjówka.

Był mglisty poranek, kiedy galeon zarzucił kotwicę na spokojnych wodach za skalistym cyplem afrykańskiego wybrzeża. Wiatr osłabł

i zaczął zmieniać kierunek. Do końca lata zostało niewiele czasu; szybkimi krokami zbliżało się jesienne zrównanie dnia z nocą. Lady Edwina, ze stale pracującymi pompami, podpłynęła obok, oba kadłuby obłożono matami ze zbitych paków i mniejszy statek przycumował do galeonu.

Natychmiast rozpoczęło się opróżnianie karaweli. Na rejach galeonu zawieszono już wcześniej bloki i liny. Najpierw przeniesiono armaty. Wielkie odlane z brązu kolubryny uniosły się wraz z łożami w górę. Trzydziestu ludzi wciągało każde działo, a potem opuszczało je na pokład większego statku. Po ich zainstalowaniu galeon powinien dysponować siłą ognia okrętu liniowego, co oznaczało, że niestraszny mu będzie żaden statek Kompanii.

Obserwując opuszczaną na pokład kolubrynę, sir Francis zdał sobie sprawę, że jest teraz w stanie zaatakować każdy holenderski port handlowy w Indiach. Opanowanie Standvastigheid stanowiło dopiero początek. Od tej pory miał zamiar stać się postrachem Holendrów na całym Oceanie Indyjskim, tak jak postrachem Hiszpanów na ich własnym oceanie stał się w zeszłym stuleciu Francis Drake.

Następnie wytoczono ze składów Lady Edwiny beczki z prochem. Po tak długim rejsie i licznych stoczonych przez nich bitwach zostało ich tylko kilka. Galeon wioził jednak dwie tony pierwszorzędnej jakości prochu strzelniczego, który powinien starczyć na



kilkanaście potyczek względnie opanowanie któregoś ze składów na wybrzeżu Jawy lub Trincomalee.

Kiedy przeniesiono meble, beczki z wodą, broń, baryłki z marynowanym mięsem oraz torby z sucharami i mąką, na pokład zostały również wciągnięte barki. Po zdemontowaniu przez cieśli umieszczono je w głównej ładowni, na stosie rzadkich odmian orientального drewna. Były tak duże, a galeon tak bardzo załadowany, że do momentu przeniesienia łupów na brzeg trzeba było zostawić otwarte pokrywy luków.

Ogołocona do samych desek Lady Edwina uniosła się wysoko na wodzie. Pułkownik Schreuder i uwolnieni holenderscy marynarze szykowali się do wejścia na jej pokład. Sir Francis wezwał pułkownika na kasztel i wręczył mu z powrotem jego szpadę, a także list adresowany do rady nadzorczej Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej w Amsterdamie. Zaszyty w płótno, opieczętowany czerwonym lakiem i obwiązany wstążką sprawiał imponujące wrażenie. Schreuder wsadził go zdecydowanym ruchem pod pachę.

- Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy, Münheer - odezwał się złowieszczo.

- Za osiem miesięcy od dzisiaj stawię się na spotkanie - zapewnił go sir Francis. - Z przyjemnością się z tobą zobaczę, pułkowniku, oczywiście pod warunkiem, że przywieziesz mi dwieście tysięcy guldenów w złocie.

- Nie zrozumiałeś, co miałem na myśli, kapitanie - mruknął ponuro pułkownik.

- Zapewniam cię, że zrozumiałem - odparł cicho sir Francis.

Pułkownik odwrócił wzrok ku rufie, na której stała u boku swego męża Katinka van de Velde. Głęboki ukłon, jaki złożył, oraz wyraz tęsknoty w jego oczach nie były przeznaczone wyłącznie dla gubernatora.

- Wróć, jak tylko mogę najszybciej, aby położyć kres waszym cierpieniom - oznajmił.

- Niech Bóg ma cię w opiece - odparł gubernator. - Nasz los jest w twoich rękach.

- Po powrocie możesz liczyć na moją najgłębszą wdzięczność, drogi pułkowniku - szepnęła Katinka omdlewającym dziewczęcym głosem.

Pułkownik zadrżał, jakby wylano mu na plecy wiadro lodowatej wody. Wypiął dumnie pierś, oddał jej salut, a potem odwrócił się i podszedł do lewej burty.

Hal czekał już przy relingu wraz z Abolim i Dużym Danielem. Oczy Schreudera zwięzły się, gdy go zobaczył. Zatrzymał się i podkręcił wąsa. Wstążki przy jego kurtce załopotwały na wietrze, a pułkownikowska szarfa zaśniła w słońcu, gdy dotknął rękojeści szpady.

- Przerwano nam, mój chłopcze - oznajmił cicho po angielsku, bez cienia obcego akcentu. - Ale nie wątpię, że będę miał jeszcze okazję dać ci lekcję.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie. - Przy boku Abolego Halowi nie brakowało odwagi. - Jestem zawsze wdzięczny za pożyteczne wskazówki.

Przez moment nie odrywali od siebie wzroku, a potem Schreuder zeskoczył na pokład karaweli. Natychmiast odcumowano liny łączące oba statki i holenderska załoga postawiła żagle. Lady Edwina wierzgnęła niczym niesforny źrebak, a potem przechyliła się na bok i odwróciła od lądu.

- My też powinniśmy ruszać w drogę, mistrzu Nedzie! - oznajmił sir Francis. - Proszę dać rozkaz podniesienia kotwicy.

Galeon oddalał się od wybrzeża Afryki, biorąc kurs na południe.

Z bocianiego gniazda, w którym siedział Hal, wciąż widać było Lady Edwinę. Mniejszy statek szedł bejdewindem, omijając zdradzieckie mielizny przy przylądku Agulhas. Niedługo powinien zmienić kurs i popłynąć z wiatrem do holenderskiego fortu położonego za wielką, ściętą niczym stół górą, która strzegła wysuniętego na południowy wschód Przylądka Dobrej Nadziei.

Nagle sylwetka karaweli zupełnie się zmieniła. Hal wychylił się z bocianiego gniazda.

- Lady Edwina zmienia kurs! - zawołał.

- Dokąd płynie?! - odkrzyknął jego ojciec.

- Na pełne morze - poinformował go Hal. - Kieruje się prosto na zachód.

Holendrzy postępowali zgodnie z ich przewidywaniami. Z wiejącym od prawej rufy południowo-wschodnim wiatrem żeglowali prosto ku Przylądkowi.

- Miej ich na oku.

Karawela zmniejszała się stopniowo, aż w końcu jej żagle zlały się z białymi grzywami fal gnanych wiatrem.

- Zniknęła! - zawołał w końcu Hal. - Już jej nie widzę!

Sir Francis zwlekał aż do tej chwili z ujawnieniem swoich prawdziwych zamiarów. Dopiero teraz dał rozkaz sternikowi, aby skierował statek na wschód i poprowadził go równoległe do wybrzeża Afryki.

- To chyba będzie najlepszy kurs - powiedział, kiedy zwolniony przez swego zmiennika Hal pojawił się na pokładzie. - Musimy poznać kaprysy naszej nowej pani. Proszę zarzucić log.

Chłopak rzucił kawałek drewna u dziobu i trzymając w ręku klepsydrę, zmierzył czas, jaki zajęło mu dotarcie do rufy. Dokonawszy szybkich obliczeń na tabliczce, wrócił do ojca.

- Sześć węzłów po linii wody.

- Z nowym grotem osiągnie dziesięć. Ned Tyler znalazł w ładowni pień dobrej norweskiej sosny. Postawimy maszt zaraz po dotarciu do bazy. - Sir Francis nie krył zadowolenia: Bóg najwyraźniej im sprzyjał. - Zgromadź na pokładzie załogę. Poprosimy Pana o błogosławieństwo i nadamy statkowi nową nazwę.

Stanęli z gołymi głowami na wietrze, przyciskając czapki do piersi i starając się sprawiać wrażenie bogobojnych chrześcijan, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu sir Francis'a.

- Dziękujemy Ci, wszechmogący Boże, za zwycięstwo, które dałeś nam nad heretykami i odszczepieńcami, pograżonymi w mroku uczniami szatańskiego syna, Marcina Lutra!

- Amen! - zakrzyknęli głośno.

Z wyjątkiem kilku czarnych, wszyscy byli dobrymi anglikanami, ale nawet czarni członkowie załogi zawołali „amen” razem z resztą. Nauczyli się tego słowa pierwszego dnia na statku sir Francis'a.

- Dziękujemy Ci także za Twoją łaskawą i skuteczną interwencję w trakcie bitwy i wybawienie nas od niechybnej zguby.

Hal zaszurał nogami, nie zgadzając się z tym stwierdzeniem, ale nie podniósł wzroku. Choć ojciec nie przyznał tego otwarcie, wyrazy wdzięczności za skuteczną interwencję należały się również i jemu.

- Dziękujemy Ci i chwalamy Twoje imię za to, że powierzyłeś nam ten wspaniały statek. Przysięgamy uroczyście, że żeglując nim, pogńębimy i upokorzymy Twoich nieprzyjaciół. Prosimy, żebyś go pobłogosławił, miał w swej opiece i zaakceptował nową nazwę, jaką mu teraz nadajemy. Od tej chwili będzie się zwać Resolution.

Ojciec przetłumaczył po prostu starą holenderską nazwę i Halowi zrobiło się żal, że galeon nie będzie nosić imienia matki. Zastanawiał się, czy ojciec zaczyna o niej po prostu zapominać, czy też jest jakiś inny powód, dla którego nie chce jej w ten sposób uwiecznić. Wiedział jednak, że nigdy nie będzie miał odwagi o to zapytać i musi po prostu zaakceptować jego decyzję.

- Błagamy Cię o dalszą pomoc i przychyłność w naszej nieustającej wojnie przeciw bezbożnikom. Dziękujemy Ci pokornie za łaski, którymi tak hojnie nas obsypujesz. Ufamy, że jeśli okazemy się tego warci, nagrodzisz naszą wiarę i poświęcenie dalszymi dowodami swej miłości.

Było to absolutnie rozsądne rozumowanie i zgadzał się z nim każdy z członków załogi, zarówno szczerzy chrześcijanin, jak i poganin. Każdy, kto szerzył na tej ziemi słuszną

wiarę, zasługiwał z tego tytułu na nagrodę, i to nie tylko w przyszłym życiu. Wypełniające ładownię galeonu skarby stanowiły namacalny dowód boskiej aprobaty i łaskawości.

- A teraz wzniesiemy okrzyk na cześć Resolution i jej nowej załogi.

Wiwatowali tak długo, aż ochrypli im gardła, i sir Francis musiał ich uciszać. Nałożył w końcu swój kapelusz z szerokim rondem i dał znak, że mogą nakryć głowy. Jego twarz przybrała surowy wyraz.

- Pozostaje nam jeszcze do załatwienia jedna sprawa - oświadczył i spojrzał na Dużego Daniela. - Wyprowadź na pokład więźniów, mistrzu Danielu.

Sam Bowles szedł na czele żalosnej grupki, która wyłoniła się spod pokładu, mrugając oczyma w jasnych promieniach słońca. Zaprowadzono ich na rufę i kazano uklęknąć. Sir Francis podniósł do oczu arkusz pergaminu i przeczytał ich nazwiska.

- Samuel Bowles. Edward Broom. Peter Law. Peter Miller. John Tate. Klęczycie przed swymi towarzyszami, oskarżeni o tchórzostwo, dezercję w obliczu wroga i zejście z posterunku.

Wśród załogi rozległy się groźne pomruki.

- Jak brzmi wasza odpowiedź na te zarzuty? Czy jesteście winni tchórzostwa i zdrady, o jakie was oskarżamy?

- Litości, wasza miłość. Straciliśmy zmysły. Szczerze tego żałujemy. Wybacz nam, błagamy cię przez wzgląd na nasze żony i słodkie dzieci, które zostawiliśmy w domu - przemówił w imieniu wszystkich Sam Bowles.

- Jedyne żony, jakie kiedykolwiek poślubiliście, mieszkają w burdelach przy Dock Street - mruknął urągliwie Duży Daniel i załoga wybuchła śmiechem.

- Powiesić ich na rejach! Popatrzymy, jak pójdą z diabłem w tany!

- Wstyďte się! - powstrzymał zapaleńców sir Francis. - Tak ma wyglądać angielska sprawiedliwość? Każdy człowiek, bez względu na to, jak nisko upadł, ma prawo do uczciwego procesu. - Marynarze uciszyli się. - Zajmiemy się tą sprawą, jak należy - podjął sir Francis. - Kto wnosi przeciwko nim oskarżenie?

- My! - ryknęła chórem załoga.

- Jakich macie świadków?

- Sami wszystko widzieliśmy - odpowiedzieli jak jeden mąż.

- Czy byliście świadkami tchórzostwa i zdrady? Czy widzieliście, jak ci dranie uciekli z galeonu, pozostawiając swoich współtowarzyszy na łasce losu?

- Widzieliśmy.

- Słyszeliście złożone przeciwko wam zeznanie. Co macie do powiedzenia na swoją obronę?

- Litości - załkał Sam Bowles. Pozostali milczeli.

- Jaki jest wasz werdykt? - zapytał sir Francis, zwracając się do załogi.

- Są winni!

- Winni jak wszyscy diabli - dodał Duży Daniel, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Jak brzmi wyrok? - zapytał sir Francis.

- Powiesić ich! - zawołał ktoś.

- Stryczek jest za dobry dla tych łotrów. Przeciągnąć ich pod kilem!

- Nie! Nie! Wypatroszyć ich i poćwiartować! Niech zeżrą własne jaja!

- Upieczmy ich na wolnym ogniu! Niech spłoną na stosie! Sir Francis ponownie ich uciszył.

- Widzę, że nie jesteście jednomyślni. Zabierz ich z powrotem na dół i zamknij - powiedział, zwracając się do Dużego Daniela. - Niech przez dzień albo dwa kiszą się we własnym sosie. Zajmiemy się nimi, kiedy przybijemy do brzegu. Tymczasem mamy do załatwienia ważniejsze sprawy.

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkał na statku, Hal miał do dyspozycji własną kabinę. Nie musiał już zasypiać i budzić się w tłumie innych ludzi.

Galeon był przestronny w porównaniu z małą karawelą i ojciec znalazł mu kwaterę tuż obok swojej wspaniałej kajuty. W maleńkiej klitce mieściła się przedtem spizarnia holenderskiego kapitana.

- Potrzebujesz jakiegoś oświetlonego miejsca, żeby kontynuować swoje studia - wyjaśnił mu powód tej ekstrawagancji sir Francis. - Każdej nocy tracisz wiele godzin zamiast się uczyć.

Ojciec rozkazał okrętowemu cieśli zbić z desek pryczę i półkę, na której Hal położył swoje książki i papiery.

Nad jego głową kołysała się oliwna lampka, czerniąc kopciem sufit i dając jednocześnie dość światła, by mógł czytać i odrabiać zadane przez ojca lekcje. Oczy piekły go ze zmęczenia i co chwila tłumiał ziewnięcia, zanurzając pióro w kałamarzu i zerkając na pergamin, na który przepisywał zdobyte przez ojca wskazówki żeglugowe holenderskiego kapitana. Każdy nawigator miał własny zbiór takich instrukcji, bezcenny dziennik, w którym opisywał szczegółowo morza i oceany, prądy i linię brzegu, przybrzeżne wody i porty, a także tablice tajemniczych i zmiennych odchyłeń kompasu oraz mapy nocnego nieba, które zmieniało się w zależności od szerokości geograficznej. Wiedzę tę gromadziło się zmu-

przez całe życie, na podstawie własnych obserwacji bądź też relacji i opowieści innych. Ojciec oczekiwał, że Hal wykona zadanie jeszcze przed wachtą na marsie, która zaczynała się o czwartej rano.

Nagle jego pracę nad rękopisem przerwał słaby dźwięk zza ściany. Nie odkładając pióra, podniósł wzrok. Odgłos kroków tak cichy, że ledwie go słyszał, dochodził z luksusowej kajuty żony gubernatora. Hal zamienił się cały w słuch, próbując zinterpretować każdy dobiegający stamtąd dźwięk. Serce podpowiadało mu, że to urocza Kalinka, ale nie był tego pewien. Mogła to być równie dobrze jej wstrętna stara pokojówka albo groteskowy małżonek. Na myśl o nim czuł się oszukany i zdradzony.

W końcu jednak przekonał sam siebie, że to Kalinka, i jej bliskość przejęła go dreszczem, mimo że oddzielała ich zbita z desek ściana. Pragnął jej tak rozpaczliwie, że nie był w stanie skoncentrować się na zadaniu ani nawet usiedzieć w miejscu.

Wszedł, chyląc głowę, żeby nie uderzyć się o niski sufit, po czym podszedł do ściany, przysunął się do niej i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał cichy chrobot, odgłos przesuwania czegoś po podłodze, szelest materiału, kolejne dźwięki, których nie potrafił zlokalizować, a potem plusk wody, którą nalewano do balii lub miednicy. Z uchem przytkniętym do ściany, wyobrażał sobie, co się za nią dzieje. Słyszał, jak Katinka zanurza w wodzie złączone ręce i opryskuje nią twarz, słyszał przyspieszony oddech, gdy zimno kłuło ją w policzki, i krople spadające z powrotem do miednicy.

Spoglądając w dół dostrzegł, że przez szparę w deskach pada słaby promyk świecy, wąska smuga żółtego światła, kołyszącego się zgodnie z ruchem statku. Nie zważając na konsekwencje, uklęknął i przytknął oko do szpary. Widział bardzo niewiele, ponieważ była wąska, a miękkie światło świecy padało mu prosto w oko.

Wiem między nim i świecą przesunął się obłok jedwabiu i koronek. Wytrzeszczył oko i westchnął cicho, widząc przed sobą nieskazitelnie białe ciało. Siał się to lak szybko, że ledwie zdążył rozpoznać zarys nagich pleców, lśniących niczym macica perłowa w żółtym świetle świecy.

Przysunął twarz bliżej do ściany, pragnąc przez moment jeszcze nacieszyć się jej pięknem. Wyobrażał sobie, że poza normalnymi dźwiękami, wydawanymi przez prujący fale drewniany kadłub, słyszy jej lekki oddech, cichy niczym szept tropikalnego zefiru. Nasłuchując, wstrzymywał tak długo oddech, aż zabolalo go w płucach i zakrećilo się w głowie.



W tym momencie świeczka w sąsiedniej kajucie zamigotała, promyk światła przeszył jego wytrzeszczone oko i zgasł. Usłyszał oddalające się ciche kroki i za ścianą zapadła ciemność i cisza.

Przez dłuższą chwilę klęczał w miejscu niczym modlący się na stopniach ołtarza, a potem powoli wstał i z powrotem usiadł przy półce. Próbował zmusić zmęczony umysł do wykonania zadania zleconego przez ojca, lecz jego myśli opierały się niczym niesforny żrebak, któremu chcą założyć wędzidło. Litery na leżącej przed nim kartce zmieniały się w obrazy alabastrowej skóry i złocistych włosów. W nozdrzach miał wspomnienie tego porażającego zapachu, który poczuł, gdy po raz pierwszy wpadł do kabiny Kalinki. Zakrył dłońią oczy, chcąc powstrzymać wizje, które atakowały jego obolały mózg.

Na próżno; nie mógł zapanować nad swoją wyobraźnią. Sięgnął po leżącą obok dziennika okrętowego Biblię i otworzył skórzaną okładkę. Między kartkami tkwiła delikatna złocista nić, pojedynczy włos, który skradł z jej grzebienia.

Przytknął go do ust, cicho jęknął i zamknął oczy: wydawało mu się, że wciąż czuje emanujący zeń słaby zapach jej perfum.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę ze zdradzieckich manipulacji własnej prawej ręki. Niczym złodziej wsunęła się pod luźne płócienne pantalony, które stanowiły jego jedyne ubranie w dusznej gorącej klitce. Kiedy uświadomił sobie, co robi, było już za późno, żeby przestać. Poddał się bezradnie ruchowi własnych palców. Pot lał się z każdego poru jego skóry i spływał po twardych młodych mięśniach. Trzymany w dłoni członek był sztywny jak kość i obdarzony własnym pulsującym życiem.

Nozdrza wypełniał mu jej zapach. Jego ręka poruszała się szybko, lecz nie tak szybko, jak biło serce. Wiedział, że to co robi, to grzech i szaleństwo. Ojciec ostrzegał go, ale nie potrafił się powstrzymać. Zaczął się wiercić na stołku. Czuł, że ocean miłości, jaką do niej żywił, zrywa wszelkie tamy umiarkowania. Krzyknął cicho i fala przelała się. Czuł, jak ciepłe krople spływają po napiętych udach, słyszał, jak kapią na podłogę, a potem piżmowy odór zabił w jego nozdrzach święty zapach jej włosów.

Usiadł, pocąc się i cicho dysząc. Ogarnęło go poczucie winy i wstrętu do samego siebie. Zawiódł zaufanie ojca, nie dotrzymał obietnicy, jaką mu złożył, i chutliwą żądzą pokalał czysty i uroczy wizerunek świętej.

Nie mógł ani chwili dłużej wytrzymać w swojej kabinie. Naciągnął płócienny kaftan, wybiegł po trapie na pokład i przez dłuższą chwilę stał przy relingu, głęboko oddychając. Surowe słone powietrze złagodziło jego poczucie winy i wstrętu. Czując się trochę lepiej, rozejrzał się dookoła.

Wiatr wiał od lewej burty. Maszty statku zataczały krąg po błyszczącym sklepieniu gwiazd. Po zawietrznej dostrzegł ciemny zarys lądu. Zaledwie o palec wyżej wisiała na niebie Wielka Niedźwiedzica - nostalgiczne wspomnienie kraju dzieciństwa, który zostawił za sobą.

Na południu, po prawej stronie widać było gwiazdozbiór Centaura, a nad jego głową iskrzył się Krzyż Południa - symbol nowego świata, który rozciągał się za Linią Podziału.

Spoglądając w stronę rufy, zobaczył fajkę ojca, żarzącą się w osłoniętym rogu nadbudówki. Nie chciał się teraz z nim widzieć. Był pewien, że poczucie winy i deprawacja są tak wyraźnie wryte na jego twarzy, że ojciec rozpoznaje nawet w mroku. Wiedział jednak, że sir Francis dostrzegł go i uzna za dziwne, że nie złożył mu uszanowania.

Szybko do niego podszedł.

- Proszę o wybaczenie, ojczu. Wyszedłem na chwilę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza - wymamrotał, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy.

- Nie wałkoń się zbyt długo - ostrzegł go ojciec. - Chcę, żebyś wykonał to, co ci kazałem, jeszcze przed objęciem wachty na marsie.

Hał ruszył przed siebie. Rozległy pokład galeonu wciąż był dla niego obcy. Wiele rzeczy, które przenieśli z karaweli, nie mieściło się w wypełnionych po brzegi ładowniach i ułożono je na pokładzie. Idąc, kluczył między beczkami, skrzyniami i odlanymi z brązu kolubrynami.

Dreńczony wyrzutami sumienia, nie zwracał prawie uwagi na to, co się wokół dzieje, i dopiero w ostatniej chwili usłyszał rozbrzmiewający tuż obok konspiracyjny szept. Szybko trzeźwiejąc, spojrzał w stronę dziobu.

W cieniu rzucanym przez ładunek ustawiony pod przednim kasztelem czaiło się kilka postaci. Ich podejrzane ruchy upewniły go, że dzieje się coś złego.

Po osądzeniu przez swoich współtowarzyszy Sam Bowles i jego kompani sprowadzeni zostali pod pokład i zamknięci w małym pomieszczeniu, które służyło niegdyś jako skład okrętowemu cieśli. W ciemnym wnętrzu nie było prawie powietrza; gardło dławilił odór ścieków i pieprzu. Klitka była tak mała, że nie mogli się wszyscy jednocześnie wyciągnąć na podłogę. Kiedy ułożyli się wreszcie, zapadło rozpaczliwe milczenie.

- Jak sądzicie, gdzie nas wsadzili? - zapytał żalonym głosem Ed Broom. - Chyba pod linią wody.

- Nikt z nas nie zna tej holenderskiej łajby - mruknął Sam Bowles.

- Myślisz, że nas zabiją? - zapytał Peter Law.

- Możesz być pewien, że nas nie uściskają i nie wycalują - odparł Bowles.

- Przeciąganie pod kilem... - szepnął Ed. - Widziałem je raz. Kiedy wywlekli biednego drania z drugiej strony, był martwy jak sznur wyjęty z beczki z piwem. Nie zostało na nim dużo ciała; wszystko zdarły małże pod kadłubem. Widać było wystające białe kości.

Przez chwilę nad tym dumali.

- Widziałem, jak wypatroszyli i powiesili królobójców w Tyburn w pięćdziesiątym dziewiątym - odezwał się Peter Law. - Tych, którzy zamordowali króla Karola. Otworzyli im brzuchy jak rybom, wsadzili do środka żelazny hak, kręcili nim, aż złapał wszystkie flaki, i wywlekli je jak jakieś liny. Potem ucięli im kutasy i jaja...

- Zamknij się - warknął Sam i znowu zapadło ponure milczenie.

- Leci tu skądś powietrze - oznajmił godzinę później Ed Broom. - Czuję przeciąg na karku.

- To prawda - dodał po chwili Peter Law. - Ja też go czuję.

- Co jest za tą ścianą?

- Nikt nie ma pojęcia. Może główna ładownia. W ciemności rozległ się cichy chrobot.

- Co robicie? - zapytał Sam.

- W desce jest dziura. Tędy wpada powietrze.

- Pokażcie. - Sam doczołgał się do nich i po kilku chwilach przyznał im rację. - Zgadza, się. Mogę wsadzić do niej palce.

- Może uda nam się ją oderwać.

- Jeśli złapie cię na tym Duży Daniel, będziesz miał się z pyszna.

- Co mi takiego zrobi? Wypatroszy i poćwiartuje? I tak ma zamiar to uczynić.

Sam trzymał się przez chwilę w ciemności.

- Gdybym miał czym podważyć deskę... - jęknął.

- Ja siedzę na jakichś kołkach.

Wzięli się wszyscy razem do roboty i po jakimś czasie udało im się wsadzić koniec grubego palika w dziurę w desce. Używając go jako dźwigni, zawiśli na nim wszyscy razem. Drewno pękło z trzaskiem i Sam wsadził rękę w otwór.

- Jest tam pusta przestrzeń. Może uda nam się wyjść na zewnątrz.

Wszyscy rzucili się do przodu. Chcąc powiększyć otwór, zdzierali sobie w pośpiechu paznokcie i wbijali w dłonie drzazgi.

- Cofnąć się! Do tyłu! - syknął Sam i wystawił głowę na drugą stronę.

Kiedy tylko usłyszeli, że wyczołgał się na zewnątrz, ruszyli za nim.

Macając przed sobą drogę, Sam zaniósł się kaszlem. W gardle paliło go od pieprzu. Znajdowali się w ładowni, w której stały beczki z przyprawami. Było tu trochę jaśniej; światło docierało przez szpary nad nie domkniętymi pokrywami luków.

W półmroku ledwie widzieli wielkie, ustawione w rzędach baryłki, wyższe od dorosłego mężczyzny. Pokład był zbyt niski, żeby zdołali przeczołgać się po nich górą. Mogli się tylko precyzyjnie przesuwać między nimi, a nie było to zbyt bezpieczne.

Ciężkie baryłki przesuwały się zgodnie z ruchem statku, szurając i stukając o deski pokładu i szarpiąc zabezpieczające je liny. Gdyby ktoś dostał się między nie, zmiażdżyłyby go jak karalucha.

Sam Bowles był z nich wszystkich najmniejszy. Czołgał się pierwszy, pozostali szli za nim. Nagle ciszę rozdarł przenikliwy krzyk i wszyscy zamarli w bezruchu.

- Zamknij się, ty idioto! - warknął Sam, odwracając się. - Ściągniesz nam na łeb całą załogę.

- Moja ręka! - wrzasnął Peter Law. - Wydostańcie mnie!

Jedna z wielkich beczek uniosła się, a potem opadła na miejsce, przygniatając całym swoim ciężarem rękę Petera. W dalszym ciągu przesuwała się po podłodze i słyszeli, jak kości jego przedramienia i łokcia pękają niczym wysuszone ziarno wrzucone między kamienie młyńskie. Peter Law wrzeszczał jak opętany i nie sposób było go uciszyć: ból odebrał mu rozum.

Sam podczołgał się do niego.

- Stul dziób! - syknął. Złapał go za ramię i próbował uwolnić. Ale ręka była zakleszczona pod beczką i Peter wrzasnął jeszcze głośniejsze. - Nic z tego nie będzie - mruknął Sam i zdjął z bioder sznur, który służył mu jako pasek. Zawiązał pętlę, zarzucił ją na szyję Petera, oparł obie stopy o jego łopatki i z całej siły pociągnął. Dzikie krzyki nagle umilkły. Sam przytrzymał przez chwilę pętlę, a kiedy drgawki ustały, zawiązał z powrotem sznur wokół pasa. - Musiałem to zrobić - wyjaśnił pozostałym. - Lepiej, żeby zginął jeden niż my wszyscy.

Nikt się nie odezwał, lecz kiedy Sam poczołgał się dalej, ruszyli za nim, pozostawiając trupa, którego przesuwanie się beczki miały zetrzeć na miazgę.

- Pomóżcie mi - mruknął Sam i podsadzili go na beczkę stojącą tuż pod lukiem. - Od pokładu dzieli nas teraz tylko kawałek płótna - szepnął z triumfem, dotykając ciasno napiętej płachty.

- Zmywajmy się stąd - mruknął Ed Broom.

- Jest jeszcze jasno - zaprotestował Sam, nie pozwalając mu rozwiązać sznurów, które mocowały płótno. - Zaczekajmy, aż się ściemni. Nie potrwa to długo.

Światło sączące się przez szpary wokół płóciennej płachty stopniowo gasło. Usłyszeli oznajmiający zmianę wachty okrętowy dzwon.

- Koniec drugiej psiej wachty - stwierdził Ed. - Wyłaźmy.

- Zaczekajmy jeszcze trochę - upierał się Sam. Po kolejnej godzinie kiwnął głową. - Rozwiążcie sznury.

- Co zrobimy, kiedy wyjdziemy na pokład? - Teraz, kiedy trzeba było działać, obleciał ich strach. - Nie myślisz chyba, że uda nam się opanować statek?

- Nie, ty ośle. Mam już powyżej dziurek w nosie naszego kapitana Franky'ego. Znajdę coś, co unosi się na wodzie, i pryskam za burtę. Łąd jest całkiem blisko.

- A rekiny?

- Kapitan Franky ma ostrzejsze zęby od wszystkich parszywych rekinów, które tu pływają. Nikt się z nim nie spierał. Obluzowali skraj płachty i Sam wystawił głowę na zewnątrz.

- Droga wolna. Przy grotmaszcie widzę kilka pustych beczek na wodę. Posłużą nam za tratwę.

Wygramolił się spod płótna i puścił biegiem po pokładzie. Pozostali poszli jeden za drugim w jego ślady i pomogli mu rozwiązać liny. Po chwili mieli dwie wolne beczki.

- Pchajmy razem, chłopcy - szepnął Sam. Wspólnie potoczyli pierwszą beczkę po pokładzie. Przerzucili ją przez reling, a potem wrócili biegiem po następną.

- Hej, wy! Co tam robicie?

Wszyscy czterej odwrócili się zaskoczeni do tyłu i zobaczyli Hala.

- To szczeniak Franky'ego! - krzyknął Peter Miller.

Zostawili beczkę i popędzili w stronę burty. Ed Broom skoczył do morza pierwszy, głową w dół, Peter Miller i John Tatę sekundę po nim.

Hal zorientował się w ich zamiarach i puścił w pogoń za Samem Bowlesem, który jako przywódca był najbardziej winny z całej grupy. Zdołał go dopaść przy samym relingu.

- Ojczy! - krzyknął dość głośno, żeby jego głos dotarł do wszystkich zakamarków statku. - Pomóż mi, ojczy!

Zwarci w ciasnym uścisku, mocowali się ze sobą. Hal założył Bowlesowi chwyt na szyję, lecz ten odchylił głowę i uderzył bykiem, chcąc mu złamać nos. Duży Daniel nauczył jednak chłopca sztuki zapasów i Hal był na to przygotowany - opuścił brodę na pierś i czoło uderzyło w czoło. Na pół ogłuszony Hal rozluźnił uścisk.

Sam natychmiast skoczył w stronę burty, lecz chłopak podniósł się na kolana i złapał go za nogi.

- Ojcze! – krzyknął ponownie.

Sam wierzgał nogami, próbując się uwolnić, ale Hal nie puszczał. A potem Bowles podniósł wzrok i zobaczył zbiegającego z nadbudówki sir Francis Courteneya. Kapitan trzymał w ręku obnażoną szpadę. Jej ostrze połyskiwało w świetle gwiazd.

- Trzymaj go mocno, Hal! Już idę!

Sam nie miał czasu zdjąć opasującego go sznura i zarzucić pętli na szyję Hala. Zamiast tego pochylił się i złapał go oburącz za gardło. Był małym mężczyzną, ale palce miał silne i twarde jak kolce marlina. Wymacał tchawicę Hala i zaczął go bez litości dusić.

Chłopak zacharczał z bólu. Puścił nogi przeciwnika i złapał go za nadgarstki, próbując wyrwać się z uścisku. Sam oparł stopę o jego pierś, odepchnął go do tyłu i pognął do relingu. Nadbiegający sir Francis ciął na odlew szpada, ale Sam uchylił się i dał nurka do morza.

- Ten szczur wymknął się z potrzasku - ryknął sir Francis. - Bosmanie, wezwij wszystkich ludzi na pokład. Wracamy, żeby ich wyłowić.

Impet, z jakim Sam Bowles runął w dół, wciągnął go głęboko pod powierzchnię wody. W piersiach zaparło mu dech z zimna. Czuł, że tonie, lecz nie poddawał się, przebierając rozpaczliwie rękoma i starając się wypłynąć. W końcu wynurzył głowę, zaczerpnął pełne płuca powietrza i poczuł, że mija mu zawrót głowy i odzyskuje władzę w nogach.

Zerknął na mijający go majestatycznie kadłub statku i chwilę później znalazł się w obrębie jego kilwateru, połyskującego oleiście w świetle gwiazd. To była droga, która powinna zaprowadzić go do zrzuconej z pokładu beczki. Musiał dotrzeć do niej, nim fale porwą ją na bok, pozostawiając go bez żadnego punktu orientacyjnego w ciemności. Nie miał na nogach butów i ubrany był tylko w podartą bawełnianą koszulę i płócienne szarawary, które nie utrudniały mu ruchów. Spokojnie wynurzył ramię z wody, ponieważ w przeciwieństwie do swoich towarzyszy był dobrym pływakiem.

Po przepłynięciu kilkudziesięciu jardów usłyszał koło siebie wołanie o pomoc.

- Ratunku, Samie Bowles! Podaj mi rękę, druhu, bo pójdę na dno!

Sam zatrzymał się i przebierając nogami w miejscu zobaczył młocącego dziko wodę Eda Brooma. A za nim, na szczycie ciemnej fali coś jeszcze, coś czarnego i okrągłego.

Beczka!



Na drodze do niej znajdował się jednak Ed Broom. Sam zaczął ponownie płynąć, okrążając go szerokim łukiem. Niebezpiecznie było zbliżać się do tonącego, ponieważ mógł złapać człowieka w śmiertelny uchwyt i pociągnąć za sobą na dno.

- Proszę cię, Sam! Nie zostawiaj mnie!

Głos Eda stawał się coraz cichszy. Sam dopłynął do unoszącej się na falach beczki i złapał za wystający czop. Przez chwilę odpoczywał, a potem, widząc zbliżającą się głowę kolejnego pływaka, wynurzył się z wody.

- Kto to? - wydyszał.

- To ja, John Tatę - odparł mężczyzna, wypływając z ust morską wodę i próbując złapać się beczki.

Sam ściągnął sznur z bioder, zawiązał go wokół czopa i wsadził ramię w pętlę. John Tatę także ją złapał. Bowles próbował go odepchnąć.

- Zostaw! To mój sznur! - syknął.

Ogarnięty paniką John nie zamierzał jednak ustąpić i po minucie Sam dał za wygraną. Nie mógł trwonić sił na walkę z większym od siebie mężczyzną. Zawarliśmy niechętnie zawieszenie broni, trzymali się razem sznura.

- Co się stało z Peterem Millerem? - zapytał John Tatę.

- Mam w dupie Petera Millera - warknął Sam.

Woda była zimna i ciemna jak smoła i obaj wyobrażali sobie, co może się czaić pod ich nogami. W tych okolicach śladem statku zawsze podążało stado tygrysich rekinów, czekających na odpadki i zawartość kubłów, które wyrzucano do morza z latryny. Bowles widział kiedyś jedno z tych przerażających stworzeń, długich niczym szalupa Lady Edwiny i nie mógł teraz o nim przestać myśleć. Czuł, jak całe jego ciało kurczy się i dygocze ze strachu przed długimi rzędami kłów, które mogły rozerwać go na pół, tak jak on rozgryzał zębami dojrzałe jabłko.

- Popatrz! - stęknął John Tatę i zakrztusił się, gdy woda wlała mu się w otwarte usta.

Sam podniósł głowę i zobaczył wynurzającą się z mroku, wielką niczym góra sylwetkę statku.

- Cholerny Franky wraca, żeby nas odnaleźć - jęknął, szcękając zębami.

Patrzyli z przerażeniem na sunący ku nim kadłub, coraz większy i większy, aż zasłonił prawie wszystkie gwiazdy na niebie. Słyszeli ludzi krzątających się po pokładzie.

- Widzisz tam coś, mistrzu Danielu? - To był głos sir Francisa.

- Nic, kapitanie - zabrzmiał od dziobu głos Dużego Daniela.

Dostrzeżenie w czarnej rozkołysanej wodzie ciemnej beczki i dwóch unoszących się obok niej głów graniczyło z niemożliwością.

Rozbitków uderzyła wzniesiona przez galeon fala dziobowa i po chwili znaleźli się w jego kilwaterze. Zawieszona na rufie lampa powoli znikła w ciemności.

Dwukrotnie jeszcze tej nocy zobaczyli jej blask, za każdym razem jednak statek przepływał coraz dalej. Wiele godzin później, gdy zaczęło świtać, z obawą rozejrzeli się wokół siebie, ale galeon zniknął z pola widzenia. Sir Francis musiał uznać, że utonęli, i wrócił na swój pierwotny kurs. Otepiali z zimna i zmęczenia, trzymali się kurczowo sznura.

- Tam jest ląd - szepnął Sam, gdy fala uniosła ich w górę i dostrzegli ciemny zarys wybrzeża Afryki. - Jest tak blisko, że mógłbyś do niego łatwo dopłynąć.

John Tatę nie odpowiedział, spojrzął na niego tylko przeciągle spuchniętymi, podbiegłymi krwią oczyma.

- To twoja jedyna szansa. Dla młodego silnego faceta takiego jak ty. O mnie się nie martw - wycharczał Sam przez spuchnięte od soli gardło.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, Samie Bowles - odparł John.

Sam umilkł, nie chcąc niepotrzebnie marnować sił. Zimno dotkliwie dawało mu się we znaki. Po jakimś czasie słońce wspięło się wyżej i poczuli je, najpierw, kiedy zaczęło przyjemnie przygrzewać, a potem gdy zmieniło się w buzujące wnętrze pieca, które paliło ich ramiona i głowy i oślepiało odbitym od oceanu światłem.

Słońce wędrowało coraz wyżej, lecz ląd nie przybliżył się nawet o milę; prąd niósł ich równoległe do skalistych cyplów i białych plaż. Sam zauważył cień chmury, który minął ich, sunąc po powierzchni wody. A potem cień skręcił i zawrócił, poruszając się w kierunku przeciwnym niż wiatr. Sam zadrżał i podniósł głowę. Na boleśnie błękitnym niebie nie było ani skrawka chmury. Spojrzął ponownie w dół i skupił całą swoją uwagę na ciemnej plamie. Fala uniosła beczkę wyżej i mógł jej się lepiej przyjrzeć.

- Słodki Jezu! - jęknął przez spieczone, popękane od soli wargi. Woda była przejrzysta niczym szklanka z dżinem. Zobaczył przesuwający się niżej cętkowany kształt z ciemnymi niczym u zębry pasami na grzbiecie i wrzasnął wniebogłoso.

John Tatę uniósł leniwie głowę.

- Co się stało? Chyba słońce wypaliło ci mózg, Samie Bowles.

Spojrzał w rozszerzone strachem oczy kompana, a potem odwrócił leniwie głowę, podążając za jego wzrokiem. Obaj ujrzeli potężny widlasty ogon, który uderzał energicznie w lewo i w prawo, posuwając do przodu długie ciało. Rekin płynął w górę i po chwili na

powierzchni wody ukazał się wysoki zaledwie na palec szczyt płetwy grzbietowej. Reszta kryła się pod wodą.

- Rekin! - syknął John Tate. - Tygrysi rekin! Zaczął wściekle wierzgać nogami, próbując obrócić beczkę dookoła, żeby to Bowles znalazł się bliżej bestii.

- Spokojnie - warknął Sam. - Jest niczym kot. Jeśli się poruszysz, od razu zaatakuję.

Widzieli oko bestii, malutkie jak na tak wielkie ciało. Wpatrywało się w nich nieubłaganie, gdy rekin zaczął ich okrążyć. Zatoczył kilka kręgów, za każdym razem podpływając coraz bliżej beczki.

- Sukinsyn poluje na nas niczym łasica na kuropatwę.

- Stul dziób. Nie ruszaj się - jęknął Sam, lecz on również nie mógł dłużej opanować przerażenia.

Puściły zwieracze i poczuł między nogami cuchnący ciepły prąd. Woń jego ekskrementów najwyraźniej podnieciła bestię; jej ogon zaczął wybijać szybszy rytm. Płetwa grzbietowa wynurzyła się cała z wody, długa i zakrzywiona niczym sierp żniwiarza.

Pieniąc wodę uderzeniami ogona, rekin rąbnął pyskiem w bok beczki. Sam przyglądał się ze zgrozą zmianie, jaka zaszła w gładkim łbie. Jego górna część podniosła się i rozwarły się potężne szczęki. Dwa rzędy zębów wysunęły się do przodu i zmiażdżyły drewniane klepki beczki.

Obaj mężczyźni wpadli w panikę. Próbowali wydobyć z wody niższe partie ciała, gramolili się na swojej zniszczonej tratwie, krzyczeli jak opętani i drapali paznokciami klepki beczki i siebie nawzajem.

Rekin cofnął się i zaczął zataczać kolejny ze swoich strasznych kręgów. Nad wyszczerzonym półkolem zębów tkwiło małe oczko. Koncentrując teraz całą uwagę na młócących wodę nogach mężczyzn, bestia ruszyła do przodu, prując wodę szerokim grzbietem.

John Tate umilkł nagle, lecz jego usta wciąż były szeroko otwarte i Sam zobaczył różowe wnętrze gardła. Nie wydobywał się z niego żaden dźwięk poza sykiem powietrza. Nagle John zniknął pod wodą. Jego lewa dłoń wciąż trzymała pętlę i kiedy rekin wciągnął go w głąb, beczka poszła w dół jak szałwiarz.

- Puszczaj! - wrzasnął Sam, kręcąc się w kółko i czując, jak sznur wrzyna mu się w dłoń.

Po chwili beczka wyskoczyła z powrotem na powierzchnię, a morze dookoła zabarwiła ciemna różowa plama.

A potem z wody wynurzyła się głowa Johna. Wydając z siebie ochryple krakanie, prysnął krwawą śliną prosto w oczy Sama. Z jego lodowato białej twarzy odpłynęła cała krew. Rekin zaatakował ponownie i zacisnął szczęki na tułowi, szarpiąc go i ciągnąc. Pogruchozana beczka znowu poszła pod wodę. Kiedy wyskoczyła z powrotem, Sam zaczerpnął powietrza i szarpnął Johna za nadgarstek.

- Precz! - wrzasnął do swego towarzysza i do rekina. - Precz ode mnie!

Z siłą szaleńca uwolnił pętlę i kopnął Johna w pierś, odpychając go od beczki i nie przestając drzeć się na pełne gardło.

John Tate nie opierał się. Miał wciąż otwarte oczy, ale choć drżały mu wargi, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Jego tułów został przecięty równo poniżej pasa, a krew zabarwiła wodę na ciemnoczerwony kolor. Rekin szarpnął go ponownie, a potem odpłynął, połykając kawały ciała.

Zniszczona beczka nabrała wody i zanurzyła się trochę głębiej, ale dało jej to stabilność, której nie miała przedtem. Sam spróbował się na nią wdrapać. Przy trzeciej próbie udało mu się i trzymając się kurczowo desek, położył się na swej tratwie. Nie była to zbyt bezpieczna pozycja i bał się podnieść głowę, żeby nie zsunąć się z powrotem do morza. Po jakimś czasie rekin wrócił i Sam zobaczył przed oczyma wielką płetwę grzbietową. Nie śmiejąc obserwować zataczanych przez nią kręgów, przymknął oczy i starał się nie zwracać uwagi na obecność bestii.

Nagle beczka skoczyła do góry i Sam, zapominając o swym postanowieniu, wytrzeszczył szeroko oczy i wrzasnął. Ale rekin wbił tylko ponownie zęby w drewniane klepki i wycofał się. Wracał jeszcze dwukrotnie, za każdym razem trącając beczkę swym groteskowym pyskiem, robił to jednak z coraz mniejszą determinacją, być może dlatego, że zaspokoił apetyt i nie odpowiadał mu smak i zapach drewna. W końcu Sam zobaczył, jak odwraca się i odpływa pod prąd, kiwając na pożegnanie wysokim ogonem.

Leżał nieruchomo na beczce, żeglując okrakiem na słonym brzuchu oceanu i poddając się jego ruchom niczym wyczerpany kochanek. Wkrótce zapadła noc i teraz nawet gdyby chciał, nie był w stanie się poruszyć. Stracił kilka razy świadomość i zaczął majaczyć.

Śniło mu się, że jest kolejny ranek i zdołał przetrwać noc. Śniło mu się, że słyszy w pobliżu ludzkie głosy, otwiera oczy i widzi zbliżający się wysoki statek. Wiedział, że to tylko omamy, ponieważ w ciągu dwunastu miesięcy ten odległy przyłodek na końcu świata okrążało nie więcej niż dwa tuziny statków. Mimo to patrzył, jak ze statku spuszcza się szalupę, która rusza w jego stronę. Dopiero czując krzepkie ręce, które chwyciły go za nogi, zdał sobie sprawę, że to nie sen.

Resolution zbliżała się do brzegu z tylko kilkoma postawionymi żaglami; załoga gotowa była w każdej chwili je zwinąć.

Oczy sir Francisa pobiegły od żagli ku zbliżającemu się lądowi. Słuchał pilnie nawoływania marynarza, który zarzucał sondę z dziobu, a potem gdy statek mijał ją, wyciągał z wody linę i odczytywał wynik.

- Dwadzieścia stóp!

- Za godzinę będziemy mieli najwyższą falę - stwierdził Hal, podnosząc wzrok znad tabliczki. - A za trzy dni pełnię księżyca.

- Dziękuję, pilocie - odparł z przekąsem sir Francis. Hal spełniał wyłącznie swój obowiązek, ale nie tylko on ślęczał godzinami nad dziennikiem okrętowym i tablicami. Po chwili twarz kapitana rozchmurzyła się. - Wdrap się na bocianie gniazdo, chłopcze, i trzymaj oczy szeroko otwarte.

Patrzył, jak Hal wspina się po wantach, a potem zerknął na sternika.

- Rumb na lewo, mistrzu Nedzie - powiedział cicho.

- Rumb na lewo, kapitanie.

Ned przesunął zębami cybuch fajki z jednego kącika ust w drugi. On także zauważył białą rafę przy wejściu do kanału. Ląd był teraz tak blisko, że widzieli poszczególne gałęzie drzew, które rosły na skalistych cyplach strzegących wejścia.

- Tak trzymać - mruknął sir Francis, kiedy Resolution wpłynęła między potężne skały.

Tego kanału nie naniesiono na żadnej z map, które zdobył lub kupił. Pobliskie wybrzeża określano zawsze jako niebezpieczne i zdradliwe, utrzymując, że na wschód od Przylądka Dobrej Nadziei znajduje się tylko kilka dobrych kotwicowisk. A jednak gdy Resolution weszła głębiej w kanał, ich oczom ukazała się szeroka piękna laguna otoczona z wszystkich stron przez zalesione wysokie wzgórza.

- Laguna Słoni! - szepnął radośnie Hal siedzący w bocianim gnieździe.

Mijały już dwa miesiące, odkąd ostatnim razem wypłynęli z tej tajnej bazy wypadowej. Jakby na potwierdzenie nazwy, jaką sir Francis nadał swej kryjówce, z plaży pod lasem dobiegło donośne trąbienie.

Hal roześmiał się wesoło, widząc cztery potężne szare sylwetki. Stały obok siebie w zwartym szyku, z rozpostartymi szeroko uszami. Unosząc trąby w górę, szukały w powietrzu zapachu dziwnej zbliżającej się zjawy. Stary samiec podniósł długie żółtawe kły, potrząsnął łbem i ponownie zatrąbił. Jego uszy załopotwały niczym szare podarte płótno grotzągla.

Stojący na dziobie Aboli odwzajemnił pozdrowienie, unosząc wysoko rękę i przemawiając do samca słowami, które tylko Hal mógł zrozumieć.

- Widzę cię, mądry starcze. Odejdź w pokoju, bo mamy ten sam totem i nie chcę ci zrobić krzywdy.

Na dźwięk jego głosu słonie odeszły od skraju wody, a potem odwróciły się jak jeden mąż i kołysząc zadami, potruchtaly do lasu. Hal ponownie się roześmiał, ze słów Abolego i na widok wielkich bestii, od których biegu trzęsła się ziemia.

Zaczął znów wypatrywać łańcuch piasku i mielizn i przekazywać wskazówki ojcu stojącemu na nadbudówce. Resolution podążała krętym wodnym kanałem przez całą lagunę, aż zatrzymała się w szerokim zielonym basenie. Na rejach zwinięto ostatni skrawek żagla i spuszczone z pluskiem kotwicę. Statek obrócił się łagodnie wokół osi i ściągnięty łańcuchem zadarł dziób w górę.

Znajdowali się zaledwie pięćdziesiąt jardów od plaży, ukryci za małą, leżącą pośrodku laguny wysepką, która zasłaniała ich od strony wejścia do kanału. Sir Francis zaczął wydawać rozkazy, zanim jeszcze statek stanął w miejscu.

- Cieśło! Proszę zmontować i zwodować szalupy!

Przed południem pierwszą łódź spuszczone na wodę i wsiadło do niej dziesięciu ludzi ze swymi marynarskimi workami. Duży Daniel objął komendę nad wioślarzami, którzy wysadzili ich u podnóża skalistych cyplów. Sir Francis patrzył przez teleskop, jak wspinają się udeptaną przez słonie stromą ścieżką na sam szczyt. Mieli trzymać tam wartę i ostrzegać go o wszelkich zbliżających się statkach.

- Jutro przewieziemy tam nasze kolubryny i ustawimy je na kamiennych szańcach, żeby osłaniały wejście do kanału - powiedział Halowi. - A teraz, uczcimy nasz powrót, jedząc na obiad świeżą rybę. Zabierz haczyki i linki i weź Abolego i jeszcze czterech ludzi do drugiej łodzi. Złapcie trochę krabów na plaży i przywieźcie pełen worek ryb do okrętowego kambuza.

Stojąc na dziobie wpływającej do kanału łodzi, Hal utkwiał wzrok w wodzie. Była tak czysta, że widział piaszczyste dno. W lagunie roiło się od ryb, całe ich ławice uciekały przed łodzią. Wiele było dużych jak jego ramię, widział i takie, które przekraczały długością rozpostarte ręce.

Po zakotwiczeniu łodzi w najgłębszym miejscu kanału Hal założył na haczyk kraba, którego wykopali z piasku na plaży, i zarzucił linkę. Ryba wzięła, nim jeszcze przynęta zdążyła dotknąć dna, i to z taką siłą, że napięta linka otarła mu palce. Odchyliwszy się do tyłu, zaczął ją wybierać i po chwili wciągnął do łodzi połyskującą żywym srebrem rybę.

Wciąż rzucała się po pokładzie, uciekając przed Halem próbującym wyciągnąć jej zakrzywiony haczyk z pyska, gdy Aboli wydał triumfalny okrzyk i szarpnął własną linkę.



Zanim ją wyciągnął, wszyscy pozostali marynarze śmieli się, wybierając trzepoczące na haczykach ciężkie ryby.

Po godzinie brodzili wśród nich po kolana, usmarowani od stóp do głów śluzem i łuskami. Linki i kłujące ostre płetwy pokaleczyły do krwi ich twarde, zrogowaciałe od takielunku dłonie żeglarzy. Wygarnianie na pokład tego strumienia żywego srebra nie było już sportem, lecz ciężką pracą.

Tuż przed zachodem słońca Hal zarządził koniec połowu i powiosłowali z powrotem do galeonu stojącego na kotwicy. Kiedy znajdowali się ponad sto jardów od statku, wiedziony nagłym impulsem chłopak podniósł się, ściągnął z siebie śmierdzące śluzem ubranie i goły jak go Pan Bóg stworzył, stanął na ławce na rufie.

- Przycumuj łódź przy galeonie i rozładuj ryby - zawołał do Abolego. - Ja popłynę wplaw.

Kapał się przed dwoma miesiącami, gdy po raz ostatni stali na kotwicy w lagunie, i marzył teraz o chłodnym dotyku wody. Wyprostował się i dał nurka. Stojący przy relingu marynarze dopingowali go sprośnymi okrzykami i nawet sir Francis oderwał się od swoich zajęć i spojrzał nań pobłażliwym okiem.

- Nie gniewaj się na niego, kapitanie. Wciąż jest jeszcze beztroskim chłopcem - odezwał się Ned Tyler. - Ale ponieważ jest taki duży i wysoki, czasami o tym zapominamy.

Ned żeglował z sir Francisem od tylu lat, że można mu było wybaczyć podobną poufałość.

- W guerre de course nie ma miejsca dla bezmyślnych chłopców. To zajęcie dla mężczyzn i nawet najmłodszy muszą mieć głowę na karku, jeśli nie chcą zawisnąć na holenderskiej szubienicy - odparł sir Francis. Nie udzielił jednak żadnej reprimendy Halowi, obserwując jego prujące wodę białe ciało, gibkie i zgrabne jak ciało delfina.

Kalinka usłyszała gwar na pokładzie i podniosła wzrok znad czytanej książki. Był to wydrukowany prywatnie w Paryżu egzemplarz „Gargantui i Pantagruela” Franciszka Rabelais’go, z pięknymi erotycznymi ilustracjami, ręcznie malowanymi i wyjątkowo realistycznymi. Przysłał go jej pewien młody człowiek, którego poznała przed ślubem w Amsterdamie. Z własnego doświadczenia znał bardzo dobrze jej upodobania. Wyjrzała przez okno i to, co zobaczyła, bardzo ją zainteresowało. Upuściła książkę i wstała, żeby lepiej widzieć.

- Twój mąż, Lieveling - ostrzegła ją Zeld.

- Do diabła z moim mężem - odparła Kalinka, wychodząc na galeryjkę i osłaniając oczy przed niskimi promieniami zachodzącego słońca.

Młody Anglik, który wziął ją do niewoli, stał na rufie małej łódki, sunącej nieopodal po spokojnej wodzie laguny. Nagle ściągnął z siebie brudne i podarte ubranie i stanął bezwstydnie nagi, balansując z wdziękiem na ławce.

Jako mała dziewczynka towarzyszyła ojcu w podróży do Włoch. Kiedy ojciec spotykał się ze swymi partnerami w interesach, przekupiła Zeldę, żeby pozwoliła jej obejrzeć rzeźby Michała Anioła. Tamtego parnego popołudnia prawie godzinę stała przed statua Dawida. Jego piękno wzbudziło w niej wiele emocji. Po raz pierwszy oglądała podobiznę nagiego mężczyzny i ta godzina odmieniła jej życie.

Patrzyła teraz na kolejną statua Dawida, tym razem nie wykuta w chłodnym marmurze. Od czasu pierwszego spotkania w jej kajucie często widywała tego chłopca. Deptał jej po piętach niczym zakochany szczeniak. Za każdym razem, kiedy wychodziła z kabiny, pojawiał się nie wiadomo skąd i wodził za nią cielecym wzrokiem. Jego adoracja bawiła ją w umiarkowanym stopniu, ponieważ oczekiwała jej od każdego mężczyzny między czternastym i osiemdziesiątym rokiem życia. Ten ładny młodzieniec w workowatych brudnych łachmanach zasługiwał co najwyżej na przelotne spojrzenie. Po ich pierwszym burzliwym spotkaniu w kajucie pozostał tak silny odór nie mytego ciała, że kazała Zeldzie spryskać ją perfumami. Wiedziała jednak z własnego gorzkiego doświadczenia, że wszyscy marynarze śmierdzą, woda na statku służyła bowiem prawie wyłącznie do picia.

Teraz, kiedy chłopak pozbył się swych irytujących łachów, uświadomiła sobie, że jest naprawdę piękny. Chociaż miał opalone ręce i twarz, tors i nogi wyrzeźbione były w nieskazitelnym alabastrze. Ciemne włosy spadały mu na plecy, a stojące nisko słońce ozłociło kontury jego ciała. Białe zęby lśniły na tle opalonej twarzy, a jego śmiech był melodyjny i tak szczerzy, że nie mogła się sama nie uśmiechnąć.

A potem przyjrzała mu się dokładniej i otworzyła usta. Fiołkowe oczy zwały się i pojawiło się w nich wyrachowanie. Słodkie rysy jego twarzy wprowadziły ją w błąd. Nie był już wcale chłopcem. Na płaskim brzuchu odznaczały się silne młode mięśnie, przypominające rzeźbione wiatrem wydmy. Niżej zobaczyła kępę ciemnych włosów, a różowy penis wydawał się większy niż penis Dawida wykutego przez Michała Anioła.

Kiedy zanurkował w lagunie, śledziła w przejrzystej wodzie każdy ruch jego ciała. Po chwili wynurzył się na powierzchnię i zaśmiewając się, odrzucił do tyłu zmoczone włosy. Fruwające krople wody zalśniły niczym anielska aureola.

Zaczął płynąć w stronę miejsca, gdzie stała, wysoko na rufie, prując wodę z tym szczególnym wdziękiem, którego nie zauważyła, gdy odziany był w płócienne łachy. Przepłynął prawie dokładnie pod jej balkonem, lecz nie podniósł głowy, nie mając pojęcia, że

mu się tak pilnie przygląda. Widziała każdy otoczony twardymi mięśniami krąg na jego plecach i szczupłe krągłe pośladki, które zwierzały się zmysłowo przy uderzeniach nóg, tak jakby płynąc kochał się z wodą.

Wychyliła się z balkonu, chcąc go dalej obserwować, lecz on opłynął rufę i zniknął jej z oczu. Rozczarowana wydeła usta i wróciła do lektury książki, ale zawarte w niej ilustracje straciły swój powab w porównaniu z prawdziwym ciałem i lśniąca młodą skórą.

Usiadła z otwartą książką na kolanach i wyobraziła sobie to twarde młode ciało tuż nad sobą; wyobraziła sobie jędrne pośladki, które zaciskają się i zmieniają kształt, gdy wbija w nie paznokcie. Instynkt podpowiadał jej, że jest prawiczkiem - czuła niemal emanujący z niego słodkawy zapach niewinności, zapach, który przyciągał ją tak jak osę przyciąga dojrzały owoc. Po raz pierwszy w życiu pokocha się z mężczyzną bez żadnego seksualnego doświadczenia. Myśl o tym sprawiła, że wydał się jej jeszcze piękniejszy.

Tym erotycznym marzeniem dodawał blasku długi okres przymusowej wstrzemięźliwości. Odchyliła się do tyłu, zacisnęła mocno uda i zaczęła kołysać się lekko w fotelu, uśmiechając się skrycie do samej siebie.

Trzy następne noce Hal spędził w obozie na plaży pod skałami. Na polecenie ojca dozorował przewiezienie armat na ląd i wznoszenie kamiennych szańców, które miały strzec wąskiego wejścia do laguny.

Sir Francis sprawdził oczywiście wybrane przez syna miejsca, lecz nawet on musiał przyznać, że Hal znakomicie wywiązał się z zadania i działa są w stanie zniszczyć każdy statek szukający przejścia między skałami.

Czwartego dnia, wracając łodzią przez lagunę, Hal już z daleka dostrzegł, że praca na galeonie posuwa się szybko naprzód. Cieśla i jego pomocnicy obudowali rufę rusztowaniami i ku wielkiemu niezadowoleniu rezydujących tam osób dopasowywali nowe deski, aby zastąpić nimi te, które zniszczył ogień armat. Tymczasowy maszt, postawiony przez holenderskiego kapitana w miejsce grota złamanego przez huragan, został zdemontowany i takielunek galeonu sprawiał bez niego niezborne i chaotyczne wrażenie.

Kiedy wdrapał się na pokład, zobaczył, że Ned Tyler i podlegli mu ludzie wydobywają z ładowni masywne kłocę egzotycznego drzewa, stanowiące najcięższą część ładunku, i spuszczają je na wodę w stronę plaży.

Zapasowy maszt spoczywał na samym dnie ładowni obok zapieczętowanego pomieszczenia, w którym znajdowały się monety i sztaby. Żeby się do nich dostać, trzeba było usunąć wszystko, co znajdowało się na górze.

- Twój ojciec posłał po ciebie - powiedział mu na przywitanie Aboli i Hal pośpieszył ku rufie.

- Obozując na brzegu, straciłeś trzy dni studiów - oznajmił mu bez zbędnych wstępów sir Francis.

- Tak, ojczu.

Hal wiedział, że nie ma sensu tłumaczyć, iż nie zrobił tego umyślnie. Przynajmniej nie będąc przepraszał, postanowił w duchu i spojrział odważnie ojcu w oczy.

- Dziś po kolacji przećwiczę z tobą katechizm zakonu. Przyjdź do mojej kabiny po ósmym dzwonku drugiej psiej wachty.

Katechizm zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala nie został uwieczniony na piśmie i przez blisko cztery stulecia ezoteryczne pytania i odpowiedzi przekazywane były z ust do ust; mistrz wprowadzał nowicjusza w reguły zakonu.

Siedząc obok Abolego na przednim pokładzie, Hal połykał szybko kawałki gorącego suchara i pieczonej świeżej ryby. Teraz, gdy mieli nieograniczone zasoby świeżego jedzenia i drewna na opał, posiłki na statku były obfite, lecz Hal jadł w ponurym milczeniu. W pamięci powtarzał treść katechizmu, wiedząc, że ojciec nie wybaczy mu żadnego błędu. Zbyt szybko odezwał się dzwon okrętowy i kiedy przebrzmiał jego ostatni ton, Hal zapukał do kapitańskiej kabiny.

Ojciec zasiadł za swym biurkiem, a syn ukląkł na gołych deskach pokładu. Sir Francis zarzucił na ramiona swój rycerski płaszcz; na jego piersi migotała wspaniała złota pieczęć z insygniami Rycerza Nawigatora, który przeszedł wszystkie kolejne szczeble wtajemniczenia. Przedstawiała angielskiego lwa, trzymającego w łapach *croix patte*, a wyżej gwiazdy i sierp księżycy bogini matki. Oczy lwa były wysadzone rubinami, gwiazdy diamentami. Na drugim palcu prawej ręki sir Francis miał wąski złoty pierścień z wrytym kompasem i kwadrantem, instrumentami nawigatora, oraz lwem w koronie. Pierścień był mały i nie tak imponujący jak pieczęć.

Ojciec przepytывał go z katechizmu po łacinie. Wybór tego języka zapewniał, że tylko piśmienni i wykształceni ludzie staną się członkami zakonu.

- Kim jesteś? - brzmiało pierwsze pytanie.

- Henry Courteney, syn Francis'a i Edwiny.

- Co cię tu sprowadza?

- Chcę zostać nowicjuszem zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala.

- Skąd przybywasz?

- Przybywam z bezkresnego morza, bo tam jest mój początek i tam będzie mój grób, kiedy dobiegną kresu moje dni.

Odpowiadając w ten sposób, Hal potwierdzał żeglarski charakter zakonu. Następne pięćdziesiąt pytań miało na celu sprawdzenie, czy kandydat zna dobrze jego historię.

- Kim byli twoi poprzednicy?

- Ubogimi rycerzami Chrystusa i świątyni Salomona.

Rycerze zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala byli sukcesorami rozwiązanego zakonu templariuszy.

Następnie sir Francis kazał Halowi przedstawić w skrócie historię zakonu, poczynając od roku 1312, kiedy to templariusze zostali zaatakowani i rozbici przez króla Francji Filipa Pięknego, działającego w porozumieniu z papieżem Klemensem V. Ich ziemie i ogromny majątek w złocie skonfiskowała korona, a templariuszy poddano torturom i spalono na stosie. Ostrzeżeni przez swych sojuszników morscy kawalerowie uciekli z francuskich portów przy kanale La Manche i pożeglowali do Anglii, gdzie poprosili o protekcję króla Edwarda II. W ciągu następnych lat utworzyli swe loże w Anglii i Szkocji, nadając im nowe nazwy, lecz nie zmieniając podstawowych reguł zakonu.

Sir Francis kazał synowi powtórzyć skomplikowane formuły pozdrowienia i uścisk dłoni, po którym rycerze poznawali się wzajemnie.

- In Arcadia habito. Mieszkam w Arkadii - zaintonował, podając Halowi prawą rękę.

- Flumen sacrum bene cogosco! Znam dobrze świętą rzekę! - odparł z namaszczeniem Hal, splatając swój palec wskazujący z palcem ojca.

- Wyjaśnij znaczenie tych słów - polecił sir Francis.

- To przymierze, które zawarliśmy z Bogiem i ze sobą wzajemnie. Świątynia jest Arkadią, a my jesteśmy rzeką.

Odmierzający godziny dzwon zabrzmiał jeszcze dwa razy, zanim Hal udzielił odpowiedzi na dwieście pytań i mógł powstać ze zdętwiałych kolan.

Wróciwszy do swej małej kabiny, Hal był zbyt skonany, żeby zapalić olejną lampkę. Nie rozbierając się, padł na koję w stanie kompletnego stuporu. Pytania i odpowiedzi katechizmu rozbrzmiewały nie kończącym się refrenem w jego udręczonym mózgu, aż w końcu wszystko zaczęło odpływać.

Nagle usłyszał jakieś dźwięki za ścianą sąsiedniej kabiny i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustąpiło całe jego zmęczenie. Usiadł, natężając wszystkie zmysły. Nie chciał zapalać światła, ponieważ mógł go zdradzić odgłos krzemia uderzającego w krzesiwo. Wstał z pryczy i w ciemności podszedł na bosaka do ściany.

Ojciec pozwolił, by Katinka van de Velde i jej służąca płynęły codziennie pod strażą Abolego na brzeg i przez godzinę spacerowały po plaży. Tego popołudnia, kiedy kobiet nie było na statku, Hal znalazł moment, żeby zakraść się do swojej kabiny. Powiększył sztyłem dziurę w ścianie, a potem wystrugał odpowiedniej wielkości czop, żeby zamknąć otwór i w ten sposób uczynić go niewidocznym.

Dręczyło go poczucie winy, ale nie mógł się powstrzymać. Przystawił oko do powiększonej szpary. Nic nie zasłaniało mu widoku. Przy przeciwległej ścianie stało wysokie weneckie lustro i widział w nim tę część kajuty, która normalnie pozostawała poza zasięgiem jego wzroku. Pomieszczenie, które oglądał, stanowiło najwyraźniej aneks do większej i wystawniej urządzonej kabiny i służyło jako przebieralnia i łazienka. Żona gubernatora mogła tu brać kąpiel i zajmować się intymną toaletą. Pośrodku stała ciężka ceramiczna wanna w orientalnym stylu. Jej ścianki ozdabiały pejzaże przedstawiające góry i bambusowe lasy.

Katinka siedziała na niskim zydłu po drugiej stronie kabiny. Stara służąca czesała ją jedną ze srebrnych szczotek. Opadające aż do pasa włosy migotały przy każdym pociągnięciu szczotki. Żona gubernatora miała na sobie kapiącą od złota brokatową nocną koszulę, ale jej włosy lśniły jaśniej niż drogocenna metalowa nitka.

Hal wpatrywał się w nią jak urzeczony, starając się zapamiętać każdy gest białych rąk, każdy skłon ślicznej głowy. Jej głos i cichy śmiech były balsamem na jego skołatany umysł i ciało. Służąca skończyła czesać włosy swojej pani i odsunęła się na bok. Katinka wstała z zydła i Hal upadł na duchu, myśląc, że teraz zabierze lampę i przejdzie do sąsiedniej kabiny. Zamiast tego ruszyła ku niemu. Choć zniknęła mu z pola widzenia, wciąż widział jej odbicie w lustrze. Dzieliły ich tylko wąskie deski i Hal bał się, że Katinka usłyszy jego chrapliwy oddech.

Widział w lustrze, jak pochyła się i podnosi pokrywę nocnika, który stał po drugiej stronie ściany. Nagle, nim zdał sobie sprawę, co ma zamiar zrobić, zadarła koszulę i przycupnęła niczym ptaszek na nocniku.

Nie przestając śmiać się i rozmawiać ze służącą, opróżniła pęcherz. Kiedy wstała, Hal zdążył zobaczyć przez chwilę jej długie nogi, a potem nocna koszula opadła i Katinka wyszła z kajuty.

Hal położył się w ciemności na twardej koi, splótł ręce na piersi i próbował zasnąć. Nie dawały mu jednak spokoju tłoczące się pod powiekami obrazy. Jego ciało płonęło i obracał się bez przerwy z boku na bok.

- Będę silny - szepnął na głos i zacisnął pięści, aż trzasnęły mu stawy w palcach. Po raz kolejny przypomniał sobie jej wesoły śmiech, a potem plusk moczu w nocniku, i nie mógł



się dłużej powstrzymać. Z jękiem winy skapitulował i sięgnął w dół, ujmując oburącz swoją nabrzmiałą pulsującą męskość.

Zapasowy maszt mógł być wydobyty na pokład dopiero wtedy, kiedy z głównej ładowni usunięto drewno. W operacji tej wzięła udział połowa załogi. Masywny sosnowy pień dorównywał prawie długością galeonowi i trzeba było nim długo manewrować, aby mógł wyłonić się z przepastnego wnętrza statku. Zrzucano go z pokładu do wody, obwiązano linami i zaciągnięto na brzeg. Tam, na polanie pod baldachimem drzew, cieśle umieścili go na kozłach i zaczęli przycinać i obrabiać, żeby można go było osadzić w jarzmie i zastąpić strzaskany przez wichurę maszt.

Gdy tylko ładownia została opróżniona, sir Francis wezwał całą załogę, aby asystowała przy otwarciu skarbcza, który Holendrzy przemyślnie umieścili na samym dole. Urzędnicy Kompanii Wschodnioindyjskiej często zabezpieczali w ten sposób najcenniejsze precjoza. Ważące kilkaset ton ciężkie kłocę skutecznie powstrzymywały nawet najbardziej zdeterminowanego złodzieja przed dobraniem się do zawartości skarbcza.

Marynarze otoczyli pokrywę łuku, a sir Francis i jego bosmani zeszli na dół z zapalonymi latarniami i ukłękli na dnie ładowni, żeby sprawdzić pieczęcie, którymi holenderski gubernator Trincomalee opatrzył drzwiczki.

- Pieczęcie są nienaruszone! - zawołał sir Francis, żeby uspokoić zgromadzonych widzów. Słyszając go, wydali ochryply okrzyk triumfu. - Zerwij zawiasy - rozkazał Dużemu Danielowi, który przystąpił ochoczo do dzieła.

Drewno rozszczepiło się i zazgrzytały wrywane zeń mosiężne śruby. Wnętrze skarbcza wyłożone było arkuszami miedzianej blachy, lecz żelazny łom Dużego Daniela przeciął metal i z gardeł widzów wydobył się pełen aprobaty pomruk, gdy ujrzeli, co znajduje się w środku.

Monety były zaszyte w piętnastu grubych płóciennych workach. Daniel wyciągnął je na zewnątrz i umieścił w sieci, w której powędrowały na górę. Następnie wyjęto skrzynki ze złotem. Zbite z surowych nie heblowanych desek zawierały po dziesięć sztab; na każdej Holendrzy wypalili żelazem ich liczbę i wagę.

Po wyjściu z ładowni sir Francis rozkazał, aby przeniesiono do jego kajuty wszystkie skrzynki ze sztabami oraz worki z monetami, z wyjątkiem dwóch.

- Dzisiaj podzielimy zawartość tylko tych dwóch worków - oznajmił załozde. - Resztę udziału dostaniecie, kiedy wrócimy do domu, do naszej słodkiej starej Anglii.

Pochylił się ze sztyletem w rękę nad dwoma płóciennymi workami i przeciął szwy. Ludzie zawyli niczym stado wilków, gdy struga lśniących dziesięcioguldenowych monet wylała się na pokład.

- Nie ma potrzeby liczyć. Serojady zrobiły to za nas - stwierdził sir Francis, pokazując odbite na workach cyfry. - Każdy z was wystąpi, kiedy wywołam jego nazwisko.

Śmiejąc się i wykrzykując sprośne uwagi, mężczyźni ustawili się w szeregu. Po wywołaniu, każdy podchodził z czapką w rękę do bosmana i dostawał swoją część srebrnych guldenów.

Hal był jedynym członkiem załogi, który nie uczestniczył w podziale. Choć jako majtkowi należała mu się jedna dwusetna część całego udziału załogi, czyli prawie dwieście guldenów, ojciec stwierdził, że zaopiekuje się jego pieniędzmi.

- Nie ma większego głupca od młokosa, który ma za dużo srebra albo złota w sakiewce. Któregoś dnia podziękujesz mi, że zachowałem dla ciebie te pieniądze - wyjaśnił synowi. A potem odwrócił się z udawanym gniewem do załogi. - To, że jesteście teraz bogaci, nie oznacza wcale, że nie mam dla was roboty! - ryknął. - Trzeba przewieźć na plażę resztę ładunku, a następnie wyciągnąć statek na brzeg, oczyścić dno, osadzić nowy maszt i zamontować działa. Roboty starczy wam na co najmniej miesiąc!

Nikt nie pozostawał bezczynny na żadnym z należących do sir Francis'a statków. Nuda była najgorszym wrogiem, jakiego mógł napotkać. Podczas gdy jedna z wacht pracowała przy rozładunku, kapitan starał się znaleźć zajęcie pozostałym. Nigdy nie wolno im było zapomnieć, że są załogą statku wojennego i w każdej chwili muszą być gotowi stawić czoło zdesperowanemu przeciwnikowi.

Po otwarciu pokryw ładowni i wydobyciu wielkich beczek z przyprawami na pokładzie zabrakło miejsca na musztrę, w związku z czym Duży Daniel zabrał ludzi na plażę. Stanęli ramię przy ramieniu i machali kordami - cięcie w lewo, pchnięcie, parada, cięcie w prawo, pchnięcie, parada - tak długo, aż pot spływał im z czoła i łapali kurczowo powietrze.

- Dosyć! - oznajmił w końcu Duży Daniel, lecz wcale ich nie zwolnił. - Teraz trochę zapasów, żebyście się rozgrzali - zawołał, po czym ruszył między marynarzy i sam dobrał spośród nich pary przeciwników, łapiąc ich za karki i popychając ku sobie, jakby byli walczącymi na arenie kogutami.

Wkrótce na plaży zaroilo się od wrzeszczących, nagich do pasa mężczyzn, którzy mocowali się, zwalali z nóg i tarzali w białym piasku.

Stojące przy skraju lasu, Kalinka i jej służąca przypatrywały się temu z zaciekawieniem. Aboli stanął kilka kroków za nimi, opierając się o pień jednego z olbrzymich drzew.

Hal trafił na marynarza starszego od niego o dwadzieścia lat. Byli tego samego wzrostu, ale tamten ważył o piętnaście funtów więcej. Tańcząc wokół siebie, obaj starali się złapać za kark albo ramiona, zbić z nóg lub podstawić nogę.

- Użyj biodra. Przerzuć go przez biodro! - szepnęła Kalinka, nie spuszczać oczu z Hala.

Widowisko tak bardzo ją wciągnęło, że zacisnęła nieświadomie pięści i uderzała nimi we własne uda, dopingując chłopaka, z policzkami zaczerwienionymi bardziej, niż mógł to sprawić róż lub upał.

Kalinka uwielbiała oglądać walczących ze sobą ludzi lub walki zwierząt. Przy każdej nadarzającej się okazji mąż jeździł z nią na walki byków i kogutów oraz walki szczurów z terierami.

„Moje uroczę maleństwo jest szczęśliwe, gdy leje się czerwone wino”, powtarzał. Był dumny z niezwykłego upodobania żony do krwawych sportów. Nie ominęła żadnego turnieju szermierczego i bawiło ją nawet angielskie okładanie się gołymi pięściami. Do jej najbardziej ulubionych rozrywek należały jednak zapasy i znała wszystkie chwyt i rzuty.

Urzeczona pełnymi gracji mchami chłopaka, podziwiała jego technikę. Widziała, że miał dobrego instruktora; przeciwnik był wprawdzie cięższy, Hal przewyższał go jednak szybkością i siłą. Wykorzystywał przeciw niemu jego własny ciężar i zbijany co chwila z nóg starszy mężczyzna miał trudności z odzyskaniem równowagi. Przy jego następnej szarży Hal ustąpił, dając krok do tyłu, nie zwolnił jednak chwytu. Przewrócił się na plecy, wbił piętę w brzuch przeciwnika i przerzucił go nad głowę. Kiedy ten legł ogłuszony, Hal siadł na nim okrakiem, złapał za włosy i wbił twarz w piasek, aż biedak zaczął walić rękoma w ziemię na znak, że się poddaje.

Hal puścił go i zerwał się na nogi ze zwinnością kota. Marynarz ukląkł, dysząc ciężko i wypluwając z ust piasek. A potem, niespodziewanie, rzucił się na chłopaka, który zdążył już odwrócić się do niego tyłem. Hal dostrzegł kątem oka zbliżającą się zaciśniętą pięść i uchylił się, lecz nie zrobił tego dość szybko. Z uderzonego nosa pociekła krew. Hal złapał za nadgarstek marynarza, wykręcił mu rękę do tyłu i podciągnął ją aż do łopatki. Marynarz wrzasnął z bólu i stanął na palcach.

- Na mleko Maryi, mistrzu Johnie, musicie chyba lubić smak plaży - stwierdził Hal, wbijając gołą stopę w jego tyłek i posyłając go ponownie głową w piasek.

- Robisz się coraz sprytniejszy i zادیorniejszy, paniczu! - stwierdził Duży Daniel, podchodząc do niego z marsową miną i starając się ukryć pod szorstkim głosem radość z postępów ucznia. - Następnym razem wyznaczę ci twardszego przeciwnika. Dobrze, że kapitan nie usłyszał, jak bluźnisz, bo skosztowałbyś czegoś więcej niż czystego piasku plaży.

Wciąż roześmiany i dumny jak paw, Hal pomaszerował do brzegu laguny i nabrał w obie ręce wody, żeby zmyć krew z górnej wargi.

- Józefie Maryjo, ależ on lubi zwyciężać. - Daniel uśmiechnął się za plecami chłopaka. - Kapitan Franky nie złamie go, choćby nie wiem jak się starał. Stary brytan spłodził godnego siebie szczeniaka.

- Jak myślisz, ile on może mieć lat? - zapytała zadumanym tonem Katinka, zwracając się do swojej służącej.

- Nie mam pojęcia - odparła sztywno Zelda. - To jeszcze dziecko.

Katinka potrząsnęła głową. Pamiętała, jak stał nagi na rufie łodzi.

- Zapytaj tego czarnego psa.

Zelda odwróciła się posłusznie do Abolego.

- Ile lat ma ten chłopiec? - zapytała po angielsku.

- Dosyć, aby dać jej to, czego pragnie - mruknął Aboli w swoim własnym języku, marszcząc jednocześnie czoło, żeby udać, iż nie rozumie. Pilnując jej w ciągu kilku ostatnich dni, bacznie obserwował kobietę o włosach koloru słońca. W głębi fiołkowych oczu odkrył drapieżny błysk. Przyglądała się mężczyznom w taki sam sposób, w jaki mangusta patrzy na tłustego kurczaka. Wyrazowi niewinności na twarzy zadawały kłam biodra kołyszące się zmysłowo pod warstwami jedwabiu i koronek. - Kurwa pozostanie kurwą bez względu na kolor włosów i na to, czy żyje w lepiance, czy w pałacu gubernatora - dodał dudniącym głosem, w którym furczały gardłowe głoski jego języka.

Nadaśana Zelda odwróciła się do niego plecami.

- Głupie bydlę. Nie rozumie ani słowa.

Hal podszedł do skraju lasu i sięgnął po zawieszoną na gałęzi koszulę. Miał wciąż mokre włosy, a na nagiej piersi i ramionach widniały podbiegłe krwią ślady po walce. Krwawa smuga barwiła także jego policzek.

W chwili gdy uniósł do góry rękę, zobaczył wpatrującą się w niego Katinkę i nagle ulotniła się gdzieś cała jego arogancja i zادیorność. Aż do tego momentu nie miał pojęcia o jej obecności. Zrobił krok do tyłu, tak jakby wymierzyła mu niespodziewanie policzek. Ciemny rumieniec oblał jego twarz, zakrywając ślady po uderzeniach, które zadał przeciwnik.

Kalinka zmierzyła chłodnym spojrzeniem jego tors. Hal skrzyżował ręce na piersi, jakby się zawstydził.

- Miałaś rację, Zeldo - oświadczyła, machając lekceważąco ręką. - To tylko zasmarkany dzieciak - dodała po łacinie, żeby i on zrozumiał.

Hal powiódł za nią żalonym spojrzeniem, kiedy uniosła suknię i wraz z Abolim i starą służącą odpłynęła majestatycznie w stronę czekającej łodzi.

Tej nocy, leżąc na twardym sienniku w swej ciasnej kabynie, słyszał dochodzące zza ściany kroki, szepty i cichy śmiech. Oparł się na łokciu, a potem przypomniał sobie wypowiedziane pod jego adresem pogardliwe słowa.

- Nigdy już nie będę o niej myślał - przyrzekł sobie, kładąc się z powrotem i zakrywając rękoma uszy, żeby nie słyszeć śpiewnej kadencji jej głosu. - In Arcadia habito - powtarzał cicho, próbując o niej zapomnieć. Minęło jednak dużo czasu, zanim zmęczenie pozwoliło mu w końcu zapaść w głęboki twardy sen.

Na krańcu laguny, prawie dwie mile od miejsca, w którym stała na kotwicy Resolution, wąskim jarem spływał do słonawej wody krystalicznie czysty strumień.

Dwie sunące w stronę jego ujścia szalupy spłoszyły wodne ptactwo, które żerowało na płyciźnie. Całe stada uniosły się w powietrze, kwacząc, skrzecząc i klekocząc - dwadzieścia różnych odmian kaczek i gęsi, i ani jedna nie była podobna do tych, które znali z północy. Widzieli też zupełnie inne gatunki, z dziwnie skrzywionymi dziobami lub nieproporcjonalnie długimi nogami, a także czaple i kuliki, różniące się od swoich angielskich pobratymców większymi rozmiarami i jaskrawszym upierzeniem. Niebo pociemniało od nich, a wioślarze odłożyli na całą minutę wiosła, przyglądając się z podziwem wielobarwnej chmurze.

- To kraina cudów - mruknął sir Francis. - A mimo to poznaliśmy tylko jej skrawek. Jakie jeszcze dziwy czekają nas za progiem, głęboko we wnętrzu łądu, gdzie nie postawił dotychczas stopy żaden człowiek?

Słowa ojca pobudziły wyobraźnię Hala, który kolejny raz przypomniał sobie obrazy potworów i smoków, ozdabiające studiowane przez niego mapy.

- Naprzód! - rozkazał ojciec i ponownie chwycili za smukłe wiosła.

W pierwszej łodzi siedzieli tylko we dwójkę. Sir Francis pociągnął silnym długim ruchem prawe wiosło, bez trudu nadążając za Halem. Między nimi stały puste beczki na wodę, których napełnienie stanowiło oficjalny cel wyprawy. Prawdziwy powód leżał jednak u stóp sir Francisa. W nocy Aboli i Duży Daniel wynieśli z jego kajuty płócienne worki z monetami i skrzynie ze sztabkami i ukryli je pod płachtą na dnie łodzi. Na dziobie złożyli pięć

baryłek z prochem i zdobytą na galeonie broń: kordy, pistolety, muszkiety i skórzany worek z ołowianymi kulami.

W podążającej tuż za nimi drugiej łodzi siedzieli Ned Tyler, Duży Daniel i Aboli: trzech ludzi, którym sir Francis ufał najbardziej z całej załogi. Ich łódź również była wyładowana beczkami.

Kiedy wpłynęli do ujścia strumienia, sir Francis przestał wiosłować, przechylił się przez burzę, nabrał w dłoń wody i spróbował jej.

- Czysta i słodka! - zawołał do Neda Tylera. - Zaczynajcie napełniać beczki. Ha! i ja popłyniemy w górę strumienia.

Gdy Ned skręcił w stronę brzegu, w wąwozie rozległo się donośne dzikie szczekanie. Wszyscy podnieśli wzrok.

- Cóż to za stworzenia? Czy to ludzie? A może jakieś dziwne włochate karły? - zapytał Ned ze strachem i zdumieniem w głosie, wpatrując się w grupkę człekokształtnych postaci, które obiegiły skraj zbocza wysoko nad nimi.

- To małpy - odparł sir Francis, pociągając za wiosło. - Takie same jak na wybrzeżach Berberii.

Aboli zachichotał, a potem odrzucił głowę do tyłu i wiernie powtórzył krzyk pawiana przewodzącego stadu. Większość młodych małp zaczęła nerwowo podskakiwać i rozbiegła się wzdłuż skarpy. Wielki samiec przyjął wyzwanie. Stał na czworakach na skraju zbocza i otworzył szeroko pysk, szczerząc straszliwe białe kły. Ośmielone jego zachowaniem, młode pawiany wróciły i zaczęły ciskać w nich małymi kamykami i grudkami ziemi. Marynarze musieli uchylać się, żeby nie oberwać po głowie.

- Poślijcie im kulkę - polecił sir Francis.

Daniel wziął muszkiet, podmuchał na lont i przyłożył broń do ramienia. Potężny huk targnął powietrzem i wszyscy wybuchli śmiechem, obserwując zachowanie pawianów ogarniętych paniką. Kula oderwała kawałek ziemi ze zbocza i przerażone młode fiknęły do tyłu. Matki złapały swoje potomstwo, zawiesiły je sobie na brzuchach i wspięły się wyżej po skale. Nawet odważny samiec przestał szczerzyć dumnie kły i przyłączył się do uciekających. W ciągu kilku sekund zbocze opustoszało, a chwilę później umilkły odgłosy panicznego odwrotu.

Aboli wyskoczył z łodzi i brodząc po pas w wodzie, pociągnął ją w stronę brzegu, a Daniel i Ned wybrali czopy z beczek, żeby je napełnić. Siedzący w drugiej łodzi sir Francis i Hal przyłożyli się do wiosł i ruszyli w górę rzeki. Pół mili dalej koryto zwęziło się nagle, skały zaś po obu stronach stały się bardziej strome. Sir Francis rozejrzał się, szukając



punktów orientacyjnych, po czym skierował łódź pod skarpę i przycumował jej dziób do pnia zeschniętego drzewa, które wyrastało ze skalnej szczeliny. Zostawiwszy Hala w łodzi, wyskoczył na brzeg i zaczął się wspinać w górę. Na zboczu nie było widać żadnej ścieżki, lecz on posuwał się pewnie do przodu, znajdując oparcia dla rąk i stóp. Hal obserwował go z dumą: w jego pojęciu ojciec był starym człowiekiem - dawno już przekroczył sędziwy wiek czterdziestu lat - lecz mimo to wspinał się z energią i zwinnością młodzieńca. Po chwili dotarł do zawieszanej pięćdziesiąt stóp nad rzeką, niewidocznej z dołu skalnej półki, przeszedł nią kilka kroków i ukląkł. Zbadał zasłoniętą starannie kamieniami wąską szczelinę i uśmiechnął się z ulgą, widząc, że ułożone są dokładnie tak, jak je przed niespełna rokiem zostawił. Ostrożnie zaczął je odkładać na bok, odsłaniając wejście dość szerokie, by wpełznąć do środka.

W jaskini było ciemno, ale sir Francis wyprostował się i wymacał krzesiwo i hubkę leżące na kamiennej półce nad jego głową. Zapalił przyniesioną ze sobą świeczkę i rozejrzał się dookoła.

Nic nie zostało tknięte od czasu jego poprzedniej wizyty. W głębi jaskini stało pięć skrzyń zawierających łup z Heerlycke Nacht, w większości wyroby ze srebra i sto tysięcy guldenów w brzęczącej monecie, którymi miał zostać opłacony holenderski garnizon w Batawii. Przy samym wejściu leżał żuraw z boczkiem, którego zamontowaniem natychmiast się zajął. Prawie pół godziny zajęło mu wysunięcie i zamocowanie ciężkiej belki, a następnie opuszczenie liny do zacumowanej na dole łodzi.

- Przywiąż mocno pierwszą skrzynię! - zawołał do Hala.

Chłopak przymocował ją, a ojciec wciągnął na górę na linie skrzypiącej głośno w boczku. Skrzynia zniknęła w głębi jaskini i po kilku minutach koniec liny opadł z powrotem, kołysząc się w miejscu, gdzie Hal mógł go dosięgnąć. Chłopak przywiązał do niego następną skrzynię.

Wciągnięcie na górę i ustawienie w jaskini wszystkich sztab i worków z monetami zajęło im grubo ponad godzinę. Potem przyszła kolej na baryłki z prochem i tobołki z bronią. Ostatni ładunek, który powędrował na górę, był najmniejszy; do drewnianej skrzynki sir Francis zapakował kompas i kwadrant, mapy, które zabrał ze Standvastigheid, krzesiwo i hubkę, a także zestaw owiniętych w płótno instrumentów chirurgicznych i kilka innych przedmiotów, które mogły zdecydować o życiu lub śmierci grupki ludzi, rzuconych na to dzikie niezbadane wybrzeże.

- Chodź na górę, Hal - zawołał w końcu i jego syn wspiał się po skale z szybkością i zwinnością młodego pawiana.

Kiedy dotarł do jaskini, ojciec siedział wygodnie na wąskiej skalnej półce, dyndając nogami i trzymając w dłoniach mieszek na tytoń i glinianą fajkę z długim cybuchem.

- Pomóż mi, chłopcze - powiedział, wskazując pustą fajkę pionową szczelinę w skale.  
- Zatarasuj z powrotem wejście do jaskini.

Przez następne pół godziny Hal układał kamienie, żeby ukryć wejście i zniechęcić ewentualnych intruzów. Szansę na odkrycie jaskini w bezludnym wąwozie były bardzo niewielkie, ale obaj z ojcem wiedzieli, że pawiany powrócą. Były tak samo wścibskie i złośliwe jak człowiek.

Hal chciał zejść z powrotem do łodzi, lecz sir Francis położył mu rękę na ramieniu.

- Nie ma pośpiechu. Tamci nie skończyli jeszcze napełniać beczek. - Usiedli w milczeniu na skalnej półce. Sir Francis nabił tytoń swoją długą fajkę, zapalił ją i głęboko się zaciągnął. - Co tutaj dziś zrobiłem? - zapytał, wypuszczając z ust chmurę błękitnego dymu.

- Ukryłeś naszą część skarbu.

- Nie tylko naszą, lecz również tę, która przypada koronie i członkom załogi - poprawił go sir Francis. - Ale dlaczego to zrobiłem?

- Srebro i złoto kusi nawet najuczciwszego z ludzi - odparł Hal, powtarzając słowa, które ojciec wielokrotnie wbijał mu do głowy.

- Czyż nie powinienem ufać swoim własnym marynarzom? - zapytał sir Francis.

- Jeśli nie ufasz nikomu, wtedy nikt cię nie zawiedzie - powtórzył wyuczoną lekcję Hal.

- Wierzysz w to? - Sir Francis spojrzał mu prosto w twarz i Hal zawahał się. - Czy ufasz Abolemu?

- Tak, ufam mu - stwierdził niechętnie Hal, jakby przyznawał się do grzechu.

- Aboli jest dobrym człowiekiem, ze świecą takiego szukać. Ale sam widzisz, że nawet jego nie zabrałem w to miejsce. - Sir Francis przez chwilę milczał. - A ja? - zapytał w końcu. - Czy darzysz mnie zaufaniem?

- Oczywiście.

- Dlaczego? Przecież jestem tylko człowiekiem, a czyż nie powtarzam ci, żeby nie ufać nikomu?

- Ufam ci, bo jesteś moim ojcem i cię kocham.

Oczy sir Francisa zaszyły nagle mgłą i zrobił taki ruch, jakby chciał pogłodzić syna po policzku. A potem westchnął i spojrzał w dół na rzekę. Hal oczekiwał, że ojciec skoryguje go, lecz on nie zrobił tego. Zadał mu natomiast kolejne pytanie:

- A inne rzeczy, które tu złożyliśmy? Proch, broń, mapy i tak dalej. Dlaczego je tu zostawiłem?

- Żeby zabezpieczyć się na przyszłość - odparł pewnym głosem. Tę prawdę słyszał wystarczająco często. - Mądry lis zostawia sobie wiele wyjść z nory.

Sir Francis pokiwał głową.

- Wszyscy, którzy biorą udział w guerre de course, narażeni są na wielkie ryzyko. Któregoś dnia te kilka skrzyń może ocalić nam życie.

Ojciec umilkł i przez chwilę dopalał resztki tytoniu.

- Jeśli Bóg będzie łaskaw, być może niedługo skończy się wojna z Holendrami - odezwał się w końcu. - Wtedy wrócimy tutaj, zabierzemy nasze łupy i pożeglujemy do domu, do Plymouth. Od dawna chciałem nabyć dobra Gainesbury, które leżą przy High Weald... - Sir Francis urwał, jakby nie śmiał kusić losu tego rodzaju marzeniami. - Jeśli coś mi się stanie, trzeba, abys wiedział i pamiętał, gdzie ukryliśmy nasze łupy. To będzie moja scheda dla ciebie.

- Nie stanie ci się nigdy nic złego! - wykrzyknął z przejęciem Hal. Było to raczej pobożne życzenie niż stwierdzenie faktu. Nie wyobrażał sobie życia bez dominującej w nim obecności ojca.

- Nikt nie jest nieśmiertelny - odparł cicho sir Francis. - Wszyscy oddamy kiedyś życie Bogu. - Tym razem oparł lekko rękę na ramienia Hala. - Chodź, chłopcze. Przed zmierzchem musimy jeszcze napełnić nasze beczki.

W drodze powrotnej Aboli zastąpił sir Francisa przy wiosle i ojciec Hala siedział teraz na rufie, w czarnym wełnianym płaszczu, który chronił go przed wieczornym chłodem. Twarz miał pogrążoną w zadumie. Siedzący przy jednym z długich wiosła, Hal miał sposobność mu się ukradkiem przyjrzeć. Rozmowa, którą odbyli przy wejściu do jaskini, sprawiła, że z niepokojem myślał o przyszłości.

Domyślił się, że po zarzuceniu kotwicy w lagunie ojciec postawił sobie horoskop. Na biurku w jego kajucie widział pokryte tajemnymi znakami zodiakalne tablice. To wyjaśniało jego małomówność i posępny nastrój. Jak powiedział Aboli, gwiazdy były jego dziećmi i znał ich sekrety.

Nagle ojciec podniósł głowę i wciągnął w nozdrza chłodne wieczorne powietrze. Jego twarz zmieniła się i zaczął z uwagą studiować skraj lasu. Żadne mroczne myśli nie mogły zaabsorbować go do tego stopnia, by przestał zwracać uwagę na to, co się dzieje dookoła.

- Aboli, podpłyn do brzegu, jeśli łaska. Obie łodzie skrzyły w stronę wąskiej plaży.

- Weźcie broń i chodźcie za mną, ale cicho - powiedział półgłosem sir Francis, kiedy wszyscy wyskoczyli na brzeg i przycumowali łodzie.

Rozgarniając gałęzie drzew, poprowadził ich przez las. Po chwili wyszli nagle na udeptaną ścieżkę. Sir Francis obejrzał się sprawdzając, czy za nim idą, po czym ruszył dalej.

Hal nie miał pojęcia, o co chodzi ojcu, póki nie poczuł zapachu drzewnego dymu i nie zauważył unoszącej się nad koronami drzew błękitnej mgiełki. To właśnie musiało go zaniepokoić.

Sir Francis wyszedł nagle na małą polanę w środku lasu i stanął jak wryty. Czterej znajdujący się tam mężczyźni w ogóle go nie dostrzegli. Dwaj leżeli niczym trupy na pobojowisku; jeden wciąż trzymał w nieruchomych palcach pękata brązową butelkę, drugi chrapał donośnie, sącząc z ust nitkę śliny.

Dwaj pozostali nie odwracali wzroku od kupki srebrnych guldenów i leżących między nimi kości. Jeden z nich podniósł je, zagrzechotał przy uchu i rzucił na ubitą ziemię.

- Psia mać - mruknął. - To nie jest mój szczęśliwy dzień.

- Nie powinieneś wyrażać się niepocholebnie o osobie, która wydała cię na świat - stwierdził cicho sir Francis. - Ale poza tym masz rację. To nie jest twój szczęśliwy dzień.

Obaj marynarze spojrzeli z przerażeniem i niedowierzaniem na swego kapitana i nie próbowali nawet uciekać, kiedy Daniel i Aboli podnieśli ich na nogi i związali za szyje tak, jak to czynią handlarze niewolników.

Sir Francis podszedł do skraju polany, żeby przyjrzeć się bliżej skonstruowanej przez nich aparaturze. Użyli starego żelaznego gara do zagotowania sfermentowanego zacieru ze starych obierzyn i sucharów oraz ukradzonej z okrętowego magazynu miedzianej rurki jako spirali. Kapitan przewrócił kocioł i bezbarwny płyn buchnął płomieniami, wylewając się na palenisko. Pod żółtym drzewem stał rząd pełnych butelek, zakorkowanych zbitymi liśćmi.. Sir Francis rozbił je, jedna po drugiej, o pień drzewa i poczuł, jak łyzy płyną mu z oczu od ich wyziewów. A potem podszedł do Daniela i Neda, którzy obudzili kopniakami pijaków i powlekli ich przez polanę, żeby związać z pozostałymi dwoma.

- Damy im dzień, aby się przespali, mistrzu Nedzie. Jutro, kiedy zacznie się popołudniowa wachta, zgromadzisz wszystkich, żeby zobaczyli, jaka kara czeka pijaków. - Sir Francis zerknął na Dużego Daniela. - Mniemam, że wciąż potrafisz zdrowo zaciąć bykowcem, mistrzu Danielu.

- Łaski, kapitanie, nie zrobiliśmy nic złego. Chcieliśmy się tylko trochę zabawić.

Rzucili się na czworakach do jego stóp, ale Aboli szarpnął ich do tyłu niczym trzymane na smyczy psy.

- Nie mam nic przeciwko waszym zabawom - oświadczył sir Francis - jeśli wy nie macie nic przeciwko moim.

Cieśla ustawił na kasztelu cztery pręgierze i pijaków przywiązano do nich za nadgarstki i kostki u nóg. Duży Daniel przeszedł od jednego do drugiego i rozerwał każdemu koszulę od kołnierza aż do pasa, odsłaniając gołe plecy. Skazańcy zawiśli bezradnie na trójnogach niczym skrepowane na targowej platformie świnię.

- Każdy z was dobrze wie, że nie toleruję pijaństwa i hazardu, jedno i drugie obraża bowiem Pana i budzi wstęt w Jego oczach - oznajmił sir Francis, zwracając się do marynarzy stojących w równym szeregu na śródokręciu. - Każdy z was wie, jaka czeka za to kara. Pięćdziesiąt batów. - Przyjrzał im się uważnie. Pięćdziesiąt razy skręconymi w węzły rzemieniami mogło okaleczyć człowieka na całe życie. Sto uderzeń oznaczało pewną śmierć w męczarniach. - Zasłużyli na całe pięćdziesiąt. Pamiętam jednak, że ci czterej głupcy walczyli dzielnie na tym pokładzie, kiedy zdobywaliśmy ten statek. Wciąż czeka nas twarda walka i kiedy zagrzmia działa i zadzwieczą kordy, nie będę miał żadnego pożytku z kalek.

Przerwał, aby spojrzeć w twarze swoim ludziom, i zobaczył grozę, jaką budziła w nich chłosta, grozę połączoną z ulgą, że to nie oni przytroczeni są do pręgierzy. W przeciwieństwie do kapitanów wielu kaperskich statków, w tym nawet kilku rycerzy zakonu, chłosta nie sprawiała mu żadnej przyjemności. Nie uchylał się jednak przed twardą koniecznością. Dowodził statkiem pełnym nieokrzesanych, niesfornych mężczyzn, ludzi, których wybrał ze względu na ich gwałtowny charakter i którzy wszelką łagodność poczytaliby za słabość.

- Jestem miłosiernym człowiekiem - powiedział i ktoś w tylnym szeregu zachichotał szyderczo. Sir Francis umilkł, wyluskał wzrokiem delikwenta z tłumu i dopiero gdy ten opuścił głowę i zaszurał nogami, podjął gładko przerwany wątek. - Te łotry wystawiły jednak moje miłosierdzie na ciężką próbę.

Przy pierwszym pręgierzu stał obnażony do pasa Duży Daniel, z potężnymi mięśniami przęcającymi się pod skórą barków i ramion. Siwiejące włosy związał z tyłu kawałkiem materiału, a z pokrytej szramami pięści zwisały, niczym węże z głowy Meduzy, rzemienie batoga.

- Wymierz każdemu piętnaście razy, mistrzu Danielu - rozkazał sir Francis - ale przeczesz starannie rzemienie między uderzeniami.

Gdyby Daniel nie oddzielił palcami poszczególnych rzemieni, krew zlepiłaby je razem, łącząc w jedno ciężkie narzędzie, które przecinało ludzką skórę niczym ostrze miecza. Nawet piętnaście razy nie przeczesanym batogiem mogło wyrwać ciało z pleców aż do kości.

- Piętnaście razy, kapitanie - potwierdził Daniel i potrząsając biczem, by rozdzielić jego rzemienie, podszedł do swojej pierwszej ofiary.

Mężczyzna odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. Twarz miał wykrzywioną strachem.

Daniel podniósł wysoko rękę, tak że rzemienie zawisły za jego plecami, a potem, z gracją przedziwną jak na tak dużego mężczyznę, śmignął nimi w dół. Bicz zaświstał w powietrzu niczym liście na wietrze i klasnął głośno o gołą skórę.

- Raz! - zaśpiewała chórem załoga, kiedy skazaniec wydał z siebie piskliwy okrzyk bólu.

Smagnięcie pozostawiło na jego plecach groteskowy wzór. W miejscach, gdzie węzły przecięły skórę, na czerwonych pręgach pojawiły się szkarłatne gwiazdy, przypominające ukąszenia jadowitego żeglarka.

Daniel przecesał rzemienie i palce jego lewej dłoni spłynęły krwią.

- Dwa! - zaśpiewał chór widzów.

Mężczyzna ponownie wrzasnął i napiął więzy, rysując palcami stóp bolesny tatuaż na deskach pokładu.

- Przerwać chłostę! - zawołał sir Francis, słysząc kroki na schodach prowadzących do kabin na rufie.

Daniel posłusznie opuścił bicz i czekał na dalsze rozkazy. Sir Francis podszedł szybkim krokiem do trapu.

Nad balustradą ukazał się ozdobiony piórami kapelusz gubernatora van de Veldego, a w ślad za nim jego tłusta spocona twarz. Przez chwilę stał w słońcu, łapiąc głośno powietrze i ocierając podwójny podbródek jedwabną chustką, a następnie rozejrzał się dookoła. Z zainteresowaniem popatrzył na przywiązanych do pręgierzy mężczyzn.

- Ja! Goed! Widzę, że się nie spóźniliśmy - oznajmił z satysfakcją.

W ślad za nim pojawiła się Kalinka, stąpając szybkim lekkim krokiem po schodach i podnosząc suknię dość wysoko, by odsłonić wysadzone perłami satynowe pantofle.

- Dzień dobry, Münheer. - Sir Francis powitał gubernatora zdawkowym ukłonem. - Trwa właśnie chłosta. Nie jest to odpowiedni widok dla wysoko urodzonej damy.

- Ależ, kapitanie - odezwała się ze śmiechem Kalinka. - Nie jestem małym dzieckiem. Bóg jeden wie, że na tym statku preraźliwie brakuje mi rozrywek. Pamiętaj, że jeśli umrę z nudów, nie dostaniesz żadnego okupu.

Mówiąc to dotknęła poufale wachlarzem ręki sir Francis, lecz on odsunął się i przemówił ponownie do jej męża.



- Sądzę, że powinieneś odprowadzić żonę do jej kajuty, Münheer.

Kalinka stanęła między nimi, jakby w ogóle nie słyszała kapitana.

- Postaw mój zydel tutaj w cieniu - powiedziała do drepczącej za nią Zeldy, po czym rozpostarła szeroko spódnicę, usiadła i wydeła piękne wargi do sir Francisa. - Będę się zachowywać tak cicho, jakby mnie w ogóle nie było - zapewniła go.

Sir Francis posłał zirytowane spojrzenie gubernatorowi, ale van de Velde rozłożył pulchne ręce w teatralnym geście bezradności.

- Wiesz, jak to jest, Münheer, kiedy kobieta się przy czymś uprze - stwierdził, a potem stanął za Katinką i oparł dłoń na jej ramieniu.

- Nie biorę odpowiedzialności, jeśli to widowisko narazi na szwank delikatne uczucia pańskiej żony - ostrzegł surowym tonem sir Francis, pocieszając się, że jego ludzie nie rozumieją ani słowa po holendersku i nie zdają sobie sprawy, iż jeńcy zagrali mu na nosie.

- Moim zdaniem, nie powinieneś się tym trapić, kapitanie. Moja żona ma mocny żołądek - mruknął van de Velde.

Kiedy przebywali w Kandy i Trincomalee, Katinką nie przepuściła ani jednej egzekucji, które odbywały się regularnie na placu apelowym. W zależności od charakteru przestępstwa śmierć zadawano tam przez spalenie na stosie, piętnowanie rozpalonym żelazem, duszenie garotą i ścięcie toporem. Nawet wtedy, gdy zapadła na tropikalną gorączkę i zgodnie z zaleceniami lekarzy miała pozostać w łóżku, jej karoca podjechała na stałe miejsce nieopodal szafotu.

- W takim razie składam całą odpowiedzialność na twoje barki, Münheer. - Sir Francis skłonił się lekko i odwrócił z powrotem do Daniela. - Proszę kontynuować chłostę, mistrzu Danielu - rozkazał.

Daniel odrzucił bicz wysoko za ramię i kolorowe tatuaże, które ozdabiały jego wielkie bicepsy, zaczęły żyć swoim własnym życiem.

- Trzy! - ryknął tłum, kiedy rzemienie klasnęły o skórę. Katinką zeszywniała i pochyliła się lekko do przodu na zydlu.

- Cztery!

Katinką wzdrygnęła się, słysząc trzask bicza i piskliwy okrzyk bólu, który po nim nastąpił. Jej twarz zrobiła się blada jak lój świecy.

- Pięć!

Cienkie szkarłatne węże pełzły w dół po plecach mężczyzny, mocząc jego płócienne szarawary. Katinka spuściła do połowy złote rzęsy, żeby ukryć błysk w fiołkowych oczach.

- Sześć!

Poczuła na skórze coś, co przypominało dotknięcie ciepłego tropikalnego deszczu. Oderwała oczy od skrzęcającego się z bólu, jęczącego biedaka i zerknęła na swoją śliczną dłoń.

Kropla krwi z mokrego bicia wylądowała na jej palcu wskazującym i niczym rubin osadzony w drogocennym pierścieniu połyskiwała na jej białej skórze. Zakryła ją drugą dłonią i rozejrzała się ukradkiem dookoła. Oczy wszystkich śledziły ponury spektakl. Nikt nie widział, że kapnęła na nią krew. Nikt jej nie obserwował.

Katinka uniosła jakby w roztargnieniu dłoń do pełnych miękkich ust. Różowy czubek języka wysunął się na zewnątrz i zlizął kropelkę z palca. Przez chwilę delektowała się metalicznym słonym smakiem. Przypominał jej spermę kochanka i poczuła wzbierającą między nogami lepłą wilgoć. Kiedy ścisnęła razem uda, otarły się o siebie, śliskie jak parzące się węgorze.

Na czas remontu, podczas którego Resolution miała zostać wciągnięta na plażę, a jej kadłub oczyszczony z wodorostów i świdraków, trzeba było zapewnić ludziom kwatery na brzegu.

Zbudowanie pomieszczeń dla jeńców sir Francis powierzył Halowi. Chłopak poświęcił szczególną uwagę chacie, w której miała zamieszkać żona gubernatora, starając się, by była przestronna, V, wygodna i zaciszna, i zabezpieczając ją przed dzikimi zwierzętami. Następnie kazał swoim pomocnikom wznieść wokół całej kwatery palisadę z kolczastych gałęzi.

Gdy wraz z nadejściem zmroku zakończył się dzień pracy, zszedł na dół na plażę, wykapał się w ciepłej lagunie, a potem natarł ciało garściami mokrego piasku, aż zapiekła go skóra. Humor psuło mu wspomnienie chłosty, którą musiał oglądać w południe. Rozpogodził się dopiero, kiedy poczuł w nozdrzach dobiegający z okrętowego kambuza zapach gorących sucharów. Wbił szybko nogi w bryczesy i wskoczył do łodzi.

Kiedy pracował na brzegu, ojciec zapisał mu na tabliczce cały szereg nawigacyjnych zadań do rozwiązania. Wsunął ją pod pachę, złapał cynowy kubek piwa, talerz z rybnym gulaszem i trzymając w zębach gorącego suchara pognął do swojej kabiny, jedyne miejsca na całym statku, gdzie mógł się skupić.

Nagle usłyszał plusk wody nalewanej w sąsiedniej kajucie i podniósł wzrok. Zauważył już wcześniej stojące na palenisku wiadra słodkiej wody i śmiał się z utyskiwań kucharza, który nie mógł się pogodzić z tym, że jego ogień służy do przygotowywania komuś ciepłej kąpieli. Teraz wiedział już, dla kogo grzano wodę. Przez ścianę słychać było gardłowy głos Zeldy, która przemawiała wyniośle do Olivera.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz, tłusta stara dziwko - odparł wojowniczo steward ojca. - Ale jak ci się nie podoba, możesz sama przygotować tę cholerną kąpiel.

Hal uśmiechnął się pod wąsem, po czym zgasił lampę, ukląkł przy ścianie i wyjął drewnianą zatyczkę. Sąsiednią kajutę wypełniały kłęby pary. Zaparowane było również lustro stojące przy przeciwległej ścianie, w związku z czym nie widział zbyt wiele. Zelda wypędzała właśnie Olivera za drzwi.

- Idę, już idę, ty stara jędzo! - odgryzał się służący, zabierając ze sobą puste wiadra. - Nic mnie tu nie zatrzymuje, możesz być tego pewna.

Po wyjściu Olivera Zelda przeszła do głównej kajuty i Hal usłyszał, że rozmawia ze swoją panią. Minutę później pojawiła się wraz z nią w drzwiach. Katinka stanęła przy parującej wannie, zanurzyła palce w wodzie i zaraz z krzykiem je cofnęła. Zelda podeszła bliżej i gęsto się tłumacząc, dołała zimnej wody ze stojącego przy wannie cebra. Katinka ponownie sprawdziła temperaturę. Tym razem pokiwała z satysfakcją głową i usiadła na zydłu. Zelda stanęła za nią, podniosła obu rękoma kaskadę wspaniałych lśniących włosów i upięła je na jej głowie niczym snop dojrzałego zboża.

Katinka pochyliła się do przodu i starła opuszkami palców parę z małego fragmentu lustra. Przyjrzała się swemu odbiciu i wysunęła język, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim śladu białego osadu. Był różowy niczym płatek róży. Potem otworzyła szeroko oczy, zajrzała w nie głęboko i dotknęła palcami znajdującej się pod nimi skóry.

- Popatrz na te okropne zmarszczki! - zaczęła biadolić.

- Nie widzę ani jednej! - zaprotestowała energicznie Zelda.

- Nigdy nie chcę być stara i brzydka! - oznajmiła Katinka z tragicznym wyrazem twarzy.

- W takim razie powinnaś umrzeć już teraz, pani - odparła cierpko służąca. - Tylko w ten sposób tego unikniesz.

- Jakie ty opowiadasz straszne rzeczy - poskarżyła się Katinka. - Jesteś dla mnie taka okrutna.

Hal nie rozumiał z tego ani słowa, lecz ton jej głosu poruszył go do głębi.

- Przestań już - ofuknęła ją Zelda. - Wiesz przecież, że jesteś piękna.

- Naprawdę? Na pewno tak uważasz, Zeldo?

- Tak. I ty też tak uważasz. - Zelda pomogła jej wstać. - Ale jeśli zaraz się nie wykąpiesz, będziesz równie pięknie cuchnąć.

Rozpięła jej suknię, a potem ściągnęła ją przez ramiona i Katinka stanęła nago przed lustrem. Mimowolne westchnienie Hala stłumiła ściana i skrzypienie kadłuba.

Od smukłej szyi aż po drobne kostki nóg ciało Kalinki tworzyło linię tak piękną, że zapierało dech. Pośladki zaokrąglały się w dwie idealnie symetryczne półkule, podobne do strusich jaj, które Hal widywał na straganach w Zanzibarze. Nad kolanami widniały dziecinnie niewinne dołeczki.

Odbicie w zaparowanym lustrze było niewyraźne i nie przykuło na długo uwagi Kalinki. Odwróciła się i stanęła twarzą do Hala. Wzrok chłopca zatrzymał się na jej piersiach. W porównaniu z wąskimi ramionami były całkiem duże. Każdą zmieściłby z łatwością w złączonych dłoniach, nie były jednak tak idealnie krągłe, jak się spodziewał.

Hal gapił się na nie, aż łzy popłynęły mu z oczu i musiał zamrugać. Wtedy dopiero spojrzał niżej, na niewielką, lecz czarującą wypukłość jej brzucha i kępę delikatnych włosków wijących się między udami. W blasku lampy migotały najczystszy złotem., Kalinka stała tak bardzo długo, dłużej, niż Hal spodziewał się w najśmielszych marzeniach. Zelda dołała do kąpieli wonnych olejków z kryształowego flakonu i przykłęła, żeby zamieszać wodę ręką. Kalinka w dalszym ciągu siała, opierając ciężar ciała na jednej nodze, tak że jej biodra przechyliły się pod uroczym kątem. Na jej wargach pojawił się chytry uśmieszek. Podniosła powoli rękę i złapała palcami brodawkę piersi. Przez moment Hal miał wrażenie, że patrzy prosto na niego i ogarnięty poczuciem winy chciał odsunąć się od dziury w ścianie. Potem jednak uznał, że to złudzenie, gdyż Kalinka spuściła wzrok i spojrzała na niewielką jagódkę wystającą spomiędzy jej palców.

Zaczęła ją delikatnie masować i na oczach zdumionego Hala brodawka zmieniła kształt i kolor. Nabrzmiała, stwardniała i pociemniała. Nigdy nie wyobrażał sobie, że coś takiego może się zdarzyć - cud, kloty zamiast napełnić go nabożnym podziwem, rozpałał w jego łędźwiach lubieżną żądzę.

Zelda podniosła wzrok i widząc, czym bawi się jej pani, ostro ją upomniała. Kalinka roześmiała się i pokazała jej język, po chwili jednak weszła do wanny. Z rozkosznym westchnieniem zanurzyła się w gorącej pachnącej wodzie tak głęboko, że nad wanną widać było teraz tylko jej gęste złociste loki.

Zelda krzątała się wokół niej, namydlając flanelową szmatkę, myjąc i polewając wodą swoją panią, szepcząc jej do ucha czule słówka i śmiejąc się skrzekliwie z odpowiedzi. Nagle wyprostowała się na klęczkach i o coś poprosiła. Kalinka wstała i woda z mydłem spłynęła z jej ciała. Była odwrócona plecami do Hala i jej krągłe pośladki lśniły różowo nad gorącą wodą. Zgodnie z poleceniami Zeldy podniosła kolejno prawą i lewą nogę, pozwalając je namydlić.

W końcu służąca powstała sztywno z kolan i szurając nogami wyszła z kabiny. Zaraz po jej wyjściu Katinka, wciąż stojąc w wannie, obejrzała się szybko przez ramię. Hal ponownie nie mógł się oprzeć wrażeniu, że patrzy prosto w jego wytrzeszczone oko. Trwało to tylko moment, a potem Katinka powoli i zmysłowo wygięła się w bok. Jej pośladki zmieniły kształt. Katinka oparła na nich drobne białe dłonie i rozchyliła je delikatnie na boki. Tym razem Hal nie zdołał zduśnić cichego jęku, który wydarł mu się z ust, gdy jego oczom ukazała się głęboka widniejąca między nimi szpara.

Do kajuty wpadła z powrotem Zelda, niosąc kilka ręczników. Katinka wyprostowała się i zachwycające pośladki złączyły się, zamykając przed nim swoje sekrety. Zelda dała swej pani znak, żeby wyszła z kąpieli. Zarzuciła jej na ramiona długi ręcznik, rozczesała włosy i zaplotła je w grube złote warkocze. Chciała podać suknię, lecz Katinka potrząsnęła głową i wydała służącej jakieś polecenie. Ta zaprotestowała, ale Katinka nie zamierzała ustąpić. Zelda rzuciła suknię na zydeł i najwyraźniej nadszana opuściła kabinę.

Po jej wyjściu Katinka pozwoliła, by ręcznik opadł na podłogę, po czym podeszła naga do drzwi i zamknęła je na zasuwkę. Potem odwróciła się i zniknęła z pola widzenia Hala.

Chociaż widział poruszającą się różową plamę w zaparowanym lustrze, nie miał pojęcia, co robi, póki nagle i niespodziewanie jej wargi nie znalazły się kilka cali od jego dziury.

- Ty sprośny mały piracie! - syknęła ze złością.

Powiedziała to po łacinie i Hal odskoczył do tyłu, jakby chlusnęła mu w twarz czajnikiem wrzącej wody.

Mimo że nie wiedział, gdzie ma podziać oczy ze wstydu, nie mógł pozostawić jej słów bez odpowiedzi.

- Nie jestem piratem - odparł bez wahania. - Mój ojciec ma list kaperski wydany przez Jego Królewską Mość.

- Nie śmiej mi się sprzeciwiać. - Katinka mieszała łacińskie, holenderskie i angielskie słówka, lecz ton jej głosu był ostry i palił niczym uderzenie bicia.

Ponownie poczuł się zmuszony odpowiedzieć.

- Nie miałem zamiaru cię obrazić, pani.

- Kiedy mój czcigodny małżonek dowie się, że mnie podglądałeś, pójdzie do twojego ojca pirata i każe cię wychłostać tak samo jak tych czterech obwiesiów dziś rano.

- Nie podglądałem cię, pani...

- Kłamca! - Nie pozwoliła mu skończyć. - Ty sprośny kłamliwy piracie!

Na chwilę zabrakło jej oddechu i inwektyw.

- Chciałem tylko...

Jej gniew wybuchł ze zdwojoną siłą.

- Wiem, czego chciałeś! Chciałeś zobaczyć moją Katjie... - wiedział, że słowo to oznacza po holendersku kociaka - a potem wcisnąć tam swój członek...

- Nie! - prawie krzyknął Hal. Jakim cudem odkryła jego tajemnicę? Zrobiło mu się niedobrze z upokorzenia.

- Cicho, bo usłyszysz cię Zelda! - syknęła ponownie. - Jeśli cię złapią, czeka cię chłosta.

- Proszę! - wyszeptał. - Nie miałem złych zamiarów. Proszę, wybac mi. Nie chciałem zrobić nic złego.

- Więc udowodnij, że jesteś niewinny. Pokaż swojego ptaka.

- Nie mogę - odparł drżącym ze wstydu głosem.

- Wstawaj. Przysuń go do dziury, żebym mogła zobaczyć, jakim jesteś kłamcą.

- Nie. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego, pani.

- Pokaż! Rozepnij spodnie.

Powoli, zżerany przez wstyd i zakłopotanie, podciągnął płócienne szarawary i zanim je do końca uniósł, jego penis wyskoczył na zewnątrz niczym nagięta gałąź młodego drzewa. Wiedział, że musiało jej się zebrać na wymioty i odebrało mowę na widok takiej obrzydliwości. Po minucie uporczywego milczenia, która wydawała się trwać całą wieczność, chciał opuścić z powrotem szarawary.

Kalinka natychmiast zaprotestowała głosem w jego przekonaniu drżącym ze wstrętu. Z trudem mógł zrozumieć przekęcane przez nią angielskie słowa.

- Nie! Nie waż się zakrywać swej hańby. Twój członek świadczy przeciwko tobie. W dalszym ciągu utrzymujesz, że jesteś niewinny?

- Nie - przyznał żałośnie.

- W takim razie musisz zostać ukarany - oświadczyła. - Muszę powiedzieć o wszystkim twojemu ojcu.

- Proszę, nie rób tego, pani - błagał. - Zabije mnie gołymi rękami.

- Bardzo dobrze. Będę musiała ukarać cię sama. Przysuń bliżej swój członek.

Hal posłusznie wykonał jej polecenie.

- Bliżej, żebym mogła go dotknąć. Jeszcze bliżej.

Poczuł, jak czubek penisa ociera się o surowe drewno. Chwilę później zacisnęły się na nim jej zaskakująco chłodne miękkie palce. Chciał się cofnąć, lecz ona chwyciła go mocniej.

- Nie ruszaj się! - usłyszał ostry rozkaz.



Kalinka uklękła przy ścianie, przesunęła żołędź członka przez otwór i przyjrzała mu się w świetle lampy. Był tak nabrzmiaty, że z trudem mieścił się w dziurze.

- Nie, nie uciekaj - powiedziała surowym, zagniewanym głosem, łapiąc go lepiej.

Powiększona żołędź załśniła purpurą niczym dojrzała śliwka. Nasunęła na nią mnisi kaptur napletka, a potem ściągnęła go tak daleko, jak to było możliwe. Żołędź spuchła jeszcze bardziej, jakby miała zaraz pęknąć, i poczuła, jak trzon penisa skoczył jej w rękę.

Powtórzyła powoli ten ruch, do przodu, a następnie do tyłu i usłyszała, jak chłopak jęczy za ścianą. To dziwne, ale prawie o nim zapomniała. Członek, który trzymała w rękę, żył swoim własnym życiem.

- To twoja kara, ty sprośny zbereźniku.

Słyszała, jak chłopak drapie paznokciami deski. Jej dłoń sunęła w tę i z powrotem po całym penisie, jakby poruszała czółenką krosna.

To stało się szybciej, niż się spodziewała. Gorąca lepka ciecz ochlapała jej wrażliwe piersi z taką mocą, że wzdrygnęła się, lecz nie odsunęła do tyłu.

- Nie myśl, że wybaczyłam ci już twoją podłość - powiedziała po chwili. - Twoja pokuta dopiero się zaczęła. Rozumiesz?

- Tak - odparł drżącym ochrypłym głosem.

- Musisz zrobić tajne przejście w tej ścianie - poleciła, stukając lekko palcem w drewno. - Obluzuj deski tak, żebyś mógł do mnie przejść i żebym mogła cię jeszcze surowiej ukarać. Rozumiesz?

- Tak - wyjąkał.

- Musisz dobrze zamaskować przejście. Nikt nie ma prawa o nim wiedzieć.

Zauważyłem, że brud i choroby w szczególny sposób się ze sobą wiążą - powiedział sir Francis Halowi. - Nie wiem, na czym to polega, ale tak już jest.

Odpowiadał na zadane nieśmiało pytanie syna, który chciał wiedzieć, dlaczego niezbędne jest poddanie galeonu zmułnemu i uciążliwemu procesowi okadzania. Po opróżnieniu wszystkich ładowni i wysłaniu większości załogi na brzeg sir Francis postanowił pozbyć się ze statku szkodników. Można było odnieść wrażenie, że w każdej szparze w desce roi się od wszy, a ładownie pełne są szczurów. Podłoga kambuzu upstrzona była ich czarnymi odchodami, a Ned Tyler doniósł, że znalazł spuchnięte śmierdzące ścierwa w beczkach na wodę.

Od dnia gdy wpłynęli do laguny, wysłani na ląd członkowie załogi palili drewno korkowe i płukali jego popiół, żeby uzyskać ług. Sir Francis posłał Abolego do lasu, aby odszukał zioła, których jego współplemieńcy używali do odstraszania uciążliwych

szkodników. Na przednim pokładzie czekała teraz grupa marynarzy, uzbrojonych w wiadra ze żrącą substancją.

- Chcę, żebyście wyszorowali każdą szparę i spojenie kadłuba, ale bądźcie ostrożni. Ta ciecz może spalić wam skórę rąk... - oznajmił sir Francis i nagle umilkł. Wszystkie głowy na pokładzie odwróciły się w stronę odległych skał, a każdy pracujący na łodzi oderwał się od swojej pracy i nadstawił ucha.

Głuchy huk armatniego wystrzału odbił się echem od urwistego klifu i potoczył po wodach zatoki.

- To sygnał z posterunku na skałach, kapitanie - zawołał Ned Tyler, wskazując obłoczek białego dymu, wciąż wiszący nad jednym z szańców, które strzegły przesmyku.

Na ich oczach na maszcie na szczycie zachodniej skały wjechała czerwono-czarna flaga. Był to sygnał alarmowy i mógł oznaczać tylko jedno: na horyzoncie pojawił się obcy żagiel.

- Uderz w werbel, mistrzu Danielu! - rozkazał szorstkim tonem sir Francis. - Otwórz skrzynie z bronią i uzbroj załogę. Ja płynę do ujścia przesmyku. Wyznacz czterech ludzi do wiosł. Reszta niech zajmie pozycje bojowe.

Chociaż na jego twarzy nie odbijały się żadne uczucia, w środku aż w nim kipiało. Nie mógł sobie wybaczyć, iż dał się w ten sposób zaskoczyć - jego żaglowiec stał ze zdjętymi masztami i zdemontowanymi wszystkimi działami.

- Chcę, żeby jeńcy zostali przewiezieni na brzeg - zwrócił się ponownie do Neda Tylera - i umieszczeni pod ścisłą strażą, daleko od plaży. Gdyby dowiedzieli się, że do wybrzeża zbliża się obcy statek, mogłoby to ich zachęcić do zwrócenia w jakiś sposób jego uwagi.

Oliver wbiegł na pokład, niosąc na ręku płaszcz sir Francis. Kiedy narzucał go na ramiona kapitana, ten kończył właśnie wydawać rozkazy. Następnie odwrócił się i pomaszerował do burty, przy której kołysała się spuszczone już na wodę łódź i gdzie czekał na niego Hal. Chłopak miał cichą nadzieję, że ojciec pozwoli mu ze sobą popłynąć.

- No dobrze - warknął sir Francis. - Chodź ze mną. Może będą mi potrzebne twoje bystre oczy.

Hal odcumował linę i razem z ojcem wskoczył do łodzi.

- Przyłóżcie się zdrowo do wiosł! - rozkazał ludziom sir Francis i szalupa pomknęła przez lagunę.

Gdy zbliżyła się do klifu, wyskoczył z niej i nie zwracając uwagi na to, że woda wlewa się do jego wysokich butów, dobiegł do brzegu. Hal musiał biec, żeby dogonić go na ścieżce udeptanej przez słonie.

Ze wznoszącego się trzysta stóp nad laguną wzniesienia rozciągał się widok na ocean. Wiatr, który tamował oddech na tej wysokości, podniósł wysokie fale, lecz bystre oczy Hala dostrzegły jaśniejące między efemerycznymi grzywami bałwanów białe plamki, zanim jeszcze zdążył je im pokazać wartownik.

Sir Francis podniósł do oka teleskop.

- Co to za statek? - zapytał Hala.

- Widzę dwa statki - odparł chłopak.

- Ja tylko jeden... chociaż nie! Masz rację. Jest jeszcze jeden, trochę dalej na wschód.

To chyba fregata, nie sądzisz?

- Trójmasztowiec. - Hala osłonił oczy. - W pełnym ożaglowaniu. Tak, to chyba fregata. Drugi statek jest za daleko. Nie potrafię określić jego typu. - Nie było mu łatwo się do tego przyznać i wyteżał wzrok, żeby dostrzec więcej szczegółów. - Oba płyną dokładnie w naszym kierunku.

- Jeśli zmierzają do Przylądka Dobrej Nadziei, muszą szybko zmienić kurs - mruknął sir Francis, nie odejmując od oczu teleskopu.

Obaj wpatrywali się z niepokojem w majaczące na horyzoncie żagle.

- Może to dwa statki holenderskie, które wciąż płyną na zachód - rzucił z nadzieją Hala.

- Więc dlaczego pchają się tak blisko brzegu? - burknął sir Francis. - Nie, wygląda na to, że kierują się prosto w stronę przesmyku. Chodź ze mną! - zawołał, składając teleskop i ruszając truchtem do łodzi czekającej na plaży. - Mistrzu Danielu, płyn do baterii na drugim cyplu i obejmij nad nią dowództwo. Nie rozpoczynaj ognia, dopóki ja tego nie zrobię.

Patrzyli, jak łódź przecina szybko lagunę. Kiedy wpłynęła do małej, niewidocznej z zewnątrz zatoczki, sir Francis pośpieszył do szanca na wschodnim cyplu i wydał rozkazy kanonierom, którzy kucali nad kolubrynymi, trzymając w rękach tłące się lonty.

- Na moją komendę strzelajcie do pierwszego statku. Jedna salwa okrągłymi kulami - powiedział. - Celujcie w linię wodną. Potem załadujcie kule złączone łańcuchem i zerwijcie im olinowanie. Nie będą mieli ochoty na skomplikowane manewry, kiedy zrzucimy im połowę żagli.

Sir Francis skoczył na obwałowanie i spojrzał na morze przez wąski przesmyk, ale zbliżające się statki wciąż zasłaniał skalisty cypel.

Nagle zza zachodniej skały wyłonił się statek w pełnym ożaglowaniu. Miał mniej niż dwie mile do brzegu i na ich oczach zmienił kurs, kierując się prosto w stronę wejścia do kanału.

- Mają wysunięte działa, więc najwyraźniej spodziewają się z naszej strony wrogiego przyjęcia - stwierdził ponuro sir Francis, zeskakując z wału. - A my im je zgotujemy, chłopcy.

- Nie, ojcze - zawołał nagle Hal. - Ja znam ten statek!

- Kto...

Sir Francis otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, zanim zdążył je zadać. Na najwyższym maszcie statku załopotał długi proporzec.

- Croix patte! - krzyknął Hal. - To Guli of Moray. To lord Cumbrae, ojcze!

- Na Boga, to prawda. Skąd ten rudy rzeźnik dowiedział się o naszej kryjówce?

Za rufą Guli of Moray pojawił się drugi statek. On także obrócił reje, ruszając w ślad za Myszołowem w stronę wąskiego przesmyku.

- Znam również ten statek - zawołał Hal, przekrzykując wiatr. - Oczywiście! Poznają nawet rzeźbę na dziobie. To Goddess. Nie znam innego statku, który miałby nagą Wenus na bukszprycie.

- Kapitan Richard Lister, zgadza się - stwierdził sir Francis. - Czuję się trochę różnie na jego widok. To zacy człowiek... chociaż, Bóg mi świadkiem, żadnemu z nich nie ufam do końca.

Płynąc kanałem obok stanowisk działowych, Myszołów musiał zauważyć jasny płaszcz sir Francis, ponieważ kazał opuścić flagę na powitanie.

Sir Francis uniósł w odpowiedzi kapelusz.

- Wolałbym raczej oddać ci salut kartaczami, ty szkocki bękartie - zazgrzytał zębami. - Poczuleś zapach łupów, prawda? Przyplynałeś, żeby żebrać albo kraść. Ale skąd się dowiedział?

- Ojcze! - krzyknął ponownie Hal. - Popatrz tam, na wantach! Wszędzie poznałbym tę szczerbatą gębę! To od niego się dowiedzieli. On ich tutaj sprowadził.

Sir Francis przytknął do oczu teleskop.

- Sam Bowles. Wygląda na to, że nawet rekiny nie potrafią strawić jego ścierwa. Powinienem być pozwolić załodze załatwić go, kiedy mieliśmy okazję.

Guli of Moray mijała ich powoli, zwijając stopniowo żagle i wpływając coraz głębiej do laguny. Goddess podążała za nią w bezpiecznej odległości. Na jej maszcie również powiewał croix patte, wraz z krzyżem świętego Jerzego i flagą Unii. Richard Lister był także rycerzem zakonu. Rozpoznali jego niewysoką postać na rufie, kiedy podszedł do relingu i wykrzyknął kilka słów, które zagłuszył wiatr.

- Obracasz się w dziwnym towarzystwie, Richardzie - mruknął sir Francis, machając mu w odpowiedzi kapeluszem.

Lister był razem z nim, kiedy zdobyli Heerlycke Nacht. Podzielili zgodnie łupy i rozstali jak przyjaciele. Powinien towarzyszyć sir Francisowi i Myszołowowi podczas tych długich tygodni, które spędzili patrolując okolice przylądka Agulhas, nie stawiał się jednak na umówione spotkanie w Port Louis na Mauritiusie. Po prawie miesięcznym oczekiwaniu sir Francis zmuszony był ulec żądaniom Myszołowa i popłynęli bez Listera.

- Cóż, najlepiej będzie, jeśli zrobimy dobrą minę do złej gry i powitamy naszych nieproszonych gości - powiedział do Hala i kiedy Daniel przyплыł łodzią z drugiego cypla, zszedł do niego na plażę.

Gdy przecinali z powrotem lagunę, dwa statki zarzuciły kotwicę w głównym kanale. Guli of Moray stanęła zaledwie pół kabla za Resolution. Sir Francis kazał Danielowi podплыć od razu do Goddess. Richard Lister stał przy relingu, żeby powitać go, kiedy razem z Halem wszedł na pokład.

- Do stu tysięcy diabłów, Franky! Doszły mnie wieści, że zdobyłeś holenderski galeon z obfitymi łupami. Teraz widzę, że stoi tu na kotwicy. - Richard uściśnął rękę sir Francisowi. Sięgał mu zaledwie do ramienia, ale miał silną dłoń. Wystawił do wiatru potężny czerwony nos i mówił dalej ze swoim śpiewnym celtyckim akcentem. - Czy to nie zapach przypraw? Nie mogę odżałować, że nie znalazłem cię w Port Louis.

- Gdzie się podziewałeś, Richardzie? Czekałem na ciebie trzydzieści dwa dni.

- Niestety na południe od Mauritiusa dopadł mnie huragan. Połamał mi maszty i pognął aż do Wyspy Świętego Wawrzyńca.

- To na pewno ten sam sztorm, w którym stracił grotmaszt Holender - stwierdził sir Francis, wskazując galeon. - Kiedy go zdobyliśmy, miał prowizoryczne omasztowanie. Ale jak spotkałeś Myszołowa?

- Pomyślałem, że zaraz po wyremontowaniu Goddess poszukam cię w okolicy przylądka Agulhas, w razie gdybyś jeszcze patrolował ten obszar. Tam właśnie go spotkałem i ruszyłem wraz z nim tutaj.

- Cóż, miło cię znowu widzieć, stary przyjacielu. Ale powiedz mi, czy masz jakieś wieści z kraju? - zapytał sir Francis, pochylając się ku niemu z nadzieją.

To było zawsze jedno z pierwszych pytań, które zadawali sobie ludzie, spotykając się za Linia. Mogli podróżować do najdalszych kresów nie naniesionych na mapę mórz, ale sercami byli zawsze blisko domu. Prawie rok minął, odkąd sir Francis otrzymał ostatnie wieści z Anglii.

Przez twarz Richarda Listera przeszedł cień.

- Pięć dni po wypłynięciu z Port Louis natknąłem się na Windsong, jedną z fregat Jego Królewskiej Mości. Pięćdziesiąt sześć dni wcześniej wypłynęła z Plymouth, kierując się ku Wybrzeżu Koromandelskiemu.

- I jakie masz od nich wieści? - przerwał mu niecierpliwie sir Francis.

- Niedobre, Bóg mi świadkiem, niedobre. Powiedzieli, że całą Anglię dotknęła zaraza i że mężczyźni, niewiasty i dzieci umierali tysiącami i dziesiątkami tysięcy, tak że nikt nie nadążał ich grzebać i zwłoki leżały gnijąc i cuchnąc na ulicach.

- Czarna śmierć! - Sir Francis przeżegnał się zdjęty trwogą. - Gniew Boży.

- A potem, gdy w każdej wsi i miasteczku wciąż szalała zaraza, Londyn został zniszczony w potężnym pożarze. Mówią, że płomienie nie oszczędziły prawie żadnego domu.

Sir Francis wpatrywał się w niego osłupiały.

- Londyn spalony? To nie może być! A król? Czy jest bezpieczny? Czy to Holendrzy podpalili miasto? Powiedz coś więcej, człowieku, powiedz coś więcej!

- Królowi nic się nie stało. Ale tym razem nie możemy złożyć winy na Holendrów. Pożar zaczął się od piekarni przy Pudding Lane i trwał przez trzy dni bez przerwy. Spaliła się doszczętnie katedra Świętego Pawła, ratusz, królewska giełda, sto kościołów i Bóg jeden wie co jeszcze. Mówią, że straty przekroczyły dziesięć milionów funtów.

- Dziesięć milionów! Takiej sumy nie zdoła zebrać nawet najbogatszy monarcha. Całe jednoroczne dochody korony nie sięgają miliona funtów. To musiało zrujnować króla i cały naród.

Richard Lister pokiwał ze smutkiem głową.

- To nie koniec złych wieści. Holendrzy spuścili nam srogie lanie. Ten szatan de Ruyter wpłynął do Medway i Tamizy. Straciliśmy szesnaście liniowych okrętów, admirał zdobył także Royal Charlesa, który był zacumowany w Greenwich, i odholował go do Amsterdamu.

- Nasz flagowy okręt, kwiat i duma naszej floty! Czy Anglia zdoła podźwignąć się z takiej klęski, doznanej zaraz po zarazie i pożarze?

Lister ponownie pokiwał głową.

- Mówią, że król chce zawrzeć pokój z Holendrami. W tym momencie wojna może już być skończona. Mogli podpisać pokój przed kilkoma miesiącami.

- Módlmy się gorąco, żeby tak nie było - mruknął sir Francis, spoglądając na Resolution. - Zdołałem ten przyz zdobyć przed trzema tygodniami. Jeśli zawarto wcześniej pokój, mój list kaperski stracił ważność. Atak na statek mógłby zostać poczytany za akt piractwa.



- Tak to już jest na wojnie, Franky. Nie miałeś pojęcia o zawarciu pokoju. Holendrzy nie mogą cię o to winić. - Richard Lister wskazał swoim potężnym nochem Guli of Moray. - Wygląda na to, że lord Cumbrae czuje się dotknięty tym, iż nie uczestniczy w naszym spotkaniu. Zobacz, chce do nas dołączyć.

Myszołów spuścił właśnie na wodę łódź i stojąc osobiście na rufie płynął kanałem w ich stronę. Po kilku chwilach wdrapał się po sznurowej drabince na pokład Goddess.

- Franky! - powitał głośno sir Francisa. - Odkąd się rozstaliśmy, nie było dnia, żebym nie zmówił za ciebie pacierza. I moje modlitwy zostały w końcu wysłuchane. Mamy tutaj śliczny galeonik, jak słyszałem, załadowany od góry do dołu srebrem i przyprawami.

- Powinieneś poczekać dzień albo dwa dłużej, zanim opuścisz swoje stanowisko. Wtedy przysługiwałby ci udział w łupach.

Myszołów podniósł ręce w geście skrajnego zdumienia.

- Ależ, drogi Franky, co ty opowiadasz? Nigdy w życiu nie zszedłem ze stanowiska! Popłynąłem tylko trochę dalej na wschód, żeby sprawdzić, czy Holendrzy nie próbują nas ominąć, wypuszczając się na pełne morze. Wróciłem do ciebie najszybciej, jak mogłem. Ale was już nie było.

- Pozwól, że przypomnę ci twoje własne słowa, mój panie. „Skończyła się moja cierpliwość. Sześćdziesiąt pięć dni to dosyć dla mnie i dla moich dzielnych chwatów”.

- Moje własne słowa, Franky? - Myszołów potrząsnął głową. - Musiałeś się przesłyszeć. Wiał wtedy silny wiatr. Sir Francis cicho się roześmiał.

- Marnujesz swój talent największego szkockiego blagiera. Nie ma tutaj nikogo, kto by cię oklaskiwał. Zarówno Richard, jak i ja za dobrze cię znamy.

- Mam nadzieję, Franky, że nie chcesz pozbawić mnie należnego udziału w łupach. - Na twarzy Myszołowa pojawił się wyraz smutku i niedowierzania. - Zgadza się, nie było mnie w pobliżu, kiedy zająłeś statek, i nie oczekuję połowy. Daj mi jedną trzecią i nie będę się klócił.

- Zaczepnij głęboko powietrza, mój panie - oznajmił sir Francis, opierając niedbale rękę na rękojeści szpady. - Ten zapach przypraw to wszystko, co ode mnie dostaniesz.

Myszołów natychmiast się rozchmurzył i wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

- Franky, mój stary i drogi towarzyszu broni! Przyjdź do mnie dzisiaj na wieczerzę, to wychylimy kilka kielichów dobrej whisky i pogadamy, jak wprowadzić twojego chłopaka do zakonu.

- A więc to inicjacja Hala przywiodła cię do mnie z powrotem? Nie srebro i przyprawy?

- Wiem, ile znaczy dla ciebie ten młokos. Dla nas wszystkich, Franky. Przynosi ci chlubę. Wszyscy chcemy, żeby został rycerzem zakonu. Często o tym wspominałeś. Chyba nie zaprzeczysz?

Sir Francis zerknął na syna i prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Cóż, w takim razie nieprędko znowu nadarzy się druga taka okazja. Wszyscy trzej jesteśmy Nawigatorami Zakonu. Tylu właśnie trzeba, żeby nadać nowicjuszowi pierwszy stopień. Zastanów się, kiedy znowu znajdziesz trzech rycerzy, żeby zebrać lożę, tutaj, na końcu świata.

- To bardzo miło, że o tym pomyślałeś. Ta sprawa nie ma oczywiście nic wspólnego z udziałem w łupach, którego domagałeś się przed chwilą - zauważył z przekąsem sir Francis.

- Nie będziemy już o tym mówić. Jesteś zacnym człowiekiem, Franky. Twardym, ale zacnym. Nie oszukasz przecież brata w zakonie.

Sir Francis powrócił grubo przed pomocą z wieczerzy, na którą zaprosił go na pokład Guli of Moray lord Cumbrae. Gdy tylko znalazł się w swojej kajucie, kazał Oliverowi sprowadzić Hala.

- W tę niedzielę. Za trzy dni. W lesie - powiedział synowi. - Wszystko przygotowane. Otworzymy zebranie loży o wschodzie księżyca, po drugim dzwonku psiej wachty.

- Ale przecież Myszołów... - zaprotestował Hal. - Nie lubisz go ani mu nie ufasz. Zostawił nas samych.

- Mimo to ma rację. Przed powrotem do Anglii może się już nigdy nie nadarzyć taka okazja. Muszę wykorzystać jego obecność, żeby wprowadzić cię do zakonu. Bóg jeden wie, kiedy znowu spotka się razem trzech rycerzy.

- Schodząc na brzeg, będziemy zdani na jego łaskę i niełaskę - ostrzegł Hal. - Może spłatać nam jakąś niespodziankę. Sir Francis potrząsnął głową.

- Nigdy nie znajdziemy się na łasce Myszołowa, możesz się tego nie obawiać - stwierdził, po czym podszedł do swego kufra i podniósł wieko. - Przygotowałem się już dawno do dnia twojej inicjacji. Oto strój dla ciebie - oznajmił, rzucając na pryczę tobolek z ubraniem. - Włóż to. Sprawdźmy, czy na ciebie pasuje. Oliver!

Służący zjawił się natychmiast, niosąc pod pachą przybory do szycia. Hal zdjął szybko swoją starą znoszoną płócienną kurtkę oraz szarawary i z pomocą Olivera zaczął wkładać uroczysty strój rycerski. Nigdy nie śniło mu się, że będzie miał tak wspaniałe ubranie.

Pończochy były z białego jedwabiu, a bryczesy i kubrak z granatowej satyny z rękawami wyszywanymi złotem. Buty miały ciężkie srebrne spinki i wykonano je z tej samej

czarnej polerowanej skóry co bandolety. Oliver rozczesał splątane włosy Hala i włożył mu na głowę kapelusz. Zdobiące rondo pawie pióra osobiście wybrał na targu w Zanzibarze.

Kiedy chłopak ubrał się, służący okrzyknął go, z głową przekrzywioną krytycznie na bok.

- Kubrak jest za ciasny w ramionach, sir Francisie. Panicz Hal mężnieje z każdym dniem. Ale to da się poprawić w mgnieniu oka.

Sir Francis pokiwał głową i powtórnie sięgnął do kufra. Halowi zabiło szybciej serce, gdy zobaczył w dłoniach ojca złożony płaszcz. Oto symbol rycerskiej godności, do osiągnięcia której tak pilnie się uczył. Sir Francis zarzucił mu płaszcz na ramiona i zapiął klamrę na szyi. Białe poły sięgnęły kolan, a szkarłatny krzyż ozdobił ramiona.

Ojciec cofnął się i uważnie przyjrzał Halowi.

- Brakuje jeszcze jednej rzeczy - mruknął, po czym wyjął z kufra szpadę.

Nie pierwszą lepszą szpadę. Hal dobrze ją znał. Należała do rodzinnej schedy Courteneyów, lecz mimo to ze wzruszenia ścisnęło go w gardle. Podchodząc do niego z bronią, ojciec jeszcze raz przypomniał jej historię i pochodzenie.

- Ta szpada należała do Charlesa Courteneya, twojego pradziadka. Osiemdziesiąt lat temu otrzymał ją osobiście od sir Francis Drake'a w nagrodę za pomoc w zdobyciu portu Rancherii w Ameryce. Drake'owi dał ją, poddając się, hiszpański gubernator don Francisco Manso.

Ojciec podniósł do góry pochwę wysadzaną srebrem i złotem, żeby Hal mógł się jej lepiej przyjrzeć. Zdobiły ją korony, delfiny i morskie duchy otaczające siedzącego na tronie Neptuna. Sir Francis odwrócił broń i podał ją Halowi rękojeścią do przodu. W jej głowicy tkwił wielki gwiazdzisty szafir. Hal wysunął ostrze z pochwy i od razu zorientował się, że nie trzyma w ręku zabawki jakiegoś hiszpańskiego fircyka. Klinga była ze złoconej najczystszej toledańskiej stali. Z radością obracał ją między palcami, wyczuwając drżącą w niej sprężystość i siłę.

- Uważaj - ostrzegł go ojciec. - Mógłbyś się golić tym ostrzem.

Hal wsunął szpadę z powrotem do pochwy, a ojciec przytroczył mu ją do pasa i dał krok do tyłu, żeby przyjrzeć się krytycznym okiem synowi.

- Co o nim myślisz? - zapytał Olivera.

- Do poprawki są tylko ramiona - odparł służący, gładząc palcami satynę kubraka. - Od tych zapasów i szermierki zmieniła mu się postura. Będę musiał przesyć szwy.

- Pójdź z nim do jego kabiny i zajmij się tym. Sir Francis odprawił obu skinieniem ręki, po czym usiadł za biurkiem i otworzył oprawny w skórę dziennik okrętowy. Hal zatrzymał się w progu.

- Dziękuję, ojczec. Ta szpada... - Dotknął szafirowej główicy rękojeści, ale nie potrafił znaleźć słów, by mówić dalej.

Sir Francis odchrząknął, nie podnosząc wzroku, po czym zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać. Hal ociągał się jeszcze chwilę. Dopiero gdy ojciec rzucił mu poirytowane spojrzenie, wycofał się i zamknął za sobą cicho drzwi. Kiedy skręcił w korytarz, drzwi naprzeciwko otworzyły się i żona gubernatora wyszła przez nie tak szybko, szeleszcząc jedwabiami, że o mało się nie zderzyli.

Hal odskoczył na bok i ściągnął z głowy ozdobiony piórami kapelusz.

- Pani wybacz.

Katinka stanęła jak wryta w miejscu i zmierzyła go powoli wzrokiem, od błyszczących sprzączek nowych butów aż po czuprynę.

- Pirackie szczenię ubrane jak wielki pan - mruknęła cicho, patrząc mu prosto w oczy. A potem nagle pochyliła się do przodu, tak że jej twarz dotknęła niemal jego. - Sprawdziłam ściankę - szepnęła. - Nie zrobiłeś przejścia. Nie wykonałeś zadania, które ci zleciłam.

- Obowiązki zatrzymały mnie na brzegu. Nie miałem okazji - wyjąkał, przypominając sobie z trudem łacińskie słowa.

- Masz to zrobić dziś w nocy - rozkazała i oddaliła się.

W powietrzu pozostał zapach jej perfum i satynowy kubrak wydał się nagle Halowi zbyt ciepły, krępujący ruchy. Czuł spływający po piersi pot.

Miał wrażenie, że Oliver przez pół nocy biedzi się nad nieszczęsnym kubrakiem. Dwa razy zrywał i przesywał ścieg, zanim uznał, że jest dobrze dopasowany. Hal aż kipiał z niecierpliwości.

Kiedy steward w końcu poszedł, zabierając ze sobą jego nowy strój, pośpiesznie zaryglował drzwi i ukląkł przy ścianie. Odkrył, że deski przymocowane są do dębowej ramy wpuszczonymi w stolarzkę drewnianymi kołkami.

Kolejno podważał je ostrzem sztyletu i wysuwał z wywierconych dziur. Szło mu to wolno, ponieważ nie chciał robić hałasu. Każde uderzenie młotka albo trzask drewna niesłoby się po całym statku.

Świtało już prawie, gdy zdołał usunąć ostatni kołek. Wsunął sztylet w szparę i podważył deski. Ustąpiły ze skrzypieniem, które zdawało się rozbrzmiewać pod całym pokładem i musiało z pewnością zaalarmować jego ojca i gubernatora.

Wstrzymując oddech czekał, aż na jego głowę spadnie straszliwa kara, lecz minuty mijały i w końcu odetchnął z ulgą.

Nieśmiało wsadził głowę i ramiona w prostokątny otwór. Toaleta Katinki pogrążona była w mroku, ale od zapachu jej perfum zatykało go w gardle. Nateżał słuch, lecz z sąsiedniej kabiny nie dochodził żaden odgłos. Wtem usłyszał niewyraźny dźwięk okrętowego dzwonu i zdał sobie z przerażeniem sprawę, że prawie świta i za pół godziny zacznie się jego wachta.

Wycofał głowę z otworu i umieścił deski na starym miejscu, wtykając drewniane kołki tak słabo, by mocje wyciągnąć w ciągu kilku sekund.

Czy nie powinieneś zabronić ludziom Cochrańa schodzić na brzeg? - zapytał Hal. - Wybacz, ojczec, ale czy możesz mu do tego stopnia zaufać?

- Jak mogę go powstrzymać, nie prowokując starcia? - odpowiedział pytaniem na pytanie sir Francis. - Twierdzi, że potrzebuje wody i drewna na opał, a my nie jesteśmy właścicielami tego łądu ani tej laguny. Jak mogę mu zabronić?

Hal miał ochotę na dalszą dyskusję, lecz ojciec spiorunował go wzrokiem i odwrócił się, żeby powitać lorda Cumbrae, którego łódź przybijała właśnie do plaży. Cochrań wyskoczył na brzeg w szkockiej spódniczce, spod której wystawały owłosione jak u niedźwiedzia nogi.

- Niech Bóg ześle na ciebie wszelkie błogosławieństwa w ten uroczy poranek, Franky - zawołał, podchodząc do sir Francis. Jego osadzone pod krzaczastymi brwiami błękitne oczy latały na wszystkie strony.

- On wszystko widzi - mruknął Hal. - Przyplłynął, żeby zobaczyć, gdzie stoją beki z przyprawami.

- Nie możemy ich ukryć. Jest ich cała fura - odparł sir Francis. - Ale możemy utrudnić mu ich kradzież - dodał, uśmiechając się krzywo do podchodzącego Cochrańa. - Mam nadzieję, że widzę cię w dobrym zdrowiu, panie, i że whisky nie zepsuła ci snu ostatniej nocy.

- Whisky? To eliksir życia, Franky. Krew w moich żyłach. - Podbiegłe krwią oczka zatrzymały się na obwałowaniach na skraju lasu. - Muszę napelnić moje beczki. Gdzieś tutaj musi być dobra słodka woda.

- Milę dalej do laguny wpada strumień ze wzgórz.

- Widzę, że roi się tu od ryb. - Cochrań wskazał na ustawione na polanie rusztowania z palików, na których wędziły się pod wolnym ogniem wypatroszone ryby. - Każę moim chłopcom złowić trochę dla nas. A co ze zwierzyną? Czy w lesie są jakieś jelenie albo dzikie bawoły?

- Jest trochę słońi i dzikich bawołów. Ale są niebezpieczne i nie powali ich nawet wycelowana pod żebro kula z muszkietu. Kiedy wciągniemy statek na brzeg, zamierzam wysłać myśliwych w głąb łądu, żeby poszukali łatwiejszej do upolowania zwierzyny.

Było widać, że lord Cumbrae zadał pytanie, by dać sobie trochę czasu i mało go obchodzi odpowiedź. Hal wodził wzrokiem za jego rozbieganymi oczyma. Cochran zauważył już kryte strzechą szalasy, pod którymi stały rzędy wielkich beczek z przyprawami.

- Planujesz więc wyciągnąć statek na brzeg - mruknął, odwracając się od składu przypraw i wskazując podbródkiem kadłub Resolution. - Mądre posunięcie. Gdybyś potrzebował pomocy, mam trzech znakomitych cieśli.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - odparł sir Francis. - Być może rzeczywiście się do ciebie zwrócę.

- Zrobiłbym wszystko, żeby pomóc bratu w zakonie. Wiem, że o tobie można powiedzieć to samo. - Cochran poklepał go serdecznie po plecach. - Teraz, kiedy moi ludzie zajmą się uzupełnieniem zapasów wody, możemy poszukać odpowiedniego miejsca na zebranie łoży. Musimy godnie potraktować młodego Hala. To dla niego ważny dzień.

Sir Francis zerknął na syna.

- Czeka na ciebie Aboli - powiedział, wskazując głową Murzyna stojącego cierpliwie trochę dalej na plaży.

Hal patrzył przez chwilę, jak ojciec znika z Cochranem w głębi lasu, a potem podbiegł do Abolego.

- Jestem już gotów. Chodźmy.

Aboli ruszył natychmiast truchtem wzdłuż plaży.

- Nie masz kijów? - zapytał Hal, biegnąc obok niego.

- Wytniemy je w lesie - odparł Aboli, klepiąc ręką przewieszony przez ramię stalowy toporek. Po chwili skręcił w głąb łądu i po przebiegnięciu około mili zatrzymał się przy gęstych zaroślach. - Zaznaczyłem wcześniej te drzewa. Moje plemię nazywa je kweti. Robi się z nich najlepsze kije do rzucania.

Kiedy przedzierali się przez busz, gdzieś blisko rozległ się odgłos łamanych gałęzi. Jakieś spłoszone przez nich wielkie zwierzę rzuciło się do ucieczki. Przed oczyma mignął im czarny kostropaty grzbiet i wielkie sękate rogi.

- Nyati - powiedział Aboli. - Dziki bawół.

- Powinniśmy na niego zapolować. - Hal ściągnął z ramienia muszkiet i sięgnął szybko po krzemień i krzesiwo, żeby zapalić lont. - Mięsem takiej bestii pożywi się cała załoga.



Aboli uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Prędeż on ciebie upoluje. W całym lesie nie ma bardziej zajadłej bestii. Jest groźniejszy od lwa. Będzie się śmiał z twojej małej ołowianej kulki i rozszarpie cię tymi potężnymi dzidami, które nosi na czubku głowy - oświadczył, po czym zdjął toporek z ramienia. - Zostaw w spokoju starego nyati. Upolujemy coś innego, żeby nakarmić załogę.

Wbił ostrze toporka w pień młodego kweti i po kilkunastu uderzeniach odsłonił cebulasty korzeń. Po kilku dalszych wydobył go z ziemi wraz z pniem.

- Moje plemię nazywa taką maczugę inwisa. Nauczę cię dzisiaj, jak się nią posługiwać. - Wprawnymi ruchami przyciął i odkorował pień, a potem ociosał korzeń, zmieniając go w kulę twardą jak żelazo. Skończywszy, podniósł w górę maczugę, sprawdził, czy jest dobrze wyważona, i poszukał następnego drzewka. - Każdy z nas będzie potrzebował dwóch - oznajmił.

Hal przykucnął na piętach i obserwował fruujące w powietrzu wióry drewna.

- Ile miałeś lat, gdy złapali cię łowcy niewolników, Aboli? - zapytał i zwinne czarne ręce nagle znieruchomiały.

Przez twarz Abolego przeszedł cień. Po chwili znowu zaczął ociosywać pień, lecz dopiero po kilku kolejnych sekundach udzielił odpowiedzi na pytanie chłopaka.

- Nie pamiętam. Wiem tylko, że byłem bardzo mały.

- Pamiętasz to?

- Pamiętam, że przyszli w nocy. Mężczyźni w białych szatach, z długimi muszkietami w rękę. To było bardzo dawno, ale pamiętam ogień w ciemności, kiedy okrążyli wioskę.

- Gdzie żyje twoje plemię?

- Daleko na północy. Przy brzegu wielkiej rzeki. Mój ojciec był wodzem, lecz mimo to wywlekli go z chaty i zabili jak zwierzę. Zabili wszystkich naszych wojowników, oszczędzili tylko kobiety i bardzo małe dzieci. Skuli nas razem za szyje łańcuchami i kazali maszerować przez wiele dni, tam, gdzie wschodzi słońce, w stronę wybrzeża. - Aboli wstał nagle i podniósł sporządzone przez siebie maczugi. - Głędzimy jak stare baby, a powinniśmy polować.

Ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Kiedy dotarli do laguny, obejrzał się przez ramię na Hala.

- Zostaw tutaj swój muszkiet i mieszek z prochem - powiedział. - W wodzie na nic ci się nie zdadzą.

Hal schował broń w zaroślach, a Aboli wybrał parę najprostszych i najlżejszych inwisa. Gdy chłopak wrócił, wręczył mu maczugi.

- Patrz na mnie i rób to samo co ja - rozkazał, po czym rozebrał się do naga i wszedł do płytkiej wody.

Hal ruszył za nim w stronę, najgęstszej kępy trzcin. Zanurzony po pas w wodzie, Aboli zatrzymał się, ściągnął łodygi wysokich trzcin i splótł je razem nad sobą, a potem zanurzył się głębiej, tak że z laguny wystawała tylko jego głowa. Hal zajął pozycję nieopodal i szybko splótł nad sobą podobną trzcinową zasłonę. Słyszał skrzypienie wiosel i niewyraźne głosy marynarzy Guli, którzy wracali na statek po wypełnieniu beczek słodką wodą ze strumienia.

- Bądź gotów, Gundwane! - zawołał cicho Aboli. - Powinni zaraz spłoszyć ptaki.

Nagle zaszumiały skrzydła i niebo zakryła olbrzymia chmara ptaków, które widzieli wcześniej. Stado dzikich kaczek, różniących się od angielskich tylko jaskrawożółtymi dziobami, zbliżyło się do miejsca, w którym czatowali.

- Nadlatują - ostrzegł go szeptem Aboli i Hal zastygł w bezruchu, wpatrując się w starego kaczora, który prowadził klucz. Jego skrzydła cięły powietrze niczym nóż mocnymi szybkimi uderzeniami.

- Teraz! - krzyknął Aboli i wyprostował się, trzymając gotową do rzutu maczugę. Kiedy cisnął ją w górę, stado kaczek rozpierzchnęło się w popłochu.

Aboli przewidział to. Wirująca maczuga trafiła kaczora prosto w pierś, zabijając go na miejscu. Ptak runął w dół, gubiąc po drodze pióra. Zanim jeszcze dotknął wody, w powietrze pofrunęła druga maczuga. Trafiła młodszą kaczkę, łamiąc jej wyciągniętą szyję i strącając tuż obok unoszącego się na wodzie kaczora.

Hal cisnął szybko jedną po drugiej swoje maczugi, obie jednak przeleciały daleko od celu i stado odfrunęło, trzepocząc nisko skrzydłami nad kępą trzcin.

- Niedługo się nauczysz. Oba rzuty nie były takie złe - pocieszył go Aboli, brodząc w płytkiej wodzie, żeby zabrać upolowane kaczki i odnaleźć swoje maczugi.

Zostawił oba ptaki w oczku wody między szuwarami i po kilku minutach zaczęli się obok kolejnego stada kaczek, które spłoszone o mało nie wpadły na trzcinę.

- Świetnie! - zaśmiał się Aboli, ruszając po następne dwa martwe ptaki. - Tym razem byłeś bliższy celu. Wkrótce może nawet coś trafisz.

Mimo tej zapowiedzi dopiero w połowie poranka Halowi udało się upolować pierwszą kaczkę, a i tak złamał jej tylko skrzydło i musiał płynąć przez pół laguny, żeby ukręcić jej szyję. W południe ptaki przestały żerować i przeniosły się na głębszą wodę, skąd nie można było ich wypłoszyć.

- Na dzisiaj dosyć! - ogłosił koniec polowania Aboli.

Wyciął kilka pasków kory z rosnącego nad brzegiem drzewa i związał nimi w pęczki upolowane ptaki. Było ich tyle, że z trudem zarzucił je sobie na plecy. W przeciwieństwie do niego Hal nie zmęczył się zbytnio, dźwigając swoją zdobycz.

Biegając truchtem minęli cypel i ich oczom ukazała się zatoka, w której stały trzy statki. Aboli zrzucił swoje brzemie na ziemię.

- Tutaj odpoczniemy - oznajmił. Hal przycupnął przy nim i przez chwilę siedzieli obaj w milczeniu. - Po co przyplłynął tutaj Myszołów? - zapytał w końcu Aboli.

- Twierdzi, że zrobił to, aby asystować przy mojej inicjacji. Aboli pokiwał głową.

- W moim plemienu młody wojownik musi poddać się obrzezaniu na długo przedtem, nim stanie się mężczyzną.

Hal zadrżał i dotknął palcami krocza, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko jest tam na miejscu.

- Cieszę się, że nie muszę jak ty poddać się obrzędowi noża.

- Ale to nie jest przecież prawdziwy powód, dla którego tu przyplłynął. Ciągnie za twoim ojcem jak hiena za lwem. Na miłe czuć od niego zdradę.

- Mój ojciec też mu nie ufa - zapewnił go cicho Hal. - Jesteśmy jednak zdani na jego łaskę. Resolution nie ma grotmasztu i przewieźliśmy na łód wszystkie kolubryny.

Obaj przez jakiś czas przyglądali się Guli of Moray. W końcu Hal poruszył się niespokojnie.

- Co on knuje? - mruknął.

Łódź Cochran'a opłynęła statek i przycumowała obok wystającego z wody kotwicznego łańcucha. Hal i Aboli patrzyli, jak marynarze krzątają się przy nim przez kilka minut.

- Są zasłonięci od strony plaży i ojciec nie widzi, co robią - myślał na głos Hal. - W ich zachowaniu jest coś podejrzanego. Wcale mi się to nie podoba.

Kiedy to mówił, marynarze wykonali swoje tajne zadanie i zaczęli wiosłować z powrotem do burty Guli of Moray. Hal dostrzegł, że płynąc ciągną za sobą do rufy drugi łańcuch kotwiczny.

- Założyli szpring do kotwicy! - zawołał.

- Szpring? - zdziwił się Aboli. - Dlaczego mieliby to robić?

- Żeby, obracając kabestanem, Myszołów mógł ustawić statek w dowolnym położeniu.

Aboli podniósł się na nogi z przejętą miną.

- Dzięki temu będzie mógł wycelować działa w nasz bezbronny statek albo zniszczyć kartaczami umocnienia na plaży - powiedział. - Musimy pobiec ostrzec kapitana.

- Nie, Aboli, nie pobiegniemy. Myszolów nie może wiedzieć, że odkryliśmy jego knowania.

Sir Francis wysłuchał uważnie relacji syna. Kiedy Hal skończył, potarł w zadumie podbródek, po czym podszedł niedbałym krokiem do relingu Resolution i podniósł teleskop do oka. Przesunął nim powoli po wodach laguny, zatrzymując obiektyw zaledwie na chwilę na Guli of Moray, żeby nikt nie spostrzegł, że zainteresował go nagle statek Cochran. Następnie złożył teleskop i wrócił na rufę, gdzie czekał na niego Hal.

- Dobra robota, chłopcze - stwierdził z respektem. - Myszolów jak zwykle próbuje nieczystej gry. Masz rację. Byłem dziś na plaży i nie widziałem, że założył szpring. Mogłem tego nigdy nie zauważyć.

- Czy każesz mu go zdjąć, ojcze?

Sir Francis uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Lepiej żeby nie wiedział, iż odkryliśmy jego knowania.

- W takim razie co możemy zrobić?

- Kazałem już wycelować stojące na plaży kolubryny w Guli of Moray. Daniel i Ned ostrzegli wszystkich...

- Ależ, ojcze... czyż nie mamy w zanadrzu żadnego fortelu, którym moglibyśmy odplacić Cochranowi pięknym za nadobne?

W podnieceniu Hal zapomniał o należnym ojcu szacunku i sir Francis nie omieszkiał mu o tym przypomnieć.

- Niewątpliwie masz dla mnie jakąś propozycję, paniczu Henry - zauważył z przekąsem.

Oficjalna forma, jakiej użył ojciec, ostrzegła Hala przed zbliżającą się burzą. Natychmiast uderzył w pokorny ton.

- Wybacz, że ci przerwałem, ojcze. Nie chciałem być niegrzeczny.

- Miło to słyszeć - odparł sir Francis, po czym wciąż zagniewany odwrócił się do niego plecami.

- Czy mój pradziad, Charles Courteney, nie uczestniczył wraz z Francisem Drake'em w bitwie pod Gravelines?

- W istocie. - Sir Francis obejrzał się przez ramię. - Ale skoro świetnie o tym wiesz, czy nie jest dziwne, że pytasz mnie o to w tej chwili?

- Zatem to może właśnie nasz pradziad zaproponował Drake'owi użycie branderów przeciwko hiszpańskiej armadzie, która stała na redzie w Calais?

Sir Francis odwrócił się i zmierzył wzrokiem syna. Na jego twarzy ukazał się uśmiech, a potem nie wytrzymał i wybuchnął zdrowym śmiechem.

- Na Boga, widzę, że płynie w tobie prawdziwa krew Courteneyów. Chodź natychmiast do mojej kabiny i powiedz, co takiego wymyśliłeś.

Ojciec stanął za ramieniem Hala, gdy ten rysował plan na tabliczce.

- Nie muszą być solidnie zbudowane, bo nie będą miały przed sobą dalekiej drogi ani wzburzonego morza do pokonania - wyjaśnił chłopak.

- Tak, ale będą mocno obciążone i po spuszczeniu na wodę nie mogą zejść z właściwego kursu - mruknął sir Francis, po czym odebrał mu kredę i nakreślił kilka linii na tabliczce. - Połączymy po dwa kadłuby razem. Dzięki temu nie zatoną i nie spalą się przed dotarciem do celu.

- Odkąd zarzuciliśmy kotwicę, wiatr wieje z południowego wschodu - podjął Hal. - Nie ma oznak, żeby słabł. Jeśli umieścimy je na małej wysepce po drugiej stronie kanału, popłyną same z wiatrem, kiedy tylko spuścimy je na wodę.

- Doskonale - pokiwał głową sir Francis. - Ile branderów będziemy potrzebować?

Widział, jaką przyjemność sprawia chłopcu, pytając go w ten sposób o radę.

- Drake wysłał osiem przeciwko Hiszpanom, ale my nie mamy czasu, żeby tyle zbudować. Może pięć?

Hal popatrzył na ojca i sir Francis ponownie pokiwał głową.

- Tak, pięć powinno wystarczyć. Ilu potrzebujesz ludzi? Daniel musi pilnować dział na plaży. Myszołów może zaatakować, zanim będziemy gotowi. Ale wyślę ci do pomocy Neda Tylera i cieślę no i oczywiście Abolego.

Hal spojrział z niedowierzaniem na ojca.

- Powierzysz mi nadzór nad budową branderów?

- To twój plan, więc jeśli się nie powiedzie, muszę mieć kogoś, na kogo mógłbym rzucić całą winę - odparł z lekkim uśmieszkiem sir Francis. - Weź swoich ludzi, płyn na brzeg i zabieraj się do dzieła. Ale bądź przezorny. Nie ułatwiał życia Cochranowi.

Drwale Hala wycięli najpierw siekierami małą przesiekę po drugiej stronie zalesionej wysepki, gdzie nie było ich widać z Guli of Moray. Nie zwracając uwagi Cochranowi, Hal przerzucił tam okrężną drogą przez las większość swoich ludzi i materiałów.

Pierwszej nocy pracowali przy migotliwym świetle nasączonych smołą pochodni. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak ważne powierzono im zadanie, i kiedy zabrakło im sił, padli po prostu na miękki dywan liści pod drzewami i spali do świtu. Gdy zrobiło się jasno, znowu podjęli pracę.

W południe pięć dziwnych łodzi było gotowych i czekało na przeniesienie do kryjówki w zagajniku przy skraju laguny. Sir Francis przeszedł przy niskiej fali na wysepkę i przyjrzawszy się uważnie branderom, pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Mam nadzieję, że nie pójda od razu na dno - mruknął, obchodząc powoli jedną z niezgrabnych łodzi.

- Będziemy mogli to sprawdzić, dopiero kiedy spuścimy je na wodę. - Hal był skonany i poirytowany. - Nawet żeby cię zadowolić, ojcze, nie możemy ich wcześniej pokazać lordowi Cumbrae.

Sir Francis zerknął na niego, starając się ukryć zaskoczenie. Ze szczeniaka wyrasta młody wilk, który potrafi czasem groźniej warknąć, pomyślał z ojcowską dumą. Pragnie, by go szanowano, i prawdę mówiąc, całkowicie sobie na to zasłużył.

- Zrobiłeś, co mogłeś w czasie, który miałeś do dyspozycji - powiedział na głos i Hal od razu zmiękł. - Wyślę świeżych ludzi, żeby pomogli wam przenieść brandery do zagajnika.

Hal był tak skonany, że z trudem wdrapał się po sznurowej drabince na pokład Resolution. Choć wykonał powierzone mu zadanie, ojciec nie pozwolił mu od razu udać się do kabiny.

- Stoimy na kotwicy zaraz za Guli of Moray - stwierdził, wskazując ciemny zarys drugiego statku. - Czy pomyślałeś, co się stanie, jeśli jedna z twoich łodzi minie cel i wpadnie na nas? Bez masztu pozbawieni jesteśmy możliwości manewrowania.

- Aboli wyciął już długie bambusy w lesie. - Hal nie potrafił ukryć brzmącego w jego głosie zmęczenia. - Będziemy mogli odepchnąć każdą dryfującą łódź i posłać ją na plażę - wyjaśnił, wskazując palcem brzeg, gdzie wśród drzew widać było palące się na obwałowaniach ogniska. - Cochran, który niczego się nie spodziewa, nie będzie miał bambusowych kijów.

Jego odpowiedź usatysfakcjonowała ojca.

- Idź teraz spać - powiedział. - Jutro w nocy odbędzie się zebranie łoży i musisz być w dobrej formie, żeby odpowiedzieć na wszystkie pytania katechizmu.

Hal wynurzył się niechętnie z otchłani snu. Przez dłuższą chwilę nie był pewien, co go obudziło. A potem usłyszał ciche skrobanie o ścianę.

Natychmiast się ocknął i ulotniło się gdzieś całe jego zmęczenie. Zsunął się z siennika i uklęknął przy ścianie. Skrobanie odezwało się ponownie: było niecierpliwe i ponagląjące. Hal wystukał cichą odpowiedź i wymacał w ciemności kawałek drewna, którym zatkał dziurę. Kiedy go wyjął, do kajuty wpadł żółty promień światła i zaraz zniknął, gdy Katinka przytknęła usta do dziury.



- Gdzie byłeś zeszłej nocy? - zapytała gniewnym szeptem.

- Miałem obowiązki na brzegu - odparł.

- Nie wierzę ci - stwierdziła. - Próbowałeś uniknąć kary. Umyślnie mnie nie posłuchałeś.

- Nie, skądże. Nie ośmieliłbym się...

- Natychmiast otwórz przejście.

Jego sztylet przytroczony był do pasa, który zawiesił wcześniej przy koi. Odnalazł go, podważył kołki i deski ustąpiły z cichym skrzypieniem. Odstawił je na bok i do środka wpadła kwadratowa smuga światła.

- Wejdz - rozkazała.

Przecisnął się przez otwór. Nie było to łatwe, lecz po krótkich zmaganiach wylądował w końcu na czworakach na podłodze jej kajuty. Chciał wstać, ale powstrzymała go.

- Nie podnoś się!

Była ubrana w powiewną nocną koszulę z jakiegoś cienkiego materiału. Rozpuszczone włosy spływały wspaniałą falą na plecy. W świetle lampy widać było zarys jej ciała; przez przezroczyste fałdy koszuli połyskiwała naga skóra.

- Nie masz za grosz wstydu - stwierdziła, gdy ukląkł przed nią, jakby była świętą figurą. - Przyszedłeś do mnie nagi. Nie okazałeś mi szacunku.

- Wybacz! - wyjąkał. Pragnąc jak najszybciej wypełnić jej rozkaz, zapomniał o własnej nagości i teraz osłonił obiema dłońmi intymne części ciała. - Nie chciałem cię obrazić, pani.

- Nie! Nie zakrywaj swojej hańby - powiedziała, odsuwając na bok jego ręce.

Wzrok obojga zatrzymał się na jego członku. Patrzyli, jak powoli prostuje się i pęcznieje, obracając w jej stronę, ze zsuwającym się wbrew jego woli napletkiem.

- Co mam zrobić, żeby powstrzymać tę ohydę? Tak dalece zaprzedałeś się szatanowi?

Kalinka złapała go za włosy i pociągnęła do swojej kabiny, tam, gdzie po raz pierwszy poraziło go jej piękno. Usiadła na łóżku twarzą do Hala. Poły białego jedwabiu rozstąpiły się i opadły na długie smukłe uda.

- Musisz wykonywać moje wszystkie rozkazy, ty synu ciemności - powiedziała zdyszczym głosem, ciągnąc go bezlitośnie za włosy.

Rozchyliła nogi i wsadziła jego twarz między uda, przyciskając ją całej siłą do niewiarygodnie miękkiego i jedwabistego wzgórka złocistych loków.

Poczuł w niej zapach morza, zapach soli, wodorostów i unoszących się na powierzchni oceanu stworzeń, ciepły miękki zapach wysp i słonych fal łamiących się na

spieczonej słońcem plaży. Spijał go przez chwilę przez rozchylone nozdrza, a potem odkrył ustami źródło tej bajecznej woni.

Katinka rozchyliła szerzej uda i przesunęła się do przodu na satynowej kołdrze, żeby spotkać jego wargi. Trzymając Hala za włosy, prowadziła jego głowę do różowego pączka, tkwiącego w ukrytym gnieździe. Kiedy dotknął go czubkiem języka, westchnęła i zaczęła jeździć po jego ustach, jakby dosiadała na oklep galopującego ogiera. Przez cały czas wydawała niekoherentne, sprzeczne ze sobą okrzyki:

- Och, przestań! Proszę, przestań! Nie! Nie przerywaj. Nigdy nie przerywaj!

Nagle wyrwała jego głowę spod między nóg i osunęła się na kołdrę, wciągając go na siebie i oplatając nogami. Poczuł, jak jej twarde wąskie obcasy wbijają mu się w plecy, a paznokcie tną niczym noże napięte mięśnie ramion. A potem wbił się w nią głęboko, tłumiąc własny krzyk w splątanych złotych włosach i cały ból roztopił się we wszechobecnym śliskim żarze.

Trzej rycerze wybrali na zebranie łoży ustronne miejsce u podnóża wodospadu, który spadał do sadzawki otoczonej przez wysokie, obwieszane lianami drzewa. Przed stojącym w kamiennym kręgu ołtarzem palił się ogień. Reprezentowane były w ten sposób wszystkie odwieczne żywioły. Księżyc stał w pierwszej kwadrze, symbolizując zmartwychwstanie i ponowne narodziny.

Hal czekał samotnie w lesie, kiedy trzej rycerze zakonu otworzyli zebranie łoży pierwszego stopnia. Po jakimś czasie ojciec wyłonił się z mroku z nagą szpadą w dłoni i poprowadził go ścieżką.

Dwaj pozostali rycerze czekali przy ognisku palącym się w świętym kręgu. Na klingach obnażonej broni migotały płomienie. Na kamiennym ołtarzu Hal zobaczył leżącą pod aksamitną zasłoną szpadę z Neptunem. Zatrzymali się przed świętym kręgiem i sir Francis poprosił o pozwolenie wejścia do łoży.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

- Kto pragnie wejść do łoży Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala? - zapytał lord Cumbrae donośnym głosem, który odbił się echem od okolicznych wzgórz. W pokrytej rudymi włoskami dłoni trzymał obosieczny długi szkocki miecz.

- Nowicjusz, który przybył, aby poznać tajemnice Świątyni - odparł Hal.

- Wstępując tu, narażasz na niebezpieczeństwo swoje wieczne życie - ostrzegł go lord.

Hal wszedł do środka kręgu i uklęknął. Choć tuż obok paliło się ognisko, poczuł, jak przechodzi go nagły chłód.

- Kto rekomenduje nowicjusza? - zapytał Cumbrae.

- Ja - odpowiedział, dając krok do przodu, sir Francis.
- Kim jesteś? - zapytał lord, zwracając się ponownie do Hala.
- Henry Courteney, syn Francisa i Edwiny.

Rozpoczęło się długie przepytywanie z katechizmu. Nad ich głowami powoli obracało się gwiaździste sklepienie firmamentu. Stopniowo gasły płomienie ogniska.

Minęła już dawno północ, kiedy sir Francis zdjął w końcu aksamitną zasłonę ze szpady z Neptunem. Gdy podał ją Halowi, szafir błysnął odbitym światłem księżyca.

- Na tę klingę zaprzysięgniesz zasady swojej wiary.
- Oto dogmaty, w które wierzę - zaczął Hal - i których będę bronił do ostatniej kropli krwi. Wierzę w jednego Boga, w Trójcy jedyne, w wiecznego Ojca, wiecznego Syna i wiecznego Ducha Świętego.

- Amen - odezwali się chórem rycerze.
- Wierzę we wspólnotę Kościoła Anglii i prawa jego boskiego pomazańca, obrońcy wiary, Karola, króla Anglii, Szkocji, Francji i Irlandii.
- Amen!

Kiedy Hal wyrecytował reguły wiary, lord Cumbrae kazał mu złożyć rycerskie śluby.

- Będę stał na straży Kościoła Anglii i walczył z nieprzyjaciółmi Karola, mojego pana i suwerena. - Głos Hala drżał z przejęcia i szczerej wiary. - Potępiam szatana i wszystkie jego knowania. Odrzucam wszystkie fałszywe doktryny, herezje i schizmy. Odwracam się od innych bogów i ich fałszywych proroków. Będę wspierał słabych, bronił pielgrzymów i przychodził z pomocą potrzebującym i szukającym sprawiedliwości. Obrócę miecz przeciwko tyranom i prześladowcom. Będę bronił świętych miejsc. Będę chronił drogie relikwie Jezusa Chrystusa i jego świętych. Nigdy nie ustnę w poszukiwaniach świętego Graala, który zawierał Jego krew.

Rycerze przeżegnali się, kiedy złożył to ślubowanie. Poszukiwanie świętego Graala stanowiło centralny element ich wiary. Na tym granitowym filarze wspierało się sklepienie ich Świątyni.

- Ślubuję przestrzegać przepisów zakonu i strzec się cudzołóstwa i rozpusty. - Hal zająknął się lekko, wymawiając te słowa, lecz szybko odzyskał rezon. - Będę otaczał szacunkiem moich braci w zakonie. Przede wszystkim zaś zachowam w sekrecie obrządek łoży.

- Niechaj Pan zmiłuje się nad jego duszą - zaintonowali wspólnie trzej rycerze, a potem przesunęli się trochę do przodu i otoczyli kręgiem klęczącego nowicjusza. Każdy wsparł jedną rękę na rękojeści miecza, a drugą położył na głowie Hala.

- Henry Courteney, witamy cię wśród nas i przyjmujemy do Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala.

Richard Lister pobłogosławił go pierwszy swoim melodyjnym, prawie śpiewnym walijskim głosem.

- Witam cię w Świątyni. Przestrzegaj zawsze przepisów zakonu.

Drugi odezwał się Cochran.

- Witam cię w Świątyni. Niech wody oceanu otwierają się szeroko przed dziobem twego statku i niechaj zawsze sprzyjają ci wiatry.

Ostatni przemówił sir Francis Courteney, trzymając mocno rękę na czole Hala.

- Witam cię w Świątyni. Dotrzymuj zawsze ślubów, które złożyłeś w obliczu Boga.

A potem trzech rycerze pomogli mu wstać i jeden po drugim mocno uściskali. Wąsy lorda Cochрана były twarde i kłujące niczym cierniowy wieniec z krzaka zdrajcy.

Ładownię mam wypełnioną po brzegi przyprawami, które przypadły mi w udziale po zdobyciu Heerlycke Nacht. Wystarczy, żebym kupił sobie zamek i pięć tysięcy akrów najlepszej ziemi w Walii - oznajmił Richard Lister, podając rękę sir Francisowi i wymieniając z nim tajny uścisk kawalerów zakonu. - W domu czeka na mnie młoda żona i dwaj dzielni synowie. Odpocznę trochę pośród zieleni i tych, których kocham, a potem, wiem o tym dobrze, znowu wezwie mnie morze. Być może spotkamy się jeszcze gdzieś na końcu świata, Francis.

- Płyn zatem za głosem serca, Richardzie. Dziękuję, żeś był mi przyjacielem i za to, co zrobiłeś dla mojego syna. Mam nadzieję, że któregoś dnia powitamy obu twoich chłopaków w Świątyni.

Richard zrobił kilka kroków w stronę czekającej na niego łodzi, ale po chwili zawrócił do sir Francis'a i położył mu rękę na ramieniu.

- Cumbrae złożył mi pewną dotyczącą ciebie propozycję, lecz to, co ma zamiar zrobić, wcale mi się nie spodobało i powiedziałem mu to prosto w twarz - oświadczył z posępną miną. - Nie daj się zaskoczyć, Franky. Śpij z otwartymi oczyma, kiedy on jest w pobliżu.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel - odparł sir Francis.

Patrzył, jak Richard idzie do swojej łodzi i płynie do Goddess. Kiedy tylko wszedł po drabinie na rufę, jego marynarze podnieśli kotwicę nad figurą nagiej Wenus na dziobie. Żagle wydał wiatr i Goddess ruszyła kanałem, przed wyjściem na morze opuszczając banderę na pożegnanie.

- Teraz dotrzymuje nam towarzystwa wyłącznie Myszołów - stwierdził Hal, spoglądając na stojącą pośrodku kanału Guli of Moray, wokół której tłoczyły się łodzie przewożące na jej pokład beczki ze słodką wodą, drewno na opał i suszone ryby.

- Proszę przygotować statek do wciągnięcia na brzeg, panie Courteney - powiedział sir Francis i Hal wypiął z dumą pierś.

Nie przywykł, by ojciec zwracał się do niego w ten sposób. Traktowany jeszcze wczoraj jak zwykły majtek, dziwnie się czuł w roli rycerza i oficera. Wraz ze statusem zmienił się nawet jego strój. Ojciec dał mu koszulę z czystej madraskiej bawełny i nowe moleskinowe bryczesy, które wydawały się miękkie jak jedwab po surowym płótnie, które przedtem nosił.

Jeszcze bardziej zdziwiło go, że ojciec uznał za stosowne wytłumaczyć swój rozkaz.

- Musimy robić dalej swoje tak, jakbyśmy nie podejrzewali żadnego podstępu. Poza tym jeśli dojdzie do bitwy, Resolution będzie znacznie bezpieczniejsza na plaży.

- Rozumiem, kapitanie - odparł Hal i spojrzął na słońce, żeby zorientować się, która jest godzina. - Jutro o drugim dzwonku porannej wachty poziom wody będzie odpowiedni, żeby wciągnąć ją na brzeg. Będziemy gotowi.

Przez cały ranek marynarze Guli of Moray zachowywali się, jak każda załoga szykująca się do wyjścia w morze i chociaż Daniel i jego puszkarze czuwali na brzegu z zapalonymi przy działach lontami, na statku nie działo się nic podejrzanego.

Na krótko przed południem Cochran przyплыł łodzią na brzeg i odnalazł sir Francisa przy ognisku, nad którym grzał się wielki kocioł ze smołą przeznaczoną do uszczelniania kadłuba Resolution.

- Czas się pożegnać - oznajmił, kładąc mu pokrytą rudawymi włoskami dłoń na ramieniu. - Richard miał rację. Nie zdobędziemy żadnych łupów, siedząc na plaży i drapiąc się po plecach.

- Wypływasz zatem w morze? - odparł obojętnym tonem sir Francis, nie dając po sobie poznać, jak bardzo jest zaskoczony.

- Z jutrzejszym przyplwem. Ale strasznie mi się nie chce z tobą rozstawać, Franky. Nie wychyliłbyś ze mną po raz ostatni kielicha na pokładzie Gull? Porozmawialibyśmy o łupach ze Standvastigheid, które mi się słusznie należą.

- Ze Standvastigheid nic ci się nie należy, mój panie. Żegnani cię i życzę przychylnych wiatrów.

Cochran wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Zawsze podobało mi się twoje poczucie humoru, Franky. Wiem, że chcesz mi po prostu oszczędzić fatygi i sam pozeglujesz z tymi ciężkimi beczkami do Firth of Forth. - Odwrócił się i wskazał zmierzwioną brodą stojące pod drzewami beki. - Pozwolę, byś mnie w tym wyreczył. Ufam jednak, że wyliczysz dokładnie, ile mi się należy, i oddasz dług, kiedy się ponownie spotkamy... oczywiście razem z odsetkami, - Ja ufam równie gorąco w twoje dobre zamiary - odparł sir Francis, zamiatając przed nim piasek kapeluszem w ukłonie.

Cochran odwzajemnił ukłon i wciąż śmiejąc się pod nosem, wrócił na łódź i odpłynął na Guli of Moray.

Już wcześniej tego dnia holenderscy zakładnicy zostali przewiezieni na brzeg i umieszczeni w nowych kwaterach, które zbudował dla nich Hal ze swoimi ludźmi. Stały w pewnej odległości od laguny, oddzielone od chat, w których zamieszkała załoga Resolution.

Teraz statek był pusty i gotów do operacji. Kiedy zaczął się przypływ, marynarze pod dowództwem Neda Tylera i Hala zaczęli holować go w stronę brzegu. Potężne bloki przymocowano uprzednio do największych drzew, a liny do dziobu i rufy Resolution. Wleczony przez pięćdziesięciu ludzi statek ustawił się równolegle do plaży.

Gdy dno dotknęło białego piasku, holowanie zakończono i przechylono galeon na bok, ciągnąc za liny przymocowane do fok i bezanmasztu. Kadłub położył się na brzegu, a maszty dotknęły szczytów drzew. Tymczasem zaczął się odpływ, odsłaniając całą prawą burtę aż do kilu. Sir Francis i Hal ruszyli, brodząc po kolana w wodzie, żeby jej się przyjrzeć. Z radością stwierdzili, że na kadłubie nie ma prawie śladu świdraków.

W kilkunastu miejscach trzeba było wymienić deski i natychmiast zabrano się do dzieła. Po zapadnięciu ciemności zapalono pochodnie, praca na kadłubie mogła bowiem trwać tylko do powrotu wysokiej fali. Kiedy to się stało, sir Francis poszedł coś zjeść w swojej nowej kwaterze, a Hal dopilnował, żeby kadłub zabezpieczono na noc. Pochodnie zgaszono i Ned odprowadził swoich ludzi na spóźnioną wieczerzę.

Hal nie był wcale głodny. Miał apetyt na coś zupełnie innego, lecz musiała minąć co najmniej godzina, nim mógł go zaspokoić. Stojąc samotnie na plaży, przyglądał się oddzielonej od niego wąskim pasem wody Guli of Moray. Wydawało się, że jej załoga ułożyła się spokojnie do snu. Wciąż stały przy niej małe łódzie, ale wciągnięcie ich na pokład i zamknięcie luków nie powinno zabrać dużo czasu.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzew. Po drodze minął umocnienia, zamieniając kilka słów z ludźmi czuwającymi przy działach. Sprawdził ponownie położenie każdej kolubryny,



upewniając się, czy ich lufy wycelowane są dokładnie w ciemną sylwetkę Guli of Moray, stojącej w blasku gwiazd na gładkiej toni laguny.

Na chwilę przysiadł obok Dużego Daniela.

- Nie przejmuj się, paniczu Henry. - W ustach Daniela nowa, bardziej oficjalna forma brzmiała dość naturalnie. - Marny na oku tego rudobrodego bękarta. Możesz iść spokojnie zjeść kolację.

- Kiedy ty ostatnio spałeś, Danielu? - zapytał.

- Proszę się o mnie nie martwić. Wachta zaraz się zmieni. Zastąpi mnie Timothy.

Przy ognisku przed chatką Hala kuczał cicho niczym cień Aboli czekając na niego z pieczoną kaczką, kromką chleba i kubkiem cienkiego piwa.

- Nie jestem głodny, Aboli - zapewnił go chłopak.

- Jedz - odparł Aboli, wciskając mu w ręce miskę. - Będziesz potrzebował dużo sił, żeby sprostać zadaniu, które czeka cię tej nocy.

Wziął od niego jedzenie, próbując rozszyfrować głębsze znaczenie tej uwagi. Światło ogniska skakało po przypominającej pogańskiego idola ciemnej twarzy, oświetlając tatuaże na policzkach, lecz oczy Abolego były nieprzeniknione.

Hal przeciął sztyletem kaczkę i zaproponował mu połowę.

- Jakiemu to zadaniu mam według ciebie sprostać? - zapytał ostrożnie.

Aboli oderwał kawałek kaczej piersi i żując ją wzruszył ramionami.

- Przełaząc przez dziurę w palisadzie, musisz uważać, żeby nie zranić o cierń najdelikatniejszej części ciała.

Chłopak przestał poruszać szczękami. Kaczka w jego ustach straciła nagle smak. Aboli musiał odkryć wąskie przejście w kolczastym ogrodzeniu wokół domu Katinki, które tak starannie próbował zamaskować.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał z pełnymi ustami.

- Czego miałbym nie wiedzieć? - zachnął się Aboli. - Twoje oczy są jak dwa księżycy w pełni, kiedy patrzysz w pewnym kierunku. Słyszałem o północy, jak ryczysz niczym ranny bawół.

Hal był załamany. Zdawało mu się, że jest taki ostrożny i sprytny.

- Myślisz, że ojciec też o tym wie? - zapytał z drzeniem.

- Jeszcze żyjesz - zauważył Aboli. - Gdyby wiedział, mogłoby być już po tobie.

- Chyba nikomu nie powiesz? - zapytał chłopak. - Zwłaszcza jemu?

- Zwłaszcza jemu - zgodził się Aboli. - Ale uważaj, żebyś nie wykopał sobie grobu tym szpadlem, który trzymasz między nogami.

- Kocham ją, Aboli - szepnął Hal. - Myśl o niej nie daje mi zasnąć.

- Słyszałem, jak nie możesz zasnąć. Wydawało mi się, że obudzisz całą załogę swoją bezsennością.

- Nie kpj sobie ze mnie. Umieram z tęsknoty.

- W takim razie muszę ci ocalić życie i pójść do niej razem z tobą.

- Chcesz iść ze mną? - zapytał ze zdumieniem Hal.

- Zaczekam przy dziurze w palisadzie. Żeby cię strzec. Możesz potrzebować mojej pomocy, jeśli jej mąż znajdzie cię tam, gdzie masz zamiar się zakraść.

- Ten tłusty wieprz! - warknął Hal, czując, że nienawidzi gubernatora z całego serca - Może i tłusty. Ale na pewno bardzo chytry. I potężny. Nie lekceważ go, Gundwane. - Aboli wstał. - Pójdę przodem, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna.

Obaj przemknęli bezszelestnie przez obóz i zatrzymali się na tyłach palisady.

- Nie musisz na mnie czekać, Aboli - szepnął Hal. - Mogę tam zabawić trochę dłużej.

- Gdybyś od razu wyszedł, rozczarowałbyś mnie, Gundwane - odparł Aboli w swoim języku. - Zapamiętaj dobrze radę, którą ci teraz dam, bo może ci się bardzo przydać. Pasja mężczyzny przypomina ogień w wysokiej suchej trawie. Jest gorący i gwałtowny, lecz szybko się wypala. Kobieta jest niczym magiczny napój, który musi długo gotować się na wolnym ogniu, nim objawi swoją moc. Śpiesz się we wszystkim oprócz miłości.

Hal westchnął w ciemnościach.

- Dlaczego kobiety tak się od nas różnią, Aboli?

- Podziękuj wszystkim swoim, a także moim bogom, że tak jest - odparł Aboli, szczerząc zęby. - Gdybyś czegoś potrzebował, zawołaj - dodał, popychając go w stronę otworu w palisadzie.

W jej chacie wciąż paliła się lampa. Żółte światło błyskało przez szpary w słomianej ścianie. Hal nadstawił ucha, lecz nie doszły go żadne dźwięki. Podkrał się do lekko uchylonych drzwi i spojrzał na wielkie, wsparte na czterech słupkach łóżce, które jego ludzie przytargali z kabiny Katinki. Wiszące dookoła zasłony były zaciągnięte przed owadami i nie mógł stwierdzić, czy leży na nim sama.

Bezszelestnie wślizgnął się do chaty i podszedł do łóżka. Kiedy dotknął zasłony, drobna biała dłoń wysunęła się spomiędzy jej fałd i wciągnęła go do środka.

- Nie odzywaj się! - syknęła. - Ani słowa!

Zwinne palce poszukały guzików jego koszuli, rozpięły ją i poczuł, jak wbijają mu się boleśnie w pierś paznokcie.

W tym samym momencie wpiła się weń ustami. Nigdy przedtem go nie całowała i zaskoczył go żar i miękkość jej warg. Próbował dotknąć jej piersi, ale ona przytrzymała jego ręce przy bokach. Jej język wcisnął się do jego ust, wijąc się i ślizgając niczym żywy węgorz, doprowadzając go do stanu podniecenia, jakiego nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

A potem, wciąż trzymając Hala za nadgarstki, pchnęła go do tyłu, rozpięła moleskinowe bryczesy i szeleszcząc jedwabiem i koronkami usiadła na jego biodrach, przygważdżając go do satynowej kołdry. Nie używając rąk, poszukiwała go ruchami miednicy i wessała w swe gorące wnętrze.

Znacznie później Hal zapadł w sen tak twardy, że nie różnił się niemal od śmierci.

Obudziło go uporczywe szarpanie za ramię.

- Co jest...? - wyjąkał i w tym samym momencie szeroka dłoń zakryła jego usta, zagłuszając następne słowo.

- Nie rób hałasu, Gundwane! Znajdź ubranie i chodź ze mną. Szybko!

Uważając, żeby nie zbudzić śpiącej kobiety, Hal zsunął się z łóżka i znalazł swoje bryczesy tam, gdzie je zostawił.

W milczeniu prześlizgnęli się przez dziurę w ogrodzeniu. Znalazszy się po drugiej stronie, Hal zerknął na wiszący na nieboskłonie wielki Krzyż Południa. Do świtu została tylko godzina. O tej porze człowiekowi najtrudniej zmobilizować się do czynu.

- Co się stało? - zapytał. - Dlaczego kazałeś mi wyjść?

- Posłuchaj!

Aboli położył mu rękę na ramieniu i Hal nadstawił ucha.

- Nic nie słyszę.

- Zaczekaj skundę - odparł Murzyn, ściskając go za ramię. Dopiero po chwili Hal usłyszał dobiegający z oddali, stłumiony przez drzewa wybuch dzikiego śmiechu.

- Gdzie to jest?

- Na plaży.

- Rany boskie! - wyjąkał Hal. - Co tam się, do diabła, dzieje?

Obaj pobiegli w stronę laguny, potykając się w ciemności o korzenie drzew. Niskie gałązki smagały ich po twarzach.

Dotarwszy do pierwszych chat obozowiska, usłyszeli fragment śpiewanej bełkotliwym głosem piosenki i kolejny wybuch śmiechu.

- Nasze baterie... - wysapał Hal i w tym samym momencie w blasku dogasającego ogniska zobaczył niewyraźną ludzką postać.

- Kto tu? - usłyszał głos sir Francisa.

- To ja, ojciec.

- Co się dzieje?

Było jasne, że sir Francis dopiero co się obudził. Miał zaspany głos i był w samej koszuli, lecz w ręku trzymał obnażoną szpadę.

- Nie wiem - odparł Hal. W powietrzu rozległ się kolejny rechot. - Hałas dochodzi z plaży. Z naszych szańców.

Nie mówiąc nic więcej, wszyscy trzej puścili się biegiem i dotarli razem do pierwszej kolubryny. Tutaj, przy samej lagunie, baldachim liści nie był taki gęsty, tu i ówdzie przeświecały przezeń promienie księżyca. W ich świetle zobaczyli jednego z marynarzy, leżącego na długiej lufie działa. Kiedy sir Francis wymierzył mu kopniaka, osunął się bezwładnie na piasek.

Wtedy właśnie Hal dostrzegł stojącą na skraju okopu niewielką baryłkę. Inny kanonier, nie zdając sobie sprawy z ich obecności, klęczał przed nią na czworakach jak pies, chłepcząc płyn, który skapywał z kurka. Hal poczuł słodkawy zapach, który zawisł w nocnym powietrzu niczym woń trujących kwiatów. Skoczył do okopu i złapał kanoniera za włosy.

- Skąd wzięłeś rum? - zawołał. Mężczyzna posłał mu półprzymiotne spojrzenie. Hal strzelił go w szczękę, aż zadźwięczały zęby. - Niech cię wszyscy diabli! Skąd to wzięłeś? - powtórzył, przystawiając mu ostrze sztyletu do szyi. - Odpowiadaj albo poderżnę ci gardło.

Ból i strach otrzeźwiły nieco pijanego.

- Pożegnalny prezent od jego lordowskiej mości - wybełkotał. - Przysłał baryłkę z Guli of Moray, żebyśmy wypili za jego zdrowie i życzyli mu przychylnych wiatrów.

Hal cisnął pijaka na ziemię i wdrapał się z powrotem na obwałowanie.

- Co z załogami innych dział? Czy Myszolów im także przysłał rum na pożegnanie?

Pobiegli wzdłuż linii szańców i w każdym znajdowali baryłki słodkiego rumu i nieruchome ciała. Kilku marynarzy trzymało się na nogach, ale nawet oni zataczali się i bełkotali. Rzadko który angielski żeglarz potrafi się oprzeć zgubnemu destylatowi trzciny cukrowej.

Uległ mu nawet Timothy Reilly, jeden z zaufanych bosmanów sir Francisa. Odpowiadając na zarzuty kapitana, chwiał się na nogach. Sir Francis uderzył go w bok głowy ręką szpady i bosman runął na ziemię.

W tej samej chwili z obozowiska nadbiegł Duży Daniel.

- Słyszałem jakiś tumult, kapitanie. Co się stało?

- Cochran spił puszkarzy rumem. Wszyscy schlali się jak świnie. - Głos sir Francisca drżał z wściekłości. - To może oznaczać tylko jedno. Nie mamy chwili do stracenia. Obudź resztę ludzi i przygotuj ich do walki... ale po cichu!

Kiedy Daniel pobiegł z powrotem, Hal usłyszał dochodzący ze stojącej w lagunie fregaty niewyraźny dźwięk, cichy zgrzyt mechanizmu zapadkowego, od którego dreszcz przeszedł mu po krzyżu.

- Kabestan! - zawołał. - Guli obraca się na kotwicy!

Wpatrując się w zalane księżycową poświatą wody laguny, zobaczyli, że sylwetka statku Cochraha zaczyna się zmieniać. Cuma łącząca kotwicę z kabestaniem obróciła go dookoła i stanął teraz burtą do plaży.

- Wytoczyli działa! - krzyknął sir Francis, kiedy księżyc zamigotał na długich lufach. Za każdą z nich zobaczyli tłące się w rękach puszkarzy lonty. - Niech to szlag! Celują prosto w nas! Padnij!

Hal zeskoczył z obwałowania i przywarł do piaszczystego dna okopu.

Zrobiło się nagle jasno jak w świetle błyskawicy. Chwilę później donośny huk rozerwał im bębni i deszcz kul przeleciał nad plażą, spadając na las. Cochran skierował ogień wszystkich swoich dział na obozowisko.

Kartacze rozerwały korony drzew i zasypały ich gałęziami, liśćmi i strzępami mokrej kory. W powietrzu fruwały odłupane z pni śmiercionośne drzazgi.

Sklecone byle jak chatki nie dawały żadnej osłony znajdującym się wewnątrz marynarzom. Salwa obróciła je w perzynę, roztrzaskując słupki i znosząc nietrwale konstrukcje niczym wysoka fala przyływu. Słyszeli przerażone głosy budzących się w środku koszmaru ludzi, szlochy, jęki i krzyki tych, których poraniły kartacze albo pokaleczyły ostre drzazgi.

Guli of Moray zniknęła za zasłoną dymu z własnych armat. Sir Francis zerwał się i wyszarpnął tłący lont z bezwładnej ręki pijanego puszkarza. Zerknął na przyrząd celowniczy i przekonawszy się, że działo wycelowane jest w statek Cochraha, przytknął lont do panewki. Kolubryna wypłuła z siebie długi jęzor srebrzystego dymu i skoczyła do tyłu. Sir Francis nie był w stanie zobaczyć, czy kula doszła celu.

- Ognia! Rozpocząć ogień! - ryknął do tych puszkarzy, którzy byli dość trzeźwi, żeby wykonać rozkaz. - Strzelajcie tak szybko, jak możecie!

Powietrzem targnęła nierówna salwa, lecz potem zobaczył, że wielu kanonierów podnosi się na nogi i zataczając się, ucieka między drzewa.

- Aboli! Daniel! - zawołał Hal, skacząc na skraj obwałowania. - Niech każdy z was zabierze lont i idzie za mną. Musimy dostać się na wyspę.

Daniel pomagał właśnie sir Francisowi załadować ponownie kolubrynę, okładając mokrymi szmatami dymiącą i sypiącą iskrami lufę.

- Zostawcie to! Zostawcie to innym! Potrzebna mi wasza pomoc!

Kiedy biegli w trójkę wybrzeżem, dym, który spowijał Guli of Moray, rozwiął się i statek odpalił następną salwę. Jego puszkarze byli szybcy i dobrze wyszkoleni i mieli przewagę wynikającą z zaskoczenia. Grad pocisków ponownie zasypał plażę, siejąc śmierć i zniszczenie.

Hal zobaczył, jak ołowiana kula trafia prosto w jedną z kolubryn. Mocująca ją talia pękła i działo spadło z lawety, celując lufą w niebo.

Wszędzie słychać było jęki rannych i konających. Ludzie opuszczali swoje stanowiska i uciekali w głąb lasu. Ogień z brzegu kurczył się i w końcu tylko z rzadka odzywało się któreś działo. Gdy baterie sir Francisa ucichły, Cochran skierował swoje działa na pozostałe chaty i zagajniki, w których schroniła się załoga Resolution.

Hal słyszał triumfalne krzyki puszkarzy posyłających kolejne salwy.

- Guli i Cumbrae! - wrzeszczeli.

Wstrzeliwane na jedną komendę salwy skończyły się i teraz słychać było nieustający grzmot strzelających jak popadnie armat. Ziejące z nich przez białą zasłonę dymu jęzory ognia przypominały piekielne płomienie.

Biegając plażą, Hal słyszał za sobą słabnący głos ojca, który próbował zmobilizować swoją ogarniętą paniką rozbitą załogę. Aboli sadził tuż obok niego, a Duży Daniel kilka kroków z tyłu, tracąc dystans do dwóch szybkich biegaczy.

- Będziemy potrzebować więcej ludzi, żeby spuścić na wodę brandery - wysapał Daniel. - Są bardzo ciężkie.

- Nigdzie ich nie znajdziesz. Wszyscy są pijani jak świnię albo wieją, gdzie pieprz rośnie - odparł Hal. W tej samej chwili zobaczyli wybiegającego przed nimi z lasu Neda Tylera, który prowadził ze sobą pięciu marynarzy. - Zuch z ciebie, Ned! - krzyknął Hal. - Musimy się pośpieszyć! Cochran wyśle swoich ludzi na plażę, kiedy tylko uciszy nasze baterie.

Po przebyciu kolejnych kilkudziesięciu jardów wbiegli do wody i pobrnęli wąskim kanałem, który oddzielał ich od wyspy. Poziom laguny był tak niski, że z początku stopy zapadały im się w lepkiem błocie. Brodząc po pas w wodzie, płynąc i pomagając sobie nawzajem, parli do przodu, mobilizowani kanonadą dobiegającą z Guli of Moray.



- Z południa wieje tylko lekki wietrzyk - jęknął Duży Daniel, kiedy wyleźli w końcu, oczekując wodą, na brzeg wyspy. - Nie zdoła poruszyć naszych branderów.

Hal nie odpowiedział, lecz ułamał z drzewa zeschniętą gałąź, zapalił ją od lontu i podniósł wysoko nad głowę, żeby oświetlić drogę. W ciągu kilku minut dotarli do brzegu po drugiej stronie wyspy. Hal przystanął na moment i przyjrzał się Guli of Moray stojącej w głównym kanale.

Szybkimi krokami zbliżał się świt. Niebo przybrało srebrzysto-szary odcień i laguna połyskiwała miękko niczym arkusz polerowanej cyny.

Cochran ostrzeliwał coraz to nowe cele, zmieniając kabestanem położenie swego statku. Z szanów na plaży coraz rzadziej odzywało się jakieś działo, lecz on natychmiast je uciszał, obracając w odpowiednią stronę żaglowiec i posyłając na brzeg potężne salwy, które zasypywały obrońców gradem kartaczy, piasku i połamanych gałęzi.

Ludzie Hala łapali kurczowo powietrze po szaleńczym biegu.

- Nie ma czasu na odpoczynek - oznajmił zdyszonym głosem Hal.

Brandery były przykryte stertami ściętych gałęzi. Ściągnęli je, a potem stanęli przy pierwszej łodzi i każdy złapał za jej burtę.

- Wszyscy razem! - zawołał Hal i wspólnymi siłami udało im się dźwignąć dwukadłubowy brander wypełniony wiązkami suchego drzewa, które nasycili wcześniej smołą, żeby lepiej się paliło.

Zataczając się, przebiegli z nim przez plażę i spuścili na płytką wodę. Łódź zakołysała się na drobnych falach, a zawieszony na niskim maszcie kwadratowy żagiel załopotał słabo w podmuchach wiejącego od skał wiatru. Hal złapał cumę, żeby nie pozwolić branderowi odpłynąć na bok.

- Za słaby wiatr! - narzekał Duży Daniel, spoglądając w niebo. - Słodki Jezu, ześlij nam bryzę!

- Zachowaj swoje modlitwy na później - uciszył go Hal. Przycumował łódź i poprowadził ich biegiem z powrotem. Dźwigając, ciągnąc i pchając, zwodowali dwa kolejne brandery.

- Wciąż za słaby wiatr.

Duży Daniel zerknął na Guli of Moray. W ciągu kilku minut, które zabrało im zwodowanie łodzi, zrobiło się jaśniej, i teraz, gdy stanęli na moment, żeby zaczerpnąć oddechu, zobaczył, że załoga Cochra opuszcza stanowiska przy działach i wrzeszcząc dziko, wsiada do łodzi.

- Spójrz tylko na te świnię. Wydaje im się, że walka skończona - mruknął Ned Tyler. - Chcą nam ukraść nasze łupy.

Hal zawahał się. Przy skraju lasu stały dwa kolejne brandery, ale zwodowanie ich zajęłoby zbyt dużo czasu.

- Powinniśmy ich chyba skłonić do zmiany opinii - stwierdził ponuro, po czym wsadził tłący się lont między zęby.

Wszedł aż po pierś do wody, tam, gdzie unosiła się na drobnych falach pierwsza łódź, i cisnął lont na stertę drewna. W górę poszedł niebieski dym i po chwili nasycone smołą gałęzie zajęły się ogniem.

Hal złapał przymocowaną do dziobu cumę i pociągnął łódź na głębszą wodę. Kiedy po kilkunastu jardach stracił grunt, podpłynął do rufy i młóćąc mocno obu nogami, zaczął pchać brander do przodu.

Obserwujący go Aboli skoczył do wody i po kilku chwilach wynurzył się przy jego boku. Popychana przez nich obu łódź popłynęła szybciej.

Opierając rękę na rufie, Hal wynurzył głowę z wody i dostrzegł, że małe szalupy z Guli of Moray kierują się w stronę plaży. Tłoczący się w nich marynarze darli się wniebogłosy, wymachując kordami, które migotały w świetle poranka. Cochran był tak pewien zwycięstwa, że zostawił na pokładzie tylko kilku członków załogi, żeby strzegli statku.

Obejrząwszy się przez ramię, Hal zobaczył, że Ned i Daniel poszli za jego przykładem. Zagonili do wody swoich ludzi i popychali teraz przed sobą dwa kolejne brandery, młóćąc nogami tak energicznie, aż spieniła się woda. Z wszystkich trzech łodzi unosiły się coraz gęstsze kłęby dymu.

Hal zanurzył się z powrotem obok Abolego i pracując mocno nogami, skierował brander ku stojącej na kotwicy Guli of Moray. Chwilę później pochwycił ich prąd przyływu i brandery niczym trzy niezgrabne kaczki popłynęły zwawiej do przodu.

Dziób łodzi skręcił lekko w lewo i Hal miał teraz lepszy widok na plażę. W prowadzącej atak szalupie rozpoznał płomiennorude włosy i brodę Cochrana. Wydawało mu się, że słyszy przebijający się przez ogólną wrzawę śmiech Myszołowa.

A potem przestał o nim myśleć, ponieważ ogień na branderze objął, hucząc głośno, prawie cały łatwo palny ładunek. Trzaskające płomienie skoczyły w górę w kolumnach gęstego czarnego dymu, tworząc silniejszy ciąg, dzięki któremu pojedynczy żagiel zdecydowanie bardziej się wydał.

- Pchaj dalej! - wydyszał Hal do płynącego obok Abolego. - Steruj dwa rumby na lewą burzę.

Gorący powiew owionął go tak gwałtownie, że zabrakło mu powietrza w płucach. Zanurzył głowę pod wodę i wynurzył się głośno parskając. Woda ściekała mu po twarzy ze zmoczonych włosów, lecz bez przerwy pracował co sił nogami. Od Guli of Moray dzielił ich mniej niż jeden kabel. Daniel i Ned płynęli tuż za nimi, popychając swoje łodzie buchające girlandami gęstego smolistego dymu i ciemnozłotych płomieni. Powietrze wokół nich falowało i huczało niczym pustynny miraż.

- Pchaj dalej! - powtórzył Hal.

Ból w nogach stał się nie do zniesienia i mówił bardziej do siebie niż do Abolego. Przywiązana do dziobu lina plątała mu się między kolanami i kopnął ją na bok; nie było czasu jej odwiązywać.

Dostrzegł, że pierwsza szalupa dobija do brzegu i Cochran wyskakuje, wymachując nad głową swym mieczem. Łądując na piasku, odrzucił do tyłu głowę, wydał z siebie mrozący krew w żyłach celtycki okrzyk wojenny i pognął po stromej plaży. Po chwili obejrzał się, żeby sprawdzić, czy biegną za nim jego ludzie, i nagle stanął jak wryty z podniesionym mieczem, widząc trzy brandery, które plując ogniem i dymem zbliżały się do jego żaglowca stojącego na kotwicy.

- Już niedaleko - wychrypiał Hal.

Fala gorąca o mało nie wypaliła mu oczu i zanurzył ponownie głowę, żeby ją ochłodzić. Kiedy ją z powrotem wystawił, uświadomił sobie, że do Guli of Moray pozostało tylko pięćdziesiąt jardów.

Przez huk płomieni przebijało się rozpaczliwe wołanie Cochra.

- Z powrotem! Wracamy na statek! Te łotry chcą go podpalić!

Fregata wypełniona była zdobytymi podczas długiego rejsu łupami i jej załoga ryknęła jak jeden mąż, widząc, że trzy lata ich znoju mogą pójść na marne. Popędzili z powrotem do swoich łodzi nawet szybciej, niż z nich wyskoczyli.

Myszolów stanął na dziobie pierwszej szalupy, gestykulując i miotając się tak gwałtownie, że jej kadłub chybotął niebezpiecznie na wodzie.

- Niech no tylko dostanę w swoje ręce tych drani! Wyrwę im z gardeł tchawice! Rozłupię ich śmierdzące... - Nagle zobaczył za rufą pierwszego brandera oświetloną przez tańczące płomienie głowę Hala i jego głos podniósł się o całą oktawę. - Niech mnie kule, to szczeniak Franky'ego! Zaraz go dopadnę! Usmażę mu wątrobę w ogniu, który wzniecił! -

wrzasnął, po czym miotając niezrozumiałe przekleństwa, z czerwoną jak burak gębą zaczął wymachiwać mieczem, popędzając swoich wioślarzy.

Hala dzieliło teraz tylko dziesięć jardów od wysokiej burty Guli of Moray i poczuł, jak wstępują w niego świeże siły. Niemordowany Aboli płynął tuż obok, preżąc nogi w silnych wyrzutach, które zostawiały za nimi spienioną wodę.

Mając za sobą doganiającą ich szybko łódź Cochran, pokonali kilka ostatnich jardów i dziób brandera uderzył głucho w rafę fregaty. Silniejsza fala wbiła go mocno w kadłub i po krótkiej chwili podsycane przez wzmagającą się poranną bryzę płomienie zaczęły lizać rufę Guli of Moray, przypiekając i osmalając deski.

- Podpłyńcie do brandera! - zawył Myszołów. - Zarzućcie na niego linę i odholujcie na bok! - Jego wioślarze posłuchali rozkazu, lecz żar płomieni powstrzymał ich. Stojący na dziobie Cochran zasłonił twarz rękoma. Jego ruda broda zaczęła skwierczeć i syczeć. - Do tyłu, bo się tu usmażymy! - ryknął. - Podaj mi kotwicę! - zwrócił się do bosmana. - Zahaczę brander i spróbujemy go odholować.

Hal miał zamiar dać nurka i odpłynąć, słysząc jednak rozkaz Cochran zawahał się. Przymocowana do dziobu cuma wciąż płątała mu się między nogami. Wymacał pod powierzchnią wody jej koniec, ścisnął go stopami, przepłynął pod kadłubem brandera i wynurzył się między nim a rufą fregaty.

W tym miejscu wystawał z wody ster Guli of Moray i Hal zarzucił związaną w pętlę cumę na mocujący go sworzeń. Żar był tak wielki, że miał wrażenie, iż z twarzy schodzi mu cała skóra, lecz nie zważając na to, przymocował porządnie brander do steru fregaty.

A potem ponownie zanurkował i podpłynął do Abolego.

- Na plażę! - wychrypiał. - Zanim ogień dotrze do prochowni!

Obaj ruszyli ostro do brzegu. Hal dostrzegł tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki, łódź Cochran. Kapitan Guli of Moray w ogóle się nimi nie interesował. Kręcił nad głową małą kotwiczką i po chwili na oczach Hala cisnął ją w stronę brandera, zaczepiając łapą o burzę.

- Wiosłujcie do tyłu! - ryknął do swoich ludzi. - Odholujemy go!

Wioślarze zaparli się w ławkach, lecz zawiązana przez Hala lina trzymała mocno i wiosła na próżno młóciły wodę. Brander nie dał się odholować, a drewniana burta fregaty zaczęła się niebezpiecznie tlić.

Ogień był postrachem wszystkich żeglarzy. Statek był zbudowany z łatwo palnego drewna i wypełniony smołą, płótnem, konopiami, łojem, suszonymi przyprawami i prochem strzelniczym. Twarze siedzących w łodzi marynarzy wykrzywiło przerażenie. Cochranowi

zrzęda mina, kiedy ujrzał dwa następne brandery, sunące nieubłaganie w stronę Guli of Moray.

- Zatrzymajcie tamte! - zawołał, pokazując je mieczem. - Skierujcie je na bok!

W tym momencie Hal i Aboli byli już pięćdziesiąt jardów od fregaty, ale Hal przekręcił się na plecy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dostrzegł od razu, że Cochranowi nie udało się odholować brandera.

Kapitan Guli of Moray kazał swoim wiosłarzom podpłynąć do dziobu i wdrapał się na pokład.

- Wiadra! - ryknął do załogi. - Ustawcie się w rzędzie z wiadrami. Dziesięciu ludzi do pomp! Gaście ogień!

Jego ludzie wypełniali pośpiesznie rozkazy, lecz ogień szybko się rozprzestrzeniał, wgrzyzając się w rufę i tańcząc wzdłuż burty, sięgając chciwie ku żaglom zwiniętym na rejach.

Załoga jednej z łodzi Cochrańskich zdołała zarzucić linę na brander Neda Tylera i wściekle wiosłując holowała go na bok. Marynarze z drugiej łodzi próbowali zrobić to samo z branderem Dużego Daniela, lecz ogień zmusił ich do cofnięcia się. Za każdym razem, kiedy udało im się zaczepić kotwicę, Daniel podpływał i przecinał linę nożem. Uzbrojeni w pistolety i muszkiety strzelali jak szaleni w jego unoszącą się na wodzie głowę. Kule wzbijały wokół niego małe gejzery, lecz on sam wydawał się nie do trafienia.

Widząc, że Aboli wysforował się do przodu, Hal obrócił się z powrotem na brzuch i popłynął w ślad za nim w stronę plaży. Razem wyszli na brzeg i pobiegli po białym piasku w stronę lasu przerzedzonego teraz przez kule. Sir Francis stał w tym samym okopie, w którym go zostawili, udało mu się jednak ściągnąć kilku ocalałych marynarzy. Kiedy Hal podbiegł do nich, ładowali właśnie wielkie działo.

- Co mam robić? - zapytał ojca.

- Weź ze sobą Abolego i poszukajcie więcej ludzi. Załadujcie następną kolubrynę. Ostrzeliwujcie Guli of Moray - odparł sir Francis, nie podnosząc nawet wzroku znad działa.

Hal pobiegł w głąb lasu. Znalazł sześciu marynarzy, razem z Abolim wywlókł ich z jarów i krzaków, gdzie się chowali, i pogonił do milczącej baterii dział.

W ciągu kilku krótkich chwil, które zajęło mu skompletowanie załogi, sytuacja w lagunie zupełnie się zmieniła. Daniel doprowadził swój brander do burty Guli of Moray i przycumował go tam. Buchające płomienie potęgowały zamieszanie i panikę na pokładzie. Daniel wracał już wpław na brzeg, pomagając utrzymać się na wodzie swoim dwóm towarzyszom, którzy nie umieli pływać.

Załoga Guli zarzuciła liny na brander Neda i odciągała go na bok. Ned i jego trzech towarzysze porzucili go i również płynęli do brzegu, lecz szło im niesporo. Na oczach Hala jeden z nich nagle osłabł i zniknął pod powierzchnią wody.

Widok tonącego jeszcze bardziej rozwścieczył Hala: sypnął garść prochu na panewkę, Aboli zaś obrócił lufę różkiem skutniczym. Działo huknęło donośnie; jego załoga zawyła z radości, gdy kartacze trafiły łódź, która odholowywała brander porzucony przez Neda. Wybuch doszczętnie ją zniszczył, a płynący w niej ludzie wylądowali w lagunie. Miotając się w wodzie i wzywając pomocy, próbowali wdrapać się do sąsiedniej i tak już przeciążonej szalupy. Siedzący w niej żeglarze odganiaли ich, waląc po głowach wiosłami. Kilku rozbitkom udało się mimo to chwycić za burtę i wrzeszcząc i walcząc między sobą, rozkołysali szalupę tak mocno, że nagle przewróciła się do góry dnem. Wokół płonących branderów unosiły się szczątki łodzi i głowy walczących o życie marynarzy.

Hal ładował w tym czasie kolubrynę. Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł, że kilku marynarzy dotarło do Guli i wspięło się po sznurowej drabince na pokład.

Cochran zdołał w końcu uruchomić pompy. Co najmniej dwudziestu ludzi kiwało się przy nich rytmicznie niczym pogrążeni w modlitwie mnisi. Strugi białej wody tryskały z płóciennych węży na płomienie, które obejmowały coraz większą część rufy.

Następny strzał Hala roztrzaskał drewnianą balustradę lewej burty i przerzedził szeregi pracujących przy pompach. Czterech zniknęło, jakby porwały ich z pokładu niewidzialne szpony. Ich krew ochlapała pracujących obok i strumień wody tryskającej z węża wyraźnie się skurczył.

- Więcej ludzi do pomp! - ryknął Cochran, posyłając nowych marynarzy w miejscach, którzy zginęli.

Strumień wody natychmiast przybrał na sile, nie robił jednak większego wrażenia na płomieniach, które objęły już całą rufę.

Duży Daniel dopłynął do brzegu, rzucił na piasek dwóch ludzi, którym uratował życie, i podbiegł do stanowiska kolubryn.

- Obejmij dowództwo nad jednym z dział - zawołał do niego Hal. - Załaduj je kartaczami i strzelaj w pokład. Nie pozwól im gasić pożaru.

Daniel wyszczerzył w uśmiechu czarne zęby i zasalutował.

- Zagramy jego lordowskiej mości ładną melodię do tańca - obiecał.

W wystraszonych podstępny atakem marynarzy Resolution wstąpił nowy duch, gdy losy bitwy zaczęły obracać się na ich korzyść. Raz po raz ktoś wynurzał się z kryjówki, którą



znalazł w lesie. Kiedy działa na plaży zaczęły grzać w kadłub Guli of Moray, coraz więcej ludzi odzyskiwało odwagę i wracało biegiem do okopów.

Wkrótce kolubryny zaczęły bluzgać równym ogniem, a płomienie dosięgły śródpokładu fregaty i objęły zwinięte na rejach niższe żagle.

Hal zobaczył oświetlonego pożarem Cochran, który biegł przez kłęby dymu, trzymając w ręku topór. Po chwili stanął przy prowadnicy napiętej jak struna kotwicznej liny i przeciął ją jednym celnym uderzeniem. Statek wszedł natychmiast w dryf, a Cochran wyprostował się i zaczął wydawać grzmiącym głosem rozkazy ludziom, którzy wspinali się po wantach.

Postawili grotzagiel i fregata szybko zareagowała. Gdy płótno wypełniła coraz silniejsza bryza, płomienie wychyliły się na zewnątrz i walczący z pożarem mogli podbiec bliżej i skierować wodę na źródło ognia.

Za sobą ciągnęli w bliskiej odległości dwa brandery, ale po pewnym czasie liny przepaliły się i oswobodzona fregata ruszyła powoli kanałem.

Baterie na plaży posyłały za nią kolejne salwy, milknąc dopiero, kiedy znalazła się poza ich zasięgiem. Ciągąc za sobą pióropusz dymu i pomarańczowego ognia, Guli of Moray zmierzała w stronę otwartego morza. A potem, gdy wpłynęła w kanał między cyplami strzegącymi wejścia do laguny, zaczęły strzelać działa ukryte na skałach. Armatnie kule wzbijały fontanny przy linii wodnej fregaty i dziurawiły jej żagle.

Poważnie pokiereszowany statek zostawił w końcu za sobą dymiące baterie.

- Panie Courteney! - zawołał sir Francis. Nawet w ogniu bitwy używał tej oficjalnej formy. - Weź łódź, popłyn na cypel i obserwuj Cochran.

Gdy Hal i Aboli dotarli do drugiej strony zatoki i wspięli się na górę, fregata oddaliła się już o całą milę, płynąc z bocznym wiatrem pod żaglami postawionymi na dwóch przednich masztach. Z rufy waliły kłęby dymu, a środkowy pokład i bezanmaszt były osmalone i wciąż się tliły. Na pokładzie roilo się od ludzi, którzy gasili ostatnie ogniska pożaru i próbowali doprowadzić statek do pełnej sprawności.

- Daliśmy jego lordowskiej mości lekcję, którą długo popamięta - stwierdził z radością Hal. - Wątpię, czy przysporzy nam w najbliższym czasie jakichś kłopotów.

- Ranny lew jest najbardziej niebezpieczny - mruknął Aboli. - Stąpiliśmy mu kły, ale wciąż ma jeszcze ostre pazury.

Kiedy Hal przyплыwał z powrotem do obozu, jego ojciec wyznaczył już grupę ludzi, którzy krzatali się przy nadbrzeżnych szańcach, sypiąc na nowo obwałowania i ustawiając na miejscu dwie kolubryny strącone z lawet.

Wciągnięta na brzeg Resolution również została uszkodzona. Wystrzelone z fregaty kule zostawiły wielkie szramy w jej burcie. Kartacze poryły głęboko drewno, nie przebiły jednak na wylot grubych desek. Cieśla i jego pomocnicy wycinali już zniszczone fragmenty i sprawdzali leżące pod nimi wręgi, gotowi zastąpić je nowymi dębowymi belkami z ładowni statku. Na węglach pyrkotały i dymiły kotły ze smołą i wszędzie w obozie słychać było zgrzyt pił i świst hebli.

Znalazł ojca trochę głębiej w lesie, gdzie pod prowizorycznymi płóciennymi daszkami leżeli ranni. Naliczył ich siedemnastu i od razu zorientował się, że co najmniej trzech nie dożyje następnego poranka. Już teraz otaczała ich aura śmierci.

Ned Tyler pełnił funkcję okrętowego chirurga - nauczył się tej sztuki w twardej empirycznej szkole pokładu działowego i posługiwał się swymi narzędziami z tą samą surową bezceremonialnością co pracujący przy podziurawionej burcie cieśle.

Hal zobaczył, że zabiera się właśnie do amputacji. Jeden z marynarzy oberwał kartaczem tuż pod kolanem i jego noga wisiała na kawałku mięsa i odsłoniętego ścięgna, w którym tkwiły białe drzazgi golenia. Dwóch pomocników Neda starało się utrzymać wierzgającego pacjenta na płachcie płótna poplamionego krwią. Między zęby wcisnęli mu dwa kawałki bydlęcej skóry. Nieszczęśnik wgryzł się w nie tak mocno, że ścięgna na jego szyi napięły się niczym konopne sznury. Oczy wyszły mu z orbit, twarz przybrała szkarłatny kolor, a wargi skrzywiły się w przerażającym grymasie.

Hal dostrzegł, że jeden z nadpsutych zębów pęka od siły, z jaką wbijał go w skórę.

Odwrócił oczy od rannego i zaczął zdawać raport sir Francisowi.

- Kiedy ostatnio widziałem Guli of Moray, podążała na zachód. Cochran opanował chyba pożar, ale wciąż wlecze się za nim chmura dymu...

Przerwał mu głośny wrzask. Ned odłożył nóż na bok i wziął do ręki piłę, żeby uciąć roztrzaskaną kość. A potem pacjent umilkł nagle i oklapł w rękach trzymających go ludzi. Ned dał krok do tyłu i potrząsnął głową.

- Biedny sukinsyn odpłynął na tamten brzeg. Przyniescie następnego - stwierdził, po czym otarł zakrwawioną ręką pot i kopeć z twarzy. Na policzku została mu czerwona smuga.

- Płynęli na zachód pod pełnymi żaglami - podjął Hal, choć żołądek podchodził mu do gardła. Nie chciał okazać słabości wobec załogi i swego ojca, lecz głos załamał mu się, gdy stojący kilka jardów dalej Ned zaczął wyciągać wielką drzazgę z pleców kolejnego biedaka. Hal nie mógł oderwać od niego oczu.

Dwóch barczystych asystentów usiadło okrakiem na pacjencie i przygwoździło go do ziemi, a Ned złapał wystający koniec drzazgi kowalskimi szczypcami, wbił stopę w plecy

mężczyzny, żeby mieć lepsze oparcie, i odchylił się energicznie do tyłu. Gruba na palec drzazga miała liczne zadziory i wysuwała się z żywego ciała z największym oporem. Krzyki operowanego słycać było w całym lesie.

Spomiędzy drzew wynurzył się nagle gubernator van de Velde wraz z małżonką, która wsparta o jego ramię, łkała żałośnie i ledwie trzymała się na nogach. Tuż za nią dreptała Zelda, usiłując podsunąć pod nos swojej pani zieloną butelkę z solami trzeźwiącymi.

- Zmuszony jestem jak najostrzej zaprotestować, kapitanie Courteney. Naraziłeś nas na olbrzymie niebezpieczeństwo. Kula przebiła dach mojego domu. Mogłem zginąć - powiedział gubernator, wycierając chustką podwójny podbródek.

W tym samym momencie jeden z asystentów zalał gorącą smołą krwawiącą ranę i operowany przez Neda nieszczęśnik przeraźliwie wrzasnął.

- Może zechcesz pan, z łaski swojej, uciszyć tych durni - oświadczył gubernator, wskazując pogardliwym gestem dłoni ciężko rannych marynarzy. - Ich dzikie ryki trwożą i obrażają moją żonę.

Wydawszy z siebie ostatnie tchnienie, pacjent umilkł, wzgardziwszy wysiłkami Neda chcącego mu pomóc. Oczy sir Francisca ciskały gromy, kiedy uchylił kapelusza przed Kalinką.

- Możesz pani być pewna, że mamy na względzie twą wrażliwą naturę, Mevrouw - stwierdził. - Wygląda na to, że ten prostak wolał wyzionąć ducha anizeli dalej ci się naprzykrzać. Może zamiast popiskiwać i wachać sole, zechcesz pomóc mistrzowi Nedowi w doglądaniu rannych?

Van de Velde wypiął pierś i zmierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Obraziłeś moją żonę, Münheer. Jak śmiesz proponować, żeby zajmowała się tymi prymitywnymi wieśniakami?

- Przepraszam pańską żonę, ale jeśli jej obecność tutaj ma służyć wyłącznie ozdobie krajobrazu, proponuję, byś zabrał ją z powrotem i zatrzymał w domu. Jej delikatne zmysły z pewnością narażone będą tutaj na dalsze nieprzyjemne widoki i hałasy.

Sir Francis skinął na Hala, żeby mu towarzyszył, i odwrócił się plecami do gubernatora. Razem z synem ruszył szybkim krokiem w stronę plaży, gdzie żaglomistrz zaszywał poległych w płócienne całuny, a kilku innych marynarzy kopało już dla nich groby. W tym upale musieli zostać pochowani tego samego dnia. Hal policzył zwłoki okryte płótnem.

- Tylko dwunastu jest naszych - powiedział ojciec. - Pozostałych siedmiu jest z Guli of Moray. Fala wyrzuciła ich na brzeg. Wzięliśmy także ośmiu jeńców.

Jeńcy siedzieli pod strażą na piasku, z dłońmi splecionymi na karkach. Zbliżając się do nich, sir Francis wskazał ręką wielkie rozłożyste drzewo figowe.

- Każ swoim ludziom zamocować osiem stryczków na tym drzewie, panie Courteney - oświadczył tak, by go wszyscy słyszeli. - Zawiesimy na nim kilka nowych owoców - dodał z makabrycznym chichotem, który zaskoczył Hala.

Ośmiu nieszczęśników uderzyło w płaczliwy ton.

- Niech pan nas nie wiesza, kapitanie. Wykonywaliśmy tylko rozkazy jego lordowskiej mości. Robiliśmy, co kazał. Sir Francis zignorował ich.

- Proszę wykonać rozkaz, panie Courteney - powiedział.

Hal zawahał się. Myśl o tym, że ma z zimną krwią dokonać egzekucji, napędliała go przerażeniem, widząc jednak wyraz twarzy ojca, pośpieszył wypełnić jego polecenie.

W ciągu paru chwil zarzucono sznury na grube gałęzie i zawiązano stryczki. Kilku marynarzy stanęło obok, żeby podciągnąć skazańców w górę.

Ośmiu jeńców z Guli of Moray przywleczono kolejno ze związanymi z tyłu rękoma pod drzewo i zarzucono im stryczki na szyje. Na rozkaz ojca Hal poprawił każdemu pętlę za uszami, a potem odwrócił się z powrotem do sir Francisza z pobladłą twarzą i żołądkiem podchodzącym do gardła.

- Gotowi do wykonania egzekucji, kapitanie. Sir Francis odwrócił się bokiem do skazańców.

- Błagaj o ich życie - rzucił półgębkiem.

- Słucham? - wyjąkał zdumiony Hal.

- Niech cię szlag. Błagaj, bym ich oszczędził.

- Wybacz, kapitanie, ale czy nie można by darować tym ludziom życia? - zapytał głośno Hal.

- Te łotry zasługują wyłącznie na stryczek - warknął sir Francis. - Chcę zobaczyć, jak tańczą na diabelskim weselu.

- Wykonywali tylko rozkazy swojego kapitana. - Hal coraz lepiej czuł się w roli adwokata. - Naprawdę nie dasz im szansy?

Ośmiu skazańców wodziło głowami w lewo i w prawo, przysłuchując się z żywym zainteresowaniem sporowi. Twarze mieli zacięte, ale w ich oczach migotały iskierki nadziei.

Sir Francis poskubał się w podbródek.

- Sam nie wiem... - mruknął z ponurą miną. - Co mamy z nimi zrobić? Wypuścić ich do puszczy, żeby padli ofiarą dzikich bestii albo kanibali? Okażemy im większą litość, od razu pozbawiając życia.

- Mógłbyś przyjąć ich na statek w miejsce ludzi, których straciliśmy - zasugerował Hal.

Na twarzy sir Francisca wciąż malowały się wątpliwości.

- Nie złożą mi przecież przysięgi na wierność - stwierdził, zerkając na skazańców, którzy padliby zapewne na kolana, gdyby nie stryczki kępujące ich głowy.

- Będziemy ci wiernie służyć, kapitanie. Młody panicz ma rację. Nie znajdziesz ludzi, którzy byliby bardziej lojalni wobec ciebie.

- Przynieście Biblię z mojej kwatery - rozkazał sir Francis.

Ośmiu skazańców przysięgło wierność, z założonymi na szyję stryczkami. Duży Daniel uwolnił ich i odprowadził do obozowiska. Sir Francis powiódł za nimi z satysfakcją wzrokiem.

- Ośmiu zdrowych skurczybyków w miejsce ludzi, których straciliśmy - mruknął. - Jeśli chcemy zwodować Resolution przed końcem miesiąca, przyda nam się każda para rąk. Jeden Bóg wie, kto jeszczełoży nam wizytę, jeśli dłużej tu zabawimy - dodał, spoglądając w stronę wejścia do laguny. - Pozostała jeszcze sprawa pijaków, którzy schlali się rumem Cochran. Nie masz chyba nic przeciwko kolejnej chłości, Hal?

- Czy to naprawdę najlepszy moment, żeby okaleczyć połowę załogi, ojcze? Jeśli Cochran powróci, nim będziemy gotowi do wyjścia w morze, ze zdartymi do kości grzbietami nie będą walczyli lepiej niż dzisiaj.

- Chcesz powiedzieć, że ma to im ująć płazem? - odparł chłodno sir Francis, bacznie mu się przyglądając.

- Dlaczego nie odebrać im udziałów w łupach ze Standvastigheid i nie przekazać ich reszcie załogi?

Sir Francis patrzył na niego chwilę dłużej, a potem krzywo się uśmiechnął.

- Salomonowy wyrok! - stwierdził. - Strata pieniędzy zabolii ich bardziej niż schlastane batem grzbiety. A nam dostanie się kilka guldenów więcej.

Angus Cochran, lord Cumbrae, stanął na szczycie górskiej przełęczy, co najmniej tysiąc stóp nad brzegiem, do którego przybił na pokładzie szalupy spuszczonej z pokładu Guli of Moray. Towarzyszył mu bosman i dwaj marynarze uzbrojeni w muszkiety i kordy. Jeden z żeglarzy trzymał na ramieniu małą beczkę z wodą, afrykańskie słońce wyjątkowo szybko wyciąga bowiem wilgoć z człowieka.

Żeby dotrzeć do tego punktu obserwacyjnego, musieli przez pół poranka wspinać się stromymi wąskimi ścieżkami. Cochran dobrze znał to miejsce. Przeprowadził go tu niegdyś pewien Hotentot, którego pojмали na plaży. Siadając wygodnie na kamieniu

przypominającym tron, spojrział na leżące w trawie jego kości. Czaszka lśniła jak perła, leżała tu bowiem od trzech lat i mrówki oraz inne owady ogryzły ją do czysta. Cochran nie mógł przecież pozwolić, żeby dzikus rozповідаł o jego przybyciu w holenderskiej osadzie na Przylądku Dobrej Nadziei.

Z kamiennego tronu rozciągał się wspaniały panoramiczny widok na dwa oceany i otaczające go skaliste góry. Oglądając się za siebie, zobaczył Guli of Moray, która stała na kotwicy nieopodal małej plaży, u stóp stromych skał schodzących do samego morza.

W nadmorskim paśmie widać było wyraźnie dwanaście szczytów, które na zdobytych przez niego holenderskich mapach nosiły nazwę Dwunastu Apostołów.

Przyglądając się statkowi przez teleskop, nie widział już większych śladów pożaru, który niedawno szalał na rufie. Zdążył już założyć nowe reje na bezanmaszcie i umocować na nich nowe żagle. Z tej wysokości ukryta przed wścibskimi oczyma w małej zatoczce pod Apostołami Guli of Moray wyglądała tak samo pięknie jak zawsze.

Łódź, która przywiozła go na brzeg, wciąż stała na plaży, gotowa natychmiast odpłynąć, gdyby wpadł w jakieś tarapaty. W gruncie rzeczy raczej się ich nie spodziewał. W buszu mógł spotkać kilku Hotentotów, było to jednak nieszkodliwe pónagie plemię, pasterski lud o wystających kościach policzkowych i skośnych azjatyckich oczach. Można ich było śmiertelnie wystraszyć jednym strzałem z muszkietu.

O wiele groźniejsze były dzikie zwierzęta zamieszkujące tę dziewiczą niedostępną ziemię. Poprzedniej nocy na pokładzie zakotwiczonego w zatoce żaglowca słyszeli przeraźliwe, mrożące krew w żyłach ryki, po których nastąpiła seria ńście diabelskich pomruków i jęków.

„Lwy!” - szeptali do siebie starsi marynarze, którzy znali lepiej to wybrzeże, a reszta załogi słuchała w nabożnym milczeniu. O świcie ujrzeli jednego ze straszliwych żółtych kotów, wielkości kucyka, z gęstą grzywą ciemnych włosów sięgających daleko za łopatki, który przechadzał się z królewską godnością po plaży. Trzeba było potem groźby bata, żeby zmusić wioślarzy do przewiezienia kapitana i jego ludzi na brzeg.

Cochran sięgnął do zawieszzonego przy szkockiej spódniczce skórzanego mieszka i wyciągnął z niego cynową manierkę. Pociągnął z niej dwa łyki, westchnął z rozkoszą i zakorkował z powrotem. Bosman i dwaj marynarze popatrzyli chciwie na manierkę, lecz on uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie wyjdzie wam to na zdrowie. Zapamiętajcie moje słowa, whisky to gorące szczyzny diabła. Jeśli nie zawarlicie z nim paktu jak ja, nie wolno wam jej brać do ust.



Wsunął manierkę z powrotem do mieszka i przystawił do oka teleskop. Po jego lewej ręce wznosiła się podobna do sfinksa góra, którą dawni żeglarze spoglądający od strony morza ochrztili mianem Lwiej Głowy. Po prawej ręce wznosił się potężny masyw Stołowej Góry, która dominowała nad całą okolicą i od której wzięła nazwę znajdująca się niżej uroczą zatoka.

Zamykającej ją od północy małej wysepce Holendrzy nadali nazwę Robben, tak bowiem w ich języku nazywają się foki, których tysiące osiedliło się na jej brzegach. Dalej rozciągał się nieskończony przestwór nakrapianego grzywami fal południowego Atlantyku. Cochran zlustrował go dokładnie w poszukiwaniu jakichś żagli i nie znalazłszy żadnych, skoncentrował się na leżącej niżej holenderskiej kolonii Przylądka Dobrej Nadziei.

Osada nie wyróżniała się niczym szczególnym na tle okalającego ją skalistego pustkowia. Nieliczne domy kryte były słomianymi strzechami, które zlewały się barwą z otoczeniem. Najwyraźniejszym śladem obecności człowieka były ogrody Kompanii Wschodnioindyjskiej. Pochodzącymi z nich płodami zaopatrywano podążające na wschód statki. Prostokątne pola w zależności od pory roku lśniły zielenią zbóż bądź czekoladowym brązem świeżo zoraanej ziemi.

Tuż przy brzegu wznosił się holenderski fort. Nawet z tej odległości Cochran widział, że jest nie ukończony. Słyszał od innych kapitanów, że po wybuchu wojny z Anglią Holendrzy starali się przyspieszyć budowę, lecz w paśmie obwałowań wciąż widać było dużo luk niczym w szczerbatym uzębieniu.

Fort i jego nie ukończone umocnienia interesowały Cochra, chciał bowiem wiedzieć, czy umieszczone tam działa są w stanie ochronić zakotwiczone w zatoce statki. W tym momencie stały tam trzy duże jednostki i na nich właśnie skupił całą swą uwagę.

Jedna wyglądała na fregatę wojenną i na jej maszcie powiewała pomarańczowo-biało-niebieska bandera Republiki. Kadłub pomalowany był na czarno, a otwory armatnie na biało. Naliczył ich szesnaście po jednej stronie i doszedł do wniosku, że przewyższa Guli of Moray siłą ognia. Nie miał jednak wcale zamiaru jej atakować. Chciał łatwiejszych łupów, a to oznaczało, że musi się zająć jednym z dwu pozostałych statków stojących w zatoce. Oba były handlowe i nad oboma powiewała bandera Kompanii.

- Który wybrać? - mruknął, lustrując je uważnie przez teleskop.

Jeden wydawał się znajomy. Unosił się wysoko na wodzie i domyślił się, że jest obciążony wyłącznie balastem i płynie dopiero na wschód, do holenderskich posiadłości.

- Na Boga, poznaję go teraz po kliwrze - zawołał głośno. - To Lady Edwina, stary statek Franky'ego. Mówił mi, że wysłał go z żądaniem okupu. - Przyglądał się trochę dłużej

karaweli. - Zupełnie ją ogołocili... zabrali nawet działa. Widząc, że nie zagarnie na Lady Edwinie żadnych łupów, Cochran skierował teleskop na drugi statek handlowy. Był trochę mniejszy, lecz tak mocno zanurzony, że niższe otwory działowe omywała niemal woda. Nie ulegało wątpliwości, że wracał do metropolii obładowany skarbami Wschodu. Jego atrakcyjność zwiększał fakt, że stał na kotwicy dalej od Lady Edwiny, co najmniej milę od umocnień fortu. Nawet w optymalnych warunkach przekraczało to możliwości holenderskich dział na brzegu.

- Aż ślinka mi leci na jego widok - mruknął, szczerząc zęby.

Przez następne pół godziny studiował zatokę, przyglądając się pianie i pyłowi wodnemu i oceniając na ich podstawie kierunek prądów i wiejącego ze wzgórz wiatru. Miał zamiar wpłynąć do Zatoki Stołowej. Wiedział, że na zboczach Lwiej Głowy Holendrzy wystawili mały posterunek, który ostrzega kolonię strzałem armatnim o każdym zbliżającym się statku.

W tej fazie księżycy mogli nawet o pomocy dostrzec jego żagle na pełnym morzu. Będzie musiał zatoczyć szeroki krąg za linią horyzontu i podpłynąć od zachodu, chowając się za masywem Robben Island przed wścibskimi obserwatorami.

Jego załoga została dobrze wyszkolona w sztuce wykradania statków z portu. Był to stary angielski fortel, praktykowany zarówno przez Hawkinsa, jak i Francisa Drake'a. Cochran udoskonalił go w sposób wyrafinowany i uważał, że mógłby niejednego nauczyć obu wielkich elżbietańskich piratów. Radość, jakiej doznawał, sprzątając statek sprzed nosa nieprzyjacielowi, przewyższała wartość łupów, które mógł na nim zdobyć. „Chędożenie kobiety, gdy tuż obok na łóżku chrapie jej mąż, jest znacznie słodsze, niż dobieranie się do miodu, kiedy małżonek jest daleko na morzu”.

Chichocząc, omiótł teleskopem całą zatokę, żeby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło od czasu jego poprzedniej wizyty; czy nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo w rodzaju nowo ustawionych dział na brzegu.

Chociaż minęło już południe i czekała go długa droga powrotna na brzeg, spędził na przełęczu jeszcze kilka chwil, studiując bacznie olinowanie statku. Kiedy go zagarnie, będzie musiał szybko podnieść żagle i wypłynąć na pełne morze w ciemnościach nocy.

Było już po północy, gdy Cochran, orientując się według potężnego masywu Góry Stołowej, zasłaniającego prawie połowę nieboskłonu, wpłynął od zachodu na wody zatoki. Był pewien, że nawet w tak gwiazdzistą noc, z księżycem w drugiej kwadrze, znajduje się daleko poza zasięgiem wzroku obserwatorów na Lwiej Głowie.

Przed dziobem Guli of Moray wyłoniła się nagle z mroku podobna do wieloryba wyspa Robben. Cochran wiedział, że nikt nie mieszka na tym skrawku skalistego gruntu i może spokojnie podejść blisko brzegu od zawietrznej i zarzucić kotwicę na głębokości siedmiu sążni.

Łódź stała już na pokładzie gotowa do zwodowania. Spuszczono ją na fale natychmiast po zarzuceniu kotwicy. Cochran wyznaczył już wcześniej wiosłarzy. Uzbrojeni w pistolety, kordy i dębowe pałki, wysmarowali sobie twarze sadzą i wyglądali jak banda dzikusów ze świecącymi w ciemności oczyma i zębami. Ubrani byli w nasmołowane płócienne kurtki, a dwóch marynarzy niosło siekierki do przecięcia kotwicznej cumy.

Gdy tylko Cochran zszedł po drabince, natychmiast odbili od burty. Wiosła i dulki mieli owinięte szmatami i słychać było jedynie plusk odgarnianej łopatami wody, lecz i on ginął w szumie fal i delikatnym westchnieniu wiatru.

Wychynawszy zza wyspy, zobaczyli światła na lądzie: dwa albo trzy punkciki ognisk na murach fortu i niewyraźny blask lamp palących się w domach przy brzegu.

Trzy statki, które widział z przełęcz, wciąż stały na redzie. Na każdym zapalone były dwie lampy; jedna u szczytu masztu, druga na rufie. Cochran uśmiechnął się w ciemności.

- Bardzo uprzejmie ze strony serojadów, że nas witają. Czy ci głupcy nie wiedzą, że trwa wojna?

Z tej odległości nie mógł jeszcze rozróżnić statków, lecz jego ludzie przykładali się do wiosel, wietrząc obfite łupy. Po półgodzinie, choć wciąż znajdowali się dość daleko, rozpoznał Lady Edwinę. Nie interesował się nią zbytnio, całą uwagę skupiwszy na drugim statku, który nie zmienił pozycji i stał najdalej od nadbrzeżnych baterii.

- Przybijcie do lewej burty - wydał szeptem rozkaz bosmanowi.

Łódź skręciła o jeden rumb i rytm wiosel stał się szybszy. Druga szalupa płynęła tuż za ich rufą niczym idący świeżym tropem myśliwski pies i zerknąwszy na nią, Cochran mruknął z aprobatą. Wszyscy schowali broń pod ubraniem, żeby błysk nagiego ostrza bądź lufy pistoletu nie ostrzegł pełniących wachtę marynarzy o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie palił się żaden lont; zdradzić ich także mogła woń dymu lub pojedyncza iskra.

Kiedy sunęli w stronę stojącej na kotwicy jednostki, Cochran przeczytał na rufie jej nazwę. Swael, Jaskółka. Wypatrywał śladów nocnej wachty; choć wybrzeże wystawione było na niespodziewane podmuchy wiejącego zza Góry Stołowej południowo-wschodniego wiatru, to albo holenderski kapitan zaniedbał swoje obowiązki, albo pełniący wachtę marynarze zasnęli, bo na pogrążonym w mroku statku nie było widać znaku życia.

Dwaj ludzie Cochrana czekali, żeby odepchnąć łódź od kadłuba. Na burcie zawiesili matę z pakul, by złagodzić siłę uderzenia. Kadłub miał podobne właściwości rezonansowe jak pudło wioli i trzask drewna obudziłby wszystkich na pokładzie.

Dotknęli burty delikatnie niczym dziewica składająca pocałunek na wargach ukochanego. Jeden z marynarzy, znany z tego, że umiał wspinać się jak małpa, wdrapał się na górę, błyskawicznie przymocował linę do jarzma działa i zrzucił jej koniec z powrotem do łodzi.

Cochran podniósł zasłonę sztormowej latarni, zapalił od niej lont, po czym złapał linę i wspiał się na bosaka na pokład. Polował niegdyś boso na jelenie i stopy miał twarde jak kamień. Marynarze z obu łodzi pomknęli za nim na bosaka na górę.

Myszolów wyciągnął zza pasa rozek skutniczy i razem z bosmanem pobiegł na dziób. Pełniący wachtę marynarz spał na pokładzie, zwinięty w kłębek niczym pies przy kominku. Cochran pochylił się nad nim i rozłupał mu czaszkę jednym pchnięciem żelaznego szpikulca. Mężczyzna westchnął i rozciągnął się jak długi na deskach.

Wracając na rufę, Cochran zauważył, że jego ludzie zablokowali już pokrywy luków prowadzących niżej, zamykając Holendrów pod pokładem.

- Na statku jest nie więcej niż dwadzieścia osób - mruknął pod nosem. - Czy to się im podoba, czy nie, de Ruyter ściągnął najlepszych żeglarzy do marynarki wojennej. We flocie handlowej zostali sami chłopcy i starzy durnie, ledwie powłóczący nogami. Wątpię, żeby sprawili nam wiele kłopotu.

Spojrzał w górę na ciemne sylwetki swoich marynarzy, którzy wspinali się na tle gwiazd po wantach. Usłyszał cichy łopot stawianych żagli i zaraz potem miękkie plaśnięcie topora przecinającego kotwiczną cumę. Swael natychmiast zbudziła się ze snu i zadrżała pod jego stopami. Bosman stał już przy sterze.

- Wyprowadź ją z zatoki! Kurs na zachód! - rozkazał Cochran i bosman ustawił statek jak najostrzej pod wiatr.

Cochran bardzo szybko zorientował się, że obładowany ciężko żaglowiec jest zaskakująco zwrotny i że uda im się ominąć jednym halsem wyspę Robben. Dziesięciu uzbrojonych ludzi czekało na jego rozkazy. Dwóch miało w rękach osłonięte lampy sztormowe, wszyscy gotowe do strzału pistolety. Cochran wziął jedną z lamp i poprowadził ich biegiem do oficerskich kajut na rufie. Nacisnął klamkę kabiny, która musiała wychodzić na galeryjkę, i odkrył, że drzwi nie są zamknięte. Bezszelestnie wślizgnął się do środka. Kiedy odsłonił lampę, mężczyzna w ozdobionej chwastem mycce usiadł na swojej koi.

- Wie is ditt? - zapytał sennym głosem.

Cochran nasunął mu kołdrę na głowę, po czym kazał swoim ludziom związać kapitana i otworzył następnąabinę. Zajmujący ją holenderski oficer już się obudził. Pulchny i niezbyt młody, z potarganymi włosami na oczach, sięgnął niepewną ręką po szpadę, która wisiała w pochwie przy koi. Cochran zaświecił mu latarnią prosto w oczy i przystawił miecz do gardła.

- Angus Cochran, do pańskich usług - przedstawił się. - Poddaj się albo nakarmię twoim ścierwem mewy.

Holender mógł nie zrozumieć bełkotliwej szkockiej wymowy, nie miał jednak wątpliwości, o co chodzi Cochranowi. Wlepiając w niego przerażone oczy, podniósł w górę ręce. Napastnicy zwlekli go na podłogę i naciągnęli mu na głowę prześcieradło.

Cochran podbiegł do ostatniej kabiny, ale kiedy nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się z taką siłą, że poleciał na przeciwległą ścianę. Z kabiny wyskoczył wielki mężczyzna, wydając z siebie mrozący krew w żyłach okrzyk. Zamachnął się, chcąc rozplatać Cochranowi głowę, lecz klinga jego szpady zahaczyła o framugę drzwi i Szkot miał chwilę czasu, żeby dojść do siebie. Wciąż rycząc jak tur, Holender zadał ponowne pchnięcie. Tym razem Cochran odparował i ostrze ześlizgnęło się za jego ramieniem, trafiając w ścianę. Dwaj potężni mężczyźni miotali się po korytarzu, walcząc prawie piersią w piers. Holender lżył go w dwóch językach, swoim i angielskim, a Cochran odpowiadał mu pełnokrwistymi szkockimi wyzwiskami.

- Ty cholerny, dymający zakonnice serojadzie! Zobaczysz, wypcham cię po same uszy flakami! - Jego ludzie tańczyli wokół nich z podniesionymi kordami, próbując dosięgnąć holenderskiego oficera. - Nie zabijajcie go! - wrzasnął Cochran. - To szlachcic i dostaniemy za niego wysoki okup!

Nawet w słabym świetle latarni zorientował się, że nie ma do czynienia z byle kim. Wyrwany ze snu Holender nie miał peruki na ogolonej głowie, lecz jego spiczaste wąsiki świadczyły, że dotrzymuje kroku najnowszej modzie. Haftowana lniana nocna koszula i szpada, którą władał z biegłością nauczyciela fechtunku, świadczyły o tym, że pochodzi ze znaczącego rodu.

Długi miecz Cochra na niezbyt dobrze nadawał się do walki w ciasnym korytarzu i Szkot zmuszony był używać raczej szczytu broni niż podwójnego ostrza. Holender zadał pchnięcie, a potem zrobił fintę i przedarł się przez obronę Cochra na. Ten syknął z gniewu, kiedy szpada przeciwnika minęła go o palec, śmigając pod uniesioną prawą ręką i ścinając drzazgi z deski za jego plecami.

Zanim Holender zdążył się cofnąć, Cochran objął go lewą ręką za szyję, łapiąc w niedźwiedzi uścisk. W tej pozycji w ciasnym przejściu nie mogli używać białej broni.

Rzuciwszy ją na podłogę, zaczęli zмагаć się ze sobą na korytarzu, warcząc niczym wściekłe psy i wyjąc z bólu, gdy któremuś z nich udało się uderzyć drugiego pięścią w głowę albo wbić mu łokieć w brzuch.

- Rozwalcie mu łeb! - wychrypiał Cochran. - Ogłuszcicie tego zwierza! - Nie zdarzyło się, by ktoś pokonał go w zwykłej walce wręcz, lecz temu osiłkowi mogło się to udać. - Pomóżcie mi, przekłete łotry! - zawył, kiedy kolano przeciwnika trafiło go w krocze.

Udało mu się objąć ręką Holendra w pasie i obrócić go plecami do jednego z marynarzy, który czekał już z podniesioną dębową pałąk w dłoni. Wymierzony w wygoloną potylicę cios nie był aż tak mocny, żeby rozbić czaszkę, ale wystarczył, by ogłuszyć. Pod Holendrem ugięły się nogi i osunął się w ramiona Cochra.

Szkot, dysząc ciężko, pozwolił mu upaść na brzuch, a wszyscy czterej marynarze skoczyli do przodu, siadając na nim okrakiem i przygważdżając do podłogi.

- Zwiążcie tego diabła, nim wróci do zmysłów i rozwali nam cały statek - wysapał Cochran.

- Kolejny plugawy angielski pirat! - wyszeptał słabym głosem Holender, próbując zrzucić z siebie prześladowców i potrząsając głową, żeby dojść do siebie po uderzeniu.

- Nie czuję się urażony twoimi obelgami, panie - odparł wesoło Cochran, wygładzając zmierzwioną rudą brodę i podnosząc z podłogi miecz. - Możesz mnie do woli nazywać plugawym piratem, ale nie jestem Anglikiem i będę wdzięczny, jeśli to sobie zakonotujesz w pamięci.

- Piraci! Wszyscy łotry jesteście piratami.

- A kimże ty jesteś, żeby nazywać mnie łotrem, ze swoim wystającym włochatym tyłkiem? - Podczas szamotaniny nocna koszula Holendra zwinęła się, odsłaniając nagie pośladki. - Nie będę wdawał się w kłótnię z kimś, kto nie jest nawet przyzwoicie odziany. Proszę się ubrać i wtedy wrócimy do naszej dyskusji.

Cochran wybiegł na pokład i zobaczył, że oddalili się już dość znacznie od brzegu. Spod luków dochodziły stłumione okrzyki i walenie pięściami, ale jego ludzie całkowicie opanowali pokład.

- Dobra robota, moi mili. Żaden z was, szczury morskie, nie zarobił dotąd tak łatwo pięćdziesięciu gwinei. Powinszujcie sobie i zagrajcie diabłu na nosie - ryknął tak głośno, że usłyszeli go nawet ci na rejach.

Do wyspy Robben została im tylko jedna mila i wypływając z zatoki, zobaczyli stojącą w księżycowej poświacie Guli of Moray.



- Zawieście na maszcie latarnię - rozkazał Cochran. - Przepłyniemy jeszcze kilka mil, zanim ci durnie w forcie obudzą się i przetrą oczy.

Gdy latarnia znalazła się w górze, na Guli odpowiedzieli im tym samym sygnałem, a potem podnieśli kotwicę i ruszyli w ślad za zdobytym statkiem na pełne morze.

- W kambuzie czeka na nas z pewnością dobre śniadanie - powiedział swoim ludziom Cochran. - Holendrzy dbają o swoje brzuchy. Kiedy zakujecie serojadów w kajdany, możecie spróbować ich frykasów. Bosmanie, proszę nie zmieniać kursu. Ja schodzę na dół, żeby zerknąć do okrętowego manifestu i zobaczyć, jakie zdobyliśmy łupy.

Holenderscy oficerowie leżeli ze skrzepowanymi rękoma i nogami na podłodze największej kabiny. Przy każdym stał uzbrojony marynarz. Wojowniczy olbrzym podniósł głowę na widok Cochrana.

- Błagam Boga, żeby dożyć dnia, gdy zawieszysz na stryczku razem z całym diabelskim pomiotem angielskich piratów, którzy są przekleństwem mórz i oceanów - ryknął. Nie ulegało wątpliwości, że doszedł do siebie po uderzeniu w tył głowy.

- Muszę ci pogratulować znakomitej znajomości angielskiego, panie - odparł Cochran. - Wyrażasz się nader poetycko. Jak się zwiiesz?

- Pułkownik Cornelius Schreuder w służbie Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- Miło mi cię poznać. Jestem Angus Cochran, lord Cumbrae.

- Nie jesteś żadnym lordem, lecz nikczemnym piratem!

- Twoje tyrady stają się trochę męczące. Proszę, nie psuj w ten sposób zapowiadającej się mile znajomości. Dopóki nie otrzymam za ciebie okupu, będziesz w końcu przez jakiś czas moim gościem. Mam list kaperski wydany przez Jego Królewską Mość, Karola Drugiego. Jesteście, panowie, jeńcami wojennymi.

- Nie toczy się żadna wojna! - ryknął na niego pogardliwie pułkownik Schreuder. - Daliśmy wam, Anglikom, niezłego łupnia i przed dwoma miesiącami podpisany został pokój.

Zaskoczony Cochran wlepił w niego wzrok. Przez chwilę zupełnie go zamurowało.

- Nie wierzę ci, panie - wyjąkał.

Był wstrząśnięty i oszołomiony. Zaprzeczał bardziej z tego powodu, by zyskać na czasie niż ze szczerego przekonania. Przekazane przez Richarda Listera wieści o angielskiej klęsce pod Medway i bitwie na Tamizie pochodziły sprzed kilku miesięcy. Lister mówił także, że król Karol zwrócił się do Holendrów z prośbą o zawarcie pokoju. W ciągu paru miesięcy wszystko mogło się zdarzyć.

- Każ swoim łotrom mnie uwolnić, to zaraz ci to udowodnię. Pułkownik Schreuder wciąż kipiał ze złości i Cochran wahał się przez chwilę, zanim dał znak swoim ludziom.

- Podnieście go i rozwiążcie - rozkazał.

Pułkownik skoczył rażno na nogi, wygładził zmierzwione wąsiki i pomaszzerował do swojej kabiny. Tam włożył jedwabny szlafrok i dopiero wtedy podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wróciwszy do Cochrana, wręczył mu z chłodną wyniosłością gruby plik papierów.

W większości były tam oficjalne holenderskie proklamacje w obu językach, ale Cochran znalazł również angielską gazetę. Rozłożył ją z drżeniem serca i wyciągnął na długość ręki. Gazeta była z sierpnia 1667 roku. Przez całą szerokość strony biegł tytuł wydrukowany grubą dwucalową czcionką:

#### PODPISANIE TRAKTATU POKOJOWEGO Z REPUBLIKĄ HOLANDII!

Przebiegając wzrokiem tekst, próbował znaleźć rozwiązanie sytuacji, w jakiej się znalazł. Wiedział, że z dniem podpisania traktatu tracą ważność wszystkie listy kaperskie wydane przez obie strony w trakcie trwania konfliktu. Gdyby miał co do tego jakieś wątpliwości, potwierdzał to wyraźnie trzeci punkt:

„Wszyscy kapitanowie dwóch wojujących narodów, żeglujący na podstawie listów kaperskich, mają niezwłocznie zaprzestać ekspedycji wojennych i zawinąć do swoich portów macierzystych, gdzie zostaną poddani inspekcji urzędników admiralicji”.

Cochran wpatrywał się w gazetę, nie czytając dalej i rozważając stojące przed nim różne możliwości. Swael była wartościowym przyzem, Bóg jeden wie, jak wartościowym. Drapiąc się w brodę, zastanawiał się, czy nie zlekceważyć rozkazów admiralicji i nie zatrzymać statku. Jego pradziad był słynnym banitą, na tyle przebiegłym, że poparł lorda Moraya i innych szkockich panów przeciwko królowej Marii. Po bitwie pod Carberry Hill zmusili królową do abdykacji i powołali na tron jej syna Jakuba. Za udział w kampanii jego przodek otrzymał tytuł lordowski.

Wcześniej Cochranowie byli złodziejami owiec i pogranicznymi zabijakami, którzy dorobili się, mordując i rabując nie tylko Anglików, lecz również członków innych szkockich klanów. Cochran wdał się w swoich przodków i nie dręczyły go żadne wyrzuty sumienia. Zastanawiał się po prostu, jakie ma realne szansę na zachowanie statku.

Był dumny ze swego pochodzenia, lecz wiedział również, że jego przodkowie zbili fortunę, unikając sprytnie szubienicy. W ostatnim stuleciu wszystkie morskie narody sprzymierzyły się, aby wspólnie wykorzeńić korsarstwo, które od czasów faraonów starożytnego Egiptu stanowiło plagę morskiego handlu.

- Nie ujdzie ci to na sucho, chłopie - mruknął pod nosem i potrząsnął z żalem głową. - Piszą tu, że wojna jest niestety zakończona - powiedział, pokazując gazetę marynarzom, z których żaden nie umiał czytać. - Będziemy musieli uwolnić tych panów.

- Czy to znaczy, że stracimy również nasze łupy? - zapytał strapionym tonem bosman.

- Owszem, jeśli nie chcecie zawisnąć na szubienicy w Greenwich - odparł Cochran, po czym odwrócił się do pułkownika Schreudera. - Wygląda na to, że jestem ci winien przeprosiny, panie - powiedział, krzywo się uśmiechając. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę pomyłkę, którą popełniłem w dobrej wierze. Od kilku miesięcy nie miałem żadnych wieści z kraju.

Pułkownik odwzajemnił sztywno jego ukłon.

- Z przyjemnością zwracam ci tę szpadę, pułkowniku - kontynuował Cochran. - Walczyłeś jak rycerz i prawdziwy szlachcic. - Pułkownik ukłonił się bardziej łaskawie. - Każę natychmiast uwolnić załogę tego statku. Możecie oczywiście wrócić do Zatoki Stołowej i kontynuować stamtąd przerwana podróż. Dokąd się udajesz, panie? - zapytał grzecznie.

- Przed pańską interwencją mieliśmy zamiar wypłynąć do Amsterdamu. Wiozę listy z prośbą o okup za świeżo mianowanego gubernatora Przylądka Dobrej Nadziei, który razem ze swoją uroczą żoną został uwięziony przez innego angielskiego pirata czy też raczej... przez innego angielskiego kapra - poprawił się pułkownik.

Cochran spojrzał na niego uważnie.

- Czy wasz gubernator nie nazywa się przypadkiem Petrus van de Velde i czy nie dostał się do niewoli, podróżując na pokładzie należącego do Kompanii galeonu Standvastigheid - zapytał. - czy napastnikiem nie był Anglik, sir Francis Courteney?

Na twarzy pułkownika Schreudera odbiło się zdziwienie.

- W rzeczy samej. Skąd znasz te wszystkie szczegóły, panie?

- Zaraz odpowiem na twoje pytanie, pułkowniku, wpierw jednak muszę się czegoś dowiedzieć. Czy zdajesz sobie sprawę, że Standvastigheid zdobyto już po podpisaniu traktatu pokojowego między dwoma krajami?

- Kiedy statek został zaatakowany, podróżowałem na jego pokładzie jako pasażer. Jestem oczywiście świadom, że napad był nielegalny.

- Ostatnie pytanie, pułkowniku. Czy twoja reputacja i pozycja zawodowa nie uległyby wzmocnieniu, gdybyś zdołał uwięzić tego pirata Courteneya, uwolnić zbrojnie gubernatora van de Veldego oraz jego małżonkę, a także zwrócić Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej drogocenny ładunek Standvastigheid!

Pułkownik Schreuder zapomniał języka w gębie, porażony tak wspaniałą perspektywą. Obraz fiołkowych oczu i włosów jasnych jak promyk słońca, który od ich ostatniego spotkania wciąż miał przed oczyma, teraz ukazał się w całej wyrazistości. Obietnica, jaką złożyły jej zmysłowe wargi, przewyższała wartością wszystkie drogocenne przyprawy i sztaby złota. Wiedział, jak wdzięczni będą za uwolnienie Katinka oraz jej ojciec, który przewodniczył radzie nadzorczej Kompanii. To mogło całkowicie odmienić jego losy.

Był tak poruszony, że zdołał tylko sztywno kiwnąć głową.

- W takim razie uważam, że mamy do omówienia projekt, który może przynieść nam obopólną korzyść - oznajmił z szerokim uśmiechem Cochran.

Nazajutrz rano Guli of Moray i Swael wpłynęły razem do Zatoki Stołowej. Zaraz po zarzuceniu kotwicy Schreuder i Cochran wybrali się do fortu. Brodzący po ramiona w wodzie niewolnicy i jeńcy wciągnęli łódź na piasek, nim uderzyła ją następna fala przyboju i dwaj przybysze zeszli na ląd suchą stopą. Maszerując razem do fortu, tworzyli uderzającą i niezwykłą parę: Schreuder w galowym mundurze, z powiewającymi na wietrze szarfami, wstążkami i piórami kapelusza oraz Cochran w swojej czerwono-brunatno-żółto-czarnej szkockiej spódnicze. Ludność tej odległej placówki nigdy jeszcze nie widziała tak ubranego mężczyzny i tłoczyła się na skraju placu parad, żeby go obejrzeć.

Parę młodych jawajskich niewolnic wpadło Szkotowi w oko: po kilku miesiącach na morzu złakniony był damskiego towarzystwa. Miały rozmarzone ciemne oczy i skórę lśniąca niczym polerowana kość słoniowa. Ich właściciele sprawili niektórym europejskie stroje i małe jędrne piersi wyglądały zabawnie w koronkowych stanikach.

Cochran przyjmował ich zachwyty niczym członek rodziny królewskiej, chyląc ozdobioną wstążkami czapkę przed najmłodszymi i najładniejszymi i prowokując rumieńce i chichoty śmiałym spojrzeniem swych błękitnych oczu.

Wartownicy przy bramie oddali salut Schreuderowi, którego zdążyli dobrze poznać, i dwaj przybysze weszli na wewnętrzny dziedziniec. Cochran rozglądał się uważnie dookoła, oceniając siły, jakimi dysponowała forteca. Dzisiaj podpisano pokój, ale kto potrafił powiedzieć, co wydarzy się za parę lat? Któregoś dnia mógł oblegać te mury.

Zauważył, że fortyfikacje wznoszono na planie pięcioramiennej gwiazdy. Jako wzór posłużyła najwyraźniej forteca w Antwerpii, gdzie po raz pierwszy zastosowano to nowe rozwiązanie. Każde z pięciu ramion zakończone było redutą, której kształt umożliwiał obrońcom ostrzał murów fortu pozostających wcześniej poza ich zasięgiem. Po zakończeniu budowy potężnych zewnętrznych murów twierdzę będzie można zdobyć wyłącznie w wyniku

z mudnego oblężenia. Całe miesiące mogło trwać wykonanie podkopu i zaminowanie fortyfikacji.

Praca była jednak daleka od zakończenia. Setki jeńców i więźniów pogłębiało fosę i pracowało na wzniesionych do połowy murach. Wiele dział stało na dziedzińcu, czekając na ustawienie na blankach, z których miały strzec zatoki.

- Stracona okazja! - mrucał pod nosem Cochran. Odkrył te fakty zbyt późno, by zrobić z nich jakiś użytek. - Z kilkoma rycerzami zakonu do pomocy... z Listerem i nawet Courteneyem, nim się poróżniliśmy... mógłbym opanować ten fort i miasto. Gdybyśmy połączyli nasze siły, można by się tu wygodnie usadowić i kontrolując cały południowy Atlantyk, łąpać w sieć każdy holenderski galeon, próbujący opłynąć Przylądek. „

Rozglądając się na wszystkie strony zauważył, że w części fortecy urządzono więzienie. Szereg więźniów w kajdanach na nogach prowadzono właśnie z lochów pod północnym murem. Wyżej mieściły się koszary.

Chociaż większa część dziedzińca zawalona była stertami kamieni i desek, na wolnym kawałku gruntu przed zbrojownią ćwiczyła kompania muszkieterów w zielono-złoty kurtkach Kompanii.

Zaprężone w woły wozy z tarcicą i kamieniami wtaczały się i wytaczały przez bramę, turkocząc po dziedzińcu, a przy wejściu do południowego skrzydła budynku czekała piękna karoca. Sierść stojących w zaprzęgu zadbanych siwków lśniła w promieniach słońca. Stangret i lokaj ubrani byli w zielono-złote liberie.

- Jego Ekscelencja zaczął dziś wcześniej urzędowanie. Normalnie nie oglądamy go przed południem - mruknął Schreuder. - Wieści o pańskim przybyciu musiały dotrzeć do rezydencji.

Wspięli się po schodach i weszli do wnętrza budynku przez tekowe drzwi, na których wryto herb Kompanii. W wyłożonej parkietem sieni adiutant odebrał od nich szpady i kapelusze i zaprowadził do przedpokoju.

- Powiadomię Jego Ekscelencję o przybyciu panów - oznajmił i wyszedł. Wrócił po paru minutach. - Jego Ekscelencja chce panów widzieć.

Z sali audiencyjnej widać było przez wąskie okna zatokę. Urządzona była w dziwnym stylu: ciężkim holenderskim meblom towarzyszyły liczne orientalne akcenty. Na parkiecie leżały fantazyjne chińskie dywany, a w oszklonych serwantkach stała kolekcja delikatnej ceramiki w kolorowym stylu dynastii Ming.

Gubernator Kleinhans był wysokim, chudym, cierpiącym na niestrawność mężczyzną o cerze pożółkłej od życia w tropikach i rysach, na których pozostawiły ślad troski pełnionego

urzędu. Jego peruka wydawała się zbyt młodzieńcza w stosunku do poranej zmarszczkami twarzy, a stercząca grdyka sprawiała wrażenie zdeformowanej.

- Witam, pułkowniku - pozdrowił sztywno Schreudera, nie spuszczać oczu z Cochran. - Budząc się dziś rano i widząc, że twój statek zniknął, pomyślałem, że odpłynąłeś bez pożegnania.

- Proszę o wybaczenie. Zaraz wytłumaczę, jak do tego doszło, najpierw jednak przedstawię Waszej Ekscelencji angielskiego szlachcica, lorda Cumbrae.

- Szkockiego, nie angielskiego - zamruczał Cochran.

Lordowski tytuł zrobił wrażenie na gubernatorze Kleinhansie.

- Witamy na Przylądku Dobrej Nadziei - pozdrowił go, posługując się gramatycznie poprawnym angielskim, zepsutym tylko trochę przez gardłowy akcent. - Usiądź, panie. Czy masz ochotę się czegoś napić? Może kieliszek madery?

Trzymając w dłoniach smukłe kieliszki bursztynowego wina, zasiedli w ustawionych w półkolu fotelach z wysokimi oparciami.

- Sprawa, o której chcę mówić, Ekscelencjo - oznajmił Schreuder, pochylając się do przodu i zerkając na kręcących się po pokoju dwóch lokajów i adiutanta - jest nader poufnej natury.

Gubernator klasnął w dłonie i wszyscy trzej zniknęli, jakby rozplynęli się w powietrzu.

- Cóż to za sekret, pułkowniku? - zapytał zaintrygowany.

Kiedy Schreuder zaczął mówić, ponure rysy Kleinhansa na chwilę rozjaśniła chciwość, potem jednak na jego twarzy pojawiła się niechęć i sceptycyzm.

- Skąd wiesz, panie, że ten pirat Courteney wciąż jeszcze stoi na kotwicy? - zapytał Cochran.

- Nie dalej jak dwanaście dni temu zdobyty przez niego statek, Standvastigheid, został całkowicie rozładowany, pozbawiony grot-masztu i wciągnięty na brzeg. Jestem żeglarzem i mogę zapewnić Waszą Ekscelencję, że Courteney nie zdoła go wyszykować w czasie krótszym niż trzydzieści dni. To oznacza, że mamy jeszcze ponad dwa tygodnie na przygotowanie wyprawy i zaatakowanie go w jego kryjówce - wyjaśnił Szkot.

Kleinhans pokiwał głową.

- Gdzie dokładnie ukrywa się ten łotr?

Rzucił to pytanie niedbałym tonem, lecz w jego pozółkłych od febry oczach pojawił się chytry błysk.



- Mogę tylko zapewnić Waszą Ekszelencję, że miejsce, gdzie przebywa, jest dobrze ukryte - odparł z krzywym uśmiechem Cochran. - Bez mojej pomocy wasi ludzie nie zdołają go wytropić.

- Rozumiem. - Gubernator podłubał kościstym palcem w nozdrzu i przyjrzał się uważnie wydobytemu stamtąd smarkowi. - Mniemam, że nie oczekujesz naturalnie żadnej nagrody za to, co stanowi w gruncie rzeczy spełnienie moralnego obowiązku - podjął tym samym niedbałym tonem.

- Nie oczekuję niczego poza skromną sumą, która wynagrodziłaby mi stracony czas i wydatki - zgodził się Cochran.

- Jedna setna tego, co uda nam się odzyskać z ładunku galeonu - zasugerował Kleinhans - Nie aż tak skromną - zaprotestował Szkot. - Miałem na myśli połowę.

- Połowę! - Gubernator Kleinhans wyprostował się w fotelu i jego fizjonomia przybrała barwę starego pergaminu. - Chyba żartujesz, mój panie.

- Zapewniam Waszą Ekszelencję, że gdy idzie o pieniądze, bardzo rzadko stroję sobie żarty. Czy pomyśleliście o tym, jak wdzięczny będzie dyrektor generalny waszej Kompanii, kiedy zwróci mu zdrową i całą córkę i nie będzie musiał za nią płacić okupu? To jedno, nie mówiąc już o odzyskanym złocie i przyprawach, zadecyduje o znacznym podniesieniu emerytury Waszej Ekszelencji.

Rozważając w milczeniu argumenty Szkota, gubernator zaczął dłubać w drugim nozdrzu.

- Oczywiście, kiedy van de Velde zostanie uwolniony ze szponów tego łotra, będziesz, panie, mógł przekazać mu swoje obowiązki i wrócić do Holandii, gdzie czeka cię z pewnością nagroda za długą i lojalną służbę - przekonywał go dalej Cochran. Pułkownik napomknął wcześniej, jak bardzo Kleinhans pragnie odejść na emeryturę po trzydziestu latach pracy dla Kompanii.

Gubernator poruszył się w fotelu, skuszony tą perspektywą. Nie zamierzał jednak tak łatwo ustąpić.

- Jedna dziesiąta wartości odzyskanego ładunku, ale bez pieniędzy, które otrzymamy po sprzedaży pojmanych piratów - oznajmił stanowczo. - To moja ostateczna propozycja.

Cochran zrobił zrozpaczoną minę.

- Muszę podzielić się nagrodą z moją załogą. Nie mogę zgodzić się na mniej niż jedną czwartą.

- Jedna piąta - zazgrzytał Kleinhans.

- Zgoda - odparł zadowolony Cochran. - Do pomocy będzie mi oczywiście potrzebna ta wspaniała fregata, która stoi w zatoce, oraz trzy kompanie muszkieterów pod dowództwem pułkownika Schreudera. Mój własny statek musi także zostać wyposażony w proch i amunicję, nie mówiąc o wodzie pitnej i prowiancie.

Pułkownik Schreuder związał się jak w ukropie i nazajutrz po południu na placu apelowym poza murami fortu pojawiły się gotowe do zaokrętowania trzy kompanie, każda w sile dziewięćdziesięciu żołnierzy. Wszyscy oficerowie i podoficerowie byli Holendrami, lecz szeregowcy pochodzili wyłącznie z zamorskich prowincji: byli wśród nich Malaje z Malakki, zwerbowani na miejscu Hotentoci oraz Syngalezi i Tamiłowicze z posiadłości Kompanii na Cejlonie. Uzbrojeni po zęby, uginali się pod ciężarem wielkich tornistrów, żaden jednak nie miał na nogach butów.

Cochran obserwował, jak trzymając w rękach muszkiety, wychodzą przez bramę, w płaskich czarnych czapkach, zielonych kurtkach i białych bandoletach.

- Mam nadzieję - mruknął kwaśno - że będą walczyć tak samo pięknie, jak maszerują, ale obawiam się, że widok szczerów morskich Franky'ego wytrąci ich trochę z równowagi.

Mógł pomieścić na Guli of Moray tylko jedną kompanię z całym ekwipunkiem. Rejs na zatłoczonym statku nie zapowiadał się zbyt miło, zwłaszcza gdyby trafili na burzę.

Dwie pozostałe kompanie skierowano na pokład fregaty wojennej. Czekająca ich wygodniejsza podróż, ponieważ Sonnevogel, Słoneczny ptak, był dużym i szybkim okrętem. Zdobyty przez holenderskiego admirała de Ruytera w bitwie pod Kentish Knock, wchodził w skład jego floty, która przed kilku miesiącami wpłynęła do Tamizy. Prezentował się pięknie z pomalowanym na czarno smukłym kadłubem i śnieżnobiałą chmurą żagli. Nietrudno było zgadnąć, że przed wypłynięciem z Holandii żagle wymieniono i wyposażono okręt w nowe olinowanie. Załogę stanowili w większości zahartowani w bojach weterani dwóch niedawnych wojen z Anglią. Dowódca, kapitan Ryker, był również starym wilkiem morskim, z wielkim brzuchem i barczystymi ramionami. Nie ukrywał wcale, jak wielkim niesmakiem napawa go fakt, iż musi słuchać człowieka, który do niedawna jeszcze był jego wrogiem i którego w gruncie rzeczy uważał za nikczemnego pirata. Odnosił się do Cochrana z lodowatą niechęcią.

Odbyli na pokładzie Sonnevogela naradę wojenną, która niezbyt się udała. Cochran nie chciał wyjawiać, dokąd się udają, a Ryker spierał się z nim bez przerwy i torpedował każdą wysuniętą przez Szkota propozycję. Tylko dzięki mediacji pułkownika Schreudera nie odwołano całej ekspedycji jeszcze przed wypłynięciem z Zatoki Stołowej.

Cochran odetchnął z prawdziwą ulgą widząc, że fregata podnosi w końcu kotwicę i z prawie dwustoma muszkietierami, którzy machali na pożegnanie stojącym na plaży, barwnie ubranym lub półnagim Hotentotkom, podąża w ślad za niewielką Guli of Moray na pełne morze.

Podróżujący jego statkiem żołnierze również kręcili się po pokładzie, wymachując rękoma, trajkocząc, pokazując sobie wzajemnie różne miejsca na lądzie i przeszkadzając pracującym na statku marynarzom.

Kiedy Guli opłynęła cypel pod Lwią Głową i poczuła pierwsze majestatyczne uderzenie południowego Atlantyku, dziwna cisza zapadła wśród hałaśliwych pasażerów. Zaraz po zwrocie przez sztag i zmianie kursu na wschodni, jeden z muszkietierów podbiegł do burty i trysnął prosto pod wiatr długą żółtą strugą wymiotów. Marynarze wybuchli gromkim śmiechem, gdy wiatr posłał je z powrotem na jego pobladałą twarz i pochlapał zieloną kurtkę resztkami niedawnego posiłku.

W ciągu godziny większość żołnierzy poszła za przykładem swojego kolegi i pokład był tak śliski od ofiar, które składali Neptunowi, że Cochran kazał uruchomić pompy i zlać wodą zarówno deski, jak i pasażerów.

- Zapowiada się kilka interesujących dni - powiedział do stojącego obok pułkownika. - Mam nadzieję, że ci pięknie zejdą o własnych siłach na brzeg, kiedy dotrzemy do miejsca przeznaczenia.

Nie minęła nawet połowa podróży, kiedy okazało się, że rzucona przez niego żartem przepowiednia spełniła się co do joty. Muszkietierzy leżeli w większości jak nieżywi na pokładzie, nie mając czym rzygać. Kapitan Ryker sygnalizował, że ci, którzy podróżowali na pokładzie Sonnevogela, nie byli w lepszym stanie.

- Jeśli rzucimy tych ludzi od razu do walki, chłopaki Franky'ego pożrą ich razem z kośćmi. Musimy zmienić nasze plany - oznajmił Cochran Schreuderowi, który wysłał tę wiadomość na pokład Sonnevogela. Kapitan Ryker przypłynął do nich z nadąsaną miną, żeby przedyskutować nowy plan akcji.

Cochran naszkicował mapę laguny i linii brzegowej po obu stronach cypli i trzej oficerowie pochyłili się nad nią w niewielkiej kabinie Guli of Moray. Ujawnienie celu podróży, a także perspektywa bliskiego starcia i obfitych łupów oraz szklaneczka whisky poprawiły nieco humor Rykera, który po raz pierwszy zgodził się z wysuniętą przez Szkota propozycją.

- Jest jeszcze jeden cypel, mniej więcej osiem albo dziewięć mil na zachód od wejścia do laguny - stwierdził Cochran, kładąc dłoń na mapie. - Jeśli wiatr się nie zmieni, będziemy

mogli wysłać łodzie na brzeg i wysadzić pułkownika Schreudera i jego muszkieterów na plaży. Z tego miejsca rozpocznie marsz - dodał, dźgając mapę paluchem porośniętym rudawymi włoskami. - Zejście na suchy ląd i wysiłek fizyczny pozwoli jego ludziom wrócić do zdrowia. Kiedy dotrą do kryjówki Courteneya, powinni odzyskać wolę walki.

- Czy piraci bronią w jakiś sposób wejścia do laguny? - chciał wiedzieć Ryker.

- Umieścili baterie tutaj i tutaj. - Cochran zaznaczył krzyżykami obie strony przesmyku. - Mogą niezagrożeni odpowiadać ogniem na atak każdego statku, który wpływa z laguny albo wypływa do niej - dodał i umilkł, przypominając sobie krwawą łaźnię, jaka spotkała Guli of Moray po nieudanym ataku na obozowisko Courteneya.

Perspektywa wystawienia fregaty na bliski ogień nadbrzeżnych baterii trochę otrzeźwiła Rykera.

- Będę w stanie załatwić baterie na zachodnim cyplu - obiecał mu Schreuder. - Wyślę niewielki oddział, który wdrapie się na klif. Obsada dział nie będzie się spodziewała ataku z tyłu. Niestety nie będę mógł przeprowić się przez kanał i zlikwidować baterii na drugim cyplu.

- Wyślę inny oddział, żeby wyłączyć jeż walki - wtrącił Ryker. - Musimy jednak wymyślić jakiś system sygnałowy, żeby skoordynować nasze działania.

Przez następną godzinę ustalali sygnały dymne i flagowe między statkami i wybrzeżem. Pod koniec narady w żyłach Rykera i Schreudera zawrzała krew. Obaj pragnęli odznaczyć się na polu bitwy.

Dlaczego mam narażać swoich marynarzy, kiedy ci dwaj aż rwą się do boju? - pomyślał zadowolony Cochran.

- Gratuluję, panowie - powiedział na głos. - To znakomity plan. Rozumiem, że poczekacie z atakiem na działa do momentu, gdy pułkownik Schreuder przeprowadzi swoje główne siły przez las i zajmie pozycje na tyłach obozu piratów.

- Owszem - potwierdził Schreuder. - Natychmiast po zlikwidowaniu baterii na cyplach, wasze statki zapewnią nam wsparcie, wpływając do laguny i kierując ogień działowy na obozowisko. To będzie stanowiło dla mnie sygnał do ataku.

- Możecie liczyć na nasze pełne wsparcie - zapewnił go Cochran. Jak bardzo zależy mu na sławie, pomyślał, z trudem powstrzymując się, by nie poklepać pułkownika protekcjonalnie po ramieniu. Jeśli uda mi się zdobyć przyz, ten idiota może dostać swój przydział kuł armatnich.

Przyjrzał się uważnie kapitanowi Rykerowi. Pozostało mu tylko nakłonić go, by to Sonnevogel przepłynął pierwszy między cyplami i ściągnął na siebie główny ogień

umieszczonych na skraju lasu kolubryn Franky'ego. Wiedział, że jeśli fregata okupi zwycięstwo ciężkimi stratami, on na tym skorzysta. Dysponując pod koniec bitwy jedynym zdatnym do żeglugi statkiem, będzie mógł dyktować własne warunki przy podziale łupów.

- Domagam się stanowczo, kapitanie Ryker - oświadczył aroganckim tonem - by to mojej dzielnej małej Guli of Moray przypadł w udziale zaszczyt poprowadzenia ataku. Moje szelmy nie darowałyby mi, gdybym puścił pana przodem.

Ryker zacisnął gniewnie wargi.

- Sonnevogel jest lepiej uzbrojony i zabezpieczony przed salwami przeciwnika, mój panie. Nalegam, byś pozwolił mi wpłynąć pierwszemu do laguny.

Sprawa załatwiona, pomyślał Cochran, kiwając głową na znak niechętniej zgody.

Trzy dni później wysadzili pułkownika Schreudera i jego trzy kompanie schorowanych muszkietierów na bezludnej plaży i patrzyli, jak długa nieregularna kolumna znika w afrykańskim buszu.

Afrykańska noc była cicha, lecz nie bezszelestna. Kiedy Hal przystanął na wąskiej ścieżce i ucichły kroki idącego przed nim ojca, usłyszał niezliczone odgłosy tętniącego dookoła życia: trele nocnego ptaka, piękniejsze od jakiegokolwiek dźwięku, jaki udało się kiedykolwiek wydobyć muzykowi z instrumentu, chrobotanie przemykających między liśćmi gryzoni i innych małych ssaków, i nagły morderczy krzyk polujących na nie drapieżców, śpiew i szum owadów i odwieczne westchnienie wiatru. Wszystkie należały do ukrytego chóru w świątyni Pana.

Snop światła padający ze sztormowej latarni zniknął w ciemności i musiał ruszyć dalej. Wychodząc razem z nim z obozu, ojciec nie chciał odpowiedzieć na jego pytania, ale teraz, gdy dotarli do pierwszych wzgórz, Hal domyślił się, dokąd idą. Kamienie łoży, w której złożył śluby, tworzyły upiorny krąg w świetle księżyca. Przed wejściem do środka sir Francis przyklęknął na jedno kolano i odmówił modlitwę. Hal ukląkł obok niego.

- Panie Boże spraw, bym stał się godny - modlił się. - Daj mi siłę, bym dotrzymał ślubów, które złożyłem tutaj w Twoim imieniu.

Ojciec uniósł w końcu głowę, po czym wstał, wziął Hala za rękę i pomógł mu wstać z klęczek. Weszli razem do kręgu i podeszli do kamiennego ołtarza.

- In Arcadio habito! - powiedział swoim głębokim śpiewnym głosem sir Francis.

- Flumen sacrum bene cognosco! - odparł Hal.

Sir Francis postawił latarnię na wysokim kamieniu i uklękli ponownie w jej żółtym świetle. Przez dłuższą chwilę modlili się w milczeniu. Sir Francis spojrział w końcu w niebo.

- Gwiazdy są cyframi Pana - stwierdził. - Oświetlają nasze narodziny i zgon. Prowadzą nas przez tajemnicze oceany. W zataczanych przez nie kręgach ukryte jest nasze przeznaczenie. Mierzą liczbę naszych dni.

Oczy Hala pobiegły natychmiast do jego gwiazdy, do Regulusa. Niezmienna i odwieczna świeciła w gwiazdozbiorze Lwa.

- Zeszłej nocy postawiłem twój horoskop - oznajmił sir Francis. - Jest wiele rzeczy, których nie mogę ujawnić, ale to jedno ci powiem. Gwiazdy zgotowały ci szczególny los. Nie mogłem zgłębić jego natury.

W tonie ojca było coś zastanawiającego i Hal uważnie mu się przyjrzał. Miał podkrążone oczy i wychudłą twarz.

- Skoro gwiazdy tak mi sprzyjają, co takiego cię trapi, ojcze?

- Byłem dla ciebie surowy. Wychowywałem cię żelazną ręką. Hal potrząsnął głową.

- Ależ, ojcze... - zaczął, lecz sir Francis uciszył go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Musisz zawsze pamiętać, dlaczego to robiłem. Gdybym mniej cię kochał, byłbym dla ciebie łagodniejszy. - Sir Francis poczuł, że Hal pragnie coś powiedzieć, i jego dłoń zacisnęła się mocniej na ramieniu syna. - Chciałem cię przygotować... dać odpowiednią wiedzę i siłę, byś sprostał losowi, który zgotowały ci gwiazdy. Rozumiesz?

- Tak. Zawsze to wiedziałem. Wyjaśnił mi to Aboli.

- Aboli jest mądry. Będzie przy tobie, kiedy mnie zabraknie.

- Nie, ojcze. Nie mów takich rzeczy.

- Spójrz na gwiazdy, mój synu - odparł sir Francis i Hal zawahał się, nie wiedząc, o co mu chodzi. - Wiesz, która z nich jest moja. Pokazywałem ci ją setki razy. Poszukaj jej teraz w gwiazdozbiorze Panny.

Hal spojrział na wschodnią połąć nieba, gdzie wciąż widać było świecącego jasnym i czystym światłem Regulusa. A potem popatrzył na leżący zaraz za Lwem gwiazdozbiór Panny i wstrzymał oddech, czując, jak ogarnia go zabobonny lęk.

Znak jego ojca przecinało od jednego do drugiego końca zakrzywione płomieniste ostrze. Smuga czerwona niczym krew.

- Spadająca gwiazda - szepnął.

- Kometa - poprawił go ojciec, - Bóg udziela mi ostrzeżenia. Mój czas na tej ziemi zbliża się do końca. Już starożytni Grecy i Rzymianie wiedzieli, że ogień na niebie zapowiada katastrofę: wojnę, głód, zarazę i śmierć króla.

- Kiedy? - zapytał strwożonym głosem Hal.



- Niedługo - odparł sir Francis. - To musi stać się niedługo. Najprawdopodobniej w momencie, gdy kometa wyjdzie poza mój znak. Być może po raz ostatni rozmawiamy na osobności.

- Czy nie możemy nic zrobić, żeby zapobiec nieszczęściu? Nie możemy go uniknąć?

- Nie wiemy, skąd nadejdzie - stwierdził pośpiesznie sir Francis. - Nie możemy uniknąć nieszczęścia, które zostało zapisane w gwiazdach. Jeśli będziemy uciekać, trafimy prosto w jego szpony.

- W takim razie stawimy mu czoło i będziemy walczyć - oświadczył z determinacją Hal.

- Owszem, będziemy walczyć - zgodził się ojciec - jeśli nawet wynik jest i tak przesądzony. Nie dlatego jednak cię tu przyprowadziłem. Chcę przekazać ci tej nocy twoje dziedzictwo, spuściznę duchową i materialną, która należy ci się jako mojemu jedynemu synowi. - Wziął w dłonie twarz Hala i obrócił ją, tak że spojrzeli sobie prosto w oczy. - Po mojej śmierci przechodzi na ciebie tytuł baroneta, który po rozgromieniu hiszpańskiej armady nadała twemu pradziadowi Charlesowi Courteneyowi dobra królowa Elżbieta. Staniesz się sir Henrym Courteneyem. Rozumiesz?

- Tak, ojczu.

- Twój herb jest zarejestrowany w Kolegium Heraldycznym w Anglii. - Sir Francis przerwał, słysząc chrapliwy ryk leoparda polującego w świetle księżyca. Po chwili złowrogie odgłosy ucichły i mógł mówić dalej. - Jest moim życzeniem, abyś przechodził kolejne stopnie wtajemniczenia w zakonie aż do otrzymania tytułu Rycerza Nawigatora.

- Będę do tego dążył, ojczu.

Sir Francis podniósł prawą rękę i w poświęceniu latarni zamigotał złoty pierścień na jego serdecznym palcu. Zdjął go i podniósł w górę.

- Ten pierścień stanowi jedno z rycerskich insygniów Nawigatora - oznajmił, wsuwając go na serdeczny palec syna.

Pierścień okazał się za luźny, w związku z czym sir Francis przełożył go na palec wskazujący. Następnie rozchylił kołnierz płaszcza i odsłonił leżącą na piersi wielką pieczęć swego urzędu.

W księżycowej poświęceniu zalśniły słabo małe rubiny w oczach angielskiego lwa i gwiazdy nad jego głową. Sir Francis zdjął złoty łańcuch z szyi i podniósł go wysoko.

- Ta pieczęć również należy do insygniów. Jest twoim kluczem do Świątyni - powiedział, zakładając Halowi łańcuch na ramiona. - Jest jeszcze jeden fragment duchowego

dziedzictwa, który chcę ci zostawić - dodał, sięgając między poły płaszcza. - To pamięć twojej matki.

Kiedy otworzył dłoń, leżał na niej medalion z podobizną Edwiny Courteney. Światło było zbyt słabe, by Hal mógł dostrzec wszystkie szczegóły portretu, lecz rysy jej twarzy wyryte były w jego umyśle i sercu. Bez słowa schował medalion do kieszeni kurtki.

- Powinniśmy się teraz razem pomodlić za spokój jej duszy - oznajmił cicho ojciec i obaj pochylili głowy. Po wielu minutach sir Francis ponownie się wyprostował. - Teraz pozostała nam tylko do omówienia ziemską schedę, którą ci zostawiam. Po pierwsze High Weald, nasza rodzinna posiadłość w Devon. Wiesz, że w czasie mojej nieobecności domem i ziemią zarządza twój wuj Thomas. Tytuł własności przechowuje mój adwokat w Plymouth...

Sir Francis mówił przez dłuższy czas, wyliczając należące do niego dobra w Anglii.

- Zapisałem to wszystko w moim dzienniku, ale ktoś może go zniszczyć albo ukraść, nim będziesz miał okazję go przestudiować. Zapamiętaj wszystko, co ci powiedziałem.

- Niczego nie zapomnę - zapewnił go Hal.

- Są też skarby, które zdobyliśmy podczas tego rejsu. Byłeś ze mną tam, gdzie ukryliśmy łupy z Heerlycke Nacht i Standvastigheid. Kiedy wrócisz z nimi do Anglii, nie zapomnij wypłacić każdemu członkowi załogi jego udziału.

- Nie omieszkam tego zrobić.

- Zapiać również królewskim celnikom pieniądze należne koronie. Tylko łajdak oszukuje swojego suwerena.

- Nie omieszkam rozliczyć się z moim królem.

- Nie zaznałbym wiecznego spokoju wiedząc, że wszystkie skarby, które zdobyłem dla ciebie i mojego króla, mogą być stracone. Chcę, żebyś przysiągł uroczyście, że nie wyjawisz nikomu, w jakim miejscu ukryliśmy łupy. W czekających nas trudnych dniach, kiedy czerwona kometa rządzi moim znakiem i kieruje biegiem naszych spraw, nieprzyjaciel może próbować zmusić cię do złamania tej przysięgi. Nie wolno ci nigdy zapomnieć dewizy naszej rodziny. Durabol Wytrwam!

- Przysięgam na mój honor i na Boga, że wytrwam - powiedział Hal. Słowa przysięgi łatwo przeszły mu przez wargi. Nie mógł wówczas wiedzieć, że gdy do niego wróca, ich ciężar złamie mu serce.

W ciągu całej swojej wojskowej kariery pułkownik Cornelius Schreuder dowodził o wiele częściej tubylcami aniżeli ludźmi należącymi do jego własnej rasy i kraju. Zdecydowanie ich wolał, byli bowiem przyzwyczajeni do ciężkich warunków i bardziej odporni zarówno na upał, jak i słońce, a także na wilgoć i zimno. Nie zapadali na febrę i inne

choroby, które dziesiątkowały na ogół białych zapuszczających się w tropiki, i potrzebowali mniejszej ilości jedzenia. Byli w stanie przetrwać i walczyć, zadowolając się skąpym wiktem, jaki zapewniała ta dzika i straszliwa kraina, podczas gdy Europejczycy chorowali i padali jak muchy, kiedy musieli znosić takie niewygody.

Był jeszcze jeden powód, dla którego wołał krajowców. Podczas gdy życie chrześcijańskich żołnierzy ceniono zwykle wysoko, dzikich można było swobodnie spisywać na straty, niczym bydło, które nie ma przecież tej samej wartości co ludzie i które można wysyłać bez skrupułów do rzeźni. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że mają złodziejskie skłonności, lepiej było trzymać ich z daleka od alkoholu i kobiet, a zdani na własną inicjatywę, zachowywali się jak małe dzieci, lecz kiedy dowodzili nimi dobrzy holenderscy oficerowie, odznaczali się odwagą i duchem bojowym, które z nawiązką rekompensowały te wady.

Stojąc na niewielkim wzniesieniu, Schreuder obserwował mijającą go długą kolumnę piechoty. Zaskakujące było, jak szybko doszli do siebie po straszliwym wycieńczeniu, które spowodowała choroba morska. Wystarczyła jedna noc spędzona na twardej ziemi, kilka kęsów suszonej ryby, upieczone na węglach podpłomyki z sorgo i rankiem byli tak samo silni i weseli jak w dniu zaokrętowania. Maszerowali na bosaka za swoimi białymi podoficerami, poruszając się z łatwością mimo ciężkiego bagażu i trajkocząc ze sobą w swych rodzimych językach.

Schreuder pokładał w nich teraz o wiele więcej nadziei, niż kiedy się zaokrętowali. Uniósł kapelusz i otarł pot z czoła. Słońce wyglądało dopiero zza szczytów drzew, ale już teraz było gorąco jak w chlebowym piecu. Spojrzał w stronę pagórków i lasów, które musieli przebyć. Na mapie naszkicowanej przez rudego Szkota zaznaczona była tylko z grubsza linia brzegowa i nic nie zapowiadało trudnego terenu, który napotkali po drodze.

Z początku maszerowali wzdłuż brzegu, ale okazało się to niezbyt praktyczne: objuczeni ciężkimi plecakami, ludzie zapadali się przy każdym kroku po kostki w piachu, a otwarte plaże kończyły się nagle klifami i skalistymi cyplami, które dodatkowo opóźniały przemarsz. Schreuder kazał więc skręcić w głąb lądu i wysłał kilka osób na zwiad w celu znalezienia drogi przez wzgórza i lasy.

W tym momencie rozległ się krzyk od czoła kolumny. W jego stronę biegł jeden ze zwiadowców. Dysząc ciężko, Hotentot wyprężył się na baczność i zasalutował.

- Przed nami jest szeroka rzeka, panie pułkowniku - oznajmił. Jak większość miejscowych żołnierzy mówił dobrze po holendersku.

- Niech to szlag! - zaklął Schreuder. - To znowu opóźni marsz, a do daty spotkania zostały nam tylko dwa dni. Pokaż mi drogę.

Zwiadowca poprowadził go ku łańcuchowi pagórków, za którymi leżała głęboka dolina. Gęsto zalesione strome zbocza miały prawie dwieście stóp wysokości. Płynąca dołem woda była brązowa i wartka. Schreuder wyciągnął teleskop ze skózanego futerału i prześledził uważnie bieg rzeki, która przecinała wznoszące się w głębi ładu góry.

- Nigdzie nie widać łatwiejszej przeprawy, a ja nie mam dużo czasu - stwierdził, po czym spojrział w dół urwiska. - Przywiążcie liny do tych drzew, żeby ludzie mieli się czego chwycić.

Spuszczenie dwustu piechurów ze skarpy zajęło im pół poranka. W którymś momencie lina pękła pod ciężarem pięćdziesięciu żołnierzy i chociaż spadając w dół, większość podrapała się i pościerała skórę, tylko jedna osoba odniosła poważne obrażenia. Młody syngaleski piechur zaczepił nogą o korzeń drzewa i złamał ją w kilkunastu miejscach pod kolanem. Z golenia wystawały mu ostre kawałki kości.

- Schodząc na dół, straciliśmy tylko jednego człowieka - oznajmił z satysfakcją Schreuder swojemu porucznikowi. - Obyło się tanim kosztem. Mogliśmy całymi dniami szukać innego zejścia.

- Każę zrobić nosze dla rannego - zasugerował porucznik Maatzuyker.

- Zwariowałaś? - warknął Schreuder. - Będzie opóźniał nasz marsz. Zostaw tego niezdarę tutaj, z załadowanym pistoletem. Kiedy przyjdzie do niego hiena, będzie mógł sam zdecydować, czy zastrzelić siebie, czyją. Dostyc gadania! Musimy się teraz przepawić na drugi brzeg.

Schreuder spojrział na szeroką na sto jardów rzekę, w której nurcie tworzyły się liczne małe wiry. Trwający właśnie odpływ spinał ostrogami błotniste wody w ich biegu do morza.

- Będziemy musieli zbudować tratwy - zaproponował Maatzuyker.

- Nie, nie mamy na to czasu. Przeciagniemy linę na drugi brzeg. Muszę sprawdzić, czy uda się przejść rzekę w bród.

- Prąd jest dość silny - zauważył taktownie porucznik Maatzuyker.

- Widzi to każdy dureń, Maatzuyker. Może dlatego udało ci się to dostrzec - odparł złowróżbnym tonem Schreuder.

Porucznik zsalutował i pośpieszył do swoich żołnierzy, którzy domyślili się, co ich czeka. Nagle wszyscy zaczęli z zainteresowaniem przyglądać się chmurom na niebie lub puszczy.

Maatzuyker lustrował ich przez chwilę wzrokiem.

- Ahmed! - wrzasnął na jednego ze swoich kaprali, po czym złapał go za ramię i wyciągnął z grupy, w której ten starał się ukryć.

Zrezygowany Ahmed oddał muszkiet swemu towarzyszowi i zaczął się rozbierać. Pod pozbawioną włosów żółtą skórą przeżyły się twarde mięśnie. Maatzuyker zawiązał mu pętlę pod pachami i kazał wejść do rzeki. Kiedy kapral zagłębił się w niej po pas, nadzieje Schreudera na szybką i łatwą przeprawę znacznie wzrosły. Koledzy Ahmeda dopingowali go z brzegu, podając linę.

A potem, prawie w połowie drogi, kapral trafił na główne koryto rzeki i jego głowa znikła pod powierzchnią.

- Ciągnijcie! - rozkazał Schreuder. Żołnierze wydostali Ahmeda na płytszą wodę, gdzie kaszląc i plując, próbował stanąć na nogach. - Ciągnijcie! - powtórzył nagle z większą determinacją Schreuder. - Szybciej! Wydostańcie go z wody!

Pięćdziesiąt jardów w górę rzeki na powierzchni mętnej wody powstał potężny wir. Po chwili pojawił się na niej ślad płynącej pod wodą bestii, która zmierzała szybko w stronę kaprala. Ludzie ciągnący linę również ją zauważyli i krzycząc nerwowo, pociągnęli Ahmeda tak energicznie, że ten wyrócił się i wleczony w stronę brzegu, miotał się bezradnie w wodzie. Sunąca pod powierzchnią bestia wcale nie zwalniała.

Kiedy od nieszczęsnego kaprala dzieliło ją zaledwie kilka jardów, z wody wynurzyła się podobna do czarnej kłody, pokryta guzami i łuskami paszcza. Dwadzieścia stóp dalej wychylił się grzebieniasty jaszczurczy ogon. Budzący grozę potwór pokonał w ciągu jednej chwili dzielący go od Ahmeda dystans i wyskoczył z otwartą paszczą z wody, odsłaniając nierówne rzędy żółtawych kłów.

Ahmed zobaczył go i dziko wrzasnął. Z trzaskiem przypominającym spadające zamkowe wrota, szczęki zacisnęły się na jego podbrzuszu. Mężczyzna i bestia zniknęli pod powierzchnią w spienionym wirze, a ludzie trzymający linę wyrótili się i potoczyli bezładną kupą w stronę brzegu.

Schreuder skoczył za nimi, złapał koniec liny, okręcił ją dwa razy wokół nadgarstka i pociągnął z całej siły do tyłu. Brązowy nurt ponownie eksplodował pianą. Zaciskający zęby na brzuchu Ahmeda olbrzymi krokodyl kręcił się z oszałamiającą prędkością wokół swojej osi. Żołnierze zerwali się na nogi i z posepnymi minami złapali ponownie za linę. Brązowa woda zabarwiła się na czerwono: bestia rozdarła Ahmeda na pół w podobny sposób, w jaki żarłoczny stołownik wyrywa udo z pieczonego indyka.

Krwawą plamę porwał szybki prąd. Lina nagle puściła i ciągnący ją żołnierze polecili do tyłu. Na brzeg wyciągnięto tors Ahmeda, z podrygującymi konwulsyjnie ramionami i otwierającymi się i zamykającymi niczym u ryby ustami.

Daleko od brzegu krokodyl wynurzył się ponownie z wody, trzymając w paszczy nogi i dolną część tułowia. Zadań łeb do góry, potrząsnął nim i zaczął połykać szczątki Ahmeda. Widzieli, jak wybrzuszyła się jego miękka, blada pokryta łuskami szyja.

Schreuder szalał z gniewu.

- Ta podstępna bestia opóźni nasz marsz o kilka dni, jeśli na to pozwolimy. - Dogonił wstrząśniętych muszkietierów, którzy odciągali dalej tors Ahmeda. - Dajcie tu z powrotem ten ochłap mięsa.

Rzucili szczątki u jego stóp i patrzyli z podziwem, jak rozbiera się i staje przed nimi nagi, jak go Pan Bóg stworzył, z płaskimi twardymi mięśniami oplatającymi brzuch i grubym penisem wystającym z kępy ciemnych włosów. Na jego niecierpliwy rozkaz zawiązali mu linę pod pachami, a potem dali nabity muszkiet z płonącym w zamku lontem. Schreuder zarzucił go na ramię, a drugą ręką chwycił martwą rękę Ahmeda. Na brzegu rozległ się pełen niedowierzania pomruk, kiedy pułkownik wszedł do rzeki, ciągnąc za sobą krwawe szczątki.

- Chodź tu, ty wredny gadzie! - ryknął gniewnie, gdy woda sięgnęła mu do kolan. - Chcesz się nażreć? To świetnie, mam dla ciebie coś na ząb, Z gardeł żołnierzy wydarł się jęk przerażenia, gdy na lewo od zanurzonego po pas Schreudera pojawiło się kolejne potężne zawirowanie i krokodyl ruszył ku niemu w dół rzeki, zostawiając długi gładki ślad na brązowej powierzchni wody.

Schreuder zebrał całą odwagę i cisnął okaleczone, ociekające wodą i krwią szczątki Ahmeda w stronę atakującego krokodyla.

- Zeżryj to! - wrzasnął, ściągając muszkiet z ramienia i biorąc na cel ludzką przynętę, która unosiła się na wodzie zaledwie kilka jardów przed nim.

Potworny gad wynurzył się z rzeki, otwierając szczęki dość szeroko, by zmieściły się w nich żałośnie poszarpane szczątki Ahmeda. Schreuder zobaczył nad muszką rozwartą paszczę i nierówne rzędy zębów, między którymi tkwiły włókna ludzkiego mięsa, a za nimi wewnątrz gardła, żółte jak jaskier. Kiedy paszcza otworzyła się, twarda membrana automatycznie zamknęła gardło, żeby woda nie wlała się do płuc bestii.

Pułkownik wycelował w gardziel i pociągnął za cyngiel. Płonący lont opadł i po krótkiej chwili zapalił się proch w panewce. Rozległ się ogłuszający huk i z trzymanej pewnie przez Schreudera lufy wyleciała długa srebrzystoniebieska smuga dymu. Trzy uncje



utwardzonych antymonem ołowianych śrucin przeleciało przez membranę, rozdarło tchawicę, arterię i mięśnie i wbiło się głęboko w zimne gadzie serce i płuca.

Wielkim jaszczurem wstrząsnęły potężne konwulsje. Długie na piętnaście stóp ciało wygięło się w łuk nad wodą. Groteskowy łeb niemal dotknął grzebieniastego ogona, a potem opadł z powrotem w wysokim bryzgu piany.

Schreuder nie zatrzymał się, żeby popatrzeć na te przedśmiertne drgawki, lecz odrzucił muszkiet na bok i dał nurka w najgłębszy nurt rzeki. Licząc na to, że miotająca się w agonii bestia ściągnie na siebie uwagę innych krwiożerczych gadów, zaczął płynąć w stronę drugiego brzegu, energicznie zagarniając wodę rękoma.

- Podawajcie linę! - wrzasnął Maatzuyker do ludzi, którzy stali jak urzeczeni na brzegu.

Słyszając go, ocknęli się i trzymając wysoko sznur, żeby nie wpadł do rzeki, popuszczali go, w miarę jak Schreuder sunął do przodu.

- Uwaga! - zawołał Maatzuyker, kiedy po rzece zaczął sunąć najpierw pierwszy, a następnie drugi krokodyl. Ich oczy osadzone były na wystających szypułkach, dzięki czemu mogły obserwować konwulsje swego zdychającego towarzysza, nie wystawiając z wody całej głowy.

Robiący mniej hałasu Schreuder nie zwracał z początku ich uwagi i dopiero, gdy od drugiego brzegu dzieliło go tylko kilkanaście jardów, jeden z krokodyli wyczuł jego obecność. Odwrócił się i pognał ku niemu, rozcinając wodę dwoma guzami na szczycie głowy.

- Szybciej, pułkowniku! - ryknął Maatzuyker. - Goni cię!

Schreuder przyśpieszył, ale bestia szybko się do niego zbliżała. Wszyscy na brzegu dodawali mu głośno otuchy. Kiedy dotknął stopami dna, krokodyl był zaledwie dwa jardy za nim. Pułkownik rzucił się rozpaczliwie do przodu i potężne szczęki zatrzęsły się o kilka cali za jego stopą.

Ciągnąc za sobą linę, ruszył biegiem w stronę drzew, lecz w dalszym ciągu groziło mu niebezpieczeństwo. Podobna do smoka bestia wylazła na swoich krótkich krzywych nogach z wody i pognała za nim tak chyżo, że stojący na drugim brzegu nie wierzyli własnym oczom. Schreuder dobiegł do pierwszych drzew, wyprzedzając ją tylko o kilka stóp, i złapał się wiszącej gałęzi. Kiedy krokodyl kłapał ponownie najeżoną zębami paszczą, zdołał unieść wyżej nogi i ostatkiem sił wdrapał się na konar.

Zawiedziony gad krążył przez chwilę wokół drzewa, a potem syknął głośno i wrócił powoli na brzeg, zadzierając wysoko ogon. Opuścił go dopiero po wejściu do wody i wkrótce

zniknął pod powierzchnią. Zanim jeszcze się zanurzył, Schreuder owinał linę wokół pnia, przy którym siedział, i mocno ją zawiązał.

- Przymocujcie dobrze swój koniec liny! - zawołał. - Maatzuyker! Każ ludziom zbudować tratwę. Będą trzymali się liny, żeby nie zniósł ich prąd.

Kadłub Resolution został oczyszczony z wodorostów i skorupiaków i kiedy załoga poluzowała liny, statek wyprostował się powoli na fali przyływu.

Gdy spoczywał na brzegu, cieśle skończyli ciosać i oprawiać nowy grotmaszt i teraz można go było nareszcie postawić. Trzeba było całej załogi, żeby przetransportować go na plażę i przerzucić grubszą część przez burtę. Obwiązawszy go linami, przeciągnięto je do wielokrążków zamontowanych na innych masztach.

Pracujący pod nadzorem Dużego Daniela i Neda Tylera, ludzie ciągnęli ostrożnie liny, podnosząc do pionu długi jasny pień sosny. Sir Francis osobiście kierował kluczową czynnością wsunięcia jarzma masztu w otwór w pokładzie i osadzenia go w stępcie. Wymagająca siły pięćdziesięciu mężczyzn delikatna operacja zajęła im prawie cały dzień.

- Dobra robota, chłopcy - stwierdził sir Francis, kiedy masywny mierzący pięćdziesiąt stóp maszt pokonał w końcu kilka ostatnich cali i jarzmo wsunęło się w przygotowane gniazdo. - Możecie puścić liny!

- Biada serojadam! - krzyknął Duży Daniel stojący po pas w wodzie. - Za dziesięć dni wypłyniemy na pełne morze, zapamiętajcie moje słowa!

Sir Francis uśmiechnął się do niego, stając przy relingu.

- Najpierw musimy zamocować wanty na grotmaszcie. A nigdy się z tym nie uporamy, jeśli będziesz stał z otwartą gębą i mełł na próżno jęzorem.

Miał zamiar odwrócić się, lecz nagle zastygł w bezruchu. Spomiędzy drzew wyszła wraz ze swoją służącą żona gubernatora. Stała teraz na skraju plaży, obracając długimi białymi palcami rączkę kolorowej parasolki, która kręciła się nad jej głową, przyciągając wzrok całej załogi. Nadzorujący pracę na dziobie, Hal podniósł oczy i wpatrywał się w nią jak w obraz. Dzisiaj miała na sobie ponętą nową suknię, z tak głębokim dekoltem, że widać było prawie całe piersi.

- Czy mógłbyś zająć się swoją pracą, panie Courteney? - zawołał sir Francis dość głośno, by zawstydzić syna przed jego podkomendnymi. - Gdzie są kliny do osadzenia masztu?

Hal oblał się rumieńcem, odwrócił od relingu i złapał ciężki młotek.

- Słyszeliście, co powiedział kapitan! - warknął do swoich ludzi.

- Ta ulicznica jest Ewą w naszym raju - mruknął półgębkiem sir Francis do stojącego za nim Abolego. - Widziałem już wcześniej, że Hal wodzi za nią wzrokiem. A ona wystawia cycki i spogląda na niego jak ladacznica. Na Boga, to przecież jeszcze chłopiec.

- Patrzysz na niego oczyma ojca - odparł Aboli, uśmiechając się i potrząsając głową. - Hal nie jest już chłopcem. To mężczyzna. Mówiłeś mi kiedyś, że w twojej świętej księdze mowa jest o orle na niebie, wężu na skale i mężczyźnie, któremu towarzyszy kobieta.

Choć Hal nie miał prawie wcale wolnego czasu, bo tyle zważyło się na niego obowiązków, odpowiadał na wezwania Katinki niczym łosoś, który wraca do swojej rodzinnej rzeki w porze składania ikry. Kiedy ona wzywała, nic nie mogło go powstrzymać. Gnał do niej z sercem bijącym tak samo szybko, jak szybko stąpały jego stopy. Minął prawie cały dzień, odkąd był z nią ostatnio sam na sam - jak na jego gust, o wiele za długo. Czasami udawało mu się dwu - albo trzykrotnie w ciągu jednego dnia wyniknąć z obozowiska, żeby potajemnie się z nią spotkać. Często mogli być ze sobą tylko kilka minut, ale to wystarczało, aby załatwić wszystko, co mieli do załatwienia. Oboje nie tracili drogiego czasu na niepotrzebne ceregiele albo dyskusję.

Zmuszeni byli znaleźć inne miejsce schadzek. Nocne wizyty Hala w jej domku o mało nie zakończyły się katastrofą. Gubernator van de Velde nie spał tak mocno, jak zdawało się świadczyć jego chrapanie, a oni zapomnieli o środkach ostrożności, uprawiając głośno miłość.

Zbudzony jej niepohamowanymi krzykami i tak samo głośnymi reakcjami Hala, gubernator złapał latarnię i zakradł się do jej chaty. Stojący na straży Aboli zobaczył na czas blask płomienia i syknął ostrzegawczo. Hal zdążył złapać swoje ubranie i umknął przez dziurę w palisadzie. Chwilę później van de Velde wpadł do środka z latarnią w jednej i obnażoną szpadą w drugiej ręce.

Nazajutrz rano poskarżył się gorzko sir Francisowi.

- To musiał być ktoś z pańskiej złodziejskiej załogi.

- Czy żonie pana skradziono jakieś rzeczy? - zapytał sir Francis, a kiedy van de Velde potrząsnął głową, nie pozostawił cienia wątpliwości, co o tym wszystkim myśli.

- Być może pańska żona nie powinna tak obnosić swoich klejnotów, bo budzą zdróżne myśli. W przyszłości, proszę lepiej strzec wszystkiego, co do pana należy.

Sir Francis przesłuchiwał ludzi, którzy nie pełnili o tej porze wachty, ponieważ żona gubernatora nie potrafiła jednak opisać intruza - gdy zakradł się do chaty, spała głębokim snem - sprawę szybko zamknęto. Wtedy właśnie po raz ostatni Hal odważył się wejść w obręb palisady.

Rychło znaleźli nowe miejsce schadzek. Choć dobrze ukryte, znajdowało się wystarczająco blisko obozu, żeby Hal mógł odpowiadać na jej wszystkie wezwania i dotrzeć tam w ciągu kilku minut. Zatrzymał się na chwilę na wąskim tarasie przed jaskinią, dysząc ciężko z pośpiechu i podniecenia. Odkrył to miejsce razem z Abolim, wracając z jednego z polowań. Właściwie nie była to jaskinia, lecz nawis: miękki czerwony piaskowiec zerodował i odpadł od twardszej skały, tworząc coś w rodzaju głębokiej werandy.

Nie byli pierwszymi ludźmi, którzy korzystali z tej kryjówki. Przy tylnej ścianie koliby w kamiennym palenisku zostało trochę popiołu, a na niskim sklepieniu ślady kopcia. Dno zaśmiecały kości ryb i małych ssaków - pozostałości posiłków, które pieczono na palenisku. Kości były suche i ogryzione do czysta, a popiół zimny i rozsypany. Palenisko było od dawna nie używane.

Dostrzegli jeszcze inne ślady ludzkiej działalności. Tylne ściany pokryte były od góry do dołu licznymi malowidłami. Wielkie stada rogatych antylop i gazeli, których Hal nie widział nigdy na oczy, pędziły po gładkiej powierzchni skały, ścigane przez łuczników o zaokrąglonych pośladkach i nieproporcjonalnie wielkich wyprostowanych penisach. Dziecinne i kolorowe malunki pozbawione były perspektywy i miały zachwiane proporcje między zwierzętami i ludźmi. Słonie były mniejsze od ścigających je postaci, a orły dwa razy większe od bawołów biegnących pod ich rozpostartymi skrzydłami. Mimo to Hal był nimi oczarowany. W rzadkich chwilach ciszy między miłosnymi uniesieniami przyglądał się tym dziwnym ludzikom walczącym ze sobą i wyprawiającym się na grubego zwierza. Miał wówczas ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o dawnych artystach, a także o bohaterskich myśliwych i wojownikach, których rysowali.

Kiedy zapytał o nich Abolego, ten wzruszył z lekceważeniem ramionami.

- To ludzie z plemienia San. Właściwie nie ludzie, ale małe żółte małpy. Jeśli będziesz miał nieszczęście ich spotkać, przed czym niechaj bronią cię wszyscy twoi trzej bogowie, dowiesz się więcej o ich zatrutych strzałach niż o tykwach z farbami.

Tym razem malowidła przyciągnęły jego uwagę tylko przez moment. Legowisko z trawy, które zrobił pod ścianą, było puste. Specjalnie go to nie zdziwiło, ponieważ zjawił się trochę wcześniej. Mimo to zastanawiał się, czy Katinka przyjdzie, czy też wezwała go dla żartu. A potem usłyszał za plecami trzask łamanej gałązki.

Rozejrzał się szybko, szukając jakiejś kryjówki. Po prawej stronie wejścia wilo się przy skale dzikie wino. Spomiędzy jego ciemnozielonych liści wychylały się jaskrawożółte

kwiatki, których delikatny słodkawy zapach unosił się w całej jaskini. Hal wślizgnął się za nie i przykucnął przy ścianie.

Po chwili pojawiła się Katinka i zajrzała z nadzieją do środka. Widząc, że nikogo tam nie ma, zeszywniała z gniewu i wymówiła holenderskie słowo, które zdążył już dobrze poznać. Było nieprzyzwoite i poczuł, jak z podniecenia przechodzi go gęsia skórka.

Bezszelestnie wślizgnął się z kryjówki, pochylił się i zakrywając jedną ręką oczy Katinki, drugą objął ją w talii.

Dużo później legł na trawiastym materacu, z wciąż unoszącą się w szybkim oddechu i spoconą piersią. Katinka ugryzła lekko jedną z jego brodawek, jakby to był rodzynek, a potem zaczęła bawić się złotym medalionem, który wisiał na jego szyi.

- Jaki ładny - mruknęła. - Podobają mi się wysadzone rubinami oczy lwa. Skąd go masz?

Hal nie zrozumiał zadanego po holendersku pytania i Katinka powtórzyła je powoli i wyraźnie.

- Dostałem ten medalion od ojca - odpowiedział. - Ma dla mnie wielką wartość.

- Chcę go mieć - oświadczyła. - Dasz mi go w prezencie. Uśmiechnął się leniwie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Kochasz mnie? - zapytała, wydymając wargi. - Szalejesz za mną?

- Tak, szaleję za tobą - odparł, ocierając przedramieniem pot z oczu.

- W takim razie daj mi ten medalion. Potrząsnął głową.

- Czy kochasz mnie tak samo jak ja ciebie? - zapytał, żeby uniknąć kłótni.

Katinka wesoło się zaśmiała.

- Nie bądź głupi! Oczywiście, że cię nie kocham. Kocham tylko Pana Cyklopa. - Ochrzcila tak jego organ ku czci jednookiego giganta z legendy i żeby to potwierdzić, dotknęła ręką jego krocza. - Ale nawet jego nie kocham, kiedy jest taki miękki i mały. - Masowała go przez chwilę palcami i ponownie się roześmiała, tym razem bardziej gardłowo. - O, teraz kocham go trochę bardziej. Im większy się robi, tym mocniej go kocham. Teraz go pocałuję, żeby ci pokazać, jak bardzo mi jest drogi.

Polizala językiem jego brzuch, kiedy jednak wtuliła twarz w ciemną kępę jego włosów łonowych, jakiś dźwięk odwrócił jej uwagę. Przetoczył się przez lagunę i odbił tysięcznym echem od wzgórz.

- Piorun! - zawołała i usiadła. - Nienawidzę piorunów, odkąd byłam małą dziewczynką.

- To nie piorun - stwierdził Hal i odsunął ją tak mocno, że ponownie krzyknęła:

- Och! Zrobiłeś mi krzywdę, ty psi synu.

Hal zerwał się na nogi, nie przejmując się jej skargami. Nagi wybiegł na zewnątrz i natężył wzrok. Jaskinia położona było dość wysoko, by mógł zobaczyć lagunę nad wierzchołkami okalających ją drzew. Gołe maszty Resolution celowały w błękitne niebo. W powietrzu fruwały morskie ptaki - spłoszone donośnym hukiem poderwały się z powierzchni wody i słońce odbijało się od ich skrzydeł, tak że krążąc wysoko wydawały się stworzone z kryształków lodu.

Kłębiąca się mgła zasłaniała pół laguny i otulała skaliste cyple srebrzystobłękitnym oparem, w którym zaśniły nagle dziwne światła. Ale to nie była mgła.

Powietrzem ponownie targnął huk, docierając do Hala o wiele później niż błysk. Unoszące się opary zgęstniały, sunąc niczym rozlany olej po wodach laguny. Nad nimi pojawiły się jakby zawieszone nad wodą wysokie maszty i żagle dwóch statków. Hal wpatrywał się osłupiałym wzrokiem, jak wpływają spokojnie między cyple. Prowadzący okręt wystrzelił kolejną salwę. To była fregata - otwory działowe w czarnym kadłubie pluły ogniem i dymem. Wysoko nad nimi powiewała w południowej bryzie trójkolorowa flaga Republiki Holandii. Za fregatą podążała Guli of Moray, z grzmiącymi nieprzerwanym chórem kolubrynami i zawieszonymi na masztach banderami świętego Jerzego, świętego Andrzeja i wielkim czerwonym krzyżem Świątyni.

- Boże miłosierny - jęknął Hal. - Dlaczego baterie na cyplach nie odpowiadają na ich ogień?

A potem gołym okiem zobaczył żołnierzy w zielonych mundurach, którzy wyrzynali kanonierów i zrzucali ich ciała z obwałowań do morza.

- Zaskoczyli naszych ludzi na szańcach. Cochran sprowadził na nas Holendrów i pokazał im, gdzie umieściliśmy działa. - Głos Hala drżał z gniewu. - Zapłaci za to dzisiaj krwią, przysięgam!

Kalinka zerwała się z trawiastego legowiska i stanęła obok niego przy wyjściu z jaskini.

- Zobacz! To holenderski statek! Przyplłynął, żeby uwolnić mnie z rąk podłego pirata, twojego ojca. Dzięki Ci, Boże. Wkrótce zabiorą mnie z tego okropnego miejsca i zawiozą na Przylądek Dobrej Nadziei. - Mówiąc to, tańczyła z radości. - Kiedy będą wieszali ciebie i twojego ojca na placu apelowym przy forcie, pošlę ci ostatni pocałunek i pomacham ręką na pożegnanie - oznajmiła z szyderczym śmiechem.

Hal zignorował ją. Wbiegł z powrotem do jaskini, włożył szybko ubranie i przypiął swoją szpadę z Neptunem.



- Czekaj nas bitwa, ale jeśli nie będziesz się stąd ruszać, nic ci nie grozi - powiedział i zaczął zbiegać na dół.

- Nie możesz mnie tutaj samej zostawić! - zawołała za nim. - Wracaj, rozkazuję ci!

Lecz on pędził już ścieżką między drzewami, nie zwracając uwagi na jej zaklinania. Nie powinienem nigdy opuścić dla niej ojca, lamentował w duchu. Ostrzegając mnie przed niebezpieczeństwem, które zwiastowała czerwona kometa. Zasługuję na najgorszy los, jaki może mi się przydarzyć.

Był tak zrozpaczony i tak bardzo chciał zmazać swoje winy, że o mało nie wpadł na tyralierę maszerujących przed nim żołnierzy. W ostatniej chwili poczuł w nozdrzach dym z lontów i dostrzegł zielone kubraki i białe bandolety. Przypadłszy do ziemi i schowawszy się za pnem wysokiej figi, zobaczył, że dowodzony przez białego oficera oddział kieruje się w stronę obozowiska z opuszczonymi pikami i gotowymi do strzału muszkietami.

- Zachowajcie odstęp - zawołał po holendersku oficer. - Nie podchodźcie do siebie!

Nie było teraz wątpliwości, co to za oddział. Holender odwrócony był do niego plecami i Hal mógł się chwilę zastanowić. Muszę dotrzeć do obozu, by ostrzec ojca, ale nie mam dość czasu, żeby biec okrężną drogą. Będę musiał przebić się przez wrogie szeregi. Wyciągnął szpadę z pochwy i nagle zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Przeciwnik miał przewagę na wodzie i lądzie. Tym razem nie przygotowali branderów, żeby zaatakować Cochran i holenderską fregatę. Bitwa nie będzie łatwa.

Używając szpady, wykopał dołek w miękkiej ilastej ziemi przy pniu drzewa figowego, a potem zsunął z palca pierścień, wyciągnął z kieszeni miniaturkę z podobizną matki i zdjął z szyi medal Rycerza Nawigatora. Wrzucił to wszystko do dołka, zasypał ziemią i przyklepał dłońmi.

Zajął mu to tylko minutę, lecz kiedy zerwał się z powrotem na nogi, holenderski oficer zniknął za drzewami. Hal ruszył do przodu, kierując się trzaskiem łamanych gałązek. Pozbawieni dowódców żołnierze nie będą tak dobrze walczyć, pomyślał. Jeśli uda mi się załatwić tego jednego, ostudzi to trochę ich wojenny zapał. Szybko dogonił Holendra, który przedzierał się przez krzaki tak hałaśliwie, że nie mógł usłyszeć jego cichych kroków.

Na serżowej kurtce oficera widniały plamy potu. Hal zorientował się po epoletach, że jest porucznikiem w służbie Kompanii. Był chudy i kościsty, na cienkim karku sterczały mu czerwone krosty. W prawej dłoni trzymał obnażoną szpadę. Nie mył się od wielu dni i cuchnął jak cap.

- Broń się, Mijnheen - zawołał po holendersku Hal, nie mógł bowiem zaatakować go z tyłu.

Porucznik odwrócił się na pięcie i podniósł szpadę. Jego jasnoniebieskie oczy rozszerzyły się ze strachu i zaskoczenia, gdy zobaczył, że Hal jest tak blisko. Nie był od niego wiele starszy; na poblądłej z przerażenia twarzy jeszcze wyraźniej zaznaczyły się purpurowe pryszcze.

Hal zaatakował i w powietrzu zadźwięczały krzyżujące się szpady. To pierwsze krótkie zwarecie pozwoliło mu ocenić przeciwnika. Holender nie był zbyt szybki, a jego nadgarstkowi brakowało siły i zręczności doświadczonego szermierza. Hal przypomniał sobie słowa ojca: „Walcz od samego początku. Nie czekaj, aż wpadniesz w złość”. Poczuł, jak jego serce ogarnia chłodna mordercza furia.

- Ha! - krzyknął cicho, markując sztych w oczy Holendra i będąc zarazem przygotowany na jego zasłonę.

Porucznik zareagował powoli i Hal wiedział już, że może sobie pozwolić na szarżę, której nauczył go Daniel. Może go szybko zabić.

Nadgarstek zahartowany przez długie godziny ćwiczeń z Abolim przyjął uderzenie Holendra i zakręcił jego szpadą, która zeszła z linii obrony. Hal stworzył w ten sposób otwarcie, lecz żeby je wykorzystać, musiał odsłonić się sam, narażając się na ripostę Holendra - oczywiste samobójstwo, gdyby miał do czynienia z dobrym szermierzem.

Skoncentrował się, przerzucił ciężar ciała na lewą stopę i zadał pchnięcie. Riposta nadeszła zbyt późno. Klinga Hala przebiła przepoconą serżową tkaninę, ześlizgnęła się z jednego z żeber, a potem znalazła między nimi lukę. Chociaż spędził ze szpadą w dłoni wiele dni, po raz pierwszy uśmiercił nią człowieka i nie wiedział, jak to jest, gdy ostrze przebija ciało przeciwnika.

Czuł martwy wilgotny opór, który osłabił siłę jego sztychu. Porucznik Maatzuyker westchnął i wypuścił z ręki swoją szpadę, gdy klinga Hala zatrzymała się w końcu na jego kręgosłupie. A potem złapał ją gołymi rękoma. Ostrze przecięło je aż do kości, zalewając dłonie strumieniem jasnej krwi. Jego palce otworzyły się bezwiednie i osunął się na kolana, wpatrując się w Hala załzawionymi niebieskimi oczyma, jakby miał zamiar wybuchnąć płaczem.

Hal stanął nad nim i pociągnął za wysadzaną szafirem gardę szpady z Neptunem, lecz toledańska stal utkwiała mocno w ciele Holendra. Maatzuyker jęknął z bólu i wyciągnął do niego w błagalnym geście okaleczone ręce.

- Przepraszam - szepnął przerażony Hal i szarpnął ponownie za gardę.

Maatzuyker otworzył szeroko usta i zaskowyczał. Ostrze przebiło jego prawe płuco i z sinych ust pociekła nagle krew, zalewając kurtkę i ochlapując buty Hala.

- O Boże! - mruknął Hal, kiedy Maatzuyker runął do tyłu z wciąż tkwiącą między żebrami szpadą. Przez moment stał nad nim bezradnie, patrząc, jak krztusi się własną krwią. Nagle w krzakach za jego plecami rozległ się dziki wrzask.

Zauważył go jeden z ubranych na zielono żołnierzy. Huknął muszkiet; kule zagrzechotały o liście nad jego głową i zadzwoniły o pień stojącego obok drzewa. To go otrzeźwiło. Przez cały czas wiedział, co powinien zrobić, ale aż do tej chwili nie mógł się na to zdobyć. Teraz oparł but o unoszącą się w agonii pierś Maatzuykera i pociągnął z całej siły rękojeść do góry. Ostrze niechętnie wysunęło się kilka cali, a potem, za drugim lub trzecim szarpnięciem, wyszło z rany i Hal zatoczył się do tyłu.

Natychmiast odzyskał równowagę i przeskoczył przez ciało Maatzuykera. W tym samym momencie usłyszał kolejny strzał i kule zaświstały mu koło głowy. Żołnierz, który strzelił, grzebał w mieszkach z prochem, chcąc załadować ponownie broń, i Hal ruszył prosto na niego. Muszkieter posłał mu przerażone spojrzenie, rzucił bezużyteczną broń w krzaki i zaczął uciekać.

Hal ciął go w kark, tuż pod uchem. Ostra jak brzytwa klinga zatrzymała się aż na kości i kark otworzył się niczym rozdziawione czerwone usta. Żołnierz padł bez słowa, ale wszędzie dookoła migotały zielone kubraki. Hal uświadomił sobie, że muszą ich być setki. To nie była jakaś grupa zwiadowców, lecz prawdziwa mała armia.

Usłyszał gniewne nawoływania, a potem coraz gwałtowniejszą kanonadę. Większość muszkieterów strzelała na oślep, ale część kul przelatywała dość blisko niego. Biegając co sił w nogach, słyszał wyraźnie jeden głos, który wyróżniał się donośnością i siłą.

- Złapcie tego człowieka! Nie pozwólcie mu uciec. Chcę go dostać!

Spojrzał w kierunku, z którego dochodziły okrzyki, i o mało nie wywrócił się ze zdumienia, widząc pułkownika Schreudera, który gnał przez las, próbując przeciąć mu drogę. Kapelusz i peruka spadły mu z głowy, lecz na ramieniu wciąż miał oficerską złotą szarfę i wstążki. Jego ogolona głowa połyskiwała niczym skorupa jaja, nad górną wargą jeżyły się wąsy. Jak na tak dużego mężczyznę był całkiem szybkim biegaczem, ale strach dodawał Halowi skrzydeł.

- Dostanę cię! - wrzeszczał Schreuder. - Tym razem mi nie umkniesz!

Hal przyspieszył jeszcze bardziej i po przebiegnięciu pięćdziesięciu jardów zobaczył między drzewami palisadę obozu. W środku nie było nikogo i zdał sobie sprawę, że

zaalarmowany ciężkim ogniem prowadzonym przez dwa statki, ojciec zabrał wszystkich ludzi na brzeg i obsadził nimi kolubryny.

- Do broni! - wołał. Schreuder biegł zaledwie dziesięć kroków za nim. - Załoga Resolution, do mnie! Atakują nas od tyłu!

Wpadając do obozu, zobaczył z olbrzymią ulgą, że Duży Daniel i kilkunastu innych marynarzy usłyszało jego wezwanie i biegnie mu na pomoc. Natychmiast odwrócił się twarzą do Holendra.

- No chodź! - zawołał, unosząc szpadę.

Schreuder, widząc biegnących ku niemu marynarzy z Resolution, stanął jak wryty w miejscu. Zdał sobie sprawę, że wyprzedził własny oddział, zostawił go bez dowódcy i ma przeciwko sobie tuzin ludzi.

- Znów masz szczęście, gówniarzu - warknął do Hala. - Ale nim zajdzie słońce, będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać.

Oddalony od nich o trzydzieści jardów Duży Daniel zatrzymał się i podniósł do ramienia muszkiet. Celował w Schreudera, lecz kiedy pociągnął za cyngiel, pułkownik uchylił się, obrócił na pięcie i pognął z powrotem do lasu, wzywając rozproszonych muszkieterów.

- Holender prowadzi duży oddział, mistrzu Danielu - wysapał Hal. - W lesie jest pełno ludzi.

- Ilu?

- Stu albo więcej. Tam! - dodał, pokazując pierwszych atakujących, którzy wyłonili się spomiędzy drzew i posuwali w ich stronę. Co jakiś czas zatrzymywali się, by strzelić, i ruszali dalej.

- Co gorsza, w zatoce są dwa nieprzyjacielskie statki - powiedział Daniel. - Guli of Moray i holenderska fregata.

- Widziałem je ze wzgórza. - Hal złapał w końcu oddech. - Mają przewagę ogniową z przodu i przewagę liczebną z tyłu. Nie zdołamy się tutaj utrzymać. Zaraz nas zaatakują. Wracajmy na plażę.

Kolorowi żołnierze zawyli niczym stado psów, kiedy Hal poprowadził swoich ludzi na plażę. Kule i śruciny świstały im koło uszu, wrywając grudki wilgotnej ziemi spod stóp i popędzając ich w biegu.

Między drzewami Hal widział stojące w kłębach dymu szańce i głowy kanonierów, którzy ładowali działa. Spowita kłębam dymu holenderska fregata zbliżała się majestatycznie do brzegu. Na oczach Hala ustawiła się burtą do plaży i z jej otworów działowych ponownie

bluznęły języki ognia. Po kilku sekundach usłyszeli donośny huk i przeleciały nad nimi z wyciem kartacze.

Halowi zadzwoniło w uszach i odrzucił go do tyłu podmuch powietrza. Całe drzewa waliły się na ziemię, na głowy sypały się gałęzie i liście. Dokładnie przed sobą zobaczył, jak kula trafia jedno z dział, strącając jeż lawety. Ciała dwóch marynarzy z Resolution poleciały wysoko w powietrze.

- Gdzie jesteś, ojcze? - zawołał, mając nadzieję, że ktoś usłyszy go w tym pandemonium.

Po chwili dotarł do niego głos sir Francisa.

- Do dział, chłopcy! Celujcie w otwory działowe Holendra. Powitajcie tych serojadów tak, jak nakazuje nasza stara angielska gościnność.

Hal skoczył do okopu, złapał ojca za ramię i energicznie nim potrząsnął.

- Gdzie się podziewałeś, chłopcze? - zapytał sir Francis, lecz widząc krew na jego ubraniu, nie czekał na odpowiedź. - Obejmij dowodzenie nad działami na lewej flance - mruknął. - Skierujcie ogień na...

- Statki mają odwrócić naszą uwagę od głównego zagrożenia - przerwał mu bez tchu Hal. - W lesie jest pełno Holendrów! Całe setki! - dodał, wskazując za siebie skrwawionym ostrzem szpady. - Zaraz tu będą.

Sir Francis nie wahał się ani chwili.

- Pobiegnij wzdłuż linii kolubryn i rozkaż, żeby co drugie działo ustawiono w przeciwnym kierunku i załadowano kartaczami. Te wycelowane w zatokę niech nadal prowadzą ogień, ale te drugie niech czekają, aż nieprzyjaciel się zbliży. Ja sam dam rozkaz rozpoczęcia ognia. No szybko, biegnij! - Kiedy Hal wyskoczył z okopu, sir Francis poszukał wzrokiem Daniela. - Weź swoich ludzi i kogo jeszcze zdołasz znaleźć i postaraj się zatrzymać wroga na naszych tyłach.

Hal ruszył wzdłuż linii umocnień. Zatrzymywał się przy każdym okopie, żeby wydać rozkazy, i biegł dalej. Ludzie stracili słuch i orientację od ciągłego huku dział. Hal skulił się i o mało nie przewrócił, gdy kolejna salwa z czarnej fregaty przetoczyła się niczym diabelski podmuch tajfunu nad lasem, powalając drzewa i ryjąc ziemię wszędzie dookoła. Potrząsnął głową, żeby ochłonać, i popędził przed siebie, przeskakując przez pień leżącego drzewa.

Poinstruowani przez niego puszkarze zaczęli obracać kolubryny, kierując je w stronę lasu. Słyszeli dobiegającą już stamtąd palbę z muszkietów i gniewne okrzyki. Duży Daniel i jego mały oddział marynarzy zaatakowali wyłaniające się spomiędzy drzew hordy przeciwników.

Hal dotarł do ostatniego szańca i zeskoczył do okopu tuż obok Abolego, który dowodził tutaj puszkarzami. Murzyn przytknął palący się lont do panewki i kolubryna odskoczyła z hukiem do tyłu. Kiedy rozwiął się gryzący dym, wyszczerzył zęby do Hala. Jego ciemna twarz pociemniała jeszcze bardziej od sadzy, a oczy podeszły krwią od dymu.

- Myślałem już, że nigdy nie wyciągniesz korzenia z tego słodkiego zagonu, żeby się do nas przyłączyć. Bałem się, że będę musiał pobiec do jaskini i uwolnić cię z pułapki.

- Nie będziesz tak szczerzył zębów, kiedy oberwiesz w tyłek kulą z muszkietu - odparł pośpiesznie Hal. - Jesteśmy okrażeni. W lesie za nami jest pełno Holendrów. Daniel próbuje ich powstrzymać, ale nie potrwa to długo. Obróć to działo i załaduj je kartaczami. - Kiedy ładowali kolubrynę, wydał dalsze rozkazy. - Będziemy mieli czas tylko na jeden strzał. Potem, zanim opadnie dym, przypuścimy na nich atak - powiedział, ugniatając proch długim wyciorem. Gdy wyciągnął wycior, jeden z puszkarzy podniósł ciężką płócienną torbę z ołowianymi siekańcami i wsypał je do lufy. Hal wcisnął je głębiej, aż oparły się o ładunek prochu, a następnie schowali się za nasypem po obu stronach lufy, zostawiając wolne miejsce tam, gdzie siła odrzutu przesuwiała kolubrynę do tyłu. Spoglądając na puste przedpole, słyszeli dzikie wrzaski i dźwięk stali uderzającej o stal. Ludzie Dużego Daniela zaatakowali widać Holendrów, a teraz ustępowali przed ich szarżą. Palba z muszkietów była coraz głośniejsza; żołnierze Schreudera ładowali broń, biegli do przodu i strzelali ponownie.

Po chwili dostrzegli między drzewami pierwsze sylwetki powracających marynarzy. Daniel przerastał wszystkich o głowę: dźwigając na ramieniu rannego, wymachiwał energicznie trzymanym w drugiej ręce kordem. Zielone kubraki ostro ich naciskały.

- Przygotować się do ataku! - syknął Hal do swoich ludzi, którzy przykucnęli za nasypem, ściskając w rękach piki i kordy. - Aboli, nie strzelaj, dopóki Daniel nie zejdzie z linii strzału.

Daniel rzucił nagle dźwigany ciężar i pobiegł z powrotem. Wpadł w gęstą cizbę przeciwników, dziesiątkując ich potężnymi cięciami kordu, później wrócił do rannego marynarza, przerzucił go sobie ponownie przez ramię i popędził w stronę okopu.

Hal zerknął wzdłuż linii obwałowań. Choć skierowane do przodu działa wciąż ostrzeliwały statki w lagunie, co druga kolubryna wycelowana była w las i czekała na odpowiedni moment, żeby zasypać kartaczami atakującą piechotę.

- Z tak bliskiej odległości kartacze nie będą miały odpowiedniej siły rozrzutu, a oni zachowują między sobą duże odstępstwa - mruknął Aboli.

- Wykonują dokładnie rozkazy Schreudera - potwierdził z ponurą miną Hal. - Nie załatwimy ich zbyt wielu pojedynczą salwą.



- Schreudera! - Abołemu zwięziły się oczy. - Nie powiedziałaś, że to on.

- Spójrz tam! - odparł Hal, wskazując wysoką postać podążającą ku nim przez las. Z błyszczącą szarfą i zjeżonym wąsem pułkownik prowadził do ataku swoich ludzi.

Aboli chrząknął głośno.

- To istny diabeł. Postaram się sprawić mu niespodziankę. - Wsunął żelazny pręt pod działo i przesunął je o kilka stopni, próbując wziąć na cel pułkownika. - Stój spokojnie - szepnął. - Tylko przez chwilę, bym zdążył strzelić.

Ale Schreuder biegał w tę i z powrotem wzdłuż szeregu, wydając swoim ludziom kolejne rozkazy. Był teraz tak blisko, że Hal słyszał jego głos:

- Wyrównać linię! Naprzód! Spokojnie, wstrzymać ogień!

Pod dowództwem pułkownika posuwali się powoli, lecz zdecydowanie do przodu. Musieli wiedzieć o grożących im działach, lecz mimo to maszerowali pewnym krokiem w stronę umocnień, wstrzymując ogień i nie marnując ani jednego wystrzelonego naboju.

Zbliżyli się tak, że Hal dostrzegł ich twarze. Wiedział, że Kompania rekrutuje żołnierzy we wschodnich koloniach, i potwierdzały to azjatyckie rysy atakujących. Mieli skórę o barwie bursztynu i ciemne migdałowe oczy.

Nagle zdał sobie sprawę, że przestały grzmieć działa na obu statkach. Obejrzał się przez ramię. Czarna fregata i Guli of Moray zarzuciły kotwicę w odległości jednego kabla od brzegu. Ich baterie umilkły i Hal uświadomił sobie, że Cochran i kapitan fregaty musieli ustalić ze Schreuderem jakiś system łączności. Wstrzymali ogień, żeby nie razić własnych oddziałów.

To da nam chwilę oddechu, pomyślał i spojrzał ponownie przed siebie.

Oddział Daniela poniósł poważne straty; została z niego najwyżej połowa ludzi kompletnie wyczerpanych walką. Wielu ledwie powłóczyło nogami. Koszule mieli przesiąknięte potem i krwią płynącą z ran. Po kolei wdrapywali się na obwałowania i ciężko dysząc zsuwali do okopów.

Jeden Daniel był niezmordowany. Podał rannego marynarza kanonierom i ogarnięty morderczym zapałem chciał ponownie rzucić się na przeciwnika.

- Zostań tutaj, ty wielki wole - zatrzymał go Hal. - Daj nam skosić ich trochę salwą kartaczy. Potem będziesz mógł ich posiekać na kawałki.

Aboli starał się wziąć na cel nieuchwytną sylwetkę Schreudera.

- Jest wart tyle co pięćdziesięciu innych - mrucał pod nosem w swoim języku.

Hal nie zwracał na niego uwagi. Spoglądał niespokojnie w stronę pierwszego szańca, próbując dojrzeć ojca i czekając na jego rozkazy.

- Na Boga, pozwala im podejść zbyt blisko - denerwował się. - Z większej odległości kartacze miałyby większe pole rozrzutu, ale nie mogą przecież rozpocząć ognia bez jego rozkazu.

A potem usłyszał ponownie głos Schreudera:

- Pierwszy szereg! Przygotować się do strzału! Pięćdziesięciu ludzi przykłęknęło posłusznie przed obwałowaniami i oparło o ziemię kolby muszkietów.

- Bądźcie gotowi! - zawołał cicho Hal do swoich marynarzy. Zrozumiał teraz, dlaczego ojciec wstrzymywał ogień do tej chwili; czekał, aż atakujący odpalą ze swoich muszkietów, żeby mieć nad nimi przewagę, kiedy będą próbowali ponownie je nabić.

- Bądźcie gotowi! - powtórzył. - Zaczekajcie, aż tamci strzelą!

- Prezentuj broń! - zabrzmiał w nagłej ciszy rozkaz Schreudera. - Cel!

Kłęczący mężczyźni podnieśli do ramion muszkiety. Nad ich głowami unosił się błękitny dym z lontów i musieli zmrużyć oczy, żeby dobrze wycelować.

- Chować głowy! - zawołał Hal.

Marynarze w okopie przykucnęli nisko i w tej samej chwili Schreuder dał komendę ognia.

Powietrzem targnęła długa nierówna salwa. Ołowiane kule zaświstały nad głowami kanonierów i wbiły się w nasyp. Hal zerwał się na równe nogi i spojrzał w stronę ostatniego szańca. Zobaczył sir Francisa, który skoczył z obnażoną szpadą na szczyt obwałowania. Choć z tak dużej odległości nie słyszał rozkazów ojca, jego gesty nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Pal! - ryknął na całe gardło i bateria bluznęła ogniem, dymem i kartaczami, które przeorały z bliskiej odległości tyralierę odzianych na zielono holenderskich piechurów.

Dokładnie przed sobą Hal zobaczył trafionego kartaczem ospowatego mężczyznę, który zniknął w strzepach zielonej serży i różowego mięsa. Głowa biedaka poleciała wysoko w powietrze, a potem spadła na ziemię i potoczyła się po niej niczym dziecinna piłka. Po chwili wszystko zasłoniła gęsta chmura dymu. Choć wciąż dzwoniło mu w uszach, słyszał dobiegające z niebieskiego tumanu jęki i krzyki rannych.

- Wszyscy razem! - zawołał, kiedy dym zaczął się przerzedzać. - Poczęstujmy ich teraz chłodną stalą, chłopcy!

- Za Franky'ego i króla Karola! - krzyczeli, wspinając się na obwałowania. Po ogłuszającym huku dział ich głosy zdawały się piskliwe i słabe. Kiedy ruszyli do ataku, w słońcu zaśniły stalowe ostrza pik i kordów.

Aboli biegł po prawej, a Daniel po lewej stronie Hala, który prowadził ich na nieprzyjaciela. Na mocy niepisanego porozumienia dwaj potężni mężczyźni, jeden biały, drugi czarny, starali się osłaniać swego podopiecznego, lecz musieli niezle wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku.

Hal przekonał się, że spełniły się jego najgorsze obawy. Salwa kartaczy nie przerzedziła wcale w tak dużym stopniu holenderskich szeregów. Odległość była zbyt mała: pięćset ołowianych siekańców z każdej kolubryny nie poczyniło większych szkód aniżeli pojedyncza armatnia kula. Ludzie, których trafiła, zostali unicestwieni, ale na każdego, który przeniósł się do wieczności, przypadało pięciu zdrowych i całych.

Piechurzy byli oszołomieni i zdezorientowani. Większość klęczała i potrząsała głowami, mrugając oczyma i nie starając się nawet załadować ponownie muszkietów.

- Musimy ich dopaść, nim się pozbierają! - wrzasnął Hal i biegnący za nim marynarze wzniesli kolejny okrzyk, tym razem z większym zapalem.

W obliczu ataku Holendrzy zmobilizowali się. Niektórzy zerwali się na nogi, odrzucili bezużyteczne muszkiety i wyciągnęli białą broń. Kilku podoficerów miało za pasami pistolety, z których zaczęli teraz wściekle strzelać do nacierających marynarzy. Kilku zawróciło i próbowało umknąć do lasu, ale Schreuder szybko ich zatrzymał.

- Z powrotem, psie syny! Brońcie się jak mężczyźni! - wrzasnął i uciekinierzy skupili się wokół niego.

W ataku uczestniczyli wszyscy marynarze Resolution, którzy trzymali się jeszcze na nogach; nawet ranni kuśtykali w ślad za zdrowymi, zagrzewając do boju swoich kamratów.

Dwie linie zwarły się ze sobą i natychmiast zapanował chaos. Równy szereg napastników rozpadł się na małe grupki. Wszędzie wokół Hala ludzie klęli, rąbali, kluli i siekli jeden drugiego. Całe jego istnienie zamykało się w kręgu wściekłych przerażonych twarzy i szczęki stali, którą szybko zboczyła świeża posoka.

Ubrany w zielony kubrak, żołnierz chciał go dźgnąć długą piką w twarz, lecz Hal uchylił się i złapał za drzewce tuż za grotem. Kiedy muszkietier pociągnął pikę do tyłu, nie stawiał oporu, lecz wykorzystał impet jego szarpnięcia, by zadać własne pchnięcie. Wycelował szpadę z Neptunem w żółtą szyję nad zielonym kołnierzem i ostrze doszło celu. Gdy żołnierz puścił pikę i runął do tyłu, Hal pozwolił, żeby szpada sama wysunęła się z jego ciała.

Natychmiast przybrał z powrotem pozycję obronną i rozejrzał się za następnym przeciwnikiem, ale atak marynarzy rozbił prawie kompletnie linię muszkietierów. Zostało ich tylko paru, osaczonych przez grupy atakujących.

Wezbrała w nim nadzieja. Po raz pierwszy, odkąd zobaczył wpływające do laguny dwa statki, poczuł, że mają szansę wygrania tej bitwy. W ciągu ostatnich minut przełamali główne natarcie. Teraz musieli tylko stawić czoło załogom Guli of Moray i holenderskiej fregaty.

- Dobra robota, chłopcy! Poradzimy sobie z nimi! - zawołał i ci, którzy go usłyszeli, wzniesli radosny okrzyk.

Rozglądając się dookoła, widział triumf na twarzach swoich ludzi. Aboli śmiał się i śpiewał jedną ze swych pogańskich wojennych pieśni. Jego głos przebijał się przez zgiełk bitwy i dodawał otuchy każdemu, kto go słyszał. Dobijając ostatnich muszkietarów, wiwatowali na jego i swoją cześć, upojeni łatwym zwycięstwem.

Po prawej ręce Hala pojawił się Duży Daniel. Twarz i grube muskularne ręce pochłapane miał krwią nieprzyjaciela i śmiał się jak szalony, pokazując spróchniałe zęby.

- Gdzie jest Schreuder? - ryknął Hal i Daniel natychmiast otrzeźwiał. Przestał rechotać i rozejrzał się po cichnym poboju.

W tej samej chwili na pytanie Hala odpowiedział jasno i wyraźnie sam pułkownik.

- Druga kompania! Naprzód! - zawołał donośnie.

Stał na skraju lasu, zaledwie sto kroków od nich. Hal, Aboli i Daniel puścili się ku niemu biegiem, ale potem stanęli jak wryci. Spomiędzy drzew wyłoniła się kolejna zwarta kolumna zielonych kubraków.

- Na Boga! - jęknął z rozpaczą Hal. - Ci, z którymi walczyliśmy, to tylko mała część oddziału. Sukinsyn trzymał w rezerwie główne siły.

- Musi ich być ze dwie setki! - potrząsnął z niedowierzaniem głową Daniel.

- Formuj trzy szeregi! - zawołał Schreuder i nacierająca piechota zmieniła szyk. Pułkownik poprowadził truchtem schludnie ubranych i dobrze uzbrojonych piechurów. Nagle uniósł wysoko szpadę, żeby ich zatrzymać. - Pierwszy szereg! Przygotować się do strzału!

Muskietrzy z pierwszego szeregu uklękli na jedno kolano; pozostali stali spokojnie w miejscu.

- Prezentuj broń!

Lufy muszkietów skierowały się w oniemiałych marynarzy.

- Ognia! - ryknął Schreuder.

Zagrzmiała salwa. Z odległości zaledwie pięćdziesięciu kroków prawie każdy strzał doszedł celu. Trafieni ciężkimi ołowianymi pociskami ludzie padali i zataczali się na nogach. Linia Anglików zaczęła się łamać. Słychać było okrzyki bólu, gniewu i strachu.

- Do ataku! - krzyknął Hal, podnosząc szpadę z Neptunem. - Nie czekajcie, aż wystrzelają was do nogi! Naprzód, chłopcy!

Aboli i Daniel pobiegli razem z nim, lecz większość nie ruszyła się z miejsca. Ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że bitwa jest przegrana, i wielu spoglądało w stronę bezpiecznych szańców. A gdy raz obejrzel się przez ramię, było po wszystkim.

- Drugi szereg! Przygotować się do strzału! - zawołał Schreuder.

Pięćdziesięciu kolejnych muszkieterów wystąpiło do przodu z nabitą bronią i zapalonymi lontami. Przeszli przez luki między tymi, którzy dopiero co strzelali, wyprzedzili ich dokładnie o dwa kroki i uklękli na ziemi.

- Prezentuj broń!

Nawet Hal i jego dwaj nieustraszeni towarzysze zawahali się, spoglądając w lufy wycelowanych muszkietów. Z tyłu rozległ się zbiorowy jęk przerażenia. Nigdy jeszcze nie widzieli tak zdyscyplinowanego wojska.

- Ognia!

Schreuder opuścił szpadę i kolejny grad kul posypał się na zdziśiatkowanych marynarzy. Jeden z pocisków przeleciał tak blisko ucha Hala, że podmuch powietrza zarzucił mu kosmyk włosów na oczy.

- Trafili mnie! - usłyszał jęk dochodzący z boku.

Duży Daniel obrócił się dookoła własnej osi jak marionetka i usiadł ciężko na ziemi. Salwa położyła trupem kolejnych kilkunastu marynarzy Resolution i tyłu samo raniła. Hal pochylił się, żeby pomóc Danielowi.

- Nie przejmuj się mną, głuptasie - mruknął bosman. - Uciekaj! Jesteśmy pokonani, a za chwilę wystrzelą kolejną salwę. Jakby na poparcie jego słów usłyszeli rozkaz Schreudera:

- Trzeci szereg, prezentuj broń!

Wszyscy członkowie załogi, którzy trzymali się jeszcze na nogach, widząc wycelowane w nich muszkiety, uciekli w stronę okopów.

- Pomóż mi, Aboli - zawołał Hal i Murzyn złapał pod drugą pachę Daniela. Podnieśli go na nogi i ruszyli razem w kierunku plaży.

- Ognia! - ryknął Schreuder i w tym momencie, nie czekając na wzajemną zachętę, Hal i Aboli przypadli do ziemi, pociągając za sobą Daniela. Kiedy pociski przeleciały nad ich głowami, zerwali się na nogi i wlokąc między sobą Daniela, pobiegli dalej.

- Trafili cię? - zapytał Aboli.

Hal potrząsnął głową, oszczędzając oddech. Niewielu marynarzy Resolution trzymało się jeszcze na nogach. Tylko kilku dobiegło do linii okopów i zeskoczyło w dół.

Na pół podtrzymując, na pół ciągnąc Daniela, słyszeli za sobą triumfalne okrzyki muszkietierów, którzy wymachując bronią, ruszyli do ataku.

Dotarłszy do okopu, nie musieli pytać Daniela, gdzie jest ranny. Cały prawy bok miał zalany krwią. Aboli zerwał szybko z głowy chustkę, zwinął ją w kłębek i przycisnął do koszuli Daniela.

- Trzymaj to na ranie - powiedział mu, po czym zostawił leżącego na dnie okopu i stanął obok Hala.

- Słodka Maryjo! - szepnął chłopak. Jego zalana strugami potu twarz pobladła z przerażenia i wściekłości, gdy zobaczył, co dzieje się na przedpolu.

Nacierający z wrzaskiem żołnierze zatrzymywali się, żeby dobić rannych marynarzy. Część nieszczęśników obracała się na plecy i próbowała bronić gołymi rękoma przed uderzeniem, inni błagali o łaskę lub próbowali odpełznąć na bok, lecz muszkietrzy doganiali ich i siekli ostrą stalą, śmiejąc się i pohukując. Krwawe dzieło szybko dobiegło końca. Schreuder kazał im wyrównać szeregi i kontynuować natarcie.

W tej samej chwili do okopu wskoczył sir Francis.

- Jesteśmy pobici, ojcze! - oświadczył z ponurą miną Hal i obaj przyjrzeni się zabitym i rannym. - Straciliśmy już połowę naszych ludzi.

- Hal ma rację - stwierdził Aboli. - Bitwa jest skończona. Musimy spróbować się stąd wydostać.

- Którędy? - odparł ze smutnym uśmiechem sir Francis, pokazując wody laguny, po których sunęły w ich stronę nieprzyjacielskie szalupy.

Oba statki spuściły na wodę łodzie, w których pełno było rwących się do boju ludzi. W rękach trzymali obnażoną broń, a po powierzchni laguny snuł się za nimi niebieski dym z lontów. Wrzeszczeli i wiwatowali tak samo zajadle jak zielone kubraki na lądzie.

Kiedy pierwsze łodzie dotarły do brzegu, uzbrojeni marynarze pokonali szybko wąski pas białego piasku i wyjąc dziko zaatakowali okopy, w których stały milczące działa i chroniły się resztki załogi Resolution.

- Nie możemy liczyć na ich łaskę - zawołał sir Francis. - Widzieliście, jak ci krwiożerczy poganie potraktowali tych, którzy próbowali się poddać - dodał, pokazując szpadą zwłoki pomordowanych, którymi usiane było przedpole. - Do ataku! Za króla Karola!

Głosy jego nielicznych podkomendnych były słabe i ochryple ze zmęczenia. Po raz kolejny wspięli się na obwałowania i ruszyli, by stawić czoło dwustu świeżym i pałającym żądzą mordowania muszkietierom. Aboli wyprzedził ich o kilkanaście kroków i ciał pierwszego żołnierza, który stanął mu na drodze. Przeciwnik runął na ziemię, lecz ostrze kordu pękło przy



samej rękojęści. Aboli odrzucił bezużyteczną broń, pochylił się i wyjął długą pikę z dłoni poległego angielskiego marynarza.

Biegając obok Hala i sir Francisa, wbił ją w brzuch muszkietera, który zaatakował go wysoko podniesionym kordem. Grot piki trafił między żebra i przeszył go na wylot, wychodząc na pół jarda z pleców. Mężczyzna szarpnął się niczym ryba na ościeniu i ciężkie drzewce złamało się Abolemu w rękach. Używając kikuta jako maczugi, rąbnął w głowę następnego muszkietera i rozejrzał się dookoła, szczerząc zęby i przewracając białkami oczu.

Sir Francis wdał się w zajadły pojedynek z białym sierżantem. Ich szpady dzwoniły i zgrzytały. Hal zabił atakującego go kaprała pojedynczym pchnięciem w szyję i zerknął na Abolego.

- Zaraz będą tutaj ludzie z łodzi - mruknął.

Za plecami słyszeli dzikie krzyki. Nieprzyjacielscy marynarze wpadli do okopów i rozprawiali się z niedobitkami, którzy się tam schronili. Hal i Aboli nie musieli się oglądać; obaj wiedzieli, że to koniec.

- Żegnaj, stary przyjacielu - wysapał Aboli. - Przeżyliśmy razem miłe chwile. Szkoda, że trwały tak krótko.

Hal nie miał sposobności odpowiedzieć, ponieważ w tym samym momencie usłyszał tuż obok ochrypy głos.

- Courteney! Ty bezczelny szczeniaku! Zawiodło cię w końcu szczęście! - Cornelius Schreuder odepchnął na bok dwóch swoich żołnierzy i podszedł do niego szybkim krokiem. - Tylko ty i ja! - oznajmił i ruszył z miejsca do ataku, stawiając szybkie podwójne kroczyki doświadczony szermierza i wyprostowując się natychmiast po każdej z serii krótkich pchnięć.

Hala zaskoczył impet tych uderzeń. Ich parowanie wymagało całej jego siły i wszystkich umiejętności. Toledańska stal jęczała cienko po każdym z potężnych cięć i zdał sobie z rozpaczą sprawę, że nie zdoła się długo bronić.

W chłodnych błękitnych oczach Schreudera nie było śladu litości. Przewidywał każdy ruch Hala, wznosząc przed nim zasłonę lśniącej stali, kiedy tylko ten próbował jakiegś riposty. Spychał jego ostrze na bok i nieubłaganie parł naprzód.

Sir Francis toczył własny pojedynek i nie widział, w jak śmiertelnych tarapatach znalazł się jego syn. Aboli trzymał w ręku złamane drzewce piki - nie była to broń, której mógłby użyć przeciwko komuś takiemu jak Cornelius Schreuder. Widział dobrze, że Hal, wyczerpany przez wcześniejsze trudy, najwyraźniej opada z sił.

Poznał po wyrazie twarzy Schreudera, że szykuje się do zadania śmiertelnego sztychu. Los Hala był już przesądzony; nie był w stanie sparować szybkiego jak piorun uderzenia.

Aboli skoczył do przodu niczym czarna kobra, zanim Schreuder zdążył zrealizować swój zamiar. Podbiegł do Hala i zdzielił go prosto w skroń dębowym drzewcem piki.

Schreuder osłupiał widząc, jak jego przeciwnik pada bez zmysłów na ziemię w tej samej chwili, gdy miał mu zadać ostateczne uderzenie. Aboli rzucił drzewce na ziemię i osłonił Hala własnym ciałem.

- Nie możesz zabić nieprzytomnego, pułkownika. Nie pozwala na to honor holenderskiego oficera.

- Ty czarny szatanie! - ryknął sfrustrowany Schreuder. - Skoro me mogę zabić tego szczeniaka, ukatrupię przynajmniej ciebie.

Aboli podniósł w górę ręce, pokazując mu swoje puste blade dłonie.

- Jestem nie uzbrojony - powiedział cicho. Schreuder spiorunował go wzrokiem.

- Oszczędziłbym nie uzbrojonego chrześcijanina, lecz ty jesteś tylko bezbożną bestią - syknął, mierząc szpadą prosto w pierś Murzyna, na której lśniły w słońcu złane potem mięśnie.

Sir Francis Courteney stanął między nimi, ignorując wyciągniętą szpadę.

- Ja za to, pułkowniku Schreuder, jestem zarówno chrześcijaninem, jak i szlachcicem i poddam się panu wraz ze wszystkimi moimi ludźmi - oświadczył spokojnie, kierując w jego stronę rękojeść szpady.

Schreuder łypnął na niego okiem, oniemiały z frustracji i złości. Zamiast przyjąć szpadę od sir Francisca, przystawił mu klingę do szyi, przebijając lekko skórę.

- Odsuń się albo, na Boga, posiekam cię na kawałki, bez względu na to, czyś chrześcijanin czy poganin! - warknął.

Palce zaciśnięte na rękojeści szpady pobielały i widać było, że szykuje się do spełnienia swojej groźby.

Interwencja kolejnej osoby kazała mu się zawahać.

- Ależ, pułkowniku, jestem zmuszony wtrącić się w kwestii honorowej. Jeśli zabijesz mego serdecznego druha, Franky'ego Courteneya, kto zaprowadzi nas do skarbów zrabowanych z twojego wspaniałego galeonu?

Schreuder zerknął na Cochranę, który zbliżał się do nich szybkim krokiem ze skrwawionym mieczem w dłoni.

- Ładunek? - zdziwił się. - Zdobyliśmy przecież pirackie gniazdo. Skarby muszą być gdzieś tutaj.

- Nie byłbym tego taki pewien - stwierdził Cochran, skubiąc ze smutkiem swoją rudą brodę. - Jeśli dobrze znam mego drogiego brata w Chrystusie, najlepsze kąski ukrył w jakimś innym miejscu. - W jego oczach błysnęły chciwe iskierki. - Nie, pułkowniku, musi pan zachować go przy życiu. Przynajmniej do czasu, gdy będziemy mogli wynagrodzić sobie garścią talarów spełniony dziś dobry uczynek.

Odzyskawszy przytomność, Hal zobaczył klęczącego nad nim sir Francisca.

- Co się stało, ojczec? - zapytał. - Zwyciężyliśmy? Ojciec potrząsnął głową. Nie patrząc synowi w oczy, zaczął ścierać pot i sadzę z jego twarzy kawałkiem materiału oddartym z własnej brudnej koszuli.

- Nie, Hal. Nie zwyciężyliśmy.

Hal spojrzął w bok i nagle wszystko sobie przypomniał. Z załogi Resolution ocaleli tylko nieliczni. Kucali wokół nich, strzeżeni przez żołnierzy z nabitymi muszkietami. Zwłoki pozostałych leżały tam, gdzie padli: na przedpolu albo na obwałowaniach dział.

Zobaczył, że Aboli zajął się Danielem i bandażuje czerwoną bandaną ranę na jego piersi. Daniel siedział na ziemi i zdawał się dochodzić do siebie, chociaż z całą pewnością stracił mnóstwo krwi. Jego pokryta warstwą bitewnego kurzu twarz była biała jak popiół wczorajszego ogniska.

Hal odwrócił głowę i ujrzał Cochrana i pułkownika Schreudera, którzy stali nieopodal, pograżeni w żywej rozmowie. Po pewnym czasie Cochran wydał rozkazy jednemu ze swoich ludzi.

- Geordie, przywieź łańcuchy z Guli of Moray. Nie chcemy, żeby kapitan Courteney rozstał się z nami bez pożegnania.

Marynarz pośpieszył w stronę plaży, a Cochran i pułkownik podeszli do grupki jeńców.

- Kapitanie Courteney - oświadczył złowróżbnym tonem Schreuder. - Aresztuję ciebie i twoją załogę pod zarzutem piractwa na otwartym morzu. Zostaniesz przewieziony na Przylądek Dobrej Nadziei i postawiony przed sądem.

- Zmuszony jestem zaprotestować, pułkowniku. - Sir Francis wyprostował się z godnością. - Domagam się, żeby traktowano moich ludzi jako jeńców wojennych.

- Nie toczy się żadna wojna, kapitanie - stwierdził lodowato Schreuder. - Działania wojenne między Republiką Holandii i Wielką Brytanią ustały na mocy traktatu podpisanego przed paru miesiącami.

Sir Francis wpatrywał się w niego osłupiały, starając się dojść do siebie po szoku, w jaki wprowadziła go ta wiadomość.

- Nie wiedziałem, że podpisany został traktat pokojowy. Działalem w dobrej wierze - oznajmił w końcu. - Jestem w posiadaniu listu kaperskiego wydanego przez Jego Królewską Mość.

- Mówiłeś o tym liście podczas naszego poprzedniego spotkania. Chyba nie uznasz tego za natarczywość, jeśli będę chciał obejrzeć ten dokument? - zapytał Schreuder.

- List kaperski od Jego Królewskiej Mości jest w kufrze w moim domku - odparł sir Francis, wskazując obozowisko, w którym wiele zabudowań zniszczył ogień armatni. - Jeśli dostanę twoje pozwolenie, zaraz go przyniosę.

- Proszę, nie fatyguj się, Franky, stary przyjacielu Chętnie cię wyęcę - wtrącił się Cochran. Poklepał go po plecach, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę obozowiska i zniknął we wnętrzu chaty wskazanej przez sir Francis.

- Gdzie przetrzymujesz swoich zakładników, kapitanie? - pytał dalej Schreuder. - Gdzie jest gubernator van de Velde i jego biedna małżonka?

- Gubernator przebywa zapewne w otoczonych palisadą chatach razem ze swoją żoną i kapitanem galeonu. Nie widziałem ich od początku bitwy.

Hal wstał z trudem na nogi, przyciskając do skroni kawałek materiału.

- Żona gubernatora schroniła się w jaskini, tam, na zboczu - oznajmił, wskazując ręką wzniesienie.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał ostro Schreuder.

- Sam ją tam zaprowadziłem, mając na względzie jej bezpieczeństwo - odparł śmiało Hal, unikając badawczego wzroku ojca. - Wracając z jaskini, natknąłem się na wasze oddziały, pułkownika.

Schreuder popatrzył na wzgórze. Poczucie obowiązku walczyło w nim z pragnieniem, by pośpieszyć na ratunek kobiecie, której uwolnienie, przynajmniej dla niego, było głównym celem tej ekspedycji. W tej samej chwili na ścieżce prowadzącej z obozowiska pojawił się Cochran. W ręku trzymał rulon pergaminu związany szkarłatną wstążką i opatrzony czerwonymi królewskimi pieczęciami.

Sir Francis uśmiechnął się z satysfakcją i ulgą.

- Oto dokument, o którym mówiłem, pułkowniku - oświadczył. - Domagam się, byś traktował mnie i moją załogę ze względami należnymi jeńcom wojennym, pojmanym w uczciwej walce.

Kilkanaście kroków przed nimi Cochran zatrzymał się i rozwinął rulon, a potem wyciągnął go na długość ramienia i obrócił tak, że zobaczyli wszyscy ozdobne litery wykaligrafowane czarnym atramentem przez jakiegoś skrybę w admiralicji. Przywołał

skinięciem głowy jednego ze swoich marynarzy, wziął od niego załadowany pistolet, dmuchnął na płonący w zamku lont i przytknął go do skraju dokumentu.

Sir Francis patrzył przerażony, jak bladożółty płomyk pełźnie po pergaminie, który zaczyna zwijać się i czernieć.

- Cochran, ty podły zdrajco!

Chciał rzucić się na Szkota, lecz szpada Schreudera dotknęła jego piersi.

- Z największą przyjemnością przeszyję cię na wylot, kapitanie. Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości - warknął pułkownik.

- Ten łotr pali mój list kaperski.

- Nie widzę - stwierdził Schreuder, odwracając się umyślnie plecami do Szkota. - Widzę jedynie notorycznego pirata, który stoi przede mną z rękoma splamionymi krwią niewinnych ludzi.

Cochran obserwował płonący pergamin, szczerząc zęby pod rudawymi wąsami. Kiedy zaczął parzyć go w palce, przełożył dokument do drugiej ręki, obracając tak, żeby ogień strawił go do szczytu.

- Zauważyłem, że chętnie rozprawiasz o swoim honorze, pułkowniku - stwierdził z przekąsem sir Francis - widzę jednak, że to dla ciebie raczej iluzoryczne pojęcie.

- O honorze? - Schreuder chłodno się uśmiechnął. - Pirat mówi mi o honorze? To niemożliwe. Na pewno się przesłyszałem.

Dopiero gdy płomienie zaczęły lizać jego palce, Cochran rzucił ostatni szerniały strzęp pergaminu na ziemię i rozdeptał popiół.

- Obawiam się, że Franky próbuje z nami swoich starych sztuczek - oznajmił Schreuderowi. - Nie znalazłem żadnego listu kaperskiego podpisanego ręką monarchy.

- Też tak podejrzewałem. - Schreuder wsunął szpadę do pochwy. - Powierzam jeńców pańskiej opiece. Muszę teraz zadbać o bezpieczeństwo zakładników. Masz mnie natychmiast zaprowadzić do żony gubernatora - oświadczył, spoglądając na Hala. - Zwiąż mu ręce z tyłu, zarzuć sznur na szyję i prowadź na smyczy jak parszywego szczeniaka - rozkazał sierżantowi.

Pułkownik wstrzymał ekspedycję ratunkową do czasu, aż żołnierze odnajdą jego perukę. Próżność nie pozwalała mu pokazać się bez niej zakładnikom. Znaleźli ją w lesie, tam, gdzie ścigał Hala. Była przysypana wilgotną ziemią i zeschniętymi liśćmi, lecz Schreuder otrzepał ją o nogę i rozczesał starannie loki przed włożeniem na głowę. Z powrotem piękny i elegancki, skinął na Hala.

- Idziemy!

Kiedy wdrapali się na taras przed jaskinią, Hal wyglądał jak obraz nędzy i rozpacz. Ręce miał związane na plecach, sznur zarzucony na szyję. Jego twarz była czarna od pyłu i armatniego dymu, a ubranie porwane i powalane krwią i potem. Mimo wszystko wciąż zamartwiał się o Katinkę i wchodząc do jaskini poczuł, jak przechodzi go dreszcz trwogi. W środku nie było nikogo. Nie przeżyję, jeśli coś jej się stało, pomyślał.

- Tutaj właśnie zostawiłem Mevrouw van de Velde - powiedział. - Nic złego nie mogło się jej przytrafić.

- Lepiej dla ciebie, żebyś się nie mylił. - Groźba była jeszcze bardziej przerażająca przez to, że pułkownik wypowiedział ją półgłosem. - Mevrouw van de Velde! Jesteś bezpieczna, pani. To ja, pułkownik Schreuder. Przybyłem ci na ratunek.

Dzikię wino przy wejściu zaszleściło lekko, Kalinka wyłoniła się nieśmiało pomiędzy jego pnączy. Jej wielkie fiołkowe oczy zaszyły łzami, a blade rysy przybrały tragiczny wygląd.

- Och! - jęknęła zdławionym głosem. W pełnym dramatyzmie geście wyciągnęła dłonie do Corneliusa Schreudera. - A więc jednak wróciłeś! Dotrzymałeś obietnicy. - Stała na palcach i zarzuciła mu szczupłe ręce na szyję. - Wiedziałam, że wrócisz. Wiedziałam, że nigdy nie pozwolisz, by upokarzali mnie i dręczyli ci podli zbóje.

Przez sekundę Schreuder stęzał w jej uścisku, lecz potem wziął ją w ramiona i zaczął pocieszać, gdy szlochając przytuliła twarz do wstążek i szarf na jego piersi.

- Jeśli doznałaś od kogoś najmniejszego afrontu, przysięgam, że odpłacę mu po stokroć - oznajmił.

- To, co mnie tu spotkało, jest zbyt straszne, żeby o tym mówić - załkała.

- Czy on też cię źle traktował? - zapytał Schreuder, spoglądając na Hala.

Wciąż tuląc się do piersi Schreudera, Katinka zerknęła kątem oka na Hala. Zmrużyła złośliwie oczy, a jej lubieżne usta wykrzywił sadystyczny uśmiezek.

- On był najgorszy ze wszystkich. Nie jestem w stanie powtórzyć, jakie obrzydliwe rzeczy mi mówił ani jak mnie dręczył i upokarzał - oznajmiła łamiącym się głosem. - Dziękuję Bogu, że obdarzył mnie siłą, dzięki której zdołałam oprzeć się jego natarczywości.

Schreuder aż cały spuchł z wściekłości. Odsunął delikatnie na bok Katinkę, zacisnął prawą dłoń w pięść i uderzył Hala w głowę. Zaskoczony chłopak zatoczył się do tyłu. Schreuder ruszył za nim. Następne uderzenie trafiło Hala w splot słoneczny, pozbawiając go oddechu.

- Jak śmiałaś obrażać i dręczyć tę szlachetną damę? - ryknął pułkownik, trzęsąc się z oburzenia i zupełnie przestając nad sobą panować.



Zgięty wpół, Hal rzeził chrapliwie, dotykając niemal czołem kolan i próbując złapać powietrze. Schreuder chciał go kopnąć w twarz, lecz Hal uchylił się w ostatniej chwili. Wysoki but trafił go w ramię i odrzucił do tyłu.

- Nie jesteś godzien, żeby lizać podeszwy butów tej damy - pinił się pułkownik.

Miał zamiar uderzyć go ponownie, ale tym razem Hal był szybszy. Choć miał skrepowane z tyłu ręce, dał krok do przodu i kopnął pułkownika w krocze. Więzy osłabiły jednak siłę uderzenia.

Schreuder był bardziej zaskoczony niż poszkodowany.

- Na Boga, szczeniaku, posuwasz się za daleko!

Hal nie odzyskał jeszcze równowagi, kiedy kolejny cios zbił go z nóg. Zwinął się w kłębek i próbował uchylić przed kopniakami Schreudera.

- Tak, o tak! - Kalinka drżała z podniecenia. - Ukarz go za to, co mi zrobił - podjudzała Schreudera, doprowadzając go do białej gorączki. - Niech cierpi, tak jak ja cierpiałam.

Hal zdawał sobie sprawę, że w obecności tego mężczyzny Katinka musi się go wyprzeć i nawet cierpiąc, wybaczał jej. Zgiął się wpół, żeby osłonić wrażliwe miejsca, i przyjmował większość kopniaków na ramiona i uda. Jeden z nich trafił go w usta i krew pociekła mu po podbródku.

Katinka pisnęła i klasnęła w dłonie, widząc, jak krwawi.

- Nienawidzę go! O tak! Kopnij go jeszcze raz! Rozkwaś mu tę jego bezczelną gębę.

Widok krwi otrzeźwił jednak trochę Schreudera. Z widocznym wysiłkiem zostawił Hala, dysząc ciężko i wciąż trzęsąc się ze złości.

- To tylko przedsmak tego, co go czeka. Możesz mi, pani, wierzyć, że zapłaci zawiązką za swoje czyny, kiedy dotrzemy do Przylądka Dobrej Nadziei. Pozwól, że odprowadzę cię teraz na statek, który czeka w zatoce - powiedział, kłaniając się.

Katinka wydała z siebie żalostny jęk i dotknęła palcami miękkich różowych warg.

- Och, pułkowniku, boję się, że zaraz zemdleję. - Zatonęła na nogach i Schreuder rzucił się, żeby ją podtrzymać. Katinka oparła się o niego. - Chyba nie zdołam ustać na nogach.

Pułkownik wziął ją na ręce i ruszył w dół. Katinka przytuliła się do niego, jakby była dzieckiem, które trzeba zanieść do łóżka.

- Ruszaj, szubieniczniku! - sierżant poderwał Hala na nogi i ciągnąc za pętlę, poprowadził go, wciąż krwawiącego, w stronę obozowiska. - Byłoby dla ciebie lepiej, gdyby pułkownik wykończył cię od razu tutaj. Kat na Przylądku cieszy się złą sławą. To prawdziwy

artysta, tyle ci powiem - mruknął, szarpiąc mocniej za sznur. - Będzie miał z tobą niezłą zabawę, gwarantuję.

Szalupą przywieziono łańcuchy na plażę, gdzie w promieniach palącego słońca siedzieli pod strażą pozostali przy życiu marynarze Resolution - zarówno zdrowi, jak i ci, którzy odnieśli rany. Pierwsze kajdany przeznaczone były dla sir Francisa.

- Miło cię znowu zobaczyć, kapitanie - oznajmił marynarz, który je przyniósł. - Myślałem o tobie codziennie od naszego ostatniego spotkania.

- Ja za to nie pomyślałem o tobie ani razu, Samie Bowles - odparł z pogardą sir Francis, nawet na niego nie patrząc.

- Jestem teraz bosmanem. Jego lordowska mość mnie awansował - oświadczył Bowles, szczerząc beczelnie zęby.

- W takim razie życzę Myszołowowi, żeby miał z ciebie pociechę. Dobraliście się jak w korcu maku.

- Wyciągnij do przodu dłonie, kapitanie. Zobaczmy, jaką będziesz miał minę z żelaznymi bransoletkami na rękach. - Sam Bowles nie posiadał się ze szczęścia. - Na Boga, nie wyobrażasz sobie, jaką mi to sprawia frajdę. - Założył kajdany na ręce i nogi sir Francisa i zacisnął je kluczem tak mocno, że wbiły się w ciało. - Mam nadzieję, że pasują na ciebie tak samo dobrze jak ten twój rycerski płaszcz. - Nagle cofnął się, splunął sir Francisowi w twarz i wybuchnął śmiechem. - Obiecuję uroczyście, że w dniu, gdy zrefują ci żagle, będę na placu defilad, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego. Zastanawiam się, jak wyekspedują cię na tamten świat. Może spalą na stosie? A może raczej wywloką z ciebie flaki i powieszą?

Chichocząc głośno, Bowles podszedł do Hala.

- Dzień dobry, paniczku Henry. To ja, twój pokorny sługa, bosman Samuel Bowles. Przychodzę zapytać, czy czegoś ci nie trzeba.

- Nie widziałem twojej tchórzliwej gęby podczas walki - odparł cicho Hal. - Gdzie tym razem się schowałeś?

Sam zaczerwienił się i smagnął go ciężkim łańcuchem po głowie. Hal wyprostował się i spojrzał mu chłodno w twarz. Sam uderzyłby go ponownie, lecz nagle złapała go za nadgarstek czarna ręka. Odwrócił się i spojrzał prosto w przydymione oczy siedzącego obok Abolego. Murzyn nie powiedział ani słowa, ale Bowles nie mógł znieść jego morderczego spojrzenia. Wbijając oczy w ziemię, ukląkł i skuł szybko Hala.

Po chwili podniósł się i założył kajdany Abolemu, który przez cały czas wpatrywał się w niego beznamietnym wzrokiem. A potem podszedł do leżącego na piasku Dużego Daniela, który skrzywił się, lecz nawet nie jęknął, gdy Bowles szarpnął go brutalnie za ręce. Rana od

kuli przestała krwawić, ale teraz ponownie się otworzyła i spod czerwonej chusty, którą obandażował ją Aboli, zaczęła się sączyć wodnista krew.

Kiedy wszyscy zostali skuci kajdanami, kazano im wstać. Na pół podpierając, na pół niosąc Daniela, Hal i Aboli pokuśtykali wraz z resztą więźniów pod wysokie drzewo, gdzie kazano im ponownie usiąść. Żołnierze owinęli łańcuch wokół pnia i zabezpieczyli go dwiema ciężkimi żelaznymi kłódkami.

Z całej załogi Resolution ocalało tylko dwudziestu sześciu marynarzy. Znajdowało się wśród nich czterech byłych niewolników, do których zaliczał się Aboli. Prawie wszyscy odnieśli jakieś obrażenia, ale czworo ludzi, w tej liczbie Daniel, było ciężko rannych.

Neda Tylera ktoś ciachnął głęboko kordem w udo. Skuci łańcuchami Hal i Aboli zabandażowali je strzępami koszuli jednego z poległych, którzy leżeli na pobojowisku niczym szczątki okrętu na smaganej wiatrem plaży.

Odziani na zielono muszkietrzy sprzątali zwłoki pod dowództwem holenderskich sierżantów. Zaciągali je na polanę między drzewami, rozbierali do naga i rewidowali, szukając srebrnych monet i innych przedmiotów stanowiących część łupu ze Standvastigheid.

Dwaj podoficerowie pracowicie przeszukiwali ubrania, zrywając szwy i podważając podeszwy butów. Inni trzej, z zakasnymi wysoko rękawami i palcami umazanymi w tłuszczu, sprawdzali otwory anatomiczne, szukając kosztowności, które tradycyjnie ukrywa się w tych miejscach.

Odzyskane łupy wrzucano do pustej beczki, której pilnował biały sierżant z załadowanym pistoletem. Po sprawdzeniu zwłok przez upiorne trio kolejna grupka odciągała je na bok i rzucała na wielkie pogrzebowe stosy. Podsycane suchymi polanami płomienie strzelały wysoko w górę, osmalając zielone liście drzew. Smród palonych zwłok był słodki i mdlący niczym przypalone świńskie sadło.

Schreuder, Cochran i kapitan galeonu Limberger zainteresowali się tymczasem składem przypraw. Z gorliwością poborców podatkowych sprawdzali zawartość i wagę każdej beczki. Porównując je z oryginalnym okrętowym manifestem, stawiali na nich znaki białą kredą.

Kiedy skończyli rachować, kolejna grupa marynarzy zatoczyła wielkie beki na plażę i załadowała je do największej szalupy, która odplynęła do galeonu stojącego na kotwicy z nowym masztem i olinowaniem. Załadunek kontynuowano przez całą noc przy świetle latarni, ognisk i płonących stosów pogrzebowych.

Duży Daniel leżał w gorączce. Miał rozpaloną skórę i co jakiś czas majaczył. Bandaż zatamował w końcu upływ krwi i na ranie zaczął się tworzyć miękki strup, skóra dookoła była jednak spuchnięta i zaogniona.

- Kula jest w środku - szepnął Hal do Abolego. - Na plecach nie ma otworu, przez który mogła wyjść z ciała. Aboli chrząknął cicho.

- Jeśli spróbujemy ją wyciągnąć, umrze. Sądząc z kąta, pod którym weszła, musiała utkwąć blisko serca i płuc.

- Boję się, że tego nie przeżyje - stwierdził Hal, potrząsając głową.

- Jest silny jak byk - odparł Aboli, wzruszając ramionami. - Dość silny, żeby pokonać demony.

Aboli wierzył, że wszystkie choroby wywołują demony, które dostają się do krwi. Był to bezpodstawny zabobon, lecz Hal nie chciał się z nim spierać.

- Powinniśmy wypalić wszystkie rany gorącą smołą - oznajmił.

Gorąca smoła stanowiła marynarskie lekarstwo na wszelkie obrażenia. Hal poprosił po holendersku pilnujących ich Hotentotów, żeby przynieśli im kociołek z obozowiska, lecz oni nie chcieli go słuchać.

Dopiero po północy ujrzeli ponownie Schreudera. Wyłoniwszy się z mroku, podszedł prosto do sir Francisa, który leżał pod drzewem, skuty wraz z innymi. Podobnie jak reszta, był kompletnie wyczerpany i zdołał przespać się tylko parę chwil, budzony stale przez hałasujących żołnierzy i słabe jęki rannych.

Schreuder pochylił się i potrząsnął go za ramię.

- Czy mógłbyś mi poświęcić trochę czasu, kapitanie? - zapytał. Sądząc po głosie, był w bardziej spokojnym nastroju. Sir Francis usiadł na ziemi.

- Przede wszystkim, pułkowniku, czy mógłbyś się nad nami trochę zlitować? Żaden z moich ludzi nie dostał kropli wody od wczorajszego popołudnia. Jak widzisz, czterech jest poważnie rannych.

Schreuder zmarszczył brwi i sir Francis domyślił się, że nie kazał specjalnie źle traktować więźniów. Nie sądził, by pułkownik był sadystą lub okrutnikiem z natury. Jego poprzednie ekscesy wynikały prawie na pewno z wybuchowego charakteru, napięcia i bitewnej gorączki. Teraz przywołał strażników i kazał podać więźniom wodę oraz jedzenie. Wysłał także sierżanta, aby odnalazł w zburzonej chacie sir Francisa skrzynię z narzędziami medycznymi.

Czekając na wykonanie rozkazów, Schreuder spacerował w tę i z powrotem z głową zwieszoną na piersi i splecionymi z tyłu rękoma. Obserwujący go Hal nagle się wyprostował.

- Spójrz na tę szpadę, Aboli - szepnął.

Do pasa Schreudera przypięta była ozdobna szpada z Neptunem, która należała kiedyś do Charlesa Courteneya. Aboli położył dłoń na ramieniu Hala, nie chcąc, by ten wszczął zwadę z pułkownikiem.

- Takie są prawa wojny, Gundwane - powiedział półgłosem. - Straciłeś tę broń, ale będzie ją przynajmniej nosił prawdziwy wojownik.

Hal spuścił głowę, godząc się z okrutną logiką, zawartą w słowach przyjaciela.

- Kapitan Limberger i ja sprawdziliśmy drewno oraz beczki z przyprawami - oznajmił Schreuder, zwracając się do sir Francis - i przekonaliśmy się, że większość jest w nienaruszonym stanie. Niewielkie niedobory powstały prawdopodobnie w wyniku zniszczenia przypraw przez morską wodę podczas ataku na galeon. Powiedziano mi, że jedna z waszych kuł trafiła w ładownię i część ładunku została zalana.

- Niezmiernie mnie cieszy - odparł z ironią sir Francis - że zdołałeś odzyskać wszystkie należące do Kompanii towary, pułkowniku.

- Niestety rzecz ma się zupełnie inaczej i świetnie o tym wiesz, panie. Wciąż brakuje dużej części ładunku. - Schreuder przerwał, żeby wydać rozkazy sierżantowi. - Zdejmij łańcuchy z Murzyna i chłopca. Niech napoją innych.

Kilku żołnierzy przy dźwigało beczkę i postawiło ją przy drzewie. Uwolnieni z kajdan, Hal i Aboli zaczęli natychmiast podawać słodką wodę rannym, którzy chleptali drogocenny napój, przymykając oczy i poruszając miarowo grdykami.

- Znalazłem narzędzia chirurgiczne, pułkowniku - zameldował sierżant. - Ale są tu ostre noże, których można użyć jako broni, podobnie zresztą jak gorącej smoły z kociołków.

Schreuder spojrzał na wycieńzonego i wynędzniałego sir Francis, który siedział przy pniu drzewa.

- Czy dasz słowo honoru, że nie użyjesz tych narzędzi przeciwko moim ludziom? - zapytał.

- Masz moje słowo honoru, pułkowniku - odparł sir Francis. Schreuder skinął na swojego podwładnego.

- Oddaj to wszystko kapitanowi - powiedział.

Sierżant przekazał sir Francisowi małą skrzynkę z narzędziami medycznymi, kociołek ze smołą oraz sztukę płótna, które można było użyć na bandażu.

- Jak już powiedziałem, kapitanie - podjął Schreuder - odzyskaliśmy zrabowane przyprawy oraz drewno, wciąż jednak brakuje nam przeszło połowy monet. Nie mamy także ani jednej sztaby złota, które znajdowało się w ładowni Standvastigheid.

- Łupy zostały podzielone między załogę - wyjaśnił z zimnym uśmiechem sir Francis.  
- Nie mam pojęcia, co zrobili ze swymi udziałami, a większość jest martwa i nie może nas w tej kwestii oświecić.

- Odzyskaliśmy znaczną część tego, co, moim zdaniem, przypadło w udziale załodze.  
- Schreuder wskazał ręką beczkę zawierającą kosztowności zabrane w tak makabryczny sposób poległym na polu bitwy. Kilku marynarzy, których eskortowali dwaj holenderscy oficerowie z obnażonymi szpadami, niosło ją właśnie w stronę czekającej szalupy. - Moi oficerowie przeszukali kwatery twoich ludzi, nie znaleźliśmy jednak nigdzie brakującej części ładunku.

- Bardzo chciałbym ci pomóc, pułkowniku, nie jestem jednak w stanie powiedzieć, co się z nią stało - oświadczył cicho sir Francis.

Słyszając te słowa, opatrujący rannego Hal podniósł głowę, lecz ojciec nawet nie spojrział w jego stronę.

- Lord Cumbrae uważa, że ukryłeś brakujące skarby - stwierdził Schreuder. - A ja skłonny jestem mu wierzyć.

- Lord Cumbrae jest słynnym kłamcą i oszustem - mruknął sir Francis. - A ty, pułkowniku, głęboko się mylisz.

- Lord Cumbrae jest zdania, że gdybym mu pozwolił cię przesłuchać, szybko dowiedziałby się, gdzie znajduje się ukryty skarb. Ma wielką ochotę skłonić cię do wyjawienia tego sekretu. Z największą trudnością powstrzymuję go przed spełnieniem tego zamiaru.

Sir Francis wzruszył ramionami.

- Zrobisz to, co uważasz za konieczne, pułkowniku, lecz chociaż oczywiście mogę się mylić, torturowanie jeńców nie jest czymś, co mógłby pochwalać żołnierz twojego pokroju. Dziękuję za miłosierdzie, jakie okazałeś moim rannym.

Odpowiedź Schreudera zagłuszył rozzwierający krzyk Neda Tylera, w którego otwartą ranę na udzie Aboli wlał właśnie chochlę dymiącej smoły. Kiedy krzyk przeszedł w stłumione jęki, pułkownik podjął gładko przerwana kwestię.

- Przewodnictwo trybunału, który osądzi cię za piractwo, obejmie nowy gubernator Przylądka Dobrej Nadziei. Mam poważne wątpliwości, czy Petrus Jacobus van de Velde będzie wobec ciebie tak samo miłosierny jak ja. - Schreuder przerwał na chwilę. - Swoją drogą wiem z wiarygodnego źródła, że kat zatrudniony przez Kompanię na Przylądku Dobrej Nadziei słynie z wyjątkowej biegłości w swoim fachu.

- Udzielę gubernatorowi i jego katowi tej samej odpowiedzi co tobie, pułkowniku.



Schreuder przysiadł na piętach i zniżył głos do konspiracyjnego, niemal przyjaznego szeptu.

- W czasie naszej krótkiej znajomości nabrałem do ciebie wielkiego szacunku jako do żołnierza, żeglarza i szlachcica. Gdybym złożył przed trybunałem zeznanie, że twój list kaperski istniał i że działałeś w dobrej wierze, twój proces mógłby potoczyć się zupełnie inaczej.

- Pokładasz chyba w gubernatorze van de Veldem wiarę, której mnie zupełnie brakuje, pułkowniku - odparł sir Francis. - Chciałbym bardzo pomóc ci w karierze, oddając brakującą część skarbu, ale nie mogę nic zrobić. Nie wiem, gdzie znajdują się sztaby, o których mówisz.

Schreuder wyprostował się sztywno.

- Próbowałem ci pomóc, panie. Żałuję, że odrzuciłeś moją propozycję. W jednym masz jednak rację. Nie mam zamiaru poddawać cię torturom. Co więcej, nie pozwolę, żeby zajął się tym lord Cumbrae. Spełnię po prostu mój obowiązek i oddam cię w ręce trybunatu na Przylądku Dobrej Nadziei. Proszę cię po raz ostatni, kapitanie. Czy nie zmienisz swojej decyzji?

Sir Francis potrząsnął głową.

- Żałuję, ale nie mogę ci pomóc. Schreuder westchnął.

- Jutro rano, kiedy tylko Guli of Moray będzie gotowa do rejsu, razem ze swoimi ludźmi zostaniesz przetransportowany na jej pokład. Fregata Sonnevogel ma do wykonania inne zadania w Indiach i pożegluje stąd bezpośrednio w tamte rejony. Standvastigheid zostanie tu pod komendą swojego prawdziwego dowódcy, kapitana Limbergera, żeby zabrać ładunek przypraw i drewna i podjąć przerwana podróż do Amsterdamu - oznajmił, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął w mroku, tam, gdzie stały beczki z przyprawami.

Kiedy nazajutrz rano obudzili ich strażnicy, czterej ranni, w tym Daniel i Ned Tyler, nie byli w stanie podnieść się na nogi. Współtowarzysze musieli ich nieść. Łańcuchy, którymi byli skuci, nie dawały żadnej swobody ruchów i idąc gęsiego na plażę, powłóczyli niezgrabnie nogami. Wsiadając do szalupy, nie mogli unieść dość wysoko stóp i strażnicy musieli ich wepchnąć do środka.

Po przycumowaniu przy sznurowej drabince spuszczonej z pokładu Guli of Moray zorientowali się, że czeka ich niebezpieczna wspinaczka. Przy relingu stał Sam Bowles, patrząc w dół.

- Czy możemy im zdjąć kajdany, bosmanie? - zawołał jeden z siedzących w łodzi strażników.

- Dlaczego mielibyście to robić?! - odkrzyknął Sam.

- Ranni nie dadzą rady sami się wdrapać, a inni nie będą w stanie ich wciągnąć.

- Jeśli nie dadzą rady, mogą mieć pretensje tylko do siebie - odparł Sam. - To rozkaz jego lordowskiej mości. Nie wolno im zdejmować kajdanów.

Sir Francis ruszył pierwszy. Przy każdym kroku ściągał go w dół sznur skutych łańcuchami więźniów. Czterech rannych mających w gorączce stanowiło balast, który trzeba było wciągnąć na górę. Najwięcej trudności sprawił im Duży Daniel. Gdyby go nie utrzymali, spadłby z powrotem do łodzi, pociągając za sobą wszystkich dwudziestu sześciu ludzi i prawie na pewno wywracając ją do góry dnem. Znalazłszy się w wodzie, obciążeni żelaznymi łańcuchami, poszliby natychmiast na dno, cztery sążnie w dół.

Gdyby nie nadludzka siła Abolego, nigdy nie wdrapaliby się na pokład. Ale i on był kompletnie skonany, kiedy przerzucił w końcu bezwładne ciało Daniela przez burtę i padł obok niego na wyszorowane białe deski. Leżąc i ciężko dysząc, usłyszeli nagle perlisty śmiech.

Hal uniósł z wysiłkiem głowę. Na rufie Guli of Moray stał pod płóciennym daszkiem nakryty do śniadania stół. W promieniach porannego słońca migotały kryształowe kieliszki i srebrna zastawa. Z podgrzewanego srebrnego półmiska unosił się silny aromat bekonu, świeżych jajek i gorących sucharów.

Siedzący u szczytu stołu Cochran wznosił w górę kielich whisky, pozdrawiając leżących na pokładzie sponiewieranych więźniów.

- Witajcie na pokładzie! Wasze zdrowie, panowie! - Spelił toast i wytarł wąsy adamaszkową serwetką. - Przygotowaliśmy dla was najlepsze kwatery. Życzę przyjemnej podróży.

Kalinka van de Velde ponownie wybuchnęła swoim melodyjnym perlistym śmiechem. Siedziała po lewej ręce Cochra, z wysoko upiętymi złotymi lokami, upudrowaną twarzą, szeroko otwartymi niewinnymi fiołkowymi oczyma i wymalowanym starannie pieprzykiem w kąciku uszminkowanych warg.

Gubernator siedział naprzeciwko żony. Uniósł w górę srebrny widelec z chrupiącym bekonem i serem, przeżuwając jedzenie, które miał w ustach. Kropla żółtka wyciekła spomiędzy jego obwisłych warg i popłynęła po podbródku.

- Proszę nie wpadać w rozpacz, sir Francisie - oznajmił, wybuchając rubasznym śmiechem. - Pamiętaj o dewizie swego rodu. Jestem pewien, że wytrwasz. - Przerwał, żeby wetknąć do ust bekon, i po chwili znowu się odezwał. - Naprawdę wyborne jedzenie, świeżo z Przyładka Dobrej Nadziei. Jaka szkoda, że nie możesz się do nas przyłączyć.

- Jak to miło ze strony lordowskiej mości, że zapewnił nam trochę rozrywki. Czy ci trubadurzy coś nam zaśpiewają? A może pokażą nam kolejne akrobatyczne sztuczki? - zapytała po holendersku Katinka, po czym wydeła zalotnie śliczne usta i malowanym chińskim wachlarzem klepnęła Cochraną po ramieniu.

W tym momencie Duży Daniel krzyknął w malignie i zaczął kręcić gwałtownie głową, waląc nią o deski pokładu. Cochran ryknął śmiechem.

- Jak widzisz, pani, starają się, jak mogą, lecz ich repertuar nie każdemu może przypaść do gustu. Pokaż im ich kwatery - polecił Bowlesowi - i dopilnuj, żeby o nich dobrze zadbano.

Smagając więźniów zawiązanym w supły sznurem, Bowles zmusił ich do podniesienia się na nogi. Dźwigając rannych, zeszli po drabince. Głęboko pod główną ładownią znajdował się niski pokład przeznaczony dla niewolników. Kiedy Bowles podniósł prowadzącą doń klapę, nawet jego zmusił do cofnięcia się o dwa kroki bijący stamtąd smród - esencja cierpień setek nieszczęśników, którzy tu szczęli.

Pomieszczenie miało najwyżej jard wysokości i żeby do niego wejść, musieli czołgać się, wlokąc za sobą rannych. Wzdłuż całej ładowni biegła gruba dębowa belka, w której zamocowano żelazne obręcze. Sam i jego czterej pomocnicy popęzli za nimi i przewlekli przez nie ich łańcuchy, tak że więźniowie leżeli niczym śledzie w beczce, jeden obok drugiego, przykuci za ręce i nogi. Mogli co najwyżej usiąść, lecz nie mieli możliwości przekreślić się na bok ani rozprostować zdrewniałych członków więcej niż na kilka cali.

Hal miał po jednej stronie ojca, a po drugiej nieprzytomnego Dużego Daniela. Aboli leżał między Danielem i Nedom Tylerem.

Kiedy wszyscy więźniowie zostali przykuci, Sam wygramolił się przez właz i spojrzał na nich z góry.

- Przy tym wietrze podróż do Przylądka Dobrej Nadziei zajmie nam dziesięć dni - oznajmił. - Dziennie będziecie dostawać po pół kwarty wody i trzy uncje sucharów na głowę... oczywiście, jeśli o was nie zapomnę. Wolno wam srać i sikać tam, gdzie leżycie. Do zobaczenia na Przylądku, kochani.

Zatrzasnął klapę i usłyszeli, jak blokuje ją klinami. Kiedy umilkły odgłosy młotka, poraziła ich nagła cisza. Z początku panowała kompletna ciemność, ale po pewnym czasie, gdy się do niej przyzwyczaili, mogli zobaczyć zarysy leżących obok towarzyszy.

Hal dostrzegł źródło światła - małą żelazną kratkę wmontowaną w deski dokładnie nad jego głową. Nawet bez prętów była zbyt mała, by mógł przez nią przecisnąć głowę

dorośli mężczyzna. Natychmiast wyeliminował ją jako drogę możliwej ucieczki. Dzięki niej docierało jednak do nich trochę świeżego powietrza.

Smród był trudny do zniesienia; dławili się panującą w pomieszczeniu duchotą. Duży Daniel jęknął i to rozwiązało im języki. Wszyscy zaczęli mówić naraz.

- Słodki Jezu, cuchnie tutaj jak w sraczu podczas zbioru moreli.

- Myślisz, że jest stąd jakaś droga ucieczki, kapitanie?

- Oczywiście, że jest, mój byku - odparł ktoś za sir Francis. - Kiedy zawiniemy do portu.

- Oddałbym połowę największego łupu, jaki kiedykolwiek zdobyto na morzu, za pięć minut sam na sam z Samem Bowlesem.

- Ja cały łup za pięć minut z parszywym Cochranem.

- Albo z tym serojadem Schreuderem.

- Och, mamusiu - wybełkotał nagle Daniel. - Widzę twoją śliczną buzię. Chodź, pocałuj małego Danny'ego.

Jego żaloszny płacz wprowadził ich w przygnębienie i w ciemnej cuchnącej ładowni zaległa pełna rozpacz cisza. Stopniowo zapadali w apatyczne odrętwienie, przerywane tylko z rzadka jękami rannych i szczękiem kajdan tych, którzy chcieli ułożyć się w lepszej pozycji.

Powoli czas stracił dla nich wszelkie znaczenie i żaden nie wiedział, czy jest dzień, czy noc, gdy zazgrzytał kabestan i usłyszeli niewyraźne komendy podoficerów przygotowujących Guli do podniesienia żagli.

Hal próbował odgadnąć kurs statku na podstawie przechyłu kadłuba, ale wkrótce stracił orientację. Dopiero kiedy Guli gwałtownie się zanurzyła, następnie zaś zaczęła unosić się i opadać w stałym rytmie otwartego morza, stało się jasne, że wypłynęli z laguny i minęli skaliste cyple.

Całymi godzinami statek zmagał się z południowo-wschodnim wiatrem, oddalając uparcie od brzegu. Ruchy kadłuba sprawiły, że jeździli tyłkami po gołych deskach, przesuając się o kilka cali, na tyle, na ile pozwalały łańcuchy, a potem ślizgając z powrotem. Z wielką ulgą powitali zmianę halsu.

- Nareszcie. Tak jest o wiele lepiej - przemówił za nich wszystkich sir Francis. - Jesteśmy na pełnym morzu. Cochran zrobił zwrot przez dziób i teraz płyniemy prosto na zachód do Przylądka Dobrej Nadziei. Wiatr wieje od rufy.

Z upływem czasu Hal nauczył się zgadywać porę dnia na podstawie natężenia światła, które wpadało przez świetlik. Podczas długich nocy w ładowni było ciemno jak na dnie górniczego szybu. Ale z nadejściem świtu znad jego głowy zaczynało się sączyć sła-bitkie

światło i w końcu za jasną twarzą Dużego Daniela mógł dostrzec ciemny owal głowy Abolego.

Mimo to nawet w południe najgłębsze zakamarki ładowni były skryte w mroku. Co jakiś czas dobiegały z nich jęki, westchnienia i szepty, odbijając się dziwnym echem od dębowych ścian. A potem ponownie światło gasło i nieprzenikniona ciemność sygnalizowała nadejście kolejnej nocy.

Trzeciego dnia rano do Hala dotarła powtarzana szeptem wiadomość: „Timothy O'Reilly nie żyje”. Timothy był jednym z rannych; holenderski muszkietier ciął go kordem przez pierś.

- Był dobrym człowiekiem - uczcił jego pamięć sir Francis. - Niech spoczywa w pokoju. Szkoda, że nie możemy mu wyprawić chrześcijańskiego pogrzebu.

Piątego ranka odór ciała Timothy'ego dołączył do miazmatów rozkładu i zgnilizny, którymi zionęła ładownia i które wypełniały przy każdym oddechu ich płuca.

Leżąc odrętwiały z rozpacz, Hal czuł często, jak przez jego ciało przebiegają tłuste szare szczury, wielkie niczym króliki. Ostre pazury drapały go boleśnie w skórę. W końcu zrezygnował z beznadziejnych prób odpędzenia ich kopniakami i pogodził się z niewygoda. Dopiero gdy jeden z nich zatopił ostre zakrzywione zęby w jego dłoni, wrzasnął głośno, złapał go i piszczącego dziko zadusił gołymi rękoma.

Kiedy leżący obok niego Daniel krzyknął z bólu, zdał sobie sprawę, że szczury gryzą również jego i że ranny nie jest w stanie się przed nimi bronić. Od tej pory razem z Abolim pełnili na zmianę dyżury, starając się odgonić krwiożercze gryzonie od nieprzytomnego bosmana.

Kajdany nie pozwalały im ukucnąć nad biegnącym wzdłuż całej ładowni wąskim korytem, którymi miały odpływać odchody. Co jakiś czas Hal słyszał, jak któryś z więźniów wypróżnia się tam, gdzie leży, i zaraz potem cuchnącą ładownię wypełniał intensywny smród świeżego kału.

W pewnej chwili Daniel opróżnił pęcherz, a ciepły mocz pociekł po deskach i zmoczył koszulę i bryczesy Hala. Nie był w stanie na to nic poradzić, mógł tylko odchylić do tyłu głowę.

Prawie każdego dnia, według obliczeń Hala w południe, kliny blokujące kłapę ustępowały pod silnymi uderzeniami młotka. Kiedy się otwierała, wpadające do środka przyćmione światło prawie ich oślepiało. Podnosili skute łańcuchami ręce, żeby osłonić oczy.

- Mam dla szanownych panów coś na wzmocnienie - rozległ się głos Sama Bowlesa.  
- Kubek wody z naszych najstarszych beczek, z pływającym w środku robactwem i kroplą mojej śliny dla lepszego bukietu.

Słyszeli, jak zdrowo spluwa, a potem wybucha śmiechem. Każdy kubek trzeba było przekazać z rąk do rąk aż na koniec ładowni, a kiedy woda się wylała, nie mogli liczyć na dokładkę.

- Jedna porcja dla każdego z panów. Dwadzieścia sześć kubków i ani kropli więcej - powtarzał wesoło Bowles.

Duży Daniel nie był już w stanie samodzielnie pić. Aboli unosił mu głowę, a Hal wlewał wodę między wargi. Innych chorych trzeba było poić w ten sam sposób. Marnowało się przy tym mnóstwo wody i cały proces trwał bardzo długo. Sam Bowles tracił cierpliwość, zanim napiła się połowa.

- Żaden nie chce więcej? Cóż, w takim razie, do widzenia - parsknął i zatrząskiwiał kłapę, nie zwracając uwagi na błagania więźniów, którym skóra schodziła ze spieczonych warg. Był nieubłagany i musieli czekać na swoją rację do następnego dnia.

Kiedy nazajutrz rano otrzymali wodę, Aboli nabrał jej do ust, przytknął wargi do warg Daniela i wlał ją nieprzytomnemu do gardła. W ten sam sposób postąpili z innymi rannymi. Metoda okazała się dość szybka, żeby zadowolić Sama Bowlesa i nie marnowali już tyle drogiego napitku.

- Na litość boską, bosmanie, mamy tutaj truposza - zawołał ktoś. - Timothy O'Reilly cuchnie aż do samego nieba. Nie czujesz tego?

- Cieszę się, że mi powiedziałeś - odparł, chichocząc, Sam Bowles. - To oznacza, że nie będziecie już potrzebować jego wody. Od jutra dostaniecie tylko dwadzieścia pięć kubków.

Daniel umierał. Nie jęczał już ani nie miotał się w malignie. Leżał niczym trup. Nie funkcjonował nawet jego pęcherz i przestał wypróżniać się bezwiednie na cuchnące deski. Hal trzymał go za głowę i szeptał do ucha, próbując namówić, by pozostał przy życiu.

- Nie możesz się teraz poddać. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zanim się zorientujesz, dopłyniemy do Przylądka. Będziesz tam miał tyle słodkiej wody, ile tylko zdołasz wypić, i piękne niewolnice, które się tobą zajmą. Pomyśl o tym, Danny.

Szóstego dnia w południe odezwał się do leżącego po drugiej stronie Abolego.

- Chcę ci coś pokazać. Podaj mi rękę.

Ujął palce Murzyna i przesunął je po żebrach Daniela. Jego skóra była tak rozpalona, że prawie parzyła, a ciało tak wychudłe, że żebra sterczały niczym obręcze beczki.



Hal obrócił Daniela na bok na tyle, na ile pozwalały łańcuchy, i przytknął palce Abolego do jego łopatki.

- Tutaj! Czujesz ten guz?

- Czuję, ale nie widzę - mruknął Aboli. Kajdany nie pozwalały mu pochylić się nad Danielem.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że wiem, co to jest. - Hal przysunął twarz do pleców rannego i wyteżył wzrok w przyćmionym świetle. - Guz ma wielkość orzecha. Jest czarny jak siniak.

Dotknął go lekko, lecz nawet tak słaby ucisk sprawił, że Daniel jęknął i podskoczył w miejscu.

- Musi być bardzo bolesny - stwierdził sir Francis, unosząc się na łokciu i pochylając najdalej, jak mógł. - Nie widzę zbyt dobrze. Gdzie jest ten guz?

- Pośrodku łopatki - odparł Hal. - Moim zdaniem to kula muszkietu. Przeszła przez całą pierś i tkwi teraz pod skórą.

- W takim razie to ona właśnie go zabija - oznajmił sir Francis. - To przyczyna i źródło zgorzeli, która go niszczy.

- Gdybym miał nóż - mruknął Hal - moglibyśmy spróbować ją wydobyć. Ale Sam Bowles zabrał skrzynkę, z narzędziami.

- Zanim to zrobił, ukryłem jeden z noży - mruknął Aboli, wyjmując zza pasa cienki sztylet, który załśnił niewyraźnie w padającym przez kratkę przyćmionym świetle. - Czekałem na odpowiedni moment, żeby poderżnąć nim gardło Bowlesowi.

- Musimy zaryzykować - oznajmił sir Francis. - Jeśli kula zostanie w jego ciele, zabije go prędzej niż skalpel.

- Nie widzę stąd miejsca, w którym trzeba zrobić cięcie - stwierdził Aboli. - Ty będziesz musiał spróbować, kapitanie. Usłyszeli brzęk przesuwanego przez obręcz żelaza.

- Mój łańcuch jest za krótki - mruknął sir Francis. - Nie mogę się do niego zbliżyć.

Przez chwilę trwała cisza.

- Hal - odezwał się w końcu sir Francis.

- Ależ, ojcze - zaprotestował chłopak. - Ja nie mam potrzebnej wiedzy ani umiejętności.

- W takim razie Daniel umrze - oświadczył cicho Aboli. - Od ciebie zależy, czy przeżyje, Gundwane. Weź ten nóż.

Hal miał wrażenie, że sztylet jest ciężki niczym sztaba ołowiu. Ze spierzchniętymi ze strachu wargami przesunął ostrzem po opuszcze kciuka i odkrył, że stępało wskutek długiego używania.

- Jest tępy - poskarżył się.

- Aboli ma rację, synu. - Sir Francis położył mu dłoń na ramieniu i lekko je ścisnął. - W tobie jedyna nadzieja.

Hal wymacał lewą ręką guz na rozpalonej skórze Daniela. Kula poruszyła się pod jego palcami i czuł, jak ociera lekko o kość łopatki.

Ból ocucił Daniela, który szarpnął krepujące go łańcuchy.

- Ratuj mnie, Jezu! - krzyknął. - Zgrzeszyłem przeciw prawom boskim i ludzkim. Idzie po mnie diabeł. Jest czarny jak noc. Wszystko ciemnieje.

- Trzymaj go, Aboli - szepnął Hal. - Tak, żeby się nie poruszył.

Aboli objął mocno Daniela. Jego ramiona przypominały sploty czarnego pytona.

- Do dzieła - powiedział. - Zrób to szybko!

Hal pochylił się nad Danielem na tyle, na ile mógł. Tylko szerokość dłoni dzieliła jego twarz od pleców rannego bosmana. Teraz widział guz całkiem wyraźnie. Skóra na nim była purpurowa i lśniąca jak dojrzała śliwka. Hal oparł palce po jego obu stronach i jeszcze bardziej naciągnął skórę.

Wziął głęboki oddech i dotknął nożem zgrubienia. A potem zebrał całą odwagę, policzył cicho do trzech i pchnął ostrze z całą siłą wyszkolonego szermierza. Poczuł, jak wchodzi głęboko w plecy Daniela, a potem uderza metalicznie o coś twardego i nieustępliwego.

Daniel wrzasnął i osunął się nieprzytomny w ramiona Abolego. Z nacięcia trysnęła struga purpurowej i żółtej ropy. Gorąca i gęsta jak klej uderzyła Hala prosto w usta i rozprysnęła się na podbródku. Jej odór był gorszy od innych smrodów, którymi zionęła ładownia, i Hal poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Przełknął ją z powrotem, otarł twarz ramieniem i dopiero potem zmusił się do ponownego spojrzenia na ranę.

Wciąż płynęła z niej czarna materia, ale zobaczył, że wewnątrz nacięcia tkwi jakieś obce ciało. Podważył je szpicem noża i wy dobył na zewnątrz strzęp ciemnego włóknistego materiału. Okruchy strzaskanej kości zmieszane w nim były z na pół skrępełą krwią i ropą.

- To kawałek kurtki Danny'ego - powiedział. - Kula musiała wbić go w ranę.

- Znalazłeś kulę? - zapytał sir Francis.

- Nie, w dalszym ciągu gdzieś tkwi. - Hal pogrzebał głębiej nożem w ranie. - Tak. Jest tam.

- Możesz ją wydobyć?

Przez kilka minut Hal pracował w milczeniu, dziękując Bogu, że Daniel stracił przytomność i nie musi cierpieć w trakcie tego brutalnego zabiegu. Zamiast ropy z ciemnej rany płynęła teraz świeża czysta krew.

- Nie mogę wydłubać jej nożem. Wciąż mi się wyslizguje - szepnął.

Odłożył na bok narzędzie i wcisnął palec w gorące żywe ciało Daniela. Ze zdławionym oddechem wsuwał go coraz głębiej i głębiej, aż w końcu dotknął opuszką kawałka ołowiu.

- Mam ją - wykrzyknął, gdy kula wypadła z rany i potoczyła się po deskach.

Była zdeformowana przez gwałtowny kontakt z kością; na miękkim ołowiu widniała jasna lustrzana plama. Hal popatrzył na nią z ulgą, a potem wyjął palec z rany. Razem z ropą wyszło z niej kolejne obce ciało.

- To przybitka - wyjąkał. - Myślę, że wszystko już wyciągnąłem.

Spojrzał na swoje usmarowane ręce. Ich odór uderzył go w twarz niczym cios pięścią. Przez chwilę wszyscy milczeli.

- Dobra robota, Hal - szepnął w końcu sir Francis.

- On chyba umarł - odparł półgłosem chłopak. - W ogóle się nie rusza.

Aboli puścił Daniela i dotknął dłonią jego nagiej piersi.

- Nie, jeszcze żyje. Czuję jego serce. Teraz, Gundwane, musisz obmyć jego ranę.

Przesunęli nieruchome ciało Daniela na tyle, na ile pozwalały kajdany i Hal ukląkł nad nim. Zsunął w dół brudne bryczesy i odwodniony przez skąpe racje wody polał ranę słabą strugą moczu. Było go dosyć, żeby zmyć ropę i gnijące strzępy przybitki. Ostatnich kropli użył do zmycia części brudu z własnych rąk i wyczerpany wysiłkiem opadł na deski.

- Spisałeś się jak prawdziwy mężczyzna, Gundwane - pochwalił go Aboli, podając Halowi czerwoną chustę, zaschniętą od krwi i ropy. - Użyj tego do zatamowania krwi. Nie mam nic więcej.

Opatrywany Daniel leżał niczym trup. Nie jęczał już ani nie szarpał się w łańcuchach.

Trzy dni później, gdy Hal pochylił się, żeby wlać mu do ust wodę, Daniel odsunął nagle jego głowę i zabrał mu kubek z rąk. Opróżnił go trzema długimi haustami i donośnie beknął.

- Na Boga, ale dobre. Wypiłbym jeszcze kropelkę - oznajmił słabym, lecz w pełni świadomym głosem.

Hal był taki szczęśliwy, że oddał mu własną rację i patrzył, jak ją wypija. Nazajutrz Daniel był już w stanie usiąść.

- Twój zabieg zabiłby tuzin zwyczajnych śmiertelników - mruknął sir Francis, obserwując z podziwem szybki powrót Daniela do zdrowia - ale Danielowi Fisherowi najwyraźniej poszedł na zdrowie.

Mam dla was dobre wiadomości, panowie! - zawołał wesoło Sam Bowles po otwarciu kłapy dziewiątego dnia ich podróży. - Przez ostatnie sto pięćdziesiąt mil mieliśmy bardzo słaby wiatr. Jego lordowska mość ocenia, że minie jeszcze co najmniej pięć dni, nim opłyniemy Przylądek Dobrej Nadziei. Wasza wycieczka potrwa więc trochę dłużej.

Niewielu miało siłę i chęć mu złorzeczyć. Zamiast tego wyciągnęli drżące ręce po cynowy kubek z wodą. Kiedy ceremonia pojenia dobiegła końca, Sam Bowles zrobił coś, co odbiegało od codziennej rutyny. Zamiast zatrzaskać kłapę, wsadził głowę do środka i zawołał:

- Kapitanie Courteney, jego lordowska mość przesyła pozdrowienia. Jeśli nie ma pan innych pilnych zajęć, będzie zobowiązany, mogąc pana gościć na obiedzie.

Zlął do ładowni i z pomocą dwóch marynarzy uwolnił sir Francisa z kajdanów. Choć nic nie krępowało teraz ruchów kapitana, wszyscy trzej musieli podnieść go na nogi. Był tak słaby i zdrętwiały, że zataczał się jak pijak, kiedy pomagali mu wdrapać się na górę.

- Bez obrazu, kapitanie - zaśmiał mu się w twarz Bowles - ale nie pachniesz różami. Znam chlewy i doły kloaczne, które cuchnęły trochę milej niż ty, Franky.

Wyciągnęli go na pokład i ściągnęli śmierdzące łachmany z wychudłego ciała. Czterech marynarzy stanęło przy pompach, a Bowles skierował na sir Francisa strumień wody z płóciennego węża. Guli of Moray znalazła się właśnie w zimnym zielonym prądzie Bengueli, który omywa zachodnie wybrzeże kontynentu. Struga lodowatej wody z węża o mało nie zwała sir Francisa z nóg i musiał złapać się wantów, żeby odzyskać równowagę. Trzęsąc się i krztusząc, gdy Bowles skierował wodę prosto na jego twarz, zdołał zmyć większość zaschniętego brudu z ciała i włosów. Nie przejął się zbytnio obecnością Katinki van de Velde, która przystanęła na tylnym kasztelu i obserwowała bez cienia wstydu jego nagie ciało.

Dopiero kiedy z węża przestała lecieć woda i zostawiono go, żeby wysechł na wietrze, miał możliwość rozejrzeć się dookoła i zorientować, jaką pozycję zajmuje statek. Chociaż jego wycieńczone ciało zsinało z zimna, czuł się odświeżony i wzmocniony kąpielą. Trzęsąc się cały i szczękając zębami, skrzyżował ręce na piersi, żeby się ogrzać. Afryka leżała mniej więcej dziesięć mil na północ. Rozpoznał klify i strome urwiska, strzegące wejścia do Fałszywej Zatoki. Przed wplynięciem do Zatoki Stołowej po drugiej stronie półwyspu musieli ominąć te niebezpieczne wody.

Wiatr prawie zupełnie ucichł; powierzchnia morza była gładka jak oliwa. Długie niskie fale opadały i wznosiły się niczym westchnienia śpiącego potwora. Sam Bowles mówił prawdę: jeśli nie skończy się flauta, minie jeszcze wiele dni, zanim okrążą Przylądek i zarzucą kotwicę w Zatoce Stołowej. Zastanawiał się, ilu ludzi pójdzie w ślady Timothy'ego O'Reilly, zanim wyprowadzą ich na ląd z mrocznej ładowni.

Sam Bowles rzucił mu kilka sztuk mocno sfatygowanej, lecz czystej odzieży.

- Jego lordowska mość się niecierpliwi! Nie każ mu długo czekać!

- Franky! - Cochran uniósł się z krzesła, gdy sir Francis przestąpił próg obszernej kajuty na rufie. - Cieszę się, że nie wyglądasz tak źle po krótkim pobycie pod pokładem. - Zanim Courteney zdążył się cofnąć, Cochran złapał go w niedźwiedzi uścisk. - Muszę cię gorąco przeprosić za złe warunki podróży, ale nalegał na to holenderski gubernator i jego żona. Sam nigdy nie potraktowałbym w ten sposób brata w zakonie.

Cochran przeszukał szybko sir Francis, sprawdzając, czy nie ma przy sobie ukrytego noża albo innej broni. Następnie posadził go w największym i najbardziej wygodnym fotelu.

- Kieliszek wina, drogi przyjacielu?

Własnoręcznie nalał mu wina, a potem dał znak stewardowi, który postawił przed sir Francisem talerz gorącego gulaszu. Chociaż na widok ciepłego posiłku, pierwszego od niemal dwóch tygodni, ślinka napłynęła mu do ust, sir Francis nie wziął do ręki kieliszka ani łyżki, którą steward położył obok talerza.

Nie uszło to uwagi Cochran, który uniósł w geście zdziwienia krzaczastą rudą brew, lecz nie starał się go namawiać. Zamiast tego złapał własną łyżkę i mlaskając głośno, połknął porcję gulaszu, popił ją zdrowym łykiem wina i otarł wąsy wierzchem dłoni.

- Nie, Franky. Gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym cię tak podle nie potraktował. W przeszłości dochodziło między nami do pewnych utarczek, nigdy jednak nie przekraczały one granic szlachetnego współzawodnictwa, nieprawdaż?

- Mówiąc o szlachetnym współzawodnictwie, masz pewnie na myśli ostrzeliwanie bez ostrzeżenia mojego obozu - odparł sir Francis.

- Nie traćmy czasu na wzajemne obwinianie się. - Cochran machnął lekceważąco ręką. - To nie byłoby konieczne, gdybyś zechciał podzielić się ze mną łupami z galeonu. Tak naprawdę chodzi mi o to, że świetnie się rozumiemy. W głębi serca jesteśmy braćmi.

- Chyba cię rozumiem - pokiwał głową sir Francis.

- W takim razie wiesz, że to, co cię boli, mnie boli jeszcze bardziej. Cierpiałem wraz z tobą przez cały czas, jaki spędziłeś w kajdanach.

- Nie mogę patrzeć, jak cierpisz, mój panie. Dlaczego w takim razie nie uwolnisz mnie i moich ludzi?

- Gorąco tego pragnę, zapewniam cię. Powstrzymuje mnie przed tym tylko pewien mały drobiazg. Potrzebuję dowodu, że odwzajemniasz gorące uczucia, jakie do ciebie żywię, stary przyjacielu. Wciąż boli mnie, że nie podzieliłeś się ze mną tym, co w świetle naszego porozumienia słusznie mi się należało.

- Jestem pewien, że dostałeś od Holendrów wszystko, czego ci zbywało, mój panie. Widziałem, jak załadowałeś na ten statek pokaźny ładunek przypraw. Zastanawiam się, co pomysłu o takim układaniu się z wrogiem pierwszy lord admiralicji.

- Kilka beczek przypraw... rzecz niewarta wzmianki - uśmiechnął się Cochran. - Ale nic nie rozbudza moich braterskich uczuć tak mocno jak srebro i złoto. Daj spokój, Franky, zmarnowaliśmy już dosyć czasu na te ceregiele. Obaj wiemy, że w pobliżu obozu w Zatoce Słoni ukryłeś gdzieś sztaby i monety z galeonu. Jeśli ich dobrze poszukam, i tak je znajdę, lecz w tym czasie ty dawno już pożegnasz się z życiem, uśmiercony w paskudny sposób przez kata na Przylądku Dobrej Nadziei.

Sir Francis uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie ukryłem nigdzie żadnego skarbu. Szukaj, jeśli chcesz, ale niczego nie znajdziesz.

- Przemyśl to sobie, Franky. Wiesz, co zrobili Holendrzy angielskim kupcom, których pojмали na Bali? Ukrzyżowali ich, przywiązali im do rąk i nóg nasączone siarką pochodnie i podpalili. Chcę cię przed tym uchronić.

Sir Francis wstał z fotela. Czuł się teraz trochę pewniej na nogach.

- Jeśli to wszystko, o czym chciałeś ze mną mówić, wolałbym już wrócić do mojej załogi.

- Siadaj! - warknął Cochran. - Powiedz mi, gdzie to ukryłeś, człowieku, a natychmiast wysadzę na brzeg ciebie i twoich ludzi. Przysięgam na swój honor. - Przez kolejną godzinę na przemian przymilał się i groził. W końcu westchnął zrezygnowany. - Twarda z ciebie sztuka, Franky. Powiem ci, co dla ciebie zrobię. Nie zaproponowałbym tego nikomu, ale ciebie kocham jak brata. Jeśli wrócisz tam ze mną i zaprowadzisz w miejsce, gdzie ukryłeś skarb, podzielę się z tobą. Pół na pół. To chyba uczciwa propozycja?

Również tę ofertę sir Francis skwitował chłodnym pogardliwym uśmiechem. Cochran nie potrafił dłużej opanować furii. Rąbnął dłonią w stół tak gwałtownie, że kieliszki się wywróciły i wino rozlało się na podłogę.

- Zabierz stąd tego bezczelnego łotra! - wrzasnął do Sama Bowlesa - i przykuj go z powrotem do jego kamratów! Przysięgam, że odkryję, gdzie ukryłeś skarb - zawołał za



wychodzącym sir Francisem. - Wiem więcej, niż ci się wydaje. Zaraz po tym, jak zawiśniesz na stryczku, wrócę do laguny i nie spocznę, póki go nie odnajdę.

Zanim zarzucili kotwicę w Zatoce Stołowej, zmarł jeszcze jeden marynarz sir Francisca. Inni byli tak zeszywniali i słabi, że musieli pełznąć jak zwierzęta na górny pokład. W zakrzepłych od brudu łachmanach zbili się w ciasną gromadę, rozglądając się dookoła, mrugając oczyma i próbując osłonić je przed jasnymi promieniami porannego słońca.

Hal nigdy nie widział z bliska Przyłądka Dobrej Nadziei. Płynąc z Europy w początkowej fazie wojny, mijali zatokę i przyjrzeni jej się z oddali. Ten rzut oka nie przygotował ich jednak na majestatyczny widok nakrapianego pianą niebieskiego Atlantyku, który omywał plaże tak olśniewające, że od patrzenia na nie bolały ich zmęczone oczy.

Prawie połowę nieboskłonu zasłaniała słynna płaska jak stół góra: wielki masyw żółtej skały pocięty głębokimi jarami, które porastał bujny zielony las. Jej wierzchołek był tak geometrycznie równy, a proporcje tak miłe dla oka, że wydawała się dziełem jakiegoś niebiańskiego architekta. Otaczająca górę mgła opadała na zbocza niczym wrzące mleko wylewające się przez skraj garnka. Srebrzysta kaskada nigdy nie sięgała niższych zboczy, lecz rozplywała się nagle w powietrzu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W obliczu piękna natury ludzkie sadyby wydawały się małe i chaotyczne. Sterczały niczym przykre wrzody wzdłuż śnieżnobiałego brzegu, z którego wyruszyła na spotkanie Guli of Moray flotylla małych łodzi.

Gubernator van de Velde nie zgodził się zejść po drabince i został spuszczony na dół na bosmańskim krześle, przez cały czas wydając nerwowe instrukcje ludziom przy linach.

- Uważajcie, głupie osły! Zrzućcie mnie tylko, to każę z was zedrzeć skórę.

Wylądował w przycumowanej przy burcie szalupie, w której czekała już jego żona. Korzystając z pomocy pułkownika Corneliusa Schreudera, zeszła do niej ze zdecydowanie większą gracją niż małżonek.

Odwieziono ich na plażę, gdzie pięciu silnych niewolników uniosło nowego gubernatora z tańczącej w spienionym przyboju łodzi i przetransportowało go bezpiecznie na brzeg.

Kiedy van de Velde dotknął stopą afrykańskiego lądu, gruchnęła pierwsza z czternastu salw, którymi uczczono jego przybycie. Z otworu strzelniczego na szczycie południowej blanki bluznęła srebrzysta smuga dymu. Huk był tak potężny, że nowy przedstawiciel Kompanii podskoczył w miejscu i wiatr o mało nie porwał mu kapelusza.

Uszczęśliwiony przybyciem swego następcy, gubernator Kleinhans wyjechał mu na spotkanie. Komendant garnizonu, także niecierpliwie wyczekujący chwili, gdy będzie mógł

przekazać swe obowiązki pułkownikowi Schreuderowi i strząsnąć ze stóp afrykański pył, stał na murach fortecy, obserwując przez teleskop przybyłych dygnitarzy.

Na plaży czekała zaprzężona w sześć pięknych siwków paradna karoca. Gubernator Kleinhans wysiadł z niej i przytrzymując dłonią kapelusz, żeby nie porwał go wiatr, ruszył na spotkanie przybyszów. Przy karocy stała warta honorowa z garnizonu. Na nabrzeżu zgromadziło się kilkuset mężczyzn, kobiet i dzieci. Każdy zdolny poruszać się o własnych siłach mieszkańiec kolonii zjawił się na plaży, aby powitać nowego gubernatora, który brnął z trudem przez piasek.

Stanąwszy w końcu na twardszym gruncie, van de Velde złapał oddech, przybrał godną postawę i uściśnął wyciągniętą rękę Kleinhansa, witany brawami urzędników Kompanii, wolnych obywateli oraz niewolników. Warta sprezentowała broń, a orkiestra zagrała jakiś patriotyczny kawałek, zakończony brzękiem cymbałów i biciem w bębny. Dwaj gubernatorzy uściskali się spontanicznie, Kleinhans zadowolony, że może wrócić do Amsterdamu, van de Velde szczęśliwy, że nie utonął ani nie zginął z rąk piratów i stoi w końcu na holenderskiej ziemi.

Podczas gdy Sam Bowles i jego ludzie uwalniali z kajdan trupy i wyrzucali je za burtę, Hal ukucnął wśród więźniów i obserwował z oddali Kalinkę, która szła do karocy, prowadzona z jednej strony przez gubernatora Kleinhansa, a z drugiej przez pułkownika Schreudera.

Czuł, jak serce pęka mu z miłości do tej kobiety.

- Czyż nie jest to najpiękniejsza dama na świecie? - zapytał szeptem Daniela i Abolego. - Użyj dla nas swoich wpływów. Teraz, kiedy jej mąż sprawuje pełną władzę, przekona go, żeby nas sprawiedliwie potraktował.

Żaden z nich nie odpowiedział, lecz wymienili między sobą szybkie spojrzenia. Daniel wyszczerzył szczerbate zęby, a Aboli przewrócił białkami oczu.

Kiedy Katinka usadowiła się na skórzanym siedzeniu, do karocy podsadzono jej męża. Powóz przechylił się i zakołysał pod jego ciężarem. Orkiestra zagrała skoczego marsza, ubrani w zielone kubraki i przepasani białymi bandoletami żołnierze nałożyli na ramiona muszkiety i cały orszak ruszył przez plac apelowy w stronę fortu. Część ludzi biegła przed karocą, inni utworzyli szpaler wzdłuż trasy przejazdu.

- Żegnam panów. Goszczenie was na pokładzie było dla mnie prawdziwą przyjemnością i zaszczytem.

Cochran dotknął palcami kapelusza w ironicznym salucie, widząc, jak sir Francis kuśtyka przez pokład, ciągnąc za sobą łańcuchy i prowadząc swoją załogę do łodzi

zaczumowanej przy Guli of Moray. Duża liczba skutych kajdanami ludzi znacznie ją obciążyla i kiedy odbijali od statku, burtę dzieliło zaledwie kilka cali od rozkołysanego morza.

Płynąc do plaży, wioślarze starali się skierować łódź rufą do spienionego przyboju, ale wysoka fala obróciła ją bokiem. Szalupa nabrała wody i na głębokości czterech stóp przewróciła się do góry dnem. Załoga i pasażerowie wpadli do rozbielonego morza, a łódź porwały fale.

Krzusząc się i wypluwając morską wodę, więźniowie zdołali wyleźć na brzeg. Jakimś cudem nikt nie utonął, lecz walka z żywiołem doszczętnie ich wyczerpała. Żołnierze z fortu kazali im się ustawić i okładając kolbami muszkietów, pognali przez plażę.

Tymczasem karoça wjechała do fortecy, a tłum wrócił na brzeg, żeby zabawić się trochę kosztem ociekających wodą i oblepionych piaskiem biedaków. Lustrowali ich niczym przeznaczone na sprzedaż bydło, śmiejąc się głośno i nie szczędząc sprośnych komentarzy.

- Wyglądają mi bardziej na Cyganów albo żebraków niż na angielskich piratów.
- Nie zamierzam wydać ani guldena, kiedy wystawią ich na sprzedaż.
- Piratów się nie sprzedaje, ale pali na stosie.
- Nie wyglądają najlepiej, ale dostarczą nam przynajmniej trochę rozrywki. Nie mieliśmy tu porządnej egzekucji od czasu buntu niewolników.

- Zobacz, tam stoi Powolny Jan. Przyszedł im się przyjrzeć. Założę się, że udzieli kilku lekcji rym korsarzom.

Hal spojrział w stronę, którą wskazywał ostatni z mówiących, i zobaczył mężczyznę przewyższającego o głowę otaczających go gapiów. Miał na sobie ciemnoszare ubranie, a na głowie purytański kapelusz i wpatrywał się w Hala pozbawionymi wyrazu żółtymi oczyma.

- Co sądzisz o tych piękniśiach, Janie? Czy zaśpiewają nam ładną piosenką, kiedy weźmiesz ich w obroty?

Hal wyczuł lęk i fascynację, jaką budził w nich ten człowiek. Nikt przy nim nie stał, a po spojrzeniach, jakimi go obrzucali, Hal się domyślił, że ma przed sobą kata, przed którym go ostrzegano. Spoglądając w jego beznamiętne oczy, czuł ciarki chodzące mu po plecach.

- Jak myślisz, dlaczego nazywają go Powolnym Janem? - zapytał półgębkiem Abolego.

- Miejmy nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy - odparł Murzyn, mijając wysokiego trupio bladego mężczyznę.

Mali chłopcy, zarówno biali, jak i czarni, biegali wzdłuż kolumny skutych kajdanami mężczyzn, obrzucając ich wyzwiskami i grudkami ziemi z rynsztoków, które odprowadzały do morza nieczystości z osady. Zachęczone ich przykładem kundle zaczęły dobierać się im do

skóry. Dorośli, którzy włożyli świąteczne ubrania na tak niezwykłą okazję, zaśmiewali się z dziecięcych figlów. Kobiety wzdrygały się i podnosiły do nosów torebki z ziołami, gdy wpadł im w nozdrza odór więźniów.

- Och! Cóż to za straszne bestie!

- Popatrzcie na te okrutne dzikie twarze!

- Słyszałam, że karmią tych Murzynów ludzkim mięsem.

Aboli wykrzywił twarz i błysnął białkami oczu. Tatuaze na jego policzkach zaczęły żyć własnym życiem, a wielkie białe zęby wyszczerzyły się w krwiożerczym grymasie. Kobieta pisnęła ze strachu, a jej małe córki schowały twarze w matczynej spódnicy.

Na tyłach tłumu, w bezpiecznej odległości od ludzi stojących od nich wyżej w hierarchii, Hal zobaczył niewolników, których, jak się domyślał, obywatele kolonii zatrudniali w charakterze służby domowej. Kolor ich skóry wahał się od antracytowej czerni Afryki aż po bursztyn i złociste odcienie Orientu. Większość nosiła stare ubrania po właścicielach, lecz kilka ładniejszych dziewcząt miało na sobie koronki i jedwabie - znak, że były ulubienicami swoich panów.

Niewolnicy patrzyli w milczeniu na marynarzy, którzy mijali ich, pobrzękując łańcuchami, i nie rozległ się wśród nich ani jeden wybuch śmiechu. Hal wyczuwał z ich strony raczej pewną dozę współczucia, oni bowiem także byli więźniami. Tuż przed minięciem bramy fortu zauważył na tyłach tłumu pewną dziewczynę. Wdrapała się na stos cegieł, żeby mieć lepszy widok, i stała wyżej od pierwszego rzędu dokuczających im gapiów. Nie był to jedyny powód, dla którego zatrzymał na niej wzrok.

Nie spodziewał się, że jakakolwiek kobieta może być taka piękna. Cudna jak kwiat, miała gęste czarne włosy i ciemne oczy, które wydawały się nie mieścić w delikatnym owalu jej twarzy. Przez krótki moment ich oczy spotkały się nad głowami tłumu i Hal nie mógł się oprzeć wrażeniu, że starała się przekazać mu jakąś wiadomość, której nie był w stanie pojąć. Rozumiał tylko, że mu współczuje i dzieli z nim jego cierpienie. A potem, kiedy weszli na wewnętrzny dziedziniec fortu, stracił jaz oczu.

Jej obraz towarzyszył mu w ciągu wszystkich tych strasznych dni, które nadeszły. Stopniowo zaczął nawet zacierać w nim wspomnienie Kalinki i czasami pojawiał się w nocy, dając siłę potrzebną, by przetrwać. Czuł, że jeśli tam, za wysokimi kamiennymi murami, jest choć jedna tak cudowna i czuła istota, którą w dodatku obchodzi to, co się z nim dzieje, warto dalej zmagać się z losem.

Na wewnętrznym dziedzińcu fortu zbrojmistrz zdjął z nich kajdany. Grupa marynarzy pod dowództwem Sama Bowlesa czekała cierpliwie, żeby zabrać jeż powrotem na pokład Guli of Moray.

- Będzie mi was wszystkich brakowało, koledzy - stwierdził Bowles, szczerząc zęby. - Najniższy pokład Guli of Moray będzie pusty i smutny bez waszych uśmiechniętych twarzy i wesołych okrzyków. - Odchodząc wraz ze swymi ludźmi, zasalutował im od bramy. - Mam nadzieję, że zadbają tutaj o was nie gorzej niż wasz stary kumpel Sam Bowles. Ale nie bójcie się, będę na placu apelowym, kiedy dacie tam ostatnie przedstawienie.

Po odejściu Bowlesa Hal rozejrzał się dookoła. Forteca zaprojektowana była na olbrzymią skalę. Pod kierunkiem sir Francisa studiował sztukę fortyfikacji i teraz rozpoznał klasyczny obronny układ kamiennych murów i redut. Zdał sobie sprawę, że po zakończeniu prac zdobycie tych umocnień będzie wymagało regularnej armii wyposażonej w sprzęt oblężniczy.

Het kasteel, czyli jak określali go ich nowi strażnicy, wysoki zamek, nie był jednak nawet w połowie wykończony, a od strony lądu, w miejscu, gdzie któregoś dnia miały stanąć potężne kamienne mury, położono dopiero fundamenty. Mimo to rzucał się w oczy pośpiech, z jakim prowadzono prace. Z całą pewnością miały na to wpływ dwie ostatnie wojny między Anglią i Holandią. Dużą część zasługi mogli także przypisać sobie Oliver Cromwell, lord protektor Anglii, Szkocji i Irlandii podczas interregnum, oraz król Karol, syn człowieka, którego kazał skrócić o głowę. Obaj boleśnie przypomnieli Holendrom o zagrożeniach, na jakie są wystawione ich dalekie kolonie. Na wzniesionych do połowy murach pracowały setki ludzi, a na dziedzińcu stały stosy belek i tarcicy i ociosane skalne bloki z Góry Stołowej.

Jako niebezpiecznym przestępcom nie wolno im było kontaktować się z innymi więźniami. Zeszli do lochów spiralnymi krótkimi schodami pod południową flanką fortu. Kamienne bloki, z których zbudowano ściany, podłogę i sklepienie, połyskiwały od wody, która sączyła się z wilgotnej ziemi. Nawet w słoneczny jesienny dzień panujący na dole chłód przejmował dreszczem.

Na pierwszym podejściu strażnicy wyciągnęli sir Francisa z szeregu i cisnęli go do jednej z sześciu małych cel, w których mógł się zmieścić najwyżej jeden człowiek. Podobnie jak wszystkie sąsiednie, miała drzwi z nabijanego ćwiekami drewna, opatrzone okratowanym judaszem. Nigdzie nie było widać innych więźniów.

- Specjalna kwatera dla ciebie, panie piracie - oznajmił barczysty strażnik, zatraskując drzwi za sir Francisem i przekręcając wielki żelazny klucz w zamku. -

Zamykamy cię w Lochu Skelluma razem ze wszystkimi najgorszymi łotrami: mordercami, buntownikami i zbrojami. Będziesz się tu czuł jak w domu, zaręczam ci.

Resztę więźniów sprowadzono na niższy poziom. Dowódca straży otworzył kratę na końcu tunelu i wepchnięto ich do wąskiej długiej celi. Kiedy kratę zamknięto, w środku ledwie starczyło miejsca, żeby wszyscy mogli wyciągnąć się na cienkiej warstwie wilgotnej słomy, która zaścielała kamienną podłogę. Mieli do dyspozycji tylko jedno stojące w kącie wiadro na nieczystości, ale wszyscy powitali pomrukiem zadowolenia widok pełnej cysterny. Skończyły się przynajmniej skąpo wydzielane porcje wody.

U szczytu jednej ze ścian znajdowały się cztery małe okienka i kiedy obejrzelik dokładnie wnętrze celi, Hal wspiął się na ramiona Abolego i złapał za kraty. Były mocno osadzone w kamieniu i od razu pożegnał się z myślą o ucieczce tą drogą.

Trzymając się prętów, podciągnął się wyżej i wyjrzał na zewnątrz. Okno znajdowało się mniej więcej stopę nad ziemią i widział przez nie wewnętrzny dziedziniec fortu, a także bramę wejściową i potężny portal prowadzący, jak się domyślał, do biur Kompanii i apartamentów gubernatora. Po drugiej stronie, tam, gdzie nie wzniesiono jeszcze murów, zobaczył zbocza Góry Stołowej, a nad nimi niebo. Po bezchmurnym błękitnie żeglowało stado białych mew.

Hal zeskoczył na dół i omijając ciała chorych i rannych podszedł do kraty zamykającej celę. Spojrzał w górę schodów, ale nie zobaczył drzwi do celi sir Francisca.

- Ojczy! - zawołał półgłosem, spodziewając się reprimendy ze strony strażników. Nie doczekawszy się odpowiedzi, krzyknął głośnie.

- Słyszę cię, Hal - odkrzyknął sir Francis.

- Czy masz dla nas jakieś rozkazy, ojczy?

- Myślę, że zostawię nas w spokoju przez dzień albo dwa do czasu, kiedy zbierze się trybunał. Musimy czekać. Powiedz ludziom, żeby nie upadali na duchu.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się ktoś jeszcze. Mówił po angielsku, lecz z dziwnym akcentem.

- Czy to wy jesteście tymi angielskimi piratami, o których tyle słyszeliśmy? - zapytał.

- Jesteśmy uczciwymi żeglarzami, których fałszywie oskarżono - odparł sir Francis. -

A ty kim jesteś?

- Twoim sąsiadem w Lochu Skelluma. Siedzę o dwie cele dalej, skazany na to, by tu umrzeć, podobnie jak ty.

- Nie zostaliśmy jeszcze skazani - zaprotestował sir Francis.

- To tylko kwestia czasu. Słyszałem od strażników, że wkrótce to się stanie.



- Jak się nazywasz? - zapytał Hal. Obcy więzień specjalnie go nie interesował, ale rozmowa pozwalała zabić czas i zapomnieć o ich własnym smutnym położeniu.

- Nazywam się Althuda. Moja zbrodnia polegała na tym, że chciałem być wolny i uwolnić innych.

- W takim razie jesteśmy braćmi, Althudo, ty i wszyscy ludzie tu na dole. Wszyscy pragniemy wolności. Odpowiedział mu chójralny pomruk aprobaty.

- Zorganizowałem bunt niewolników Kompanii - podjął po chwili Althuda. - Tych, których ponownie ujęto, Powolny Jan spalił żywcem, ale większość uciekła w góry. Wiele razy posyłano po nas żołnierzy, lecz my odparliśmy ich i nie zdołali nas zakuć ponownie w kajdany.

Miał dźwięczny młody głos, dumny i silny, i nawet nie widząc jego twarzy, Hal poczuł do niego sympatię.

- Skoro udało ci się uciec, jakim cudem znalazłeś się z powrotem w Lochu Skelluma? - chciał wiedzieć jeden z angielskich marynarzy.

Wszyscy nadstawili ucha. Opowieść Althudy poruszyła nawet najtwardszych.

- Wróciłem, żeby kogoś uwolnić. Kogoś, kto został w kolonii - odparł Althuda. - Kiedy pojawiłem się w osadzie, zostałem rozpoznany i zdradzony.

Na chwilę zapadła cisza.

- To była kobieta? - zapytał ktoś. - Wróciłeś po kobietę?

- Tak. Po kobietę.

- W rajskim ogrodzie zawsze jest jakaś Ewa, dla której tracimy rozum - zanucił ktoś i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Była twoją ukochaną? - rozległ się zaciekawiony głos.

- Nie - odparł Althuda. - Wróciłem po moją młodszą siostrę.

Trzydziestu gości przybyło na bankiet, który gubernator Kleinhans wydał na cześć swego następcy. Wszyscy najważniejsi urzędnicy kolonii zasiedli wraz ze swymi żonami przy długim stole z różanego drewna.

Petrus van de Velde spoglądał z lubością z honorowego miejsca na zastawiony stół i wiszące nad nim potężne kandelabry. W każdym paliło się po pięćdziesiąt perfumowanych świec, których światło odbijało się od srebrnych półmisków i kryształowych kieliszków; w wielkiej sali było jasno jak w dzień.

Od wypłynięcia z Trincomalee van de Velde zdany był przez kilka miesięcy na nędzną kuchnię galeonu, a potem na niewyszukaną strawę, którą żywili go angielscy piraci. Kiedy patrzył teraz na stojące przed nim frykasy, świeciły mu się oczy i ślinka ciekła do ust. Nie

mogąc się opanować, sięgnął po wysoki kieliszek i pociągnął łyk szlachetnego wina z Szampanii. Bąbelki połechtaly go delikatnie w podniebienie, dodatkowo pobudzając i tak już wilczy apetyt.

Dzięki koneksjom żony mianowano go gubernatorem w najlepszym miejscu, jakie mógł sobie wymarzyć. Do wysuniętego najdalej na południe punktu Afryki musiały zawijać wszystkie żeglujące w obu kierunkach statki, dostarczając do Zatoki Stołowej specjały z Europy i Wschodu. Nie będzie mu niczego brakowało.

Przeklinał w duchu Kleinhansa za zbyt długą mowę powitalną, której prawie w ogóle nie słuchał. Całą jego uwagę pochłaniały srebrne półmiski stawiane jeden po drugim na stole.

Podano na nich obsypane złocistymi skwarkami małe prosiaki; pieczone we własnym sosie rostbefy, otoczone dymiącymi barykadami pieczonych ziemniaków; stosy delikatnych młodych pulard, gołębi, kaczek oraz tłustych gęsi; przyrządzone na pięć różnych sposobów pięć rodzajów atlantyckich ryb, pachnących curry i przyprawami z Jawy, Kandy i Indochin; wysokie piramidy wielkich karmazynowych homarów, w które obfitowały tutejsze wody; duży wybór owoców i warzyw z ogrodów Kompanii, a także sorbety, sosy, ciasta, szarlotki, konfitury i wszelkie inne słodkości, które potrafili wyczarować kucharze gubernatora. Wszystko to obstawione było rzędami przywiezionych z Holandii serów, słoikami marynowanych śledzi z Morza Północnego i płatami wędzonego boczku i łososia.

W przeciwieństwie do kulinarnej ekstrawagancji serwis utrzymany był w delikatnych bladoniebieskich odcieniach. Za każdym krzesłem stał niewolnik w białych rękawiczkach i zielonej liberii Kompanii, gotów w każdej chwili napełnić zręcznie kieliszek lub talerz. Czy ten nudziarz skończy wreszcie gadać i pozwoli mi skosztować potraw? - pomyślał van de Velde, uśmiechając się i kiwając głową w odpowiedzi na banialuki Kleinhansa.

W końcu, złożwszy głęboki ukłon nowemu gubernatorowi i jeszcze głębszy jego małżonce, Kleinhans zasiadł z powrotem w fotelu i wzrok wszystkich skierował się ku Petrusowi van de Veldemu. Ten spojrzał na ich głupie gęby i z westchnieniem wstał, żeby odpowiedzieć. Dwie minuty w pełni wystarczą, uznał, i powiedział dokładnie to, co chcieli usłyszeć.

- Na koniec - oświadczył jowialnie - chciałbym życzyć gubernatorowi Kleinhansowi bezpiecznego powrotu do ojczyzny i długiego szczęśliwego odpoczynku.

Usiadł i skwapliwie sięgnął po łyżkę. Obywatele kolonii mieli zaszczyt po raz pierwszy oglądać nowego gubernatora przy stole i całe towarzystwo z nabożnym skupieniem i podziwem obserwowało, jak poziom zupy w jego talerzu opada szybko niczym woda na błotach Zuider Zee podczas odpływu. A potem, uświadomiwszy sobie nagle, że kiedy

honorowy gość skończy zupę, talerze zostaną zmienione i służba poda kolejne danie, zaczęli pośpiesznie nadrabiać straty. Było wśród nich wielu żarłoków, lecz żaden nie mógł się równać z gubernatorem, zwłaszcza że zyskał znaczną przewagę już na starcie.

Kiedy van de Velde skończył zupę, wszystkie głębokie talerze zostały zabrane i służba podała prosiaka. Pierwsze dwa dania skonsumowano prawie w zupełnym milczeniu, które przerywało tylko głośnie siorbanie i mlaskanie.

W trakcie trzeciego Kleinhans postanowił jako gospodarz bankietu ożywić rozmowę i pochylił się do przodu, próbując oderwać uwagę Petrusa van de Veldego od talerza.

- Sądzę, że zanim przejdziemy do innych spraw, Wasza Ekscelencja będzie chciał zająć się kwestią angielskich piratów? - zapytał.

Van de Velde, który wsadził sobie właśnie do ust kawałek soczystego homara, nie był w stanie udzielić werbalnej odpowiedzi, ale pokiwał energicznie głową.

- Czy Wasza Ekscelencja podjął już decyzje w sprawie ich procesu i wyroku? - pytał dalej Kleinhans. Van de Velde przełknął głośno homara.

- Zostaną oczywiście straceni, ale dopiero wtedy, kiedy ich kapitan, słynny korsarz Francis Courteney, wyjawi nam, gdzie ukrył ładunek galeonu. Chciałbym jak najszybciej powołać trybunał w tym celu.

Pułkownik Schreuder grzecznie odkaszlnął i van de Velde rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

- Tak? Chciałeś coś powiedzieć, pułkowniku? O co chodzi?

- Miałem dzisiaj sposobność ocenić postęp prac przy fortyfikacjach, Ekscelencjo. Bóg jeden wie, kiedy ponownie wybuchnie wojna z Anglikami, ale może to nastąpić już wkrótce. Anglicy są złodziejami z natury i piratami z powołania. Dlatego właśnie dla Siedemnastki w Amsterdamie tak ważne jest ukończenie tych umocnień. Sformułowano to wyraźnie w moich rozkazach oraz nominacji na komendanta fortu.

Wszyscy siedzący przy stole spoważniali i nadstawili uszu na wzmiankę o Siedemnastce, tak jakby padło imię jakiegoś potężnego bóstwa. Pułkownik odczekał chwilę, chcąc wzmocnić efekt.

- Budowa jest znacznie opóźniona w stosunku do harmonogramu, który ustalili czcigodni dyrektorzy.

- To prawda, doszło do pewnych opóźnień - oznajmił major Loten, odchodzący komendant garnizonu - ale spowodowały je określone przyczyny.

To on był odpowiedzialny za budowę fortyfikacji i przeżuając kolejny kęs homara, gubernator van de Velde utkwiał wzrok w jego twarzy. Sos był naprawdę wyborny i westchnął

z rozkoszy na myśl o czekających go pięciu latach takiej kuchni. Musi odkupić od Kleinhansa jego kucharza, to pewne. Słuchając usprawiedliwiającego się Lotena, zrobił zatroskaną minę.

- Wykonanie zadania utrudniał mi brak siły roboczej - mówił major. - Godny pożałowania bunt niewolników pozbawił nas dużej części robotników.

II Van de Velde zmarszczył brwi.

- Właśnie o to mi chodzi - podjął gładko Schreuder. - Skoro tak dotkliwie brakuje nam ludzi, czy rozsądne będzie stracenie dwudziestu czterech silnych i sprawnych angielskich piratów? Może zamiast powiesić lepiej będzie zatrudnić ich przy budowie?

Wszyscy obecni spojrzeli na Petrusa van de Yeldgo, żeby poznać jego zdanie i dowiedzieć się, jaka jest obowiązująca wykładnia w tej sprawie. Nowy gubernator przełknął ślinę i wydłubał palcem kawałek homara, który utkwiał mu między zębami.

- Courteneya nie można zachować przy życiu - oświadczył w końcu. - Nawet po to, by pracował przy fortyfikacjach. Według lorda Cumbrae, którego opinię bardzo sobie cenię - dodał, chyląc głowę przed Szkotem - Anglik wie, gdzie znajduje się brakująca część ładunku. Nie mówię już o tym, że ja i moja żona byliśmy zmuszeni znieść z jego strony wiele upokorzeń.

- W zupełności się zgadzam - oznajmił Schreuder. - Courteney musi powiedzieć wszystko, co wie na temat brakującego złota. Ale inni? Czy Wasza Ekscelencja nie sądzi, że stracenie ich byłoby marnotrawstwem, skoro potrzeba nam tylu ludzi do budowy murów? Są w końcu tępymi prostakami, którzy niezbyt dobrze zdają sobie sprawę z wagi swoich występków, lecz mają dość mocne grzbiety, żeby za nie odpokutować.

Van de Velde chrząknął wymijająco.

- Chciałbym usłyszeć, co sądzi na ten temat gubernator Kleinhans - oświadczył, wpychając sobie do ust kolejny kawałek homara i świdrując oczyma swego poprzednika. Mądrzej było podzielić się odpowiedzialnością za podjęcie decyzji. W razie jakichś problemów mógł zawsze zwalić winę na kogoś innego.

- Za dobrego niewolnika można w tej chwili dostać i tysiąc guilderów - stwierdził Kleinhans, machając niedbale ręką. - Tak duży dochód na pewno spodoba się czcigodnym dyrektorom. Siedemnastka jest zdania, że kolonia powinna utrzymywać się sama i nie zubażać kasy Kompanii.

Wszyscy obecni głęboko się nad tym zadumali.

- Ja na przykład - odezwała się krystalicznie dźwięcznym głosem Kalinka - będę potrzebowała niewolników do swojej rezydencji. Dobrych pracowników kupię nawet za wysoką cenę.

- Na mocy międzynarodowych konwencji nie wolno sprzedawać chrześcijan w niewolę - nadmienił Schreuder widząc, że maleją szansę pozyskania siły roboczej do budowy fortyfikacji. - Nawet Anglików.

- Nie wszyscy pojmani piraci są chrześcijanami - odparł Kleinhans. - Widziałem wśród nich parę czarnych twarzy. W kolonii istnieje bardzo duże zapotrzebowanie na murzyńskich niewolników. Są dobrymi robotnikami i reproduktorami. Czy nie powinniśmy sprzedać ich na wolnym rynku? Na pewno spodobałoby się to Siedemnastce. Angielskich piratów skazalibyśmy wtedy na dożywotnie ciężkie roboty. Można by ich skierować do budowy umocnień. To również powinno zyskać aprobatę Siedemnastki.

Van de Velde ponownie chrząknął i stuknął widelcem w talerz, aby zwrócić uwagę, że jest gotów skosztować rostbefu. Czekając, aż postawią przed nim nowe danie, rozważał sprzeczne argumenty. Była jeszcze jedna rzecz, o której nikt nie miał pojęcia, a która miała istotny wpływ na podjęcie decyzji: gorąca nienawiść, jaką żywił do pułkownika Schreudera. Nie chciał ułatwić mu życia i prawdę mówiąc, byłby zachwycony, gdyby pułkownik popadł w niełaskę i został odwołany do domu, naturalnie pod warunkiem, że nie odbiłoby się to negatywnie na jego własnej karierze.

Mierząc surowym wzrokiem Schreudera, zastanawiał się, czy mu nie odmówić. Wiedział świetnie, co chodzi mu po głowie, i popatrzył na żonę. Kalinka wyglądała tego wieczoru olśniewająco. W ciągu kilku dni, które minęły od przyjazdu do kolonii, doszła do siebie po długiej podróży i niewygodach, jakie cierpiała w niewoli u sir Francisa Courteneya. Była oczywiście młoda i silna - nie skończyła jeszcze dwudziestu czterech lat - ale nie tłumaczyło to do końca jej ożywienia i radosnego nastroju. Za każdym razem, gdy ten bubek Schreuder zabierał głos, co robił zdecydowanie za często, zwracała ku niemu swoje wielkie niewinne oczy. Rozmawiając z nim, co również działo się zbyt często, kładła mu dłoń na rękawie, a raz, ku przerażeniu męża, dotknęła palcami jego kościstego łapska i trzymała je dość długo, żeby wszyscy to zauważyli i zaczęli się głupio uśmiechać.

Fakt, że te bezczelne zaloty odbywały się nie tylko w jego obecności, ale na oczach prawie całej kolonii, o mało nie popsuł mu apetytu. Jakby nie dość straszne było, że jurny pułkownik zaciągnie ją wkrótce do łóżka, a on będzie musiał pogodzić się z tym faktem. Dręczyło go, że o wszystkim będą wiedzieli jego podwładni. Jak mógł wymagać od nich szacunku i bezwarunkowego posłuszeństwa, skoro jego żona publicznie przyprawiała mu rogi? Wyprawiając Schreudera do Amsterdamu, żeby negocjował mój okup, sądziłem, że pozbyliśmy się go na dobre, pomyślał ponuro. Wygląda na to, że w przyszłości będę musiał

zastosować bardziej zdecydowane środki. Pochłaniając kolejno wszystkie szesnaście dań, rozważał różne stojące przed nim możliwości.

Kiedy trzeba było w końcu przejść z wielkiej jadalni do gabinetu, był tak obzarty, że sapał ciężko i przystanął po drodze udając, że chce przyjrzeć się: wiszącym malowidłom. W rzeczywistości zbierał siły do dalszej wędrówki.

W gabinecie opadł z głębokim westchnieniem na poduszki fotela i przyjął od służącego kieliszek brandy i fajkę.

- Zwołam trybunał, który osądzi piratów, w nadchodzącym tygodniu, natychmiast po formalnym przejściu władzy od gubernatora Kleinhansa - oznajmił. - Nie ma sensu cackać się dłużej z tym motłochem. Pułkownikowi Schreuderowi powierzam obowiązki prokuratora. Ja sam będę sędzią. Czy mógłbyś polecić swoim urzędnikom, żeby wydali niezbędne zarządzenia, Münheer Kleinhans?

- Naturalnie, Münheer van de Velde. Czy pomyślałeś o wyznaczeniu adwokata, który broniłby oskarżonych piratów?

Z wyrazu twarzy nowego gubernatora wynikało jasno, że nie pomyślał.

- Dopilnujesz tego, Münheer? - odparł, machając niedbale ręką. - Jestem pewien, że któryś z twoich urzędników zna się wystarczająco dobrze na prawie, żeby podołać temu zadaniu. Sprawa jest przecież i tak nie do obrony - dodał, śmiejąc się gardłowo.

- Przychodzi mi na myśl pewne nazwisko - stwierdził Kleinhans. - Wyznaczę obrońcę i dopilnuję, żeby mógł spotkać się z więźniami i zebrać od nich zeznania.

- Wielki Boże! - Van de Velde zrobił zgorzoną minę. - Po co ma to robić? Nie chcę, żeby ten łotr Courteney nakładł mu do głowy jakichś bzdur. Osobiście przedstawię mu wszystkie fakty. Musi je tylko wyrecytować przed sądem.

- Rozumiem - zgodził się Kleinhans. - Wszystko zostanie załatwione, zanim w przyszłym tygodniu przekażę władzę w ręce Waszej Ekscelencji. - Jego wzrok pobiegł ku Kalince. - Jestem przekonany, że pragniesz, pani, jak najszybciej wyprowadzić się z tymczasowych apartamentów tu na zamku i przenieść do bardziej przestronnej i wygodnej rezydencji gubernatora. Myślę, że będziemy mogli obejrzeć wasz nowy dom zaraz po niedzielnym nabożeństwie. Będę zaszczycony, pani, mogąc osobiście oprowadzić cię po posiadłości.

- Wasza Ekscelencja jest bardzo miły.

Kalinka uśmiechnęła się zadowolona, że ponownie znalazła się w centrum zainteresowania. Kleinhans pokraśniał ze szczęścia.



- Jak się zapewne domyślacie - podjął nieśmiało - w trakcie mojej służby w kolonii nabyłem znaczną liczbę niewolników. Tak się składa, że są wśród nich kucharze, którzy przygotowali dzisiejszy skromny poczęstunek. Mam nadzieję, że ich starania spotkały się z twoją aprobata, Münheer - zapytał, zerkając na van de Veldego.

Kiedy gubernator skinął łaskawie głową, odwrócił się z powrotem do Kalinki.

- Zapewne wiesz, pani, że wkrótce wrócę do ojczyzny, aby zamieszkać w mojej skromnej wiejskiej posiadłości. Dwudziestu niewolników w zupełności wystarczy na moje potrzeby. Wspomniałaś o zamiarze nabycia pełnowartościowej siły roboczej. Chciałbym skorzystać ze sposobności i podczas twojej wizyty w rezydencji pokazać ci niewolników, których zamierzam sprzedać. Wszyscy zostali starannie wybrani i wydaje mi się, że wygodniej i taniej będzie dla ciebie, jeśli kupisz ich z pierwszej ręki, a nie na publicznej aukcji. Kłopot z kupowaniem niewolników polega na tym, że ci, którzy wyglądają nieźle na targu, mogą mieć poważne ukryte defekty. Zawsze lepiej wiedzieć, że sprzedający nie pozbywa się ich właśnie z tego powodu.

Hal wyznaczył stałą wartość przy wysokim oknie celi. Jeden z mężczyzn zawsze stał na ramionach drugiego i trzymał się krat, obserwując, co dzieje się na dziedzińcu, i informując o wszystkim Hala, który przekazywał z kolei te wiadomości ojcu.

W ciągu kilku dni udało im się ustalić rozkład dnia garnizonu oraz pory, w których przychodzili do budynku i wychodzili z niego urzędnicy Kompanii, a także wolni obywatele, regularnie odwiedzający zamek.

Hal opisywał każdą z tych osób uwięzionemu w Lochu Skelluma przywódcy buntu niewolników. Althuda znał prawie wszystkich mieszkańców kolonii i dzielił się teraz swą wiedzą. W ciągu kilku pierwszych dni Hal poznał dzięki niemu wiele osób nie tylko z wyglądu, lecz także z nazwiska i charakteru.

Zaczął prowadzić swoisty kalendarz, zaznaczając każdy dzień kreską na bloku piaskowca w kącie celi i zapisując obok najważniejsze wydarzenia. Nie wiedział, czy te zapiski przyniosą komuś jakiś pożytek, dawały jednak przynajmniej temat do rozmowy ludziom, podtrzymując w nich złudzenie, że Hal ma jakiś plan ich uwolnienia albo, gdyby to się nie udało, ucieczki.

- Karoca gubernatora przy schodach! - zawołał obserwator i Hal zerwał się spod ściany, przy której siedział razem z Abolim i Danielem.

- Zeskakuj! - rozkazał. - Ja zobaczę.

Przez kraty ujrzał karocę stojącą u stóp schodów prowadzących do biur Kompanii i apartamentów gubernatora. Stangret, starszy, należący do Kleinhansa niewolnik z Jawy,

nazywał się Fredricus i według Althudy nie był przyjacielem. W ciągu trzydziestu lat stał się sługusem Kleinhansa i nie można mu było ufać. Althuda podejrzewał, że to on go właśnie zdradził, donosząc o jego powrocie majorowi Lotenowi.

- Pozbędziemy się go, gdy Kleinhans wyjedzie z kolonii. Na pewno zabierze go ze sobą do Holandii - powiedział im.

Nagle dziedziniec zatętnił życiem. Ze zbrojowni wybiegł i ustawił się w dwuszeregu u stóp schodów oddział żołnierzy.

- Wychodzi Kleinhans - zawołał Hal, poznając codzienny rytuał.

Chwilę później podwójne drzwi otworzyły się i mała grupka osób zeszła po zalanych słońcem schodach w stronę czekającego powozu.

Wysoka postać wiecznie skrzywionego, pochylonego Kleinhansa kontrastowała ostro z uroczą sylwetką wspartej o jego ramię młodej kobiety. Serce Hala zabiło mocniej na widok Katinki, lecz uczucia, jakie do niej żywił, nie były już tak intensywne jak kiedyś. Zwężił oczy, widząc szpadę z Neptunem, wiszącą w złoconej pochwie u boku Schreudera, który zbiegł za Katinką po schodach. Za każdym razem, kiedy widział ją u pasa pułkownika, ogarniał go ślepy gniew.

Fredricus zlął sztywno z kozła, rozłożył schodki karocy i otworzył drzwiczki, a potem odsunął się, ustępując miejsca dwóm szlachcicom, którzy pomogli Kalince wejść do środka.

- Co tam się dzieje? - zawołał ojciec i Hal uświadomił sobie z poczuciem winy, że od chwili kiedy jego oczy spoczęły na ukochanej kobiecie, nie powiedział ani słowa.

Teraz zniknęła mu z oczu. Powóz wytoczył się gładko przez bramę, a wartownicy zasalutowali, kiedy Fredricus puścił konie kłusem, jadąc przez plac apelowy.

Był rześki jesienny dzień. Ucichł wiejący stale południowo-wschodni wiatr. Katinką siedziała obok gubernatora Kleinhansa, naprzeciwko niej zajął miejsce Cornelius Schreuder. Mąż został w zamku, ślęcząc nad raportami dla Siedemnastki, a ona czuła, jak budzi się w niej diabeł. Rozpostarła szerzej suknię i szeleszczące krynoliny zakryły miękkie skórzane buty pułkownika.

Prowadząc w dalszym ciągu ożywioną pogawędkę z Kleinhanssem, wysunęła do przodu stopę i odnalazła palce pułkownika. Nadepnęła je kokieteryjnie i poczuła, jak się wzdrygnął. Nadepnęła ponownie i poczuła, jak nieśmiało reaguje.

- Chyba się ze mną zgodzisz, pułkowniku - oznajmiła, przerywając rozmowę z Kleinhanssem i zwracając się bezpośrednio do Schreudera - że prowadząca do rezydencji aleja

będzie wyglądać imponująco, jeśli obsadzimy ją dębami? Wyobrażam już sobie ich grube twarde pnie, które strzelają prosto w niebo... to byłby cudowny widok.

Otworzyła szerzej fiołkowe oczy, żeby pojął aluzję, i ponownie go nadepnęła.

- W rzeczy samej, Mevrouw - odparł ochryplym z podniecenia głosem. - W zupełności się z tobą zgadzam. Obraz, jaki odmalowałaś, jest tak plastyczny, że młode dęby będą chyba rosnać na twoich oczach.

Zachęcona w ten sposób, spuściła wzrok i z rozbawieniem spostrzegła efekt, jaki wywołała jej uwaga. Postawił dla niej namiot w spodniach!

Prawie milę od posepnej bryły zamku, przy skraju ogrodów Kompanii stała rezydencja gubernatora - elegancki budynek o bielonych ścianach, otoczony szerokimi cienistymi werandami i kryty ciemną strzechą. Zbudowano go na planie krzyża; każda z czterech szczytowych ścian ozdobiona była fryzem przedstawiającym jedną z pór roku. Ogrody były dobrze utrzymane; kolejni ogrodnicy Kompanii pielęgowali jeż miłością i troską.

Już z daleka Katince przypadł do gustu nowy dom. Bała się, że zamieszka w jakiejś brzydkiej bukolicznej chacie, lecz to, co zobaczyła, przekroczyło jej najśmielsze oczekiwania. Cała służba czekała na szerokim tarasie przed głównym wejściem, żeby ją powitać.

Powóz zatrzymał się w miejscu i dwaj towarzysze Katinki pomogli jej wysiąść. Na ustalony wcześniej sygnał wszyscy mężczyźni zerwali z głów czapki i zamietli nimi ziemię, a kobiety złożyły głęboki ukłon. Katinka odpowiedziała im sztywnym kiwnięciem głowy, a Kleinhans zaczął przedstawiać służbę. Większość miała brązowe lub żółte twarze i specjalnie jej nie zainteresowała. Posyłała im przelotne spojrzenie i szła dalej, pragnąc jak najszybciej mieć za sobą tę męczącą ceremonię.

Kilka osób zwróciło jednak na dłużej jej uwagę.

- To nasz starszy ogrodnik - oznajmił Kleinhans, przedstawiając jej mężczyznę, stojącego z gołą głową i przyciskającego do piersi wysoki purytański kapelusz z szerokim rondem i wstążką, którą spinała srebrna klamra. - Odgrywa w naszej społeczności ważną rolę. Jest odpowiedzialny nie tylko za ten piękny ogród... - mówiąc to wskazał zielone łąki i wspaniałe grządki z kwiatami - oraz zapewnienie świeżych owoców i warzyw każdemu wpływającemu do Zatoki Stołowej statkowi Kompanii, lecz również za ład i porządek panujący w kolonii. Pełni funkcję kata.

Kalinka, która już chciała się odwrócić, zatrzymała się i czując dreszcz podniecenia, przyjrzała uważniej mężczyźnie. Był od niej o wiele wyższy. Spojrzała w jego dziwne wyblakłe oczy, próbując sobie wyobrazić, jakie widziały okropności, a potem zerknęła na

jego ręce. Były rękoma chłopca, szerokimi, silnymi i zrogowaciałymi. Po zewnętrznej stronie rosły na nich sztywne włoski. Wyobraziła sobie, że trzyma w nich szpadel, żelazo do znakowania bydła, grabie albo duszącą pętlę.

- Nazywają cię Powolny Jan?

Słyszała już wcześniej to imię, wymawiane z fascynacją i wstrętem, tak jak mówi się o jadowym wężu.

- Ja, Mevrouw - odparł. - Tak właśnie mnie nazywają.

- Dziwne imię. Dlaczego? - Jego nieruchome żółte oczy budziły w niej niepokój.

Miała wrażenie, że Jan patrzy gdzieś daleko za nią.

- Bo wolno mówię. Bo nigdy się nie śpieszę. Bo jestem staranny. Bo powierzone mojej opiece rośliny rosną powoli i dają bogate plony. Bo powierzeni mojej opiece ludzie umierają powoli i bardzo boleśnie.

Miał silny, lecz melodyjny głos. Katinka przełknęła ślinę czując, że ogarniają dziwne perwersyjne podniecenie.

- Wkrótce będziemy mieli okazję obejrzeć cię przy pracy, Janie - powiedziała, uśmiechając się z zapartym tchem. - W zamkowych lochach pełno jest łotrów, którzy czekają, żebyś się nimi zajął.

Wyobraziła sobie nagle te szerokie silne dłonie pracujące nad wyciągniętym szczupłym ciałem Hala Courteneya, ciałem, które tak dobrze знаła. Na samą myśl o tym zacisnęły się mięśnie jej ud i brzucha. Oglądanie tej ślicznej zabawki, którą zdążyła się znudzić, powoli, bardzo powoli łamanej, kaleczonej i deformowanej, dostarczyłoby jej niepowtarzalnych przeżyć.

- Musimy jeszcze kiedyś porozmawiać, Janie - dodała ochryłym głosem. - Jestem pewna, że masz mi do opowiedzenia mnóstwo zabawnych historii. O kapuście i innych rzeczach.

Ogrodnik powtórnie się uklonił, po czym włożył kapelusz na wygoloną głowę i cofnął się, wracając do stojących w rzędzie służących. Kalinka ruszyła dalej.

- To moja gospodyni - oznajmił Kleinhans, lecz Kalinka była tak zatopiona w myślach, że nie wiedział, czy go usłyszała. A potem rzuciła znudzone spojrzenie kobiecie, którą przedstawił jej gubernator, i nagle otworzyła szerzej oczy. - Nazywa się Sukeena - ciągnął Kleinhans. W jego głosie było coś, czego nie potrafiła rozszyfrować.

- Jest bardzo młoda, jak na to stanowisko - stwierdziła, żeby zyskać na czasie i połapać się, o co chodzi.

Choć z zupełnie innego powodu, ta kobieta fascynowała ją w równym stopniu jak kat. Była filigranowa i delikatna, jak dzieło sztuki, a nie istota z krwi i kości.

- Członkowie jej rasy sprawiają często wrażenie młodszych, niż są w rzeczywistości - wyjaśnił Kleinhans. - Mają takie małe dziecinne ciała. Proszę spojrzeć na jej wąską talię, na dłonie i stopy. Zupełnie jak u lalki... - nagle przerwał, zdając sobie sprawę, że mógł popełnić gafę, rozprawiając o kobiecym ciele.

Żona gubernatora nie okazywała po sobie, jak bardzo ją to bawi. Stary lubieżnik ma słabość do swojej gospodyni, myślała, przyglądając się częściom ciała, na które zwrócił jej uwagę. Dziewczyna nosiła wysoki kołnierzyk, lecz materiał, z którego uszyto bluzkę, był lekki i przejrzysty jak pajęczyna. Jej piersi, podobnie jak całe ciało, były małe, ale doskonale uformowane. Przez cienki jedwab Kalinka widziała kolor i kształt brodawek: przypominały owinięte w gazę dwa królewskie rubiny. Ta bluzka, choć prosta i orientalnego kroju, musiała kosztować co najmniej pięćdziesiąt guldenów. Sandały Sukeeny były haftowane złotem - rzadki widok u domowej niewolnicy. Na szyi nosiła ozdobę z rzeźbionego jaspisu, klejnotu, który mógłby zdobić faworytę mandaryna. Dziewczyna z całą pewnością musiała być bawidelkiem Kleinhansa.

Kalinka odkryła seks w wieku trzynastu lat, u progu pokwitania. Jej piastunka wprowadziła ją w zaciszu dziecinnego pokoju w świat zakazanych przyjemności. Kiedy miała taki kaprys i nadarzała się sposobność, w dalszym ciągu wybierała się chętnie w podróż na zaczarowaną wyspę Lesbos. Często doznawała tam podniecia, których nie mógł jej dostarczyć żaden mężczyzna. Zaglądając teraz w ciemne oczy dziewczyny czuła, jak przez jej uda i podbrzusze przechodzi dreszcz pożądania.

W spojrzeniu Sukeeny tlił się ogień wulkanów z jej rodzinnej Bali. To nie były oczy posłusznej niewolnicy, lecz dumnej niepokornej kobiety. Dla Kalinki stanowiło to prawdziwe wyzwanie. Podporządkować ją, osiąść, a potem złamać. Wyobrażając to sobie, czuła, jak szybciej bije jej serce i rwie się oddech.

- Chodź, Sukeeno! - rozkazała. - Chcę, żebyś pokazała mi dom.

- Tak jest, jaśnie pani.

Sukeena złożyła razem dłonie i dotknęła ust czubkami palców, lecz w jej oczach wciąż płonął ten ciemny ogień. Kalinka zastanawiała się, czy nie jest to czasem nienawiść, i ta myśl dodatkowo ją podnieciła.

Dziewczyna zaintrygowała ją, tak jak się tego spodziewałem, pomyślał Kleinhans. Odkupi ją ode mnie. Nareszcie się jej pozbędę. Doskonale zdawał sobie sprawę, co dzieje się między tymi dwiema kobietami. Choć nie mógł pochlebiać sobie, że zna orientalny umysł

swojej niewolnicy, był jej właścicielem od prawie pięciu lat i nauczył się rozpoznawać niuanse nastrojów tej kobiety. Myśl o rozstaniu z nią napełniała go smutkiem, wiedział jednak, że musi to zrobić, żeby odzyskać równowagę ducha. Sukeena niszczyła go. Zapomniał już, co to znaczy mieć spokojny umysł, nie być dręczonym przez pasje i nie spełnione żądze, nie pozostawać pod urokiem czarownicy. Żołądek zżerała mu pałaca dyspepsja i od pięciu lat nie przespał spokojnie jednej nocy.

Udało mu się przynajmniej pozbyć jej brata, który stanowił dla niego równie duże zagrożenie. Teraz ona także musi odejść. Nie mógł dłużej znosić tych katuszy.

Sukeena wystąpiła z rzędu służących i ruszyła posłusznie za trójką Holendrów: swoim obmierzłym panem, gburowatym żołdakiem i piękną okrutną damą, w której szczupłych białych rękach, czuła to, spoczywał teraz jej los.

Nie pozwolę, by lak się siało, postanowiła. Ten stary podlec nie zdołał mnie osiąść, mimo że przez pięć lat nie marzył o niczym innym. Nie uda się to również tej złotowłosej tygrysicy. Ślubuję na świętą pamięć mojej matki.

Wszyscy czworo mijali wysokie przestronne pokoje rezydencji. Przez pomalowane na zielono okiennice sączyło się miękkie światło, kładąc się regularnymi smugami na płytki podłogi. Tutejszy słoneczny klimat dziwnie ożywiał Kalinkę. Czuła, jak ogarnia ją szczególna niefrasobliwość, chęć doświadczenia nowych nie znanych przygód i podniet.

W każdym pokoju napotykała delikatne dowody kobiecej ręki.

Nie chodziło tylko o unoszący się wszędzie zapach kwiatów i kadzideł, lecz o inne rzeczy, o które nigdy nie zadbałby smutny i chory mężczyzna kroczący przy jej boku. Nie musiała oglądać się przez ramię, żeby zdawać sobie sprawę z obecności dziewczyny, która stworzyła tę aurę. Czuła zapach jaśminu wpiętego w kruczoczarne włosy i słodką woń jej skóry, słyszała szelest jedwabiu i szmer złotych sandałów na drobnych stopach.

Jak prostacko brzmiał przy tym wszystkim ostry stukot obcasów pułkownika, skrzypienie bryczesów i brzęk szpady kołyszącej się przy boku. Jego zapach był o wiele mocniejszy niż zapach dziewczyny. Męska gryząca woń potu, skóry i zwierzęcia przypominała zapach ściągniętego wędzidłem galopującego ogiera. W emocjonalnej oranżerii, w jakiej się znalazła, odbierała silne bodźce wszystkimi zmysłami.

Gubernator Kleinhans wyprowadził ich w końcu z domu i ruszył przez trawnik ku stojącej w cieniu dębów małej altance. Podano tutaj na świeżym powietrzu skromny posiłek. Sukeena stanęła nieopodal, kierując służbą za pomocą pełnych gracji gestów albo samych spojrzeń.



Kalinka zauważyła, że dziewczyna próbuje każdego podawanego napoju i dania, biorąc do ust niewielkie kęsy lub pociągając delikatny łyk niczym motyl nad otwartą orchideą. Milcząc, nie usuwała się bynajmniej w cień, ponieważ wszyscy i tak zdawali sobie bez przerwy sprawę z jej obecności.

Cornelius Schreuder siedział tak blisko Kalinki, że ich uda dotykały się za każdym razem, gdy pochylał się, żeby coś jej powiedzieć. Spoglądali oboje w stronę zatoki, gdzie niedaleko Guli of Moray stał na kotwicy Standvastigheid. Galeon przyplłynął w nocy, przywożąc odzyskany ładunek drzewa i przypraw. Kleinhans miał nim wrócić do Holandii i starał się teraz jak najszybciej sfinalizować sprawy, które zostały mu do załatwienia w kolonii. Popijając wino, Kalinka uśmiechnęła się słodko do gubernatora. Wiedziała, że ma nad nim przewagę w negocjowaniu ceny.

- Chcę sprzedać piętnastu moich niewolników - oznajmił. - Na liście, którą przygotowałem, zaznaczyłem, jaki jest ich wiek i stan zdrowia, co potrafią i czego się nauczyli. Pięć kobiet jest w ciąży, kupujący ma więc gwarancję, że wkrótce powiększy się jego stan posiadania.

Kalinka zerknęła przełomie na dokument, który jej podał, i położyła go na stole.

- Opowiedz mi o Sukeenie, Münheer - rozkazała. - Czy nie myślę się sądząc, że w jej żyłach płynie północna krew? Czyjej ojciec nie był Holendrem?

Chociaż dziewczyna stała tuż obok, mówiła o niej, jakby była pozbawionym słuchu i ludzkiej wrażliwości nieożywionym przedmiotem; przepięknym klejnotem lub być może malarską miniaturą.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, Mevrouw - odparł Kleinhans, pochylając głowę. - Ale nie, jej ojciec nie był Holendrem. Był angielskim kupcem, a matka, choć Balijka, pochodziła z wyższych sfer. Kiedy ją widziałem, była w średnim wieku. Słyszałem jednak, że w młodości odznaczała się wielką urodą. Chociaż pozostała tylko jego konkubina, Anglik traktował ją jak żonę.

Wszyscy troje badali przez chwilę bez żenady rysy Sukeeny.

- Tak, można dostrzec w niej europejską krew - stwierdziła Katinka. - W odcieniu jej skóry, a także w kształcie i wykroju oczu.

Sukeena nie podnosiła wzroku i nie zmieniała wyrazu twarzy, wykonując w dalszym ciągu to, co do niej należało.

- Co myślisz o jej wyglądzie, pułkowniku? - zapytała Kalinka, przyciskając udo do jego uda. - Zawsze ciekawi mnie, co takiego przyciąga w kobiecie uwagę mężczyzn. Czy nie sądzisz, że jest urocza?

Schreuder zaczerwienił się lekko i przesunął krzesło, żeby nie patrzeć prosto na Sukeenę.

- Nigdy nie pociągały mnie miejscowe dziewczki, Mevmuw, jeśli nawet są półkrwi Europejkami. - Na twarzy Sukeeny nie odbijały się żadne uczucia, mimo że z odległości sześciu stóp dobrze słyszała jego pogardliwe słowa. - Mam słabość wyłącznie do naszych uroczych holenderskich dziewcząt. Nie zamieniłbym czystego złota na tombak.

- Bardzoś szarmancki, pułkowniku. Zazdroszczę tej złocistowłosej holenderskiej dziewczynie, która zdobędzie pańskie serce.

Katinka roześmiała się i posłała mu spojrzenie o wiele bardziej wymowne niż cisnące się jej na usta słowa, która musiały siłą rzeczy pozostać nie wypowiedziane.

- Skoro jej ojciec był Anglikiem, musi chyba mówić w tym języku? - zapytała gubernatora. - Byłaby to bardzo użyteczna umiejętność.

- W istocie, mówi po angielsku bardzo płynnie, ale to nie wszystko. Potrafi liczyć pieniądze i świetnie prowadzi gospodarstwo. Służba szanuje ją i słucha jej poleceń. Zna się na orientalnej medycynie i zna lekarstwa na wszystkie choroby...

- Widzę, że to prawdziwy ideał - przerwała mu Katinka. - Ale co można powiedzieć o jej charakterze? Czy jest uległa i posłuszna?

- Jest taka, na jaką wygląda. Byłem jej właścicielem od pięciu lat i nigdy nie miałem z nią żadnych problemów - skłamał w żywe oczy Kleinhans.

Twarz Sukeeny pozostała nieruchoma, jakby wyrzeźbiono ją w marmurze, lecz w środku aż się w mej gotowało. Przez pięć lat twardo mu się opierała i tylko kilka razy, kiedy pobił ją do nieprzytomności, udało mu się ją zgwałcić. Wiedziała jednak, że nie dało mu to satysfakcji, i z tego tylko czerpała pociechę. Dwa razy ocknęła się, gdy wciąż dyszał i sapał, prężąc się nad nią jak zwierzę i wbijając w jej suche oporne ciało. Nie uważała tego za klęskę, nie dopuszczała nawet do siebie myśli, że ją zdobył, ponieważ natychmiast po odzyskaniu przytomności opierała mu się z tą samą siłą i determinacją co przedtem.

„Nie jesteś kobietą, lecz diablicą” - zawołał z rozpaczą, kiedy wierzgając i kopiąc, zrzuciła go z siebie. Podrapany i pogryziony uciekł, zostawiając ją pobitą, lecz triumfującą. W końcu przestał próbować osiąść ją siłą i starał się wkraść w jej łaski.

Kiedyś, łkając jak stara baba, zaproponował jej nawet małżeństwo i wyzwolenie w dniu, w którym stanie wraz z nim przed ołtarzem. W odpowiedzi prychnęła na niego jak kotka.

Dwa razy próbowała go zabić. Raz sztyłem i raz trucizną. Kazał jej od tego czasu próbować wszystkich potraw i posiłków, jakie mu podawała, ale nie mógł pozbyć się myśli, że któregoś dnia jej się uda i będzie patrzyła, jak wije się w agonii.

- Wydaje się dziewczyną o anielskiej powierzchowności - stwierdziła Kalinka, zdając sobie instynktownie sprawę, że ta uwaga rozwścieczy dziewczynę. - Podejź tutaj, Sukeeno - rozkazała i niewolnica podeszła do niej, kołysząc się niczym trzcina na wietrze. - Uklęknij!

Sukeena uklękła przed nią ze skromnie spuszczonej oczyma.

- Spójrz na mnie!

Podniosła głowę. Kalinka przyjrzała się jej dokładnie.

- Mówisz, że jest zdrowa? - zapytała Kleinhansa, nie odwracając od niej wzroku.

- Młoda i zdrowa. Nie chorowała ani jednego dnia w swoim życiu.

- Nie jest w ciąży? - zapytała Kalinka, przesuając dłonią po jej brzuchu. Był płaski i twardy.

- Nie! Nie! - zawołał Kleinhans. - Jest dziewicą.

- Co do tego nigdy nie ma się pewności. Diabeł zdobywa nawet najsilniej obwarowane fortece - oświadczyła z uśmiechem Kalinka. - Ale wierzę ci na słowo, Münheer. Chcę zobaczyć jej zęby. Otwórz usta.

Przez moment myślała, że Sukeena nie wykona polecenia, lecz potem jej wargi rozchyliły się i w słońcu zaśniły małe zęby, bielsze od świeżo rzeźbionej kości słoniowej.

Kalinka dotknęła czubkiem palca dolnej wargi dziewczyny. Była miękka jak płatek róży. Przez chwilę przytrzymała palec, przedłużając w czasie własną przyjemność i upokorzenie, jakiego musiała doznawać niewolnica. A potem powoli i lubieżnie wsunęła palec między jej usta. Nasycony erotyzmem gest był parodią męskiej penetracji kobiety. Dłoń obserwującego całą scenę Kleinhansa zaczęła drżeć tak gwałtownie, że wylał trzymane w kieliszku słodkie wino. Cornelius Schreuder zasepił się, poruszył niespokojnie na krześle i założył nogę na nogę.

Dwie kobiety nie odrywały od siebie wzroku. Wnętrze ust Sukeeny było miękkie i wilgotne. Kalinka zaczęła poruszać palcem w tę i z powrotem, penetrując je i badając.

- Ten jej ojciec, Anglik... co się z nim stało? - zapytała Kleinhansa. - Skoro tak kochał swoją konkubinę, dlaczego pozwolił, by jego dziecko sprzedano na targu niewolników?

- To jeden z angielskich bandytów, których stracono, kiedy byłem gubernatorem Batawii. Jestem pewien, że pamiętasz incydent, o którym mówię, Mevrouw.

- Owszem, dobrze pamiętam. Oskarżonych poddano surowym torturom i przyznali się do swoich licznych łotrstw - powiedziała cicho Kalinka, wciąż patrząc Sukeenie prosto w

oczy. Cierpienie, jakie w nich zobaczyła, zadziwiło ją i zaintrygowało. - Nie wiedziałam, że pełniłeś wtedy funkcję gubernatora. Ojciec dziewczyny został zatem stracony na mocy twojego rozkazu?

Wargi Sukeeny zadrżały i zamknęły się miękko wokół długiego białego palca.

- Słyszałam, że zostali ukrzyżowani - szepnęła ochryple Kalinka.

W oczach Sukeeny pojawiły się łzy, ale twarz miała spokojną.

- Słyszałam, że przywiązano im do nóg płonące pochodnie - mówiła dalej Kalinka. Język dziewczyny, która przełknęła z żalu ślinę, przesunął się po jej palcu. - Następnie zaś przytknięto je do ich rąk.

Ostre zęby Sukeeny zacisnęły się na palcu Kalinki, nie dość mocno, żeby zadać ból, i z całą pewnością nie dość mocno, żeby zostawić ślady na jej białej skórze. W pałających nienawiścią oczach niewolnicy widniała jednak wyraźna groźba.

- Żałuję, ale było to konieczne. Upór tego człowieka był niebywały. To musi być narodowa cecha Anglików. - Kleinhans pokiwał głową. - Postanowiłem uczynić karę bardziej dotkliwą i wydałem rozkaz, aby konkubina skazanego... nazywała się chyba Ashreth... oglądała egzekucję wraz z dwojgiem dzieci. W tym czasie nie znałem oczywiście Sukeeny i jej brata. Nie było to bynajmniej bezmyślne okrucieństwo. Realizowałem po prostu politykę Kompanii. Do tych ludzi nie trafia łagodne traktowanie. Biorą je za przejaw słabości.

Kleinhans westchnął, dziwiąc się ludzkiej zajadłości. Po policzkach Sukeeny płynęły łzy.

- Kiedy przestępcy przyznali się do winy - podjął po chwili - zostali spaleni. Pochodnie rzucono na wiązki drew u ich stóp i cały stos stanął w płomieniach, co powitaliśmy z zadowoleniem.

Katinka wyjęła palec spomiędzy drżących warg dziewczyny, a potem z czułością zaspokojonej kochanki pogładziła ją po satynowym policzku. Pokryty śliną palec pozostawił na bursztynowej skórze mokre smugi.

- Co stało się z tą konkubiną? Czy sprzedano ją w niewolę razem z dziećmi? - zapytała Katinka, nie spuszczać oczu z twarzy klęczącej dziewczyny.

- Nie - odparł Kleinhans. - To najdziwniejsza część całej historii. Ashreth rzuciła się na stos i zginęła w tych samych płomieniach, które pochłonęły jej angielskiego kochanka. Nie sposób zrozumieć tych tubylców, nieprawdaż?

Zapadło długie milczenie; chmura zasłoniła słońce i nagle zrobiło się ciemno i chłodno.

- Biorę ją - powiedziała Katinka tak cicho, że Kleinhans przystawił dłoń do ucha, żeby lepiej słyszeć.

- Wybacz, Mevrouw, ale nie usłyszałem, co powiedziałaś.

- Biorę ją - powtórzyła Katinka. - Tę dziewczynę, Sukeenę. Kupuję ją, Münheer.

- Nie uzgodniliśmy jeszcze ceny.

Kleinhans wydawał się zaskoczony; nie spodziewał się, że okaże się to tak łatwe.

- Jestem pewna, że podasz rozsądną cenę, Münheer... jeśli oczywiście chcesz mi sprzedać innych niewolników.

- Masz, pani, czułe serce - stwierdził, potrząsając z podziwem głową. - Widzę, że historia Sukeeny wzruszyła cię i pragniesz się nią zaopiekować. Dziękuję. Wiem, że będziesz ją dobrze traktować.

Zaciskając palce na okiennych kratkach, Hal przekazywał swoje spostrzeżenia trzymającemu go na ramionach Abolemu.

- Przyjechali z powrotem karocą gubernatora. Cała trójka: Kleinhans, Schreuder i żona gubernatora van de Veldego. Wchodzą teraz po schodach... poczekajcie! Z karocy wysiada jeszcze jedna osoba. Ktoś, kogo nie znam. Kobieta.

Daniel, który stał przy zakratowanych drzwiach, przekazywał wiadomości do pojedynczych cel na górze.

- Opisz ją dokładnie - zawołał sir Francis.

W tym momencie kobieta odwróciła się, żeby powiedzieć coś stangretowi Fredricusowi i zaskoczony Hal rozpoznał w niej niewolnicę, którą dostrzegł w tłumie, kiedy prowadzono ich przez plac apelowy.

- Jest drobna i młoda. To prawie dziecko. Pochodzi prawdopodobnie z Bali albo z Malakki. Jest w niej coś... - Na chwilę się zawahał. - Jest chyba mieszanej krwi i wygląda mi na służącą albo niewolnicę. Kleinhans i Schreuder zostawili ją w tyle.

Daniel powtórzył słowa Hala i nagle dobiegł ich głos Althudy.

- Czy jest bardzo ładna? Długie czarne włosy z wpiętymi w nie kwiatami? Czy ma na szyi medalion z zielonego jaspisu?

- Wszystko się zgadza - odrzyknął Hal. - Tyle że nie jest ładna. Jest tak piękna, iż nie sposób tego opisać. Znasz ją? Kim ona jest?

- Nazywa się Sukeena. To dla niej wróciłem z gór. To moja młodsza siostra.

Hal patrzył, jak Sukeena wchodzi po schodach, sunąc po nich niczym jesienny liść niesiony podmuchem wiatru. Coś sprawiło, że wpatrując się w nią, przestał myśleć o Kalince.

Gdy zniknęła mu z oczu, światło wpadające do lochu pociemniało, a ściany wydały się bardziej wilgotne i zimne.

LI początku wprawiły ich w zdumienie komfortowe warunki, jakie panowały w zamkowych lochach. Co rano wolno im było wylewać kubel z nieczystościami, co stanowiło wielki przywilej. Pod koniec pierwszego tygodnia jeden z pracujących w polu niewolników Kompanii przywiózł świeżą słomę i mogli wyrzucić starą i zarobaczoną, która leżała na podłodze. Do cysterny dopływała miedzianą rurą woda z górskiego strumienia, w związku z czym nikt nie skarżył się na pragnienie. Każdego wieczoru z kuchni przysyłano im bochen gruboziarnistego chleba wielkości koła od wozu i duży żelazny kociołek z gotowanymi obierkami i mięsem fok upolowanych na wyspie Robben. Gulasz był smaczniejszy i bardziej obfity niż posiłki, które jedli na co dzień na statku.

Althuda roześmiał się, słysząc, jak o tym rozmawiają.

- Tak samo dobrze karmią swoje woły. Głupie zwierzęta lepiej pracują, kiedy są silniejsze.

- Na razie nie każą nam nigdzie pracować - zauważył Daniel, klepiąc się z zadowoleniem po brzuchu. Althuda ponownie się roześmiał.

- Wyjrzyjcie przez okno - poradził im. - Trzeba budować twierdzę. Nie będziecie długo siedzieć beczynnie, możecie mi wierzyć.

- Posłuchaj, Althudo - zawołał Daniel. - Twoja siostra nie jest Angielką, więc możemy chyba przyjąć, że ty też nim nie jesteś. Jak to się stało, że tak dobrze znasz nasz język?

- Mój ojciec pochodził z Plymouth. Nigdy tam nie byłem. Znacie może to miasto?

Odpowiedział mu ryk śmiechu i klaskanie w dłonie.

- Na Boga, prócz Abolego i kilku innych afrykańskich hultajów wszyscy jesteśmy rodowitymi mieszkańcami Devonu - odparł Hal. - Jesteś zatem jednym z nas, Althudo!

- Jeszcze mnie nie widzieliście. Muszę was ostrzec, że nie jestem do was podobny.

- Jeśli jesteś choćby w połowie tak przystojny jak twoja siostra, na pewno nam się spodobaś - stwierdził Hal i mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

W pierwszym tygodniu widywali dowódcę straży, niejakiego Manseera, kiedy przynoszono kociołek z gulaszem oraz przy wymianie słomy. Rankiem ósmego dnia drzwi u szczytu schodów otworzyły się nagle z głośnym hukiem.

- Wychodzić dwójkami! - wrzasnął Manseer. - Zmyjemy z was trochę brudu, śmierdziele, bo sędzia udusi się, nim zdąży was wysłać w objęcia kata. No dalej, zwawo!

Pod strażą dwunastu żołnierzy poprowadzono ich za stajnię i kazano rozebrać się do naga, umyć się i wyprać ubrania pod strumieniem wody z ręcznej pompy.



Nazajutrz o świcie ponownie wyprowadzono ich na dziedziniec, gdzie czekał na nich z młotem i kowadłem zamkowy zbrojmistrz. Tym razem jednak skuł ich parami, a nie w długi szereg.

Kiedy otworzono obite żelaznymi ćwiekami drzwi do pojedynczej celi i sir Francis wyszedł na korytarz, ze zmierzwioną brodą i włosami opadającymi na ramiona, Hal przecisnął się do niego, żeby skuli ich razem.

- Jak się czujesz, ojcze? - zapytał z troską, bo nigdy nie widział ojca w tak marnym stanie.

Sir Francis chciał odpowiedzieć, ale złapał go atak kaszlu.

- Wolę huragan na kanale La Manche niż panujący tutaj ziąb - stwierdził w końcu ochryplym głosem - ale czuję się wystarczająco dobrze, żeby znieść to, co nas czeka.

- Nie mogłem ci tego powiedzieć głośno, aleja i Aboli opracowujemy plan ucieczki - szepnął Hal. - Udało nam się podważyć jedną z płyt podłogi w głębi celi i chcemy wykopać tunel pod murami.

- Gołymi rękoma? - zapytał z uśmiechem sir Francis.

- Musimy znaleźć jakieś narzędzie - przyznał Hal. - Wtedy zabierzemy się ostro do roboty.

Pokiwał z determinacją głową, a sir Francis poczuł, jak serce rośnie mu z miłości i dumy. Nauczyłem go, żeby nigdy się nie poddawać, nawet kiedy walka jest już przegrana. Słodki Boże, mam nadzieję, że Holendrzy oszczędzą mu losu, który mają zamiar mi zgotować.

Przed południem zabrano ich z dziedzińca i zaprowadzono po schodach do największej zamkowej sali, w której zebrał się trybunał. Skuci parami, usiedli na ustawionych pośrodku czterech niskich drewnianych ławkach. Sir Francis zajął wraz z Halem miejsce w pierwszym rzędzie. Strażnicy stanęli z obnażonymi kordami przy ścianach.

Naprzeciw więźniów ustawiono podium, a na nim potężny stół i wysokie krzesło z drzewa tekowego - tron sędziego. Na zydlu przy końcu stołu siedział już pisarz sądowy, zawzięcie gryzmołąc coś w wielkiej księdze. Przed podwyższeniem stały dwa inne stoły. Przy jednym z nich siedział mężczyzna, którego Hal widział wielokrotnie przez okno celi. Według Althudy był młodszym urzędnikiem w administracji kolonii. Nazywał się Jacobus Hop i zerknąwszy raz nerwowo na więźniów, nie spojrzał na nich więcej. Przeglądał olbrzymią stertę dokumentów, przerywając od czasu do czasu, żeby otrzeć spoconą twarz wielką białą chustką.

Przy drugim stole zajmował miejsce pułkownik Cornelius Schreuder - ucieleśnienie romantycznego ideału rycerza, z piersią lśniącą od medali i szeroką szarfą na ramieniu. Na kark opadały mu loki świeżo umytej peruki. Nogi w wysokich aż po uda butach z miękkiej skóry wysunął daleko przed siebie i założył jedną na drugą. Na jego stole obok ozdobionego piórami kapelusza i szpady z Neptunem leżały porozrzucane niedbale książki i papiery. Kołysząc się na krześle, pułkownik wpatrywał się nieubłaganie w Hala i choć ten starał się wytrzymać jego spojrzenie, musiał po pewnym czasie spuścić oczy.

Obok głównych drzwi powstał nagły tumult. Kiedy je otwarto, do środka wtargnął tłum mieszkańców kolonii, którzy zajęli szybko wszystkie miejsca na ławkach pod ścianami. Po kilku minutach drzwi z powrotem zamknięto ku rozpaczy tych, dla których nie starczyło miejsca. Salę wypełnił zgielek podnieconych komentarzy. Szczęśliwi widzowie przyglądali się uważnie więźniom, wymieniając między sobą uwagi na ich temat.

Część sali po prawej stronie została odgradzona i strzegli jej z obnażoną bronią dwaj żołnierze w zielonych kubrakach. Za balustradą ustawiono rząd wygodnych foteli. Po chwili znowu zrobiło się głośniejsze i uwaga tłumu przeniosła się z oskarżonych na dygnitarzy, którzy pojawili się w drzwiach sali audiencyjnej. Na czele szedł gubernator Kleinhans prowadząc wspartą o jego ramię Kalinkę van de Velde, za nimi lord Cumbrae i kapitan Limberger, którzy gawędzili swobodnie ze sobą, nie zwracając uwagi na wrażenie, jakie ich wejście wywołało wśród gminu.

Katinka zajęła fotel w samym środku. Hal wpatrywał się w nią, modląc się, żeby na niego spojrzała, żeby dała znak, że go poznaje i wspiera. Próbował podtrzymać w sobie wiarę, że Katinka nigdy go nie opuści i że użyła już swoich wpływów i wstawiła się za nimi u swego męża, ona jednak pogrążona była w ożywionej rozmowie z Kleinhanssem i ani razu nie zerknęła na angielskich marynarzy. Nie chce, żeby ktoś zobaczył, jak bardzo nam sprzyja, pocieszał się Hal. Kiedy jednak trzeba będzie złożyć zeznanie, na pewno przemówi na naszą korzyść.

Pułkownik Schreuder wstał z krzesła, trzasnął obcasami i potoczył pogardliwym wzrokiem po tłumie. Wśród żeńskiej części publiczności rozległy się westchnienia i pełne zachwyty piski.

- Obecny tu trybunał został powołany na mocy przywileju nadanego prześwietnej Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej przez rząd Republiki Holandii i Niderlandów. Proszę zachować ciszę i powstać z miejsc. Jego Ekscelencja gubernator Petrus van de Velde, przewodniczący trybunału.

Widzowie wstali z cichym pomrukiem z ławek i utkwili wzrok w drzwiach za podium. Kilku więźniów chciało również, dzwoniąc łańcuchami, podnieść się na nogi, lecz widząc, że sir Francis i Hal nie ruszają się z miejsca, usiedli z powrotem.

W drzwiach ukazał się przewodniczący trybunału. Wspiął się majestatycznie na podwyższenie i spiorunował wzrokiem siedzących więźniów.

- Każcie tym łotrom wstać! - ryknął nagle i widzowie zadrżeli na widok jego marsowego oblicza.

W zapadłej ciszy zabrzmiał nagle jasny i wyraźny głos sir Francisa.

- Ani ja, ani żaden z moich ludzi - oznajmił po holendersku - nie uznajemy ważności tego trybunału, podobnie jak nie uznajemy prawa jego samozwańczego przewodniczącego do przesłuchiwania i sądenia wolno urodzonych Anglików, którzy są poddanymi Jego Królewskiej Mości, Karola Drugiego.

Van de Velde nadał się jak wielka ropucha. Jego twarz przybrała ciemny odcień szkarłatu.

- Jesteś piratem i mordercą! - wrzasnął. - Prawo do przewodniczenia temu trybunałowi przysługuje mi na mocy statutu Kompanii, potwierdzonego przez suwerenną Republikę Holandii, a także na mocy prawa międzynarodowego i moralnego. - Van de Velde przerwał, żeby złapać oddech, i ryknął jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio. - Uznaję cię za winnego obrazy sądu i skazuję na dziesięć uderzeń trzcina! Sierzancie - dodał, zwracając się do dowódcy straży - wyprowadźcie oskarżonego na dziedziniec i bezzwłocznie wykonajcie wyrok.

Czterech żołnierzy podbiegło do sir Francisa, podniosło go na nogi i wywlekło wraz ze skutym z nim Halem za drzwi. Widzowie wspinali się za nimi na ławki, wyciągając szyje, żeby lepiej widzieć, a potem, kiedy sir Francisa i Hala sprowadzono na dół, rzucili się hurmą do okien.

Sir Francis zachowywał milczenie i trzymał wysoko podniesioną głowę, gdy żołnierze zaciągnęli go do belki, do której przywiązywano oficerskie konie. Na rozkaz sierżanta ustawiono ich twarzą do siebie, po obu stronach belki i przywiązano skute ręce do żelaznego kółka.

Hal nie był w stanie nic zrobić. Sierżant złapał za kołnierz koszuli sir Francisa i rozdarł ją na plecach aż do pasa. A potem dał krok do tyłu i świsnął w powietrzu trzciniową laską.

- Złożyłeś rycerskie ślubowanie. Czy na pewno go dotrzymasz? - szepnął sir Francis do syna.

- Dotrzymam, ojcze.

Trzcina zaśpiewała i klasnęła o gołe ciało. Sir Francis skrzywił się z bólu.

- Ta chłosta to tylko dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co mnie czeka.

Rozumiesz to?

- Dobrze rozumiem.

Sierzant zamierzył się ponownie. Uderzał dokładnie w to samo miejsce co przedtem, żeby za każdym razem ból stawał się coraz większy.

- Bez względu na to, co powiesz albo zrobisz, nic i nikt nie zdoła zmienić toru czerwonej komety. Mój los zapisany jest w gwiazdach i nie można na to nic poradzić.

Trzcina zajęczała i klasnęła; ciało sir Francisa stężało, a potem znowu się rozluźniło.

- Jeśli będziesz silny i konsekwentny, wytrwasz. To będzie dla mnie nagrodą.

Kiedy trzcina przecięła po raz kolejny napięte mięśnie na plecach sir Francisa, z jego ust wydarło się chrapliwe westchnienie.

- Jesteś krwią z mojej krwi i ciałem z mego ciała. Poprzez ciebie ja również przetrwam.

Trzcina raz za razem świstała w powietrzu i uderzała o gołe ciało.

- Obiecaj mi po raz ostatni. Przysięgnij na nowo, że nigdy nie wyjawisz niczego tym ludziom, chcąc na próżno ratować mi życie.

- Przysięgam ci, ojczy - odparł szeptem Hal z twarzą bladą jak prześcieradło.

- Pokładam w tobie całą moją wiarę i nadzieję - powiedział sir Francis, gdy żołnierze podnieśli go z belki.

Idąc z powrotem na górę, oparł się lekko o ramię syna. Potknął się, a Hal objął go mocniej, żeby wchodząc na salę, mógł trzymać wysoko głowę i dumnie wyprostowane zakrwawione plecy.

Gubernator van de Velde siedział na podwyższeniu. Przy łokciu miał srebrną tacę z przekąskami i właśnie się posilał, popijając słabe piwo z cynowego kubka i gawędząc z siedzącym niżej pułkownikiem Schreuderem. Kiedy tylko strażnicy odprowadzili sir Francisa i Hala na miejsce, wyraz twarzy gubernatora dramatycznie się zmienił. Na sali zapadła głucha cisza.

- Mam nadzieję - oznajmił tubalnym głosem van de Velde - że dałem jasno do zrozumienia, iż nie pozwolę dalej zakłócać prac trybunału. - Popatrzył spode łba na sir Francisa, a potem omiół wzrokiem salę. - To dotyczy wszystkich obecnych. Każdy, kto będzie robił sobie kpiny z tego sądu, zostanie potraktowany w taki sam sposób jak ten więzień. Kto pełni obowiązki oskarżyciela? - zapytał, zwracając się do Schreudera. Pułkownik wstał z krzesła.

- Pułkownik Cornelius Schreuder, do usług Waszej Ekscelencji.

- Kto będzie bronił oskarżonych?

Van de Velde zmierzył srogim spojrzeniem Jacobusa Hopa i biedak zerwał się na nogi, zrzucając na podłogę połowę swoich papierów.

- Ja, Wasza Ekscelencjo.

- Podaj swoje nazwisko, człowieku! - ryknął na niego van de Velde i Hop skulił się ze strachu.

- Jacobus Hop - wyjąkał. - Urzędnik i pisarz Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Wypowiedzenie tego wszystkiego zajęło mu dużo czasu.

- W przyszłości wyrażaj się jasno, Hop - ostrzegł go van de Velde. - Proszę przedstawić akt oskarżenia, pułkowniku - zwrócił się do Schreudera.

- Oskarżenie obejmuje piractwo na morzu oraz morderstwa i porwania. Lista oskarżonych liczy dwadzieścia cztery osoby. Jeśli Wasza Ekscelencja pozwoli, przeczytam teraz ich nazwiska. Każdy więzień wstanie, kiedy go wyczytam, żeby sąd mógł mu się przyjrzeć.

Pułkownik wyjął z rękawa kurtki zwinięty pergamin i wyciągnął go na długość ręki.

- Osobą, na której ciążyą największe zarzuty, jest Francis Courteney, kapitan pirackiej karaweli Lady Edwina. To on jest prowodyrem i głównym sprawcą przestępstw popełnionych przez siedzącą tutaj bandę korsarzy. - Van de Velde pokiwał głową i Schreuder zaczął czytać dalej. - Henry Courteney, oficer i mat. Ned Tyler, bosman. Daniel Fisher, bosman.

Każdy z wywołanych wstawał na chwilę z miejsca; niektórzy pochylali przy tym głowy i uśmiechali się przymilnie do van de Veldego. Ostatni czterej oskarżeni mieli czarny kolor skóry.

- Matesi, murzyński niewolnik.

- Jiri, murzyński niewolnik.

- Kimatti, murzyński niewolnik.

- Aboli, murzyński niewolnik.

- Udowodnimy tutaj, że w dniu czwartego września roku pańskiego tysiąc sześćset sześćdziesiątego siódmego Francis Courteney, dowodzący karawelą Lady Edwina, której załogę stanowili obecni tu inni więźniowie, napadł na dowodzony przez kapitana Limbergera galeon Standvastigheid...

Schreuder mówił, nie zaglądając do notatek i Hal podziwiał mimowolnie jasność i dokładność jego wywodu.

- Teraz, jeśli Wasza Ekscelencja pozwoli, chciałbym wezwać mojego pierwszego świadka. - Van de Velde skinął głową i Schreuder odwrócił się do publiczności. - Wzywam kapitana Limbergera.

Kapitan galeonu wstał z wygodnego fotela w odgradzonej części sali i wszedł na podwyższenie, na którym stało krzesło dla świadków.

- Czy zdajesz sobie sprawę z wagi tego procesu i przysięgasz przed Bogiem mówić prawdę i tylko prawdę? - zapytał van de Velde.

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

- Doskonale. Pułkowniku, możesz przesłuchać swojego świadka.

Schreuder kazał szybko przedstawić Limbergerowi nazwisko, stopień i obowiązki, jakie pełnił w Kompanii. Następnie poprosił, żeby kapitan opisał statek, pasażerów i ładunek. Limberger czytał swoje odpowiedzi z przygotowanej wcześniej kartki.

- Kto jest właścicielem galeonu i przewożonego nim ładunku? - zapytał Schreuder.

- Prześwietna Holenderska Kompania Wschodnioindyjska.

- Czy czwartego września tego roku pański statek znajdował się na szerokości południowej trzydziestu czterech stopni i długości wschodniej dwudziestu stopni, to jest mniej więcej pięćdziesiąt mil na południe od przylądka Agulhas?

- Owszem.

- Było to w jakiś czas po ustaniu działań wojennych między Holandią i Anglią?

- Tak jest.

Schreuder wziął ze stołu oprawny w skórę dziennik okrętowy i podał go Limbergerowi.

- Czy ten właśnie dziennik okrętowy miałeś na pokładzie podczas trwania rejsu?

Limberger przyjrzał mu się krótko.

- Tak, pułkowniku, to ten dziennik.

- Powinienem chyba poinformować Waszą Ekscelencję - oznajmił Schreuder, zwracając się do van de Veldego - że dziennik ten znaleziono u pirata Courteneya po jego pojmaniu przez oddziały Kompanii.

Van de Velde pokiwał głową i Schreuder spojrzał na Limbergera.

- Czy byłbyś łaskaw, kapitanie, przeczytać nam ostatni ustęp w dzienniku?

Kapitan odwrócił kartki i przeczytał na głos:

- „Czwartego września roku tysiąc sześćset sześćdziesiątego siódmego. Drugi dzwonek porannej wachty. Pozycja według pomiarów nawigacyjnych dwadzieścia stopni dwadzieścia minut długości wschodniej, trzydzieści cztery stopnie czterdzieści pięć minut



szerokości południowej. Na południowo-południowym wschodzie zauważono obcy statek. Wywiesił naszą banderę”. - Limberger zamknął książkę i podniósł wzrok. - Zapiski urywają się w tym miejscu.

- Czy tym obcym statkiem, o którym piszesz, była karawela Lady Edwina i czy na jej maszcie powiewały bandery Republiki i Kompanii?

- Tak, na oba pytania.

- Czy zechcesz nam opowiedzieć, kapitanie, co zaszło potem?

Limberger opisał zwięźle zdobycie statku, podkreślając na wyraźne życzenie Schreudera, jak dzięki wywieszeniu fałszywej bandery Lady Edwina zdołała podejść na bliską odległość do galeonu. Kiedy skończył opowiadać, Schreuder poprosił go o wyliczenie holenderskich strat w ludziach. Kapitan miał już przygotowaną wcześniej listę zabitych i rannych.

- Dziękuję, kapitanie. Czy możesz teraz opowiedzieć, co się stało z tobą i twoimi pasażerami, kiedy piraci zdobyli Standvastigheid! Limberger opisał, jak pożeglowali na wschód w towarzystwie Lady Edwiny, jak przeniesiono z karaweli na galeon cały ładunek oraz sprzęt i wyprawiono ją pod dowództwem Schreudera na Przylądek Dobrej Nadziei z żądaniem okupu, a także jak popłynął dalej galeonem do Zatoki Słoni i razem ze swymi dostojnymi pasażerami przebywał tam w niewoli do dnia, gdy wyzwolił ich korpus ekspedycyjny dowodzony przez Schreudera i lorda Cumbrae.

Kiedy Schreuder zakończył przesłuchanie, van de Velde spojrzał na Jacobusa Hopa.

- Masz jakieś pytania, Münheer!

Hop zerwał się z miejsca, trzymając w rękach plik papierów. Zaczerwienił się jak burak, odetchnął głęboko i wydał z siebie długi nieartykułowany bełkot. Wszyscy obecni na sali obserwowali z zainteresowaniem jego udrękę.

- Za dwa tygodnie kapitan Limberger ma zamiar wypłynąć do Holandii - syknął w końcu van de Velde. - Czy możemy mieć nadzieję, że uda ci się zadać mu do tego czasu pytanie, Münheer! Hop potrząsnął głową.

- Nie mam żadnych pytań - wykrztusił w końcu i ciężko usiadł.

- Kto jest następnym świadkiem oskarżenia? - zapytał van de Velde, kiedy Limberger wrócił na swoje miejsce.

- Chciałbym wezwać żonę gubernatora, Mevrouw Kalinkę van de Velde, oczywiście pod warunkiem, że nie sprawi jej to kłopotu - odparł Schreuder.

Szeleszcząc jedwabiem i koronkami Katinka usiadła na krześle dla świadków; przez salę przeszedł pełen zachwyty szmer. Sir Francis zauważył, jak Hal sztywnieje na ławce, lecz

nie spojrział mu w oczy. Dopiero na kilka dni przed ich pojmaniem, kiedy Hal zaczął znikać na długie godziny z obozu i zaniedbywać swoje obowiązki, zorientował się, że jego syn wpadł w sidła tej złotowłosej kurwy. W tym momencie było już za późno, żeby interweniować. Pamiętał zresztą, jak to jest, gdy człowiek jest młody i zakochany po uszy, czasami w zupełnie nieodpowiedniej kobiecie, i rozumiał, że nie ma sensu płakać nad wylanym mlekiem. Czekał na właściwy moment, by położyć kres ich związkowi, i właśnie wtedy Schreuder i Cochran napadli na obóz.

Schreuder poprosił z wielkim uszanowaniem Kalinkę o podanie danych personalnych, następnie zaś o opowiedzenie, jak dostała się do niewoli. Odpowiadała słodkim czystym głosem, który drżał z emocji.

- Proszę, opisz nam, pani, jak traktowali cię twoi prześladowcy - zwrócił się do niej pułkownik. Katinka zaczęła cicho szlochać.

- Próbowałam wyrzucić wszystko z pamięci. To, co mnie spotkało, jest zbyt bolesne, bym mogła o tym myśleć, ale nigdy nie zdołam zapomnieć. Traktowana byłam jak zwierzę w klatce, opluwana, obrzucana wyzwiskami, uwięziona w szałasie z trawy.

Nawet van de Velde zrobił zdziwioną minę, słysząc zeznanie żony, szybko jednak uświadomił sobie, jakie silne wrażenie wywoła, gdy dołączy je do raportu, który miał przesłać do Amsterdamu. Po przeczytaniu go ojciec Kalinki i inni członkowie Siedemnastki będą musieli zaaprobować nawet najostrzejszy wyrok, jaki zapadnie w tej sprawie.

Sir Francis zdawał sobie sprawę, w jakim stanie znajduje się Hal, słuchając kłamstw kobiety, której tak bardzo ufał. Czuł, że jego syn fizycznie opada z sił, gdy niszczyła wiarę, którą w niej pokładał.

- Nie upadaj na duchu, chłopcze - szepnął cicho i Hal wyprostował się na twardej ławce.

- Wiemy, że doznałaś, pani, straszliwych katuszy z rąk tych potworów. - Na myśl o nich Schreuder zatrzęsł się z gniewu. Kalinka kiwnęła głową i otarła z gracją oczy koronkową chusteczką. - Czy uważasz, że takim jak oni bestiom należy okazać łaskę, czy też powinna na nich spaść karząca ręka sprawiedliwości?

- Słodki Jezus wie, że jestem tylko biedną kobietą o czułym sercu i że kocham wszystkie boże stworzenia. - Głos Kalinki załamał się żałośnie. - Lecz chyba wszyscy tu obecni zgodzą się ze mną, że zwykły stryzyk jest zbyt łagodną karą dla tych zbrodniarzy.

Przez rzędy ławek przeszedł powoli szmer aprobaty, który przerodził się w głęboki pomruk. Niczym tresowane niedźwiedzie w porze karmienia obecni na sali łaknęli krwi.

- Spalić ich! - krzyknęła jakaś kobieta. - Nie zasługują, by nazywać ich ludźmi.

Kalinka podniosła głowę i po raz pierwszy od wejścia na salę odwróciła się do Hala i spojrzała przez łzy prosto w jego oczy.

Hal wytrzymał jej spojrzenie. Czuł, jak miłość i uwielbienie, jakie do niej żywił, obumierają niczym łagodne wino dotknięte pleśnią. Sir Francis domyślił się tego i z uwagą przyjrzał synowi. Zobaczył łód w jego oczach i poczuł niemal żar płomieni ogarniających serce młodzieńca.

- Nigdy nie była cię warta - powiedział cicho. - Odrzucając ją, stajesz się prawdziwym mężczyzną.

Czy ojciec naprawdę się wszystkiego domyślał? Czy wiedział, co się wydarzyło? Czy znał jego uczucia? Jeśli tak, z pewnością już dawno się go wyrzekł. Hal spojrzał sir Francisowi w oczy, obawiając się, że zobaczy w nich pogardę i gniew. Zamiast nich ujrzał zrozumienie. Zdał sobie sprawę, że ojciec wiedział wszystko, wiedział prawdopodobnie od samego początku, lecz wcale się go nie wyrzekł i teraz pragnie dodać mu otuchy.

- Popełniłem cudzołóstwo i zламаłem rycerskie śluby - szepnął. - Nie jestem godzien zwać się twoim synem.

Sir Francis położył, dzwoniąc łańcuchami, rękę na kolanie chłopca.

- To ja ładaczniczka sprowadziła cię na manowce. Nie ty powinieneś się tego wstydić. Będiesz zawsze moim synem, a ja będę z cię zawsze dumny - odparł.

Van de Velde spiorunował go wzrokiem.

- Cisza! Dostyc tego gadania! Chcesz znowu oberwać trzcina? Byłaś bardzo dzielna, pani - zwrócił się do żony. - Jesieni pewien, że Münheer Hop nie będzie cię dłużej niepokoił - dodał, patrząc spode łba na nieszczęsnego urzędnika, który zerwał się na nogi.

- Mevrouw! - Ten jeden wyraz zabrzmiał jak strzał z pistoletu, zadziwiając samego Hopa i wszystkich obecnych. - Dziękujemy pani za złożenie zeznań. Nie mamy dalszych pytań.

W całym swoim wystąpieniu Hop zaciął się tylko raz, przy słowie „zeznań”, i usiadł z triumfalną miną na krześle.

- Trafnie to ująłeś, Hop - stwierdził łaskawie van de Velde. - Możesz wrócić na swoje miejsce, Mevrouw - dodał.

Przez salę przeszedł szum i wzrok wszystkich obecnych mężczyzn powędrował w dół, gdy Kalinka uniosła suknię i zeszła z podwyższenia, odsłaniając idealnie uformowane łydki w białych jedwabnych pończochach.

- Czy mogę cię teraz prosić, lordzie Cumbrae? - zapytał Schreuder, kiedy usiadła w fotelu.

Ubrany w galowy strój, Cochran wszedł na podwyższenie i złożył przysięgę, opierając dłoń na ozdobionej złotym kryształem rękojeści sztyletu.

- Czy znasz, panie, kapitana piratów, Courteneya? - zapytał pułkownik, ustaliwszy dane personalne świadka.

- Jak własnego brata. - Cochran uśmiechnął się do sir Francisa. - Kiedyś bardzo się przyjaźniliśmy.

- Teraz już nie? - zapytał ostro Schreuder.

- Ja też nad tym ubolewam, ale nasze drogi rozeszły się, kiedy zaczął się zmieniać. Wciąż żywię jednak do niego wielki afekt.

- W jaki sposób się zmienił?

- Franky to był zawsze odważny chłop, nie ma co do tego dwóch zdań. Żeglowaliśmy razem w słońcu i w słońcu. Nie ma człowieka, którego bym bardziej kochał. Był szlachetny i uczciwy, dzielny i szczodroblivy dla przyjaciół... - Cochran urwał i na jego twarzy ukazał się głęboki smutek.

- Mówisz w czasie przeszłym, mój panie. Co się zmieniło?

- To Francis się zmienił. Zaczęło się od drobnych rzeczy... stał się okrutny dla jeńców i twardy dla załogi. Za byle co wymierzał chłostę i wieszał. Potem zmienił się w stosunku do starych przyjaciół: okłamywał ich i pozbawiał należnej części łupów. Zrobił się zgorzkniały i szorstki.

- Dziękuję za szczerość - powiedział Schreuder. - Widzę, że niełatwo jest ci o tym mówić, panie.

- Bardzo trudno - potwierdził ze smutkiem Cochran. - Wolałbym nie oglądać starego przyjaciela w kajdanach, ale Bóg wszechmogący wie, że nie zasłużył na łaskę, pozbawiając życia uczciwych holenderskich marynarzy i dręcząc niewinne niewiasty.

- Kiedy ostatnio żeglowałeś wspólnie z Courteneyem?

- Nie tak dawno temu, w kwietniu tego roku. Patrowaliśmy obaj wody wokół przylądka Agulhas, czyhając na galeony Kompanii, które zmierzały do Zatoki Stołowej.

Na sali rozległ się pomruk patriotycznego gniewu, który van de Velde uznał za stosowne zignorować.

- Czyżbyś ty, panie, był również korsarzem? - Schreuder zmierzył go srogim spojrzeniem. - Czy ty również napadałeś na holenderskie statki?

- Nie, pułkowniku. Nie jestem piratem ani korsarzem. Podczas ostatniej wojny między naszymi krajami dowodziłem statkiem kaperskim.

- Czy mógłbyś powiedzieć, panie, jaka jest różnica między korsarzem i kaprem?

- Bardzo prosta. Kaper żegluje na podstawie patentu kaperskiego wydanego przez swojego suwerena w czasie wojny, można więc go uznać za żołnierza jednej z wojujących stron. Pirat jest zbrojcem i rabusiem, nie uznającym nad sobą żadnej władzy prócz tej, którą dał mu sam szatan, Księżę Ciemności.

- Rozumiem. Napadając na holenderskie statki, miałeś zatem w swoim posiadaniu list kaperski.

- Owszem, pułkowniku.

- Czy możesz nam pokazać teraz ten dokument?

- Naturalnie!

Cochran wyciągnął z rękawa zwój pergaminu i podał go Schreuderowi.

- Dziękuję. - Pułkownik rozwinął opatrzone szkarłatnymi wstążkami i woskowymi pieczęciami pergamin i pokazał go wszystkim. - „Czynimy wszem wobec wiadomym - przeczytał na głos - iż nasz ukochany Angus Cochran, lord Cumbrae...”.

- W porządku, pułkowniku - przerwał mu ze zniecierpliwieniem van de Velde. - Nie ma potrzeby czytać tego wszystkiego. Chciałbym zobaczyć ten dokument.

Schreuder skłonił się.

- Wedle życzenia, Wasza Ekscelencjo - odparł, wręczając gubernatorowi pergamin.

Van de Velde zerknął nań i odłożył na bok.

- Proszę kontynuować przesłuchanie - mruknął.

- Czy więzień Courteney również miał podobny list kaperski, mój panie?

- Jeśli nawet miał, nic mi o tym nie wiadomo - odparł Cochran, uśmiechając się bezwstydnie do sir Francisca.

- Czy gdyby taki list rzeczywiście istniał, powinieneś być o tym wiedzieć?

- Ja i sir Francis byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Tak, na pewno by mi powiedział.

- Nigdy nie dyskutowaliście na ten temat? Schreuder był wyraźnie zniecierpliwiony, niczym nauczyciel, którego uczeń zapomniał wyuczonej lekcji.

- Ach, tak - odparł Cochran. - Teraz przypominam sobie pewną rozmowę. Zapytałem go, czy ma patent od króla.

- I co na to odpowiedział?

- To tylko świstek papieru, stwierdził. Nie zwracam sobie głowy podobnymi głupstwami.

- Wiedziałeś zatem, panie, że nie ma listu kaperskiego, a mimo to żeglowałeś w jego towarzystwie? Cochran wzruszył ramionami.

- Trwała wojna, a poza tym to w końcu nie moja sprawa.

- Żeglowałeś więc razem z więźniem już po podpisaniu pokoju, czatując na holenderskie okręty? Możesz to wyjaśnić, panie?

- To proste, pułkowniku. Nic nie wiedziałem o zawarciu pokoju aż do spotkania z pewną portugalską karawelą płynącą z Lizbony do Goa. Jej kapitan powiedział mi, że podpisany został traktat pokojowy.

- Jak nazywał się ów portugalski statek?

- El Dragao.

- Czy więzień Courteney był obecny przy tym spotkaniu?

- Nie. Żeglował na pomoc ode mnie i jego statek był wtedy za horyzontem.

Schreuder pokiwał głową.

- Gdzie jest teraz ta karawela?

- Mam tutaj egzemplarz angielskiej gazety, zaledwie sprzed trzech miesięcy. Przywiózł ją przed trzema dniami statek Kompanii, który stoi teraz w zatoce. - Cochran wyciągnął niczym prestidigitator gazetę z rękawa. - Wracając do ojczyzny El Dragao zatonął wraz z całą załogą na Zatoce Biskajskiej.

- Wygląda więc na to, że nikt już nie potwierdzi, iż rzeczywiście spotkałeś się z nimi nieopodal przylądka Agulhas? Cochran pogładził swoją wielką rudą brodę.

- Musisz uwierzyć mi na słowo, pułkowniku - stwierdził.

- Co uczyniłeś, usłyszawszy o zawarciu pokoju między Anglią i Holandią?

- Jako uczciwy człowiek mogłem zrobić tylko jedno. Zszedłem z wyznaczonej pozycji i ruszyłem na poszukiwanie Lady Edwiny.

- Żeby powiadomić ich, iż wojna dobiegła końca? - podpowiedział Schreuder.

- Oczywiście. A także powiedzieć Franky'emu, że mój list kaperski stracił ważność i wracam do domu.

- Czy odnalazłeś Courteneya? Czy przekazałeś mu tę wiadomość?

- Odnalazłem go po kilku godzinach żeglugi. Zajmował pozycję mniej więcej dwadzieścia mil na północ ode mnie.

- Co powiedział, kiedy zawiadomiłeś go, że wojna jest skończona?

- „Dla ciebie może i skończona, ale nie dla mnie - odkrzyknął. - Wojna czy pokój, słońce czy niepogoda, i tak zamierzam zapolować na tłustego serojada”.

Duży Daniel zerwał się nagle na nogi, szcękając łańcuchami i pociągając za sobą znacznie mniejszego Neda Tylera.

- Nie ma w tym ani słowa prawdy, ty kłamliwy szkocki bękartie! - ryknął.



Van de Velde podskoczył w miejscu i pogroził palcem Danielowi.

- W tej chwili siadaj z powrotem, ty angielska świni, albo każę zedrzeć z ciebie pasy!  
- wrzasnął.

Sir Francis odwrócił się i wziął za rękę swojego bosmana.

- Uspokój się, mistrzu Danielu - powiedział cicho. - Nie pozwól, by Cochran napawał się naszym bólem.

Nie śmiejąc opierać się rozkazom kapitana, Duży Daniel usiadł z powrotem, mamrocząc wściekle pod nosem.

- Jestem pewien, że gubernator van de Velde miał okazję przekonać się, jak nieobliczalni i gwałtowni są ci łajdacy - stwierdził Schreuder, po czym zwrócił się ponownie do Cochrana. - Czy widziałeś jeszcze później Courteneya, panie?

- Owszem. Dowiedziawszy się, że mimo mych ostrzeżeń napadł na galeon Kompanii, odszukałem go, by przemówić mu do sumienia. Prosiłem, żeby oddał statek oraz ładunek i uwolnił zakładników, których przetrzymywał w celu uzyskania okupu.

- Jak odpowiedział na twoje apele?

- Wysłał w stronę mego żaglowca płonące brandery i skierował działa na mój statek. Zabił dwunastu marynarzy. - Cochran potrząsnął głową na wspomnienie perfidnej napaści, która spotkała go ze strony starego przyjaciela i towarzysza broni. - Wtedy właśnie przybyłem do Zatoki Stołowej, aby powiadomić gubernatora Kleinhansa o miejscu przetrzymywania galeonu oraz zaoferować mu poprowadzenie ekspedycji w celu odzyskania statku i ładunku.

- Sam będąc żołnierzem, mogę tylko wyrazić uznanie dla twojej wzorowej postawy, milordzie. Nie mam więcej pytań, Wasza Ekscelencjo - oznajmił Schreuder, chyląc głowę przed van de Veldem.

- Masz jakieś pytania, Hop? - zapytał gubernator. Zmieszany Hop posłał błagalne spojrzenie sir Francisowi.

- Czy mogę porozmawiać z sir Francisem na osobności? Tylko chwilę, Wasza Ekscelencjo - wyjąkał.

Przez moment wydawało się, że gubernator odrzuci jego prośbę, w końcu jednak uniósł z rezygnacją brwi.

- Jeśli będziesz się tak ściśle trzymał procedur, Hop, nie skończymy nawet za tydzień. Dobrze, człowieku, możesz porozmawiać z więźniem, ale pośpiesz się.

Hop podszedł do sir Francis, zadał mu półgłosem jakieś pytanie i wysłuchał odpowiedzi. Na jego bladej twarzy pojawiła się groza. Pokiwał kilka razy głową, słuchając szepczącego mu do ucha sir Francis, po czym wrócił na swoje miejsce.

Przez sekundę spoglądał na leżące przed nim papiery, oddychając głęboko niczym polawiacz perelę szykujący się do skoku w głębinę. W końcu podniósł wzrok.

- Po raz pierwszy usłyszałeś o zakończeniu wojny, milordzie - krzyknął na Cochran - kiedy próbowałeś uprowadzić z tutejszego portu Swael. Powiedział ci o tym pułkownik Schreuder.

Wykrzyczał to jednym tchem, ani razu się nie zacinając. Jak na jego możliwości była to jednak całkiem długa przemowa i umilknąwszy, odchylił się do tyłu, dysząc ciężko z wysiłku.

- Postradałeś zmysły, Hop? - ryknął van de Velde. - Oskarżasz lorda o kłamstwo, ty mały wypierdku?

Hop zaczerpnął po raz kolejny powietrza i zebrał w sobie całą odwagę.

- Trzymałeś we własnych rękach list kaperski kapitana Courteneya - krzyknął znowu - a potem spaliłeś go na jego oczach!

I ta kwestia została wypowiedziana całkiem gładko, lecz Hop był już kompletnie wyczerpany. Stał w miejscu, łapiąc kurczowo oddech.

Van de Velde zerwał się na nogi.

- Jeśli chcesz zrobić karierę w Kompanii, Hop, starasz się o to w nader dziwny sposób. Stoisz tutaj, ciskając bezpodstawne oskarżenia na tak dostojną osobę. Zapomniałeś, gdzie jest twoje miejsce, ty bezwartościowy śmieciu? Jak śmiesz się tak zachowywać? Siadaj, bo każę cię wychłostać!

Hop osunął się na swoje krzesło, jakby oberwał w głowę kulą z muszkietu. Van de Velde sapał ciężko ze zdenerwowania.

- Muszę cię przeprosić, milordzie - zwrócił się do Cochran. - Wszyscy obecni wiedzą, że oddałeś nieocenione usługi przy uwolnieniu zakładników i odzyskaniu Standvastigheid z rąk tych łotrów. Proszę nie zwracać uwagi na te obraźliwe słowa i wrócić na miejsce. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za okazaną pomoc.

Cochran siadł z powrotem w fotelu, gubernator zaś zdał sobie nagle sprawę, że siedzący obok pisarz pracowicie protokołuje jego wypowiedź.

- Nie zapisuj tego, głupcze! To nie stanowiło części procesu. Pokaż, coś tam nabazgrał.

Zabrał urzędnikowi jego księgę i twarz pociemniała mu, kiedy zaczął czytać. Pochylił się do przodu, wyrwał mu pióro z ręki i kilkoma śmiałymi pociągnięciami wykreślił te partie tekstu, które mu się nie spodobaly.

- Puknij się w głowę - ofuknął pisarza, oddając mu protokół. - Papier jest zbyt kosztownym artykułem, żeby marnować go, zapisując wszystkie brednie. Panowie - zwrócił się do oskarżyciela i obrońcy - chciałbym zakończyć tę sprawę w dniu dzisiejszym. Nie chcę narażać Kompanii na niepotrzebne wydatki, przeciągając ten proces w nieskończoność. Uważam, pułkownika Schreuder, że w nader przekonujący sposób przedstawiłeś zarzuty przeciwko piratom. Mam nadzieję, że nie popiszesz się nadgorliwością, wzywając kolejnych świadków.

- Wedle życzenia, Ekscelencjo. Zamierzałem co prawda wezwać jeszcze dziesięciu...

- Wielkie nieba! - Van de Velde zrobił przerażoną minę. - To nie będzie wcale konieczne.

Schreuder uklonił się głęboko i usiadł. Van de Velde pochylił głowę niczym byk gotujący się do szarży i spojrział na obrońcę.

- Słyszałeś przed chwilą, Hop - warknął - jak rozsądnie zachował się pułkownik Schreuder i jak znakomity przykład zwięzłości i lapidarności dał uczestnikom tego przewodu. Co teraz zamierzasz?

- Chciałbym wezwać do złożenia zeznań sir Francisa Courteneya - wyjąkał Hop.

- Gorąco ci odradzam - odparł groźnie van de Velde. - Z całą pewnością nie wniesie to nic nowego do sprawy.

- Chcę wykazać, że więzień nie wiedział o zakończeniu wojny i że miał list kaperski wydany przez króla Anglii - upierał się Hop. Van de Velde poczerwieniał z gniewu.

- Niech cię szlag trafi, Hop. Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Znamy dobrze tę linię obrony i zaręczam ci, że weźmiemy ją pod uwagę, wydając wyrok. Nie musisz na nowo przytaczać tych kłamstw.

- Chciałbym, żeby więzień powtórzył je po prostu do protokołu. Hop był bliski łez; każde słowo boleśnie łamało jego język.

- Wystawiasz moją cierpliwość na ciężką próbę, Hop. Postępuj tak dalej, a znajdziesz się na pierwszym statku płynącym do Amsterdamu. Nie mogę pozwolić, aby nielojalny pracownik Kompanii siał niezgodę i bunt w kolonii.

Przerażony wagą stawianych mu zarzutów, Hop dał w końcu za wygraną.

- Przepraszam, że przeciągałem niepotrzebnie rozprawę. Nie mam nic więcej do dodania.

- Grzeczny chłopiec. Dobrze się spisałeś. Nie omieszkam wspomnieć o tym w moim następnym raporcie dla Siedemnastki. - Twarz gubernatora przybrała z powrotem naturalny kolor i van de Velde uśmiechnął się łaskawie do zgromadzonych. - Zrobimy teraz przerwę na

posiłek. Trybunał zbierze się ponownie o godzinie czwartej po południu w celu ogłoszenia wyroku. Proszę zabrać więźniów z powrotem do lochów.

Nie chcąc zdejmować łańcuchów, sierżant Manseer wepchnął skutego z ojcem Hala do pojedynczej celi u szczytu schodów. Reszta więźniów zeszła na dół.

Sir Francis usiadł razem z synem na kamiennej półce, która służyła za łóżko.

- Ojcze, chcę opowiedzieć ci o Kalince... to znaczy o żonie gubernatora - wyrzucił z siebie Hal, kiedy tylko zostali sami.

Sir Francis objął go niezręcznie; kajdany krępowały jego ruchy.

- Chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, ja też byłem kiedyś młody. Nie musisz mi nic mówić o tej ladacznicy. Nie jest warta, byś zaprzął sobie nią głowę.

- Nigdy już nie pokocham żadnej kobiety - oświadczył z goryczą Hal.

- To, co czułeś do tej kobiety, nie było wcale miłością, mój synu - stwierdził sir Francis, potrząsając głową. - Twoja miłość jest bezcenną walutą. Wydawaj ją tylko wtedy, gdy wiesz, że nie zostaniesz oszukany.

W tym momencie rozległo się stukanie w żelazne kraty sąsiedniej celi.

- Jak idzie proces, kapitanie Courteney? - zawołał Althuda. - Czy Kompania dała ci już posmakować swojej sprawiedliwości?

- Odbywa się to dokładnie tak, jak przewidziałeś, Althudo - odparł sir Francis. - Widać, że ty też jej posmakowałeś.

- Gubernator jest jedynym bogiem w tym małym raj, który nazywają Przylądkiem Dobrej Nadziei. Tutaj sprawiedliwe jest to, co przysparza profitów Kompanii Wschodnioindyjskiej lub jej urzędnikom. Czy sędzia uznał cię już za winnego i ogłosił to?

- Jeszcze nie. Van de Velde poszedł napchać kałdun.

- Módl się, żeby konieczność dostarczenia robotników do budowy murów okazała się ważniejsza od chęci zemsty. Tylko w ten sposób możesz uniknąć spotkania z Powolnym Janem. Czy jest coś, co przed nimi ukrywasz? Może czegoś od ciebie chcą? Na przykład, żebyś zdradził przyjaciela? - zapytał Althuda. - Jeśli nie, może uda ci się nie trafić do małej izby pod zbrojownią, gdzie ma swój warsztat Powolny Jan.

- Niczego nie ukrywamy - odparł sir Francis. - Prawda, Hal?

- Niczego - potwierdził lojalnie Hal.

- Van de Velde twierdzi jednak coś przeciwnego - dokończył ojciec.

- W takim razie, przyjacielu, mogę powiedzieć tylko jedno. Niechaj zlituje się nad tobą wszechmocny Allah.

Spędzone razem z ojcem ostatnie godziny minęły zbyt szybko. Przez cały czas cicho rozmawiali. Sir Francis przerywał często, nękany atakami kaszlu. W jego oczach płonęła gorączka, ciało miał rozpalone i złane potem. Opowiadał o High Weald jak człowiek, który wie, że nigdy już nie zobaczy swojego domu. Kiedy opisywał rzekę i wzgórze, Hal przypomniał sobie jak przez mgłę łososie płynące wiosną w górę strumienia i jelenie ryczące w czasie rui. Kiedy mówił o swojej żonie, Hal próbował przypomnieć sobie twarz matki, zamiast żywej osoby widział jednak kobietę z miniaturowej, którą zakopał w Lagunie Słoni.

- W ciągu ostatnich lat jej wspomnienie zatarło się w mojej pamięci - przyznał sir Francis. - Ale teraz widzę jej twarz bardzo wyraźnie, młodą, świeżą i słodką, jaką zawsze była. Zastanawiam się, czy to dlatego, że się wkrótce spotkamy? Ciekawe, czy na mnie czeka?

- Wiem, że czeka, ojczy - zapewnił go Hal. - Lecz ja potrzebuję cię bardziej od niej i wiem, że spędzimy jeszcze razem wiele lat, nim odejdziesz do mojej matki.

Sir Francis uśmiechnął się ze smutkiem i spojrzał na niewielkie okienko umieszczone wysoko w kamiennej ścianie.

- Zeszłej nocy wdrapałem się tam i wyjrzałem przez kraty.

Czerwona kometa jest wciąż w znaku Panny. Jej ognisty ogon zupełnie zasłonił moją gwiazdę.

Usłyszeli kroki zbliżających się strażników i zgrzytanie klucza w zamku. Sir Francis odwrócił się do Hala.

- Pozwól, że po raz ostatni cię pocałuję, synu. Usta ojca były suche od trawiącej go gorączki. Pocałunek był krótki, zaraz potem drzwi otworzyły się na oścież.

- Nie każcie długo czekać gubernatorowi i Powolnemu Janowi - rzucił jowialnie sierzant Manseer. - Wychodźcie obydwaj.

Atmosfera na sali sądowej przypominała tę, która panuje przed walką kogutów, tuż nim skrępowane ptaki zostaną uwolnione i rzucają się na siebie w chmurze fruujących piór.

Sir Francis z synem szedł na czele długiego korowodu więźniów. Hal nie mógł się powstrzymać, żeby nie zerknąć w stronę odgradzonej części sali. Katinka zajęła już swoje miejsce, pośrodku pierwszego rzędu. Siedząca za nią Zeldy łypnęła na niego złośliwie okiem, lecz na twarzy Kalinki malował się łagodny, pełen zadowolenia uśmiech. Migoczące w jej fiołkowych oczach iskierki zdawały się rozjaśniać panujący w sali półmrok.

Hal odwrócił prędko wzrok, zaskoczony nagłą i gwałtowną nienawiścią, która zastąpiła adorację, jaką niedawno jeszcze odczuwał do tej kobiety. Wiedział, że gdyby

trzymał w dłoni szpadę, bez chwili wahania zatopiłby jej ostrze między miękkimi białymi piersiami.

Siadając na drewnianej ławce, zerknął ponownie w stronę widzów i przeszedł go zimny dreszcz, gdy zobaczył inne oczy, wyblakłe i czujne niczym u leoparda, które nie odrywały się ani na moment od twarzy jego ojca.

Powolny Jan siedział w pierwszym rzędzie widowni. Wyglądał jak kaznodzieja w swoim purytańskim czarnym surducie i kapeluszu z szerokim rondem.

- Nie patrz na niego - powiedział półgłosem sir Francis i Hal zdał sobie sprawę, że ojciec również spostrzegł te dziwne utkwione w nim oczy.

Na sali zapadła pełna oczekiwania cisza. Po chwili w drzwiach za podium ukazał się van de Velde. Siadając na swoim tronie, gubernator uśmiechał się szeroko i miał lekko przechyloną na bakier perukę. Beknął cicho, najwyraźniej bowiem dobrze sobie podjadł. Potem zaś zmierzył więźniów tak łagodnym spojrzeniem, że Hal poczuł nagły i irracjonalny przypływ nadziei.

- Rozważyłem dowody, które zostały przedstawione temu trybunałowi - zaczął bez zbędnych wstępów gubernator - i już na samym początku pragnę wyrazić podziw dla mistrzostwa, z jakim zarówno oskarżyciel, jak i obrońca zaprezentowali swoje argumenty. Pułkownik Schreuder okazał się wzorem lapidarności... - Van de Velde zająknął się przy dłuższym słowie, a potem ponownie beknął.

W ciepłym powietrzu, które dotarło do niego kilka chwil później, Hal poczuł wyraźny zapach czosnku i kminku.

Van de Velde spojrzał z ojcowskim afektem na Jacobusa Hopa.

- Obrońca zachowywał się wspaniale i zrobił, co mógł, w tej beznadziejnej sprawie. Nie zapomnę zaznaczyć tego w jego aktach.

Hop uklonił się i pokraśniał z zadowolenia. Wzrok gubernatora powędrował ku siedzącym na ławce więźniom.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co zostało tu powiedziane, rozważyłem również wysunięte przez pana Hopa twierdzenie, iż piraci mieli list kaperski wydany przez króla Anglii oraz że napadając na galeon Kompanii Standvastigheid nie wiedzieli o ustaniu działań wojennych między naszymi krajami. Niezbite dowody skłoniły mnie jednak do odrzucenia tej linii obrony. W związku z tym uznaję wszystkich dwudziestu czterech oskarżonych za winnych piractwa, rozboju, porwania i zabójstw.

Marynarze na ławkach wpatrywali się w niego w ponurym milczeniu.



- Czy chcecie coś powiedzieć, zanim wydany zostanie wyrok? - zapytał van de Velde, otwierając srebrną tabakierę.

- Jesteśmy jeńcami wojennymi - oznajmił sir Francis dźwięcznym głosem, który docierał do najdalszych zakamarków sali. - Nie masz prawa skuwać nas jak niewolników. Nie masz też prawa nas sądzić i skazywać.

Van de Velde zażył tabaki i zdrowo kichnął, opryskując siedzącego obok pisarza, który zamknął jedno oko i skrobał bez przerwy piórem po papierze, starając się wszystko zapisać.

- Chyba już to przedyskutowaliśmy - stwierdził z kpiącym uśmiechem gubernator. - Ogłoszę teraz wyrok. W pierwszej kolejności zajmę się czterema Murzynami. Wymienione osoby mają wstać. Aboli! Matesi! Jiri! Kimatti!

Czterej czarni marynarze byli zakuci parami. Strażnicy zmusili ich do podniesienia się z ławki i popchnęli w stronę podwyższenia. Van de Velde zmierzył ich srogim spojrzeniem.

- Wziąłem pod uwagę, że jesteście prymitywnymi dzikusami i dlatego nie można oczekiwać, byście zachowywali się jak przyzwoici chrześcijanie. Chociaż wasze zbrodnie wołają o pomstę do nieba, jestem skłonny okazać wam łaskę. Skazuję was na dożywotnią niewolę. Zostaniecie sprzedani na targu przez licytatora Kompanii za najwyższą podaną cenę. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży wpłyną do kasy Kompanii. Zabierzcie ich, sierżancie!

Kiedy wyprowadzali ich z sali, Aboli spojrzał na sir Francisa i Hala. Twarz miał nieprzeniknioną pod maską tatuażu, lecz jego oczy wyrażały to, co czuło serce.

- Teraz zajmę się białymi piratami - oznajmił van de Velde. - Następujący więźniowie mają powstać z miejsc. Henry Courteney, oficer i mat. Ned Tyler, bosman. Daniel Fisher, bosman. William Rogers, marynarz...

Odczytał z trzymanej w rękę listy wszystkie nazwiska z wyjątkiem sir Francisa Courteneya. Kiedy ten stanął obok syna, powstrzymał go.

- Ty nie! Jesteś kapitanem i przywódcą tej bandy rabusiów. Mam wobec ciebie inne plany. Niech zbrojmistrz oddzieli go od innych więźniów.

Zbrojmistrz podszedł, niosąc skórzaną torbę z narzędziami i szybko rozkuł ogniwa łańcucha, który łączył Hala z ojcem.

Sir Francis pozostał sam na długiej ławce, a Hal zajął miejsce na czele więźniów stojących przed podwyższeniem. Van de Velde przyjrzał się im uważnie, zaczynając od końca i zatrzymując wreszcie spojrzenie na Halu.

- Nigdy jeszcze nie oglądałem w swoim życiu bardziej krwawych rzezimieszków - stwierdził. - Żaden porządny mężczyzna ani kobieta nie mogą czuć się bezpiecznie, gdy takie łotry są na wolności. Wasze miejsce jest na szubienicy.

Przyglądając się Halowi, van de Velde wpadł nagle na pewien pomysł i zerknął na Cochran, który siedział obok uroczej Katinki w odgradzonej części sali.

- Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy na osobności, milordzie? - zawołał, po czym zostawiając stojących więźniów dźwignął się na nogi i potoczył z powrotem do sali audiencyjnej.

Cochran złożył wytworny ukłon Katince i ruszył za nim.

Wchodząc do komnaty, zastał gubernatora pochylonego nad srebrną tacą ze słodyczami.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - oznajmił van de Velde, odwracając się do niego z pełnymi ustami. - Skoro posyłam Francisa Courteneya w ręce kata, żeby dowiedzieć się, gdzie została ukryta brakująca część ładunku, czyż nie powinienem skazać na tortury również jego syna? Courteney na pewno powiedział mi, gdzie jest skarb, albo nawet wspólnie z nim go ukrył. Co o tym sądzisz, milordzie?

Cochran zasepił się i zaczął targać brodę udając, że rozważa tę kwestię. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim ten wielki wieprz wpadnie na ten pomysł, i już dawno przygotował odpowiedź. Wiedział, że sir Francis nawet poddany najwymyślniejszym torturom nigdy nie wyjawia miejsca ukrycia skarbu. Był po prostu zbyt uparty i zawzięty, chyba... i tu otwierała się jedyna możliwość, że skapituje... chyba że w grę wchodziłoby ocalenie własnego syna.

- Wasza Ekscelencja nie musi się obawiać, że ktokolwiek poza samym piratem wie, w którym miejscu ukryty jest skarb - oświadczył. - Courteney jest zbyt chytry i podejrzliwy, żeby ufać jakiegokolwiek ludzkiej istocie.

Van de Velde zrobił niezdecydowaną minę i wsadził do ust kolejne ciastko. Cochran zastanawiał się gorączkowo, jakie wysunąć dalsze argumenty, gdyby gubernator upierał się przy swoim pomysle. Nawet przez chwilę nie wątpił, że Hal świetnie wie, gdzie znajdują się skarby ze Standvastigheid. Całkiem prawdopodobne było, że zna również miejsce ukrycia łupów z Heerlycke Nacht. W przeciwieństwie do ojca młokos na pewno nie wytrzyma przesłuchania, a jeśli nawet okaże się twardszy, niż myślał Cochran, ojciec na pewno załamie się, widząc syna na kole tortur. Poinformowani przez Hala bądź sir Francisa, Holendrzy odzyskają skarby, a była to ostatnia rzecz na ziemi, jakiej życzył sobie Cochran.

O mało nie uśmiechnął się, uprzytamniając sobie, jakim paradoksem jest to, że stara się ocalić Hala z rąk Powolnego Jana. Jeśli jednak pragnął sam zagarnąć skarb, musiał zadbać

o to, żeby ani ojciec, ani syn nie zaprowadzili do niego wcześniej serojadów. Sir Francis powinien trafić na szubienicę, a jego szczeniak do lochów pod zamkowymi murami.

Kiedy Powolny Jan będzie studził rozpalone obcęgi w krwi sir Francisa, Guli of Moray wpłynie z powrotem do Laguny Słoni, żeby odszukać miejsce, w którym ukryte zostały worki guldenów i złote sztaby. Myśląc o tym, Cochran nie zdołał powstrzymać cisnącego się na wargi uśmiechu.

- Nie, Wasza Ekscelencjo - powiedział. - Mogę cię zapewnić, że Francis Courteney jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie są skarby. Może strugać chojraka i wygłaszać buńczuczne mowy, ale kiedy tylko dobierze się do niego Powolny Jan, rozłoży nogi niczym dziwka, której zaoferowano złotą gwineę. Moim zdaniem powinieneś wysłać Henry'ego Courteneya do pracy przy murach. Jego ojciec na pewno wskaże miejsce ukrycia łupów.

- Też tak uważam. Chciałem po prostu usłyszeć od ciebie potwierdzenie tego, co i tak wiedziałem. - Van de Velde pokiwał głową i wsadził sobie do ust ostatnie ciastko. - Wracajmy na salę i kończmy tę sprawę.

Skuci łańcuchami więźniowie wciąż stali przed podwyższeniem niczym woły w jarzmach. Van de Velde zasiadł z powrotem na swoim tronie.

- Powinniście zawisnąć na szubienicy, ale to dla was zbyt łagodna kara - oznajmił. - Skazuję was wszystkich na dożywotnie ciężkie roboty na rzecz Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, którą chcieliście obrabować i której wysokich urzędników bezprawnie przetrzymywaliście i dręczyliście. Nie myślcie, że to z mojej strony przejaw dobroci albo słabości. Przyjdzie jeszcze moment, kiedy będziecie zanosili modły do Wszechmocnego, błagając o szybką śmierć, której wam dziś odmówiłem. Zabierzcie ich i skierujcie natychmiast do pracy. Ich widok obraża moje oczy i oczy wszystkich porządných ludzi.

Kiedy wyprowadzano ich z sali, Katinka syknęła zawiedziona i zacisnęła gniewnie pięści. Lord Cumbrae przysunął się do niej.

- Co cię trapi, pani? - zapytał.

- Obawiam się, że mój mąż popełnił błąd. Powinien posłać ich wszystkich na stos.

Niestety nie dane jej będzie oglądać, jak Powolny Jan pracuje nad tym pięknym młokosem, nie będzie mogła słuchać jego krzyków. Byłoby to bardzo satysfakcjonujące zakończenie ich romansu. Mąż obiecał jej to, a teraz pozbawił ją tej przyjemności. Postanowiła, że jeszcze jej za to zapłaci.

- Zemstą najlepiej jest napawać się powoli, Mevrouw, niczym fajką nabitą najlepszą wirginią - odparł Cochran. - Bez pośpiechu. Za każdym razem, kiedy przyjdzie pani ochota, będzie pani mogła spojrzeć na zamkowe mury i zobaczyć, jak zapracowują się na śmierć.

Hal starał się przejść blisko siedzącego na drugiej ławce sir Francisa. Ojciec sprawiał wrażenie ciężko chorego. Włosy zwisały mu w strączkach, podkrążone oczy kontrastowały złowieszczo z bladą skórą twarzy. Chłopak nie mógł znieść tego widoku.

- Ojcze! - krzyknął nagle i ruszył do niego, lecz sierżant Manseer przewidział to i zagroził mu drogę długą laską. Hal cofnął się.

Sir Francis nie podniósł wzroku. Chłopak zdał sobie sprawę, że ojciec pożegnał się z nim już wcześniej i oddalił tam, gdzie mógł go dosięgnąć tylko Powolny Jan.

Korowód więźniów opuścił salę i kiedy zamknęły się za nimi drzwi, zapadła głucha cisza. Oczy wszystkich utkwione były w samotnej postaci na ławce.

- Francisie Courteneyu - powiedział głośno van de Velde. - Powstań z miejsca!

Sir Francis odchylił do tyłu głowę, strząsając siwiejące włosy z czoła. Odtrącił ręce strażników i wstał bez ich pomocy z ławki. Zbliżając się do podwyższenia, wyprostował się z dumą. Podarta koszula zwisała na jego nagich plecach. Rany po uderzeniach laski zdążyły się pokryć czarnymi strupami.

- Jestem pewien, Francisie Courteneyu, że nie przez przypadek nosisz imię najsłynniejszego z piratów, tego zbója, Francisa Drake.

- Istotnie, mam zaszczyt nosić imię Francis. Nazwano mnie tak na cześć tego sławnego żeglarza - odparł cicho Courteney.

- W takim razie ja mam jeszcze większy zaszczyt wydać na ciebie wyrok. Skazuję cię na śmierć. - Van de Velde oczekiwał, że sir Francis okaże jakieś emocje, lecz on stał nieporuszony i gubernator zmuszony był kontynuować. - Powtarzam, skazany zostałeś na śmierć, lecz to, w jaki sposób zginiesz, zależy tylko od ciebie. - Z ust van de Veldego wydarł się niespodziewany chichot. - Niewielu łotrów twojego pokroju traktuje się z podobnym pobłażaniem i laskawością - dodał.

- Pozwolisz, że wstrzymam się z wyrażeniem wdzięczności do czasu, gdy usłyszę do końca twoją propozycję - mruknął sir Francis i van de Velde przestał się śmiać.

- Ładunku Standvastigheid nie odzyskano w całości - stwierdził. - Brakuje jego najbardziej wartościowej części i nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdołałeś ją ukryć, zanim pojmały cię oddziały Kompanii. Czy gotów jesteś ujawnić naszym urzędnikom miejsce, w którym umieściłeś łupy? W takim wypadku zostaniesz stracony szybko i gładko przez ścięcie.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł obojętnym tonem sir Francis.

- Wobec tego, obawiam się, że to samo pytanie zada ci w skrajnie nieprzyjemnych okolicznościach państwowy kat. - Van de Velde oblizał wargi, jakby rozkoszował się

smakiem tych słów. - Jeśli udzielisz na nie pełnej i wyczerpującej odpowiedzi, katowski topór położy kres twoim cierpieniom. Jeśli będziesz się dalej opierał, przesłuchanie zostanie wznowione. Przez cały czas wybór będzie należał do ciebie.

- Wasza Ekscelencja jest zaiste wzorem miłosierdzia - stwierdził z ukłonem sir Francis - niestety nie mogę jednak udzielić odpowiedzi, nie wiem bowiem nic o ładunku, o którym mówisz.

- W takim razie niech Bóg wszechmogący zmiłuje się nad twoją duszą - odparł van de Velde. - Zabierzcie stąd więźnia i oddajcie go katu.

Hal stał na wysokim rusztowaniu przy nie wykończonym wschodnim bastionie zamku. Choć pracował na murach dopiero drugi dzień, liny i nie oszlifowane kamienne bloki zdarły do żywego mięsa jego dłonie i ramiona. Jeden z kamieni zmiążdżył mu czubek palca i paznokcie na nim przybrał kolor ciemnego winogrona. Każdy blok ważył tonę albo więcej i trzeba go było wciągnąć ręcznie na rozchybotane rusztowanie, zbudowane z bambusowych tyczek i desek.

W grupie pracujących z nim więźniów był Duży Daniel i Ned Tyler. Obaj nie doszli jeszcze do siebie po zadanych ranach. Ich obrażenia były dobrze widoczne, ponieważ wszyscy ubrani byli tylko w szarawary z postrzępionego płótna.

Kula z muszkietu pozostawiła głęboki ciemny krater na piersi Daniela i przypominający lwi pazur ślad na jego plecach, tam, gdzie naciął je Hal. Strupy na obu ranach otworzyły się pod wpływem wysiłku i sączyła się z nich wodnista limfa, zabarwiona krwią.

Ned utykał ciężko, chodząc po rusztowaniu. Rana od cięcia szpadą opasywała niczym czerwona winorośl jego udo. Po głodowym wikcie na pokładzie Guli of Moray na ich ciałach nie zostało ani jednej uncji tłuszczu. Byli smukli niczym charty. Pod opaloną skórą widać było każdą kość i ścięgno.

Chociaż wciąż świeciło jasne słońce, wiejący od północnego zachodu zimowy wiatr szlifował ich ciała, jakby byli taflą szkła. Razem chwycili gruby konopny sznur i krążki zaskrzypiały cienko w blokach, kiedy wielki żółty głaz uniósł się z wozu i zaczął niebezpieczną wędrówkę na szczyt muru.

Poprzedniego dnia rusztowanie przy południowym bastionie zawaliło się pod ciężarem kamieni i trzech pracujących tam więźniowie zginęli, spadając na dziedziniec.

- Trzy ptaszki za jednym zamachem - mruknął nadzorca Hugo Barnard, stojąc nad ich zmiążdżonymi ciałami. - Następnego nieostrożnego sukinsyna, który da się zabić, każę zasiekać - oznajmił i roześmiał się z własnego wisielczego dowcipu.

Daniel owinał sznur wokół zdrowego ramienia, a pozostali więźniowie złapali kołyszający się głaz, wciągnęli go na kozioł i słuchając poleceń odzianego w skórzany fartuch holenderskiego kamieniarza, z największym trudem umieścili go w luce na szczycie muru.

Przez chwilę stali ciężko dysząc, z obolałymi i drżącymi z wysiłku mięśniami, ale nie było czasu na odpoczynek.

- Spuszczajcie z powrotem linę! - wrzeszczał z dziedzica Hugo Barnard. - Szybciej albo wejdę tam i przemówię wam do rozsądku - dodał potrząsając związanymi w supły rzemieniami bata.

Daniel wyrżał za skraj rusztowania. Nagle zeszywniał i zerknął przez ramię na Hala.

- Widzę Abolego i innych chłopaków - oznajmił.

Hal stanął obok niego i spojrzał w dół. Z lochów wyszła właśnie mała procesja. Czterech czarnych mężczyzn wyprowadzono w łańcuchach na zalany słońcem dziedziniec.

- Popatrzcie na tych szczęściarzy - mruknął Ned Tyler.

Murzynów nie włączono do drużyn roboczych. Pozostali w lochach i otrzymywali jeden dodatkowy posiłek dziennie, żeby odpocząć i podtuczyć się przed wysłaniem na targ niewolników. Tego ranka Manseer kazał całej czwórce rozebrać się do naga, a chirurg Kompanii, doktor Saar, zszedł do celi i zbadał ich, zaglądając do uszu i ust, by upewnić się co do stanu ich zdrowia. Po wyjściu lekarza Manseer kazał im namaścić się oliwą przyniesioną w kamiennej wazie i ich ciała lśniły w słońcu niczym heban. Choć byli jeszcze wymizerowani i chudzi po podróży na pokładzie Guli of Moray, warstwa oliwy sprawiła, że każdy z nich wyglądał jak okaz zdrowia. Maszerowali teraz przez bramę na plac apelowy, gdzie zebrał się już tłum gapiów.

Zanim wyszli z zamku, Aboli odwrócił swoją wielką głowę i spojrzał na Hala stojącego wysoko na rusztowaniu. Ich oczy spotkały się na krótki moment. Żaden z nich nie musiał nic mówić, ryzykując, że oberwie trzcina od nadzorcy. Aboli wyszedł na zewnątrz, nie oglądając się za siebie.

Licytacja miała się odbyć na skleconym z desek podwyższeniu, na którym przy innych okazjach wystawiano na publiczny widok ciała straconych przestępców. Czterem mężczyznom kazano wejść na platformę i po chwili wspiał się do nich doktor Saar.

- Zbadałem czterech niewolników oferowanych dzisiaj na sprzedaż - oświadczył, łypiąc na zgromadzonych znad druczianych okularów - i mogę, zapewnić, że wszyscy są w dobrym stanie. Mają zdrowe oczy i zęby i nie stwierdziłem u żadnego z nich ubytków na ciele.



Tłum był w świątecznym nastroju. Ludzie klaskali podczas oświadczenia doktora i pokpiwali z niego, kiedy zszedł z podwyższenia i pośpiesznie oddalił się w stronę zamku. Jacobus Hop, który zajął jego miejsce, podniósł rękę, żeby ich uciszyć, po czym odczytał ogłoszenie o sprzedaży. Zgromadzeni śmieli się i przedrzeźniali go za każdym razem, kiedy się zająknął.

- Z rozkazu Jego Ekscelencji, gubernatora tej kolonii, zostałem upoważniony do sprzedaży na licytacji, za najwyższą podaną cenę, czterech murzyńskich niewolników...

W tym momencie aleją od strony rezydencji nadjechał zaprzężony w sześć lśniących siwków otwarty powóz gubernatora. Hop przestał czytać i zerwał z głowy kapelusz. Przedem do kierunku jazdy siedzieli na skórzanych siedzeniach lord Cumbrae oraz żona gubernatora, naprzeciwko nich pułkownik Schreuder.

Tłum rozstał się i powóz zajechał tuż pod podwyższenie. Kolorowy stangret Fredricus zatrzymał konie i zaciągnął ręczny hamulec, ale żaden z pasażerów nie wysiadł na zewnątrz. Kalinka siedziała rozparta na skórzanym siedzeniu, kręcąc w rękę parasolkę i gawędząc wesoło z dwoma mężczyznami.

Przybycie dostojnych gości sprawiło w wielkie zmieszanie Hopa, który stał zaczerwieniony, zacinając się i mrużąc oczy od słońca.

- Szybciej, chłopie! Nie przyjechaliśmy tutaj patrzeć, jak się jąkasz i wybałuszasz gały - zawołał zniecierpliwiony pułkownik.

Hop włożył z powrotem kapelusz i uklonił się najpierw Schreuderowi, potem Kalince.

- Pierwszym oferowanym na sprzedaż niewolnikiem jest Aboli - oznajmił podniesionym głosem. - Ma około trzydziestu lat i pochodzi prawdopodobnie z plemienia Kwanda, zamieszkującego wschodnie wybrzeża Afryki. Jak zapewne wiecie, członkowie tego plemienia znają się na uprawie roli i pasterstwie. Po krótkim przyuczeniu może również zostać doskonałym stangretem albo woźnicą. - Hop przerwał, żeby otrzeć spoconą twarz i zebrać siły do dalszej przemowy. - Aboli jest także zdolnym myśliwym i rybakiem. Zatrudniony w każdym z tych zawodów, przyniesie duży dochód swojemu właścicielowi.

- Czy czegoś przed nami przypadkiem nie ukrywasz, Münheer Hop? - zawołała Kalinka i jej pytanie po raz kolejny sprawiło Hopa w popłoch. Jego jękanie stało się tak uporczywe, że nie mógł niemal wydobyć z siebie słowa.

- Wielce czcigodna pani... dostojna pani - mamrotał, rozkładając bezradnie ręce. - Zapewniam cię...

- Czy oferowałbyś na sprzedaż byka w ubraniu? - zapytała Katinka. - Chcesz, żebyśmy kupowali coś, czego nie widzimy?

Hop domyślił się, o co chodzi, i jego twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech.

- Rozbieraj się! - rozkazał głośno, zdobywając się na odwagę wobec tego wielkiego dzikusa.

Aboli przyglądał mu się przez chwilę bez ruchu, a potem z pogardą rozwiązał okrywającą biodra opaskę i pozwolił jej opaść na deski podwyższenia.

Nagi i wspaniały popatrzył ponad ich głowami na płaski szczyt góry. W tłumie rozległo się zbiorowe westchnienie. Jedna z kobiet pisnęła, a inna zachichotała nerwowo, lecz żadna nie odwróciła oczu.

- Niech mnie kule biją! - zawołał Cochran, śmiejąc się. - Ten, kto go kupi, dostanie pełną miarkę. Niczego nie brakuje tej jego wypchanej krwawej kiszce. Stawiam na początek pięćset guldenów!

- A ja sto więcej! - oświadczyła Kalinka. Cochran posłał jej zaskoczone spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że masz zamiar licytować, Mevmuw - mruknął półgębkiem.

- Będę go miała za każdą cenę, milordzie - ostrzegła słodko. - Ten dzikus szalenie mnie bawi.

- Nigdy nie ośmielę się wchodzić w drogę pięknej damie - stwierdził z ukłonem Cochran. - Ale nie będziesz licytować pozostałych trzech, zgoda?

- Umowa stoi, milordzie - uśmiechnęła się Katinka. - Ten jest mój. Możesz sobie wziąć innych.

Lord Cumbrae skrzyżował ręce na piersi i potrząsnął głową, kiedy Hop spojrzał na niego, żeby sprawdzić, czy podbija cenę.

- Za wysoka cena jak na mój gust - stwierdził.

Hop rozejrzał się dookoła, szukając bezskutecznie innych chętnych. Nikt nie był tak głupi, żeby wchodzić w paradę żonie gubernatora. Mieli ostatnio okazję poznać temperament Jego Ekscelencji na sali sądowej.

- Niewolnik Aboli został sprzedany za sumę sześciuset guldenów Mevrouw van de Velde - zaśpiewał Hop i ukłonił się Katince. - Czy chcesz, pani, żeby zdjęto mu łańcuchy? Roześmiała się.

- Żeby zobaczyć, jak daje drapakę w góry? Nie, Münheer. Trzej żołnierze mają odprowadzić go do rezydencji.

Spojrzała na Schreudera, a ten wydał rozkaz kapralowi, który czekał wraz z kilkoma odzianymi w zielone kubraki żołnierzami na skraju tłumy. Przepychając się łokciami, podeszli do podwyższenia, ściągnęli Abolego na dół i odprowadzili aleją do czworaków przy rezydencji.

Kalinka popatrzyła za nimi, a potem trąciła Cochrana palcem w ramię.

- Dziękuję ci, milordzie.

- Następnym niewolnikiem jest Jiri - oznajmił Hop, zaglądając do swoich notatek. - Jak widzicie, jest również zdrowy i silny.

- Pięćset guldenów - zamruczał Cochran, mierząc groźnym spojrzeniem innych licytujących. Nie mając przeciwko sobie żony gubernatora, obywatele kolonii poczuli jednak przypływ śmiałości.

- Daję sto więcej! - odezwał się kupiec z miasta.

- A ja jeszcze sto - zawołał woźnica w kurtce ze skóry leoparda. Cena szybko podskoczyła do tysiąca pięciuset guldenów. Na placu boju pozostał tylko Cochran i woźnica.

- Niech wszyscy diabli wezmą tego kmiotka! - mruknął Cochran i odwrócił się do bosmana, który razem z trzema marynarzami chował się za tylnym kołem powozu.

Sam Bowles kiwnął głową i zaświeciły mu się oczy. Wraz ze swymi ludźmi przepchał się przez tłum i stanął tuż za woźnicą.

- Tysiąc sześćset guldenów - ryknął Cochran - i niech was jasna cholera!

Woźnica otworzył usta, żeby go przelicytować, lecz w tej samej chwili poczuł, jak coś łaskocze go między zębami. Kiedy zerknął w dół i zobaczył nóż zaciśnięty w sękatej dłoni Bowlesa, zrobił się biały jak fiszbin.

- Czy podnosi pan cenę, Münheer Tromp? - zawołał Hop, ale woźnica uciekał już chyłkiem w stronę miasta.

Kimatti i Matesi zostali zakupieni przez Cochrana za mniej niż tysiąc guldenów każdy. Uwagi innych ewentualnych nabywców nie uszedł incydent, jaki rozegrał się między Samem i woźnicą, i żaden nie miał większej ochoty podbijać ceny.

Sam Bowles i jego marynarze zawlekli wszystkich trzech niewolników na brzeg. Kiedy Matesi próbował się wyrwać, oberwał różkiem skutniczym w głowę i razem ze swymi towarzyszami został wepchnięty do łodzi, która ruszyła do zakotwiczonej przy skraju pływaczny Guli of Moray.

- Licytacja okazała się udana dla nas obojga, milordzie - stwierdziła z uśmiechem Kalinka. - Mam nadzieję, że znajdziesz czas, by uczyć z nami nowe nabytki i zjeść dziś wieczorem obiad w rezydencji.

- Uczyniłbym to z największą przyjemnością, Mevrouw, ale zwlekałem z wypłynięciem tylko ze względu na tę licytację i szansę nabycia kilku pierwszorzędnych żeglarzy. Mój statek jest gotów do rejsu i wzywa mnie szerokie morze.

- Będzie nam cię brakowało, milordzie. Świetnie się bawiłam w twoim towarzystwie. Mam nadzieję, że kiedy będziesz następnym razem opływać Przylądek Dobrej Nadziei, zabawisz u nas trochę dłużej.

- Nie przeszkodzi mi w tym żadna ziemaska potęga, żaden sztorm, przeciwny wiatr ani nieprzyjaciel - odparł Cochran, całując ją w rękę.

Cornelius Schreuder spojrział na niego spode łba; nie mógł znieść, gdy inny mężczyzna dotykał kobiety, która bez reszty nad nim zapanowała.

Georgie, mój chłopcze, przygotuj się do podniesienia kotwicy i wypłynięcia w morze! - zawołał Cochran, gdy tylko postawił stopę na pokładzie. - Chcę mieć tu zaraz na rufie tych trzech Murzynów - rozkazał Samowi Bowlesowi.

Kiedy przed nim stanęli, przyjrzał się uważnie każdemu z osobna.

- Czy któryś z was, pogańskie syny, mówi po bożemu? - zapytał i wszyscy trzej odpowiedzieli mu bezmyślnym spojrzeniem. - To znaczy, że znacie tylko swój prymitywny żargon? - Cochran pokiwał ze smutkiem głową. - To bardzo utrudni mi życie.

- Za pozwoleniem - odezwał się służalczym tonem Sam Bowles. - Znam dobrze wszystkich trzech. Służyliśmy razem na statku. Nabierają cię, kapitanie. Wszyscy mówią dobrze po angielsku.

Cochran uśmiechnął się do trzech niewolników z morderczym błyskiem w oku.

- Należycie teraz do mnie, kochasie, poczynając od wełnianych łbów aż po różowe płatfusowate podeszwy. Jeśli chcecie ocalić wasze czarne skóry, nie będziecie bawić się ze mną w kotka i myszkę. Słyszycie?! - ryknął posyłając Jiriego na deski uderzeniem wielkiej włochatej pięści. - Kiedy do was mówię, macie odpowiadać jasno i wyraźnie w słodkiej angielskiej mowie. Wracamy do Laguny Słoni i jeśli wam życie miłe, pokażecie mi, gdzie kapitan Franky ukrył swój skarb. Słyszycie? Jiri zerwał się z powrotem na nogi.

- Tak jest, lordzie kapitanie! Słyszemy cię! Jesteś naszym ojcem!

- Wolalbym obciąć sobie tępym szpadlem kutafona, aniżeli spłodzić nim któregoś z was - stwierdził Cochran, szczerząc zęby. - A teraz zasuwajcie na główny pokład, żeby pomóc stawiać żagle! - wrzasnął, dając Jiriemu kopniaka w tyłek.

Katinka siedziała razem z Corneliusem Schreuderem na tarasie, w miejscu osłoniętym od wiatru. Sukeena naląła im dwa kieliszki wina i postawiła je na stole ozdobionym kwiatami i owocami z ogrodu Powolnego Jana. Kiedy podawała Kalince wysoki kieliszek na spiralnej nóżce, ta pogładziła ją lekko po przedramieniu.

- Czy posłałaś już po nowego niewolnika? - zapytała gardłowym głosem.

- Aboli, zgodnie z twoim rozkazem, pani, myje się teraz i przymierza nowy uniform - odparła cicho Sukeena, jakby w ogóle nie poczuła jej dotyku.

Schreuder zauważył go jednak i Katinka śmiała się w duchu widząc, jak sztywnieje z zazdrości.

Uniosła w górę kieliszek i uśmiechnęła się do pułkownika.

- Wypijesz ze mną za szybką podróż lorda Cumbrae, panie?

- Chętnie. Za szybką podróż na dno oceanu wraz z wszystkimi jego rodakami.

- Ależ, drogi pułkowniku - uśmiechnęła się. - Nie wypada tak mówić. Lecz teraz cicho. Nadchodzi moja najnowsza zabawka.

Dwóch żołnierzy w zielonych kubrakach wprowadziło na taras Abolego, który stanął przed nią w milczeniu. Był ubrany w obcisłe czarne spodnie i białą bawełnianą koszulę skrojoną tak, by pomieściła jego szeroką pierś i muskularne ramiona.

- W przyszłości, kiedy znajdziesz się w mojej obecności, masz się uklonić i zwracać się do mnie „wielmożna pani”. Jeśli o tym zapomnisz, poproszę Powolnego Jana, żeby odświeżył twoją pamięć. Wiesz, kim jest Powolny Jan?

- Tak jest, wielmożna pani - zamruczał Aboli, nie patrząc na nią.

- To dobrze! Obawiałam się, że możesz sprawiać kłopoty i że będę musiała cię złamać i poskromić. Jeśli okażesz się uległy, ułatwi to życie tobie i mnie. - Kalinka wypła łyk wina i przyjrzała mu się uważnie, przechylając na bok głowę. - Kupiłam cię pod wpływem kaprysu i nie postanowiłam jeszcze, co z tobą zrobię. Wiem jednak, że gubernator Kleinhans zabiera ze sobą do domu swojego stangreta. Będę potrzebować nowego. Słyszałam, że Murzyni potrafią obchodzić się ze zwierzętami - dodała, zwracając się do Schreudera. - Co o tym sądzisz, pułkowniku?

- W rzeczy samej, Mevrouw. Będąc na swój sposób zwierzętami, mają bliski kontakt zarówno z dzikimi bestiami, jak i domowym inwentarzem. - Schreuder pokiwał głową i przyglądał się niespiesznie Abolemu. - Pod względem fizycznym to pierwszorzędny okaz, ale oczywiście nie można spodziewać się po nich inteligencji. Gratuluję ci udanego zakupu, pani.

- Później być może skojarzę go z Sukeeną - zastanawiała się na głos Katinka. Niewolnica znieruchomiała, ale stała odwrócona do niej plecami i Katinka nie widziała jej twarzy. - Obserwowanie, jak czarna krew miesza się z żółtą, może być bardzo zabawne.

- To nadzwyczaj interesująca mieszanka - przyznał Schreuder. - Ale czy nie obawiasz się, pani, że ci ucieknie? Widziałem, jak walczył na pokładzie Standvastigheid. To agresywny dzikus. Być może powinno mu się założyć na nogi łańcuchy, przynajmniej do czasu, kiedy go nie okiełznasz.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli uciekać się do takich środków - stwierdziła Katinka. - Kiedy byłam w niewoli, uważnie go obserwowałam. Jest niczym pies bezgranicznie oddany temu piratowi Courteneyowi i jeszcze w większym stopniu jego synowi. Wiem, że nie będzie starał się uciec, dopóki któryś w nich przebywa w zamkowych lochach. Oczywiście w nocy będzie zamknięty w czworakach razem z innymi niewolnikami, ale w godzinach pracy będzie mógł się swobodnie poruszać, żeby spełniać swoje obowiązki.

- Jestem przekonany, że dobrze wiesz, co robisz, Mevrouw. Ale ja nigdy nie zaufałbym takiej bestii - ostrzegł ją Schreuder, lecz Katinka odwróciła się już do Sukeeny.

- Ustaliłam z gubernatorem Kleinhansem, że Fredricus nauczy Abolego swego fachu - oznajmiła. - Standvastigheid wypływa dopiero za dziesięć dni. To powinno wystarczyć. Zajmij się tym.

Sukeeną złożyła jej pełen gracji orientalny ukłon.

- Jak każesz, pani - powiedziała, po czym dała znak Abolemu, żeby jej towarzyszył.

Kiedy szedł za nią do stajni, do której Fredricus odstawił powóz, chodem i postawą przypominała mu młode dziewice z jego plemienia. Matki przyuczały je od najmłodszych lat do noszenia na głowach tykw z wodą i dzięki temu miały wyprostowane plecy i idąc wydawały się sunąć nad ziemią tak jak ta dziewczyna.

- Twój brat Althuda przesyła ci pozdrowienia. Mówi, że wciąż jesteś jego tygrysią lilią - odezwał się do niej.

Dziewczyna zatrzymała się tak gwałtownie, że idący z tyłu Aboli o mało się z nią nie zderzył. Wyglądała niczym przestraszony koliber, który zawisł w locie nad kwiatem. Kiedy ruszyła dalej, zobaczył, że drży.

- Widziałeś się z moim bratem? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Nie widziałem jego twarzy, ale rozmawialiśmy przez ścianę celi. Powiedział, że wasza matka nazywała się Ashreth i że jaspisową broszkę, którą nosisz, twój ojciec dał jej w dniu, w którym się urodziłaś. Zapewnił mnie, że kiedy ci to powtórzę, będziesz wiedziała, że jestem jego przyjacielem.

- Jeśli ci zaufał, ja ufam ci także. We mnie też masz przyjaciela, Aboli - odrzekła.

- A ty we mnie - szepnął.

- Powiedz, jak się czuje Althuda? - zapytała. - Czy bardzo go skrzywdzili? Czy oddali go w ręce Powolnego Jana?

- Althuda jest zdumiony. Jeszcze go nie skazali. Trzymają go w lochu cztery długie miesiące i nie posłali na tortury.



- Dzięki niech będą Allachowi! - Sukeena odwróciła się i uśmiechnęła do Abolego. Jej twarz była śliczna niczym tygrysia orchidea, do której przyrównał ją Althuda. - Miałam pewien wpływ na gubernatora Kleinhansa. Zdołałam go uprosić, żeby nie wydawał wyroku na mojego brata. Teraz, kiedy zastępuje go nowy gubernator, nie wiem, co się stanie. Mój biedny Althuda, jest taki młody i odważny. Jeśli oddadzą go w ręce kata, moje serce umrze wraz z nim, tak samo powoli i boleśnie.

- Jest ktoś, kogo kocham tak samo, jak ty kochasz swego brata - zamruczał cicho Aboli.

- Chyba wiem, o kim mówisz. Czy nie widziałam go tamtego dnia, kiedy przywieziono was w łańcuchach na brzeg i popędzono przez plac apelowy? Czy nie jest dumny i piękny jak młody książę?

- To ten. Podobnie jak twój brat, zasługuje na to, by odzyskać wolność.

Sukeena ponownie zamarła w bezruchu, ale po chwili ruszyła dalej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Aboli, mój przyjacielu?

- Ty i ja. Razem możemy ich uwolnić.

- Czy to możliwe? - szepnęła.

- Althuda był kiedyś wolny. Wyzwolił się z okowów i odfrunął niczym sokół. - Aboli spojrzał na błękitne aż do bólu afrykańskie niebo. - Z naszą pomocą może ponownie odzyskać wolność, a razem z nim Gundwane.

Kiedy weszli na dziedziniec stajni, Fredricus stanął na koźle. Spojrzał na Abolego i wyszczerzył zęby pobrązowiałe od żucia tabaki.

- Jak taka czarna mała może nauczyć się powozić karocą i moimi sześciorami ślicznotkami? - mruknął pod nosem.

- Fredricus to wróg. Nie ufaj mu - ostrzegła Sukeena, prawie nie poruszając ustami. - Nie ufaj nikomu w tym domu do chwili, kiedy znowu będziemy mieli okazję porozmawiać.

Razem z niewolnikami i większą częścią mebli Katinka odkupiła od Kleinhansa wszystkie konie i wyposażenie stajni. Dała mu weksel, który miał zrealizować u jej bankierów w Amsterdamie. Opiewał na dużą sumę, wiedziała jednak, że ojciec pokryje wszystkie niedobory.

Najpiękniejsza ze wszystkich koni była gniada klacz, wspaniałe zwierzę o silnych, wdzięcznych pęcinach i przepięknym łbie. Katinka umiała dobrze jeździć, lecz stworzenie, którego dosiadała, nie budziło w niej żadnych uczuć, a jej szczupłe blade ręce były silne i okrutne. Kazała założyć klaczy hiszpańskie wędzidło, które kaleczyło jej pysk, i zbyt często używała bata. Zajeździwszy jednego konia, mogła sobie zawsze kupić następnego.

Mimo tych wad nie znała strachu i jeździła z fantazją. Kiedy klacz tańczyła pod nią, zadzierając w górę kaleczony wędzidłem łeb, Katinka siedziała pewnie w siodle i wyglądała olśniewająco. Teraz zmuszała ją do maksymalnego wysiłku, pędząc stromą ścieżką i używając bata za każdym razem, gdy się potknęła albo istniała obawa, że nie będzie chciała przesadzić tarasującego ścieżkę pnia.

Klacz była spieniona i mokra od potu, jakby przepłynęła przed chwilą rzekę. Piana, która leciała z jej rozwartego pyska, łączyła się z krwią sączącą się spod ostrego żelaznego wędzidla, pryskając na buty i spódnicę amazonki. Wjeżdżając na przełęcz, Katinka wybuchnęła dzikim śmiechem. Schreuder był co najmniej pięćdziesiąt długości za nią; przyjechał inną trasą na potajemną schadzkę. Jego czarny wałach dyszał ciężko pod ciężarem jeźdźca i chociaż Schreuder smagał go bez przerwy batem, nie był w stanie jej wyprzedzić.

Katinka nie zatrzymała się na przełęczy, lecz smagając klacz batem i dźgając ją ostrą jak igła ostrogą, pognęła z boczem w dół. Upadek mógł się tutaj skończyć tragicznie, ścieżka była bowiem zdradziecka, a gniada klacz u kresu sił. Niebezpieczeństwo podnieciło Katinę. Upajała ją bliskość silnego zwierzęcego ciała i dotyk skórzanego siodła, które ocierało się o jej spocone uda i pośladki.

Zjechała po osypującym się zboczach i wypadła na otwartą łąkę, która ciągnęła się wzdłuż strumienia. Po pokonaniu pół mili dotarła do małego zagajnika srebrnolistnych drzew i ściągnęła ostro cugle, zmuszając galopującą klacz do zatrzymania się na odcinku kilkunastu jardów.

Przerzuciła nogę przez łęk damskiego siodła i szeleszcząc koronkowymi halkami, zeskoczyła na ziemię miękko jak kot. Klacz sapała niczym kowalski miech i chwiała się na nogach ze zmęczenia, a Katinka wzięła się pod boki i patrzyła na zjeżdżającego po zboczach Schreudera.

Pułkownik dogalopował do miejsca, w którym stała, i zeskoczył z grzbietu wałacha. Twarz pociemniała mu z gniewu.

- To było szaleństwo, Mevrouw - zawołał. - Mogłaś się wywrócić!

- Ja nigdy się nie wywracam, pułkowniku - roześmiała mu się w twarz. - Chyba że podstawisz mi nogę.

Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i wpiła się wargami w jego wargi, ssąc tak silnie, że jego język znalazł się w jej ustach. Kiedy ją objął, ugryzła go do krwi w dolną wargę i poczuła metaliczny słony smak na języku. Schreuder ryknął z bólu, a ona wyrwała się z jego ramion i unosząc wysoko spódnicę, pobiegła lekko wzdłuż brzegu strumienia.

- Słodko Maryjo, drogo mi za to zapłacisz, ty mała diablico!

Schreuder otarł usta i zobaczywszy krew na dłoni, rzucił się za nią w pogoń.

W ciągu tych ostatnich dni Katinka igrała z nim, doprowadzając pułkownika do granic szaleństwa, obiecując i wycofując się z obietnic, prowokując go i odpychając, w jednej chwili zimna jak północny wiatr, w następnej gorąca jak tropikalne słońce w zenicie. Kręciło mu się w głowie z pożądania, ale i jej udzielało się jego podniecenie. Dręcząc go, samą siebie doprowadzała do stanu wrzenia i pragnęła go teraz równie gorąco, jak on pragnął jej. Chciała go poczuć głęboko w sobie, chciała, by ugasił ogień, który wzniecił w jej łonie. Nadeszła chwila, kiedy nie mogła tego odkładać na później.

Pułkownik dogonił ją i Katinka nagle się odwróciła. Opierając się plecami o pień drzewa, stała przed nim niczym łania osaczona przez myśliwskie psy. Zobaczyła, że oczy zmatowiały mu z gniewu. Miał spuchniętą i szkarłatną twarz. Spod uchylonych warg wystawały zaciśnięte zęby.

Z dreszczem prawdziwego przerażenia zdała sobie sprawę, że doprowadziła go do szału, nad którym nie jest już w stanie zapanować. Wiedziała, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i ta świadomość sprawiła, że pożądanie rozlało się w jej ciele niczym występująca z brzegów rzeka.

Rzuciła się na niego i zaczęła szarpać rękoma zapięcie bryczesów.

- Chcesz mnie zabić, prawda? - krzyknęła.

- Ty suko! - wykrztusił, sięgając jej do gardła. - Ty dziwko! Katinka wyciągnęła na zewnątrz jego penisa. Był twardy, gruby, nabrzmiały i tak gorący, że prawie parzył ją w palce.

- Więc zabij mnie tym! Wbij go we mnie tak głęboko, żeby pękło mi serce!

Oparła się o szorstką korę drzewa i rozstawiła szeroko nogi, a Schreuder zadarł jej wysoko spódnicę i wszedł w nią, pomagając sobie rękoma. Kiedy poruszał wściekle biodrami, drzewo, o które się opierała, drżało, jakby szarpała je wichura. Deszcz srebrnych liści sypał się na nich niczym błyszczące, świeżo wybite monety. Dochodząc do szczytu, Katinka krzyknęła tak głośno, że jej głos odbił się echem od wysokich, zawieszonych nad nimi żółtych urwisk.

Katinka zjechała z przełęczy niczym furia, pędząc na skrzydłach północno-zachodniej wichury, która spadła nagle ze słonecznego zimowego nieba. Włosy wypadły jej spod czepka i powiewały niczym złoty sztandar, trzepocząc i zwijając się na wietrze. Klacz gnała, jakby ścigało ją stado lwów. Gdy dotarły do pierwszej winnicy, Katinka zmusiła ją do przeskoczenia wysokiego kamiennego muru i klacz przefrunęła nad nim niczym sokół.

W drodze do stajni przegalopowała przez ogród. Pracujący tam Powolny Jan odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Kopyta spienionej klaczy połamały i wyrwały z ziemi rośliny, które pielęgnował. Kiedy przejechała, pochylił się, wziął do ręki stratowaną łądygę, wbił w nią zęby i poczuł na języku słodki sok. Nie czuł cienia żalu. Zieleń, którą uprawiał, i tak miała zostać ścięta i zniszczona, podobnie jak człowiek rodzi się, żeby umrzeć. Dla Powolnego Jana liczył się tylko rodzaj śmierci.

Odprowadzając wzrokiem klacz i dosiadając ją kobietę, czuł ten sam rodzaj respektu i podziwu, jaki ogarniał go, gdy wyzwał z okowów ziemskiej egzystencji jednego ze swoich skazańców. Pomyślał o tych wszystkich ludziach, którzy ginęli z jego rąk niczym małe wróbelki. Katinka van de Velde oczarowała go, kiedy tylko ją zobaczył. Czuł, że czekał na tę kobietę przez całe swoje życie. Rozpoznawał w niej te same mistyczne przymioty, które określały jego własne istnienie, wiedział jednak, że w porównaniu z nią tapła się dopiero w pierwotnym mule.

Była okrutną i nieosiągalną boginią i darzył ją głęboką czcią. Miał wrażenie, że te wyrwane z ziemi rośliny, które trzymał w dłoni, były darem jej ofiarowanym. Złożył je na jej ołtarzu, a ona dar przyjęła. Ta łaskawość wzruszyła go niemal do łez. Zamrugał swymi dziwnymi żółtawymi oczyma i choć raz odbiło się w nich jakieś uczucie.

- Rozkazuj mi - szepnął. - Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

Katinka ściągnęła cugle przy głównych drzwiach rezydencji i zeskoczyła na ziemię, nim klacz zdążyła się zatrzymać. Nie spojrzała nawet na Abolego, który zbiegł z tarasu, złapał za wodze i odprowadził zwierzę do stajni.

- Ta dziwka zraniła cię do krwi, moja maleńka - szepnął do klaczy w języku lasów - ale Aboli cię wyleczy.

Zdjął jej wędzidło i wytarł ścierką parujący pot, a potem pochodził z nią przez chwilę po dziedzińcu, napił i odprowadził do boksu.

- Masz rany od jej bata i ostróg. To czarownica - szeptał, smarując maścią obtarty i pokaleczony pysk. - Teraz będzie się tobą opiekował Aboli.

Nucąc cicho pod nosem, Katinka przemierzała pokoje rezydencji. Jej twarz rozjaśniały wspomnienia niedawnych przeżyć. Znalazłszy się w sypialni, zawołała Zeldę i nie czekając na nią, rozebrała się i rzuciła ubranie na podłogę. Wpadające przez okno chłodne powietrze owiało jej mokre od potu i miłosnych soków ciało. Jasno-różowe brodawki stwardniały i otoczyła je gęsia skórka.

- Gdzie jesteś, Zeldo! - zawołała ponownie. - Słodki Jezu, gdzie się podziewałaś, ty leniwy stary tłumoku! - zgromiła ją, gdy służąca wpadła w końcu do pokoju. - Zamknij te okiennice. Czy moja kąpiel jest już gotowa, czy też znowu zasnąłaś przed kominkiem?

W jej głosie nie słyhać było jednak gniewu i siedząc w wypełnionej perfumowaną gorącą wodą wannie, którą przeniesiono z kabiny na galeonie, uśmiechała się skrycie do siebie.

Służąca krzątała się wokół swej pani. Wyjęła z pachnącej piany gęste włosy Katinki, upięła je na głowie i namydliła jej ramiona miękką szmatką.

- Nie kręć się tak! Zostaw mnie na moment - rozkazała władczy tonem Kalinka.

Zelda odłożyła szmatkę i wyszła z łazienki.

Katinka leżała przez chwilę, nucąc cicho i unosząc raz jedną, raz drugą nogę, żeby przyrzeć się swoim delikatnym kostkom i różowym palcom. Nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch w zaparowanym lustrze. Wyprostowała się, przez moment patrzyła z niedowierzaniem w jego tafłę, a potem wyszła szybko z wanny, owinęła ramiona ręcznikiem i podeszła na palcach do drzwi sypialni.

Siedząc w wannie, zobaczyła w lustrze Zeldę, która podniosła z podłogi jej pobrudzone ubranie. Pokojówka stała teraz z bielizną Katinki w ręku, przyglądając się pokrywającym ją plamom. Na oczach swojej pani podniosła materiał do nosa i powąchała go niczym stara suka szukająca wejścia do klatki z królikami.

- Lubisz zapach męskiego kremu, prawda? - zapytała chłodno Katinka.

Zelda wzdrygnęła się i odwróciła na dźwięk jej głosu. Bełkocząc ze strachu, schowała majtki za plecami. Jej policzki przybrały barwę popiołu.

- Ty wyschnięta stara krowo! Kiedy ostatnio wąchałaś coś takiego?

Katinka zsunęła z ramion ręcznik i szcuple i gibka niczym kobra ruszyła ku Zeldzie, mierząc ją lodowatym i jadowitym spojrzeniem. Jej szpicruta leżała tam, gdzie ją rzuciła. Idąc podniosła ją z podłogi.

Pokojówka dała krok do tyłu.

- Wielmożna pani - zaskomlała. - Bałam się tylko, że twoje piękne rzeczy się zniszczą.

- Obwąchiwałaś je niczym stara maciora trufle - syknęła Katinka.

Szpicruta trafiła Zeldę prosto w usta. Stara wrzasnęła głośno i przewróciła się na łóżko.

Katinka stanęła nad nią naga i zaczęła smagać po plecach, rękach i nogach, wkładając w uderzenia całą swoją siłę. Fałdy tłuszczu pokrywające ciało służącej trzęsły się jak galareta.

- Zbyt długo odmawiałam sobie tej przyjemności - krzyczała Kalinka. Widok skamlącej i

wijącej się na łóżku kobiety jeszcze bardziej wzmagał jej gniew. - Od dawna mam dosyć twojego złodziejstwa i obżerania się. A teraz próbujesz wtykać nos w moje najintymniejsze sprawy, ty podstępny wredny stary tłumoku!

- Zabijesz mnie, pani!

- I bardzo dobrze! Ale jeśli uda ci się przeżyć, w przyszłym tygodniu odpłyniesz do Holandii na pokładzie Standvastigheid. Nie będę cię dłużej znosić przy sobie. Wyślę cię w najgorszej kabinie bez grosza przy duszy. Resztę swoich dni możesz spędzić w przytułku dla ubogich.

Dyszała ciężko, okładając razami głowę i ramiona pokojówki.

- Błagam, pani, nie bądź taka okrutna dla twojej starej Zeldy. Niańczyłam cię jako małe dziecko.

- Kiedy pomyślę, że ssalam mleko z tych wielkich tłustych wymion, robi mi się niedobrze. - Kalinka smagneła ją po piersiach, a Zelda załkała i zakryła je rękoma. - Przed twoim odjazdem każę przeszukać cały twój bagaż, żebyś nie zabrała niczego, co mi ukradłaś. W sakiewce nie będziesz miała ani jednego guldena, już ja o to zadbam, ty parszywa złodziejko.

Pod wpływem tej ostatniej groźby Zelda zmieniła się nagle z żalostnej płaszczącej się sługi w kobietę owładniętą szaleństwem. Wysunęła rękę i jej pulchna dłoń chwyciła za nadgarstek Kalinkę szykującą się do kolejnego uderzenia. Siła, z jaką to zrobiła, zdumiała jej panią. Zelda spojrzała na nią oczyma palającymi nienawiścią.

- Nie! - powiedziała. - Nie zabierzesz mi wszystkiego, co mam. Nie zrobisz ze mnie żebraczki. Służyłam ci przez dwadzieścia pięć lat i nie wyrzucisz mnie teraz jak śmiecia. Owszem, odpłynę do Holandii i będę szczęśliwa, mogąc nie oglądać więcej twojego jadowitego piękna. Odjeżdżając zabiorę jednak ze sobą wszystko, co należy do mnie, a poza tym będę miała w sakiewce tysiąc złotych guldenów, które dasz mi jako odprawę.

Katinka ochłonęła z gniewu i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Chyba bredzisz w malignie? Tysiąc guldenów? Prędzej już tysiąc batów!

Próbowała się wyrwać, lecz Zelda trzymała ją z szaleńczą siłą.

- Mówisz, że bredzę? Ciekawe, co zrobi Jego Ekscelencja, kiedy pokażę mu dowód, że parzyłaś się z pułkownikiem?

Słyszając tę groźbę, Katinka zastygła w bezruchu i powoli opuściła szpicrutę. Patrzyła w oczy Zeldzie i przez głowę przelatywały jej tysiące myśli. Wyjaśniło się teraz wiele trapiących ją zagadek. Ufała szczerze tej starej krowie i nigdy nie wątpiła w jej całkowitą



lojalność. Nie przyszło jej nawet do głowy, że ją zdradzała. Teraz rozumiała, skąd mąż wiedział dokładnie o jej kochankach i postępkach, które nie powinny nigdy wyjść na jaw.

Myślała szybko, skrywając pod kamiennym obliczem gniew, jaki budziła w niej zdrada Zeldy. Fakt, że gubernator dowie się o Corneliusie Schreuderze, nie miał dla niej większego znaczenia. Jedyną niedogodność wynikała z tego, że nie zdziwił się jej jeszcze nowy kochanek. O wiele poważniejsze konsekwencje czekały oczywiście pułkownika.

Spoglądając wstecz, zdała sobie sprawę, jak mściwy był Petrus van de Velde; wszyscy jej kochankowie wpadali w poważne tarapaty, kiedy tylko dochodziły do niego wieści o jej nowym romansie. Aż do tego momentu nie miała pojęcia, jak się dowiadywał. Musiała być bardzo naiwna, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, że hoduje węża na własnym łonie.

- Źle cię oceniłam, Zeldo - powiedziała cicho. - Nie powinnam była traktować cię tak surowo. - Poglądziła czerwoną pręgę na jej pulchnym policzku. - Byłaś dla mnie dobra i wierna przez wszystkie te lata i teraz nadszedł czas, żebyś odpoczęła. To, co powiedziałam, mówiłam w gniewie. Nigdy nie odważyłabym się odmówić ci tego, co ci się słuszenie należy. Odplywając do Holandii, będziesz miała w sakiewce nie tysiąc, lecz dwa tysiące guldenów wraz z moją dozgonną wdzięcznością i miłością.

Zelda oblizała obolałe wargi i uśmiechnęła się ze złośliwym triumfem.

- Jesteś dla mnie taka miła i dobra, wielmożna pani.

- Nie powiesz oczywiście gubernatorowi o moim niewinnym spotkaniu z pułkownikiem Schreuderem?

- Za bardzo cię kocham, pani, bym mogła cię kiedykolwiek skrzywdzić. W dniu, kiedy będę musiała cię opuścić, pęknie mi serce.

Powolny Jan klęczał pośrodku grządki na końcu tarasu, trzymając w silnej dłoni ogrodniczy nóż. Kiedy padł na niego cień, podniósł wzrok i zerwał się na nogi.

- Dzień dobry, wielmożna pani - powiedział swoim głębokim melodyjnym głosem, przyciskając z szacunkiem kapelusz do piersi.

- Proszę, nie przerywaj tego, co robisz. Uwielbiam patrzeć, jak pracujesz..

Jan ukląkł z powrotem i w jego ręku zalśniło ostrze małego ostrego noża. Kalinka siadła na ławce nieopodal i przez chwile, obserwowała go w milczeniu.

- Podziwiam twoje umiejętności - stwierdziła po pewnym czasie i chociaż nie podniosła głowy, wiedział, że ma na myśli nie tylko jego sprawność w posługiwaniu się ogrodniczym nożem. - Będę ich potrzebowała, Powolny Janie. W nagrodę dostaniesz sakiewkę ze stoma guldenami. Czy zgodzisz się coś dla mnie zrobić?

- Nie ma takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił, Mevrouw. - Jan podniósł głowę i wbił w nią swoje jasnożółte oczy. - Gdybyś mnie o to poprosiła, z radością oddałbym za ciebie życie. Nie proszę o zapłatę. Świadomość, że spełniam pani życzenie, jest najwspanialszą nagrodą, o jakiej mógłbym kiedykolwiek marzyć.

Zimowe noce zrobiły się chłodne. Z gór schodziły gwałtowne szkwały, dzwoniąc o okiennice i wyjąc niczym stado szakali pod okapami słomianych dachów.

Zelda włożyła nocną koszulę na swoje korpulentne ciało. Obrosła już z powrotem sadłem, które straciła podczas rejsu. Po wprowadzeniu się do rezydencji zdążyła zdrowo przybrać na wadze, ściągając obfite porcje z talerzy zanoszonych do jadalni i zaglądając często do cynowego dzbanka wypełnionego zlewkami szlachetnych reńskich i czerwonych win, a także dżinem i wódką.

Z brzuchem wypełnionym dobrym jedzeniem i pićm szykowała się do snu. Przede wszystkim sprawdziła, czy okno w jej małym pokoiku jest zabezpieczone przed przeciągiem. Wcisnęła gałgany w szpary i zasunęła szczelnie zasłony. Następnie wsunęła pod koldrę miedzianą szkandelę i trzymała ją tam, aż poczuła swąd przypalającej się pościeli. W końcu zgasiła świeczkę i wsunęła się pod gruby wełniany koc.

Sapiąc i wzdychając, umościła się w ciepłym miękkim łóżku. Ostatnią rzeczą, o której pomyślała, była schowana pod materacem sakiewka złotych monet. Zasnęła z uśmiechem na twarzy.

Godzinę po północy, gdy cały dom pogrążony był w śnie, przed drzwiami pokoiku Zeldy stanął Powolny Jan. Usłyszawszy jej chrapanie zagłuszające świst wiatru, otworzył bezszelestnie drzwi i wstawił do środka piecyk z płonącymi węglami. Nasłuchiwał uważnie przez minutę, ale oddech starej kobiety był regularny i równy. Wtedy zamknął cicho drzwi i wrócił do pomieszczenia przy końcu korytarza.», ,

O świcie Sukeena przysłała obudzić Kalinkę na godzinę przed wyznaczonym czasem. Pomogła jej włożyć ciepły szlafrok i zaprowadziła do kwater dla służby. Przed pokoikiem Zeldy stał tłumek przestraszonych milczących niewolników, którzy rozstąpili się, wpuszczając swoją panią do środka.

- Wiem, ile znaczyła dla ciebie Zelda, wielmożna pani. Współczuję ci z całego serca - szepnęła Sukeena.

- Dziękuję, Sukeeno - odparła Katinka i rozejrzała się szybko po pokoju. Piecyk został usunięty. Powolny Jan był dokładny i rzetelny.

- Ma taki spokojny wyraz twarzy i taką piękną cerę - stwierdziła Sukeena, stając koło łóżka. - Zupełnie jakby jeszcze żyła.

Katinka stanęła obok niej. Trujące wyziewy z piecyka zaróżowiły policzki pokojówki. Po śmierci wydawała się przystojniejsza, niż kiedykolwiek była za życia.

- Proszę, zostaw mnie z nią na chwilę, Sukeeno - powiedziała cicho. - Była mi tak droga.

Kiedy uklękła koło łóżka, Sukeena zamknęła za sobą cicho drzwi. Katinka wsunęła rękę pod materac i wyciągnęła sakiewkę. Poznała po wadze, że w środku są wszystkie monety. Wsunęła sakiewkę do kieszeni nocnej koszuli, złożyła przed sobą ręce i zacisnęła oczy tak mocno, że skleiły się jej długie złociste rzęsy.

- Idź do piekła, stara suko - mruknęła.

Powolny Jan w końcu przyszedł. Czekali na niego przez wiele dni i koszmarnych nocy, tak długo, że sir Francis Courteney zważył, że kiedykolwiek go zobaczy.

Każdego wieczoru, kiedy z nadejściem zmroku kończyła się praca na murach, ekipy więźniów schodziły do lochów, szurając nogami. Zima była coraz sroższa i często wracali zmoczeni przez ulewny deszcz i zziębnięci do kości.

- Jak samopoczucie, ojczu? - wołał każdego wieczoru Hal, mijając obite żelaznymi ćwiekami drzwi celi sir Francisa.

Odpowiedź, wypowiedana chrapliwym i ciężkim od flegmy głosem, brzmiała zawsze tak samo.

- Dzisiaj lepiej. A co u ciebie?

- Praca była lekka. Jesteśmy wszyscy dobrej myśli. Potem odzywał się siedzący w sąsiedniej celi Althuda.

- Dziś rano przyszedł lekarz. Powiedział, że sir Francis czuje się dość dobrze, by mógł go przesłuchać Powolny Jan. - Albo innym razem: - Gorączka się pogorszyła. Sir Francis kaszlał przez cały dzień.

Po zamknięciu w lochu piętro niżej więźniowie połykali szybko jedyny w ciągu dnia posiłek, wylizując do czysta miski, a potem padali jak zabici na wilgotną słomę.

W ciemności przed świtem Manseer budził ich, łomocząc w pręty celi.

- Wstawać! Wstawać, leniwe sukinsyny, bo poszczuję was psami!

Zrywali się na nogi i wychodzili gęsiego na deszcz i wiatr. Tam czekał na nich Barnard ze swoimi dwoma wielkimi czarnymi brytanami, które warczały i szarpały się na smyczach. Część marynarzy owijała stopy i głowy znalezionymi na budowie podartymi workami, ale nawet te łachmany były mokre po poprzednim dniu. Większość pracowała boso i z odkrytymi głowami w podmuchach zimowej wichury.

A potem pojawił się Powolny Jan. Przyszedł w południe. Mężczyźni na wysokim rusztowaniu umilkli i ustała wszelka praca. Nawet Hugo Barnard odsunął się na bok, gdy Jan przeszedł przez zamkową bramę. W swoim ciemnym surducie i nasuniętym na oczy kapeluszu z szerokim rondem wyglądał jak kaznodzieja podążający do swoich wiernych.

Przy wejściu do lochów zatrzymał się i na dziedziniec wybiegł, pobrzękując kluczami, sierżant Manseer. Otworzył niskie drzwi, puścił przodem Powolnego Jana i ruszył za nim do środka. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, więźniowie wzdrygnęli się, jakby ktoś obudził ich z koszmaru, i wrócili do pracy. Dopóki Powolny Jan nie wyszedł z lochów, na murach panowała jednak głucha cisza. Żaden z mężczyzn nie zaklął, nawet Hugo Barnard był jakiś zgaszony i co chwila odwracał głowę w stronę żelaznych drzwi.

Powolny Jan zszedł na dół po schodach. Manseer, który niósł przed nim latarnię, zatrzymał się przed celą sir Francisca, otworzył okienko judasza i Jan zajrzał do środka. Z wysokiego okna celi padał w dół promień światła. Sir Francis, który siedział na kamiennej półce służącej mu za pryczę, podniósł wzrok i spojrzał w żółte oczy Powolnego Jana.

Twarz kapitana miała kolor czaszki spalonej przez słońce. Okolona długimi kosmykami czarnych włosów, z dwiema ciemnymi jamami oczu, była tak blada, że w półmroku wydawała się świecić własnym światłem.

- Spodziewałem się ciebie - powiedział i zaniósł się kaszlem, aż usta wypełniła mu flegma. Wypluł ją na leżącą na podłodze słomę.

Powolny Jan nie odpowiedział. Jego błyszczące w judaszu oczy wpijały się w twarz skazańca. Mijały minuty. Rób, co masz robić, miał ochotę krzyknąć sir Francis. Powiedz to, co masz do powiedzenia. Jestem gotów. Ale zmusił się do milczenia i ani na chwilę nie spuścił wzroku.

Powolny Jan odsunął się w końcu, i skinął na Manseera. Ten zatrzasnął okienko judasza i wbiegł po schodach, żeby otworzyć żelazne drzwi. Obserwowany przez wszystkich Powolny Jan przeciął dziedziniec. Kiedy zniknął za bramą, więźniowie odetchnęli z ulgą i wkrótce na murach znowu słyhać było wrzaski nadzorców i ciche przekleństwa robotników.

- Czy to był Powolny Jan? - zawołał cicho Althuda z sąsiedniej celi.

- Nic nie powiedział. Nic nie zrobił - szepnął chrapliwie sir Francis.

- Taki już jest - odparł Althuda. - Siedzę tu dość długo i zauważyłem, że nieraz już uprawiał tę grę. Zmęczy cię do tego stopnia, że w końcu będziesz chciał powiedzieć mu wszystko, co wiesz, na długo przedtem, nim cię dotknie. Dlatego nazywają go Powolnym Janem.

- Słodki Jezu, już teraz zaczynam tracić odwagę. Czy przyszedł kiedyś i się na ciebie gapił, Althudo?

- Jeszcze nie.

- Jak tego uniknąłeś?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że któregoś dnia przyjdzie i do mnie. Podobnie jak ty, znam ból oczekiwania.

Na trzy dni przed wypłynięciem Standvastigheid, Sukeena wyszła z kuchni z torbą na ramieniu i w stożkowatym kapeluszu z plecionej trawy na swojej kształtnej małej główce. Jej wyjście nikogo nie zdziwiło, wiadomo było bowiem powszechnie, że kilka razy w tygodniu zbiera zioła i korzenie na zboczach góry. Jej umiejętności i wiedza na temat leczniczych właściwości roślin znane były w całej kolonii.

Ostry ból rozrywał trzewia Kleinhansa obserwującego ją z werandy rezydencji. Miał wrażenie, że gdzieś we wnętrznościach krwawi mu otwarta rana; jego stolec był często czarny od skrzepłej krwi. Zżerała go jednak nie tylko dyspepsja. Wiedział, że kiedy galeon podniesie kotwicę, nigdy już nie ujrzy pięknej twarzy Sukeeny. Gdy zbliżała się pora rozstania, nie mógł spać w nocy i nawet mleko i gotowany ryż obracały się w żrący kwas w jego żołądku.

Mevrouw van de Velde, która mieszkała teraz w rezydencji, była dla niego miła. Wysłała nawet dziś rano Sukeenę, żeby zebrała specjalne zioła, które po namoczeniu i wydestylowaniu stanowiły jedyne lekarstwo zdolne ukoić jego ból choć na krótki czas - wystarczający, by mógł się przez kilka godzin zdrzemnąć. Sukeena przygotuje na polecenie Katinki dość wywaru, by starczyło mu na długą podróż na północ. Miał nadzieję, że kiedy dopłynie do Holandii, lekarze będą w stanie wyleczyć tę okropną chorobę.

Sukeena szła powoli po stoku porośniętym krzakami. Raz czy dwa razy odwróciła się, ale nikt jej nie śledził. W pewnej chwili zatrzymała się, żeby ściąć zieloną gałązkę kwitnącego krzewu. Idąc zerwała z odrośli liście i rozwidliła nożem jej koniec.

Wszędzie dookoła widziała wspaniałe kwiaty; nawet teraz, gdy nastąpiła zima, kwitły ich całe setki, niektóre wielkie niczym dojrzałe karczochy, inne małe jak jej mały palec, a wszystkie przewyższające urodą wyobraźnię artysty i paletę jego farb. Znała je na pamięć.

Klucząc na pozór bez celu, w rzeczywistości zmierzała konsekwentnie w stronę głębokiego wąwozu, który przecinał zbocze góry. Rzuciwszy za siebie szybko okiem, zbiegła po stromej, porośniętej krzakami skarpie. Dnem wąwozu płynął potok, czasami rwąc w dół wodospadem, czasami zwalniając w sennyh sadzawkach. Sukeena podeszła ostrożnie do jednej z nich. W niewielkiej skalnej szczelinie stała tuż przy samej wodzie mała gliniana miska. Zostawiła ją tu za swojej ostatniej bytności. Spoglądając w dół ze skalnego występu,

zobaczyła, że mlecznobiała ciecz, którą naląła do miski, jest wypita. Na dnie zostało tylko kilka mętnych kropli.

Zeszła zgrabnie niżej i zajrzała w głąb skalnej szczeliny. Widząc w mroku błysk gadzich łusek, wstrzymała oddech. Otworzyła pokrywkę koszyka, wzięła do prawej ręki rozwidlony kij i przysunęła się bliżej. Wąż zwinął się w kłębek niedaleko miski. Był nieduży, nie grubszy od jej serdecznego palca. Każda ze lśniących ciemnobrązowych łusek stanowiła mały cud. Kiedy przysunęła się bliżej, podniósł łeb o jeden cal i wbił w nią swoje czarne paciorkowate oczy. Nie próbował jednak uciekać, wślizgując się do środka szczeliny, tak jak to zrobił za pierwszym razem.

Był leniwy i ospały, oszołomiony mlecznym wywarem, którym go spoił. Po chwili położył z powrotem łeb i chyba zasnął, ale Sukeena wołała nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Wiedziała dobrze, że ukąszenie tego małego gada potrafi zadać śmierć w najbardziej okrutny i bolesny sposób. Kiedy przysunęła do niego kij, wąż ponownie uniósł głowę. Rozwidlone końce wisały tylko kilka cali nad jego szczupłym ciałem. Mały gad położył się powoli z powrotem i gdy to zrobił, Sukeena przygwoździła jego łeb do ziemi. Wąż zasyczał cicho i owinał się wokół przytrzymującego go kija.

Sukeena złapała go tuż za łbem, zaciskając dwa palce na twardych kościach czaszki. Kiedy owinał swoje długie ciało wokół jej nadgarstka, chwyciła go za ogon, rozwinęła, a potem wrzuciła do koszyka i natychmiast zamknęła wieko.

Ustępujący gubernator Kleinhans wszedł na pokład galeonu wieczorem w przeddzień wyjścia żaglowca w morze. Zanim karoca zawiozła go na brzeg, na tarasie rezydencji zgromadziła się służba, aby pożegnać swego poprzedniego chlebodawcę. Kleinhans szedł powoli wzdłuż szeregu, zamieniając z każdym dwa słowa. Gdy dotarł do Sukeeny, pozdrowił go pełnym gracji gestem, dotykając złączonymi palcami ust i poczuł, jak serce pęka mu z miłości i pożądania.

- Aboli zawiózł bagaż na pokład galeonu i wstawił go do pańskiej kabiny - oznajmiła cicho. - Pańska skrzynia z lekarstwami jest na dnie największego kufra, ale cała butelka wywaru znajduje się w małej podróżnej torbie. Powinna starczyć co najmniej na parę dni.

- Nigdy cię nie zapomnę, Sukeeno - powiedział.

- Ja też, panie, nigdy ciebie nie zapomnę - odparła.

Przez jeden szalony moment emocje wzięły nad nim górę. Mało brakowało, a uściskałby niewolnicę, ale potem ona podniosła wzrok i znieruchomiał, widząc pałającą w jej oczach nienawiść.



Kiedy nazajutrz galeon wypłynął z porannym odpływem, Fredricus przyszedł go obudzić i pomógł mu wstać. Zarzucił mu na ramiona grube futro i Kleinhans wyszedł na pokład i stanął przy relingu na rufie. Statek złapał w żagle północno-zachodni wiatr i pruć dzielnie fale Atlantyku, a on stał tam, póki wielka płaska góra nie zniknęła za horyzontem i łzy nie zasnuły mu oczu.

W ciągu następnych czterech dni ból w żołądku był gorszy niż kiedykolwiek do tej pory. Piątego dnia obudził się po północy z ogniem płonącym w trzewiach. Zapalił lampę i sięgnął po brązową butelkę, którą dostał od Sukeeny. Potrząsnął nią - była prawie pusta.

Zgięty wpół z bólu, podszedł do największego kufra i ukląkł na podłodze. Skrzynka z lekarstwami była tam, gdzie powiedziała Sukeena. Wyjął ją i położył na stole przy przeciwległej ścianie, stawiając obok lampę, żeby móc wsadzić mosiężny klucz do zamka.

Otworzył wieko i drgnął zaskoczony. Na samym wierzchu, na butelkach z lekarstwami leżał arkusz pergaminu. Przeczytał kilka słów i ze zdumieniem uświadomił sobie, że to egzemplarz starego biuletynu Kompanii. Kiedy doczytał go do końca, żołądek podszedł mu do gardła. Dokument podpisał on sam. Rozpoznał w nim nakaz przesłuchania i egzekucji niejakiego Roberta Davida Renshawa. Anglika, który był ojcem Sukeeny.

- Cóż to za diabelskie sztuczki? - wyjąkał. - Mała czarownica włożyła to do skrzyni, żeby przypomnieć mi coś, co popełniłem wiele lat temu. Czy nigdy nie da mi spokoju? Myślałem, że zniknęła z mego życia na zawsze, ale ona wciąż zadaje mi cierpienie.

Sięgnął po papier, żeby podrzeć go na strzępy, lecz zanim dotknął go palcami, pod biuletynem rozległ się cichy szelest. Coś poruszyło się nagle i uderzyło go lekko w nadgarstek. Połyskujący sprężysty wąż wypelzł ze skrzyni i zsunął się na podłogę. Kleinhans odskoczył do tyłu, ale mały gad zniknął po chwili w mroku. Uświadomiwszy sobie, że piecze go nadgarstek, odwrócił go do światła.

Żyły po wewnętrznej stronie dłoni nabrzmiały niczym niebieskie liny pod nakrapianą starczymi plamami bladą skórą. Przyglądając się bliżej piekącemu miejscu, zobaczył dwie kropelki krwi, które połyskiwały w świetle lampy niczym klejnoty, spływając z dwu małych nacięć. Zatoczył się do tyłu i siadł na skraju koi, ściskając nadgarstek i wpatrując się w rubinowe krople.

Powoli stanął mu przed oczyma obraz sprzed wielu lat. Zobaczył dwie smutne trzymające się za ręce sieroty, stojące przed dymiącymi popiołami całopalnego stosu. A potem ból wezbrał w nim i wypełnił umysł i ciało.

Poza bólem nie było teraz nic więcej. Toczył się niczym płynny ogień przez jego żyły i wgryzał głęboko w kości. Rozrywał każde włókno i nerw jego ciała. Kleinhans zaczął krzyczeć i nie przestawał krzyczeć aż do samego końca.

Czasami dwa razy dziennie Powolny Jan przychodził do zamkowych lochów i stawał przy celi sir Francisa. Nigdy się nie odzywał. Stał tam bez słowa, nieruchomy jak gad, czasami przez kilka minut, a czasami całą godzinę. Sir Francis nie mógł już na niego patrzeć. Odwracał twarz do kamiennej ściany, ale wciąż czuł na plecach świdrujące go żółte oczy.

Manseer i czterej żołnierze w zielonych kubrakach przyszli po niego w niedzielę, dzień pański. Nic nie powiedzieli, ale poznał po ich twarzach, że go zabierają. Nie patrzyli mu w oczy i mieli posępne miny grabarzy.

Na dworze było zimno i wietrznie. Chociaż przestało padać, wiszące nisko na stoku chmury miały złowróźbny granatowy kolor starego sińca. Kamienie, którymi wybrukowany był dziedziniec, lśniły po niedawnym szkwale. Zziębnięty sir Francis próbował opanować drżenie, żeby strażnicy nie pomyśleli, że trzęsie się ze strachu.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece! - przebił się przez wiatr młody czysty głos.

Sir Francis zatrzymał się i podniósł wzrok. Hał stał wysoko na rusztowaniu, z potarganymi przez wiatr włosami i nagą piersią błyszczącą od kropel deszczu.

Stary kapitan podniósł skrepowane ręce w górę.

- In Arcadia habito! - odkrzyknął. - Pamiętaj o przysiędze!

Nawet z tej odległości widział ściągniętą bólem twarz syna. A potem strażnicy zaciągnęli go w stronę niskiego wejścia prowadzącego do piwnicy pod zbrojownią zamku. Manseer otworzył je i zszedł z nim po schodach. Na dole zatrzymał się, zapukał nieśmiało do obitych żelazem drzwi, po czym nie czekając na odpowiedź otworzył je i wprowadził sir Francisa do środka.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było dobrze oświetlone. W przeciągu zamigotało kilkanaście woskowych świec. Po lewej stronie siedział za stołem Jacobus Hop. Przed sobą miał arkusz pergaminu i kałamarz, w prawej ręce trzymał gęsie pióro. Kiedy więzień podszedł bliżej, spojrzał na niego z przerażeniem. Na jego policzku sterczał zaogniony karbunkuł. Szybko opuścił wzrok, nie mogąc patrzeć na sir Francisa.

Przy przeciwległej ścianie stało łoże tortur. Zbite z grubych tekowych desek było dość długie, by zmieścić się na nim nawet najwyższy mężczyzna z wyciągniętymi najdalej jak można kończynami. Przy każdym krańcu zamontowane były potężne koła z zapadkami, które można było zablokować dźwignią. Naprzeciw stołu protokolanta stał piecyk z płonącymi

węglami. Na wbitych w ścianę hakach wisiała cała kolekcja dziwnych i straszliwych narzędzi. Z piecyka biło kojące miłe ciepło.

Przy łożu stał Powolny Jan. Surdut i kapelusz powiesił na wieszaku. Na sobie miał skórzany kowalski fartuch.

Pod sufitem zamocowany był bloczek, z którego zwisał sznur zakończony żelaznym hakiem. Powolny Jan nie odezwał się ani słowem, kiedy strażnicy zaprowadzili sir Francisa na środek pomieszczenia i zaczepili o hak więzy krępujące jego ręce. Manseer podciągnął sznur w górę i ręce sir Francisa znalazły się wysoko nad jego głową. Chociaż stał obiema nogami na kamiennej posadzce, był teraz zupełnie bezbronny. Manseer zasalutował Powolnemu Janowi, po czym razem ze swoimi ludźmi wyszedł z pomieszczenia i zamknął za sobą solidne tekowe drzwi, dość grube, by nie przedostał się przez nie żaden dźwięk.

W zapadłej ciszy Hop odchrząknął głośno i odczytał z protokołu wyrok wydany na sir Francisa przez sąd Kompanii. Przykro było słuchać, jak się zacinał, potem jednak odłożył na bok dokument i przemówił dość składnie.

- Bóg mi świadkiem, kapitanie Courteney, że chciałbym być teraz sto mil stąd. Nie jest to obowiązek, który spełniam z radością. Błagam, żebyś współpracował z nami w trakcie przesłuchania.

Sir Francis nie odpowiedział. Przez cały czas wpatrywał się w żółte oczy Powolnego Jana. Hop wziął ponownie do ręki dokument.

- Pytanie pierwsze - przeczytał załamującym się drżącym głosem. - Czy więzień Francis Courteney zna miejsce, w którym znajduje się zaginiony ładunek, wyszczególniony w manifeście okrętowym galeonu Standvastigheid należącego do Kompanii?

- Nie - odparł sir Francis, nie odrywając wzroku od utkwionych w nim żółtych oczu. - Więzień nie wie, o jakim ładunku mówisz.

- Błagam, żebyś to jeszcze przemyślał - szepnął chrapliwie Hop. - Jestem człowiekiem o bardzo delikatnym zdrowiu. Cierpię na żołądek.

Mężczyznom pracującym na chłostanym wiatrem rusztowaniu czas wydawał się wlec niemiłosiernie wolno. Ich wzrok wciąż biegł w stronę niepozornych małych drzwi pod zbrojownią. Nie dobiegał zza nich żaden odgłos. Nagle, w połowie deszczowego poranka, otworzyły się na oścież i na dziedziniec wyskoczył Jacobus Hop.

Zataczając się, podbiegł do barierki, przy której pętano konie, i zawisł na niej, jakby nie był w stanie utrzymać się na nogach. Łapiąc kurczowo powietrze niczym człowiek, który cudem uniknął utonięcia, nie zwracał uwagi na nic, co się wokół niego działo.

Na murach ustała wszelka praca. Nawet Hugo Barnard i jego nadzorcy stali w milczeniu, spoglądając na nieszczęsnego małego skrybę. Na oczach wszystkich Hop zgiął się nagle wół i zwymiotował na kocie łby. Po chwili otarł wargi wierzchem dłoni i rozejrzał się rozpaczliwie dokoła, jakby szukał drogi ucieczki.

W końcu odsunął się od barierki i ruszył biegiem przez dziedziniec i po schodach do biura gubernatora. Jeden ze stojących przy drzwiach wartowników próbował go zatrzymać.

- Muszę mówić z Jego Eksceleacją! - wrzasnął Hop i przemknął obok strażnika.

Nie zapowiedziany, wpadł do sali audiencyjnej. Van de Velde siedział u szczytu długiego polituowanego stołu w towarzystwie czterech obywateli kolonii. Gubernator śmiał się właśnie z czegoś, co powiedział któryś z gości.

Śmiech zgasł na jego ustach, gdy w progu stanął Hop ze śmiertelnie bladą twarzą i oczyma pełnymi łez. Buty miał powalane wymiotami.

- Jak śmiesz, Hop! - ryknął gubernator, podrywając swoje potężne ciało z fotela. - Jak śmiesz wpadać tutaj w ten sposób?

- Nie mogę tego zrobić, Wasza Eksceleńco - wybełkotał Hop. - Nie mogę tam wrócić. Proszę nie nalegać, żebym to zrobił. Proszę wysłać kogoś innego.

- Natychmiast tam wracaj - syknął van de Velde. - To twoja ostatnia szansa, ostrzegam. Albo wypełnisz swój obowiązek jak mężczyzna, albo gorzko tego pożałujesz.

- Wasza Eksceleńca nie rozumie. - Hop płakał już teraz całkiem otwarcie. - Nie mogę tego zrobić. Wasza Eksceleńca nie ma pojęcia, co się tam dzieje. Nie mogę...

- Wracaj tam! Natychmiast wracaj albo spotka cię ten sam los co jego.

Hop powoli się wycofał.

- Zamknij za sobą drzwi, ty szurze! - wrzasnął za nim van de Velde.

Zataczając się jak ślepiec, Hop przeciął dziedziniec. Jego oczy były wypełnione łzami. Przy małych drzwiach zatrzymał się i przez chwilę wyraźnie zbierał siły. W końcu wbiegł do środka i zniknął z pola widzenia milczących widzów.

Po godzinie trzeciej drzwi otworzyły się ponownie i na dziedziniec wyszedł Powolny Jan. Jak zawsze ubrany w ciemny surdut i wysoki cylinder, twarz miał poważną, a krok stateczny i dostojny. Minał zamkową bramę i odszedł aleją między ogrodami w stronę rezydencji.

Kilka minut po jego wyjściu Hop wyskoczył ze zbrojowni i pognał do budynku administracji. Wyszedł stamtąd z chirurgiem Kompanii, który niósł na ramieniu swoją skórzaną torbę. Obaj zniknęli pod zbrojownią. Po dłuższym czasie chirurg wyszedł na dziedziniec i zamienił kilka słów z Manseerem i jego ludźmi, którzy kręcili się przy drzwiach.

Sierżant zasalutował i razem ze swą ekipą zszedł po schodach. Kiedy pojawili się z powrotem, był z nimi sir Francis. Nie mógł chodzić, a ręce i nogi miał owinięte bandażami przesiąkniętymi krwią.

- Słodki Jezu, zabili go - szepnął Hal, kiedy powlekli jego ojca ze zwieszoną głową przez dziedziniec.

Sir Francis podniósł nagle głowę i spojrzał prosto na niego, prawie tak jakby go usłyszał.

- Pamiętaj o przysiędze, Hal - zawołał donośnym czystym głosem. Rozpacz ścisnęła Hala za gardło.

- Kocham cię, ojcze! - odkrzyknął.

- Wracaj do pracy, bękarcie - ryknął Barnard, smagając go batem po plecach.

Tego wieczoru, gdy korowód schodzących po schodach więźniów mijał celę sir Francis'a, Hal zatrzymał się na chwilę przy jej drzwiach.

- Modłę się do Boga i wszystkich świętych, żeby mieli cię w opiece, ojcze - zawołał cicho.

Usłyszał, jak sir Francis porusza się na słomianym sienniku, a potem po dłuższej chwili jego głos.

- Dziękuję ci, synu. Bóg obdarzy nas siłą, dzięki której obaj przetrwamy nadchodzące dni.

Zza okiennic swojej sypialni Kalinka obserwowała wysoką sylwetkę Powolnego Jana, który wracał aleją z zamku. Po chwili zniknął jej z oczu za kamiennym murkiem i wiedziała, że idzie prosto do swego domu. Czekala pół dnia na jego powrót i traciła już cierpliwość. Włożyła na głowę czepek i przejrzała się w lustrze, ale nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Rozwinęła włosy i ułożyła je sobie starannie na ramieniu. Teraz było lepiej. Uśmiechnęła się do swego odbicia, po czym wyszła przez małe drzwi na tylną werandę i ruszyła alejką pod oplatającymi pergolę nagimi gałązkami winorośli, którą zimowe wichury ogołociły z ostatnich rdzawych liści.

Chata Powolnego Jana stała samotnie na skraju lasu. Żaden mieszkaniec kolonii, bez względu na to, jak nisko stał w hierarchii społecznej, nie chciał go mieć za sąsiada. Frontowe drzwi były otwarte i Kalinka, nie pukając, od razu weszła do środka. Pojedyncza izba przypominała celę pustelnika. Podłoga była z uklepanego krowiego łajna, w stęchłym powietrzu unosił się zapach dymu i popiołu z otwartego paleniska. Całe umeblowanie składało się z łóżka, stołu i jednego krzesła.

Stanąwszy pośrodku izby, usłyszała dobiegający z tylnego podwórka hałas i wyszła z powrotem na zewnątrz. Powolny Jan stał obok koryta z wodą. Nagi do pasa, nabierał ją skórzanym wiadrem i wylewał sobie na głowę.

Stojąc z opadającymi na piersi i ramiona mokrymi włosami, zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem. Jego ciało oplecione było twardymi płaskimi mięśniami zawodowego zapaśnika, a może raczej - przyszło jej nagle do głowy - rzymskiego gladiatora.

- Nie dziwisz się, widząc mnie tutaj - powiedziała. Nie było to pytanie, odpowiedź widziała bowiem w jego oczach.

- Czekałem na ciebie, pani. Czekałem na boginię Kali. Nikt inny nie ośmieliłby się tutaj przyjść - odparł i Katinka zamruła oczyma ze zdziwienia.

Usiadła na niskim kamiennym murku i przez chwilę milczała.

- Dlaczego tak się do mnie zwracasz? - zapytała w końcu. Śmierć Zeldy połączyła ich dziwnymi mistycznymi więzami.

- W Trincomalee, na przepięknej wyspie Cejlon, przy świętej Sadzawce Słoni stoi świątynia Kali. Przebywając w tamtejszej kolonii, codziennie do niej chodziłem. Kali jest hinduską boginią śmierci i zniszczenia. Darzę ją czcią.

Zorientowała się, że jest szalony. Zaintrygowało ją to i poczuła, jak jeżą jej się delikatne bezbarwne włoski na przedramionach.

Siedziała przez dłuższy czas w milczeniu patrząc, jak się myje. Powolny Jan wycisnął obiema rękoma wodę z włosów i wytarł swoje szczupłe twarde ciało kawałkiem materiału. Ubrał się w podkoszulek, a potem podniósł z murku swój ciemny surdut, włożył go i zapiął pod samą szyję.

W końcu na nią spojrzał.

- Przyszłaś usłyszeć o moim małym wróbelku..

Z tym melodyjnym głosem powinien zostać kaznodzieją albo tenorem w operze, pomyślała.

- Tak - odparła. - Dlatego właśnie przyszłam.

Miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Wiedział dokładnie, czego chciała, i od razu zaczął mówić. Opowiedział jej, co wydarzyło się tego dnia w piwnicy pod zbrojownią. Nie ominął żadnego detalu. Mówiąc, prawie śpiewał i okrutne opisywane przezeń czyny wydawały się szlachetne i nieuniknione, jakby deklamował wersy jakiejś greckiej tragedii. Jego opowieść zafascynowała ją i siedząc na murku objęła się rękoma i zaczęła kołysać w tył i w przód.



Gdy skończył, siedziała przez dłuższą chwilę z rozmarzoną miną. W końcu wzdrygnęła się lekko.

- Możesz nazywać mnie Kali - powiedziała. - Ale tylko kiedy jesteśmy sami. Nikt nie może słyszeć, jak wymawiasz to imię.

- Dziękuję ci, bogini.

W jego złotych oczach płonęła niemal religijna żarliwość, kiedy patrzył, jak podchodzi do furtki.

- Dlaczego nazywasz go swoim małym wróbelkiem? - zapytała, zatrzymując się przy ogrodzeniu i nie oglądając się za siebie. Powolny Jan wzruszył ramionami.

- Ponieważ od dzisiaj należy tylko do mnie. Wszyscy należą do mnie i do bogini Kali. Na zawsze.

Katinka zadrżała lekko, a potem ruszyła z powrotem przez ogród. Przy każdym kroku czuła na sobie jego spojrzenie.

Sukeena czekała na nią, kiedy wróciła do rezydencji.

- Posłałaś po mnie, pani.

- Chodź ze mną, Sukeeno.

Zaprowadziła dziewczynę do przebieralni, usiadła na szezlongu przy oknie i dała jej znak, żeby podeszła bliżej.

- Gubernator Kleinhans wspominał często, że potrafisz leczyć - stwierdziła. - Kto cię tego nauczył?

- Moja matka była w tym biegła. Jako mała dziewczynka chodziłam z nią często zbierać rośliny i zioła. Po jej śmierci uczył mnie mój wujek.

- Znasz tutejsze rośliny? Czy nie różnią się od tych, które rosną tam, gdzie się urodziłaś?

- Część niczym się nie różni, a właściwości innych poznałam sama.

Katinka wiedziała o rym wszystkim od Kleinhansa, ale podobał jej się melodyjny głos niewolnicy.

- Wczoraj moja klacz stanęła dęba i o mało nie zrzuciła mnie z siodła, Sukeeno. Zaczepiłam nogą o jego łęk i mam tam brzydki krwiak. Łatwo wyskakują mi sińce. Czy masz w swojej skrzyni coś, co by go zlikwidowało?

- Owszem, wielmożna pani.

- Tutaj! - Katinka odchyliła się na szezlongu i podciągnęła spódnicę wysoko nad kolana. Powoli i zmysłowo zsunęła w dół jedwabną pończochę. - Popatrz! - rozkazała i

Sukeena uklękła posłusznie na dywanie. Jej dotyk był lekki niczym skrzydło motyla i Katinka westchnęła. - Czuję, że twoje ręce mają uzdrawiającą moc.

Sukeena nie odpowiedziała. Jej oczy skrywała ciemna fala włosów.

- Ile masz lat? - zapytała Katinka.

Palce Sukeeny zatrzymały się na chwilę, a potem przesunęły dalej, badając siniak, który znajdował się tuż za kolanem.

- Urodziłam się w roku Tygrysa - powiedziała - więc niedługo skończę osiemnaście lat.

- Jesteś taka piękna, Sukeeno. Ale przecież sama o tym świetnie wiesz.

- Nie czuję się piękna, pani. Nie sądzę, żeby niewolnica w ogóle mogła czuć się piękna.

- Co za głupota. - Katinka nie kryła, że nie podoba jej się kierunek, w którym podążała ich rozmowa. - Powiedz mi, czy twój brat jest tak samo piękny jak ty?

Palce Sukeeny ponownie zdrząły na jej skórze. A! Ostrze trafiło w cel. Katinka uśmiechnęła się lekko.

- Słyszałaś moje pytanie? - zapytała po chwili.

- Dla mnie Althuda jest najpiękniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi - odparła cicho Sukeena i od razu tego pożałowała. Wiedziała instynktownie, że nie wolno odsłaniać przed tą kobietą uczuć, które łatwo można zranić. Nie mogła jednak odwołać swoich słów.

- Ile lat ma Althuda?

- Jest starszy ode mnie o trzy lata. - Sukeena trzymała spuszczone oczy. - Muszę przynieść moje lekarstwa, wielmożna pani.

- Poczekam tu na ciebie - odparła Katinka. - Pośpiesz się.

Rozparta na poduszkach, uśmiechała się lub marszczyła brwi. Przez jej umysł przesuwał się korwód myśli i obrazów. Czuła się podekscytowana i poruszona, a jednocześnie poirytowana i nie zaspokojona. Słowa Powolnego Johna dzwięczały w jej głowie niczym dzwony katedry. Nie dawały jej spokoju. Nie mogła dłużej usiedzieć w miejscu. Zerwała się na nogi i zaczęła krążyć po przebieralni niczym polujący leopold.

- Gdzie jest ta dziewczyna? - mruknęła, a potem spostrzegła własne odbicie w wysokim lustrze i odwróciła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Kali! - szepnęła i uśmiechnęła się. - Cóż za cudowne imię. Tajemne i wspaniałe.

Zobaczyła w lustrze zbliżającą się Sukeenę, ale nie odwróciła się od razu. Ciemna uroda dziewczyny stanowiła idealne tło dla jej własnego piękna. Wyobraziła sobie ich dwie twarze obok siebie i poczuła, jak w żyłach szumi jej podniecenie.

- Przyniosłam balsam na twoją dolegliwość, pani. Sukeena stanęła tuż za nią, ale jej oczy były nieprzeniknione.

- Dziękuję ci, mój mały wróbelku - szepnęła Katinka. Chcę, żebyś była moja na zawsze, pomyślała. Chcę, żebyś należała do bogini Kali.

Wróciła na szeszlony i Sukeena ponownie przed nią uklękła. Maść była z początku zimna, lecz po chwili rozeszło się z niej przyjemne ciepło. Palce Sukeeny były zręczne i wprawne.

- Nienawidzę niszczyć bez potrzeby czegoś, co jest piękne - szepnęła Katinka. - Mówisz, że twój brat jest taki piękny. Bardzo go kochasz?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Katinka wzięła ją pod brodę i uniosła głowę, by móc spojrzeć jej w oczy. Udręka, którą tam ujrzała, sprawiła, że zaczęło szybciej bić jej serce.

- Mój biedny mały wróbelku - mruknęła. Dotarłam do najgłębszego zakamarka jej duszy. Odsuwając rękę, pogładziła ją lekko po policzku.

- Niedawno wróciłam od Powolnego Jana - powiedziała. - Widziałas, jak idę ścieżką, prawda? Obserwowałaś mnie?

- Tak, pani.

- Czy mam ci powtórzyć, co od niego usłyszałam? Mam ci opowiedzieć o specjalnej izbie, którą ma w zamku, i o tym, co się tam dzieje? - Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, zaczęła szybko opowiadać. Gdy palce Sukeeny zamarły w bezruchu, przerwała, żeby wydać jej rozkaz. - Rób dalej to, co robisz, Sukeeno. Masz magiczny dotyk.

Kiedy skończyła wreszcie opowiadać, Sukeena bezgłośnie łkała. Połyskujące na jej ciemnozłotych policzkach łzy spływały powoli niczym krople oliwy wyciśnięte z tłoczni.

- Jak długo twój brat siedzi w zamkowych lochach? - zapytała po chwili Katinka. - Słyszałam, że minęły już cztery miesiące, odkąd wrócił z gór, żeby zabrać cię ze sobą. Tyle czasu i nie został jeszcze osądzony...

Na chwilę umilkła, pozwalając, żeby to, co powiedziała, zapadło w duszę dziewczyny, powoli niczym jej łzy.

- Gubernator Kleinhans zaniedbał te sprawy. A może uległ czyimś podszeptom? Lecz mój mąż jest energicznym i zdecydowanym człowiekiem. Nie pozwoli na dalszą zwłokę w wymierzeniu sprawiedliwości. Żaden renegat nie uchowa się przed jego karzącą ręką.

Sukeena przestała już udawać. Kiedy Kalinka ponownie się odezwała, wpatrywała się w nią oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, - Wyśle Althudę do izby, w której czeka na niego Powolny Jan. Althuda nie będzie już dłużej piękny. Jaka wielka szkoda... Czy możemy coś zrobić, żeby do tego nie dopuścić?

- Twój mąż ma władzę, pani - szepnęła Sukeena. - Wszystko zależy od niego.

- Mój mąż jest urzędnikiem Kompanii, lojalnym i niezłomnym urzędnikiem. Na pewno nie zaniedba swoich obowiązków.

- Jesteś taka piękna, pani. Żaden mężczyzna nie zdoła ci odmówić. Możesz go przekonać. - Sukeena opuściła wolno głowę i położyła ją na nagim kolanie Kalinki. - Błagam cię z całego serca, z całej mojej duszy, pani.

- Co zrobiłabyś, żeby uratować życie swojemu bratu? - zapytała Kalinka. - Jaką zapłaciłabyś cenę, mój mały wróbelku?

- Nie ma ceny zbyt wysokiej, nie ma poświęcenia, przed którym bym się cofnęła. Zrobię wszystko, co każesz, pani.

- Nie możemy mieć nadziei na jego uwolnienie, Sukeeno. Chyba to rozumiesz? - zapytała łagodnie Kalinka. I wcale mi na tym nie zależy, pomyślała, ponieważ dopóki brat siedzi w zamkowych lochach, mały wróbelek na pewno nie ucieknie z mojej klatki.

- Nigdy nawet o tym nie marzyłam.

Sukeena opuściła głowę i Kalinka ponownie wzięła ją pod brodę, tym razem dwiema rękami.

- Althuda nie umrze - oznajmiła pochylając się do niej. - Ty i ja uratujemy go przed Powolnym Janem - obiecała i pocałowała Sukeenę w usta.

Wargi dziewczyny były mokre od łez, ciepłe i słone w smaku, prawie jak krew. Sukeena rozchyliła je powoli niczym płatki orchidei, które otwierają się przed ptakiem szukającym nektaru.

Althuda. Myślała wyłącznie o swoim bracie, kiedy Kalinka, nie przerywając pocałunku, ujęła jej rękę, wsunęła ją pod spódnicę i położyła na swoim gładkim białym brzuchu. To dla ciebie, Althudo, tylko dla ciebie, powtarzała w myśli dziewczyna, zamykając oczy i sunąc nieśmiało palcami w dół aż do gęstej kępy delikatnych złocistych loków.

Nazajutrz rano niebo było bezchmurne. Choć nie zrobiło się ciepłej, świeciło jasno słońce i przestał wiać wiatr. Hal obserwował z rusztowania zamknięte drzwi do lochów. Daniel trzymał się blisko niego; wykonując za chłopaka część pracy, chronił go przed batem Barnarda. Powolny Jan pojawił się w bramie zamku i ruszył swoim odmierzonym krokiem grabarza w stronę zbrojowni. Hal ani na chwilę nie spuszczał z niego oczu. Kiedy kat znalazł

się pod rusztowaniem, chłopak sięgnął nagle po leżący u jego stóp ciężki młot i podniósł go, żeby rzucić w dół i roztrzaskać Janowi czaszkę. Potężna pięść Daniela zacisnęła się na jego nadgarstku. Bosman wyjął mu młot z ręki, jakby odbierał zabawkę dziecku, i położył go na murze poza jego zasięgiem.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zaprotestował Hal. - Mogłem zabić tę świnie.

- Zupełnie niepotrzebnie - odparł ze współczuciem Daniel. - Nie możesz uratować sir Francis, zabijając kogoś, kto jest tylko narzędziem. Poświęciłbyś życie i nic przez to nie osiągnął. Posłaliby po prostu do twojego ojca kogoś innego.

Manseer kazał wyprowadzić więźnia z lochów. Sir Francis nie mógł stanąć o własnych siłach na połamanych obandażowanych nogach, ale kiedy wywlekli go na dziedziniec, trzymał wysoko podniesioną głowę.

- Ojcze! - zawołał w udręce Hal. - Nie mogę na to pozwolić! Sir Francis spojrzał na niego.

- Bądź silny, mój synu. Przez wzgląd na mnie bądź silny - zawołał dość głośno, by można go było usłyszeć na murach.

Manseer popchnął go i chwilę później zniknęli pod zbrojownią.

Dzień był długi, najdłuższy ze wszystkich, które przeżył do tej pory Hal. Północną część dziedzińca spowijał głęboki cień, kiedy Powolny Jan wyszedł w końcu ze zbrojowni.

- Tym razem ubiję tę świnie - wybełkotał Hal, ale Daniel ponownie przytrzymał go mocno i nie puszczał aż do chwili, kiedy kat przeszedł powoli pod rusztowaniem i zniknął za zamkową bramą.

Na dziedziniec wypadł Hop z upiornie bladą twarzą. Pobiegł po chirurga Kompanii i dwaj mężczyźni zeszli z powrotem po schodach. Tym razem żołnierze wynieśli sir Francis na noszach.

- Ojcze! - krzyknął do niego Hal, ale więzień nie odpowiedział i nie dawał żadnego znaku życia.

- Dostyc już cię ostrzegalem! - ryknął Hugo Barnard. Podbiegł do Hala po rozchybotanych deskach i smagnął go kilkanaście razy po plecach. Chłopak nie starał się wcale zasłonić i Barnard cofnął się zdziwiony. - Odezwij się jeszcze raz, bęcwale, a poszczuję cię psami - mruknął i odwrócił się do niego plecami.

Na dziedzińcu chirurg przyglądał się z zaszpeconą miną niesionemu do celi nieprzytomnemu sir Francisowi. Następnie ruszył wraz z Hopem do biur gubernatora po południowej stronie dziedzińca.

Van de Velde uniósł z irytacją wzrok znad papierów, którymi zavalone było jego biurko.

- Tak? O co chodzi, doktorze Saar? Jestem bardzo zapracowany. Mam nadzieję, że nie przyszedł pan, żeby zawracać mi głowę jakimiś bzdurami.

- Chodzi o więźnia, Wasza Ekscelencjo. Chirurg wydawał się jednocześnie onieśmielony i przejęty swoją misją. Van de Velde nie pozwolił mu skończyć.

- No i co, Hop? Czy pirat złożył już zeznania? Czy wykrył nam, co chcemy wiedzieć? - zwrócił się do skryby, który chował się za doktorem, mnąc nerwowo kapelusz w palcach.

Nieszczęsny urzędnik cofnął się o krok.

- Jest taki uparty... nigdy nie uwierzyłbym, że to możliwe... że ktokolwiek wytrzyma...  
- reszta słów utonęła w bolesnym bełkocie.

- To twoja wina, Hop.

Van de Velde wstał zza biurka. Pastwienie się nad tym małym oferumą zaczynało sprawiać mu przyjemność, ale przerwał mu chirurg.

- Obawiam się o życie więźnia, Wasza Ekscelencjo. Może nie przeżyć kolejnego przesłuchania.

Gubernator obrócił swój gniew przeciwko doktorowi.

- Ależ o to nam właśnie chodzi. Courteney został skazany na śmierć. On umrze, ma pan na to moje słowo - oznajmił, siadając z powrotem za biurkiem. - Nie przychodźcie tutaj, żeby opowiadać mi o grożącej mu śmierci. Chcę tylko wiedzieć, czy jest w dalszym ciągu w stanie odczuwać ból, czy jest w stanie mówić albo przynajmniej reagować w jakiś sposób na zadane pytanie. Może mi pan odpowiedzieć na to pytanie, doktorze?

- Wasza Ekscelencjo... - Chirurg zdjął z nosa okulary i zaczął energicznie czyścić szkła, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wiedział, co chce od niego usłyszeć van de Velde, i wiedział również, że nie mówiąc mu tego, postąpi nader nierozsądnie. - W tej chwili więzień jest nieprzytomny - oznajmił w końcu.

Van de Velde popatrzył na niego spode łba.

- A tyle słyszałem o talentach miejscowego kata. Sądziłem, że nigdy nie pozbawił przedwcześnie życia żadnego więźnia.

- Nie pomniejszam wcale umiejętności państwowego kata. Jestem pewien, że do jutra więzień odzyska przytomność.

- Chcesz powiedzieć, że jutro będzie wystarczająco zdrowy, żeby można było kontynuować przesłuchanie?



- Owszem, Wasza Ekscelencjo. Taka jest moja opinia.

- Cóż, Münheer, trzymam cię za słowo. Jeśli pirat umrze, nim będzie mógł zostać publicznie stracony na mocy wyroku sądu, odpowiesz za to przede mną. Obywatele muszą ujrzeć na własne oczy, że sprawiedliwości stało się zadość. Niedobrze jest, kiedy skazaniec umiera gdzieś cichaczem w lochach pod murami. Chcemy go stracić na placu apelowym, żeby wszyscy mogli to zobaczyć. Dla przykładu, rozumiesz, Münheer!

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo - odparł doktor, wycofując się w stronę drzwi.

- Ty też, Hop? Rozumiesz, głupku? Chcę dowiedzieć się, gdzie ukrył ładunek, a potem chcę mieć porządną budującą egzekucję. Jeśli nie masz zamiaru napytać sobie biedy, zadбай o jedno i drugie.

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

- Chcę rozmawiać z Powolnym Janem. Przyślijcie go do mnie, zanim rozpocznie jutrzejsze przesłuchanie. Chcę się przekonać, czy dobrze rozumie, jaka spoczywa na nim odpowiedzialność.

- Osobiście go jutro przyprowadzę - obiecał Hop.

Dopiero po zmroku Hugo Barnard ogłosił koniec dnia pracy i zezwolił wyczerpanym więźniom zejść na dziedziniec.

- Ojczy, czy mnie słyszysz? - zawołał zdesperowany Hal, mijając celę sir Francisa. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął walić rękoma w drzwi. - Odezwił się, ojczy! Na litość boską, odezwił się do mnie! - Przynajmniej raz Manseer nie próbował go popędząć. - Proszę cię, ojczy. To ja, Hal, twój syn. Poznajesz mnie?

- Hal... - usłyszał ochryply głos, którego nie poznawał. - Czy to ty, mój chłopczy?

- O Boże! - Hal osunął się na kolana i dotknął czołem drzwi. - Tak, ojczy. To ja.

- Bądź silny, synu. To nie potrwa już długo. Jeśli mnie kochasz, dochowaj przysięgi.

- Nie mogę pozwolić ci cierpieć. Nie mogę pozwolić, żeby to dłużej trwało.

- Hal! - Głos ojca odzyskał nagle dawną moc. - Nie ma już mowy o cierpieniu. Dawno przekroczyłem tę granicę. Mogą mnie teraz zranić tylko poprzez ciebie.

- Co mogę zrobić, żeby ci ulżyć? Powiedz, co mogę zrobić?

- Jest tylko jedna rzecz, którą możesz zrobić. Pozwól mi umrzeć ze świadomością twojej siły i hartu ducha. Jeśli mnie teraz zawiedziesz, wszystko pójdzie na marne.

Chłopak zagryzł do krwi palec, starając się na próżno stłumić targający nim szloch.

- Jesteś tam, Danielu? - odezwał się ponownie głos sir Francisa.

- Tak, kapitanie.

- Pomóż mu. Pomóż mojemu synowi stać się mężczyzną.

- Przysięgam, że to zrobię, kapitanie. Hal podniósł głowę.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy - oświadczył silniejszym głosem. - Dochowam ci wiary, ojcie. Nie zawiodę twojego zaufania.

- Żegnaj, Hal - głos sir Francisa zaczął cichnąć, jakby zapadał się w bezdenną przepaść. - Jesteś krwią z mojej krwi i obietnicą wiecznego życia. Żegnaj, moje życie.

Nazajutrz rano, gdy wyniesiono sir Francisa z lochów, Hop i doktor Saar szli po obu stronach noszy. Obaj mieli zatroskane miny, leżący między nimi więzień nie dawał bowiem znaków życia. Nie podniósł głowy, nawet kiedy Hal, nie zważając na bat Barnarda, zawołał do niego z murów. Znieśli go po schodach tam, gdzie czekał Powolny Jan, lecz po kilku minutach wszyscy trzej, Saar, Hop i Jan, wyszli z powrotem na zalany słońcem dziedziniec. Przez chwilę rozmawiali cicho ze sobą, a potem ruszyli razem do biura gubernatora.

Van de Velde stał przy witrażowym oknie, spoglądając na stojące na redzie statki. Późnym wieczorem poprzedniego dnia do Zatoki Stołowej wpłynął kolejny galeon Kompanii i gubernator czekał, aż jego kapitan złoży mu kurtuazyjną wizytę i zamówi prowiant. Kiedy do komnaty weszli trzej mężczyźni, odwrócił się do nich ze zniecierpliwieniem.

- O co chodzi, Hop? - burknął, zwracając się do skryby, nad którym coraz bardziej lubił się pastwić. - Widzę, że choć raz zapamiętałeś, co ci kazałem. Przyprowadziłeś do mnie państwowego kata. Czy pirat wyjawiał ci, gdzie ukrył skarby? - zapytał, zwracając się do Powolnego Jana. - No dalej, człowieku, odezwij się.

Wyraz twarzy Powolnego Jana w ogóle się nie zmienił.

- Pracowałem bardzo ostrożnie - oznajmił cicho - aby nie doprowadzić przesłuchiwanego do stanu, w którym okazałby się bezużyteczny. Moja praca zbliża się jednak do końca. Wkrótce nie będzie już słyszał mojego głosu i okaże się niepodatny na dalsze perswazje.

- To znaczy, że ci się nie udało? - zapytał van de Velde drżącym z gniewu głosem.

- Jeszcze nie - odparł Powolny Jan. - Więzień jest silny. Nie sądziłem, że może być tak silny. Zostało jednak jeszcze rozciąganie członków. Nie wierzę, żeby był w stanie to wytrzymać. Nikt nie jest w stanie tego wytrzymać.

- Nie poddałeś go jeszcze tej torturze? - zdziwił się van de Velde. - Dlaczego?

- Rozciąganie członków to dla mnie ostateczność. Po tej torturze nie mam już nic do roboty. To koniec.

- Czy w jego wypadku okaże się skuteczna? - chciał wiedzieć gubernator. - Co zrobisz, jeśli będzie się opierał?

- W takim razie pozostanie nam tylko stryczek i szubienica. Van de Velde odwrócił się powoli do doktora Saara.

- Co pan o tym sądzi, doktorze?

- Jeśli Waszej Ekscelencji zależy na udanej egzekucji, trzeba ją przeprowadzić bardzo szybko.

- Jak szybko?

- Dzisiaj. Przed zapadnięciem zmroku. Po rozciągnięciu członków nie dożyje jutrzejszego ranka.

- Zawiodłem się na tobie - oznajmił van de Velde, zwracając się do Powolnego Jana. - Jestem niezadowolony. - Kat zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał jego reprimendy. Ani razu nie mrugnął okiem, wpatrując się w gubernatora. - Musimy jednak zrobić co w naszej mocy, aby położyć kres tej nieszczęsnej sprawie. Rozkazuje, aby egzekucja odbyła się dzisiaj o trzeciej po południu. A teraz wracajcie i poddajcie więźnia rozciąganiu członków.

- Rozumiem, Wasza Ekscelencjo - odparł Powolny Jan.

- Już raz mnie zawiodłeś. Lepiej, żeby to się nie powtórzyło. Więzień musi żyć, kiedy założysz mu stryczek. Hop, wyślij heroldów do miasta. Ogłaszam dzień dzisiejszy dniem wolnym od pracy, oczywiście z wyjątkiem robót prowadzonych na murach. Francis Courteney zostanie stracony o godzinie trzeciej po południu. Na placu mają się stawić wszyscy obywatele kolonii. Chcę, żeby widzieli, jak postępujemy z piratami. I nie zapomnij poinformować Mevrouw van de Velde o godzinie egzekucji. Byłaby niepokieszona, gdyby ominęło ją to widowisko.

O drugiej po południu wynieśli sir Francisa Courteneya z lochów pod zbrojownią. Nie zatroszczyli się, by okryć czymś leżące na noszach nagie ciało. Nawet z odległego południowego muru i z oczyma pełnymi łez, Hal widział, że ciało ojca zostało groteskowo zdeformowane. Wszystkie stawy w kończynach i barkach były połamane, spuchnięte i pokryte purpurowoczarnymi sińcami.

Na dziedziniec wmaszerował pluton egzekucyjny w zielonych kubrakach. Dowodzeni przez oficera z obnażoną szpadą, stanęli wokół noszy. Dwudziestu żołnierzy ruszyło przodem, dwudziestu z tyłu, z muszkietami na ramieniu. Posępny werbel nadawał tempo ich krokom. Pochód minął bramę zamku i ruszył w kierunku placu apelowego.

Daniel objął ramieniem Hala, który obserwował to wszystko z pobladłą twarzą, dygocząc na lodowatym wietrze. Chłopak nie odsunął jego ręki. Ci z marynarzy, którzy mieli jakieś okrycie głowy, zdjęli je i stali w ponurym milczeniu, kiedy mijały ich nosze.

- Niech cię Bóg błogosławi, kapitanie - zawołał Ned Tyler. - Nie było od ciebie lepszego żeglarza na morzach i oceanach.

Pozostali wznieśli ochryplymi głosami okrzyk na cześć swego kapitana. Jeden z wielkich czarnych psów Hugona Barnarda zawarczał groźnie.

Zgromadzony wokół szubienicy tłum czekał w napięciu i ciszy. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy kolonii stawili się na wezwanie. Powolny Jan stał wysoko nad ich głowami na podwyższeniu z desek. Ubrany w skórzany fartuch, na głowie miał maskę swojej profesji, maskę śmierci. Przez szpary w czarnym materiale widać było tylko oczy i usta.

Prowadzony przez dobosza pochód zbliżał się niespieszonym odmierzoną krokiem. Powolny Jan czekał na nich ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, ale nawet on odwrócił głowę, kiedy aleją między ogrodami nadjechał powóz gubernatora. Aboli zatrzymał zaprzężony w sześć siwków pojazd u stóp szubienicy, a kat złożył ukłon siedzącym w nim osobom.

Jego przezierające przez szpary w masce żółte oczy odnalazły oczy żony gubernatora i Powolny Jan ukłonił się ponownie, tym razem tylko Kalince. Wiedziała bez słów, że dedykuje tę ofiarę właśnie jej, swojej bogini Kali.

- Nie ma powodu tak się puszyć. Niedolega jak na razie odstawił fuszerkę - obruszył się van de Velde. - Uśmiercił tego człowieka, nie wydostawszy od niego ani słowa. Nie wiem, co powie twój ojciec i inni członkowie Siedemnastki, kiedy dowiedzą się, że ładunek jest stracony. Winą za to obarczą oczywiście mnie. Zawsze tak robią.

- A ja jak zawsze będę cię bronić, mój drogi mężu - stwierdziła, po czym wstała z miejsca, żeby mieć lepszy widok.

Żołnierze zatrzymali się przed szubienicą, a nosze z nieruchomym ciałem wniesiono na górę i złożono u stóp Powolnego Jana. Przez tłum przeszedł cichy pomruk, kiedy kat ukląkł przy nim, żeby zabrać się do dzieła.

Chwilę później, gdy pomruk przeszedł w trwoźny jęk podniecenia i grzesznej przyjemności, zaniepokojone hałasem i zapachem świeżej ludzkiej krwi siwe konie zastrzygły uszami i zaczęły przestępować nerwowo nogami. Aboli ściągnął z kamienną twarzą lejce i uspokoił je. A potem odwrócił powoli głowę od rozgrywającego się przed jego oczyma potwornego widowiska i spojrział w stronę nie ukończonych murów zamku.

Rozpoznał Hala stojącego wśród innych więźniów. Młody Courteney dorównywał teraz prawie wzrostem Dużemu Danielowi i przypominał z postury dorosłego mężczyznę. W jego piersi wciąż biło jednak chłopięce serce. Nie powinien oglądać tej egzekucji. Żaden mężczyzna ani chłopiec nie powinien patrzeć na śmierć swego ojca. Aboli miał wrażenie, że

za chwilę pęknie mu jego własne wielkie serce, lecz na pokrytej tatuażami twarzy nie było widać żadnych uczuć. Spojrzał z powrotem na szubienicę, kiedy ciało skazańca uniosło się powoli w powietrze i tłum ryknął po raz wtóry. Kat ostrożnie podciągał w górę stryczek, który założył sir Francisowi na szyję. Trzeba było pewnej i wprawnej ręki, by nie złamać kręgu szyjnego i nie zakończyć spektaklu zbyt wcześnie. Zawodowa duma Jana wymagała, by ten wrak człowieka wydał ostatnie tchnienie dopiero wtedy, kiedy wypruje z niego flaki.

Aboli odwrócił głowę na bok i spojrzał ponownie na osamotnioną i tragiczną postać stojącego na murach Hala Courteneya. Nie powinniśmy go oplakiwać, Gundwane. Był mężczyzną i żył jak mężczyzna. Przemierzył wszystkie morza i oceany i walczył jak prawdziwy wojownik. Znał się na gwiazdach i na ludzkim charakterze. Nie miał nad sobą żadnego pana i nie uląkł się żadnego wroga. Nie, Gundwane, ty i ja nie powinniśmy go oplakiwać. Póki żyje w naszych sercach, nigdy nie umrze.

Przez cztery dni okaleczone ciało sir Francisa Courteneya wystawione było na widok publiczny. Każdego ranka, kiedy robiło się jaśniej, Hal spoglądał z murów w dół i widział, że ojciec wciąż tam wisi. Wrzeszcząc i trzepocząc biało-czarnymi skrzydłami, z plaży nadlatywały mewy i walczyły do upadłego o lepsze miejsce przy stole. Nażarłszy się do syta, siadały na szubienicy i spryskiwały deski białymi odchodami.

Po raz pierwszy w życiu Hal żałował, że ma tak bystry wzrok - nie został mu przez to oszczędzony ani jeden szczegół z dokonującej się na jego oczach potwornej transformacji. W ciągu pierwszych trzech dni ptaki oczyściły czaszkę jego ojca do gołej kości i w słońcu świeciły się teraz puste oczodoły. Mieszkańcy, przecinający plac apelowy w drodze do zamku, omijali szerokim łukiem szubienicę, a kobiety podnosiły do nosów torebki z suszonymi ziołami.

Dopiero piątego dnia o świcie, kiedy Hal spojrzał w dół, szubienica była pusta. Żalosalne szczątki ojca już tam nie wisały, a mewy wróciły na plażę.

- Dzięki miłosiernemu Bogu - szepnął Ned Tyler do Daniela. - Hal będzie mógł teraz zaleczyć swoje rany.

- A jednak to dziwne, że zabrali ciało tak szybko. - Daniel był zdumiony. - Nie sądziłem, że van de Velde okaże tyle litości.

Sukeena pokazała mu, jak wyjąć kratę z małego okienka w czworakach i precyzyjnie się przez nie na zewnątrz. Pilnujący rezydencji żołnierze rozleniwili się z biegiem lat i obejście straży nie sprawiło Abołemu większego kłopotu. Przez trzy kolejne noce wymykał się z czworaków. Sukeena ostrzegła go, że musi wracać co najmniej na dwie godziny przed

świttem, ponieważ o tej porze strażnicy budzili się zwykle ze snu, żeby sprawić na domownikach wrażenie niezwykle czujnych.

Kiedy wydostał się za mury, przebiegnięcie w ciemnościach do granicy kolonii zajmowało mu mniej niż godzinę. Wyznaczał ją żywopłot migdałowców zasadzonych na rozkaz gubernatora. Chociaż nie wyrósł jeszcze zbyt bujnie i więcej w nim było szpar niż kolców, nie wolno go było bez zezwolenia gubernatora przekroczyć żadnemu obywatelowi kolonii. I odwrotnie: żadnemu z Hotentotów, którzy zamieszkiwali ciągnące się dalej pustkowia, góry i lasy, nie wolno było wejść na jej teren. Ci, którzy naruszali ten zakaz, mieli zostać z rozkazu Kompanii zastrzeleni albo powieszani. Holenderska Kompania Wschodnioindyjska nie zamierzała dłużej tolerować łotrostwa dzikich, którzy kradli, co tylko wpadło im w ręce, i upijali się do nieprzytomności, kiedy tylko dorwali się do alkoholu. Ich bezwstydnymi kobietami, które za garść paciorków albo inne marne świecidełka zadzierały krótkie skórzane spódniczki, zagrażały moralności bogobojnych mieszkańców kolonii. Wybrany dzikim, którzy mogli okazać się użyteczni jako żołnierze bądź też służba domowa, pozwolono pozostać w kolonii, pozostałych jednak wypędzono precz, tam, gdzie było ich miejsce.

Każdej nocy Aboli przekraczał tę sztuczną granicę i przemierzał niczym milczący czarny duch szeroką równinę, która oddzielała Górę Stołową i przylegające do niej niższe wzniesienia od głównego pasma gór. Roiło się tu od dzikich zwierząt, bo tylko niewielu myśliwym wolno było wyjść poza granice kolonii. Raz czy dwa usłyszał zapamiętany z dzieciństwa dumny, zapierający dech ryk polujących lwów. W gąszczu traw warczały i pokasywały leopardy i często ploszył niewidoczne stada antylop, których tętent rozbrzmiewał potem długo w nocnej ciszy.

Potrzebny był mu czarny bawół. Dwa razy udało mu się podejść tak blisko, że poczuł zapach kryjącego się w gęstwinie stada. Jego woń przypomniała mu należące do ojca bydło, które pasał w dzieciństwie, zanim jeszcze go obrzezano. Słyszał pochrząkiwanie wielkich byków i porykiwanie cieląt szukających matki, szedł śladami ich kopyt i widział mokre odchody, wciąż parające w świetle księżyca. Za każdym razem jednak, kiedy chciał podejść bliżej, zdradzał go wiatr. Zwierzęta wyczuwały jego obecność i tratując zarośla, rzucały się do ucieczki, aż w końcu odgłos ich galopu niknął w oddali. Aboli nie mógł ich ścigać, ponieważ minęła już dawno północ i dzieliło go kilka mil od żywopłotu migdałowców i celi w czworakach.

Trzeciej nocy zaryzykował i wymknął się przez okno godzinę wcześniej, niż radziła mu Sukeena. Jeden z psów rzucił się na niego, ale nim zdążył zaalarmować strażę, Aboli uspokoił go cichym gwizdaniem. Pies rozpoznał go i obwąchał jego rękę. Aboli pogładził



zwierzę po łbie, szepcząc cicho w języku dżungli. Kiedy przechodził przez mur, pies skamlał cicho i machał ogonem.

Odkrył już wcześniej, że stado bawołów opuszcza co noc gęsty las, żeby napić się wody w małym jeziorzku, oddalonym mniej więcej o milę od żywopłotu. Wiedział, że jeśli dotrze tam przed północą, zdoła zaskoczyć je, kiedy wciąż będą u wodopoju. Tylko wówczas będzie mógł wybrać odpowiedniego byka i zakraść się do niego na odpowiednią odległość.

Z dziupli drzewa rosnącego na skraju lasu wyjął łuk, który wyciął z gałęzi dzikiej oliwki. Sukeena ukradła pojedynczy żelazny grot strzały z kolekcji broni, którą gubernator Kleinhans zgromadził podczas służby w Indiach. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś zauważył jego brak wśród dziesiątków mieczy, tarcz i sztyletów, które ozdabiały ściany rezydencji.

- Zwrócę ci ten grot - obiecał Sukeenie. - Nie chcę, żebyś miała nieprzyjemności, gdyby kradzież wyszła na jaw.

- Powód, dla którego go potrzebujesz, jest ważniejszy od ryzyka, na jakie się decyduję - odparła, wsuwając owinięty w kawałek materiału grot pod siedzenie powozu. - Ja też miałam ojca, któremu odmówiono przyzwoitego pogrzebu.

Aboli dopasował grot do drzewca strzały i przymocował go sznurkiem i smołą. Za bełt posłużyły mu pióra myśliwskich sokołów chowanych w klatce za stajnią. Nie miał jednak czasu szukać larw owadów, z których sporządza się trujący wywar, i dlatego musiał tą jedną strzałą położyć byka.

Skradając się teraz bezszelestnie w ciemności, czuł, jak na nowo budzą się w nim stare nawyki. Przypomniawszy sobie lekcje, których udzielali mu starsi, kiedy był jeszcze chłopcem. Przez cały czas wiedział, skąd wieje wiatr, który pieścił jego nagą pierś i boki, i tak długo krążył wokół jeziorzka, aż poczuł, że dmucha mu prosto w twarz. W nozdrza uderzyła go ciężka woń zwierzyny, którą tropił.

Wiatr poruszał trzcinami, głuszając wszelkie hałasy i Aboli mógł dość szybko przebiec ostatnie sto kroków. Poprzez szelest trzcin usłyszał stłumione postękiwanie. Zastygł w bezruchu i założył strzałę na cięciwę. Zastanawiał się, czy do wodopoju nie podeszły przypadkiem lwy, hałas przypominał bowiem ich pomruki. Wpatrując się przed siebie, usłyszał odgłos zanurzających się w błocie wielkich kopyt. Nad rozkołysanymi łodygami trzcin przesunął się ciemny kształt, wielki jak góra w świetle księżyca.

- Byk - szepnął Aboli. - Królewski byk! Zwierzę skończyło właśnie pić. Przebiegły stary bawół wyprzedził krowy i cielęta ze swojego stada. Z grzbietem unurzonym w

błyszczącym mokrym błocie, stapał, zanurzając z pluskiem kopyta, ku myśliwemu, który czekał w trzcinach.

Aboli pochylił się, pozwalając mu podejść bliżej, i na chwilę stracił zwierzę z oczu. Słyszał jednak jego głośny oddech i szelest trzciny ocierających się o jego boki. Byk był bardzo blisko, kiedy rogi zaplątały mu się w trzciny i potrzęsnał gwałtownie łbem. Gdybym wyciągnął teraz rękę, mógłbym dotknąć jego pyska, pomyślał Aboli. Każdy nerw jego ciała był napięty jak cięciwa, którą trzymał w palcach. Ściana trzciny rozstała się przed nim i wyłonił się z niej olbrzymi łeb z zakrzywionymi rogami połyskującymi w świetle księżyca. Byk zdał sobie nagle sprawę, że coś jest nie w porządku, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, i podniósł do góry swoją wielką czarną głowę. Miał wilgotny lśniący nos i woda ciekła mu z pyska. Rozszerzył nozdrza i Aboli poczuł jego gorący oddech na nagiej piersi i twarzy.

Byk odwrócił łeb, szukając w powietrzu zapachu myśliwego: człowieka lub drapieżnego kota. Aboli stał nieruchomo niczym pień drzewa, trzymając gotowy do strzału ciężki łuk. Opór stawiany przez gałąź oliwki i cięciwę z jelita był tak wielki, że nawet jego wykute z granitu mięśnie drżały z wysiłku. Odwracając łeb, byk odsłonił zagłębienie za uchem, gdzie kark łączy się z kośćmi czaszki i masywnymi rogami. Aboli jeszcze przez sekundę napinał hak, a potem wypuścił strzałę. Wysuwając się pomiędzy jego palców, błysnęła w świetle księżyca i wbiła do połowy długości w potężny czarny kark.

Zwierzę zatoczyło się do tyłu. Gdyby strzała trafiła w szczelinę między kręgami, jak tego chciał Aboli, padłby z pewnością na miejscu. Żelazny grot uderzył jednak w kręgosłup, zsunął się po kości i przeciął potężną arterię za spojeniem szczęki. Dźgnięte ostrą stalą zwierzę zaczęło wierzgać nogami i wtedy arteria otworzyła się i w górę trysnął obfity strumień czarnej krwi.

Byk przebiegł tuż obok Abolego, potrzęsając wściekle szerokimi zakrzywionymi rogami. Gdyby Murzyn nie rzucił łuku i nie odskoczył w ostatniej chwili do tyłu, lśniący koniec rogu, który mignął tuż obok pępka, zahaczyłby o jego brzuch i wyprał mu wnętrzności.

Szarżujący byk wbiegł na suchy grunt. Aboli nateżał słuch, śledząc drogę przedzierającego się przez busz zwierzęcia. Nagle bawół zatrzymał się w miejscu i przez chwilę nic się nie działo. Aboli słyszał ciężki chrapliwy oddech i kapanie krwi, która spływała na rosnące niżej liście. Wtem zwierzę zatoczyło się do tyłu, starając się ustać na nogach. Cała siła wyciekała z niego wraz ze strumieniem ciemnej krwi. W końcu upadł i ziemia zatrzęsła się pod bosymi stopami Abolego. Chwilę później powietrze rozdarł przedśmiertny ryk, po

którym zapadła cisza. Umilkły nawet nocne ptaki i rechoczące w bagnie żaby. Wydawało się, że cały las wstrzymał oddech, będąc świadkiem śmierci tak potężnego zwierzęcia. A potem powoli nocny świat wrócił do życia. Żaby zaczęły znowu kumkać i rechotać w trzcinach, zaskrzeczał kozodój, a gdzieś wysoko zahukała żałośnie sowa.

Aboli oparł byka nożem, który Sukeena ukradła dla niego w kuchni rezydencji, zwinął surową skórę i obwiązał ją sznurkiem z kory. Jej ciężar nawet jego przygiął do ziemi i nim zdołał ułożyć ją na głowie, zataczał się chwilę lub dwie. Zostawił oprowiane ścierwo grasującym w nocy hienom, a także stadom sępów, mięsożernych bocianów, kani i wron, które powinny odnaleźć je o świcie, po czym ruszył z powrotem w stronę kolonii i rysującej się na tle rozgwieżdżonego nieba płaskiej jak stół góry. Choć skóra byka przytłaczała go do ziemi, biegł szybkim klusem wojowników swego szczepu, klusem, który po dwóch dekadach spędzonych na ciasnym statku znów stał się dla niego tak samo naturalny jak oddech. Odzyskiwał dawno zapomnianą plemienną wiedzę i mądrość, stając się na powrót prawdziwym synem tej spieczonej przez słońce afrykańskiej ziemi.

Wspiąwszy się na niewielkie wzgórze u podnóża góry, zostawił zwiniętą skórę w wąskiej szczelinie skalnego zbocza i przykrył ją kilkoma głazami, hieny bowiem docierały i tutaj, zwabione śmieciami, odchodami i ściekami odprowadzanymi przez mieszkańców kolonii.

Kiedy ułożył ostatni głaz i spojrzał na niebo, zakrzywiony skorpion opadał szybko ku ciemnemu horyzontowi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak szybko minęła noc, i zbiegł pędem po zboczu. Dotarł do ogrodów Kompanii, gdy rozległo się pierwsze pianie koguta.

Rankiem zasiadł wraz z innymi niewolnikami na ławce przed kuchnią, czekając na poranną porcję kaszy i gęstego zsiadłego mleka. Sukeena minęła go, podążając do swych obowiązków.

- Słyszałam, jak wróciłeś dziś w nocy. Spóźniłeś się - szepnęła, nie odwracając nawet głowy. - Gdyby cię złapali, wpędziłbyś w tarapaty nas wszystkich. Nic nie wyszłoby z naszych planów.

- Niewiele zostało mi do zrobienia - zamruczał cicho. - Dziś w nocy wychodzę po raz ostatni.

- Uważaj, Aboli. Dużo ryzykujesz - powiedziała i oddaliła się. Mimo wymówek udzielała mu wszelkiej pomocy, o którą poprosił, i Aboli szczerze ją podziwiał.

- Ta mała ma lwie serce - szepnął, nie patrząc na nią.

Tej nocy, gdy wszyscy ułożyli się na spoczynek, wyslizgnął się przez kratę. Psy ponownie uspokoiły się, kiedy cicho zagwizdał. Dla każdego z nich miał kawałek suchej

kielbasy. Dotarłszy do ogrodzenia, spojrzął na gwiazdy i zobaczył na wschodzie pierwszy blask wschodzącego księżyca. Przeskoczył mur i ruszył polami w stronę osiedla.

W oknach domów widać było nie więcej niż dwa lub trzy światła. Na masztach wszystkich czterech zakotwiczonych w zatoce statków wisały zapalone latarnie. Zamek odbijał się ciemną bryłą na tle rozgwieżdżonego nieba.

Aboli przystanął na skraju placu apelowego i natężył słuch. Miał już zamiar przeciąć otwarty teren, kiedy usłyszał nagle pijackie śmiechy i śpiewy. Grupa stacjonujących w zamku żołnierzy wracała właśnie z nocnej popijawy w obskurnych nadbrzeżnych szopach, które w tej odległej placówce pełniły funkcję tawern. Podawany tam bimber Hotentoci nazywali „głupem”. Jeden z żołnierzy trzymał w ręku nasyoną smołą pochodnię. Jej płomienie zamigotały niezdecydowanie, gdy mężczyzna zatrzymał się przed stojącą na środku placu szubienicą i obrzucił obelgami wiszące na niej zwłoki. Jego towarzysze ryknęli śmiechem, a potem, podtrzymując się wzajemnie, ruszyli dalej w stronę zamku.

Gdy zniknęli w bramie i z powrotem zapadła ciemność, Aboli ruszył szybkim krokiem przez plac apelowy. Widział tylko na odległość kilku kroków i kierował się węchem; jedynie martwy lew cuchnie równie mocno jak gnijące ludzkie zwłoki.

Ciało sir Francisa Courteneya zostało zdekapitowane i poćwiartowane. Powolny Jan użył rzeźnickiego topora, żeby porąbać większe kości. Aboli zdjął głowę z włóczni, na którą została nadziana, zawinął ją w czysty biały materiał i wsadził do skórzanej torby. Potem zebrał inne części ciała. Bezpańskie psy rozwłóczyły mniejsze kości, ale mimo panujących ciemności udało mu się zebrać to, co pozostało. Zapiął skórzaną torbę, zarzucił ją sobie na ramię i ruszył biegiem w stronę Góry Stołowej.

Sukeena знаła doskonale każde jej zбочe, każdy jar i wąwóz. Powiedziała mu, jak odnaleźć wąską szczelinę prowadzącą do jaskini, gdzie ukrył poprzedniej nocy nie wyprawioną bawolą skórę. Teraz trafił do niej bezbłędnie w świetle wschodzącego księżyca.

Odwalił głazy, a potem wcisnął się głębiej i odsunął gałęzie krzewów, które zwisały ze skały, zakrywając ciemne wejście.

Szybko skrzesał ogień i zapalił świeczkę, którą dostał od Sukeeny. Otuliwszy dłońmi ogień, żeby nie zobaczył go nikt na dole, wpełzł na czworakach do niskiego naturalnego tunelu, wlokąc za sobą skórzaną torbę. Zgodnie z tym, co powiedziała mu dziewczyna, tunel rozszerzał się nagle, tworząc grootę dość wysoką, by mógł w niej stanąć. Trzymając świeczkę nad głową, uznał, że będzie odpowiednim miejscem, by złożyć w niej zwłoki wielkiego wodza. Przy przeciwległej ścianie znajdowała się nawet naturalna skalna półka. Położył na

niej torbę i wyczołgał się z powrotem na zewnątrz po bawolą skórę. Przed wejściem do tunelu obejrzał się przez ramię, żeby zorientować się, po której stronie wschodzi księżyc.

- Ułożę go tak, by powitał dziesięć tysięcy księżyców i wszystkie wschody słońca, jakie nadejdą - szepnął, po czym wciągnął ciężką skórę do środka i rozpostarł ją pośrodku jaskini.

Postawił świeczkę na skalnej półce i zaczął rozpakowywać torbę. Najpierw odłożył na bok obrzędowe akcesoria i drobne przedmioty, które przyniósł ze sobą i miał zamiar złożyć w ofierze. Następnie wyjął głowę sir Francisa, położył ją pośrodku bawolej skóry i nie zwracając uwagi na ciężki dławiący odór rozkładu, odwinął z szacunkiem z materiału. Wyciągnął inne odrąbane części ciała i ułożył je w naturalnym porządku, obwiązując w odpowiednich miejscach sznurkiem z kory. Po pewnym czasie sir Francis leżał na boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę i ramionami obejmującymi nogi, w pozycji spoczywającego w łonie matki. Aboli owinął go szczelnie mokrą skórą, wystawiając na zewnątrz tylko głowę, i zszył jej fałdy, by po wyschnięciu stworzyła twarde jak żelazo sarkofag. Robota była zmusna i długa; kiedy świeczka wypaliła się i stopiła w kałuży płynnego wosku, zapalił następną od ogarka i pracował dalej.

Wyjawszy rogowy grzebień, który także dostał od Sukeeny, rozczesał splecione włosy, wciąż przylegające do czaszki sir Francisa, i zaplótł je w eleganckie warkoczyki. Na koniec uniósł zawinięte w skórę zwłoki i ułożył je na skalnej półce, obracając twarzą na wschód, by przez całą wieczność zwrócone były ku wschodzącemu księżycowi oraz słońcu.

Przez dłuższą chwilę siedział przy nim na piętach, spoglądając na sponiewieraną głowę i wyobrażając ją sobie taką, jaką niegdyś była. Zobaczył twarz dzielnego młodego żeglarza, który przed dwiema dekadami wyzwolił go z rąk handlarzy niewolników. W końcu wstał i zaczął po kolei kłaść na półce przyniesione ze sobą przedmioty. Na początek mały model statku, który własnoręcznie wystrugał. Nie miał czasu, by oddać wiernie wszystkie szczegóły i model był dziecinny i prymitywny, ale na trzech masztach wisiały żagle, a na rufie widniała nazwa Lady Edwina.

- Obyś popłynął tym statkiem przez ciemne oceany ku wybrzeżu, gdzie czeka na ciebie kobieta, której imię wyryte jest na rufie. Obok statku położył nóż i łuk z gałęzi oliwki.

- Nie mam miecza, który mógłbym ci dać, ale niechaj ta broń służy ci ku obronie w krainie ciemności.

Następnie złożył w ofierze miskę z jedzeniem i butelkę wody.

- Obyś nigdy nie cierpiał głodu ani pragnienia. I wreszcie krzyż, który ozdobił spiralną zieloną muszlą, rzeźbionymi kośćmi i małymi błyszczącymi kamyczkami ze strumienia.



- Niechaj krzyż twojego Boga, który wiódł cię za życia, prowadzi cię również po śmierci - powiedział, kładąc go między pustymi oczyma sir Francisa.

Kłęcząc pośrodku jaskini, zebrał w stos chrust i gałązki i zapalił je od świeczki.

- Niechaj ten ogień ogrzewa cię w mroku długiej nocy - szepnął, po czym odśpiewał we własnym języku żalobną pieśń wiecznego tułacza, klaszcząc cicho w dłonie, żeby nadać jej rytm i oddać cześć zmarłemu.

Kiedy ognisko zaczęło się dopalać, wstał i ruszył w stronę wyjścia z jaskini.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedział. - Do widzenia, ojczu.

Gubernator van de Velde był ostrożnym człowiekiem. Z początku nie pozwalał Abolemu powozić swoją karocą.

- Kupiłeś go dla kaprysu i miałś do tego prawo, moja droga - oznajmił żonie - ale to przecież dzikus. Cóż on może wiedzieć o koniach?

- Jest naprawdę bardzo dobry, lepszy od starego Fredricusa - odparła ze śmiechem Kalinka. -i wygląda tak wspaniale w tej nowej liberii, którą dla niego zaprojektowałam.

- I cóż mi po jego fikuśnej brązowej kurtce i bryczesach, kiedy złamię przez niego kark - stwierdził van de Velde, lecz mimo wyrażanych obaw, obserwował bacznie, jak Murzyn radzi sobie z zaprzęgiem siwków.

Gdy Aboli przywiózł po raz pierwszy gubernatora z rezydencji na zamek i jego powóz przeciął plac apelowy, wśród pracujących na murach rozległy się głośne szepty. Wszyscy rozpoznali Abolego, który siedział wysoko na koźle z długim biczem w dłoni odzianej w białą rękawiczkę.

Hal miał zamiar pozdrowić go z rusztowania, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie, i to wcale nie ze strachu przed batem Barnarda. Uświadomił sobie po prostu, że lepiej nie przypominać strażnikom, iż Aboli był jego kolegą na statku. Holendrzy spodziewali się raczej, że będzie traktował Murzyna jak niewolnika, a nie jak swojego towarzysza.

- Niech nikt nie pozdrawia Abolego - szepnął do Daniela pracującego tuż przy nim. - Ignorujcie go. Powtórz to innym.

Polecenie przekazano szybko wszystkim pracującym na rusztowaniu i tym, którzy harowali na dziedzińcu. Kiedy witany przez wartę honorową i oficerów powóz wjechał przez bramę, żaden z więźniów nie zaszczycił go spojrzeniem. Całą uwagę poświęcali kamiennym blokom, linom i żelaznym łomom.

Aboli siedział na koźle niczym wykuty z kamienia posąg, wpatrując się prosto przed siebie. Jego ciemne oczy ani razu nie pobiegły w stronę Hala. Zatrzymał powóz przy schodach i zeskoczył na ziemię, żeby rozłożyć stopnie i pomóc wysiąść gubernatorowi. Gdy



van de Velde wtoczył się na górę i zniknął we wnętrzu zamku, Aboli wdrapał się z powrotem na kozioł i siadł na nim, gapiąc się bez ruchu przed siebie. Po krótkiej chwili strażnicy i nadzorcy zapomnieli o jego obecności, wrócili do swoich obowiązków i życie na zamku potoczyło się zwyczajnym trybem.

Po godzinie jeden z koni odrzucił do tyłu głowę i zastrzygł uszami. Hal dostrzegł kątem oka, że zrobił to ściągnięty lekko lejcami przez Abolego. Murzyn zlął powoli z kozła, wziął go za uzdę, pogładził po łbie i szepnął do ucha kilka czułych słówek. Siwek natychmiast się uspokoił, a Aboli przyklęknął i podniósł najpierw jego jedną, a potem drugą pęcinę, sprawdzając kopyta.

Klęcząc na jednym kolanie przy koniu, który zasłaniał go przed wzrokiem strażników i innych gapiów, po raz pierwszy spojrzał na Hala. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Aboli skinął prawie niedostrzegalnie głową. Otworzył prawą pięść, pokazał Halowi tkwiący w niej mały skrawek papieru, po czym zacisnął z powrotem dłoń i wstał. Przez chwilę badał dokładnie pozostałe konie, a potem poprawił uprząż. W końcu oparł się o kamienny murek i starł pyłek z butów.

Hal patrzył, jak ukradkiem wsuwa zwinięty skrawek papieru w szparę między kamieniami. Następnie wyprostował się, wdrapał z powrotem na kozioł i czekał na powrót gubernatora. Van de Velde nigdy nie troszczył się o służbę, niewolników ani domowe zwierzęta. Przez cały ranek zaprzęg siwków stał cierpliwie, uspokajany co jakiś czas przez Abolego. Na krótko przed południem gubernator wyszedł z zaniku i kazał się zawieźć z powrotem do rezydencji na lunch.

O zmierzchu więźniowie zeszli z rusztowania na dziedziniec. Na samym dole Hal potknął się, wyciągnął rękę, żeby utrzymać równowagę, i zgrabnie wyciągnął zwinięty papier ze szpary między kamieniami, gdzie zostawił go Aboli. Znalazłszy się w lochu, przeczytał wiadomość w świetle pochodni palącej się u szczytu schodów. Skreślona była miłym drobnym charakterem pisma, którego nie rozpoznawał. Mimo licznych lekcji udzielanych Abolemu przez ojca i samego Hala Murzyn nigdy nie nauczył się porządnie stawiać liter. List najwyraźniej napisał ktoś inny. W papier zawinięty był mały kawałek węgla, który miał posłużyć Halowi do napisania odpowiedzi na odwrocie.

„Kapitan pogrzebany z honorami”. Halowi zabiło szybciej serce, kiedy przeczytał to zdanie. A więc to Aboli zabrał okaleczone ciało sir Francisa z szubienicy. Powinien był wiedzieć, że odda ten hołd ojcu.

Było jeszcze jedno słowo, opatrzone znakiem zapytania: „Althuda?”. Po chwili zastanowienia Hal domyślił się, że Aboli albo osoba, która napisała list, pyta o zdrowie więźnia siedzącego w celi na górze.

- Althuda? - zawołał cicho. - Nie śpisz?

- Czołem, Hal. Jak samopoczucie?

- Ktoś z zewnątrz pyta się o ciebie. Althuda przez chwilę się zastanawiał.

- Kto taki? - zapytał w końcu.

- Nie wiem.

Hal nie mógł bawić się w wyjaśnienia, nie był bowiem pewien, czy strażnicy nie podsłuchują ich rozmów.

- Domyślam się - zawołał Althuda po kolejnej pauzie. - Ty chyba też. Rozmawialiśmy o niej. Czy możesz przesłać odpowiedź? Powiedz, że jeszcze żyję.

Hal potarł węglem o ścianę, żeby zaostrzyć jego koniec. „Althuda ma się dobrze”, napisał. Mimo że starał się stawiać jak najmniejsze litery, na kartce nie zmieściło się nic więcej.

Nazajutrz rano, kiedy jak co dzień prowadzono ich na rusztowanie, Daniel zasłonił Hala, który wetknął kartkę w tę samą szparę.

Koło godziny dziewiętej Aboli przywiózł gubernatora z rezydencji. Ponownie zatrzymał powóz przy schodach i nie schodził z kozła jeszcze długo po tym, jak van de Velde zniknął w swoim sanktuarium. W końcu spojrzął roztargnionym wzrokiem na stado czerwonoskrzydłych szpaków, które przyfrunęły z nadbrzeżnych skał i pogwizdując żałośnie przysiadły na murach wschodniego bastionu. A potem jego wzrok pobiegł trochę dalej i zatrzymał się na Hala, który skinął głową. Aboli ponownie zlął z kozła, żeby zająć się końmi. Przystanął na chwilę przy murku, żeby poprawić pasek przy bucie, i ze zręcznością magika wyjął skrawek papieru ze szpary. Widząc to, Hal odetchnął z ulgą, ponieważ w ten sposób ustalili sposób komunikowania się.

Nie popełnili błędu, próbując przesyłać sobie wiadomości każdego dnia. Czasami mijał tydzień albo dwa, zanim Aboli skinął głową do Hala i wsunął kartkę w szparę. Jeśli wiadomość chciał przekazać Hal, dawał ten sam sygnał i Aboli zostawiał mu papier i węgiel.

Druga otrzymana przez Hala wiadomość wykaligrafowana była tym samym subtelnym charakterem pisma. „A. nic nie grozi. Orchidea pozdrawia go z całego serca”.

- Czy orchidea jest tą osobą, o której rozmawialiśmy? - zapytał Althudę tej nocy. - Pozdrawia cię z całego serca i twierdzi, że nic ci nie grozi.

- Nie wiem, jak tego dokonała, ale muszę wierzyć, że tak jest, i dziękować jej za to, podobnie jak za wiele innych rzeczy.

W głosie Althudy słyhać było wyraźną ulgę. Hał przytknął kartkę do nosa i miał wrażenie, że czuje emanujący z niej ledwo wyczuwalny zapach perfum. Zwinąwszy się w kłębek na mokrej słomie, rozmyślał o Sukeenie, aż zmorzył go sen. Wspomnienie jej pięknej twarzy grzało go niczym płomyk świecy w chłodnym ciemnym lochu.

Gubernator van de Velde nieźle się wstawił podczas obiadu. Do zupy pił reńskie wino, a do ryby i homara maderę. Potrawce z jagnięcia i gołąbkom w cieście towarzyszyły wina z Burgundii. Do pieczeni złopał czerwone bordeaux, wzmacniając jego efekt łykami zacnego holenderskiego dzinu. Kiedy wstał w końcu od stołu, żeby zasiąść w fotelu przy kominku, musiał oprzeć się o ramię żony. Nie traktowała go zwykle z taką atencją, lecz tego wieczoru była w wesołym i czułym nastroju. Śmiała się do łez z jego powiedzonek, na które przy innej okazji nie zwróciłaby uwagi, i dolewała mu szczerze wina, gdy wychylił zaledwie pół kieliszka. Prawdę mówiąc, nie pamiętał, kiedy ostatnim razem jedli sami, tylko we dwoje, niczym para kochanków.

Przynajmniej raz nie musiał słuchać gładzenia prymitywnych kmiotków z kolonii, pochlebstw płaszczących się przed nim urzędników Kompanii, a przede wszystkim przechwałek tego kochliwego bęcwała Schreudera.

Rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu, a Sukeena przyniosła mu pudełko dobrych holenderskich cygar. Kiedy podawała mu ogień, przyjrzał się bezwstydnie jej dekoltowi. Łagodne wzgórki dziewczęcych piersi, między którymi lśniła egzotyczna broszka z jaspisu, poruszyły go do tego stopnia, że poczuł przyjemne mrowienie w kroczu.

Kłęcząca przy otwartym palenisku Katinka zerknęła na niego tak chytrze, że przez moment obawiał się, iż zauważyła jego lubieżne spojrzenie. Ale ona wyjęła z ognia pogrzebacz i uśmiechając się do niego słodko, wsadziła gorący koniec do kamiennego dzbanka z korzennym winem. Kiedy zakipiało, nalała je do miseczki i podała mu, nim zdążyło ostygnąć.

- Moja przepiękna żoneczka... - Gubernatorowi plątał się trochę język. - Moje kochane maleństwo - dodał, wznosząc toast na jej cześć. Nie był aż tak odurzony, żeby nie zdawać sobie sprawy, że będzie musiał drogo zapłacić za tę niezwykłą zyczliwość. Zawsze musiał płacić.

Katinka spojrzała na Sukeenę, która krzątała się tuż obok.

- To wszystko na dzisiaj, Sukeeno. Możesz odejść - powiedziała, posyłając niewolnicy porozumiewawcze spojrzenie, - Życzę wielmożnym państwu spokojnej nocy i rajskich snów.

Sukeena ukloniła się wdzięcznie i wyszła z pokoju. Zamknęła za sobą ażurowe orientalne drzwi, uklękła przy nich cicho i zbliżyła twarz do kratki. Takie były rozkazy jej pani. Katinka chciała, żeby dziewczyna była świadkiem tego, co zajdzie między nią i jej mężem. Wiedziała, że zacieśni to więzy, które połączyły ją z niewolnicą.

Teraz wstała z kolan i stanęła za fotelem męża.

- Miałaś taki trudny tydzień - wyszeptła. - Najpierw ktoś wykradł z szubienicy ciało tego pirata, a teraz Siedemnastka przysłała nowe rozporządzenia w sprawie podatków i spisu ludności. Pozwól, że pomasuję ci kark, kochany mężu.

Zdjęła mu perukę i pocałowała w czubek głowy, a potem odsunęła się i wbiła kciuki w jego potężne ramiona. Van de Velde westchnął z rozkoszy, nie tylko dlatego, że rozluźniły się jego napięte mięśnie. Wiedział, że to dopiero preludium do nadzwyczaj rzadkich chwil, kiedy obdarzała go swymi seksualnymi względami.

- Jak bardzo mnie kochasz? - zapytała, pochylając się i gryząc go w ucho.

- Uwielbiam cię - wybełkotał. - Ubóstwiam.

- Jesteś dla mnie zawsze taki dobry. - W jej głosie pojawił się ten gardłowy ton, od którego dostawał gęsiej skórki. - Ja też chcę być dla ciebie dobra. Napisałam do mojego ojca. Wyjaśniłam, jak doszło do śmierci tego pirata, i zaznaczyłam, że nie było w tym twojej winy. Oddam ten list kapitanowi stojącego teraz w zatoce galeonu i poproszę, żeby osobiście wręczył go papie.

- Czy mógłbym zobaczyć ten list, nim go przekażesz? - zapytał ostrożnie. - Byłoby świetnie, gdybym mógł go dołączyć do mojego własnego raportu, który mam zamiar wysłać tym samym statkiem.

- Oczywiście, że możesz. Przyniosę ci go, zanim wyjedziesz jutro rano na zamek.

Dotknęła ponownie wargami wygolonej głowy męża, po czym rozpięła guziki jego kaftana, wsunęła dłonie pod materiał i zaczęła masować jego zwisające piersi, jakby były kawałkami miękkiego chlebowego ciasta.

- Kochana z ciebie żoneczka - wymruczał. - Chciałbym pokazać, jak bardzo cię kocham. Co byś chciała dostać? Jakiś klejnot? Pieska? Nowego niewolnika? Powiedz swojemu staremu Petrusowi.

- Mam taki mały kaprys - przyznała nieśmiało. - W lochach więziony jest pewien mężczyzna.

- Któryś z piratów? - zapytał.

- Nie. Chodzi mi o niewolnika o imieniu Althuda.

- Owszem, słyszałem o nim. To buntownik i zbieg! Powinienem się nim zająć w przysłym tygodniu. Jego wyrok śmierci leży już na biurku i czeka na mój podpis. Czy mam go oddać Powolnemu Janowi? Chciałabyś obejrzeć, jak go przesłuchuje? O to ci chodzi? Chcesz się trochę zabawić? Jak mógłbym ci odmówić?

Katinka sięgnęła w dół i zaczęła rozpinać jego bryczesy. Van de Velde rozsunął nogi i odchylił się do tyłu w fotelu, żeby ułatwić jej zadanie.

- Chcę, żebyś zawiesił wykonanie wyroku - szepnęła mu do ucha. Van de Velde wyprostował się nagle.

- Chyba oszalałaś - wyjąkał.

- Jesteś okrutny, mówiąc takie rzeczy - stwierdziła, wydymając wargi.

- Ale to przecież zbieg. Razem z bandą swoich rzezimieszków zabił dwudziestu żołnierzy, którzy mieli ich pojmać.

- Wiem, że nie możesz go uwolnić. Ale chcę, żebyś zachował go przy życiu. Możesz wysłać go do pracy przy wznoszeniu murów.

- Nie mogę zrobić czegoś takiego - odparł, potrząsając wygoloną głową. - Nawet dla ciebie.

Katinka okrążyła fotel i uklękła przed nim. Jej palce zaczęły ponownie majstrować przy zapięciu bryczesów. Van de Velde próbował się wyprostować, ale ona odepchnęła go i sięgnęła do środka.

Wszyscy święci widzą, że ten sodomita wcale nie ułatwia mi zadania, pomyślała, ujmując w dłoń penisa. Był miękki i biały jak niewyrośnięte ciasto.

- Nawet dla swojej ukochanej żoneczki? - szepnęła, spoglądając na niego fiołkowymi wilgotnymi oczyma. Tak już trochę lepiej, pomyślała. Opadła lilia powoli się podnosi.

- Chciałem powiedzieć, że to będzie bardzo trudne. Van de Velde znalazł się w kłopotliwym położeniu.

- Rozumiem - mruknęła. - Równie trudne było napisanie listu do mojego papy. Za nic nie chciałabym go spalić.

Wstała i uniosła w górę spódnicę, jakby miała zamiar wdrapać się na drabinę. Pod spodem była naga i gubernator wybałuszył oczy niczym karp wyciągnięty nagle z wody. Chciał wyprostować się i jednocześnie próbował jej dotknąć.

Nie dam ci znowu uwalić się na mnie, ty wielki worze świńskiego sadła, pomyślała, uśmiechając się do niego czule i przytrzymując obiema dłońmi za ramiona. Ostatnim razem o mało mnie nie zmiażdżyłeś.

Siadła na mm okrakiem, jakby dosiadała gniadej klaczy.

- O słodki Jezu, jaki z ciebie potężny mężczyzna! - krzyknęła, kiedy w nią wszedł. Jedynej przyjemności doznawała na myśl o Sukeenie, która podsłuchiwała za drzwiami. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie szczupłe uda dziewczyny i ukryty między nimi skarb. Ten obraz podniecił ją. Wiedziała, że mąż wyczuje jej reakcję i uzna, że to jego zasługa.

- Katinko... - zabulgotał i parsknął, jakby zanurzał się pod wodę. - Kocham cię.

- Odroczyś wyrok?

- Nie mogę tego zrobić.

..

- W takim razie ja też nie mogę - stwierdziła, unosząc się na kolanach. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, patrząc, jak jego twarz nadyma się, a oczy wychodzą jeszcze bardziej z orbit. Wiercił się i podskakiwał, na próżno unosząc biodra w górę.

- Proszę! - wyjąkał. - Proszę!

- Odroczyś wyrok? - zapytała, klęcząc nad nim prowokacyjnie.

- Dobrze - zakwilił. - Zrobię wszystko, czego chcesz.

- Kocham cię, mój mężu - szepnęła mu do ucha i opadła w dół niczym ptak siadający w gnieździe.

Ostatnim razem spuścił się, zanim policzyła do stu, przypomniała sobie. Tym razem postaram się, żeby przekroczył metę przed pięćdziesiątką. Kołysząc biodrami, przystąpiła do bicia własnego rekordu.

Manseer otworzył żelazne drzwi do celi Althudy.

- Wychodź, ty wściekły psie! - ryknął. - Na rozkaz gubernatora będziesz pracował na murach.

Althuda wyszedł na korytarz i Manseer spiorunował go wzrokiem.

- Wygląda na to, że nie zatańczysz kadryla z Powolnym Janem - stwierdził. - Wielka szkoda, ale na twoim miejscu nie cieszyłbym się tak bardzo. Dostarczysz nam rozrywki na murach zamku. Zadba już o to Barnard i jego psy. Stawiam sto guldenów, że nie doczekasz końca zimy.

Hal, który szedł na czele więźniów z niższych cel, przystanął na kamiennym schodku poniżej Althudy. Przyjrzeni się sobie uważnie i obaj wydawali się usatysfakcjonowani tym, co zobaczyli.

- Gdybym miał możliwość wyboru, wolałbym chyba oglądać twoją siostrę niż ciebie - oznajmił z uśmiechem Hal.



Althuda był mniejszy, niż można by sądzić po jego głosie. Na twarzy widoczne były efekty długotrwałego pobytu w lochu; miał ziemistą cerę i skołtunione włosy. Okryte nędznymi łachmanami ciało zdawało się jednak silne, kształtne i gibkie. Miał szczerzy wzrok i otwartą miłą fizjonomię. Choć jego oczy przypominały kształtem dwa migdały, a włosy były czarne i proste, angielska krew połączyła się nader udatnie z krwią narodu jego matki. Silnie zarysowana szczęka znamionowała dumę i upór.

- Chyba wypadłeś niedawno z kołyski? - zapytał Hala, szczerząc zęby. Fakt, że przestał nad nim wisieć cień szubienicy, wyraźnie poprawił mu humor. - Spodziewałem się mężczyzny, a widzę przed sobą chłopca.

- Chodź tutaj, ty podły morderco! - wrzasnął Barnard, kiedy Manseer przekazał mu pieczę nad więźniami. - Udało ci się uniknąć stryczka, ale przygotowałem dla ciebie parę innych przyjemności. Tam w górach poderżnąłeś gardło kilku moim kamratom. - Było jasne, że cały garnizon jest oburzony odroczeniem wyroku. - Co do ciebie, śmierzący piracie - dodał, zwracając się do Hala - za wiele mieiesz jęzorem. Jeszcze jedno słowo, a zrzucę cię z murów i nakarmię twoimi szczątkami moje brytany.

Barnard rozdzielił ich. Hala wysłał jak zwykle na rusztowanie, a Althudę przydzielił do grupy więźniów pracujących na dziedzińcu. Rozładowywali oni kamienne bloki z zaprzężonych w woły wozów, które przywoziły budulec z kamieniołomów.

Wieczorem jednak ulokowano Althudę razem z całą resztą w celi na dole. Daniel i inni tłoczyli się wokół niego w ciemności, słuchając jego opowieści i zasypując pytaniami, których nie mogli zadać, gdy siedział piętro wyżej. Jego pojawienie się stanowiło nie lada atrakcję w ponurym monotonnym więziennym życiu i znoejnej pracy na murach. Dopiero kiedy z kuchni przyniesiono kociołek z gulaszem i zgłodniaли więźniowie rzucili się najedzenie, Hal miał sposobność porozmawiać z nim w cztery oczy.

- Skoro już raz stąd uciekłeś, Althudo, jest szansa na to, że znowu może się udać.

- Byłem wtedy w lepszej formie. Miałem własną rybacką łódź. Mój pan ufał mi i mogłem poruszać się bez przeszkód po całej kolonii. Jak możemy uciec z zamkniętych lochów? Boję się, że to niemożliwe.

- Użyłeś słów „boję się” i „niemożliwe”. To język, którego nie rozumiem. Myślałem, że mam do czynienia z mężczyzną, a nie mięczakiem.

- Zachowaj ostre słowa dla naszych wrogów, przyjacielu - odparł Althuda, wytrzymując surowe spojrzenie Hala. - Zamiast przekonywać mnie, jaki z ciebie bohater, powiedz, jak dotarła do ciebie wiadomość z zewnątrz.

Hal rozchmurzył się. Podobała mu się zadziorność tego mężczyzny i to, że nie dawał sobie strugać kołków na głowie. Przysunął się bliżej i wyjaśnwszy po cichu Althudzie, jak funkcjonuje łączność, pokazał mu ostatnią otrzymaną wiadomość. Althuda podszedł z nią do kraty i przeczytał w świetle pochodni palącej się na górze.

- Tak - stwierdził. - To ręka mojej siostry. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby tak zgrabnie stawiać litery.

Tej nocy ułożyli we dwóch liścik, w którym zawiadamiali Abolego i Sukeenę, że Althuda został wypuszczony z Lochu Skelluma.

Sukeena jednak najwyraźniej już o tym wiedziała, ponieważ nazajutrz przyjechała wraz ze swoją panią na zamek. Siedziała obok Abolego na koźle i kiedy powóz zatrzymał się przy schodach, zeskoczyła na ziemię i pomogła swojej pani wysiąść. To dziwne, ale Hal do tego stopnia przywykł do wizyt Kalinki, że spoglądając na jej anielskie rysy, nie czuł już złości ani rozgoryczenia. Nie zwracając na nią prawie uwagi, obserwował niewolnicę. Sukeena przystanęła u stóp schodów i rozejrzała się ukradkiem dookoła, szukając twarzy swego brata w tłumie więźniów.

Althuda pracował na dziedzińcu przy ciosaniu i obróbce surowych kamiennych bloków, które wciągane były następnie żurawiem na górę. Twarz i włosy miał obsypane niczym młynarz białym pyłem, a ręce starte do krwi przez narzędzia i szorstki kamień. Sukeena dostrzegła go w końcu i przez dłuższą chwilę brat i siostra spoglądali na siebie w ekstazie.

Z radosnej twarzy dziewczyny biło piękno, którego Halowi nie dane było jeszcze oglądać. Zaraz potem dziewczyna pośpieszyła za swoją panią do zamku.

Po krótkim czasie pojawiły się ponownie u szczytu schodów. Tym razem towarzyszył im gubernator van de Velde, który podał ramię swej żonie. Sukeena podążała skromnie z tyłu, najwyraźniej szukając wzrokiem kogoś poza swoim bratem. Siadając z powrotem na koziół, szepnęła coś do Abolego. Ten w odpowiedzi wznosił oczy, a ona podążyła za jego spojrzeniem na szczyt rusztowania, z którego Hal spuszczał właśnie linę.

Serce zabiło mu szybciej, kiedy uświadomił sobie, że to jego szukała. Przyjrzeni się sobie dokładnie i zdawało się, że są bardzo blisko siebie, zapamiętał bowiem dobrze każdy najmniejszy szczegół jej twarzy i wdzięczne wygięcie szyi. W końcu Sukeena uśmiechnęła się i spuściła oczy. Tej nocy, leżąc na wilgotnej słomie, przeżywał wielokrotnie na nowo ten moment. Może jutro znowu przyjedzie na zamek, rozmyślał czując, jak morzy go sen. Ale pojawiła się ponownie dopiero po wielu tygodniach.

Hal i Daniel zrobili koło siebie miejsce Althudzie, żeby leżąc na słomie mogli rozmawiać cicho w ciemności.

- Ilu twoich ludzi przebywa w górach? - chciał wiedzieć Hal.

- Na początku było nas dziewiętnastu, ale trzech zabili Holendrzy, a pięciu zmarło, kiedy już uciekliśmy. Góry są bezlitosne i jest tam wiele dzikich zwierząt.

- Jaką mają broń?

- Muszkiety i szpady, które odebraliśmy Holendrom. Mieliśmy jednak bardzo niewiele prochu i do dzisiaj mogli go już w całości zużyć. Moi towarzysze muszą polować, żeby zdobyć pożywienie.

- Na pewno nie mają innej broni? - dopytywał się Hal.

- Wystrugali z drewna łuki i dzidy, ale brakuje im żelaznych grotów.

- Czy ich kryjówki w górach są bezpieczne?

- Góry nie mają końca. Wąwozy tworzą splątany labirynt. Urwiska są strome i nie ma tam żadnych ścieżek prócz tych, które wydeptały pawiany.

- Czy holenderscy żołnierze zapuszczają się w te okolice?

- Nigdy! Nie odważyli się nawet wejść do pierwszego wąwozu.

Te rozmowy wypełniały im nieraz całe wieczory, kiedy zimowe wichury schodziły z rykiem z gór niczym zgłodniałe lwy szukające żeru w zamku. Więźniowie trzęśli się z zimna, leżąc na słomianych legowiskach. Czasami tylko te rozmowy i płomyk nadziei pozwalały im zapomnieć o chłdzie. Ale starsi i słabsi zapadali na zdrowiu; gardła i piersi wypełniała im gęsta żółta flegma, ciała spalała gorączka i umierali, krztusząc się i kaszląc.

Na ciałach tych, którzy przetrwali, nie zostało ani uncji tłuszczu. Chociaż stracili na wadze, zahartowały ich chłody i ciężka praca. Hal wyrósł i zmężniał w ciągu tych strasznych miesięcy i nie gorzej od Dużego Daniela radził sobie teraz z ciężkimi skalnymi blokami. Plecy i boki miał poprzecinane śladami od uderzeń bata, a spojrzenie twarde i niespokojne, gdy spoglądał na szczyty wznoszące się w błękitnej mgiełce.

- Jak daleko jest do tych gór? - zapytał Althudę w celi.

- Dziesięć mil.

- Tak daleko! - szepnął Hal. - Jak udało wam się do nich dotrzeć, skoro przez cały czas deptali wam po piętach Holendrzy?

- Mówiłem ci już, że byłem rybakiem - odparł Althuda. - Codziennie wypływałem na morze, żeby polować na foki, których mięsem żywili się inni niewolnicy. Moja łódź była mała i było nas wielu. Ledwo udało nam się przepłynąć Fałszywą Zatokę i wylądować u

podnóża gór. Moja siostra Sukeena nie umie pływać. Dlatego nie chciałem, żeby płynęła razem z nami.

- Gdzie jest teraz ta łódź?

- Ścigający nas Holendrzy odnaleźli ją i spalili.

Te nocne narady trwały coraz krócej, wszyscy bowiem znajdowali się u kresu wytrzymałości. Stopniowo jednak Halowi udało się wydobyć od Althudy wszystkie potrzebne informacje.

- Jakie jest morale ludzi, którzy poszli z tobą w góry?

- To dzielni mężczyźni... a także kobiety, bo są wśród nich trzy dziewczyny. Gdyby nie byli dzielni, nie uciekliby z bezpiecznej niewoli. Z wyjątkiem jednego, nie są jednak wojownikami.

- Kim jest ten jeden?

- Nazywa się Sabah. Zanim Holendrzy wzięli go do niewoli, był żołnierzem. Teraz stał się nim ponownie.

- Czy możemy się z nim jakoś porozumieć? Althuda roześmiał się gorzko.

- Możemy krzyczeć do niego z murów zamku i potrząsać łańcuchami. Na pewno usłyszycie nas na szczycie góry.

- Gdybym potrzebował błazna, poprosiłbym tutaj Daniela. Od jego żartów można się porzygać, ale są śmieszniejsze od twoich. Odpowiedz na moje pytanie, Althudo. Czy możemy się jakoś porozumieć z Sabahem?

Chociaż Hal mówił to lekkim tonem, w jego głosie zadźwięczała stal i Althuda namyślał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Przed moją ucieczką wyznaczaliśmy z Sukeena kryjówkę za żywoplotem, który stanowi granicę kolonii. Mieliśmy tam sobie zostawiać wiadomości. Sabah zna to miejsce, bo pokazałem mu je tamtej nocy, gdy wróciłem, żeby zabrać ze sobą siostrę. To bardzo wątpliwe, ale może tam wciąż zaglądać, żeby sprawdzić, czy nie ma ode mnie jakiejś informacji.

- Przemyślę to, co mi powiedziałeś - oznajmił Hal.

Leżący obok w ciemności Daniel usłyszał siłę i autorytet w jego głosie i pokiwał z podziwem głową. Takim samym tonem przemawiał kiedyś kapitan Franky, pomyślał. Zło, którego doznał od Holendrów, mogło sprowadzić na rafy kogoś słabszego, ale, na Boga, ten młokos chwycił tylko wiatr w żagle. Hal przejął rolę swojego ojca i ci z załogi, którzy przeżyli, uznali to za bezsporne. Coraz częściej widzieli w nim swego przywódcę, pragnąc, by dodawał im otuchy, doradzał, rozstrzygał drobne spory, które rodziły się prawie codziennie w

ciężkich więziennych warunkach, żeby podtrzymywał iskrę nadziei i odwagi płonąca w ich sercach.(

Nazajutrz wieczorem Hal kontynuował naradę wojenną, którą przerwali zmożeniem poprzedniej nocy.

- Zatem Sukeena wie, gdzie można zostawić wiadomość Sabahowi?

- Oczywiście, że wie. Kryjówka jest w dziupli spróchniałego drzewa przy brzegu Earste, pierwszej rzeki, która płynie za granicą kolonii - odparł Althuda.

- Aboh musi spróbować skontaktować się z Sabahem. Czy jest coś, o czym wiesz tylko ty i Sabah, żeby miał pewność, że list pochodzi od ciebie, a nie od Holendrów chcących zastawić na niego pułapkę?

Althuda przez chwilę się zastanawiał.

- Niech napisze po prostu „to wiadomość od ojca małego Bobby’ego” - powiedział w końcu. Hal czekał w milczeniu na wyjaśnienie i po krótkiej pauzie Althuda odezwał się ponownie. - Robert jest moim synem. Urodził się w górach, kiedy uciekliśmy z kolonii. W sierpniu skończy dwanaście miesięcy. Jego matką jest jedna z dziewcząt, o których ci mówiłem. Chociaż nie jesteśmy związani małżeńskimi ślubami, mogę śmiało nazywać ją swoją żoną. Tylko ja jeden w całej kolonii znam jego imię.

- Masz więc równie dobry powód jak każdy z nas, żeby wydostać się z tego lochu - mruknął Hal.

Treść wiadomości, jaką mieli przekazać Abolemu, była w poważnym stopniu ograniczona przez rozmiary kartki, którą mogli bezpiecznie schować w szparze, nie zwracając na siebie uwagi strażników ani pilnującego ich bez przerwy Hugona Barnarda. Hal i Althuda biedzili się całymi godzinami, komponując treść listów, które przy całej swojej zwięzłości byłyby nadal zrozumiałe. Otrzymywane przez nich odpowiedzi Sukeeny wydawały się klejnotami lapidarności, które zachwycały ich nieraz przebłyskami dowcipu i humoru.

Hal zorientował się, że coraz częściej myśli o Sukeenie. Kiedy przybyła ponownie wraz ze swoją panią na zamek, jej oczy najpierw pobiegły w stronę rusztowania, na którym pracował, i dopiero potem poszukały brata. Co jakiś czas, gdy zostawało trochę miejsca w listach, które Aboli umieszczał w szczelinie muru, pozwalała sobie na drobne osobiste komentarze, na przykład na temat krzaczastej czarnej brody Hala bądź też jego mijających urodzin. Zastanawiał się, skąd wie o tak osobistych szczegółach, i doszedł w końcu do wniosku, że musiał jej powiedzieć Aboli. Zachęcał Althudę, żeby opowiadała o siostrze w nocy, i dowiedział się wielu rzeczy o jej dzieciństwie, sympatiach i antypatiach. Leżąc w ciemności i słuchając Althudy, powoli zakochiwał się w Sukeenie.

Kiedy patrzył teraz na wznoszące się na północy góry, okrywała je śnieżna szata, połyskująca w promieniach zimowego słońca. Wiejący od nich wiatr zdawał się przesywać na wylot jego duszę.

- Aboli nie dostał dotąd żadnej odpowiedzi od Sabaha. - Po czterech miesiącach czekania Hal przyznał się w końcu do klęski. - Będziemy musieli wyłączyć go z naszych planów.

- Jest moim przyjacielem, ale musiał postawić na mnie krzyżyk - zgodził się Althuda.  
- Współczuję mojej żonie, bo ona również musi opłakiwać moją śmierć.

- Zabieramy się zatem do dzieła, bo nie ma sensu czekać na coś, co i tak nigdy się nie wydarzy - stwierdził stanowczo Hal. - Łatwiej będzie uciec z kamieniołomów w górach niż z samego zamku. Sukeenie udało się już załatwić odroczenie twojego wyroku. Może w podobny sposób wpłynie na to, że przeniosą nas do kamieniołomów.

Wysłali list z zapytaniem i po tygodniu nadeszła odpowiedź. Sukeena nie miała żadnego wpływu na wybór miejsca ich pracy i ostrzegła, że wszelkie sugestie w tej sprawie obudziłyby natychmiastowe podejrzenia. „Cierpliwości, Gundwane - pisała mu w dłuższym niż kiedykolwiek do tej pory liście. - Ci, którzy was kochają, starają się wyzwolić was z niewoli”. Hal przeczytał to zdanie ze sto razy, a potem równie często powtarzał je w duchu. Wzruszyło go, że użyła jego przezwiska: Gundwane. Oczywiście tego także dowiedziała się od Abolego.

Ci, którzy was kochają? Czy miała na myśli tylko Abolego, czy też celowo użyła liczby mnogiej? Czy jest ktoś jeszcze, kto mnie kocha? Czy chodzi jej tylko o mnie, czy również o Althudę, jej brata? Hal miotał się między nadzieją i zwątpieniem. Jak może mnie tak dręczyć, skoro nigdy nie usłyszałem nawet jej głosu? Jak może do mnie cokolwiek czuć, skoro wyglądam jak brodaty strach na wróble odziany w żebracze łachmany? A może Aboli jest moim orędownikiem i powiedział jej, że nie zawsze tak wyglądałem.

Mimo snucia różnych planów mijały tygodnie i ludzie tracili nadzieję. Sześciu kolejnych marynarzy zmarło w sierpniu i wrześniu. Dwaj spadli z rusztowania, jednego zmiądzzył skalny blok, dwaj nie wytrzymali chłódów i wilgoci. Szóstym był Oliver, niegdyś służący sir Francisa. Na początku ich pobytu na zamku żelazne koło jednego z wozów, które dostarczały budulec z kamieniołomów, zmiądzżyło mu prawą stopę. Chociaż doktor Saar założył łubki na strzaskaną kość, stopa nie chciała się zagoić. Spuchła i pokryły ją ropiejące wrzody, śmierdzące niczym rozkładające się zwłoki. Hugo Barnard gonił go do pracy, mimo że Oliver kuśtykał, opierając się na prowizorycznej kuli.



Hal i Daniel próbowali go chronić, ale jeśli robili to zbyt jawnie, Barnard wpadał w jeszcze większą złość. Mogli tylko starać się wykonywać za Olivera jego pracę i trzymać go jak najdalej od bata nadzorcy. Nadszedł jednak dzień, kiedy Oliver nie zdołał wdrapać się po drabinie na szczyt południowego muru i Barnard wysłał go do pomocy kamieniarzom obrabiającym skalne bloki. Na dziedzińcu pracował tuż pod okiem nadzorcy, który dwa razy tego samego ranka zdzielił go batem.

Drugie uderzenie wydawało się niedbałe, nawet w połowie nie tak mocne jak wiele poprzednich. Oliver, z zawodu krawiec, był z natury łagodnym i nieśmiałym człowiekiem, ale, niczym zagoniony w ślepy zaułek kundel, odwrócił się i zaatakował. Zamachnął się trzymanym w prawej ręce ciężkim drewnianym młotkiem i chociaż Barnard uskoczył do tyłu, nie był dość szybki i oberwał w gołeń. Obuch młotka nie złamał kości, lecz przeciął skórę i pończocha Barnarda pociemniała od krwi. Stojący wysoko na rusztowaniu Hal widział po minie Olivera, że przeraziło go to, co zrobił.

- Wybacz mi, panie! - zawołał, padając na kolana. - Nie chciałem tego zrobić. Proszę, wielmożny panie, wybacz mi!

Rzucił młotek na ziemię i podniósł do twarzy złączone w błagalnym geście ręce.

Hugo Barnard cofnął się i pochylił, żeby zbadać swoje obrażenia. Ignorując rozpaczliwe błagania Olivera, ściągnął pończochę i odsłonił długie zadrapanie na goleniu. A potem, nie patrząc nawet na Olivera, pokuśtykał do belki po drugiej stronie dziedzińca, do której przywiązał swoje dwa czarne dogi. Trzymając je na smyczy wskazał miejsce, w którym klęczał Oliver.

- Biercie go! - Psy zaczęły się szarpać, ujadając i szczerząc wielkie białe kły. - Biercie go! - powtórzył Barnard, jednocześnie szcując je i nie spuszczać ze smyczy. Jego drżący od furii głos rozwścieczył bestie, które o mało nie zwały go z nóg.

- Proszę! - błagał Oliver.

Próbując wstać, przewrócił się do tyłu i poczołgał w stronę kamiennego muru, o który opierała się jego kula.

Barnard spuścił psy ze smyczy.

Pognały przez dziedziniec i przewróciły na bruk Olivera, który zdążył tylko zakryć twarz rękoma.

Jeden rzucił się do szyi, ale napotkawszy po drodze podniesioną rękę, zatopił kły w łokciu. Oliver nie miał koszuli i drugi pies rozszarpał mu brzuch. Oba zaciskały mocno szczęki.

Stojący wysoko na rusztowania Hala nie był w stanie niczego zrobić. Krzyki Olivera stopniowo cichły i słabła jego walka. Psy, tak samo jak ich pan, nie miały litości: pastwiły się nad ciałem długo po tym, jak biedak wydał ostatnie tchnienie. Nadzorca kopnął w końcu okaleczone zwłoki i dał krok do tyłu. Sapał ciężko i twarz miał zlaną potem, który kapał na koszulę. Po chwili podniósł wzrok i wyszczerzył zęby do Hala. Zostawił ciało Olivera na bruku aż do końca zmiany, a potem wezwał do siebie Hala i Daniela.

- Wyrzucicie to ścierwo na śmietnik za zamkiem. Wrony i mewy będą miały z niego więcej pożytku niż ja - powiedział chichocząc radośnie, kiedy zobaczył morderczy błysk w oczach Hala.

Z nadejściem wiosny zostało ich tylko ośmiu, ale wszyscy byli zahartowani przez przeciwności losu. Każdy muskuł i ścięgno rysowały się dumnie pod ogorzałą skórą ramion i klatki piersiowej Hala. Dłonie miał szorstkie jak tarka, palce silne jak kowalskie szcypce. Kiedy rozdzielał walczących, jeden cios jego pięści mógł powalić na ziemię roslęgo mężczyznę.

Pierwsze powiewy wiosny przegnały niskie chmury, a promienie słońca miały w sobie coraz więcej ognia. Ponura rezygnacja, w którą popadli wszyscy w zimie, ustąpiła miejsca rozdrażnieniu. Ludzie byli pobudliwi, wybuchały częste spory, oczy wszystkich coraz częściej spoglądały w stronę niebieskiego Atlantyku lub gór, na których topniały śniegi.

A potem przyszedł skreślony ręką Sukeeny list od Abolego. „Sabah przesyła pozdrowienia A. Bobby i jego matka tęsknią za nim”. Wiadomość wzbudziła w nich wszystkich dziką i radosną nadzieję, która, prawdę mówiąc, nie miała solidnych podstaw, ponieważ Sabah i jego ludzie mogli im pomóc dopiero po przekroczeniu żywopłotu z migdałowców.

Minął kolejny miesiąc i płomień nadziei, który wybuchnął w ich sercach, znacznie przygasł. Wiosna nadeszła w całej krasie, obsypując stoki góry polnymi kwiatami. Ich barwy oślepiły oczy, a zapach docierał do więźniów pracujących na wysokim rusztowaniu. Wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i nie wiadomo skąd powróciły nektarniki, rozjaśniając niebo swoim jaskrawym upierzeniem.

W końcu nadeszła lakoniczna wiadomość od Sukeeny i Abolego. „Czas ruszać. Ilu was jest?”.

Tej nocy rozmawiali na temat listu drżącym z przejęcia szeptem.

- Aboli ma jakiś plan. Ale jak zamierza nas stąd wszystkich uwolnić?

- Aboli to dla mnie pewniak - mruknął Duży Daniel. - Stawiam na niego całą sakiewkę.

- Tak jakbyś coś w niej miał - zachichotał Ned. Hal nie słyszał go śmiejącego się, odkąd psy Barnarda rozszarpały Olivera.

- Ilu pójdzie z nami? - zapytał. - Zastanówcie się nad tym chwilę, chłopcy, zanim dadcie odpowiedź. - W przyćmionym świetle przyjrzał się otaczającym go półkolem zasepionym nagle twarzom. - Jeśli tu zostaniecie, ocalicie przynajmniej na jakiś czas głowy i nikt nie powie o was złego słowa. Jeśli uciekniemy i nie uda nam się dotrzeć do gór... widzieliście, w jaki sposób zginął mój ojciec i Oliver. Takiej śmierci nie wolno zadać zwierzęciu, a cóż dopiero człowiekowi.

Pierwszy odezwał się Althuda.

- Poszedłbym, nawet gdyby nie chodziło o Bobby'ego i moją kobietę - stwierdził.

- Ja idę - powiedział Daniel.

- Ja idę - powtórzył za nim Ned.

- To już trzech - mruknął Hal. - A ty, Williamie Rogersie?

- Idę z tobą, sir Henry.

- Nie wystawiaj mnie na próbę, Billy. Mówiłem ci już, żebyś się tak do mnie nie zwracał. - Kiedy używali tego tytułu, czuł się oszustem, nie był bowiem godzien zaszczytu, który jego dziad wywalczył u boku Drake'a. Tytułu, który jego ojciec nosił z takim honorem. - Uprzedzam cię po raz ostatni, Billy. Jeśli się znowu przejęzyczysz, nauczę cię rozumu paroma kopniakami. Słyszałeś?

- Tak jest, słyszałem cię jasno i wyraźnie, sir Henry - odparł Billy, szczerząc zęby.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, a Hal złapał go za kark i wytargał za uszy. Wszyscy przebierali nogami z podniecenia; wszyscy oprócz Dicka Mossa i Paula Hale'a.

- Jestem już za stary na takie przygody, sir Hal. Kości tak mi zesztyniały, że nie wleżę nawet na ładnego chłopca, a co dopiero na szczyt góry - oznajmił z uśmiechem Dick Moss, stary pederasta. - Wybacz mi, kapitanie, ale ja i Paul rozmawialiśmy już na ten temat i wolimy zostać tutaj, gdzie co noc mamy łyżkę stawy i posłanie ze słomy.

- Może jesteście mądrzejsi od nas - stwierdził Hal kiwając głową.

Ich decyzja bynajmniej go nie zasmuciła. Dicky dawno miał za sobą dni największej chwały, gdy wspinał się na reje podczas najsilniejszej wichury i zawsze pierwszy refował żagle. Ta zima przyprószyła siwizną jego skronie i ścieła mrozem kości. W trakcie ucieczki stanowiłby tylko zbędny balast. Jego kochanek Paul był z nim od dwudziestu lat i chociaż świetnie władał kordem, wolał pozostać ze swoim starzejącym się przyjacielem.

- Życzę wam obu powodzenia. Nie znałem lepszej od was marynarskiej pary - oznajmił Hal i spojrzał na Wally'ego Fincha i Staną Sparrowa. - A wy, moje ptaszki<sup>1</sup>? Pofruniecie razem ze mną?

- Tak samo wysoko i daleko jak ty - Wally odpowiedział za nich obu i Hal poklepał go po ramieniu.

- Jest nas w takim razie sześciu. Ośmiu razem z Althudą i Abolim i polecimy tak wysoko i daleko, że zakręci wam się w głowie, zaręczam.

Aboli i Sukeena przedstawili w listach opracowany przez siebie plan. Hal wniósł do niego kilka poprawek i przesłał im spis przedmiotów, które musieli ukraść, żeby umożliwić im dłuższy pobyt w górach. Ważne miejsce zajmowały wśród nich mapa i kompas, a także kwadrant, gdyby udało się go gdzieś zdobyć.

Aboli i Sukeena czynili ostatnie przygotowania, starając się ukryć ogarniające ich podniecenie z obawy przed resztą domowników. Złe oczy zawsze śledziły wszystko, co działo się w czworakach, i teraz, kiedy zbliżał się wyznaczony dzień, nie ufali nikomu. Sukeena zdołała zdobyć wszystkie przedmioty, o które prosił Hal, a także kilka innych, o których wiedziała, że będą ich potrzebować.

Na dwa dni przed planowaną ucieczką wezwała Abolego do rezydencji, której drzwi były do tej pory przed nim zawsze zamknięte.

- Potrzebuję silnego mężczyzny, żeby przesunął rzeźbiony kredens w sali bankietowej - powiedziała mu w obecności kucharza i dwóch kuchcików.

Aboli ruszył za nią posłusznie niczym tresowany pies na smyczy. Kiedy znaleźli się sami, porzucił pozę uległego niewolnika.

- Pośpiesz się! - ostrzegła go Sukeena. - Pani niedługo wróci. Jest teraz z Powolnym Janem na tyłach ogrodu.

Podeszła szybko do okna, które wychodziło na błonia, i wyjrzała na zewnątrz. Kat i jego chlebobawczynie stali w cieniu dębów, pogrążeni w rozmowie.

- Jej rozwiązłość nie zna granic - szepnęła do siebie, widząc, jak Kalinka śmieje się z czegoś, co powiedział Jan. - Kopulowałyby z wieprzem albo jadowitym wężem, gdyby miała taki kaprys.

Zadrzała na wspomnienie gadziego języka, który penetrował tajne zakamarki jej ciała. To się już nigdy nie powtórzy, przyrzekła sobie. Pojutrze Althuda będzie bezpieczny. Jeśli Katinka wezwie mnie do siebie dzisiaj albo jutro, powiem, że zaczęłam krwawić.

---

<sup>1</sup> Ang - finch - zięba, sparrow - wróbel (przyp tłumacza)

Nagle usłyszała za sobą głośny świst, jakby wielki ptak szybował w powietrzu. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że Aboli wziął do ręki jeden z mieczy, należących do wiszącej w sieni kolekcji i badał jego sprawność, zataczając śpiewne kręgi nad głową. Odbite od klingi światło tańczyło na białych ścianach.

Po chwili odłożył broń i wybrał następną, lecz szybko się do niej zraził i marszcząc czoło odwiesił z powrotem.

- Szybciej! - zawołała do niego półgłosem.

W ciągu kilku minut wybrał trzy sztuki broni, zwracając uwagę przede wszystkim na giętkość i twardość ich ostrzy, a nie na zdobiące je klejnoty. Wszystkie trzy były zakrzywionymi szablami z warsztatów płatnerskich szacha Jahana w Agrze w Indiach.

- Zrobiono je dla mongolskiego księcia i nie leżą zbyt dobrze w dłoni prostego marynarza, ale przydadzą się, dopóki nie znajdę kordu z dobrej sheffieldzkiej stali.

Następnie wybrał krótszą broń, nóż kukri używany przez mieszkańców górskich prowincji Indii, i zgolił nim włoski na przedramieniu.

- Ten przyda się w bliskim zwarciu - stwierdził z satysfakcją.

- Oznaczyłam dobrze wybraną przez ciebie broń - oznajmiła Sukeena. - Teraz odstaw ją na miejsce, bo brak szabel szybko dostrzegą inni niewolnicy. Dostarczę ci je jutro wieczorem.

Po południu wzięła koszyk, włożyła na głowę stożkowaty kapelusz i wybrała się na spacer po górskich zboczach. Chociaż żaden obserwator i tak by się nie domyślił, jakie ma zamiary, upewniła się dwa razy, czy nikt nie widzi, jak podąża zalesionym wąwozem wysoko pod samym szczytem. Było tam uschnięte drzewo, które zauważyła podczas poprzednich spacerów. Z gnijącego rdzenia wyrastały małe purpurowe muchomory. Nim zaczęła je zbierać, nałożyła rękawiczki. Blaszkki pod kapeluszami miały ładny żółty kolor. Te grzyby były trujące, ale tylko zjedzone w dużej ilości mogły zabić. Wybrała je właśnie z tego ostatniego względu, nie chciała bowiem mieć na sumieniu niewinnych ludzi. Ułożyła je na dnie koszyka, przykryła korzonkami i ziołami, po czym zeszła w dół po stromym zboczu i minawszy winnice, wróciła spokojnym krokiem do rezydencji.

Tego wieczoru gubernator van de Velde wydał uroczystą kolację, na którą zaprosił notabli z kolonii oraz wszystkich dygnitarzy Kompanii. Bankiet przeciągnął się do późna i po wyjściu gości” cała służba ledwie trzymała się na nogach. Sukeena została sama, żeby zrobić wieczorny obchód domu i zamknąć kuchnię przed nocą.

Kiedy wszyscy poszli spać, zalała wodą muchomory i gotowała je tak długo, aż wywar nabrał konsystencji miodu. Wlała go do jednej z butelek, które pozostały po uciesce.

Nie miał zapachu i nie musiała go próbować, by wiedzieć, że prawie nie sposób wyczuć w nim smaku grzybów. Jedna z kobiet, które pracowały w kuchni zamkowego garnizonu, miała wobec niej dług wdzięczności - lekarstwa Sukeeny wyleczyły jej najstarszego syna, kiedy zachorował na ospę. Nazajutrz rano włożyła butelkę do koszyka z lekami i maściami, który Aboli miał zawieźć powozem kucharce.

Gubernator van de Velde był zły jak osa i szary na twarzy po nocnej hulance. „Nie jedzcie nic, co dadzą wam dziś wieczór z kuchni garnizonu” brzmiała wiadomość, którą Aboli zostawił w szczelinie między kamieniami.

Tej nocy Hal wylał do kubła zawartość kociołka z gulaszem, zanim którykolwiek z więźniów odważył się go spróbować. Celę wypełnił zapach gorącej stawy, która wygłodzonym marynarzom wydała się obietnicą wiecznego życia. Jęcząc i zgrzytając zębami, przeklinali Hala, siebie i swój los, widząc, jak marnuje się tyle jedzenia.

Nazajutrz rano w lochach zaczęła się normalna krzątania. Długo przedtem, nim świt obrysował cztery małe zakratowane okienka, więźniowie jęli pojękiwać i kaszeć. Potem jeden po drugim szli się wypróżnić, postępując i pierdząc nad kubłem z latryny. W końcu uświadomili sobie, co to za dzień, i zapadła między nimi głucha kamienna cisza.

Wkrótce przez okna zaczęło się sączyć blade światło i potoczyli po sobie zdumionym wzrokiem. Nigdy jeszcze nie pozostawiano ich tak długo na dole. Na ogół od godziny pracowali już na murach.

Kiedy w zamku zazgrzytały wreszcie klucze Manseera, dowódca straży miał bladą twarz i niezdrowy wygląd. Dwaj towarzyszący mu strażnicy nie byli w lepszym stanie.

- Co ci dolega, Manseer? - zapytał Hal. - Myśleliśmy, że już nas nie kochasz i nigdy cię nie zobaczymy.

Strażnik był prostym, nieszczególnie okrutnym człowiekiem i w ciągu ostatnich miesięcy Hal utrzymywał z nim w miarę przyjazne stosunki.

- Całą noc przesiedziałem w wychodku - jęknął Manseer. - I to w całkiem sporym towarzystwie, bo prawie każdy wojak z garnizonu próbował się tam dostać. Nawet o tej porze połowa wciąż leży na pryczach...

Nagle przerwał. W jego brzuchu rozległ się dźwięk przypominający odległy grzmot, a na twarzy pojawił się wyraz desperacji.

- Znowu muszę lecieć! - wrzasnął. - Przysięgam, że zabiję tego pryszczatego kucharza!

Pobiegł z powrotem po schodach i musieli czekać kolejne pół godziny, nim wrócił, żeby otworzyć kratę i wyprowadzić ich na dziedziniec.



Hugo Barnard czekał, żeby przejąć od niego pieczę nad więźniami. Był w paskudnym nastroju.

- Straciliśmy połowę dnia pracy - warknął na Manseera. - Pułkownik Schreuder będzie mnie o to winił, a ja nie zawaham się powiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny, Manseer! Nie szczercie zębów, łotry! - ryknął na więźniów. - Na Boga, zrobicie to, co do was dzisiaj należy, choćbym miał trzymać was na rusztowaniach do północy. Biegiem do roboty!

Barnard był w świetnej formie, rumiany na twarzy i kipiał ze złości. Kolka i biegunka, których ofiarą padli ludzie w garnizonie, najwyraźniej wcale go nie dręczyły. Hal przypomniał sobie, że Manseer wspominał kiedyś, iż nadzorca mieszka razem z hotentocką dziewczyną w osiedlu przy brzegu morza i nie stołuje się w garnizonowej kuchni.

Idąc przez dziedziniec w stronę rusztowania, rozejrzał się szybko wokół siebie. Słońce stało już wysoko na niebie i jego promienie padały na zachodnie blanki zamku. Na dziedzińcu widział mniej niż połowę normalnej liczby strażników i żołnierzy; jeden wartownik zamiast czterech przy bramie, żadnego przy wejściu do zbrojowni i tylko jeden przy schodach prowadzących do siedziby Kompanii i pokojów gubernatora w południowym skrzydle zamku.

Kiedy wspiął się po drabinie na mury i powiódł wzrokiem wzdłuż alei wychodzącej z pola apelowego, dostrzegł między drzewami dach rezydencji gubernatora.

- Niech Bóg ci sprzyja, Aboli - szepnął. - Jesteśmy gotowi na twój przyjazd.

Aboli zajechał powozem przed rezydencję i zatrzymał konie pod portykiem kilka minut wcześniej, niż kazała żona gubernatora. Prawie natychmiast w drzwiach pojawiła się Sukeena.

- Aboli! - zawołała. - Pani ma kilka pakunków, które weźmiemy ze sobą. - Powiedziała to lekkim swobodnym tonem, bez cienia zdenerwowania. - Chodź tutaj i zabierz je.

Całe to przedstawienie odgrywała na użytek innych służących, którzy musieli ją słyszeć.

Aboli posłusznie zaciągnął hamulec na kołach powozu i szepnąwszy coś koniom, zeskoczył z kozła. Wchodząc za Sukeeną do domu, nie śpieszył się i miał spokojny wyraz twarzy. Minutę później wyszedł na zewnątrz, niosąc zrolowany jedwabny dywan i kilka skórzanych juków. Umieścił bagaż w tylnym koszu i zamknął pokrywę. W tym, co robił, nie można było dostrzec nic podejrzanego i ukradkowego, nic, co zaniepokoiłoby innych niewolników. Dwie pokojówki, które zamiatały taras, nie podniosły nawet wzroku, żeby na niego spojrzeć. Aboli włączył z powrotem na kozioł, wziął do ręki lejce i czekał z nieskończoną cierpliwością niewolnika.

Katinka spóźniała się, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. W końcu ukazała się w obłoku francuskich perfum i szeleszczącego jedwabiu, karcąc Sukeenę za jakieś rzekome uchybienia. Dziewczyna sunęła za nią skruszona i uśmiechnięta, stawiając cicho swoje obute w pantofle drobne stopy.

Jej pani wsiadła do powozu, jakby była królową, która wybiera się na własną koronację.

- Usiądź razem ze mną! - rozkazała dziewczynie tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Sukeeną skłoniła głowę i przytknęła złożone dłonie do ust. Żywiła nadzieję, że Katinka wyda to polecenie. Kiedy jej pani miała ochotę na intymne igraszki, chciała, żeby Sukeeną siedziała dość blisko, by mogła ją obmacywać. Zdarzało się też, że była zimna i niedostępna. Nigdy nie było wiadomo, czego się po niej spodziewać.

To dobry znak, że postępuje zgodnie z moimi oczekiwaniami, pomyślała Sukeeną, dodając sobie odwagi, po czym usiadła naprzeciwko swojej pani i czule się do niej uśmiechnęła.

- Jedź, Aboli! - zawołała Katinka i kiedy powóz ruszył, zwróciła się do Sukeeny. - Jak wyglądam w tym kolorze na słońcu? Czy nie wydaję się w nim blada i nieciekawa?

- Kolor pasuje znakomicie do twojej karnacji, pani - odparła Sukeeną, mówiąc jej to, co chciała usłyszeć. - Wygląda nawet lepiej niż we wnętrzu domu. Podkreśla fiołkową barwę twoich oczu.

Katinka przechyliła z wdziękiem głowę.

- Nie sądzisz, że w kołnierzyku powinno być więcej koronek? Sukeeną zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Twoja uroda nie potrzebuje nawet najdelikatniejszych brukselskich koronek - stwierdziła w końcu. - Istnieje sama przez się.

- Tak sądzisz, Sukeeno? Straszna z ciebie pochlebczyni, ale muszę przyznać, że i ty wyglądasz dziś rano bardzo ponętnie. - Przyjrzała się uważnie dziewczynie. Powóz jechał teraz aleją, konie biegły kłusem, zadzierając szyję i przyspieszając pięknie kroku. - Masz zarumienione policzki i isierki w oczach. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś zakochana.

Sukeena spojrzała na nią tak, że Katinkę przeszedł dreszcz rozkoszy.

- Owszem, jestem zakochana w bardzo szczególnej osobie - szepnęła.

- Moja niegrzeczna kochana dziewczynka - mruknęła Kalinka.

Powóz wyjechał na plac apelowy i skręcił do zamku. Katinka była tak zaabsorbowana rozmową, że dopiero po chwili zorientowała się, dokąd jadą. Na jej twarzy pojawiła się irytacja.

- Aboli! - zawołała ostro. - Dokąd jedziesz, głupcze? Nie do zamku. Jedziemy do Mevrouw de Waal.

Aboli nie zareagował, jakby jej w ogóle nie słyszał. Siwki biegły kłusem prosto w stronę zamkowej bramy.

- Sukeena, powiedz temu durniowi, żeby zawrócił.

Sukeena wstała szybko w kołyszącym się powozie, po czym usiadła tuż obok Katinki i wzięła ją pod ramię, mocno przytrzymując.

- Co ty, u licha, robisz, dziecko? Nie tutaj. Postradałaś zmysły? Nie na oczach całej kolonii.

Katinka chciała zabrać rękę, ale dziewczyna trzymała ją taką siłą, że gubernatorowa doznała szoku.

- Jedziemy do zaniku - powiedziała cicho Sukeena. - A ty masz robić dokładnie to, co ci powiem.

- Aboli! Natychmiast zatrzymaj powóz! - zawołała podniesionym głosem Katinka i próbowała wstać.

Sukeena szarpnęła ją powrotem na siedzenie.

- Nie próbuj się opierać - rozkazała - bo cię potnę. Najpierw potnę twoją twarz i nie będziesz już dłużej taka piękna. A potem, jeśli nadal nie będziesz mnie słuchać, zatopię sztylet w twoim gadzim podłym sercu.

Katinka spuściła wzrok i dopiero teraz zobaczyła cienkie ostrze, które Sukeena trzymała u jej boku. Sztylet był prezentem od jednego z jej kochanków i wiedziała, jak bardzo jest ostry. Sukeena musiała ukraść go z jej szafy.

- Jesteś szalona? - Kalinka pobladła z przerażenia i próbowała się odsunąć.

- Owszem. Dość szalona, żeby cię zabić i cieszyć się, że to zrobiłam. - Sukeena przycisnęła sztylet do jej boku i Kalinka krzyknęła. Konie zastrzygły uszami. - Jeśli jeszcze raz wrzaśniesz, zranię cię do krwi - ostrzegła Sukeena. - A teraz trzymaj język za zębami i słuchaj uważnie tego, co masz robić.

- Oddam cię Powolnemu Janowi i będę się śmiała w głos, kiedy wywlecze z ciebie flaki - zagroziła Kalinka, lecz głos drżał jej, a w oczach pojawiło się przerażenie.

- Jeśli mnie nie posłuchasz, nie zaśmiejesz się już nigdy w życiu - odparła Sukeena i ukuła Kalinkę ponownie, dość mocno, żeby przebić materiał i skórę. Na staniku sukni ukazała się plama krwi wielkości srebrnego guldena.

- Proszę! - zaskomlała Kalinka. - Proszę cię, Sukeeno. Zrobię wszystko, co chcesz. Błagam, nie kalecz mnie więcej. Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- I skłamałam - syknęła dziewczyna. - Skłamałam ze względu na mojego brata. Nienawidzę cię. Nigdy się nie dowiesz jak bardzo. Brzydę się dotyku twoich rąk. Brzydę się wszystkich sprośnych rzeczy, które kazałaś mi robić. Więc nie licz z mojej strony na żadne uczucie. Zgniotę cię, tak jak zgniatą się wesz znalezioną we włosach.

Kalinka zobaczyła w jej oczach śmierć. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała.

- Uczyń wszystko, co mi każesz - szepnęła i Sukeena poinstruowała ją, co ma robić. Jej stanowczy twardy ton przeraził ją bardziej od krzyków i obelg.

Kiedy Aboli minął bramę zamku, powóz gubernatora powitało zwykle w takich razach poruszenie. Pojedynczy wartownik wyprężył się na baczność i sprezentował broń. Aboli skręcił w prawo i zatrzymał powóz przed siedzibą Kompanii. Ze zbrojowni wybiegł kapitan gwardii, pośpiesznie zapinając pas ze szpadą. Był młodym oficerem, świeżo przybyłym z Holandii i niespodziewane pojawienie się żony gubernatora kompletnie go zaskoczyło.

- Niech to wszyscy diabli! - mrucał pod nosem. - Dlaczego ta dziwka musiała przyjechać akurat dzisiaj, kiedy połowa moich ludzi pochorowała się jak psy.

Spojrzał na stojącego na warcie przy biurach Kompanii samotnego żołnierza i zobaczył, że jego twarz jest wciąż zielonkawo blada. A potem zorientował się, że żona gubernatora daje mu jakieś dziwne znaki z powozu. Pognął przez dziedziniec, poprawiając w biegu czapkę i naciągając pasek pod brodą.

- Dzień dobry, Mevrouw - pozdrowił ją. - Czy mogę pani pomóc wysiąść?

Żona gubernatora była bardzo zdenerwowana i nie uszło to uwagi oficera.

- Czy coś jest nie w porządku, Mevrouw?

- Tak, coś jest bardzo nie w porządku. Wezwij mojego męża!

- Nie pójdzie pani do jego gabinetu?

- Nie. Zostanę tutaj w powozie. Natychmiast idź do niego i powiedz, że musi tu zaraz przyjść. To sprawa niezmiernie wagi. Życia i śmierci. Pośpiesz się!

Kapitan zrobił zdziwioną minę, po czym zaszalutował i skacząc po dwa stopnie naraz wbiegł po schodach. Kiedy zniknął we wnętrzu budynku, Aboli zeskoczył z kozła, podszedł do kosza z tyłu powozu, otworzył wieko i rozejrzał się po dziedzińcu.

Jeden wartownik stał przy bramie, a drugi u stóp schodów, ale jak zwykle nie zapalili lontów przy swoich muszkietach. Nikt nie pilnował wejścia do zbrojowni, lecz z miejsca, w którym stał, widział przez okno, że w wartowni znajduje się trzech żołnierzy. Każdy z pięciu nadzorców prócz bicia i trzcinowej laski uzbrojony był w szpadę. Hugo Barnard stał po drugiej stronie dziedzińca, trzymając oba swoje psy na smyczy i dokuczając grupce więźniów, którzy kładli kamienne płyty u podnóża wschodnich murów. Ci zwyczajni

więźniowie, nie należący do załogi Resolution, mogli narobić kłopotu podczas próby ucieczki. Na murach pracowało prawie dwustu mężczyzn, różnobarwna ludzka zbieranina. Kiedy uświadomią sobie, co się dzieje, i spróbują przyłączyć się do załogi Resolution, mogą zablokować drogę ucieczki albo obciążyć nadmiernie powóz.

Jeśli do tego dojdzie, jakoś sobie z nimi poradzimy, pomyślał ponuro, skupiając całą uwagę na strażnikach i nadzorcach. To oni stanowili główne zagrożenie. Razem z Barnardem i jego podwładnymi na dziedzińcu było dziesięciu mężczyzn pod bronią, ale jakkolwiek hałas mógł sprowadzić z koszar dodatkowych dwudziestu albo trzydziestu żołnierzy, a wtedy sprawa wymknęłaby się im z rąk.

Aboli spojrzął na obserwujących go z rusztowania Hala i Dużego Daniela. Hal trzymał już w ręku linę, którą obwiązał się w pasie. Ned Tyler i Billy Rogers stali na niższym poziomie, a dwa ptaszki, Finch i Sparrow pracowali razem z Alhudą na dziedzińcu. Udawali, że wykonują swoje obowiązki, lecz przez cały czas obserwowali ukradkiem Abolego.

Murzyn sięgnął do kosza i poluzował sznurek, którym związany był zrolowany jedwabny dywan. Rozchylił go lekko i nie wyjmując niczego na zewnątrz, odsłonił trzy mongolskie szable i nóż kukri, który wybrał dla siebie. Wiedział, że z miejsca, gdzie stał, Hal i Duży Daniel widzą dobrze wewnątrz kosza. Następnie stanął bez ruchu, z kamienną twarzą, przy tylnym kole powozu.

Nagle w podwójnych drzwiach u szczytu schodów ukazał się gubernator. Bez surduta i kapelusza na głowie popędził nierównym krokiem w dół.

- O co chodzi, Mevrouw! - zawołał w połowie drogi. - Powiedzieli mi, że posłałaś po mnie i że to sprawa życia i śmierci.

- Pośpiesz się! - zapłakała żałośnie Katinka. - Grozi mi straszliwe niebezpieczeństwo!

Gubernator, dysząc ciężko, stanął przy drzwiczkach powozu.

- Powiedz mi, co się stało, Mevmuw - wysapał.

Aboli podszedł do niego od tyłu i złapał go wielką ręką za szyję. Van de Velde zaczął się szarpać. Mimo swej tuszy był silnym mężczyzną i nawet Aboli miał spore trudności z jego unieruchomieniem.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - ryczał oburzony.

Murzyn przystawił ostrze kukri do jego szyi. Kiedy van de Velde poczuł chłodny dotyk stali i ukłucie ostrego jak brzytwa noża, jego opór osłabł.

- Zaraz poderżnę ci gardło, ty gruby wieprzu - szepnął mu do ucha Aboli. - Sukeena trzyma sztylet wycelowany w serce twojej żony. Powiedz swoim żołnierzom, żeby nie ruszali się z miejsca i rzucili broń na ziemię.

Zaalarmowany krzykiem van de Veldego, kapitan zbiegał po schodach z szpadą wysuniętą do połowy z pochwy.

- Stój! - wrzasnął na niego przerażony gubernator. - Nie ruszaj się, ty głupcze! O mało przez ciebie nie zginąłem. Officer zatrzymał się niepewnie na schodach. Aboli zacisnął mocniej rękę na szyi gubernatora.

- Powiedz mu, żeby rzucił szpadę na ziemię.

- Rzuć broń! - zapiszczał van de Velde. - Rób, co mówi! Nie widzisz, że trzyma nóż przy mojej szyi?

Kapitan wypuścił z ręki szpadę, która potoczyła się z brzękiem po stopniach.

Stojący pięćdziesiąt stóp wyżej Hal zeskoczył z rusztowania i zjechał w dół na linie zamocowanej na bloczku. Jej drugi koniec trzymał Duży Daniel, hamując tempo spadku. Hal wylądował pewnie na dziedzińcu, podbiegł do powozu, wyjął z kosza wysadzaną klejnotami szablę, po czym jednym susem przebył odległość dzielącą go od stojącego w połowie schodów kapitana i złapał lewą ręką rzuconą przez niego szpadę.

- Każ swoim ludziom złożyć broń! - rozkazał, przystawiając mu ostrze do szyi.

- Rzućcie broń, wszyscy! - wrzasnął officer. - Jeśli któryś narazi na niebezpieczeństwo gubernatora albo jego małżonkę, zapłaci za to głową!

Żołnierze wypełnili skwapliwie jego rozkaz, rzucając muszkiety i białą broń na bruk.

- Wy też! - wrzasnął van de Velde na nadzorców, którzy niechętnie go usłuchali.

Tylko Hugo Barnard, którego zasłaniał stos kamieni, zszedł po cichu do kuchni, ciągnąc za sobą swoje dwa psy, i przykucnął przy wejściu, czekając na sprzyjającą okazję.

Tymczasem z rusztowania zbiegli inni marynarze. Startujący z niższego poziomu Sparrow i Finch pierwsi dotknęli stopami dziedzińca. Ned Tyler, Duży Daniel Fisher i Billy Rogers dotarli na dół zaledwie kilka sekund po nich.

- Chodź, Althudo! - zawołał Hal. Brat Sukeeny cisnął młot i dłuto i podbiegł, żeby się do nich przyłączyć. - Łap! - krzyknął Hal, rzucając mu szablę, która zatoczyła łśniący łuk w powietrzu.

Althuda wyciągnął dłoń i chwycił zgrabnie rękojeść. Hal zastanawiał się, czy jest sprawnym szermierzem. Jako rybak nie miał chyba dużej wprawy.

Jeśli dojdzie do walki, będę musiał go ochraniać, pomyślał i rozejrzał się szybko dookoła. Zobaczył, że Daniel wyciąga kolejne szable z kosza w powozie. Wyglądały jak zabawki w jego potężnej pięści. Rzucił jedną z nich Nedowi Tylerowi i zostawiając sobie drugą, podbiegł do Hala.

Hal podniósł z ziemi szpadę, którą rzucił wartownik, i cisnął ją Danielowi.



- Ta broń jest bardziej w twoim stylu, mistrzu Danny - zawołał i bosman wyszczerzył w uśmiechu swoje szczerbate poczerńiałe zęby. Złapał ciężką broń i przez chwilę wywijał nią ze świstem w lewo i prawo.

- Słodki Jezu, jak dobrze jest poczuć w ręku porządne ostrze! - Wrzasnął z entuzjazmem, po czym rzucił lżejszą szablę Wally'emu Finchowi. - Prawdziwa broń dla mężczyzny, zabawka dla chłopca - oznajmił.

- Trzymaj mocno tego tłustego wieprza, Aboli. Jeśli będzie próbował jakichś sztuczek, obetnij mu uszy - zawołał Hal. - Reszta za mną!

Zeskoczył ze schodów i ruszył w stronę drzwi do zbrojowni. Duży Daniel i inni pobiegli za nim. Althuda chciał się również przyłączyć, ale Hal powstrzymał go.

- Ty nie! Pilnuj Sukeeny! - Althuda zawrócił. - Gdzie Barnard? - zapytał Hal, zwracając się do Daniela.

- Ten parszywy morderca był tu jeszcze przed chwilą, ale teraz go nie widzę.

- Uważaj na niego. Czuję, że będziemy mieli kłopoty z tym łotrem.

Hal wpadł do wartowni. Trzej żołnierze leżeli na ławkach; dwaj spali, a trzeci zerwał się oszołomiony na nogi. Zanim się połapał, o co chodzi, broń Hala dotykała jego piersi.

- Nie ruszaj się, bo sprawdzę, jakiego koloru masz wątrobę. - Żołnierz siadł z powrotem na ławce. - Chodź tu, Ned - zawołał Hal. - Poniańcz przez chwile te maleństwa - rozkazał, po czym ruszył biegiem za Danielem i innymi marynarzami.

Daniel wyważył ramieniem ciężkie tekowe drzwi na końcu korytarza. Nigdy przedtem nie mieli okazji zajrzeć do zbrojowni, lecz teraz Hal od razu zobaczył, że panuje w niej wzorowy porządek. Broń stała w kozłach przy ścianach, w głębi widać było beczułki z prochem.

- Wybierzcie sobie broń i niech każdy weźmie jedną beczkę z prochem - rozkazał i wszyscy rzucili się do stojaków z naostrzonymi i lśniącymi kordami. Dalej stały kozły z bronią palną. Hal zatknął dwa pistolety za sznur, którym był obwiązany. - Pamiętajcie, że będziecie musieli dźwigać to wszystko na swoich ramionach. Nie bądźcie zbyt zachłanni - ostrzegł ich, po czym zdjął z sięgającej sufitu piramidy pięćdziesięciofuntową beczkę z prochem, zarzucił ją sobie na ramię i ruszył ku drzwiom. - Dostyc tego, chłopcy. Zjeżdżamy stąd! Daniel, wychodząc syp za sobą proch!

Daniel wybił kolbą muszkietu denka w dwóch beczułkach i usypał stos czarnego prochu strzelniczego u stóp piramidy.

- Ta piwniczka wyleci w powietrze z wielkim hukiem - stwierdził, szczerząc zęby, po czym wycofał się w stronę drzwi, trzymając pod pachą drugą beczułkę. Na podłodze ciągnęła się za nim długa ciemna smuga prochu.

Zataczając się pod ciężarem broni, wybiegli na słońce. Hal zatrzymał się w wartowni.

- Uciekaj stąd, Ned - rozkazał, oddając mu swój bagaż. Ned pobiegł do drzwi, a Hal zmierzył wzrokiem trzech holenderskich żołnierzy, którzy siedzieli skuleni na ławce. Ned odebrał im broń; leżała w kącie wartowni. - Mam zamiar wysadzić w diabły tę budę - poinformował ich po holendersku. - Uciekajcie do bramy i jeśli macie trochę oleju w głowie, wieście dalej, nie oglądając się za siebie. Już!

Poderwali się z ławki, zderzyli w pośpiechu w drzwiach i po krótkiej przepychance wypadli na dziedziniec.

- Uciekajcie! - krzyczeli, biegnąc do bramy. - Oni chcą wysadzić prochownię!

Strażnicy i pozostali więźniowie, którzy do tej pory stali, gapiąc się na powóz i pojmanego gubernatora, wlepili zdumiony wzrok w zbrojownię.

W jej drzwiach ukazał się Hal. W jednej ręce trzymał szpadę, w drugiej płonąca pochodnię, którą wyrwał z tkwiącego w ścianie uchwytu.

- Liczę do dziesięciu - zawołał - a potem zapalam proch!

W swoich łachmanach, z bujną czarną brodą i dzikimi oczyma wyglądał jak szaleniec. Z ust ludzi na dziedzińcu wydarł się zbiorowy jęk trwogi. Jeden z więźniów cisnął na ziemię łopatę i pognął w ślad za uciekającymi żołnierzami. Panika ogarnęła wszystkich. Dwustu więźniów i pilnujący ich żołnierze ruszyli hurmą ku bramie.

Van de Velde próbował się wyrwać z uścisku, w którym trzymał go Aboli.

- Puszczaj! - krzyczał. - Ten głupiec chce nas wszystkich wyprowadzić na tamten świat! Puszczaj! Uciekajmy!

Jego wrzaski podsyciły panikę i w ciągu kilku chwil, które zajmuje zaczerpnięcie długiego oddechu, dziedziniec całkiem opustoszał. Kalinka zaczęła krzyczeć i histerycznie szlochać i Sukeena uderzyła ją mocno w twarz.

- Zamknij się, ty mazgajko, albo zaraz będziesz miała prawdziwy powód do płaczu - zagroziła i Kalinka zdusiła w sobie łkanie.

- Aboli, wsadź van de Veldego do powozu. On i jego żona pojedą z nami! - zawołał Hal. Aboli dźwignął gubernatora do góry i cisnął go nad drzwiczkami do środka karocy. Van de Velde wylądował niezgrabnie na podłodze i przez chwilę wił się tam niczym przyszpilony owad. - Althuda, przyłóż mu szablę do serca i zabij, kiedy tylko zawołam!

- Nie mogę się tego doczekać! - odrzyknął Althuda. Złapał van de Veldego za kark i pchnął go na siedzenie naprzeciwko małżonki. - Co mam ci najpierw rozplatać? - zapytał. - Może twój tłusty bańdzioch?

Van de Velde zgubił w zamieszaniu perukę. Na jego twarzy malował się wyraz skrajnego upodlenia i trząsł się cały ze strachu.

- Nie zabijaj mnie. Zapewnię ci ochronę - wybełkotał. Katinka znowu zaczęła szlochać i lamentować. Sukeena ścisnęła ją trochę mocniej za ramię i przytknęła ostrze sztyletu do gardła.

- Teraz, kiedy mamy gubernatora, nie jesteś nam potrzebna. Mogę cię zabić i nie będzie to miało żadnego znaczenia - szepnęła i Katinka stłumiła szloch.

- Proch i zapasowa broń do powozu! - rozkazał Hal. Elegancki pojazd nie był przeznaczony do przewozu towarów i delikatne resory ugięły się pod ciężarem ładunku.

- Dosyć! Więcej nie udźwignie! - zawołał Aboli, nie pozwalając im załadować ostatnich beczek prochu.

- Każdy niech stanie przy jednym z koni! - polecił Hal. - I nie próbujcie ich przypadkiem dosiadać, chłopcy. Żaden z was nie jest dobrym jeźdźcem. To, że spadniecie i skręcicie sobie kark, można przeboleć, ale wasz ciężar zabije te biedne zwierzęta, nim przejedziemy milę, a na to nie możemy sobie pozwolić. Złapcie je za takielunek i dajcie się holować. - Marynarze obiegli zaprzęg siwków i każdy chwycił za uprząż w odpowiednim miejscu. - Zostawcie dla mnie miejsce po lewej burcie, chłopcy - zawołał Hal i mimo zdenerwowania Sukeena roześmiała się głośno, słysząc, jak bardzo przywiązany jest do marynarskiej terminologii. Jego ludzie dobrze jednak rozumieli, o co chodzi, i zostawili dla niego lewego prowadzącego konia.

Aboli wskoczył na kozioł. We wnętrzu powozu Althuda trzymał w szachu gubernatora, a Sukeena przyciskała sztylet do białej szyi Katinki.

- Chodź, Gundwane - zawołał Aboli, zwracając powozem. - Pora jechać. W każdym momencie mogą się obudzić w garnizonie.

Kiedy to mówił, usłyszeli odgłos wystrzału i z koszar wybiegł na plac oficer, wymachując dymiącym pistoletem i wzywając swoich ludzi.

- Do broni! Pierwsza kompania, do mnie!

Hal zapalił lont jednego z pistoletów od płonącej pochodni, po czym cisnął ją na rozsypany proch i czekał przez chwilę, aż zajmie się ogniem. Dymiący płomień zaczął sunąć ku drzwiom zbrojowni, a potem korytarzem, który prowadził do głównego składu prochu.

Hal zbiegł po schodach na dziedziniec i ruszył w stronę przeciążonego powozu, który toczył się już ku bramie.

Miał do zaprzęgu tylko kilka jardów i podnosił już rękę, żeby złapać za cugle prowadzącego siwego wałacha, gdy usłyszał nagle ostrzegawczy krzyk Abolego.

- Uważaj z tyłu, Gundwane!

Hugo Barnard wybiegł z bramy, w której schronił się ze swymi psami, gdy zaczęło się całe zamieszanie. Spuścił oba dogi ze smyczy i poszczuł je na Hala.

- Vat hom! Biercie go! - krzyknął i zwierzęta pomknęły przez dziedziniec, sadząc tuż obok siebie długimi susami niczym dwa charty ścigające zająca.

Ostrzeżony przez Abolego, Hal zdążył odwrócić się w ich stronę. Psy walczyły zespołowo - jeden skoczył mu na twarz, a drugi zaatakował nogi. Hal trafił pierwszego, gdy był jeszcze w powietrzu, przecinając czarną szyję w miejscu, w którym łączyła się z barkami. Siła skoku była tak wielka, że klinga wbiła się aż po rękojęść, przeszrywając serce oraz płuco i docierając do wnętrzości. Chociaż pies zginął na miejscu, jego rozpędzone ciało uderzyło Hala prosto w pierś, pozbawiając go równowagi.

Drugi dog przepadł nisko do ziemi i w momencie gdy chłopak zatoczył się do tyłu, wbił kły w jego lewą goleń, tuż pod kolanem. Hal wywrócił się jak długi i uderzył ramieniem o bruk. Próbował wstać, lecz pies zacisnął zęby na jego nodze, pociągnął ją na wyprostowanych łapach do tyłu i znowu go wywrócił. Hal czuł, jak kły zgrzytają o jego kość.

- Moje psy! Skrzywdziłeś moje maleństwa! - wrzasnął Barnard i z obnażoną szpadą rzucił się na pomoc swoim ulubieńcom. Hal znowu próbował wstać, lecz pies nie dawał za wygraną. Barnard dobiegł do nich i uniósł szpadę, mierząc w nie osłoniętą głowę Hala. Ten dostrzegł spadające ostrze i odsunął się w bok. Klinga uderzyła w bruk tuż obok jego ucha, krzesząc snop iskier.

- Ty przeklęty sukinsynu! - ryknął Barnard, unosząc powtórnie szpadę.

Aboli ściągnął lejce i skierował zaprzęg prosto na niego. Nadzorca odwrócony był do niego plecami i tak zaabsorbowany rozprawą z Halem, że w ogóle nie zauważył nadjeżdżającej karocy. Kiedy opuszczał szpadę, tylne koło rąbnęło go w biodro i odrzuciło na bok.

Hal zdołał w końcu z trudem usiąść i nim pies zdążył go ponownie przewrócić, wbił mu szpadę w kark, kierując ją pod ostrym kątem między łopatki i celując w serce niczym toreador zadający końcowy sztych. Dog zawył z bólu, puścił jego nogę, zwinął się w kłębek i padł na bruk, wstrząsany śmiertelnymi drgawkami.

Hal zerwał się na nogi w samą porę, żeby odeprzeć kolejny atak oszalałego z rozpacz Barnarda.

- Zabiłeś moje maleństwa! - ryczał nadzorca, machając szpadą jak cepem. Hal sparował bez wysiłku uderzenie i ostrze przemknęło o cal od jego głowy. - Ty śmierdzący piracie, posiekam cię na kawałki! - odgrażał się nadzorca, szykując się do ponownej szarży.

Hal odparł ją z widoczną łatwością.

- Pamiętasz, co ty i twoje psy zrobiliście z Oliverem? - zapytał cicho.

Zamarkował sztych w lewo, zmuszając Barnarda do odsłonięcia tułowia, po czym zadał szybkie jak błyskawica pchnięcie. Szpada przebiła pierś tuż pod mostkiem i wyszła na pół długości z tyłu. Nadzorca wypuścił broń z ręki i padł na kolana.

- Dług wobec Olivera został spłacony - stwierdził Hal, po czym oparł bosą stopę o pierś Barnarda i wyciągnął ostrze. Nadzorca przewrócił się i leżał obok swego zdychającego psa.

- Chodź, Gundwane! - Aboli starał się utrzymać spłoszone hałasem i zapachem krwi siwe konie. - Prochownia!

Od chwili kiedy Hal zapalił wysypany z beczułki proch, minęło zaledwie kilkanaście sekund. Spojrzał w stronę drzwi do zbrojowni i zobaczył wydobywającą się z nich chmurę gryzącego niebieskiego dymu.

- Pośpiesz się, Gundwane! - zawołała cicho Sukeena. - Błagam cię, pośpiesz się!

Troska, jaką usłyszał w jej głosie, poruszyła go. Nawet w tak poważnych opałach zauważył, że użyła jego przydomka. Ruszył do przodu. Pies ugryzł go głęboko w nogę, ale zęby nie naruszyły nerwów ani ścięgien, odkrył bowiem, że może biec, jeśli zignoruje ból. Pokonał szybko dzielącą go od zaprzęgu odległość i złapał za uzdę prowadzącego konia. Zwierzę podrzuciło w górę łeb i przewróciło oczyma, pokazując różowe spojówki, lecz Hal nie zwolnił uchwytu i Aboli dał sygnał do odjazdu.

Powóz przejechał, turkocząc i kołysząc się, pod łukiem bramy, a potem przez most nad fosą i plac apelowy. Nagle za ich plecami rozległ się huk eksplozji. Fala powietrza uderzyła ich niczym tropikalny szkwał. Przerażone konie stanęły dęba i skoczyły do przodu, porywając za sobą Hala. Trzymając się desperacko uzdy, obejrzał się przez ramię. Z wewnętrznego dziedzińca zamku waliła w górę, obracając się wokół własnej osi, kolumna brunatnego dymu, naznaczona ciemnymi płomieniami i latającymi w powietrzu szczątkami budowli i rusztowań. W samym jej środku wirowało na wysokości stu stóp pojedyncze ludzkie ciało.

- Niech żyje sir Hal i król Karol! - ryknął Duży Daniel i pozostali marynarze zawtórowali mu, zachłystując się z radości.

Spoglądając ponownie za siebie, Hal dostrzegł jednak, że potężne zewnętrzne mury zamku nie doznały większego uszczerbku wskutek detonacji. Budynki koszar zbudowane były z tego samego kamienia i prawie na pewno przetrwały wybuch. Zakwaterowane tam były trzy kompanie zielonych kubraków, dwustu ludzi, którzy ochłonęli już prawdopodobnie po eksplozji. Wkrótce wypadną przez zamkową bramę i zaczną ich ścigać. I gdzie może być, zastanawiał się, pułkownik Schreuder?

Powóz podskakiwał, tocząc się przez plac apelowy. Przed nimi uciekali zwykli więźniowie. Niektórzy przeskakiwali przez kamienny mur okalający ogrody Kompanii, kierując się ku górcom, inni pędzili na plażę, żeby znaleźć jakąś łódź, która umożliwiłaby im dalszą ucieczkę. Na placu było także kilku zaskoczonych mieszkańców oraz niewolników, którzy wyszli z domu przed południem. Patrzyli ze zdumieniem na ciżbę uciekinierów, na kłęby dymu unoszące się nad zamkiem, a w końcu na stanowiącą jeszcze bardziej niezwykły widok karocę gubernatora, którą otaczała pstra wataha odzianych w łachmany, wrzeszczących jak szaleńcy i wymachujących bronią rabusiów i piratów. Z krzykiem rozpierchli się przed pędzącym na nich pojazdem.

- Piraci wydostali się z zamku! Uciekajmy! Uciekajmy!

Po jakimś czasie ludzie ochłonęli i wszczęli alarm. Ostrzeżenie przekazywano sobie z domu do domu, z chaty do chaty. Hal widział, jak obywatele kolonii i należący do nich niewolnicy uciekają na łeb, na szyję przed krwiożerczymi piratami. Kilku odważniejszych chwyciło za muszkiety i z okien paru domów poleciały pociski, lecz strzelano z daleka i nie celowano zbyt dokładnie. Hal nie usłyszał nawet świstu kul i żaden z ludzi ani koni nie został trafiony. Karoca minęła pierwsze domy, pędząc jedyną drogą, która wiodła wzdłuż półkolistej plaży Zatoki Stołowej.

- Zwolnij, do diabła! - zawołał Hal, oglądając się na Abolego. - Ochwacisz konie, nim wyjedziemy z kolonii. Aboli podniósł się z kozła i ściągnął lejce.

- Prrr, Royal! Zwolnij, Chmura! - zawołał, lecz konie nie słuchały go i zwolniły do kłusu dopiero na skraju osiedla. Zlane potem parskały głośno, ale zachowały jeszcze sporo sił.

Kiedy Aboli opanował zaprzęg, Hal puścił uzdę i zrównał się z karocą.

- Alhuda! - zawołał. - Zamiast siedzieć tam jak szlachcic na zagrodzie, sprawdź, czy wszystkie muszkiety mają podsypyany proch i są załadowane. Wkrótce ruszą za nami w



pogoń. Zapal lonty od mojej broni - dodał, podając mu pistolet. - Nie byliśmy sobie przedstawieni - oznajmił, zwracając się do jego siostry. - Henry Courteney, do usług.

Uśmiechnął się do niej, a ona parsknęła śmiechem, ubawiona jego dobrymi manierami.

- Witaj, Gundwane. Tak się składa, że dobrze cię znam. Aboli ostrzegł mnie, że srogi z ciebie pirat. Jesteś ranny - dodała poważniejszym tonem. - Powinnam obejrzeć twoją nogę.

- Możemy to śmiało odłożyć na później - zapewnił ją.

- Jeśli nie zajmiemy się szybko tym ukąszeniem, może wdać się gangrena.

- Później! - powtórzył niecierpliwie. - Czy znasz drogę, która prowadzi do granicy kolonii? - zapytał Abolego.

- Jest tylko jedna droga, Gundwane. Musimy przejechać przez środek osiedla, a potem ominąć bagna i przeciąć piaszczystą równinę, kierując się w stronę gór. Żywopłot z migdałowców jest pięć mil za bagnami.

Hal widział leżące za osiedlem moczary i lagunę: kępy trzcin i lustro wody, nad którym unosiły się stada ptaków. Słyszał, że w głębinach laguny czyhają krokodyle i hipopotamy.

- Czy po drodze spotkamy jakichś żołnierzy, Althudo? - zapytał.

- Trzymają na ogół wartę przy pierwszym mostku. Patrolują też stale okolice żywopłotu, strzelając do każdego Hotentota, który próbuje wejść na teren kolonii - odparł Althuda, nie podnosząc wzroku znad muszkietu, który ładował.

- Dzisiaj nie będzie żadnych pikiet ani patroli - wtrąciła śpiewnym głosem Sukeena. - Od świtu obserwowałam skrzyżowanie dróg. Żaden żołnierz nie wyszedł na posterunek. Za bardzo boją ich brzuchy. - Roześmiała się wesoło, tak samo podniecona i podenerwowana jak reszta. Nagle podskoczyła wysoko na siedzeniu. - Wolna! Po raz pierwszy w życiu wolna! - zawołała głośno. Spięte na głowie warkocze zsunęły się w dół i rozpuszczone włosy opadły falą na jej ramiona. W jej oczach migotały iskry i była tak piękna, że wydawała się uosabiać marzenia każdego z odzianych w łachmany marynarzy.

- My także jesteśmy wolni, kochana! - pozdrowili ją zgodnie, lecz ona patrzyła tylko na Hala.

Mijając budynki osiedla, słyszeli ostrzegawcze krzyki.

- Uwaga! Piraci uciekli! Piraci są na wolności!

Zacni obywatele Przylądka Dobrej Nadziei pierzchali przed nimi jak zajęce. Matki wybiegały na ulice, żeby złapać swoje pociechy i zaciągnąć je do domu, a potem opuścić zasuwę i zatrasnąć okiennice.

Katinka doszła do siebie po szoku i zaczęła błagać o życie.

- Jesteście teraz bezpieczni. Proszę, uwolnij mnie, sir Henry. Przysięgam, że nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Ocaliłam cię od stryczka. Ciebie i Althudę. Zrobię wszystko, co każesz, sir Henry, tylko mnie uwolnij - skamlała, trzymając się bocznej ścianki karocy.

- Możesz mi teraz mówić „sir” i opowiadać o swoich dobrych intencjach, ale niewiele one pomogły memu ojcu, kiedy wysyłano go na szubienicę.

Hal spojrzął na nią z takim chłodem, że cofnęła się i opadła na siedzenie obok Sukeeny łkając, jakby pękało jej serce.

Biegnący razem z Halem marynarze obrzucali ją wyzwiskami, dając upust swej nienawiści.

- Chciałaś, żeby nas powiesili, malowana zdiro, ale my rzucimy cię teraz na pożarcie lwom, które grasują w puszczy! - wrzasnął Billy Rogers.

Katinka zaszlochała na nowo i zakryła twarz rękoma.

- Nigdy nie miałam wobec was złych zamiarów. Proszę, wypuście mnie.

Karoca toczyła się równo po pustej ulicy. Kiedy zostało przed nimi tylko kilka domów, Althuda wstał nagle z miejsca i obejrzał się za siebie.

- Jakiś jeździec pędzi za nami galopem - zawołał, wskazując ręką wysypaną żwirem drogę wiodącą do odległego placu apelowego.

- Tak szybko? - mruknął Duży Daniel, osłaniając dłonią oczy. - Nie spodziewałem się jeszcze pogoni. Czy mają kawalerię, żeby ją za nami wysłać?

- Nie obawiajcie się, chłopcy - uspokoił ich Aboli. - W całej kolonii jest nie więcej niż dwadzieścia koni, a my mamy sześć z nich.

- Aboli ma rację. To tylko jeden człowiek - zawołał Wally Finch.

Jeździec pochylał się nad szyją wierzchowca, smagając go bezlitośnie trzymaną w prawej ręce szpicrutą i zmuszając biedne zwierzę do maksymalnego wysiłku. Był jeszcze daleko, ale Hal rozpoznał go po trzepoczącej w powietrzu szarfie.

- Słodka Maryjo, to Schreuder! Wiedziałem, że będziemy go mieli niedługo na karku! - zawołał, zaciskając szczęki. - Ten narwany głupek chce samotnie stawić nam czoło. Brakuje mu rozumu, ale nie można mu odmówić odwagi.

Siedzący na koźle Aboli zobaczył, że Hal mruży oczy i poprawia rękojeść szpady.

- Nie myśl nawet o tym, żeby z nim walczyć, Gundwane - zawołał, odgadując jego zamiary. - Opóźniając ucieczkę, narazisz na niebezpieczeństwo nas wszystkich.

- Boisz się, że nie dam mu rady, ale wiele się zmieniło. W głębi serca wiem, że potrafię go teraz pokonać.

To całkiem możliwe, pomyślał Aboli. Hal nie był już chłopcem. Miesiące ciężkiej pracy na murach zahartowały go i dorównywał teraz siłą Dużemu Danielowi.

- Zostawcie mnie tutaj. Załatwię tę sprawę jak mężczyzna z mężczyzną i dołączę do was później - zawołał.

- Nie, sir Hal - sprzeciwił się Duży Daniel. - Może i zdołałbyś go pokonać, ale nie z pogryzioną do kości nogą. Odlóż swoje porachunki z Holendrem na inną okazję. Jesteś nam potrzebny. Tuż za nim maszeruje sto zielonych kubraków.

- Nie rób tego! - zawołali zgodnie Wally i Stan. - Zostań z nami, kapitanie.

- Zaufaliśmy ci - dodał Ned Tyler. - Bez nawigatora nie znajdziemy drogi przez te pustkowia. Nie możesz nas teraz opuścić.

Hal wahał się, nie spuszczać z oczu zbliżającego się jeźdźca. A potem popatrzył na siedzącą w powozie dziewczynę. Sukeena wpatrywała się w niego błagalnie wielkimi ciemnymi oczyma.

- Jesteś ranny. Spójrz na swoją nogę.

Wychyliła się nad drzwiczkami powozu i dzieliło ich teraz tylko kilkanaście cali.

- Zostań z nami, Gundwane - szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszał jej głos przez tętent koni i turkot kół.

Hal spojrział na sączącą się z głębokich ran krew i jasną limfę. Kiedy się wahał, Duży Daniel wskoczył na stopień powozu.

- Ja się nim zajmę - oświadczył, biorąc muszkiet z rąk Alhudy, po czym wyskoczył z karocy, która potoczyła się dalej. Nie śpiesząc się, sprawdził lont i podsypkę prochu i spokojnie czekał na galopującego ku niemu pułkownika Schreudera.

Mimo wszystkich próśb i ostrzeżeń Hal został razem z nim.

- Nie zabijaj tego głupca, Danielu - bąknął.

Chciał wyjaśnić, że jego i Schreudera łączyło przeznaczenie i rycerski honor wymaga, aby nikt nie wtrącał się w ich spór, nie było jednak czasu, by wdawać się w tego rodzaju romantyczne subtelności.

Schreuder podjechał na odległość głosu i uniósł się w strzemionach.

- Kalinko! - zawołał. - Nie bój się, zaraz cię uratuję, kochana. Nie pozwolę porwać cię tym łotrom.

Wyciągnął zza szarfy pistolet z lejkowatą lufą i podniósł go wysoko, żeby rozzarzyć tłący się w zamku lont. A potem położył się płasko na szyi wierzchowca i wysunął do przodu pistolet.

- Z drogi, gamoni! - ryknął i pociągnął za cyngiel.

Siła odrzutu poderwała do góry jego rękę, nad głową zawirował obłok niebieskiego dymu, lecz kula chybiła, trafiając w ziemię kilkanaście cali od prawej nogi Daniela i obsypując go żwirem.

Schreuder odrzucił pistolet i wyciągnął z pochwy szpadę z Neptunem. W słońcu zabłysła pozłacana klinga.

- Odrąbię ci czaszkę do samych zębów! - wrzasnął, podnosząc broń w górę.

Daniel przyklęknął na jedno kolano, pozwalając, by koń przebiegł ostatnie kilka jardów.

Za blisko, pomyślał Hal. O wiele za blisko. Jeśli muszkiet nie wypali, Danny nie ma żadnych szans. Daniel jednak dokładnie wycelował i pociągnął za cyngiel. Przez chwilę Hal myślał, że spełniły się jego najgorsze obawy, ale potem rozległ się potężny huk, z lufy bluznął dym i ogień i muszkiet wypalił.

Może Daniel posłuchał Hala, a może koń stanowił po prostu większy i pewniejszy cel aniżeli jeździec na jego grzbiecie. Tak czy owak Daniel mierzył w szeroką, zlaną potem pierś zwierzęcia i ciężka ołowiana kula doszła celu. Rozpędzony rumak Schreudera przewrócił się, a pułkownik przeleciał nad jego głową, uderzając twarzą i ramieniem o ziemię.

Leżący na grzbiecie wierzchowiec wierzgał przez chwilę nogami i rzucał łbem, tocząc krew ze śmiertelnej rany. W końcu uderzył głucho głową o ziemię i wydawszy z siebie ostatnie parsknięcie, znieruchomiał.

Schreuder leżał bez ruchu na spieczonej przez słońce drodze i Hal przestraszył się, że ma złamany kark. Chciał podbiec i udzielić mu pomocy, lecz potem zobaczył, że pułkownik rusza się, i zmienił zdanie. Karoca oddalała się w szybkim tempie.

- Chodź, Gundwane! - wołał Aboli.

- Zostaw tego bękarta, sir Henry - wtórowali mu inni. Daniel złapał go za rękę.

- Drań nie jest jeszcze martwy, ale my na pewno pożegnamy się z życiem, jeśli będziemy tu stać na redzie - powiedział, ciągnąc go za sobą.

Przez kilka pierwszych jardów Hal opierał się i próbował wyrwać.

- To nie może się tak skończyć. Nie rozumiesz, Danny?

- Świetnie rozumiem - mruknął Daniel.

W tej samej chwili półprzytomny Schreuder usiadł na środku drogi. Żwir zdarł mu skórę z policzka, lecz on nie zważając na to, próbował wstać chwiejąc się, wywracając i ponownie gramoląc na nogi.

- Nic mu nie jest - stwierdził Hal z ulgą, która go niemal zdziwiła, i przestał się opierać Danielowi.

- Żebyś wiedział - zawołał Daniel, kiedy zrównali się z powozem. - Jest dość zdrowy, żeby dać ci porządnie w kość, kiedy się znowu spotkacie. Tego ptaszka nie pozbędziemy się tak łatwo.

Aboli zatrzymał powóz, żeby mogli go dogonić, i Hal złapał za uzdę prowadzącego konia. Rzucając spojrzenie przez ramię, zobaczył, że zakurzony i zakrwawiony Schreuder kuśtyka środkiem drogi, wymachując szpadą i zataczając się jak człowiek, który wypił butelkę taniego dżinu.

Powóz oddalał się od niego szybkim klusem i pułkownik zrezygnował rychło z prób jego dogonienia.

- Na Boga, Henry Courteney! - wrzasnął. - Jeszcze cię dopadnę, jeśli nawet będę musiał ścigać cię aż do bram piekła! Twój obraz wyryty jest w moim oku i w moim sercu!

- Ścigając mnie, nie zapomnij zabrać ze sobą szpady, którą mi ukradłeś! - odkrzyknął Hal. - Nadzieję cię na nią niczym prosiaka na diabelski ruszt.

Marynarze wybuchnęli śmiechem i pożegnali pułkownika szerokim repertuarem sprośnych gestów.

- Katinko! Moja ukochana! - ryknął Schreuder, zmieniając ton. - Nie upadaj na duchu! Ocalę cię, przysięgam na grób mojego ojca. Kocham cię nad życie.

W trakcie wymiany strzałów van de Velde kuczał na podłodze powozu, ale teraz usadowił się z powrotem na siedzeniu i z oburzeniem spojrzał na kontuzjowanego pułkownika.

- Czy on postradał zmysły? Jak śmie zwracać się do mojej żony w tak ohydny sposób? - Odwrócił się do Katinki, z czerwoną twarzą i podrygującym podbródkiem. - Ufam, że nie dałaś temu durnemu żołdakowi powodów do takiej konfidencji, Mevrouw.

- Zapewniam cię, Münheer, że jego język i słowa zaskakują mnie jeszcze bardziej niż ciebie. Czuję się głęboko urażona i proszę, żebyś przy pierwszej okazji przywołał go do porządku - odparła Kalinka, zaciskając palce jednej ręki na czepku, a drugiej na drzwiczkach powozu.

- Zrobię coś więcej, Mevrouw. Pułkownik Schreuder znajdzie się na pierwszym statku odpływającym do Amsterdamu. Nie zamierzam tolerować takich impertynencji. Co więcej, to on ponosi winę za tarapaty, w jakich się znaleźliśmy. Jako komendant zamku odpowiada za więźniów. To, że udało im się uciec, wynika z jego niekompetencji i zaniedbania obowiązku. Łajdak nie ma prawa mówić do ciebie w ten sposób.

- Owszem, ma wszelkie prawa - wtrąciła się słodkim głosem Sukeena. - Przysługują mi jako zdobywcy. Pańska żona fikała pod nim dość często nogami w powietrzu, żeby mógł ją nazywać swoją ukochaną, a nawet kurwą albo dziwką, jeśli chce być bliższy prawdy.

- Cicho, Sukeena - syknęła Kalinka. - Oszalałaś? Powinnaś znać swoje miejsce. Jesteś niewolnicą.

- Nie, Mevrouw. Nie jestem już niewolnicą. Jestem wolną kobietą i mam nad tobą władzę. Dlatego mogę mówić, co mi się podoba, zwłaszcza że mówię prawdę. Twoja żona i waleczny pułkownik - dodała, zwracając się do van de Veldego - chędożyli się tak bezwstydnie, że rozpowiadają o tym wszyscy mieszkańcy kolonii. Przyprawili ci parę rogów tak wielkich, że nie utrzyma ich nawet twoje rozdęte cielsko.

- Każę zedrzeć z ciebie pasy, ty żółta dziwko - wybełkotał bliski apopleksji van de Velde.

- Nie, nie zrobisz tego - odezwał się Allhuda, przykładając ostrze wysadzanej klejnotami szabli do obwisłego brzucha gubernatora. - Zamiast tego przeprosisz moją siostrę za obraźliwe słowa.

- Mam przeproszać niewolnicę? Nigdy w życiu! - prychnął van de Velde, lecz tym razem Althuda ukłął go bardziej zdecydowanie i prychnięcie zmieniło się w pisk, tak jakby powietrze uchodziło ze świńskiego pęcherza.

- Nie niewolnicę, lecz szlachetnie urodzoną balijską księżniczkę - poprawił go Allhuda. - Szybko!

- Proszę o wybaczenie, madame - wykrztusił przez zaciśnięte zęby van de Velde.

- Jesteś bardzo uprzejmy, panie - odparła z uśmiechem Sukeena.

Van de Velde odchylił się do tyłu i świdrując wzrokiem swoją żonę, nie odezwał się już ani słowem.

Kiedy minęli osiedle, nawierzchnia drogi wyraźnie się pogorszyła. Dostarczające drewna na opał furgony Kompanii zostawiły w niej głębokie koleiny i powóz zaczął się kołysać i niebezpiecznie przechylać. Przy skraju laguny woda zalała drogę i w wielu miejscach marynarze musieli przyłożyć ramiona do wysokich tylnych kół, żeby pomóc koniom wyciągnąć powóz z błota i mułu. Dochodziło południe, kiedy zobaczyli przed sobą drewniany mostek na pierwszej rzece.

- Żołnierze! - zawołał Aboli, dostrzegając z wysokiego kozła błysk bagnetu i wysokie hełmy.

- Jest ich tylko czterech - stwierdził Hal. Wciąż miał najbystrzejsze oczy z nich wszystkich. - Nie będą się spodziewali zagrożenia z tej strony.



Miał rację. Dowodzący strażą kapral wyszedł im na spotkanie, zdziwiony, lecz nie zaniepokojony, że spada w pochwie i z nie zapalonym lontem przy pistolecie. Hal i jego załoga rozbroili ich, rozebrali do samych bryczesów i pogonili z powrotem do kolonii, strzelając kilka razy na postrach nad głowami.

Aboli przejechał powozem przez most i ruszył prowadzącym dalej prymitywnym traktem, a Hal i Ned Tyler zeszli pod przęsło i przywiązali baryłkę prochu do drewnianego filaru. Hal wybił kolbą pistoletu denko w baryłce, wsadził do środka krótki lont i zapalił go. Następnie razem z Nedom wdrapali się z powrotem na most i pobiegli za powozem.

Hala coraz bardziej bolała noga. Była spuchnięta i sztywna, lecz nie zwracał na to uwagi i kuśtykając w głębokim do kostek piasku, obejrzał się przez ramię. Środek mostu uniósł się nagle w fontannie błota, wody, potrzaskanych desek i belek, a potem jego szczątki spadły z powrotem do rzeki.

- Nie zatrzyma to na długo pułkownika, ale będzie musiał przynajmniej zmoczyć bryczesy - mruknął Hal, doganiając powóz.

- Zajmij moje miejsce - zawołał Althuda, wyskakując z karocy. - Musisz oszczędzać nogę.

- Z moją nogą nie dzieje się nic złego - zaprotestował Hal.

- Nic złego poza tym, że nie utrzymuje już ciężaru twojego ciała - stwierdziła stanowczym tonem Sukeena, wychylając się przez drzwi. - Właź tu zaraz, Gundwane, bo zostaniesz kaleką na całe życie.

Hal wskoczył posłusznie do powozu i siadł naprzeciwko Sukeeny. Nie patrząc na nich, Aboli uśmiechnął się pod wąsem. Dziewczyna już wydaje mu rozkazy, a on słucha się jej jak trusia. Wygląda na to, że będą im sprzyjać wiatry i morskie prądy.

- Daj mi obejrzyć tę nogę - rozkazała Sukeena i Hal oparł ją na siedzeniu obok żony gubernatora.

- Uważaj, prostaku - syknęła Kalinka. - Zakrwawisz mi suknię.

- Jeśli się nie zamkniesz, zaraz zakrwawię ci coś więcej - odparł, rzucając jej groźne spojrzenie.

Katinka cofnęła się i skuliła w kącie karocy. Sukeena obejrzała szybko i fachowo jego ranę.

- Powinnam położyć gorący okład na te ukąszenia. Są głębokie i na pewno będą ropieć. Ale muszę mieć wrzącą wodę - stwierdziła, podnosząc wzrok.

- Będziesz musiała z tym poczekać, aż znajdziemy się w górach - odparł.

A potem rozmowa się urwała i przez chwilę spoglądali na siebie rozmarzonym wzrokiem. Nigdy jeszcze nie byli tak blisko siebie i każde z nich dostrzegало w drugiej osobie coś, co zaskakiwało i zachwycało.

W końcu Sukeena wstała z miejsca.

- W jukach są moje lekarstwa - powiedziała.

Wdrapała się szybko na siedzenie, żeby sięgnąć do kosza z tyłu powozu, i przez chwilę grzebała w skórzanych torbach. Karoca podskakiwała na wybojach i Hal z przyjemnością wpatrywał się w jej wycelowany w niebo okrągły tyłeczek. Chociaż osłaniały go liczne halki, uznał, że jest prawie tak samo uroczy jak jej buzia.

Sukeena wróciła na siedzenie z kilkoma kawałkami materiału i czarną butelką.

- Wymyję rany tym wywarem, a potem je zabandażuję - wyjaśniła, unikając spojrzenia zielonych oczu, które wprawiały ją w zmieszanie.

- Dosyć! - jęknął Hal, gdy dotknęła tamponem skraju rany. - To pali jak diabelski oddech.

- Wytrzymałeś chłostę, rany zadane szpadą i ukąszenie psa, ale przy pierwszym zetknięciu z lekarstwem płaczesz jak małe dziecko - skarciła go. - Nie ruszaj się.

Żłobiące twarz Abolego tatuaże wykrzywiły się w uśmiechu. Choć trzęsły mu się plecy, nie wydał z siebie głosu.

Hal wyczuł jego wesołość i skoncentrował atak na nim.

- Jak daleko mamy do żywoplotu z migdałowców? - zapytał.

- Jeszcze cztery mile.

- Czy spotkamy się tam z Sabahem?

- Chyba tak, jeśli wpraw nie dopadną nas zielone kubraki.

- Moim zdaniem mamy trochę czasu. Schreuder popełnił błąd, ruszając za nami samotnie w pogoń. Powinien zebrać oddziały i zarządzić regularny pościg. Myślę, że większość żołnierzy ściga teraz więźniów, których uwolniliśmy. Ruszą za nami dopiero wtedy, kiedy Schreuder obejmie dowództwo.

- A on nie ma konia - dodała Sukeena. - Chyba uda nam się uciec, a kiedy już znajdziemy się w górach...

Urwała i podniosła wzrok. Razem z Halem spojrzeli na wznoszące się przed nimi wysokie błękitne zbocza.

Van de Velde pilnie śledził ich rozmowę i teraz uznał za stosowne się wtrącić.

- Ta niewolnica ma rację - oznajmił. - Niestety udało wam się zrealizować wasz podstępny plan. Ale ja jestem rozsądnym człowiekiem, Henry Courteney. Uwolnij teraz mnie

i moją żonę. Zwróć nam karocę i pozwól wrócić do kolonii. W zamian za to uroczymie przyrzekam odwołać pościg. Każę pułkownikowi Schreuderowi odesłać jego ludzi z powrotem do koszar. - Odwrócił się do Hala z miną, która miała świadczyć o jego szczerości i dobrych zamiarach. - Daję ci na to słowo dżentelmena.

Hal zobaczył w jego oczach podstęp i złą wolę.

- Nie jestem pewien, czy słusznie uważasz się za dżentelmena, Ekscelencjo - odparł. - A poza tym nie chcę tak szybko rezygnować z twego uroczego towarzystwa.

W tym momencie jedno z przednich kół wpadło w dziurę.

- To aardvark ryją te nory - wyjaśnił Althuda, kiedy Hal wygramolił się z przechylonego powozu.

- Na Boga, cóż to za istoty? Ludzie czy zwierzęta?

- To świny z długim ryjem i grubym ogonem, które ryją potężnymi pazurami ziemię w poszukiwaniu mrówek i pożerają je długim lepkiem jęzorem.

Hal odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

- Jasne, już ci wierzę. Tak samo jak w to, że te twoje świny fruują, tańczą i przepowiadają przyszłość z kart.

- Musisz się jeszcze nauczyć wielu rzeczy o ziemiach, które przed nami leżą, przyjacielu - odparł Althuda.

Wciąż się śmiejąc, Hal odwrócił się do swoich marynarzy.

- Chodźcie, chłopcy! - zawołał. - Ściągnijmy ten statek z rafy i ustawmy go z powrotem rufą do wiatru.

Kazał Katince i van de Veldemu wsiąść i razem z innymi stanął w zaprzęgu, żeby pomóc koniom wyciągnąć powóz. Po kilku chwilach ruszyli dalej, ale droga zrobiła się prawie nieprzejezdna, a busz po obu stronach coraz wyższy i gęstszy. Pokonując następną milę, jeszcze dwa razy wpadli do dziury.

- Pora już chyba pozbyć się powozu. Szybciej dotrzemy na piechotę - szepnął Hal do Abolego. - Ile zostało nam do żywopłotu?

- Moim zdaniem powinniśmy już być niedaleko.

Dotarli do granicy za następnym zakrętem wąskiego traktu. Osławiony żywopłot okazał się mocno przeredzonymi chaszczami, sięgającymi ramienia, lecz droga kończyła się przy nim na dobre. W prymitywnej chacie mieściła się graniczna wartownia, tuż obok stała tablica w języku holenderskim.

UWAGA! - zaczynał się wykaligrafowany szkarłatnymi literami napis, ostrzegając następnie, że za przekroczenie granicy grozi kara więzienia, grzywna w wysokości tysiąca

guldenów, bądź też jedno i drugie. Tablicę postawiono w imieniu gubernatora Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Hal otworzył kopniakiem drzwi jednoizbowej chaty. W środku nie było nikogo. Popiół w otwartym palenisku był zimny, na wbitych w ścianę drewnianych kołkach znajdowało się kilka wojskowych mundurów. Nad paleniskiem wisiał czarny kociołek, a na półkach i nie oheblowanym stole stały zdekompletowane miski, butelki i sztućce.

Duży Daniel miał zamiar przytknąć lont do słomianej strzechy, ale Hal powstrzymał go.

- Nie ma sensu dawać Schreuderowi sygnałów dymnych, a poza tym nie widzę tu nic wartościowego - powiedział i kulejąc wyszedł na zewnątrz.

Marynarze rozładowywali powóz. Aboli wypręgał konie, a Ned Tyler pomagał mu sporządzić prowizoryczne juki, używając do tego uprzęży i płóciennego dachu karocy.

Katinka stała na uboczu przy swoim mężu.

- Co się ze mną stanie, sir Henry? - szepnęła, kiedy do niej podszedł.

- Niektórzy z moich ludzi chcą cię zabrać w góry i rzucić dzikim bestiom na pożarcie - odparł. Katinka podniosła rękę do ust i pobałdła. - Inni chcą ci poderżnąć gardło już tutaj za to, co zrobiliście nam ty i ta tłusta ropucha, którą nazywasz swoim mężem.

- Na pewno nigdy na to nie pozwolisz - stwierdził hardo van de Velde. - Spełniłem tylko swój obowiązek.

- Masz rację - zgodził się Hal. - Myślę, że poderżnięcie wam gardel to zbyt łagodna kara. Powinniśmy z was wypruć flaki i powiesić. Na taką właśnie śmierć skazałeś mojego ojca. - Gubernator zadrżał, nie mogąc znieść jego chłodnego spojrzenia. - Z drugiej strony mam już serdecznie dosyć was obojga. Nie chcę mieć z wami więcej do czynienia i dlatego zostawiam was teraz na łasce Boga, szatana oraz kochliwego pułkownika Schreudera.

Hal odwrócił się i podszedł do Abolego i Neda, którzy mocowali bagaż na końskich grzbietach. Trzy siwki dźwigały po dwie baryłki z prochem, dwa zawinięta w płótno broń, a szósty pękate torby Sukeeny.

- Melduję, że statek jest gotowy do wyjścia w morze, kapitanie - oznajmił Ned salutując. - Możemy podnieść kotwicę i ruszać w drogę.

- Nic nas tu nie zatrzymuje. Księżniczka Sukeena pojedzie na pierwszym koniu. - Hal rozejrzał się dookoła. - Gdzie ona jest?

- Tutaj, Gundwane - odparła Sukeena, wychodząc zza chaty. - I nie potrzebuję żadnych specjalnych względów. Będę szła pieszo tak jak wy wszyscy.

Hal zobaczył, że zdjęła długą spódnicę i ma teraz na sobie bufiaste balijskie pantalony i luźną bawełnianą koszulę, która sięgała jej do kolan. Na głowie zawiązała bawełnianą chustę, a na stopach miała porządne skórzane sandały, nadające się do pieszej wędrówki. Mężczyźni gapili się na wystające spod pantalonów łydki, ale ona zignorowała ich grubiańskie spojrzenia, wzięła za wodze najbliższego konia i przeprowadziła go przez lukę w żywopłocie.

- Sukeena! - zawołał Hal. Chciał ją zatrzymać, lecz ona wyczuła w jego głosie mentorski ton i w ogóle nie zareagowała. Nie chcąc wystawiać się na pośmiewisko, mądrze zmienił następny rozkaz. - Althuda, ty jeden znasz prowadzące stąd ścieżki. Idź przodem razem z twoją siostrą.

Althuda pobiegł za nią i oboje powiedli ich przez leżącą za żywopłotem ziemię nieznaną.

Hal i Aboli zamykali kolumnę posuwającą się przez gęste zarośla. Żaden człowiek nie szedł ostatnio tą ścieżką. Korzystały z niej dzikie zwierzęta; na miękkiej piaszczystej ziemi widać było wyraźnie ślady łap i kopyt i co jakiś czas mijali ich odchody.

Aboli potrafił rozpoznać wszystkie tropy i maszerując szybko, pokazywał je Halowi.

- Tędy szedł leopard, a tam jest trop antylopy z zakrzywionymi rogami, którą nazywamy kudu. Nie będziemy przynajmniej głodować - dodał. - W tej okolicy jest mnóstwo zwierzyny.

Od dawna nie mieli okazji ze sobą porozmawiać i Hal zadawał mu teraz ciche pytania.

- Ten Sabah, przyjaciel Althudy. Co o nim wiesz?

- Znam tylko listy, które przysyłał.

- Czy nie miał się z nami spotkać przy żywopłocie?

- Napisał tylko, że poprowadzi nas w góry. Myślałem, że będzie na nas czekał przy żywopłocie - potwierdził Aboli, wruszając ramionami - ale mając za przewodnika Althudę, nie potrzebujemy go.

Posuwali się szybko do przodu, trzymając wodze kłusującej między nimi siwej klaczy. Aboli wdrapywał się po drodze na każde większe drzewo, które mogło utrzymać jego ciężar, i wypatrywał śladów pogoni. Po zejściu na dół za każdym razem potrzasał głową.

- Schreuder będzie nas ścigał - stwierdził Hal. - Słyszałem, że jego żołnierze potrafią dogonić jeźdźca na koniu. Jeszcze ich zobaczymy.

Utrzymywali równe tempo, zatrzymując się tylko przy mijanych bagnistych bajorkach. Hal trzymał się mocno wodzy, żeby oszczędzić ranną nogę. Kuśtykając słuchał Abolego, który relacjonował mu, co zdarzyło się w czasie, kiedy się nie widzieli. Milczał, gdy

Aboli opowiedział w swoim własnym języku, jak wykradł ciało sir Francisa z szubienicy i wyprawił mu pogrzeb.

- To był pogrzeb, jaki należy się wielkiemu wodzowi. Odziałem go w skórę wielkiego czarnego bawołu i położyłem mu przy ręce broń i statek. Zostawiłem mu jedzenie i wodę na podróż, a także krzyż jego Boga.

Hal miał zbyt ściśnięte gardło, żeby podziękować Abolemu za to, co zrobił.

Mijały kolejne godziny i tempo ich marszu spadło. Ludzi i konie zmęczyła wędrówka po miękkim sypkim piasku. Przy następnych moczarach zatrzymali się na kilka minut odpoczynku i Hal odprowadził Sukeenę na bok.

- Jesteś silna i dzielna, ale twoje nogi nie są tak długie jak nasze i widzę, że potykasz się ze zmęczenia. Od tej chwili musisz jechać konno. - Kiedy chciała zaprotestować, stanowczo ją powstrzymał. - Słucham cię w kwestiach dotyczących mojej rany, jeśli jednak chodzi o pozostałe sprawy, ja jestem tu kapitanem i musisz robić to, co mówię. Dalej pojedziesz konno.

Sukeena zamrugała oczyma, a potem złożyła pokornie razem ręce i dotknęła nimi warg.

- Jak sobie życzysz, panie - odparła i pozwoliła, żeby podsadził ją na skórzane torby na grzbiecie siwka prowadzącego pochód.

Minęli moczary i ruszyli teraz trochę szybciej. Aboli jeszcze dwa razy wdrapał się na drzewo, ale nie zobaczył śladu pogoni. Wbrew temu, co podpowiadał mu instynkt, Hal zaczynał mieć nadzieję, że udało im się zmylić ścigających i bez przeszkód dotrą do gór, które wznosiły się przed nimi coraz bliżej i wyżej.

Po południu przecięli vlei, szeroką otwartą sawannę, porośniętą niską zieloną trawą, na której pasły się stada antylop z szablistymi rogami. Zastygłe w bezruchu zwierzęta przyglądały się ze zdumieniem zbliżającej się karawanie koni i ludzi. Ich niebieskawoszara sierść połyskiwała metalicznie w popołudniowym słońcu.

- Nawet ja nie widziałem nigdy podobnych bestii - przyznał Aboli.

- Holendrzy nazywają je blaauwbok, błękitnymi kozłami - powiedział Althuda, kiedy antylopy uciekły przed nimi, wzniesając tumany kurzu. - Widziałem ich wielkie stada na równinach za górami.

Za sawanną teren zaczął się wznosić. Przecinały go niewysokie wzgórza poprzedzające główne pasmo gór. Kiedy wspinali się na pierwsze z nich, Hal zaczął zostawać w tyle. Poruszał się teraz z trudem i z wyraźnym bólem. Aboli widział, że twarz ma czerwoną



od gorączki, a przez materiał, którym Sukeena obandażowała jego nogę, sączy się krew i wodnista ciecz.

Na szczycie wzniesienia zarządził postój. Przez chwilę spoglądali na wznoszącą się na zachodzie wielką Górę Stołową. Po lewej stronie wyłoniło się szerokie błękitne półkole Fałszywej Zatoki. Byli jednak zbyt zmęczeni, by długo podziwiać widok. Konie stały ze zwieszonymi łbami, a mężczyźni rozciągnęli się na ziemi tam, gdzie mogli znaleźć kawałek cienia. Sukeena zeskoczyła z konia i podbiegła do Hala, który oparł się plecami o nieduży pień drzewa. Uklękła przed nim, odwinęła bandaż z nogi i syknęła cicho, widząc, jak bardzo jest spuchnięta i zaogniona. Pochyliła się niżej i powąchała ciecz sączącą się z rany. Kiedy się odezwała, jej ton nie dopuszczał sprzeciwu.

- Nie możesz dalej iść. Musisz jechać konno tak jak ja. Rozpal ognisko, żeby zagotować wodę - zwróciła się do Abolego.

- Nie mamy czasu na takie głupstwa - mruknął bez przekonania Hal, lecz oni zignorowali jego protesty.

Aboli zapalił od lontu pistoletu niewielkie ognisko i postawił na nim cynowy kubek z wodą. Kiedy się zagotowała, Sukeena sporządziła maść z ziół, które miała w swoich torbach, nałożyła ją na zwiniętą szmatkę i wciąż parującą przyłożyła do ran po ukąszeniu.

- Wolałbym, żeby Aboli naszczał mi na nogę - jęknął Hal - niż pozwolić, byś paliła ją tymi swoimi diabelskimi wywarami.

Sukeena zignorowała jego niewyparzony język i robiła dalej, co do niej należało. Obwiązała kompres świeżym bandażem, a potem wyjęła z torby bochenek chleba i pęta suszonej kielbasy. Pokroiła chleb na kromki, wsadziła między nie kielbasę i rozdała wszystkim mężczyznom.

- Niech cię Bóg błogosławi, Księżniczko - podziękował jej Duży Daniel i biorąc swoją porcję, zasalutował, dotykając palcami czoła.

- Bóg zapłać, Księżniczko - odezwał się Ned i od tej pory przylgnął do niej ten tytuł.

Była odtąd ich księżniczką i nieokrzesani marynarze patrzyli na nią z coraz większym szacunkiem i rodzącym się uczuciem.

- Możecie jeść w drodze, chłopcy. - Hal stanął z trudem na nogi. - Jak dotąd mieliśmy sporo szczęścia. Teraz może się od nas odwrócić.

Jęcząc i mamrocząc pod nosem ruszyli za nim. Hal pomógł Sukeenie wsiąść na konia.

- Sukinsyny w końcu się pojawiły - zawołał nagle Daniel, wskazując na zieloną sawannę u stóp wzgórza.

Hal pokuśtykał z powrotem na tył karawany. Spoglądając w dół zbocza zobaczył długą kolumnę biegnących mężczyzn, którzy wynurzyli się właśnie z buszu i przemierzali otwarty teren. Prowadził ich jadący klusem jeździec.

- To znowu Schreuder. Znalazł sobie innego wierzchowca.

Nawet z tak dużej odległości nie było wątpliwości, że to pułkownik. Wysoki i arogancki trzymał się mocno w siodle i dało się zauważyć jakąś morderczą zaciekłość w zarysie jego ramion i sposobie, w jaki zadzierał głowę, wpatrując się w stok. Było jasne, że nie dostrzegł ich jeszcze w gęstym buszu.

- Iu jest z nim ludzi? - zapytał Ned Tyler i wszyscy spojrzeli na Hala.

Zmrużywszy oczy, przyglądał się przez chwilę wyłaniającym się z zarośli mężczyznom. Biegąc zamaszystym truchtem, z łatwością dotrzymywali kroku Schreuderowi.

- Dwudziestu - odparł.

- Dlaczego tak mało? - zdziwił się Duży Daniel.

- Schreuder wybrał na pewno najszybszych biegaczy, żeby nas przycisnęli. Reszta podąży za nimi tak szybko, jak może. - Hal osłonił oczy dłonią. - Tak, na Boga, widzę ich. Biegają jakąś milę za pierwszą grupą, ale bardzo się śpieszą. Widzę tumany kurzu i hełmy nad zaroślami. Musi ich być co najmniej setka.

- Z dwudziestoma moglibyśmy sobie jeszcze poradzić - mruknął Duży Daniel. - Ale setka zielonych kubraków to trochę za dużo jak na pierwsze śniadanie. Może mi się po nich odbijać. Jakie rozkazy, kapitanie? - zapytał i wszyscy spojrzeli na Hala.

Ten zastanawiał się przez chwilę, badając wzrokiem ukształtowanie leżącego niżej terenu.

- Mistrzu Danielu, zabierzesz ludzi i pójdziecie do przodu. Będzie was prowadził Althuda. Ja i Aboli zostaniemy tutaj z jednym koniem, żeby opóźnić ich pochód.

- Nie jesteśmy w stanie przed nimi uciec. Udowodnili nam to, kapitanie - zaprotestował Daniel. - Czy nie będzie lepiej stawić im tutaj czoło?

- Dałem ci rozkaz - stwierdził Hal, mierząc go chłodnym wzrokiem.

Daniel dotknął palcami czoła.

- Tak jest, kapitanie - odparł i odwrócił się. - Słyszeliście rozkazy, chłopcy.

Hal pokuśtykał do siedzącej na koniu Sukeeny. Althuda trzymał w ręku wodze.

- Musicie iść dalej, cokolwiek się wydarzy. Pod żadnym pozorem nie wolno wam wracać - powiedział mu Hal i uśmiechnął się do Sukeeny. - Nawet jeśli będzie sobie tego życzyła jej książęca wysokość.

Nie odwzajemniając jego uśmiechu, nachyliła się do Hala.

- Będę na ciebie czekała na szczycie góry - szepnęła. - Nie pozwól, aby to trwało zbyt długo.

‘ Althuda poprowadził do przodu kolumnę i kiedy stanęli na grani, z dołu dobiegł ich okrzyk stłumiony przez odległość.

- Odkryli nas - mruknął Aboli.

Hal podszedł do jedyne go konia, jaki im pozostał, zdjął mu z grzbietu pięćdziesięciofuntową baryłkę prochu i postawił ją na ziemi.

- Zabierz konia i ruszaj w ślad za innymi - powiedział Abolemu. - Niech Schreuder zobaczy, że odchodzisz. Przywiąż konia gdzieś za granią i wróć do mnie.

Podtoczył baryłkę do najbliższej skały, ukucnął przy niej i wystawiając na zewnątrz tylko czubek głowy, ponownie przyjrzał się zbocz. A potem skupił uwagę na Schreuderze i jego oddziale zielonych kubraków. Znajdowali się teraz o wiele bliżej; widział, że dwóch Hotentotów wyprzedziło jadącego na koniu pułkownika. Wpatrując się przez cały czas w ziemię, szli dokładnie tą samą trasą, którą przebyli uciekinierzy.

Potrafią czytać nasze ślady niczym psy biegnące tropem jelenia, pomyślał. Wejdą na górę tą samą drogą co my. Po kilku chwilach przykucnął obok niego Aboli.

- Koń jest przywiązany, a nasi szybko się oddalają. Jaki masz plan, Gundwane?

- Jest tak prosty, że nie muszę ci go chyba przedstawiać - odparł Hal. Wybił rękojeścią szpady szpunt z beczki i rozwinął lont, którym obwiązał się wcześniej w pasie. - Ten lont to diabelski wynalazek. Pali się za szybko albo za wolno. Damy go ze trzy palce - mruknął, po czym uciął odpowiedni odcinek i przez chwilę rolował go delikatnie między palcami, żeby bardziej równomiernie się palił. A potem wsunął końcówkę do środka beczki i zabezpieczył ją, wbijając z powrotem drewniany szpunt.

- Lepiej się pośpiesz, Gundwane. Twojemu staremu znajomemu bardzo zależy, żeby znów skrzyżować z tobą szpady.

Hal podniósł wzrok i zobaczył, że pierwszy pluton minął vlei i wspina się teraz po zbocz. w ich kierunku.

- Nie wychylaj się - przykazał Abolemu. - Chcę, żeby podeszli bardzo blisko.

Leżąc płasko na brzuchach, zerkali w dół. Siedzący wysoko w siodle Schreuder był teraz całkowicie widoczny, ale dwaj prowadzący go zwiadowcy tonęli do pasa w kosodrzewinie i obsypanych kwiatami krzewach. Kiedy się zbliżyli, Hal dostrzegł brzydkie zadrapania na twarzy pułkownika oraz rozdarcia i brud na jego mundurze. Nie miał na głowie kapelusza ani peruki; zgubił je prawdopodobnie w drodze, być może kiedy spadł z siodła.

Zawsze taki próżny, tym razem nie tracił czasu, żeby je odzyskać - tak bardzo mu się śpieszyło.

Jego ogolona czaszka była zaróżowiona od słońca, a koń pokryty pianą. Być może nie zadbał o to, by napić go podczas długiego pościgu. Zbliżając się, nie spuszczał oczu z grani, na której po raz ostatni widział zbiegów. Jego twarz zastygła w kamienną maskę i Hal widział, że w tym stanie ducha gotów jest podjąć każde ryzyko i stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Na stromym zboczach nawet niestrudzeni zwiadowcy zaczęli zwalniać. Hal słyszał ich chrapliwy oddech i widział pot spływający po płaskich azjatyckich twarzach.

- Szybciej, hultaje! - popędzał ich Schreuder. - W takim tempie nigdy ich nie dogonicie. Biegiem do przodu! Zwiadowcy rzucili się na czworakach pod górę.

- Doskonale. Idą naszym śladem, dokładnie tak jak się spodziewałem - mruknął Hal, po czym przekazał szeptem ostatnie instrukcje Abolemu. - Zaczekaj na mój znak - przypomniał na koniec.

Ścigający byli tak blisko, że słyszał tupot bosych stóp Hotentotów, skrzypienie uprząży Schreudera i brzęk jego ostróg. Widział kropelki potu zdobiące koniuszki jego wąsów i błękitne żyłki w wytrzeszczonych oczach, wlepionych obsesyjnie w grani i wypatrujących tam wroga, który czał się o wiele bliżej.

- Uwważaj - szepnęła, przytykając lont pistoletu do lontu w baryłce, który zabłysnął, zaskwierczał i zaczął się palić. Płomyk biegł szybko w stronę zaszpunktowanej dziury. - Teraz!

Aboli złapał oburącz baryłkę i zerwał się na nogi tuż przed końskimi kopytami. Dwaj Hotentoci wrzasnęli ze strachu i prysnęli na boki, a koń spłoszył się i stanął dęba. Schreuder przywarł kurczowo do jego karku.

Murzyn stał przez chwilę bez ruchu, trzymając baryłkę wysoko nad głową. Lont skwierczał i syczał jak rozwścieczona żmija, a smugi dymu oplotły jego głowę niczym błękitna aureola. A potem cisnął baryłkę w dół. Obróciła się leniwie w powietrzu, uderzyła w skalisty grunt i potoczyła po zboczach, podskakując i nabierając szybkości. Trafiony przez nią w pysk wierzchowiec pułkownika stanął po raz drugi dęba i Schreuder, któremu udało się właśnie odzyskać równowagę, przywarł ponownie do jego karku. Prawa noga wypadła mu jednak ze strzemienia i zawisł niezgrabnie w siodle.

Koń wykonał obrót i skoczył w dół, o mało nie tratując idących tuż za nim żołnierzy. Kiedy oszalały wierzchowiec i tocząca się baryłka wpadły razem w środek plutonu, Hotentoci zawyli z przerażenia. Wszyscy widzieli skwierczący lont i zdawali sobie sprawę, że zaledwie

kilka sekund dzieli ich od straszliwej eksplozji. Zamiast uciekać na boki, większość pierzchła instynktownie w dół. Podskakująca po zboczu baryłka zbijiała ich z nóg.

Wierzchowiec poślizgnął się i zaczął zjeżdżać na zadzie. Wodze trzasnęły w rękę jeźdźca, a jego druga dłoń puściła łąk siodła. Schreuder spadł na ziemię daleko poza zasięgiem kopyt swego konia i dokładnie w tej samej chwili eksplodowała baryłka z prochem. Upadek uratował mu życie, ponieważ wylądował za niewielką skalną ostrogą, która osłoniła go przed główną falą uderzeniową.

Wybuch nie oszczędził jednak jego ludzi. Ci, którzy znajdowali się bliżej, polecili w górę niczym płonące liście z ogrodowego ogniska. Z poszarpanych ciał opadły mundury, a wyrwana z czyjś barku ręka wbiła się szerokim łukiem w górę i wylądowała tuż przy nodze Hala. Siła wybuchu zwała z nóg i jego, i Abolego. Choć ogłuszony, Hal podniósł się szybko i ze zgrozą przyjrzał spustoszeniu, które spowodowali.

Żaden z nieprzyjacielskich żołnierzy nie ostał się na nogach.

- Na Boga, zabiłeś ich wszystkich - stwierdził z podziwem Hal, ale już po chwili z kosodrzewiny dobiegły ich żalosne jęki i krzyki. Najpierw jeden, a potem kolejni żołnierze dźwigali się, półprzytomnie na nogi.

- Chodźmy!

Murzyn złapał Hala za rękę i pociągnął go za sobą na szczyt grani. Zanim zbiegli na dół, Hal obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Schreuder podniósł się z ziemi. Chwiejąc się jak pijany, stał nad swoim martwym wierzchowcem. Był do tego stopnia oszołomiony, że na oczach Hala ugięły się pod nim nogi. Usiadł ciężko wśród liści i połamanych gałęzi i zakrył twarz rękoma.

Aboli puścił Hala i wziął szpadę do prawej dłoni.

- Mogę wrócić i go wykończyć - szepnął. Ta propozycja wyrwała Hala z odrętwienia.

- Zostaw go! Niehonorowo byłoby zabić go teraz, kiedy nie jest w stanie się bronić.

- W takim razie zmywajmy się stąd, i to szybko - mruknął Aboli. - Udało nam się posłać ten jeden oddział na rafy, ale spójrz! Reszta zielonych kubraków jest już niedaleko.

Hal otarł z twarzy pot i kurz i zamrugał oczyma, żeby lepiej widzieć. Aboli miał rację. Tuman pyłu wznoszony przez drugi nieprzyjacielski oddział wisiał teraz nad buszem po przeciwnej stronie vlei i szybko się zbliżał.

- Jeśli ruszymy ostro z kopyta, nie dogonią nas do zachodu słońca. A wtedy będziemy już wysoko w górach - stwierdził Aboli.

Po kilku krokach pod Halem ugięła się ranna noga i z trudem odzyskał równowagę, podskakując na zdrowej. Aboli podał mu bez słowa dłoń i pomógł biec po kamienistym

gruncie. Kiedy dotarli do miejsca, w którym uwiązał wierzchowca, podsadził go na koński grzbiet i wziął do ręki lejce. Tym razem Hal nie protestował.

- Którędy idziemy? - zapytał.

Wznoszący się przed nimi masyw przecinał labirynt głębokich wąwozów i stromych grani, porośniętych gęstym lasem i kosodrzewiną. Nie widział tam żadnej ścieżki ani przejścia.

- Althuda zna drogę i zostawił nam znaki. Na ziemi można było dostrzec ślady pięciu koni i grupy zbiegów, ale żeby dodatkowo ułatwić im zadanie, Althuda zdarł korę z drzew rosnących wzdłuż trasy ucieczki. Aboli i Hal podążali ich tropem najszybciej, jak mogli. Ze szczytu następnego wzniesienia zobaczyli małe sylwetki koni, które przecinały otwarty teren dwie albo trzy mile przed nimi. Hal dostrzegł nawet Sukeenę, która siedziała na grzbiecie prowadzącej klaczy. Srebrzysta maść koni sprawiała, że lśniły niczym lustra w otaczającym je ciemnym buszu.

- To piękne zwierzęta - mruknął - ale przyciągają oko przeciwnika.

- Trudno o lepsze konie w zaprzęgu wytwornego powozu - zgodził się Aboli - lecz w górach szybko zmarnieją. Musimy je porzucić, bo inaczej połamią sobie te śliczne pęciny na głazach i skalnych szczelinach.

- Chcesz zostawić je Holendrom? - zdziwił się Hal. - Dlaczego nie zakończyć ich cierpień kulą z muszkietu?

- Dlatego, że są piękne, i dlatego, że je kocham - odparł półgłosem Aboli, klepiąc po karku siwą klacz, która spojrzała na niego jednym okiem i zarżała cicho, odwzajemniając jego afekt.

Hal roześmiał się.

- Ona też cię kocha. Oszczędzimy je ze względu na ciebie.

Zbiegli na dół i zaczęli wspinać się na kolejne wzniesienie. Ścieżka była coraz bardziej stroma, granie wydawały się wisieć nad ich głowami. Na szczycie znowu przystanęli, żeby się rozejrzeć i pozwolić odetchnąć klaczy.

- Wygląda na to, że Althuda zmierza w stronę tego ciemnego wąwozu. - Hal osłonił dłonią oczy. - Widzisz ich?

- Nie. Zasłaniają ich te wzgórza i drzewa - mruknął Aboli i obejrzał się do tyłu. - Ale popatrz za siebie, Gundwane!

Odwrócił się i spojrzał we wskazanym przez Abolego kierunku.

- Jak mogli tak szybko zmniejszyć dzielący nas dystans! - zawołał z bólem. - Doganiają nas, jakbyśmy stali w miejscu.



Kolumna zielonych kubraków wyłoniła się zza wzgórza bezpośrednio za nimi niczym wojownicze mrówki z przewróconego kopca. Hal mógł ich z łatwością policzyć i rozpoznać białych oficerów. Popołudniowe słońce migotało na ich bagnetach i usłyszał niewyraźne, lecz radosne okrzyki, gdy ujrzeli, że tak mała odległość dzieli ich od ściganej zwierzyny.

- Jest tam i Schreuder! Na Boga, ten człowiek to potwór! Czy nie ma sposobu, żeby go zatrzymać? - Pozbawiony konia pułkownik biegł równym truchtem z tyłu rozciągniętej kolumny i na oczach Hala wyprzedził jednego z żołnierzy. - Biegnie szybciej niż jego Hotentoci. Jeśli będziemy tu dłużej stać, dopadną nas, nim dotrzemy do wejścia wąwozu.

Zbocze było tak strome, że klacz nie mogła iść prosto pod górę i ścieżka zaczęła biec zygzakiem. Z dołu dobiegały ich kolejne radosne okrzyki. Zobaczyli, że kolumna żołnierzy rozciągnęła się na długość ponad jednej mili. Pierwsi ścigający byli już o wiele bliżej.

- Niedługo znajdziemy się w zasięgu ich strzału - ocenił Hal.

Chwilę później jeden z prowadzących żołnierzy przyklęknął za skałą i długo celował, nim strzelił. Zobaczyli obłoczek dymu nad lufą i dopiero po jakimś czasie dobiegł ich głuchy łoskot wystrzału. Kula odłupała okruch skały pięćdziesiąt stóp pod miejscem, w którym stali.

- Wciąż za daleko. Niech marnują proch.

Siwa klacz ruszyła pod górę po skalnych stopniach, stąpając znacznie pewniej, niż się tego spodziewał Hal. Po chwili dotarli do kolejnego zakrętu i pomaszerowali z powrotem w poprzek zbocza. Zbliżali się teraz pod ostrym kątem do ścigających i dzieląca ich odległość zmniejszała się jeszcze szybciej.

Idący niżej żołnierze powitali ich triumfalnymi okrzykami. Kilku położyło się na ziemi, żeby odpocząć i uspokoić bijące szybko serca i drżące dłonie. Inni sypali proch na panewki i zapalali lonty, szykując się do strzału, kiedy siwa klacz i jej jeździec znajdą się w ich zasięgu.

- Do stu diabłów! - mruknął Hal. - To tak jakbyśmy żeglowali prosto na nieprzyjacielskie kolubryny!

Nie mieli jednak gdzie uciec ani gdzie się schować i wspinali się dalej ścieżką. Hal ujrzał teraz lepiej Schreudera; nie spuszczać z nich wzroku, zbliżał się powoli do czoła kolumny. Nawet z tak dużej odległości widać było, że do przodu gna go jakaś nadprzyrodzona siła - jego twarz była wycieńczona i ściągnięta bólem, a mundur podarty, brudny i mokry od potu i krwi, która sączyła się z kilkunastu zadrapań i otarć. Pierś unosiła mu się ciężko w oddechu, lecz w zapadłych oczach płonęła nienawiść. Nie mając siły krzyknąć ani potrząsać bronią, wpatrywał się nieprzejednanie w Hala.

Jeden z Hotentotów strzelił i kula zaświstała tuż nad ich głowami. Aboli popędzał klacz kroczącą po stromej nierównej ścieżce, lecz przez jeszcze co najmniej kilka minut mieli znajdować się w zasięgu strzału. Kolejni żołnierze zaczęli ostrzeliwać ich z biegnącej dołem ścieżki. Kule z muszkietów waliły w otaczające skały. Niektóre rozplaszczały się przy uderzeniu, inne obsypywały ich skalnymi okruchami lub odbiwszy się rykoszetem, spadały w dolinę.

Klacz dotarła bezpiecznie do kolejnego zakrętu i ruszyła dalej. Teraz odległość zaczęła się powiększać. Hotentoci zerwali się na nogi i puścili w pogoń. Kilku próbowało się wspinać prosto pod górę, chcąc skrócić sobie drogę, ale zbocze okazało się zbyt strome nawet dla ich zwinnych stóp. Zrezygnowawszy, ześlizgnęli się z powrotem na biegnącą zygzakiem ścieżkę i ruszyli za swymi kompanami dłuższą, lecz łagodniejszą trasą.

Część żołnierzy kłęczała na ścieżce, czyszcząc gorączkowo wyciorami lufy, podsypując proch na panewki i ładując ponownie broń. Schreuder, który obserwował kanonadę, opierając się o skałę i starając się uspokoić walące wściekle serce i chrapliwy oddech, wyprostował się teraz, odebrał naładowany muszkiet jednemu ze swoich Hotentotów i odepchnął go na bok.

- Jesteśmy poza zasięgiem strzału - zdziwił się Hal. - Dlaczego to robi?

- Bo oszalał z nienawiści do ciebie - odparł Aboli. - Tylko dzięki diabelskiej mocy trzyma się jeszcze na nogach.

Schreuder zdjął szybko kurtkę munduru, ułożył zwiniętą na skale i oparł o nią forkiet. A potem zbliżył oko do zamka i ustawił muszkę w jednej linii ze szczerbinką. Przez chwilę celował w podskakującą głowę Hala, a następnie uniósł lufę wyżej, żeby zrównoważyć ciężar ołowianej kuli. Kiedy zobaczył nad nią skrawek błękitu, takim samym szybkim ruchem przesunął muszkę, by znalazła się nad łbem stąpającej ciężko klaczy.

- Nie może nawet marzyć, żeby nas trafić - szepnął Hal i w tej samej chwili ujrzał srebrzysty obłoczek dymu, który zakwitł niczym trujący kwiat na długiej łodydze lufy.

Nagle poczuł potężne uderzenie. Kula trafiła w żebra siwej klaczy o cal od jego kolana i powietrze zaczęło uchodzić z sykiem z jej przebitych płuc. Dzielne zwierzę zatoczyło się do tyłu i przysiadło na zadzie. Szarpiąc się dziko, chciało stanąć dęba, zamiast tego jednak zsunęło się z wąskiej ścieżki. Aboli złapał w ostatniej chwili Hala za ranną nogę i ściągnął go z końskiego grzbietu.

Leżąc na ziemi, zerknęli w dół. Klacz stoczyła się kilkadziesiąt jardów po stoku, legła na stercie kamieni przy zakręcie ścieżki i przez chwilę wierzgała słabo nogami w powietrzu.

Triumfalny wrzask wydarł się z gardeł ścigających ich żołnierzy, odbijając się echem od górskich urwisk i ścian pogrążonego w mroku wąwozu.

Hal podniósł się na drżących nogach z ziemi i szybko ocenił sytuację. Każdy z nich zachował muszkiet i szpadę, a także po dwa pistolety, mały rożek z prochem i przytroczoną do pasa torbę z kulami. Resztę ładunku stracili jednak bezpowrotnie.

Nagła odmiana losu podniosła na duchu żołnierzy, którzy wyjąć niczym stado biegnących świeżym tropem psów, pognali jeszcze szybciej do góry.

- Zostaw pistolety i muszkiet - mruknął Aboli. - A także rożek z prochem i szpadę. Nie dasz rady ich długo nieść. Hal pokręcił głową.

- Wkrótce będziemy ich potrzebować. Idź przodem.

Nie spierając się z nim, Aboli ruszył wielkimi krokami pod górę. Hal starał się za nim nadążyć, zmuszając ranną nogę, by mimo bólu i słabości, która stopniowo obejmowała całe udo, służyła mu tak, jak powinna.

Aboli podawał mu rękę, kiedy trzeba było przestąpić większe progi, ale ścieżka robiła się coraz bardziej stroma. Obchodzili teraz dookoła wysoką skałę, która tworzyła jeden z portali mrocznego wąwozu. Przy każdym kroku musieli wspinać się na wyższy poziom, tak jakby stąpali po potężnych schodach. Pionowa ściana opadała ku leżącej o wiele niżej dolinie. Żołnierze, choć skryci za skałą, byli bardzo blisko.

- Jesteś pewien, że dobrze idziemy? - wychrypiał Hal, gdy zatrzymali się, żeby przez kilka sekund odpocząć na szerszym skalnym stopniu.

- Althuda wciąż zostawia nam znaki - zapewnił go Aboli, burząc nogą kopczyk z trzech kamyków, ustawiony w rzucającym się w oczy miejscu pośrodku ścieżki. - Podobnie jak moje siwki - dodał, pokazując leżące trochę dalej lśniące i mokre końskie odchody. A potem nadstawił ucha. - Słyszysz?

Hal usłyszał żołnierzy Schreudera. Znajdowali się o wiele bliżej niż wtedy, gdy poprzednio odpoczywali. Miał wrażenie, że za chwilę wyłonią się zza skały. Spojrzał z przerażeniem na Abolego, starając się przenieść cały ciężar ciała na zdrową nogę, aby ukryć słabość drugiej. Słyszeli szcęk obijającej się o skałę broni i chrzęszczące pod bosymi stopami kamyki. Głosy żołnierzy były tak wyraźne, że Hal odróżniał poszczególne słowa oraz wołanie Schreudera, który popędzał niemiłosiernie swój oddział.

- Teraz ty mnie słuchaj, Gundwane! - oznajmił Aboli, ściągając Halowi muszkiet z ramienia. - Biegnij dalej najszybciej, jak możesz. Ja spróbuję ich przez jakiś czas zatrzymać. - Hal miał zamiar zaprotestować, lecz Aboli spojrzał mu twardo w oczy. - Im dłużej będziesz się ze mną spierał, tym większe będzie niebezpieczeństwo, na które mnie narazisz.

Chłopak kiwnął głową.

- Do zobaczenia u szczytu wąwozu.

Ścisnął mocno za ramię Abolego i pokuśtykał samotnie dalej. Skręcając w głąb wąwozu, obejrzał się i zobaczył, że Murzyn ukrył się za zakrętem i położył przed sobą na skalnej półce dwa muszkiety, żeby mieć je w zasięgu ręki.

Wąwóz przypominał wnętrze wielkiego mrocznego leja. Po bokach wznosiły się skaliste ściany, sklepienie tworzyły korony wysokich, sięgających słońca drzew, których gałęzie obwieszane były festonami i girlandami porostów. Płynący środkiem niewielki strumyk opadał kaskadami w dół, tworząc sadzawki w skalnych nieckach. Ścieżka zbliżała się do jego koryta i biegła w górę po wygładzonych przez wodę otoczakach. Hal osunął się na kolana, zanurzył usta w pierwszej sadzawce i krztusząc się i kaszląc zaczął łapczywie chleptać wodę. Ugasiwszy pragnienie poczuł, jak nowe siły wstępują w jego spuchniętą pulsującą bólem nogę.

Zza wznoszącej się za nim skały dobiegł go huk strzału, odgłos rozrywanego kula ciała i prawie natychmiast potem krzyk spadającego w przepaść mężczyzny, krzyk, który stopniowo oddalał się i cichł, aż w końcu umilkł, gdy nieszczęśnik runął na leżące o wiele niżej kamienie. Aboli nie zmarnował pierwszej kuli i prowadzący pościg żołnierze cofnęli się w rozsypce. Zanim Schreuder przywróci dyscyplinę i ruszą ostrożnie dalej, powinno minąć trochę czasu. Aboli podarował mu kilka drogocennych minut.

Hal podniósł się z trudem z klęczek i zaczął się wspinać. Każdy z wielkich śliskich głazów wydawał się przeszkodą nie do pokonania. Jęcząc i stękając, podciągał się w górę i nasłuchiwał kolejnych odgłosów walki, lecz nic nie zakłócało ciszy. Dotarłszy do następnej sadzawki, zatrzymał się zdumiony, widząc pięć siwków, które stały przy skraju wody.

Althuda przywiązał je do uschłego drzewa. Hal zerknął na następny gigantyczny skalny próg i od razu domyślił się dlaczego. Konie nie mogły po prostu iść dalej. Wąwóz zwężał się nad jego głową do ciasnej gardzieli i patrząc na ścieżkę przyprawiającą o zawrót głowy, Hal poczuł, jak opuszcza go odwaga. Nie było jednak innej drogi; dolina zmieniła się w pułapkę bez wyjścia. Wahając się, co robić dalej, usłyszał kolejny strzał z muszkietu i wściekle wrzaski.

- Aboli załatwił następnego - powiedział cicho. Jego głos odbił się dziwnym echem od wysokich ścian wąwozu. - Teraz, kiedy wystrzelił z obu muszkietów, będzie musiał uciekać.

Dzięki Abolemu zyskał jednak cenny czas i nie zamierzał go marnować. Zaczął wspinać się, wlokąc ranną nogę po wygładzonych przez wodę głazach, których powierzchnię pokrywały śliskie zielone algi.

Z bijącym wściekłym sercem i zdartymi do żywego ciała paznokciami dotarł w końcu do szczytu gardzieli, położył się płasko na brzuchu na skalnej półce i spojrzął w dół. Po kilku chwilach zobaczył nadbiegającego Abolego, który trzymając w obu rękach muszkiety i nie patrząc nawet pod nogi sadził długimi susami z kamienia na kamień.

A potem utkwiał wzrok w wąskim skrawku nieba nad głową i zorientował się, że dzień dobiega końca. Wkrótce powinien zapaść zmierzch - korony drzew ozłoczone były ostatnimi promieniami słońca.

- Tędy! - zawołał do Abolego.

- Uciekaj, Gundwane - odkrzyknął Murzyn. - Nie czekaj na mnie! Są tuż za mną!

Hal odwrócił się i zbadał wzrokiem górny odcinek strumienia. Na mniej więcej dwustujardowym obszarze jego koryto było całkowicie odsłonięte. Jeśli zechcą kontynuować wspinaczkę, Schreuder i jego ludzie pojawią się na dole, kiedy będą sterceć bezbronni na skalnej ścianie. Zanim dotrą do kolejnego schronienia, zestrzelą ich kulami z muszkietów.

Musimy tu zostać, zdecydował. Musimy odpierać ich ataki aż do zapadnięcia zmroku. Potem spróbujemy wymknąć się w ciemności.

Zebrał szybko luźne kamienie z koryta strumienia i ułożył je na skraju skalnej półki. Spoglądając w dół, zobaczył, że Aboli dobiegł do podnóża skały i zaczyna się po niej szybko wspinać.

Kiedy był dopiero w połowie drogi, zupełnie odsłonięty, z głębi ciemniejącego wąwozu dobiegł triumfalny wrzask. Hal dojrzał w półmroku sylwetkę pierwszego ze ścigających. A potem błysnęło i powietrzem targnął huk wystrzału. Hal zerknął niespokojnie w dół, lecz kula nie trafiła Abolego, który wciąż szybko się wspinał.

Na dole zaroilo się od żołnierzy. Odgłosy kanonady odbijały się zwielokrotnionym echem od skalnych ścian. Hal rozpoznał w półmroku Schreudera: jego biała cera jaśniała pośród otaczających go ciemniejszych twarzy.

Aboli dotarł, ciężko dysząc, do szczytu gardzieli. Hal podał mu rękę i pomógł wczołgać się na półkę.

- Dlaczego nie poszedłeś dalej, Gundwane?

- Nie ma teraz czasu na rozmowy. - Hal złapał jeden z jego muszkietów i zaczął go ładować. - Musimy zatrzymać ich tutaj do zmroku. Ładuj broń!

- Nie mamy już prawie prochu - odparł Aboli, czyszcząc energicznie lufę wyciorem. - Wystarczy tylko na parę strzałów.

- W takim razie nie możemy zmarnować ani jednej kuli. Potem będziemy w nich rzucać kamieniami. - Hal podsypał prochu na panewkę. - A kiedy zabraknie kamieni, zostanie nam naga stal.

Żołnierze na dole rozpoczęli systematyczny ostrzał i nad głowami Hala i Abolego bez przerwy bzykały i trzaskały kule z muszkietów. Zmuszeni byli położyć się płasko na brzuchach i tylko co parę sekund wychylali szybko głowy zza krawędzi, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Schreuder wyznaczył większość swoich ludzi do ostrzeliwania zbiegów, pilnując, by część muszkietów była zawsze załadowana i gotowa na jego rozkaz do strzału. Wszystko wskazywało na to, że wybrał najsilniejszych żołnierzy, i kazał im się wspinać po ścianie. Strzelcy mieli uniemożliwić Halowi i Abolemu obronę.

Pierwszych kilkunastu żołnierzy uzbrojonych wyłącznie w białą broń podbiegło do skały i zaczęło piąć się w górę. Kiedy tylko głowy Hala i Abolego wychyliły się zza krawędzi, zagrzmiała głośnie kanonada i mrok rozświetliły ogniki wystrzałów.

Hal nie zwracał uwagi na latające dokoła kule, które rozbijały się o skały. Wysunął na zewnątrz lufę muszkietu i wziął na muszkę najbliższego wspinacza. Był to biały holenderski kapral i z tej odległości trudno było chybić. Kula trafiła go w usta, wybiła zęby i strzaskała szczękę. Biedak puścił śliską skałę i runął do tyłu, wpadając na trzech wspinających się za nim mężczyzn. Wszyscy trzej oderwali się od ściany i roztrzaskali na głazach.

Aboli strzelił i strącił w dół dwóch kolejnych żołnierzy. Następnie obaj złapali pistolety i wystrzelili z nich dwukrotnie, oczyszczając ścianę ze wszystkich żołnierzy, z wyjątkiem dwóch, którzy uczepili się bezradnie szczeliny w połowie gładkiej skały.

Hal odrzucił puste pistolety i wziął do ręki jeden z przygotowanych wcześniej kamieni. Ułożył go dobrze do dłoni i cisnął w jednego z niedobitków. Biedak widział, co go czeka, lecz nie był w stanie się uchylić. Próbował wtulić głowę w ramiona, ale kamień trafił go prosto w skroń. Palce jego dłoni rozchyliły się i runął w dół.

- Dobry rzut, Gundwane! Coraz lepiej celujesz - pochwalił Hala Aboli, po czym cisnął kamieniem w ostatniego wspinacza, trafiając go w podbródek. Ten wisiał jeszcze przez chwilę, a potem odpadł od skały.

- Załaduj broń! - syknął Hal. Sypiąc proch na panewkę, zerknął na skrawek nieba nad głową. - Czy ta noc nigdy nie nadejdzie? - jęknął widząc, że Schreuder wysyła na skałę kolejnych wspinaczy.

Zmierch nie musiał zresztą oznaczać ocalenia. Zanim załadowali muszkiety i pistolety, nieprzyjacielscy żołnierze byli już w połowie drogi.



Hal i Aboli ukłękli przy krawędzi i ponownie wypalili, tym razem jednak udało im się strącić tylko jednego z atakujących. Reszta pięła się wytrwale dalej. Schreuder wysłał za nimi następną drużynę i wkrótce cała skała roiła się od ciemnych postaci.

- Nie damy rady ich wszystkich pokonać - stwierdził Hal czując, jak ogarnia go czarna rozpacz. - Musimy wspiąć się wyżej.

Ale kiedy spojrzął na strome, usiane głazami podejście, zamarło w nim serce. Rzucił w dół muszkiet i razem z Abolim zaczął się znowu wspinać po zdradliwym stoku. Chwilę później pierwsi żołnierze dotarli do ich półki i rzucili się z krzykiem w pogoń.

W zapadających ciemnościach Hal i Aboli pełzli do góry, kłując szpadami tych, którzy podchodzili zbyt blisko, i zapewniając sobie w ten sposób krótkie chwile spokoju. Coraz więcej zielonych kubraków dociera jednak do szczytu gardzieli i było tylko kwestią minut, kiedy ich dopadną i pokonają.

Tuż nad sobą Hal spostrzegł szczelinę w ścianie wąwozu. Przez chwilę miał nadzieję, że razem z Abolim schroni się w jej mrocznym wnętrzu, potem jednak podciągnął się wyżej i zobaczył, że jest zbyt płytka. Schreuder wykurzyłby ich stamtąd jak króliki z klatki.

- Hal Courteney! - odezwał się nagle ktoś w głębi szczeliny.

Hal zajrzał do środka i zobaczył dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Althuda, który go zawołał, drugim starszy od mego nie znany brodac, odziany w zwierzęce skóry. Było zbyt ciemno, by mu się lepiej przyjrzeć, ale kiedy obaj zaprosili ich gestem do środka, ani Hal, ani Aboli w ogóle się nie wahali. Pochylili głowy i wcisnęli się przez wąskie wejście do jaskini.

- Siadaj! - krzyknął brodac Halowi do ucha i podniósł się z krótką siekierą w dłoni.

W tym samym momencie w wejściu pojawił się żołnierz z uniesioną szpadą, żeby zaatakować skulonych w niej czterech mężczyzn. Althuda strzelił z pistoletu w sam środek jego piersi.

Brodacz podniósł tymczasem wysoko siekierę i energicznie ją opuścił. Zdezorientowany Hal dopiero po chwili spostrzegł, że mężczyzna przeciął napiętą linę z plecionej kory, grubą jak ręka w nadgarstku. Jej uwolniony koniec odskoczył, jakby wprawiła go w ruch olbrzymia siła. Drugi koniec przywiązany był do masywnego drewnianego kołka wbitego w szczelinę w skale. Odcięta lina biegła do rogu jaskini, a potem w górę, ku jakemuś niewidocznemu miejscu skrytemu w gęstniejących ciemnościach.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Hal i Aboli przyglądali się ze zdumieniem brodacowi i Alhudzie. Nagle wysoko nad ich głowami rozległo się dudnienie i łoskot, jakby w górnej części wąwozu przeciągał się jakiś śpiący olbrzym.

- Sabah spuścił na nich lawinę - wyjaśnił Althuda i Hal od razu wszystko zrozumiał.

Wyrzwał na zewnątrz przez wąskie wyjście z jaskini. Łoskot zmieniał się w coraz bardziej potężny huk, zagłuszając przerażone wrzaski żołnierzy, którzy znaleźli się na drodze lawiny. Nie mieli gdzie się schronić ani uciec. Wąwóz okazał się śmiertelną pułapką, do której zwabili ich Althuda i Sabah.

Huk i łoskot sięgnęły ogłuszającego crescendo. Mieli wrażenie, że góry drżą pod ich stopami. Krzyki żołnierzy ucichły i nagle wejście do jaskini zasłoniła potężna rzeka spadających głazów. Zrobiło się ciemno; powietrze wypełnił skalny pył. Wszyscy czterej zaczęli się krztusić i kurczowo łapać oddech. Oślepiiony Hal przytknął do ust i nosa połę podartej koszuli i próbował zaczerpnąć powietrza w zapierającej dech, wirującej chmurze pyłu, którą podniosła sunąca tuż obok potężna fala skał i kamieni.

Lawina toczyła się jeszcze przez dłuższą chwilę, lecz jej impet stopniowo słabł. Po pewnym czasie z góry spadały tylko pojedyncze skalne odłamki. W końcu zaległa głęboka złowroga cisza i pył opadł, odsłaniając zarys wyjścia z jaskini.

Aboli wypełzł na zewnątrz i stanął ostrożnie na luźnych kamieniach. Hal wyczołgał się obok niego i obaj spojrzeli w dół. Lawina przeszła przez całą szerokość pograżonego w mroku wąwozu. Nigdzie nie było widać śladu ich prześladowców. Ani jednego strzępu munduru, ani jednego porzuconego muszkietu. Ani jednego krzyku rozpaczony albo śmiertelnego jęku. Tak jakby nigdy ich tu nie było.

Ranna noga Hala nie mogła już unieść jego ciężaru. Próbując wstać, zatoczył się i upadł przy wejściu do jaskini. Gorączka z jątrzącej się rany rozpalila jego krew i okryła głowę mrokiem. Poczul, jak podtrzymują go czyjeś silne ręce, i chwilę później stracił przytomność.

Pułkownik Cornelius Schreuder czekał ponad godzinę w zamkowych przedpokojach, nim gubernator van de Velde zgodził się go łaskawie przyjąć. Kiedy wezwany w końcu przez adiutanta wmaszerował do sali audiencyjnej, van de Velde zachowywał się tak, jakby go w ogóle nie widział, w dalszym ciągu podpisując dokumenty i proklamacje, które podsuwał mu kolejno Jacobus Hop.

Schreuder włożył galowy mundur i przypiął do piersi wszystkie swoje medale. Jego peruka była świeżo ufryzowana i upudrowana, a napomadowane pszczelim woskiem wąsy przystrzyżone w szpic. Lewy policzek pokryty miał różowymi szramami i strupami.

Van de Velde podpisał ostatni dokument i odprawił Hopa skinieniem dłoni. Kiedy urzędnik wyszedł, zamykając za sobą drzwi, gubernator podniósł z biurka leżący przed nim raport Schreudera, jakby to były szczególnie obrzydliwe ekskrementy.

- Straciłeś więc prawie czterdziestu ludzi, pułkowniku? - zapytał złowrogo. - Nie wspominając o ośmiu najlepszych koniach Kompanii.

- Trzydziestu czterech ludzi - poprawił go Schreuder, wciąż stojąc sztywno na baczność.

- Prawie czterdziestu! - powtórzył z naciskiem van de Velde. - Oraz osiem koni. Więźniowie i niewolnicy, których ścigałeś, uciekli. Chyba się ze mną zgodzisz, że trudno to nazwać olśniewającym zwycięstwem, pułkowniku? - Schreuder wpatrywał się z wściekłą miną w rzeźbiony gzyms nad głową gubernatora. - To ty odpowiadasz za bezpieczeństwo zamku, Schreuder. To ty odpowiadasz za nadzór nad więźniami. A także za bezpieczeństwo moje i mojej żony. Zgadza się, Schreuder?

- Tak jest, Wasza Ekszelencjo. Pułkownikowi zaczął drgać mięsień pod okiem.

- Pozwoliłeś więźniom uciec. Pozwoliłeś im zrabować własność Kompanii. Pozwoliłeś im zniszczyć w poważnym stopniu ten budynek przy użyciu środków wybuchowych. Spójrz na moje okna! - Van de Velde wskazał na puste ramy, z których wypadły witraże. - Otrzymałem raport od inspektora Kompanii, który szacuje straty na ponad sto tysięcy guldenów! - Gubernator wpadał w coraz większy gniew. - Sto tysięcy guldenów! Na domiar złego, pozwoliłeś więźniom porwać mnie i moją żonę, narażając nas na śmiertelne niebezpieczeństwo... - Musiał przerwać, żeby się trochę uspokoić. - Straciłeś czterdziestu żołnierzy Kompanii, wliczając w to pięciu białych! Jaka, twoim zdaniem, będzie reakcja Rady Siedemnastu w Amsterdamie, kiedy otrzymają kompletny raport, w którym opisuję dokładnie, w jak karygodny sposób zaniedbałeś swoje obowiązki? Co, twoim zdaniem, powiedzą? Odpowiedz mi, ty nadęty fanfaronie! Co, twoim zdaniem, powiedzą?

- Nie będą chyba zbyt zachwyceni - odparł sztywno Schreuder.

- Zbyt zachwyceni? - zaskrzeczał van de Velde i opadł na oparcie fotela, łapiąc powietrze niczym wyciągnięta z wody ryba. - Ty pierwszy dowiesz się, czy nie będą zachwyceni, Schreuder. Wysyłam cię, okrytego niesławą, z powrotem do Amsterdamu. Odplyniesz za trzy dni na pokładzie Weltevreden, który stoi teraz na kotwicy w zatoce.

Gubernator wskazał przez wybite okno żaglowce stojące za linią przyboju.

- Raport dotyczący całej sprawy popłynie tym samym statkiem do Amsterdamu. Poddaję w nim najostrzejszej krytyce twoje postępowanie. Staniesz przed Siedemnastką i będziesz się przed nią osobiście tłumaczył. - Van de Velde spojrzał z wyraźnym triumfem na pułkownika. - Twoja kariera wojskowa legła w gruzach, Schreuder. Radzę, byś zastanowił się nad posadą stręczyciela, do której przejawiasz wyjątkowe predyspozycje. Do widzenia, pułkowniku. Wątpię, bym miał jeszcze kiedykolwiek przyjemność cię oglądać.

Schreuder wypadł na zewnątrz. Obelgi gubernatora paliły go, jakby dostał dwadzieścia batów. Żeby trochę ochłonać i powściągnąć gniew, zatrzymał się u szczytu

schodów i przyjrzał szkodom, jakie spowodował wybuch w zamkowych zabudowaniach. Z doszczętnie zniszczonej zbrojowni została tylko kupa gruzu. W pożarze, który szalał po wybuchu, spłonął drewniany dach północnego skrzydła, lecz zewnętrzne mury fortecy były nienaruszone, a inne budynki zniszczone w bardzo niewielkim stopniu.

Wartownicy, którzy jeszcze niedawno przeżyli się na baczność na jego widok, wyraźnie ociągali się z oddaniem honorów. Kiedy w końcu niedbale mu zaszalutowali, twarz jednego z nich wykrzywił bezczelny uśmiech. W niewielkiej społeczności wieści rozchodziły się nader szybko i cały garnizon wiedział już zapewne o jego niechlubnym zwolnieniu ze służby. Mógł się założyć, że maczał w tym swoje brudne paluchy Jacobus Hop.

- Przestań wykrzywiać tę szpetną gębę, albo, na Boga, ogolę ci ją szpadą - warknął na szczerzącego zęby wartownika.

Ten natychmiast spowaźniał i wyprężył się na baczność. Ale kiedy Schreuder przecinał dziedziniec, Manseer i nadzorcy szeptali do siebie i śmieli się z niego w kułak. Nawet część złapanych z powrotem i zakutych teraz w kajdany więźniów, którzy pracowali przy odgruzowywaniu zbrojowni, przerwała pracę i szczerzyła zęby na jego widok.

Takie upokorzenie było nie do zniesienia dla człowieka o tak silnym poczuciu godności własnej i tak niepohamowanego jak on.

Próbował sobie wyobrazić, co go spotka, kiedy wróci do Holandii i stanie przed Radą Siedemnastu. O jego hańbie będzie się mówiło w każdej portowej tawernie, w każdym garnizonie i pułku, w salonach wszystkich wielkich domów i pałaców Amsterdamu. Van de Velde miał rację: czeka go los pariasa.

Przeszedł przez bramę i most nad fosą. Nie wiedział, dokąd zmierza, ale nogi same zaniósły go w stronę brzegu i przez dłuższy czas stał na plaży, patrząc na morze. Powoli opanował targające nim emocje i zaczął zastanawiać się, jak uniknąć powszechnej wzgardy i pośmiewiska.

Strzelę sobie w łeb, postanowił. Nic innego mu nie pozostało. Już po chwili jednak poczuł, że cała jego natura buntuje się przeciw tak nikczemnemu rozwiązaniu. Pamiętał, jak pogardzał oficerem, z którym służył razem w Batawii i który z powodu jakiejś kobiety wsadził sobie do ust lufę załadowanego pistoletu i odstrzelił tylną część czaszki.

- Tylko tchórz może się na coś takiego zdecydować - powiedział na głos. - Nie ja.

Wiedział jednak, że nie może wykonać rozkazu van de Veldego i wrócić do Amsterdamu. Nie mógł także pozostać tutaj, na Przylądku Dobrej Nadziei, ani popłynąć do jakiegokolwiek innej holenderskiej kolonii. Był banitą i musiał znaleźć sobie kraj, w którym nikt nie wiedział o jego hańbie.

Popatrzył na flotyllę statków zakotwiczonych w Zatoce Stołowej. Był wśród nich Weltevreden, na pokładzie którego van de Velde chciał go wysłać przed oblicze Siedemnastki. Obok stały trzy inne holenderskie żaglowce. Nie mógł nimi popłynąć, lecz w zatoce zakotwiczone były jeszcze dwie cudzoziemskie jednostki. Jedną z nich był portugalski statek do przewozu niewolników, w drodze do Zanzibaru. Sama myśl o podróży statkiem niewolniczym napelniała go niesmakiem - nawet z tej odległości czuł bijący od niego fetor. Drugi statek był angielską fregatą, z tego, co widział, niedawno zwodowaną i w dobrym stanie. Miał nowy takielunek, a farba na kadłubie oparła się sztormom na Atlantyku. Z wyglądu przypominał okręt wojenny, ale słyszał, że należy do prywatnego armatora i jest uzbrojonym statkiem handlowym. Odczytał jego nazwę na rufie: Golden Bough. Miał po piętnaście otworów działowych na każdej burcie, lecz pułkownik nie wiedział, skąd ani dokąd płynie. Wiedząc jednak, gdzie może uzyskać na ten temat bliższe informacje, wcisnął głębiej kapelusz na perukę i ruszył brzegiem w stronę skupiska odstręczających ruder, w których mieściły się burdele i spelunki odwiedzane przez żeglarzy przybywających ze wszystkich stron świata.

Nawet o tak wczesnej porze tawerna była zatłoczona. W pozbawionym okien mrocznym wnętrzu unosił się tytoniowy dym, opary taniego alkoholu i smród nie mytych ciał. Klientów obsługiwały głównie Hotentotki, były jednak również dwie albo trzy białe kurwy, zbyt stare i zżarte syfilisem, by pracować w Rotterdamie albo St. Pauli. Udało im się jakoś znaleźć płynący na południe statek i zeszły niczym szczury na brzeg, by wegetować w tej plugawej okolicy, dopóki nie zabije ich francuska choroba.

Trzymając dłoń na rękojeści szpady, Schreuder wywalczył sobie ostrym słowem i hardym spojrzeniem niewielki stolik. Rozsiadłszy się wygodnie, kazał chudej jak patyk dziewczce przynieść sobie kufel cienkiego piwa.

- Gdzie siedzą marynarze z Golden Bough! - zapytał, rzucając na brudny blat srebrnego talara.

Dziewczyna złapała czym prędzej jego hojny napiwek, wetknęła go za skryty pod umorusaną sukienczyną obfity biust i wskazała głową trzech mężczyzn siedzących przy stole w samym rogu izby.

- Zanieś każdemu z tych panów po kuflu śmierdzących szczyn, które tu podajecie, i powiedz im, że piją na mój koszt.

Opuszczając pół godziny później tawernę, Schreuder wiedział, dokąd płynie Golden Bough oraz jak się nazywa i jakiego rodzaju człowiekiem jest jej kapitan. Ruszył powolnym krokiem na plażę i wynajął łódź, która zawiozła go na fregatę.



Marynarz pełniący wachtę na pokładzie Golden Bough dostrzegł go, kiedy tylko wszedł do szalupy, i poznał po stroju i zachowaniu, że jest ważną figurą. Gdy Schreuder poprosił o pozwolenie wejścia na pokład, przysadzisty walijski podoficer o rumianym obliczu pozdrowił go ostrożnie przy burcie i zaprowadził do kabiny na rufie.

Kapitan Christopher Llewellyn wstał z miejsca, by go powitać. Potem obaj usiedli i poczęstował Schreudera portem. Z wyraźną ulgą odkrył, że pułkownik mówi dobrze po angielsku, a uznawszy szybko, że ma do czynienia z dżentelmenem i kimś równym sobie, odprężył się i zaczął mówić szczerze i otwarcie.

Najpierw rozmawiali chwilę o niedawnym konflikcie między dwoma krajami i wyrazili radość, że zawarty został satysfakcjonujący pokój. Następnie poświęcili kilka minut handlowi morskemu na Wschodzie i bieżącej sytuacji politycznej w basenie Oceanu Indyjskiego. Była ona w dużym stopniu zależna od rywalizacji między mocarstwami europejskimi, których statki handlowe i okręty wojenne coraz częściej odwiedzały te odległe rejony.

- Kraje Wschodu wstrząsane są również konfliktami religijnymi - zauważył Llewellyn,  
- Wyruszyłem w obecny rejs w odpowiedzi na apel chrześcijańskiego władcy Etiopii, Księdza Jana, który zwrócił się o pomoc wojskową w wojnie przeciwko siłom islamu.

Na wzmiankę o wojnie na Wschodzie, Schreuder wyprostował się na krześle. Był żołnierzem, w tym momencie bezrobotnym, a wojna stanowiła przecież jego rzemiosło.

- Nic nie słyszałem o tym konflikcie. Proszę opowiedz mi o nim coś więcej, kapitanie.  
- Wielki Mogoł wysłał flotę i armię pod dowództwem swego młodszego brata, Sadyka Chana Jahana, żeby odebrać chrześcijańskiemu władcy kraje leżące w Wielkim Rogu Afryki. Proszę mi powiedzieć, pułkowniku - zmienił nagle temat Llewellyn - czy wiesz coś na temat islamu?

Schreuder pokiwał głową.

- Tak, oczywiście. Wielu żołnierzy, którymi dowodziłem w ciągu ostatnich trzydziestu lat, było muzułmanami. Mówię po arabsku i studiowałem trochę islam.

- Wiesz zatem, że jednym z nakazów tej wojowniczej religii jest hadżdż, czyli pielgrzymowanie do miejsca urodzenia Proroka w Mekce, leżącej na wschodnim wybrzeżu Morza Czerwonego.

- Widzę, do czego zmierzasz - odparł Schreuder. - Każdy pielgrzym podążający z indyjskiego imperium Wielkich Mogołów do Mekki będzie zmuszony opłynąć Wielki Róg Afryki. To doprowadzi dwie wielkie religie do konfrontacji. Chyba się nie mylę?



- Nie, pułkowniku. Gratuluję ci głębokiej znajomości politycznych i religijnych problemów naszej epoki. Pod takim właśnie pretekstem Wielki Mogoł zamierza zaatakować Księdza Jana. Oczywiście Arabowie prowadzili handel z Afryką już przed narodzeniem naszego Zbawcy, Jezusa Chrystusa, i ich Proroka Mahometa. Ze swego przyczółka na Zanzibarze stale rozszerzają wpływy na kontynencie. Teraz mają zamiar podbić i opanować chrześcijańską Etiopię.

- A jakie jest, jeśli wolno spytać, twoje miejsce w tym konflikcie, kapitanie? - spytał ostrożnie Schreuder.

- Należę do morskogo zakonu Rycerzy Świątyni Świętego Jerzego i Świętego Graala. Jego zadaniem jest obrona wiary chrześcijańskiej i jej świętych miejsc. Jesteśmy spadkobiercami templariuszy., - Słyszałem o waszym zakonie - oświadczył pułkownik - i znam kilku jego rycerzy. Na przykład lorda Cumbrae. Llewellyn zmarszczył nos.

- Nie przynosi on wielkiego zaszczytu naszemu zakonowi.

- Spotkałem również kiedyś sir Francisa Courteneya - dodał szybko Schreuder.

- Dobrze go znam - stwierdził z niekłamanym entuzjazmem Llewellyn. - To wielki żeglarz i dżentelmen w każdym calu. Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogę znaleźć Franky'ego? Wojna religijna w Wielkim Rogu Afryki na pewno bardzo go zainteresuje. Gdybyśmy tam wspólnie pożeglowali, stanowilibyśmy obaj poważną siłę.

- Niestety sir Francis zginął podczas wojny toczącej się między naszymi państwami - odparł dyplomatycznie Schreuder. Ta wiadomość wywarła silne wrażenie na Llewellynie.

- Bardzo mnie to zasmuca - powiedział. Przez chwilę milczał, a potem otrząsnął się z przygnębienia. - Wracając do twojego pytania, pułkowniku, płynę właśnie do Etiopii, odpowiadając na apel Księdza, który zwrócił się o pomoc w walce z siłami islamu. Mam zamiar wypłynąć jeszcze dziś wieczór.

- Ksiądz Jan niewątpliwie potrzebuje pomocy również na lądzie - stwierdził nagle Schreuder. Starał się ukryć ogarniające go podniecenie. To była wyraźna odpowiedź na jego modlitwy. - Czy zgodzisz się zabrać mnie na pokładzie tego dzielnego statku w rejon działań wojennych? Ja również chciałbym zaoferować Księdzu swoje usługi.

Llewellyn zrobił zdziwioną minę.

- To nagła decyzja. Czyżby nie zatrzymywały cię na lądzie żadne obowiązki? Możesz tak nagle wyruszyć w podróż?

- Zaiste, kapitanie, twoja obecność tutaj w Zatoce Stołowej wydaje mi się zrzędzeniem losu. Nie dalej jak dzisiaj uwolniłem się z wszelkich zobowiązań, o których mówisz. Tak jakbym przeczuwał, że wzywają mnie nowe zadania. Jestem gotów odpowiedzieć na apel

Księżdz Jana. Z przyjemnością zapłacę ci złotą monetą za przejazd dwóch osób. Będzie mi towarzyszyła dama, którą zamierzam poślubić.

Kapitan nie wydawał się przekonany. Drapiąc się w brodę, przyglądał się bacznie Schreuderowi.

- Mam wolną tylko jedną małą kabinę, która niezbyt nadaje się dla wysoko urodzonych osób.

- Płacę dziesięć angielskich gwinei za honor podróżowania w twoim towarzystwie - powiedział Schreuder i to ostatecznie rozwiało wątpliwości kapitana.

- Będę zaszczycony, mogąc gościć na pokładzie ciebie i twoją damę, pułkowniku. Nie mogę jednak ani o godzinę opóźnić wyjścia w morze. Muszę wyruszyć z odpływem. Moja łódź będzie na ciebie czekała na plaży.

Płynąc z powrotem na brzeg, Schreuder nie posiadał się z radości. Udział w wojnie religijnej pod rozkazami orientalnego władcy z pewnością nastreczał więcej okazji, by zdobyć wojenną chwałę i wzbogacić się anizeli służba w Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. W ten sposób uniknie czekającej go sromoty i hańby. Po tej wojnie mógł wrócić do Holandii opromieniony sławą i obładowany złotem. Oto szczęśliwy obrót fortuny, na który czekał przez całe życie. Mając u swego boku kobietę, którą kochał nad życie, mógł go w pełni wykorzystać.

Kiedy tylko dziób łodzi dotknął brzegu, wyskoczył na plażę i rzucił srebrną monetę bosmanowi.

- Zaczekaj na mnie! - zawołał i ruszył szybkim krokiem do zamku.

Na kwaterze czekał na niego ordynans. Schreuder kazał mu spakować wszystkie swoje manatki i odesłać je na brzeg do szalupy z Golden Bough. Cały garnizon wiedział już chyba o jego dymisji. Nawet ordynansa nie zaskoczyły wydane przez niego rozkazy, nikt więc nie powinien się dziwić, że wyjeżdża.

Wezwał stajennego i polecił mu osiodłać jedyne go konia, jaki mu pozostał. Czekając, aż chłopak przyprowadzi go ze stajni, przejrzał się w małym lusterku w przebieralni. Poprawił mundur, przycesał perukę i podkręcił wąsy. Czuł, jak ogarnia go podniecenie i poczucie wyzwolenia. Zanim gubernator się dowie, że on i Kalinka zniknęli, Golden Bough wypłynie na pełne morze, kierując się w stronę Wielkiego Rogu.

Zbiegł po schodach na dziedziniec, na którym stajenny trzymał już za uzdę konia, i wskoczył na siodło. Chcąc jak najszybciej załatwić sprawę i znaleźć się na morzu, popędził galopem w stronę rezydencji. Nie śpieszył się jednak tak bardzo, by nie zachować niezbędnych środków ostrożności. Zamiast podjechać pod dom główną aleją, skręcił w

przecinającą dębowy zagajnik boczną drogę, z której korzystali niewolnicy oraz dostawcy opału i żywności z wioski. Podjeżdżając, ściągnął wodze, żeby w rezydencji nie usłyszeli tętentu kopyt, i wjechał spokojnie stępą na dziedziniec za kuchnią. Zaskoczony stajenny odebrał od niego konia, a Schreuder minął kuchnię i wszedł przez małą furtkę do ogrodu.

Rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem ogrodników, ale żadnego nie dostrzegł. Nie przyśpieszając, lecz i nie zwalniając kroku, przeciął trawnik i wszedł do domu przez podwójne drzwi, za którymi znajdowała się biblioteka. Długi wypełniony książkami pokój był pusty.

Schreuder znał dobrze rozkład rezydencji. Odwiedzał Katinkę dość często, gdy jej mąż urzędował w zamku, zajmując się sprawami kolonii. Najpierw zajrzał do czytelnicy, z której roztaczał się piękny widok na błonia, zatokę i błękitny Atlantyk. Katinka lubiła tu odpoczywać, lecz tego popołudnia jej nie zastał. Jedna z niewolnic czyściła na kłęczkach książki, zdejmując z półki tom po tomie i przecierając skórzane oprawy miękką szmatką. Kiedy Schreuder wpadł do pokoju, spojrzała na niego zaskoczona.

- Gdzie jest twoja pani? - zapytał, lecz ona wlepiła w niego głupkowaty wzrok. - Gdzie jest Mevrouw van de Velde? - powtórzył. Niewolnica podniosła się na nogi, bardzo zmieszana.

- Pani jest w swojej sypialni. Ale nie wolno jej przeszkadzać. Źle się czuje. Zostawiła wyraźne polecenie.

Schreuder obrócił się na pięcie i ruszył korytarzem. Delikatnie nacisnął klamkę ostatnich drzwi, ale były zamknięte od środka. Zaklął ze zdenerwowania. Czas uciekał, a wiedział, że Llewellyn nie zawaha się go zostawić i podniesie kotwicę, kiedy tylko zacznie się odpływ. Przebiegł z powrotem korytarz i wyszedł przez oszklone drzwi na długą werandę. Okiennice pokoju Kalinki były zamknięte. Podniósł rękę, żeby zapukać, ale potem zmienił zdanie. Nie chciał alarmować służby. Zamiast tego wsunął ostrze szpady między okiennice, podniósł zasuwkę od środka i wszedł do pokoju przez parapet.

W nozdrza uderzyły go perfumy Katinki i na chwilę zakręciło mu się w głowie z miłości i tęsknoty. A potem uświadomił sobie z radością, że już niedługo Katinka będzie należeć tylko do niego, że wyruszą razem w podróż, by zacząć nowe życie i wspólnie szukać szczęścia. Przeszedł przez pokój, stąpając na palcach po drewnianej podłodze, żeby jej nie przestraszyć, i odchylił zasłonę wiszącą w drzwiach do sypialni. Tutaj także okiennice były zamknięte. Zaczekał chwilę, żeby przyzwycząić oczy do półmroku, i zobaczył, że łóżko nie jest posłane.

Po chwili, wśród pozwijanej pościeli dostrzegł jej odwrócone plecami perłowobiałe ciało. Była naga. Srebrzystozłote włosy spadały kaskadą na nieskazitelne pośladki. Poczuł falę pożądania, krew zaczęła szybciej krążyć w jego lędźwiach i przez moment nie był w stanie się poruszyć ani nawet odetchnąć.

A potem Katinka odwróciła głowę i spojrzała prosto na niego. Otworzyła szerzej oczy i cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Ty nikczemna świni! - syknęła. - Jak śmiesz mnie szpiegować?

Mówiła cicho, lecz w jej głosie słychać było wyraźną pogardę i złość. Schreuder cofnął się zdumiony. Była jego kochanką i nie rozumiał, dlaczego odzywa się do niego tym tonem, dlaczego patrzy na niego z taką odrazą i furją. Nagle zobaczył, że jej nagie piersi błyszczą od potu i że siedzi okrakiem na ciele jakiegoś mężczyzny, który leżał na plecach, a ona połączyła się z nim w miłosnym akcie, dosiadając go tak, jak dosiada się konia.

Mężczyzna miał muskularne, twarde ciało, ciało gladiatora. Katinka zeskoczyła z niego jednym gwałtownym ruchem i odwróciła się twarzą do Schreudera. Gdy tak stała przy łóżku, dygocząc z gniewu, na jej udach zalśniły wilgotne ślady zaspokojonej namiętności.

- Co robisz w mojej sypialni? - warknęła.

- Przyjechałem zabrać cię ze sobą - odparł głupio, lecz jego wzrok mimowolnie pobiegł ku leżącemu. Włosy łonowe mężczyzny były mokre i zmierzwione, a penis celował prosto w sufit, gruby, nabrzmiały, pokryty lepkim błyszczącym śluzem. Mężczyzna usiadł na łóżku i wbił w niego swoje nieruchome żółte oczy.

Pułkownik poczuł, jak ogarnia go niewysłowioną groza i obrzydzenie. Katinka, jego miłość, gziła się z Powolnym Janem, miejscowym katem.

Mówiła coś teraz, ale jej słowa prawie do niego nie docierały.

- Przyjechałem mnie zabrać? Co skłoniło cię do przekonania, że zechcę z tobą jechać? Z błaznem, który stał się pośmiewiskiem całej kolonii? Wynoś się stąd, ty głupcze. Odejdź z piętnem hańby, którą się okryłeś.

Kochanek Katinki wstał z łóżka.

- Słyszałeś, co powiedziała? Wynoś się albo cię wyrzucę.

Do szaleństwa doprowadziły Schreudera nie jego słowa, lecz fakt, że penis Powolnego Jana znajdował się wciąż w stanie erekcji. Do tej chwili mógł jakoś utrzymać w ryzach swój gniew, ale teraz ogarnęła go biała gorączka. Do wszystkich upokorzeń i obelg, jakich doznał w ciągu tego dnia, doszła jeszcze dzika zazdrość.

Powolny Jan pochylił się nad swoim porzucanym przy łóżku ubraniem i po chwili wyprostował się z ogrodniczym nożem w prawej ręce.

- Ostrzegam cię - powiedział tym swoim głębokim melodyjnym głosem. - Natychmiast się stąd wynoś!

Szpada z Neptunem wysunęła się płynnym ruchem z pochwy, jakby była żywą istotą. Powolny Jan nie był zawodowym żołnierzem. Jego ofiary zawsze dostarczano mu związane i zakute w kajdany. Nigdy nie zmierzył się z kimś takim jak Schreuder. Trzymając nisko nóż skoczył do przodu, ale pułkownik ciachnął go szpadą po wewnętrznej stronie nadgarstka, przecinając ścięgna. Palce Jana otworzyły się same i nóż upadł na podłogę.

Wtedy Schreuder zadał pchnięcie prosto w serce. Powolny Jan nie zdążył się uchylić. Klinga przebiła jego szeroką, bezwłosą pierś i utkwiała w niej aż po samą wysadzaną klejnotami rękojeść. Przez chwilę dwaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, złączeni ostrzem szpady. Penis Jana zaczął się stopniowo kurczyć i w końcu zwisał między jego nogami, biały i miękki. Oczy zaszyły mu mgłą i zrobiły się matowe jak żółte kamyki. Kiedy osunął się na kolana, Katinka zaczęła krzyczeć.

Schreuder wyciągnął szpadę z piersi kata. Polerowane ostrze pociemniało od krwi. Katinka wrzasnęła ponownie, gdy z otwartej rany trysnęła czerwona fontanna i Powolny Jan runął na podłogę.

- Nie krzycz - warknął Schreuder, wciąż trzęsąc się z gniewu, i podszedł do niej z obnażoną szpadą w dłoni. - Zdradzałaś mnie z tą kreaturą. Wiedziałaś, że cię Kocham. Przyszedłem po ciebie. Chciałem, żebyś ze mną wyjechała.

Katinka cofała się przed nim, zaciskając obie pięści na policzkach i wydając z siebie wysoki histeryczny krzyk.

- Nie krzycz! - zawołał. - Przestań! Nie mogę znieść, kiedy tak krzyczysz.

Potworny świdrujący pisk odbijał się echem w jego głowie, zadając niemal fizyczny ból, lecz Katinka wciąż się cofała, coraz głośniej zawodząc, wydając z siebie ten straszny dźwięk, i musiał ją uciszyć.

- Przestań!

Próbował złapać ją za nadgarstek, ale ona była szybsza i wyrwała się z jego uścisku. W dalszym ciągu głośno krzyczała i jego gniew wyzwolił w nim jakąś potworną czarną bestię, nad którą nie miał już żadnej władzy. Szpada w dłoni powędrowała sama, bez udziału jego woli, do przodu i dźgnął ją w satynowy biały brzuch, tuż nad złocistym wzgórkim Wenery.

Jej krzyk przeszedł w wysoki, piskliwy jęk i kiedy wyciągał z niej szpadę, zacisnęła na niej rękę. Ostrze przecięło jej obie dłonie aż do kości, a on pchnął ją po raz drugi i trzeci w brzuch, żeby umilkła.

- Cicho! - ryknął.

Katinka odwróciła się i próbowała uciec do swojego pokoju, lecz on dźgnął ją plecami nad nerkami, a potem wyciągnął klingę i zadał kolejne pchnięcie między łopatkami. Upadła i przekreśliła się na plecy, a on stanął nad nią, tnąc, kłując i siekąc. Ostrze za każdym razem przechodziło gładko przez jej ciało i uderzało w posadzkę, na której się wiała.

- Cicho! - wrzeszczał, nie przestając się nad nią pastwić, aż w końcu zupełnie ucichła.

Lecz on kłuł ją dalej, stojąc w rozszerzającej się coraz bardziej kałuży krwi, w splamionym szkarłatem mundurze, z pochłapaną i pocętkowaną twarzą, wyglądając niczym obsypana rumienieni ofiara zarazy.

A potem powoli zgasł w nim szalony gniew. Zatoczył się na ścianę, zostawiając krwawe plamy na białym tynku.

- Kalinko! - szepnął. - Nie chciałem cię skrzywdzić. Tak bardzo cię kocham.

Leżała w wielkiej szkarłatnej kałuży. Przecinające białą skórę rany przypominały chór rozwartych czerwonych ust. Z każdej wciąż sączyła się krew. Nigdy nie sądził, że w tym szczupłym bladym ciele może być aż tyle krwi. Jej włosy zabarwiły się na czerwono, a zbryzgana krwią twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia i udreki, który odebrał jej całą urodę.

- Katinko, moja ukochana. Proszę, wybacz mi.

Przestępując rzekę krwi, która rozlała się szeroko po płytkach podłogi, ruszył w jej stronę. I wtedy zobaczył w lustrze po drugiej stronie sypialni wbijającą w niego dziki wzrok umazaną krwią zjawę i zatrzymał się ze szpadą w dłoni.

- Matko Boska! Co ja takiego zrobiłem?

Oderwał oczy od szaleńca w lustrze i ukląkł przy ciele kobiety, którą kochał. Próbował ją podnieść, ale była miękka i bezwładna. Wyślizgnęła mu się z rąk i osunęła z powrotem w kałużę własnej krwi.

Schreuder wstał i cofnął się o dwa kroki.

- Nie chciałem twojej śmierci. Rozgniewałaś mnie. Kochałem cię, ale ty mnie zdradziłaś.

Ponownie zobaczył swoje odbicie w lustrze.

- Słodki Boże, ile tu krwi...

Lepkimi dłońmi startł czerwone plamy na kurtce, a potem przesunął nimi po twarzy, rozsmarowując krew w szkarłatną karnawałową maskę. Po raz pierwszy pomyślał o ucieczce, o czekającej na niego na plaży łodzi i stojącej w zatoce fregacie.



- Nie mogę przejechać w tym stanie przez kolonię! Nie mogę w tym stanie wejść na pokład!

Zataczając się, wszedł do przebieralni gubernatora, ściągnął z siebie mokrą kurtkę od munduru i cisnął ją w kąt. Na szafce stała miednica i dzbanek z wodą. Zanurzył w niej skrwawione ręce, spryskał twarz, zdjął z haczyka ręcznik, zmoczył go w różanej wodzie i wytarł ramiona i przód bryczesów.

- Ile tu krwi.

Powtarzał te słowa szorując ubranie, wyzymając ręcznik i znowu szorując. Na półce znalazł stos czystych białych koszul i włożył jedną z nich na mokre ciało. Van de Velde był dużym mężczyzną i koszula nawet na niego pasowała. Spojrzał w dół i stwierdził, że krwawe plamy nie rzucają się tak bardzo w oczy na ciemnej serży jego bryczesów. Perukę miał poplamioną; cisnął ją w kąt i wybrał sobie inną z rzędu stojących przy ścianie manekinów. Znalazł wełniany płaszcz, który okrywał go od ramion do kostek. Przez minutę czyścił klingę i szafir szpady z Neptunem, a potem wsunął ją z powrotem do pochwy. Spojrzał ponownie w lustro i uznał, że jego wygląd nie powinien już nikogo przerażać. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Podniósł swoją pokrzwawioną kurtkę, oderwał z klap ordery i gwiazdki, zawinął je w czystą chustkę, którą znalazł na jednej z półek, i schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Stanąwszy w progu przebieralni gubernatora, spojrział po raz ostatni na ciało kobiety, którą kochał. Wyciekająca z niej krew sunęła po kamiennych płytkach niczym tłusta leniwa żmija. Na jego oczach dotarła do skraju mniejszej kałuży, w której leżał Powolny Jan. Ich krew zmieszała się ze sobą i miał wrażenie, że dokonano się świętokradztwo: coś czystego złączyło się z tym, co brudne.

- Nie chciałem tego - powiedział bezradnie. - Tak mi przykro, kochana. Chciałem, żebyś ze mną wyjechała.

Przestąpił ostrożnie strumyk krwi i wyszedł przez okno na werandę. Owinięty szczelnie płaszczem, pomaszerował przez ogród do małej furki w ogrodzeniu, które otaczało dziedziniec stajni. Tam zawołał stajennego, który przyprowadził mu szybko konia.

Jadąc aleją i przecinając plac apelowy, spoglądał prosto przed siebie. Łódź wciąż jeszcze stała na plaży.

- Już mieliśmy cię zostawić, pułkowniku - zawołał do niego bosman. - Na Golden Bough podnoszą kotwicę i stawiają żagle.

Kiedy wszedł na pokład fregaty, kapitan Llewellyn i jego załoga byli tak zajęci przygotowaniem statku do wyjścia w morze, że nie zwracali na niego większej uwagi.

Majtek zaprowadził go do małej kabiny i pobiegł z powrotem na górę. Jego kufrы podróżne wsunięte były pod niską koję. Schreuder zdjął poplamione ubranie i znalazł w jednym z kufrów czysty mundur. Przed włożeniem go przypiął do kłap gwiazdki i ordery. Zakrwawione ubranie zwinął w tobołek i rozejrzał się dookoła, szukając czegoś, czym mógłby go obciążyć. Ściany z cienkich desek z pewnością usuwano, gdy fregata szykowała się do boju. Kabina stawała się wtedy częścią pokładu działowego. Znaczną jej część zajmowała kolubryna. Obok niej stała piramida żelaznych kuł. Schreuder wsunął jedną z nich do tobołka i czekał, aż statek złapie wiatr w żagle i wypłynie z zatoki.

Wtedy uchylił kłapę otworu działowego i wyrzucił pokrwawione ubranie do głębokiej na pięćdziesiąt sążni zielonej wody. Kiedy wyszedł na pokład, znajdowali się już o milę od brzegu i pruli ostro fale, gnani południowo-wschodnim wiatrem.

Patrząc na oddalający się ład, Schreuder dojrzał dach rezydencji gubernatora, prześwitujący między drzewami rosnącymi u stóp wielkiej góry. Zastanawiał się, czy ktoś odkrył już ciało Katinki, czy też wciąż leży martwa obok swego nikczemnego kochanka. Stał na rufie tak długo, aż Góra Stołowa zmieniła się w niewyraźną błękitną mgielkę na wieczornym niebie.

- Żegnaj, ukochana - szepnął.

Dopiero w nocy, nie mogąc zasnąć na twardej koi, uświadomił sobie, w jak beznadziejnej znalazł się sytuacji. Jego wina nie ulegała żadnej wątpliwości. Każdy opuszczający Zatokę Stołową statek zanieśie wieść o tej zbrodni do wszystkich portów cywilizowanego świata. Od tego dnia na zawsze już miał pozostać zbiegiem i banitą.

Hal obudził się z uczuciem błogości, jakiej rzadko kiedy zdarzyło mu się dotychczas doznać. Leżał z zamkniętymi oczyma, zbyt rozleniwiony i słaby, by je otworzyć. Było mu ciepło, sucho i leżał na wygodnym materacu. Oczekiwał, że w nozdrza uderzy go odór lochów; spleśniały fetor wilgotnej gnijącej słomy, kubła na odchody i mężczyzn, którzy nie kąpali się od dwunastu miesięcy, stłoczeni razem w cuchnących podziemiach. Zamiast tego poczuł słodki i aromatyczny zapach płonących cedrowych gałązek.

Nagle wróciła mu pamięć i uświadomił sobie z olbrzymią radością, że uciekli i nie jest już dłużej więźniem. Leżał, rozkoszując się tą wiedzą. Były również inne zapachy i dźwięki. Bawił się, próbując je rozpoznać bez otwierania oczu. Woń świeżo ściętej trawy, którą wypchany był jego materac, i futrzanego koca, który go okrywał, aromat mięsa piekącego się na węglach i inny odurzający zapach, którego nie potrafił zlokalizować - połączenie polnych kwiatów i ciepłego kociego piżma, które dziwnie go podniecało i potęgowało stan błogości.

Powoli otworzył oczy i od razu oślepiło go silne górskie światło, wpadające do szalasu, w którym leżał. Rozejrzał się i zobaczył, że zbudowano go na zboczu góry: z jednej strony ścianę stanowiła gładka skała, z drugiej, tam gdzie było wejście, oklejone czerwoną gliną gałęzie młodych drzewek. Dach był ze słomy. Przy wewnętrznej ścianie stały gliniane naczynia i toporne domowe sprzęty. Na kołku przy wejściu wisiał łuk i kołczan, a obok jego szpada i pistolety.

Leżał przysłuchując się szmerowi górskiego strumyka, a potem usłyszał kobiecy śmiech, weselszy i bardziej miły niż pluskanie wody. Podniósł się powoli na łokciu i wstrząśnięty tym, ile to wymaga wysiłku, spróbował wyrzeć na zewnątrz. Razem z kobietą śmiało się małe dziecko. W ciągu całego długiego okresu niewoli nie słyszał niczego, co mogłoby się z tym równać, i nie potrafił powstrzymać szczęśliwego chichotu.

Śmiech umilkł i na zewnątrz ktoś szybko się poruszył. W wejściu pojawiła się oświetlona z tyłu słońcem smukła dziewczęca sylwetka. Nie widział jej twarzy, ale od razu ją poznał.

- Dzień dobry, Gundwane. Spałeś bardzo długo, ale czy się dobrze wyspałeś? - zapytała nieśmiało Sukeena. Na biodrze trzymała niemowlę; rozpuszczone włosy spływały jej ciemnym welonem poniżej talii. - To mój siostrzeniec, Bobby. - Podrzuciła na biodrze małego, który zagulgotał z uciechy.

- Jak długo spałem? - zapytał Hal.

Chciał się podnieść, lecz ona podała szybko dziecko komuś na zewnątrz, podbiegła do materaca, uklękła i położyła mu drobną ciepłą dłoń na nagiej piersi.

- Powoli, Gundwane. Spałeś w gorączce przez dwa dni.

- Ale teraz czuję się całkiem dobrze - odparł i rozpoznał tajemniczą woń, którą poczuł wcześniej. To był jej kobiecy zapach, zapach kwiatów we włosach i miękkiego ciepłego ciała.

- Nie sądzę - zaprotestowała i Hal położył głowę z powrotem na materacu. Nie odrywał od niej wzroku, a ona uśmiechnęła się bez cienia zakłopotania.

- Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej dziewczyny - powiedział, a potem dotknął ręką własnego policzka. - Gdzie jest moja broda?

- Nie ma jej. - Sukeena usiadła na podwiniętych nogach. - Specjalnie w tym celu ukradłam brzytwę tłustemu gubernatorowi. - Przechyliła głowę na bok i przez chwilę mu się przyglądała. - Bez brody też jesteś piękny, Gundwane.

Zarumieniła się lekko, uświadamiając sobie wagę własnych słów, a Hal patrzył z zachwytem, jak jej policzki zabarwia czerwone złoto. Sukeena skupiła tymczasem całą uwagę na jego rannej nodze; ściągnęła z mej koc i zdjęła bandaż.

- No tak - mruknęła, delikatnie jej dotykając. - Wspaniale się goi z niewielką pomocą moich leków. Masz szczęście. Ukąszenie psa jest zawsze bardzo niebezpieczne, a obciążenie, na które naraziłeś tę nogę podczas ucieczki, mogło cię zabić albo spowodować trwałe kalectwo.

Leżącego wygodnie na materacu i poddającego się jej zabiegom, Hala bawiły te reprimendy.

- Może masz ochotę coś zjeść? - zapytała, zakładając nowy opatrunek, i nagle zdał sobie sprawę, że jest głodny jak wilk.

Sukeena przyniosła mu upieczoną na węglach kuropatwę, siadła naprzeciwko i nie spuszczała z niego oczu, kiedy jadł i wysysał kostki.

- Wkrótce odzyskasz siły - stwierdziła z uśmiechem. - Masz łwi apetyt. - Zebrała resztki jego posiłku i wstała. - Aboli i pozostali marynarze prosili, żebym im pozwoliła cię odwiedzić. Zaraz ich zawołam.

- Zaczekaj! - powstrzymał ją. Nie chciał, żeby ich intymne spotkanie tak szybko się skończyło.

Dziewczyna przyklęknęła ponownie przy jego materacu i posłała mu pytające spojrzenie.

- Jeszcze ci nie podziękowałem - oznajmił niezgrabnie. - Gdybyś się mną nie zajęła, pewnie umarłbym z gorączki.

- Ja też ci nie podziękowałam - odparła z lekkim uśmiechem. - Gdyby nie ty, nadal byłabym niewolnicą.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słów, otwarcie przyglądając się rysom swoich twarzy.

- Gdzie jesteśmy, Sukeeno? - zapytał w końcu, zataczając krąg ręką. - Co to za szalas?

- Należy do Sabaha. Pożyczył go nam. Tobie i mnie. Sam zamieszkał razem z resztą swoich ludzi.

- Więc w końcu znaleźliśmy się w górach?

- Daleko w głębi gór - odparła, kiwając głową. - W miejscu, które nie ma nazwy. I w którym nigdy nie odnajdą nas Holendrzy.

- Chcę je zobaczyć - stwierdził.

Przyglądała mu się przez chwilę z powątpiewaniem, a potem skinęła głową. Pomogła mu wstać i podparła ramieniem, kiedy pokuśtykał do wyjścia.

Hal usiadł na ziemi, oparł się o słupek z surowego cedrowego drzewa i rozejrzał dookoła. Sukeena przycupnęła tuż obok. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało.

Hal wciągał głęboko w płuca rześkie górskie powietrze. Pachniało polnymi kwiatami, które rosły wszędzie wokół nich.

- Tak chyba wygląda raj - powiedział w końcu.

Otoczające ich szczyty były dzikie i wspaniałe. Urwiska i wąwozy pokryte były porostami, które mieniły się wszystkimi barwami malarskiej palety. Promienie popołudniowego słońca padały na góry po drugiej stronie głębokiej doliny, wieńcząc je złotym blaskiem. Długi cień wznoszącego się za ich plecami wierchu miał kolor królewskiej purpury. Woda w płynącym niżej potoku była tak samo czysta jak powietrze, którym oddychali. Hal widział w jej toni długie cienie ryb, które poruszały ciemnymi ogonami, płynąc prosto pod prąd.

- To dziwne... nigdy w życiu nie widziałem tego miejsca ani niczego, co by je przypominało, a mimo to mam wrażenie, że dobrze je znam. Tak jakbym wrócił po długiej podróży do domu. Jakbym czekał, żeby tu wrócić.

- To nie jest dziwne, Henry Courteney. Ja także na to czekałam. - Sukeena odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że przyjdiesz. Powiedziały mi o tym gwiazdy. Tamtego dnia, gdy zobaczyłam cię na placu apelowym przy zamku, od razu wiedziałam, że to ty.

Tyle ważnych rzeczy zawartych było w rym prostym stwierdzeniu. Hal przez dłuższy czas milczał, wpatrując się w jej twarz.

- Mój ojciec też potrafił czytać z gwiazd - stwierdził w końcu.

- Aboli powiedział mi o tym.

- Więc ty także umiesz przepowiadać przyszłość, Sukeeno? Nie zaprzeczyła.

- Moja matka nauczyła mnie wielu rzeczy. Widziałam cię, kiedy byłeś jeszcze daleko.

Hal przyjął jej słowa jako coś oczywistego.

- Musisz zatem wiedzieć, co z nami będzie, z tobą i ze mną. Uśmiechnęła się i w jej oczach zamigotały figlarne ogniki.

- Nie muszę być wielką wróżką, żeby to wiedzieć - oświadczyła, wsuwając wąską dłoń pod jego łokieć. - Jest wiele innych rzeczy, które potrafię przewidzieć.

- Powiedz mi - domagał się, lecz ona ponownie się uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

- Przyjdzie na to pora później. Zostanie nam dużo czasu na rozmowy, kiedy będzie się goiła twoja noga i stopniowo zaczniesz odzyskiwać siły. Teraz przyprowadzę innych - powiedziała wstając. - Nie mogę im tego dłużej wzbraniać.

Przybiegli prawie natychmiast, a pierwszy pojawił się Aboli.

- Widzę, że dobrze się miewasz, Gundwane - pozdrowił go w języku lasów. - Myślałem, że już nigdy się nie obudzisz.

- Bez twojej pomocy mógłbym się rzeczywiście nie obudzić.

Duży Daniel, Ned Tyler i inni pozdrowili go marynarskim salutem i przysiedli na piętach przy wejściu do szałas, mamrocząc nieśmiało słowa powitania. Choć nie wyrażali głośno swoich uczuć, blask, jaki zobaczył w utkwionych w nim oczach, rozgrzał go i podniósł na duchu.

- To jest Sabah, którego już poznałeś - odezwał się Althuda, popychając do przodu przyjaciela.

- To było wspaniałe spotkanie - stwierdził Hal, podając mu rękę. - Nigdy jeszcze tak bardzo nie uradował mnie widok drugiego człowieka jak owej nocy w wąwozie.

- Chętnie przyszedłbym wam prędzej z pomocą - odparł po holendersku Sabah - ale jest nas bardzo niewiele, a serojadów było więcej niż kleszczy na brzuchu antylopy wiosenną porą. - Sabah zasiadł w kręgu mężczyzn i zaczął się usprawiedliwiać. - Los nie jest tu dla nas w górach zbyt łaskawy. Nie mieliśmy kogoś takiego jak Sukeena, kto by nas leczył. Z dziesiętnastu osób zostało nas tylko osiem, w tym dwie kobiety i dziecko. Wiedziałem, że nie możemy wam pomóc, walcząc na otwartym polu, polując zużyliśmy bowiem całe nasze zapasy prochu. Wiedzieliśmy jednak, że Althuda przyprowadzi was Ciemnym Wąwozem i zbudowaliśmy pułapkę, spodziewając się, że Holendrzy będą was ścigać.

- Postąpiliście mądrze i dzielnie - stwierdził Hal.

Althuda cofnął się na chwilę w zapadający mrok i wrócił ze swoją kobietą. Była ładną dziewczyną, niedużą, o ciemniejszym od niego kolorze skóry, lecz Hal nie miał wątpliwości, że to Althuda jest ojcem dziecka, które trzymała na biodrze.

- To Zwaantie, moja żona, a to mój syn Bobby.

Hal wyciągnął obie ręce i Zwaantie podała mu dziecko. Posadził sobie Bobby'ego na kolanach i chłopczyk utkwiał w nim poważne spojrzenie swoich dużych oczu.

- To miły chłopak. I silny - stwierdził Hal i rodzice uśmiechnęli się z dumą.

Zwaantie odebrała mu dziecko i posadziła je na barana. A potem wspólnie z Sukeena rozpałiły ognisko i zaczęły przygotowywać wieczorny posiłek, składający się z upolowanej zwierzyny i leśnych owoców. Mężczyźni rozmawiali w tym czasie półgłosem o poważnych sprawach.

Najpierw zabrał głos Sabah, zwracając się bezpośrednio do Hala i opisując dokładnie położenie, w którym się znajdowali. Hal zdał sobie wkrótce sprawę, że mimo piękna letniego krajobrazu tutaj wyraźnej obfitości przygotowywanego przez kobiety posiłku, góry nie



zawsze są tak gościnne. W zimie nawet w dolinach zalegała gruba warstwa śniegu i trudno było coś upolować. Sabah nie odważył się jednak schodzić niżej z obawy, że zauważą ich szybko Hotentoci i doniosą Holendrom o miejscu pobytu zbiegów.

- Zimy są tutaj surowe - podsumował. - Jeśli spędzimy tu następną, niewielu z nas dożyje przyszłego lata.

Marynarze, przebywając w niewoli, nauczyli się holenderskiego w wystarczającym stopniu, żeby zrozumieć relację Sabaha. Kiedy skończył mówić, przez jakiś czas milczeli, gapiąc się ponuro w ogień i żując w strapieniu jedzenie, które przyniosły im kobiety.

A potem, jedna po drugiej, ich głowy odwróciły się ku Halowi.

- Co teraz zrobimy, sir Henry? - zapytał w imieniu wszystkich Duży Daniel.

- Jesteście żeglarzami czy góralami? - odpowiedział pytaniem na pytanie Hal i kilku mężczyzn zachichotało.

- Urodziliśmy się w brzuchu wieloryba i wszyscy mamy w żyłach słońcą wodę zamiast krwi - odparł Ned Tyler.

- W takim razie będę musiał was chyba sprowadzić na dół, nad morze i znaleźć wam jakiś statek?

Kilku zrobiło zdziwione miny, a kilku ponownie zachichotało, lecz bez większego przekonania.

- Chcę mieć spis broni, prochu i innych rzeczy, które udało wam się ze sobą zabrać, mistrzu Danielu - oznajmił Hal dziarskim tonem.

- Nie ma tego zbyt wiele, kapitanie. Kiedy zostawiliśmy konie, ledwie starczyło nam sił na to, żeby samemu wdrapać się na górę.

- A proch?

- Tylko tyle, ile mamy w rożkach.

- Kiedy nas wyprzedziliście, mieliście na koniach dwie pełne baryłki.

- Te baryłki ważyły po pięćdziesiąt funtów każda - odparł ze wstydem Daniel. - Były za ciężkie, żeby je wciągnąć.

- Widziałem, jak dźwigałeś na ramieniu dwa razy większe ciężary.

Hal poczuł złość i rozczarowanie. Bez odpowiedniego zapasu prochu byli zdani na łaskę drapieźników i plemion zamieszkujących te dzikie tereny.

- Daniel niósł moje torby - wtrąciła cicho Sukeena. - Nikt inny nie zdołałby ich udźwignąć.

- Przepraszam, kapitanie - wymamrotał Daniel.

- W tych jukach nie ma ani jednej rzeczy, bez której moglibyśmy się obejść - poparła go energicznie Sukeena. - Są tam lekarstwa, które uratowały twoją nogę i które uchronią nas wszystkich przed chorobami czyhającymi na tym pustkowiu.

- Dziękuję, Księżniczko - mruknął Daniel, spoglądając na nią niczym zakochany psiak.

Gdyby miał ogon, pomyślał Hal, na pewno by nim pomerdał. Uśmiechnął się i poklepał Daniela po ramieniu.

- Nie można ci nic zarzucić, Danny - powiedział. - Nikt inny nie spisałby się lepiej.

Wszyscy wyraźnie się odprężyli i na ich twarzach ukazały się uśmiechy.

- Czy mówiłeś serio, obiecując nam statek, kapitanie? - zapytał Ned Tyler.

Sukeena wstała od ogniska.

- Na dzisiaj dosyć. Powinien odzyskać siły, nim zaczniecie go znowu molestować. Teraz musicie odejść. Odwiedzicie go jutro.

Marynarze po kolei podchodzili do Hala, podawali mu rękę, mamrotali kilka słów bez związku, a potem wędrowali do innych szałasów, które stały na zboczu. Kiedy ostatni zniknął w mroku, Sukeena dorzuciła do ognia kolejne cedrowe polano, a następnie usiadła tuż obok Hala. Położył jej w naturalny sposób rękę na ramieniu, a ona oparła o niego swoje szczupłe ciało, umościła głowę w zagłębieniu ramienia i westchnęła z zadowoleniem. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

- Chciałabym już tak zawsze siedzieć u twojego boku, ale gwiazdy mogą na to nie pozwolić - szepnęła. - Czas naszej miłości może być krótki jak zimowy dzień.

- Nie mów tak - zaprotestował Hal. - Nigdy tak nie mów.

Oboje spojrzeli na gwiazdy. W rozrzedzonym górskim powietrzu świeciły tak intensywnie, że rozświetlone niebo błyszczało niczym macica perłowa, wyścielająca świeżo wyłowioną z morza muszlę perłopława. Hal przyglądał im się z podziwem, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Czuł, jak ogarnia go smutek i bezradność. Nagle przeszedł go chłodny dreszcz.

Sukeena natychmiast wstała.

- Zmarłeś - powiedziała cicho. - Chodź, Gundwane!

Pomogła mu wstać, zaprowadziła do szałasu i ułożyła na materacu, a później zapaliła knot małej glinianej lampki i postawiła ją na skalnej półce. Na skraju paleniska stało naczynie wypełnione parującą wodą. Wylała ją do pustej miednicy i tak długo dodawała zimnej wody, aż temperatura wydała jej się właściwa.

Ruchy Sukeeny były spokojne i niespieszne. Hal obserwował ją, wspierając się na łokciu. Postawiła miednicę z ciepłą wodą pośrodku szafasu, dołała do niej kilka kropel ze szklanej fiolki i zamieszała ręką. Poczł lekkie tchnienie subtelnych perfum.

Sukeena podeszła do wyjścia, zasunęła zasłoneę ze zwierzęcych skór i stanęła przy miednicy z perfumowaną wodą. Wyjęła z włosów polne kwiaty i rzuciła je na futrzany pled u stóp Hala. Nie patrząc na niego, rozplotła włosy i czesała je tak długo, aż załśniły niczym obsydian. Czesząc się, nuciła w swoim języku pieśń, która była kołysanką albo miłosnym hymnem. Miała miodopłynny głos; głos, który kołł i zachwycał.

Odłożyła grzebień i pozwoliła, by koszula zsunęła jej się z ramion. Skóra dziewczyny lśniła w żółtym świetle lampy, a jędrne piersi prężyły się zuchwale niczym dwa złote jabłka. Kiedy odwróciła się do niego plecami, Hal poczuł żal, że ich nie widzi. Jej pieśń zmieniła się; teraz pobrzmiwała w niej radość i podniecenie.

- Co takiego śpiewasz? - zapytał.

Sukeena uśmiechnęła się do niego, spoglądając przez nagie ramię.

- To weselna pieśń ludu mojej matki - odparła. - Oblubienica mówi, że jest szczęśliwa i że kocha swego męża z odwieczną siłą oceanu i z cierpliwością świecących na niebie gwiazd.

- Nigdy jeszcze nie slyszalem czegoś tak przyjemnego - szepnął Hal.

Powoli i zmysłowo odwinęła sarong opinający jej biodra i rzuciła go na podłogę. Miała małe i zgrabne pośladki przedzielone głęboką bruzdą na dwa idealne owale. Przykucnęła obok miednicy, zmoczyła w pachnącej wodzie kawałek materiału i przystąpiła do ablucji. Zaczęła od ramion i obmyła kolejno lewą i prawą rękę aż po długie wąskie palce. Pod pachami miała jedwabiste kępkę czarnych włosów.

Hal zdał sobie sprawę, że ta kąpiel stanowi fragment jakiegoś rytuału, który przed nim odprawia. Śledził pilnie każdy jej ruch, a ona podnosiła co jakiś czas wzrok i nieśmiało się do niego uśmiechała. Miała mokre włosy za uszami, a na policzkach i górnej wardze lśniły kropelki wody.

W końcu wstała i powoli się do niego odwróciła. Kiedyś wydawało mu się, że ma chłopięce kształty, ale teraz, gdy przekonał się, jak bardzo jest kobieca, serce nabrzmiało mu z pożądania. U podstawy płaskiego gładkiego brzucha lśniło trójkątne ciemne futerko, miękkie jak śpiący kociak.

Sukeena wytarła się do sucha swoją bawełnianą koszulą, a potem podeszła do lampki olejnej i przystawiła palce do knota, chcąc ją zgasić.

- Nie - odezwał się Hal. - Zostaw światło. Chcę na ciebie patrzeć.

Sukeena zbliżyła się do niego, stąpając drobnymi bosymi stopami po kamiennej podłodze, po czym wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do jego ciała. Jej usta przywarły do jego warg. Były miękkie, wilgotne i ciepłe, a oddech pachniał polnymi kwiatami, które miała we włosach.

- Czekałam na ciebie całe swoje życie - szepnęła prosto w jego usta.

- Długo to trwało - odszepnął - ale wreszcie jestem.

Rano pokazała mu z dumą skarby, które zabrała w skórzanych jukach. Udało jej się w jakiś sposób zdobyć wszystko, o co Hal prosił w listach wciskanych w szparę zamkowego muru. Niemal wyrwał jej z ręki mapy.

- Skąd je wzięłaś, Sukeeno? - zapytał, a ona cieszyła się widząc, jak wielką mają dla niego wartość.

- Miałam w kolonii wielu przyjaciół - wyjaśniła. - Czasami przychodziły do mnie nawet kurwy z tawern, bym poradziła coś na ich dolegliwości. Saar zabija więcej pacjentów, niż udaje mu się wyleczyć. Niektóre panienki uprawiają swój proceder na pokładzie stojących w zatoce statków i wracają potem z najróżniejszymi rzeczami, które niekoniecznie dostały w prezencie od żeglarzy. - Sukeena roześmiała się wesoło. - Jeśli coś nie jest przyśrubowane do pokładu galeonu, uważają to za swoje. Oto, co mi przyniosły, kiedy poprosiłam o mapy. Czy ci odpowiadają, Gundwane?

- Są lepsze, niż się spodziewałem, Sukeeno. Ta jest wprost bezcenna, podobnie jak ta druga.

Mapy stanowiły najwyraźniej skarb jakiegoś nawigatora; bardzo szczegółowe i pokryte notatkami oraz obserwacjami zapisanymi eleganckim wyrobionym charakterem pisma, ukazywały z cudowną dokładnością wybrzeża południowej Afryki. Na podstawie własnej wiedzy mógł ocenić, jak bardzo są dokładne. Ku jego zdziwieniu na jednej z nich zaznaczona była Laguna Słoni - po raz pierwszy widział ją na mapie innej niż mapa ojca. Jej pozycja naniesiona była z dokładnością do kilku minut; na marginesie widniał szkic wybrzeża i widzianych od strony morza dwóch skalistych cypli, które, co od razu rozpoznał, musiały zostać narysowane przez naocznego obserwatora.

Chociaż linię brzegową i położony blisko morza łąd przedstawiono w miarę dokładnie, wewnątrz kontynentu było jak zwykle nie opisane albo wypełnione fantazjami, apokryficznymi jeziorami lub górami, których nie widziało nigdy ludzkie oko. Pasma gór, w których się teraz znaleźli, naszkicowane było dość pobieżnie, jakby kartograf oglądał je z Przylądka Dobrej Nadziei bądź też Fałszywej Zatoki i tylko domyślał się ich wielkości i rzeźby. Nie wiadomo w jaki sposób Sukeenie udało się zdobyć holenderski almanach

żeglarski. Opublikowany w Amsterdamie, odnotowywał ruchy ciał niebieskich do końca dekady.

Hal odłożył na bok te bezcenne dokumenty i wziął do ręki wykradziony przez Sukeenę kwadrant. Poszczególne części składanego modelu poukładane były w małym skórzanym puzdrze, wybitym od środka błękitnym aksamitem. Sam instrument był prawdziwym arcydziełem - ozdobiony klasycznymi alegoriami czterech wiatrów kwadrant z brązu, a także igły i śruby były eleganckie w formie i pokryte grawerunkami. Na małej tabliczce z brązu po wewnętrznej stronie wieka wyryty był napis „Cellini. Venezia”.

Zdobyty przez nią kompas spoczywał w masywnej skórzanej kasetce; miał mosiężną obudowę oraz igłę inkrustowaną złotem i kością słoniową, tak znakomicie wyważoną, że wskazywała bezbłędnie północ, gdy obracał powoli kasetkę w dłoniach.

- Te dwie rzeczy są warte co najmniej dwadzieścia funtów - zawołał z zachwytem. - Jesteś prawdziwą czarodziejką.

Wziął ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz. Tego ranka nie kuśtykał już tak niezgrabnie jak poprzedniego dnia. Siedząc obok Sukeeny na zboczu góry, pokazał jej, jak obserwować przechodzące przez południk słońce, żeby trafnie ustalić pozycję zajmowaną przez obserwatora. Cieszyła się widząc, jaką sprawiła mu radość, i zaimponowała Halowi, opanowując szybko ezoteryczną sztukę nawigacji. Dopiero potem uprzytomnił sobie, że dziewczyna zna astrologię i niebo nie ma przed nią tajemnic.

Mając w ręku te instrumenty, mógł wędrować pewnie przez otaczające ich dzikie pustkowia. Nadzieja, że uda mu się znaleźć jakiś statek, wydawała się o wiele bardziej realna niż zaledwie dzień wcześniej. Przyciągnął do siebie i ucałował Sukeenę, a ona przytuliła się do jego piersi.

- Ten pocałunek jest wart więcej niż dwadzieścia funtów, o których mówiłeś, mój kapitanie - stwierdziła.

- Skoro jeden pocałunek jest wart dwadzieścia funtów, w takim razie mam dla ciebie coś, co jest warte pięćset - odparł, po czym położył ją na wznak na trawie.

Kiedy się pokochali, uśmiechnęła się do niego.

- To było warte całego złota, jakie istnieje na tym świecie - szepnęła.

Po powrocie do obozu zobaczyli, że Daniel zebrał w jedno miejsce ich broń, a Aboli poleruje i ostrzy klingi drobnoziarnistym krzemieniem, który znalazł w korycie strumienia.

Hal przyjrzał się uważnie całej kolekcji. Kordów i pistoletów powinno starczyć dla wszystkich, ale mieli tylko pięć standardowych holenderskich muszkietów, ciężkich i topornych. Brakowało prochu, lontów i ołowianych kul. Zamiast tych ostatnich można było

od biedy użyć okrągłych kamyków, lecz nie mogło zastąpić prochu. W rożkach mieli nie więcej niż pięć funtów tej drogocennej substancji. Ta ilość wystarczała na niespełna dwadzieścia strzałów.

- Bez prochu nie możemy zapolować na grubego zwierza - stwierdził Sabah. - Jemy tylko kuropatwy i dassies - dodał, używając zdrobnienia holenderskiego słowa dasc, borsuk, na określenie królikowatych kosmatych stworów, od których roilo się w każdej szczelinie i jaskini.

Uryna z ich kolonii spływała po skalnej ścianie bardzo obficie, tworząc po zastygnięciu grubą warstwę, która połyskiwała w słońcu jak toffi, lecz nie pachniała tak słodko. Przy odpowiedniej dozie sprytu i cierpliwości można ich było upolować dosyć, by starczyło jedzenia dla wszystkich. Mięso dassies było soczyste i przypominało w smaku prosiaka.

Dzięki Sukeenie ich jadłospis został znacznie poszerzony o jadalne korzonki i inne leśne rośliny. Każdego dnia Hal wychodził z nią z obozu i niósł jej koszyk, podczas gdy ona buszowała po zboczach. W miarę jak goiła się jego noga, wypuszczali się coraz dalej i coraz dłużej pozostawali ze sobą sam na sam.

Majestatyczne góry wydawały się tworzyć idealną oprawę dla jasnego klejnotu ich miłości. Kiedy koszyk Sukeeny wypełnił się po brzegi, odnajdywali w licznych strumieniach ukryte sadzawki i kąpali się w nich nago. Po kąpieli leżeli obok siebie na wygładzonych przez wodę skałach, czekając, aż słońce wysuszy ich ciała. Boleśnie powoli bawili się swoimi ciałami i w końcu kochali się ze sobą. Później rozmawiali, penetrując swoje umysły tak samo głęboko, jak przedtem penetrowali ciała, a potem znowu się kochali. Nic nie było w stanie nasycić ich apetytów.

- Gdzie nauczyłeś się tak zadowalać dziewczynę? - pytała zdyszczym głosem Sukeena. - Kto nauczył cię tych wszystkich rzeczy, które mi robisz?

Nie było to pytanie, na które chciałby udzielać wyczerpującej odpowiedzi.

- To dzięki temu, że tak dobrze do siebie pasujemy - mówił. - Moje ciało jest stworzone, by dotykać twojego. Odnajduję przyjemność w twojej przyjemności. Twoja przyjemność stukrotnie powiększa moją.

Wieczorami, gdy zbierali się wokół ogniska, towarzysze pytali go stale o to, jakie ma plany, lecz on wymigiwał się od odpowiedzi, śmiejąc się lub potrząsając głową. Pewien plan rzeczywiście dojrzał w jego głowie, ale nie był jeszcze dostatecznie dopracowany, by mógł go wyjawić. Zbyt wiele było przeszkód do przewyciężenia. Zamiast tego wypytywał pilnie o wszystko Sabaha i pięciu zbiegów, którzy przeżyli z nim zimę.



- Jak daleko na wschód dotarliście, idąc przez te góry?

- W zimie wędrowaliśmy sześć dni w tamtą stronę. Chcieliśmy znaleźć jakąś zwierzynę i miejsce, gdzie nie byłoby tak zimno.

- Jak wygląda kraj, który leży na wschodzie?

- Góry ciągną się przez wiele mil, a potem nagle teren opada i zaczyna się las i pagórkowata sawanna. Po prawej ręce widać ocean.

Sabah wziął do ręki gałązkę i zaczął rysować mapę obok ogniska. Hal zapamiętał każdy jej szczegół i pytał dalej. Chciał, żeby Sabah przypomniał sobie wszystko, co widział.

- Czy zeszliście na dół?

- Niezbyt daleko. Natknęliśmy się tam na dziwne bestie, których nigdy nie widziało oko człowieka: szare i olbrzymie, z wielkim rogami osadzonymi na nosie. Jedna z nich ruszyła na nas, straszliwie gwizdząc i parszając. Chociaż strzelaliśmy do niej z muszkietów, szarżowała dalej i nadziała na róg żonę Johannesesa, zabijając ją na miejscu.

Wszyscy spojrzeli na niedużego jednookiego Johannesesa, który zapłakał gorzko na wspomnienie swojej zabitej towarzyszkii. Płynące z pustego oczodołu łzy sprawiały dziwne wrażenie. Przez chwilę milczeli, a potem Zwaantie podjęła przerwany przez Sabaha wątek.

- Mój mały Bobby miał wtedy tylko miesiąc i nie mogłam narażać go na takie niebezpieczeństwo. Bez prochu do muszkietów nie mogliśmy iść dalej. Wymogłam na Sabahu, żeby zawrócić.

- Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania? Jaki masz plan, kapitanie? - chciał wiedzieć Duży Daniel, ale Hal potrząsnął głową.

- Nie jestem jeszcze gotów, żeby wam go przedstawić, ale nie upadajcie na duchu, chłopcy. Obiecałem przecież, że znajdę wam jakiś statek - przypomniał, okazując więcej pewności siebie, niż czuł w głębi serca.

Nazajutrz rano, pod pretekstem wycieczki na ryby, zabrał ze sobą Abolego i Daniela. Ruszyli w górę strumienia i kiedy zniknął im z oczu obóz, usiedli razem przy skalistym brzegu sadzawki.

- Bez lepszego uzbrojenia nie zdołamy się stąd ruszyć. To jasne - oznajmił. - Będziemy tu wegetować i powoli wymierać, tak jak wymarła już większość ludzi Sabaha. Musimy mieć proch do muszkietów.

- Skąd go weźmiemy? - zapytał Daniel. - Co proponujesz?

- Myślałem o powrocie do kolonii - odparł Hal. Obaj mężczyźni popatrzyli nań z niedowierzaniem.

- Chcesz wrócić na Przylądek Dobrej Nadziei? - Aboli przerwał w końcu milczenie. - Jeśli nawet się tam zakradniesz, nie uda ci się zdobyć prochu. Możesz ukraść kilka funtów zielonym kubrakom na moście albo myśliwemu Kompanii, ale to i tak nie starczy na naszą podróż.

- Myślałem o ponownym wdarciu się do zamku - wyjaśnił Hal. Daniel i Aboli gorzko się roześmieli.

- Nie brakuje ci pomysłów, kapitanie - stwierdził Daniel - ale to czyste szaleństwo. Aboli zgodził się z nim.

- Gdybym uważał, że jest choćby najmniejsza szansa powodzenia, poszedłbym chętnie sam - oznajmił swoim głębokim basem. - Pomyśl jednak, Gundwane. Nie chodzi tylko o to, że nie zdołamy włamać się do zbrojowni. Powiedzmy, że jakimś cudem nam się to uda, a Holendrzy zdążyli uzupełnić braki nowymi dostawami. Powiedzmy, że wymkniemy się jakoś z zamku. W jaki sposób zdołamy przewieźć choćby jedną baryłkę, kiedy po piętach będą nam deptali Schreuder i jego ludzie? Tym razem nie będziemy mieć koni.

W głębi serca Hal wiedział, że to szaleństwo. Miał nadzieję, że desperacka i straceńcza propozycja skłoni ich do poszukiwania innych rozwiązań.

- Mówiłeś, że chcesz zdobyć dla nas jakiś statek, Gundwane - odezwał się w końcu Aboli. - Jeśli przedstawisz nam swój plan, być może pomożemy ci wcielić go w życie.

Obaj spojrzeli na niego z wyczekiwaniem.

- Gdzie waszym zdaniem jest w tej chwili Myszołów? - zapytał Hal.

Aboli i Duży Daniel zrobili zdziwione miny.

- Jeśli spełniły się moje modlitwy, smaży się w piekle - odparł z goryczą Daniel.

Hal spojrzął na jego towarzysza.

- Jak myślisz, Aboli? Gdzie byś go szukał?

- Gdzieś za siódmym morzem. Wszędzie tam, gdzie zwietrzył złoto albo inną łatwą zdobycz, podobnie jak padlinożerca, którego imię nosi.

- Zgadza się! - Hal poklepał go po plecach. - Ale gdzie czuć najsilniej zapach złota? Dlaczego Myszołów kupił Jiriego i innych czarnych marynarzy na targu niewolników?

Aboli przez chwilę przyglądał mu się zdezorientowany. A potem jego ciemne oblicze wykrzywił powoli szeroki uśmiech.

- Jest w Zatoce Słoni! - zawołał. Daniel roześmiał się podekscytowany.

- Zwietrzył skarby, który zdobyliśmy na Holendrach, i myśli, że nasi Murzyni potrafią go do nich zaprowadzić.

- Ile mamy stąd do Zatoki Słoni? - zapytał Aboli.

- Według mojej oceny, trzysta mil morskich - odparł Hal. Podana przez niego liczba trochę ich przytłoczyła.

- To dużo - stwierdził Daniel. - Zwłaszcza bez prochu. Jak będziemy bronić się po drodze i jak zaatakujemy Myszołowa, jeśli tam dotrzemy?

- Ile czasu zabierze nam taka podróż? - zapytał Aboli.

- Jeśli będziemy robić dziesięć mil dziennie, w co wątpię, trochę ponad miesiąc.

- Czy Myszołów jeszcze tam będzie? Może dał już za wygraną i odpłynął? - zastanawiał się na głos Aboli.

- Tak jest - mruknął Daniel. - I co poczniemy, jeśli zwinął manatki? Ugrzęźniemy tam na wieki.

- Wolisz ugrzęznąć na wieki tutaj, mistrzu Danielu? Chcesz umrzeć z zimna i głodu w tych zapomnianych przez Boga górach, kiedy przyjdzie zima?

Przez chwilę znowu milczeli.

- Jestem gotów ruszać stąd choćby dzisiaj. Nie mamy innego wyjścia - oznajmił w końcu Aboli.

- A co z twoją nogą, sir Henry? Czy jest już dość silna?

- Dajcie mi jeszcze jeden tydzień, chłopcy, i wszystkich was przegonię.

- Co zrobimy, jeśli się okaże, że Myszołów wciąż siedzi w Lagunie Słoni? - Daniel nie miał zamiaru dać się tak łatwo zbyć. - Ma pod swoimi rozkazami stu dobrze uzbrojonych łotrów, a nas, jeśli przeżyjemy wszyscy podróż, będzie raptem dwunastu, uzbrojonych tylko w białą broń.

- To znaczy, że szansę będą wyrównane - odparł ze śmiechem Hal. - Widziałem, jak rwał się do boju, kiedy było o wiele gorzej. Z prochem czy bez prochu wyruszamy, żeby odnaleźć Myszołowa. Jesteś z nami, czy nie, mistrzu Danielu?

- Oczywiście, że jestem z tobą, kapitanie. - Duży Daniel był wyraźnie urażony. - Co skłoniło cię do przypuszczenia, że może być inaczej?

Tej nocy Hal przedstawił przy ognisku plan pozostałym. Skończywszy mówić, przyjrzał się ich oświetlonym przez ogień poważnym twarzom.

- Nie będę nikogo zmuszał, żeby szedł razem z nami. Aboli, Daniel i ja postanowiliśmy wyruszyć, ale jeśli ktoś z was chce zostać tutaj w górach, zostawimy wam broń, a także połowę całego zapasu prochu i nie będziemy mieć do was żalu. Czy ktoś chce coś powiedzieć?

- Tak - odezwała się Sukeena, nie podnosząc oczu znad posiłku, który przygotowywała. - Pójdę wszędzie tam, gdzie ty.

- Dzielnie powiedziane, Księżniczko - stwierdził Ned Tyler, szczerząc zęby. - Ja pójdę także.

- Tak jest - odezwali się chórem pozostali marynarze. - Idziemy wszyscy z tobą.

Hal skinął im na znak wdzięczności głową i spojrzał na Althudę.

- Masz na głowie kobietę i dziecko, Althudo. Co nam powiesz?

Widział niepokój na twarzy drobnej Zwaantie, która karmiła piersią dziecko. W jej ciemnych oczach czaiły się wątpliwości i złe przecucia. Althuda pomógł jej wstać i zniknęli razem w mroku.

- Althuda jest naszym przywódcą - oświadczył Sabah w imieniu całej grupy, kiedy odeszli. - Wyprowadził nas z niewoli i nie możemy zostawić jego i Zwaantie samych na pustkowiu, żeby zginęli z dzieckiem z głodu i mrozu. Jeśli Althuda pójdzie, my także pójdziemy, ale jeśli zostanie, musimy zostać razem z nim.

- Podziwiam twój rozsądek i lojalność, Sabah - stwierdził Hal.

Czekali bez słowa słysząc, jak Zwaantie popłakuje w ciemności, bojąc się i nie mogąc zdecydować. W końcu Althuda przywiódł ją, obejmując ramieniem, z powrotem do ogniska i oboje zasiedli w kręgu.

- Zwaantie nie boi się o siebie, lecz o dziecko - powiedział. - Rozumie jednak, że trzymając się ciebie, sir Hal, mamy większe szansę przetrwania. Pójdziemy z tobą.

- Byłbym niepokojony, gdybyś podjął inną decyzję, Althudo. - Hal uśmiechnął się z autentycznym zadowoleniem. - Razem mamy o wiele większe możliwości. Teraz musimy zacząć przygotowywać się do drogi i uzgodnić, kiedy wyruszamy.

Sukeena podniosła się znad ogniska i usiadła przy Halu.

- Twoja noga zagoi się mniej więcej za pięć dni. Wcześniej nie pozwolę ci maszerować - oznajmiła stanowczym głosem.

- Kiedy Księżniczka coś powie - zahuczał Aboli swoim głębokim basem - tylko głupiec nie nadstawia ucha.

W ciągu tych kilku ostatnich dni Hal i Sukeena zbierali pilnie zioła i rośliny, których potrzebowała do przyrządzania potraw i swoich leczniczych wywarów.

Pod wpływem jej zabiegów ustąpiły ostatnie ogniska infekcji, a wspinaczka po stromych i poszarpanych górskich zboczach znacznie wzmocniła ranną kończynę.

Dzień przed wyruszeniem w podróż para zatrzymała się przy strumieniu, żeby wykapać się, odpocząć i pokochać w miękkiej trawie. Nigdy wcześniej nie odwiedzali tej okolicy. Kiedy Hal wygrzewał się w słońcu wyczerpany miłosnymi igraszkami, Sukeena wstała naga i przeszła kilkanaście kroków w górę wąwozu, żeby się załatwić.

Hal popatrzył, jak kuca za kępą niskich krzewów, a potem położył się na wznak i zamknął oczy, dryfując leniwie na skraju snu. Nie dawał mu zasnąć znajomy odgłos stukającego w ziemię zaostzonego kija Sukeeny. Po kilku chwilach wróciła, wciąż naga, trzymając w ręku grudę żółtawej ziemi.

- Żółte kryształy! Nigdy jeszcze nie znalazłam ich w tych górach! - Wyraźnie uradowana swoim odkryciem, wyrzuciła z koszyka część mniej wartościowych ziół, żeby zrobić miejsce dla grudek sypkiej ziemi. - Musiały tu kiedyś być wulkany, bo żółte kryształy zostawia w ziemi lawa.

Hal wpatrywał się w nią, bardziej zainteresowany tym, jak słońce ozłaca jej nagie ciało i jak zmieniają kształt jej drobne piersi, gdy dziobie energicznie grunt kijem, anizeli krystalicznymi grudami, które odłupywała ze zbocza wąwozu.

- Do czego ci potrzebna ta ziemia? - zapytał, nie ruszając się ze swego trawiastego posłania.

- Ma wiele zastosowań. Jest najlepszym lekarstwem na ból głowy i kolkę. Jeśli zmieszam ją z sokiem jagód werbeny, łagodzi palpacje serca i bóle miesięczne...

Wylizowała długo choroby, które można wyleczyć kryształami, ale Hal nie był skłonny przypisać im jakiejś szczególnej wartości.

Dla niego me różniły się wiele od innych grud suchej ziemi. Wypełniony nimi koszyk był tak ciężki, że w drodze powrotnej do obozu musiał go od niej wziąć.

Wieczorem, kiedy wszyscy zasiedli przy ognisku i po raz ostatni naradzali się przed wyruszeniem w długą podróż na wschód, Sukeena utarła grudy w zrobionym przez siebie topornym kamiennym moździerzu, wysypała sproszkowaną ziemię do kociołka z wodą, postawiła go na ogniu i usiadła przy Halu, który ustalał właśnie, co i kto będzie niósł podczas marszu. Waga i rozmiary każdego ładunku uzależnione były od wieku i siły dźwigającego go tragarza.

Nagle Hal umilkł i wciągnął powietrze w nozdrza.

- Na Chrystusa i wszystkich dwunastu apostołów! - zawołał. - Co masz w tym kociołku, Sukeeno?

- Mówiłam ci już, Gundwane. Żółte kwiaty. Popatrzyła z niepokojem na Hala, który podbiegł do niej, wziął na ręce i podrzucił wysoko w górę, aż zatrzepotała jej spódnica.

- To nie są żadne kwiaty! Poznałbym ten zapach w piekle, bo stamtąd właśnie pochodzi!

Hal całował ją tak długo, że odsunęła w końcu twarz.

- Oszalałeś? - zapytała, śmiejąc się i łapiąc powietrze.

- Oszalałem z miłości do ciebie - odparł i odwrócił się do mężczyzn, którzy obserwowali ze zdziwieniem tę scenę. - Księżniczka dokonała cudu, który nas wszystkich uratuje - zawołał.

- Mówisz zagadkami! - mruknął Aboli.

- Tak - przytaknęli inni. - Mów jasno, kapitanie.

- Powiem wystarczająco jasno, żeby moje słowa pojęli najbardziej nierozgarnięci z morskich szczurów! - Hal śmiał się z ich zmieszania. - W jej kociołku jest siarka. Magiczna żółta siarka.

Ned Tyler zrozumiał pierwszy, był bowiem starszym działowym. Zerwał się na nogi, podbiegł do kociołka i zaczął wdychać na klęczkach unoszące się z niego opary, jakby były dymem sączącym się z opiumowej nargili.

- Kapitan ma rację, chłopaki - zawołał z triumfem. - To najprawdziwsza siarka, nie ma co do tego dwóch zdań.

Sukeena zaprowadziła wszystkich, z Abolim i Dużym Danielem na czele, do wąwozu, w którym odkryła złoża siarki. Wracając do obozu, uginali się pod ciężarem żółtej ziemi, niesionej w koszach i workach uszytych ze skór zwierząt.

Dziewczyna zajęła się wygotowywaniem i wyplukiwaniem kryształów z rudy, a jednooki Johannes i Zwaantie doglądali okopanych ziemią, palących się powoli ognisk, w których cedrowe polana zmieniały się stopniowo w czarne brykiety czystego węgla drzewnego.

Hal i pozostali ludzie Sabaha wspięli się tymczasem na strome zbocza nad obozem, gdzie miały swoje kolonie skalne króliki. Wisząc jak muchy na skalnej ścianie, zeszkrobywali bursztynowe kryształy zaschniętego moczu. Zwierzęta wypróżniały się w określonych miejscach - okrągłe bobki spadały od razu na dół, lecz uryna skapywała powoli, sącząc się po skale. Odkryli, że w niektórych miejscach jej warstwa ma kilka stóp grubości.

Spuściwszy wypełnione cuchnącym ładunkiem worki na dół, zanieśli je do obozu, a potem pracując na zmianę, podtrzymywali w dzień i w nocy ogień pod glinianymi garami, ekstrahując siarkę ze sproszkowanej ziemi oraz saletrę ze zwierzęcych odchodów.

Dwaj kanonierzy, Ned Tyler i Hal, krzątali się przy tych garach niczym para alchemików, cedząc wywar i zagęszczając go przez dalsze gotowanie. Na koniec wysuszyli na słońcu uzyskaną pastę. Z pierwszego warzenia cuchnących składników otrzymali trzy duże gary krystalicznej substancji.

Rozkruszony węgiel drzewny przybrał konsystencję czarnego proszku. Saletra była jasnobrązowa i drobnoziarnista jak morska sól. Kiedy Hal położył sobie jej szczyptę na



języku, okazała się rzeczywiście cierpka i słona jak morze. Kwiaty siarki były żółte jak żonkile i prawie bezwonne.

Wszyscy zebrali się dookoła. Hal zaczął w końcu mieszać trzy składniki w kamiennym młódcie Sukeeny. Po odmierzeniu proporcji połączył najpierw węgiel drzewny i siarkę, ponieważ przed dodaniem trzeciego składnika były nieszkodliwe i obojętne. Następnie dosypał saletry i łącząc ją ostrożnie z ciemnoszarym proszkiem, uzyskał w końcu substancję, która wyglądała i pachniała jak najprawdziwszy proch strzelniczy.

Aboli podał mu muszkiet, a on wsypał do lufy odpowiednią ilość prochu, po czym wcisnął do niej wyciorem przybitkę z włóknistej suchej kory i okrągły kamyk, który wybrał z koryta potoku. Nie chciał marnować ołowianej kuli na ten eksperyment.

Duży Daniel ustawił tymczasem na drugim brzegu drewniany cel. Hal przykucnął i wycelował, a pozostali usiedli z jego prawej i lewej strony i zatkali palcami uszy. W pełnej wyczekiwania ciszy pociągnął za cyngiel.

Rozległ się donośny huk. Z lufy bluznęła chmura dymu, a drewniany cel rozleciał się na kawałki i wpadł do wody. Z gardeł wszystkich wydarł się triumfalny krzyk. Klepali się po plecach i tańczyli w słońcu półprzytomni ze szczęścia.

- Nie ustępuje jakością temu, który można znaleźć w magazynach marynarki w Greenwich - stwierdził Ned Tyler - ale zanim wyruszymy w podróż, trzeba go będzie porządnie zbrykietować.

W tym celu Hal kazał ustawić na skraju obozu tykwę za zasłoną z trawy. Wszyscy mieli z niej korzystać przy każdej nadarzającej się okazji. Nawet obie kobiety chowały się za zasłoną, aby wnieść swój skromny wkład w zbiorowy wysiłek. Gdy tykwa wypełniła się po brzegi, proch zmieszano z uryną i sformowano z niego brykiety, które po wysuszeniu na słońcu zapakowano do trzciniowych koszy, żeby ułatwić transport.

- Będziemy je w miarę potrzeby kruszyć - wyjaśnił Hal Sukeenie. - Nie musimy już nieść dużo suszonej ryby i mięsa, bo po drodze będziemy polować. Jeśli za górami jest rzeczywiście tyle zwierzyny, jak opowiada Sabah, nie zabraknie nam świeżego mięsa.

Dziesięć dni później, niż pierwotnie zamierzali, gotowi byli do wymarszu na wschód. Kolumnę prowadzili Hal, jako nawigator, i Sabah, który szedł już tą trasą wcześniej; Alhuda i trzech uzbrojeni w muszkiety mężczyźni maszerowali w środku, strzegąc kobiet i małego Bobby'ego, a Aboli i Duży Daniel zamykali pochód, dźwigając ciężkie pakunki.

Szli wzdłuż górskiego pasma, nie ośmielając się zapuszczać wyżej i starając się trzymać dolin, które opuszczali tylko wtedy, gdy trzeba było wspiąć się na przełęcz między

dwoma szczytami. Hal oceniał kierunek na podstawie kompasu, a dzienne odległości na podstawie czasu przemarszu. Każdego wieczoru przed zmierzchem nanosił te dane na mapę.

Obozowali pod gołym niebem, noce były bowiem dość łagodne, a oni zbyt utrudzeni, żeby budować szałas. Kiedy budzili się o świcie, ich okrycia ze skór, które Sabah nazywał karossami, były wilgotne od rosy.

Zgodnie z zapowiedzią Sabaha dopiero po sześciu dniach ciężkiej wędrówki przez labirynt dolin dotarli do wschodniego skraju gór i ich oczom ukazał się leżący niżej łąd.

Po prawej stronie ujrzeli niebieską plamę oceanu, która zlewała się z przypominającym czaple jajo jaśniejszym błękitem nieba, lecz wbrew temu, czego spodziewał się Hal, ciągnące się niżej tereny nie były prawdziwą równiną. Przecinały je pasma wzgórz, pofalowane sawanny i ciemnozielone lasy, ciągnące się wzdłuż licznych małych rzek, które biegły zygzakiem do oceanu.

Po lewej stronie, równoległe do morza, wznosiło się kolejne pasmo poszarpanych błękitnych szczytów, które strzegły wnętrza tajemniczego kontynentu. Bystre oko Hala szybko dostrzegło ciemniejsze plamy, które sunęły niczym cienie obłoków po złocistych sawannach, choć na niebie nie było najmniejszej chmurki. Widział tumany kurzu ciągnące się w ślad za stadami zwierzyny i pobłyskujący tu i ówdzie w słońcu słoniowy kieł bądź też gładką parę rogów.

- Ten kraj tętni życiem - mruknął do Sukeeny, która stała przy jego boku. - Możemy tam spotkać dziwne bestie, na których nigdy jeszcze nie spoczęło ludzkie oko. Być może nawet ziejące ogniem smoki, jednorogi i gryfy.

Sukeena zadrżała i skuliła ramiona, chociaż słońce grzało mocno i stało wysoko na horyzoncie.

- Widziałam takie stworzenia na mapach, które dla ciebie zabrałam - przyznała.

Przed sobą mieli udeptaną przez słonie ścieżkę, upstrzoną plackami ich włóknistych żółtych odchodów. Biegła zygzakiem, opadając łagodnie w dół i omijając głębokie jary i wąwozy.

Schodząc niżej, dostrzegali coraz więcej szczegółów. Hal zaczął nawet rozpoznawać niektóre pasące się zwierzęta. Czarne ocieźałe bestie, nad którymi unosiły się złociste tumany kurzu i lśniące białe w słońcu ptaki, musiały być dzikimi bawołami, o których opowiadał mu Aboli. Nazywał je nyati i ostrzegł Hala, że odznaczają się wyjątkową agresywnością. Każde ze stad, które pasły się w zasięgu jego wzroku, musiało liczyć kilkaset sztuk.

Za najbliższym skupiskiem bawołów pasły się słonie. Hal pamiętał je dobrze z czasów, kiedy dawno temu obozowali nad brzegiem laguny, nigdy jednak nie widział ich tak

dużo. Stado liczyło co najmniej dwadzieścia wielkich samic; pod nogami każdej kręciło się podobne do prosiaka małe. Trzy albo cztery samotne samce przypominały wznoszące się nad równiną ostańce szarego granitu; Hal nie wierzył własnym oczom widząc, jakie są wielkie i jak długie i grube są ich połyskujące żółte kły.

Były tam i inne zwierzęta, również potężne i szare, ale ustępujące wielkością olbrzymim patriarchom. Z początku wziął je za samice słoni, ale kiedy zeszli niżej, zobaczył czarne rogi, które zdobiły ich wielkie pomarszczone pyski, i przypomniał sobie opowieść Sabaha o dzikiej bestii, która przebiła morderczym rogiem żonę Johannaesa. „Renostery”, jak określał je Sabah, sprawiały wrażenie samotników, każdy stał bowiem w cieniu własnego drzewa, oddalony od innych okazów swojego gatunku.

Maszerując na przedzie niewielkiej kolumny, usłyszał za sobą lekkie kroki, które tak dobrze poznał i pokochał. Sukeena ponownie opuściła swoje miejsce w środku kolumny, żeby, jak to często pod tym czy innym pretekstem czyniła, iść przez chwilę obok niego.

Zrównała się z nim krokiem i wzięła za rękę.

- Nie chciałam wkraczać sama do tej nowej krainy. Wejdziemy tam razem - powiedziała cicho, a potem spojrzała na niebo. - Zobacz. Wiatr skręca na południe, a chmury przycupnęły na szczytach gór niczym stado zagnanych w pułapkę zwierząt. Zbiera się na burzę.

Jej przepowiednie sprawdziły się. Hal zdążył zaprowadzić ich do jaskini, w której znaleźli schronienie, i zaraz potem rozpętała się burza. Siedzieli tam przez trzy długie dni i noce, ale kiedy w końcu wyszli na zewnątrz, ziemia była wymyta do czysta, a niebo jasne i błękitne jak kryształ.

Kapitan Christopher Llewellyn żałował, że wziął na pokład pasażera, zanim jeszcze Golden Bough opłynęła Przylądek Dobrej Nadziei i wzięła kurs na wschód.

Bardzo szybko zorientował się, że pułkownik Cornelius Schreuder jest człowiekiem, którego trudno polubić: aroganckim, pyskatym i do upadłego broniącym swego zdania. Miał zdecydowane i niezachwiane poglądy w każdej dowolnej kwestii i nie marnował żadnej okazji, żeby je przedstawić.

- Zdobywa sobie wrogów równie szybko jak pies łapie pchły - zauważył Llewellyn w rozmowie ze swoim matem.

Drugiego dnia po wypłynięciu z Zatoki Stołowej zaproponował Schreuderowi, żeby zjadł razem z nim i kilkoma oficerami kolację w kabinie na rufie. Był człowiekiem kulturalnym i żył na pańskiej stopie również na morzu. Podczas niedawnej wojny z

Holandrami zdobył okrągłą fortunę i stać go było na dogadanie swym wyrafinowanym gustom.

Budowa Golden Bough kosztowała prawie dwa tysiące funtów, lecz był to prawdopodobnie jeden z najdoskonalszych pływających po morzach okrętów tej klasy. Miał nowe kolubryny i żagle z najlepszego płótna. Kapitańska kajuta urządzona była ze smakiem i przepychem, jakich trudno byłoby szukać na jakimkolwiek innym okręcie wojennym, ale luksusowe wyposażenie w niczym nie umniejszało walorów bojowych statku.

W trakcie rejsu przez Atlantyk Llewellyn przekonał się z radością, że statek sprawuje się na morzu dokładnie tak, jak tego oczekiwał. Z wiatrem od rufy i postawionymi wszystkimi żaglami, kadłub ciął wodę niczym ostrze noża, a kiedy szli ostro pod wiatr, kapitanowi serce rosło w piersi, gdy czuł, jak pokład przechyla się pod jego stopami.

Większość oficerów i podoficerów służyła pod jego rozkazami podczas wojny i dała się poznać z jak najlepszej strony, miał jednak na pokładzie oficera o wiele młodszego od nich, czwartego syna wicehrabiego George'a Wintertona.

Lord Winterton, Pierwszy Nawigator Zakonu, należał do najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Anglii. Posiadał wiele okrętów kaperskich i handlowych. Vincenta Wintertona, który wyruszył w swój pierwszy kaperski rejs, ojciec powierzył opiece Llewellyna. Przystojny, dobrze wyedukowany młodzieniec nie skończył jeszcze dwudziestki, lecz odznaczał się szczerym ujmującym obejściem i zaskarbił sobie sympatię zarówno wśród prostych marynarzy, jak i swych kolegów oficerów. Jego też Llewellyn zaprosił do kapitańskiego stołu drugiej nocy po wypłynięciu z Zatoki Stołowej.

Wieczór zaczął się wesoło i przyjemnie. Anglicy byli w doskonałym humorze, żeglując tak pięknym okrętem i mając w perspektywie zdobycie sławy i złota. Tylko Schreuder trzymał się z ponurą miną na uboczu.

- Może byś tak coś zaśpiewał, Vincent, mój chłopcze? - zawołał głośno Llewellyn, kiedy rozgrzał ich drugi kielich wina.

- Znowu chcesz słuchać mojego kociego miauczenia, kapitanie? Młody człowiek roześmiał się skromnie, ale reszta towarzystwa zaczęła go gorąco namawiać.

- Nie daj się prosić, Vinnie! Zaśpiewaj nam coś, człowieku.

Vincent Winterton wstał i podszedł do niewielkiego klawikordu, który przymocowano ciężkimi mosiężnymi śrubami do jednej z wręg okrętu. Siadł na taborecie, odrzucił do tyłu długie kręcone włosy i uderzył w klawisz. W powietrzu zabrzmiał cichy srebrzysty akord.

- Co chcecie, bym zaśpiewał?

- „Zielone rękawy” - zaproponował ktoś, ale Vincent skrzywił się.

- Słyszeliście to ze sto razy, odkąd wypłynęliśmy z domu.

- „Matko moja” - zawołał ktoś inny.

Tym razem Vincent pokiwał głową, odchylił ją do tyłu i zaśpiewał czystym mocnym głosem, który zmienił w prawdziwą poezję cikliwe słowa i wycisnął łzy z oczu wielu oficerom, przytupującym stopami w rytmie piosenki.

Pułkownik poczuł z miejsca irracjonalną niechęć do tego przystojnego młodzieńca, który cieszył się tak wielką sympatią kolegów i przyjmował ze spokojem należne mu z racji wysokiego urodzenia względy. W przeciwieństwie do niego czuł się stary i niedoceniony. Jego znajomi nigdy nie darzyli go podobną admiracją i uczuciem.

Siedział sztywno w kącie, ignorowany przez ludzi, którzy nie tak dawno jeszcze byli jego śmiertelnymi wrogami i którzy, z czego zdawał sobie doskonale sprawę, gardzili nim jako nudnym cudzoziemcem oraz piechurem, nie należącym do elitarnego morskiego bractwa. Niechęć, jaką odczuwał do tego młodzika o gładkich rysach i głosie przypominającym tembrem i barwą kościelny dzwon, rychło zmieniła się w gorącą nienawiść.

Winterton przestał śpiewać i przez chwilę trwało nabożne i pełne podziwu milczenie. A potem wszyscy zaczęli klaskać w dłonie.

- Brawo, Vinnie!

- Pięknie śpiewasz, chłopcze!

Schreuder czuł, że nie może tego dłużej wytrzymać.

Przedłużający się aplauz znudził się w końcu pieśniarzowi, który wstał od klawikordu, przerywając brawa pogardliwym machnięciem dłoni.

- Miauczenie kota? - odezwał się cicho, lecz wyraźnie Schreuder. - Mówiąc tak, obrażasz chyba to sympatyczne zwierzę, panie.

W niewielkiej kajucie zapadło nagle głucho milczenie. Winterton zaczerwienił się, a jego dłoń dotknęła machinalnie rękojeści krótkiego sztyletu, który nosił przy wysadzanych klejnotami pasie.

- Vincent! - przywołał go do porządku Llewellyn, kręcąc głową. Winterton niechętnie opuścił rękę, uśmiechnął się z przymusem i lekko uklonił.

- Masz czułe ucho, panie. Gratuluję ci muzycznego gustu - powiedział, po czym odwrócił się plecami do Schreudera i wdał w pogawędkę ze swoim sąsiadem.

Niezręczny moment minął. Inni goście odetchnęli z ulgą i podjęli z uśmiechem rozmowę, świadomie wyłączając z niej Schreudera.

Llewellyn zabrał na statek swojego domowego kucharza, a na Przyładku Dobrej Nadziei zaopatrzoneo się w świeże mięso i warzywa. Posiłek w żadnej mierze nie ustępował

daniom, które podawano w kawiarniach i piwiarniach przy Fleet Street, a skrzęca się dowcipem wymiana zdań obfitowała w celne riposty, kalambury i modne slangowe wyrażenia. Schreuder mało co z tego rozumiał i wściekłość wzbierała w nim niczym tropikalny tajfun.

Wtrącił się raz do rozmowy, przypominając holenderskie zwycięstwo na Tamizie i zdobycie Royal Charlesa, dumy angielskiej floty, flagowego okrętu noszącego imię ich ukochanego monarchy. Anglicy ponownie umilkli, mierząc go chłodnym wzrokiem, a potem podjęli rozmowę, jakby w ogóle się nie odezwał.

Schreuder pocieszał się czerwonym winem, a gdy w stojącej przed nim butelce nie zostało ani kropli, sięgnął po karafkę brandy. Jego mocna głowa dorównywała jego dumie, tego wieczoru alkohol wzmagął w nim jednak gniew i agresywność. Pod koniec posiłku marzył o wszczęciu jakiejś zwady, która rozładowałaby nękające go straszliwe poczucie wyobcowania i bezradności.

Kapitan wstał w końcu z krzesła, żeby wznieść lojalny toast.

- Za zdrowie króla Karola! Oby żył nam długo i szczęśliwie! Wszyscy podnieśli się z entuzjazmem, chyląc głowy pod niskim sufitem. Jeden Schreuder nie ruszył się z miejsca. Llewellyn zastukał w stół.

- Proszę wstać, pułkowniku. Pijemy za zdrowie króla Anglii.

- Nie jestem już spragniony, dziękuję, kapitanie - odparł Schreuder, krzyżując ręce na piersi. Oficerowie zaczęli głośno sarkać.

- Pozwól, że dam mu nauczkę, kapitanie - powiedział jeden z nich.

- Pułkownik Schreuder jest na tym statku gościem - oznajmił groźnie Llewellyn - i żaden z was nie będzie robił mu afrontów, choćby zachowywał się jak świnia i naruszał wszystkie zasady obowiązujące w przyzwoitym towarzystwie. Proszę cię po raz ostatni, żebyś spełnił nasz toast, pułkowniku. Wciąż jesteśmy niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei. Jeśli tego nie zrobisz, każę natychmiast zmienić kurs i popłynąć z powrotem do Zatoki Stołowej. Tam zwrócę ci pieniądze za przejazd i każę odwieźć na plażę.

Schreuder natychmiast oprzytomniał. Czegoś takiego w ogóle nie przewidywał. Miał nadzieję, że jeden z tych angielskich osłów wyzwie go na pojedynek. Widząc, jak władza spada, otworzyliby szerzej te swoje zimne rybie oczka i przestali szczerzyć z wyższością zęby. Obawa, że zostanie odwieziony na miejsce zbrodni i oddany w mściwe ręce gubernatora van de Veldego, sprawiła, że zmiękły mu kolana i zdrętwiały palce. Wstał powoli z krzesła, trzymając w ręku kielich. Llewellyn rozchmurzył się. Wszyscy wypili toast, usiedli i wśród śmiechów i wzajemnych docinków rozmowa potoczyła się dalej.



- Czy ktoś z was ma ochotę na grę w kości? - zapytał Vincent Winterton i jego propozycja spotkała się z ogólną aprobatą.

- Owszem, ale nie przy jednoszylingowej stawce - zaprotestował jeden ze starszych oficerów. - Ostatnim razem straciłem prawie dwadzieścia funtów, wszystkie pieniądze, które dostałem po zdobyciu Buurmana.

- Stawka ćwierć pensa i limit jednego szylinga - zaproponował ktoś inny.

Pozostali zgodzili się i sięgnęli po sakiewki.

- Proponuję ci najwyższą stawkę, jaką zdołasz połknąć i nie wyrzygać z powrotem, panie Winterton - odezwał się Schreuder. Pobladł trochę na twarzy i pot perlił się na jego czole, ale poza tym nic nie wskazywało na to, że jest pijany.

Przy stole znowu zapadło milczenie. Schreuder sięgnął za pazuchę i wyciągnął sakiewkę ze świńskiej skóry. Kiedy rzucił ją nonszalancko na stół, wszyscy stęzeli, słysząc łatwą do rozpoznania muzykę złota.

- Gramy tutaj dla zabawy i w przyjaznej atmosferze - zaznaczył ponuro Llewellyn.

Vincent Winterton wcale się jednak nie stropił.

- Ile masz w tej sakiewce, panie? - rzucił lekkim tonem.

Schreuder poluzował rzemyk i wysypał dumnym gestem monety na środek stołu. Kiedy zaśniły w świetle lampy, potoczył triumfalnym wzrokiem po twarzach Anglików. Przestaną w końcu mieć mnie za hetkę-pętelkę, pomyślał.

- Dwadzieścia tysięcy holenderskich guldenów - powiedział głośno. - To ponad dwieście waszych funtów.

Był to cały jego majątek, ale jakiś szalony impuls popychał go ku samozniszczeniu. Tak jakby mógł zagłuszyć złotem nękające go straszliwe poczucie winy.

Towarzystwo milczało, porażone zawartością jego sakiewki. Dwieście funtów to były olbrzymie pieniądze; przekraczały wielkością sumę, którą większość z nich miała nadzieję zgromadzić w ciągu całego życia.

Vincent Winterton uśmiechnął się łaskawie.

- Widzę, że rzeczywiście lubisz dobrą zabawę - stwierdził.

- No tak. - Schreuder uśmiechnął się chłodno. - Widzę, że stawka jest zbyt wysoka.

Wysypał monety z powrotem do sakiewki i udał, że chce wstać od stołu.

- Chwileczkę, pułkowniku - zatrzymał go Vincent i Schreuder opadł z powrotem na krzesło. - Przyszedłem tutaj nie przygotowany, ale może zechcesz kilka minut poczekać?

Wstał, uklonił się i wyszedł z kabiny. Wszyscy siedzieli w milczeniu, dopóki nie wrócił i nie postawił przed sobą małego tekowego kufierka.

- Mówiłeś, dwieście funtów? - zapytał, wykładając na stół i licząc monety. Po chwili uzbierał się ich całkiem spory stos. - Czy zechcesz zaopiekować się naszymi sakiewkami, kapitanie? - poprosił grzecznie. - Oczywiście jeśli pułkownik nie ma nic przeciwko.

- Proszę bardzo - skinął sztywno głową Schreuder, przekazując sakiewkę Llewellynowi.

W głębi duszy zaczynał już żałować swojej popędliwości. Nie spodziewał się, że któryś z nich odpowie na jego wezwanie. Utrata takiej fortuny zrujnowałaby większość ludzi i wiedział, że z całą pewnością zrujnuje jego.

Llewellyn położył przed sobą obie sakiewki, a Vincent wyjął skórzany kubek z kośćmi i podał go Schreuderowi.

- Na ogół gramy tymi - oznajmił pogodnie. - Zechciej je sprawdzić, panie. Gdyby ci się nie spodobały, może uda nam się znaleźć inne, które nie będą budziły twoich zastrzeżeń.

Schreuder wysypał kości na stół, a potem podniósł po kolei każdy wykrojony z kości słoniowej sześcian i zbliżył go do światła.

- Nie widzę żadnej skazy - stwierdził, wrzucając je z powrotem do kubka. - Pozostaje tylko uzgodnić, w co gramy. W hazard?

- W angielski hazard - zgodził się Vincent. - W cóżby innego?

- Jaki ustalamy limit stawek przy każdym rzucie? - chciał wiedzieć Schreuder. - Funt czy pięć funtów?

- Będzie tylko jeden rzut - odparł Vincent. - O tym, kto rzuca, zadecyduje liczba punktów. Stawka wyniesie dwieście funtów.

Schreuder oniemiał. Miał nadzieję, że będzie stopniowo podnosił stawkę, co pozwoli mu wycofać się z honorem, gdyby całkowicie opuściło go szczęście. Nigdy nie słyszał, by postawiono tak olbrzymią sumę na jeden rzut.

Któryś z przyjaciół Vincenta zachichotał radośnie.

- Na Boga, Vinnie! Serojadowi zsinieje od tego wątroba! Schreuder spiorunował go wzrokiem, ale wiedział, że wpadł w pułapkę. Przez chwilę próbował wymyślić jakiś wybieg.

- Mam nadzieję, że nie wprawilem cię w zakłopotanie, pułkowniku. Wziąłem cię za ostrego gracza. A może wolisz raczej wszystko odwołać?

- Zapewniam cię, panie - odparł oschle Schreuder - że zaproponowane warunki jak najbardziej mi odpowiadają. Zgadzam się na stawkę w wysokości dwustu funtów.

Llewellyn włożył do kubka jedną kostkę i podał go Schreuderowi.

- Większa liczba punktów zadecyduje o tym, kto rzuca. Czy tak uzgodniliście?

Obaj mężczyźni kiwnęli głowami. Schreuder rzucił kością.

- Trójka! - powiedział Llewellyn i wsadził kostkę z powrotem do kubka. - Twoja kolej, panie Winterton - oznajmił, stawiając kubek przed Vincentem, który jednym ruchem potrząsnął nim i rzucił kością.

- Piątka! - stwierdził Llewellyn. - Rzucającym jest pan Winterton. Stawka wynosi dwieście funtów. - Tym razem umieścił w kubku dwie kości. - Proszę bardzo, panie Winterton.

Vincent wziął do ręki kubek i rzucił. Llewellyn odczytał punkty.

- Siedem!

Schreuder podpadł na duchu. Siódemka była najłatwiejszą liczbą do powtórzenia. Tworzyło ją wiele kombinacji. Jego szansę zmały i widać to było po uśmiechniętych twarzach widzów. Jeśli Vincent rzuci ponownie siedem lub jedenaście, co było bardzo prawdopodobne, odniesie zwycięstwo. Jeśli rzuci dwie jedynki, jedynekę lub dwójkę lub dwie szóstki, przegra. Każda inna liczba stanie się jego szansą i będzie mógł rzucać dopóty, dopóki jej nie powtórzy bądź też nie trafi którejs z przegrywających kombinacji.

Schreuder odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersi, jakby bronił się przed brutalnym atakiem. Vincent rzucił.

- Czwórka! - oznajmił Llewellyn. - Szansa wynosi teraz cztery.

Wszyscy z wyjątkiem Vincenta głośno westchnęli. Rzucił najtrudniejszą kombinację do powtórzenia. Szala zwycięstwa przechyliła się zdecydowanie na stronę Schreudera. Żeby wygrać, Vincent musiał teraz rzucić czwórkę. Siódemka oznaczała jego przegraną. Tylko dwie kombinacje dawały w sumie cztery. O wiele więcej tworzyło przegrywającą siódemkę.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - stwierdził z okrutnym uśmiechem Schreuder. - Diabelnie trudno jest wyrzucić czwórkę.

- Aniołowie sprzyjają odważnym - odparł, machając nonszalancko ręką Vincent. - Może masz ochotę, panie, podwyższyć stawkę? Powiedzmy o sto funtów.

Była to niezbyt rozsądna propozycja, zważywszy na to, że nie znajdował się w korzystnym położeniu, ale Schreuder i tak nie miał już ani guldenu.

- Nie będę dobijał leżącego - odparł krótko, potrząsając głową.

- To bardzo rycersko z twojej strony - mruknął Vincent i rzucił.

- Dziesiątka! - ogłosił Llewellyn. Była to liczba neutralna. Vincent zebrał kości, potrząsnął nimi w kubku i ponownie rzucił.

- Sześć!

Była to kolejna neutralna liczba i chociaż Schreuder siedział sztywno jak trup, jego policzki przybrały woskowy kolor. Czuł, jak po owłosionej piersi pełzną mu krople potu, śliskie niczym ogrodowe ślimaki.

- Za wszystkie ślicznotki, które zostawiliśmy daleko w domu - powiedział Vincent i po raz kolejny kości potoczyły się po orzechowym blacie stołu.

Przez długą straszną chwilę nikt się nie poruszył ani nie odezwał. A potem z gardeł Anglików wydarł się ryk, który musiał przerazić stojącego na wachcie marynarza i dosięgnął szczytu grot-masztu.

- Maryjo i Józefie święty! Dwie pary cycuszków! W życiu nie widziałem tak słodkiej czwórki!

- Pan Winterton trafił swoją szansę - zaintonował Llewellyn, kładąc przed nim dwie ciężkie sakiewki. - Wygrana należy do niego.

Głos kapitana zagłuszyły gratulacje i wybuchy śmiechu, które trwały dobre parę minut. Schreuder siedział bez ruchu niczym kłoda drewna, z poszarzałą i spoconą twarzą.

Winterton uciszył wreszcie gestem ręki kolejne żarty i gratulacje i pochylił się nad stołem do Schreudera.

- Proszę przyjąć wyrazy szacunku - powiedział poważnym tonem. - Masz żelazne nerwy, panie, i jesteś graczem pierwszej wody. Oto moja ręka na znak przyjaźni.

Schreuder spojrział z pogardą na wyciągniętą dłoń i rozradowanym Anglikom spelzły z ust uśmiechy. W małej kajucie ponownie zapadła głucha cisza.

- Powiniennem lepiej przyjrzeć się tym twoim kościom, kiedy miałem okazję, mój panie - stwierdził Schreuder. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nie zwykłem podawać ręki szulerom.

Vincent cofnął się gwałtownie i spojrział z niedowierzaniem na Schreudera. Pozostali gapili się na nich z otwartymi ustami.

Dłuższą chwilę trwało, nim Vincent doszedł do siebie po wstrząsie, jakim była dla niego ta nieoczekiwana obelga. Jego przystojna twarz pobladła pod morską opalenizną.

- Będę głęboko zobowiązany - oznajmił - jeśli udzielisz mi satysfakcji za wypowiedzianą tutaj uwagę, pułkownika Schreuder.

- Z największą przyjemnością. - Schreuder wstał od stołu, uśmiechając się triumfalnie. Został wyzwany, zatem wybór broni należał do niego. Nie będzie żadnej zabawy w pistolety. Sprawę rozstrzygnie chłodna stal i ten angielski gnojek rychło zakosztuje szpady z Neptunem. - Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zgodzisz się zostać moim sekundantem, kapitanie? - zwrócił się do Llewellyna.

- W żadnym wypadku - odparł, potrząsając głową, kapitan. - Nie zezwolę na żaden pojedynek na moim statku. Będziesz pan musiał znaleźć sobie innego sekundanta i powściągnąć swój temperament do czasu, gdy zawiniemy do portu. Tam będziesz mógł zejść na brzeg, żeby załatwić tę sprawę.

Schreuder obrócił się z powrotem do Vincenta.

- Przy pierwszej sposobności poinformuję cię o nazwisku mojego sekundanta. Dam ci satysfakcję, kiedy tylko zawiniemy do portu - powiedział, po czym wstał i wymaszerował z kajuty.

Za sobą słyszał podniesione głosy komentujących wydarzenie Anglików. Wypita brandy podsycala jego gniew i bał się, że z wściekłości pękną mu pulsujące w skroniach żyły.

Nazajutrz Schreuder ani razu nie wychylił nosa ze swojej ciasnej kajuty. Steward przynosił mu posiłki, a on leżał na koi niczym żołnierz na polu bitwy, lecząc straszliwe rany, które zadano jego dumie, oraz ból, jaki odczuwał po stracie całej swej ziemskiej fortuny. Wyszedłszy następnego dnia na pokład, stwierdził, że Golden Bough płynie lewym halsem, podążając na zachodnio-północny zachód wzdłuż wybrzuszonej linii brzegowej południowej Afryki.

Kiedy tylko jego głowa ukazała się nad obramowaniem luku, pełniący wachtę oficer odwrócił się do niego plecami i zajął ustawianiem kołków na tablicy kursowej, a kapitan przytknął do oka teleskop i zaczął przyglądać się majaczącym na północy błękitnym górcom. Schreuder spacerował w tę i z powrotem wzdłuż zawietrznej burty, świadomie ignorowany przez oficerów. Steward, który usługiwał podczas kolacji u kapitana, rozgłosił wieść o planowanym pojedynku i załoga obserwowała ciekawym okiem pułkownika, zawczasu schodząc mu z drogi.

Po półgodzinie Schreuder zatrzymał się nagle przed pełniącym wachtę oficerem.

- Czy zgodzisz się być moim sekundantem, panie Fowler? - zapytał bez zbędnych wstępów.

- Przykro mi, pułkowniku, lecz pan Winterton jest moim przyjacielem. Proszę wybaczyć, ale jestem zajęty.

W ciągu kilku następnych dni Schreuder zwrócił się z tą samą prośbą do wszystkich oficerów, za każdym razem spotykał się jednak z chłodną odmową. Upokorzony i bojkotowany, stapał po otwartym pokładzie niczym polujący w nocy leopold. Na zmianę gryzły go wyrzuty sumienia po zabiciu Katinki i oburzenie na kapitana Llewellyna i jego oficerów, którzy mieli czelność traktować go w ten sposób. Z trudem panował nad rozsadzającym go gniewem.

Rankiem piątego dnia, gdy spacerował wzdłuż zawietrznej burty, z czarnej mgły odrętwienia wyrwał go okrzyk z bocianiego gniazda. Kiedy kapitan Llewellyn ruszył szybkim krokiem do drugiej burty i zaczął obserwować południowo-zachodni horyzont, Schreuder stanął tuż za jego plecami.

W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom, widząc złowrogi wał ciemnych chmur, sięgających od horyzontu pod samo niebo i sunących ku nim z szybkością, która przypominała mu lawinę spadającą z gardzieli ciemnego wąwozu.

- Zejdź lepiej na dół, pułkowniku - ostrzegł go Llewellyn. - Będzie trochę wiało.

Schreuder zignorował jego słowa i przejęty grozą stał dalej przy relingu, obserwując toczące się ku nim chmury. Na pokładzie trwała gorączkowa krzątanina: załoga zwijała żagle i przygotowywała okręt do zwrotu, żeby skierować go dziobem do burzy. Huragan nadleciał, kiedy wybierali szoty brombramżagli i kliwra.

Sztorm przetoczył się przez Golden Bough, rycząc z furją i kładąc żaglowiec na bok. Zawietrzna burta znalazła się pod zieloną wodą, która zalała deski pokładu. Schreudera porwał jej strumień i zmyłoby go za burtę, gdyby w ostatniej chwili nie złapał się wanto w grotmasztu.

Brombramżagle i kliwer poszły w strzępy, jakby uszyto jeż mokrego pergaminu, i przez dłuższą chwilę smagany huraganem okręt leżał przechylony na bok. Morze wlewało się przez otwarte luki. Z dołu dobiegał huk i trzask pękających grodzi i przesuwającego się ładunku. Krzyczeli ludzie miażdżeni przez kolubrynę, która zerwała się z mocującej ją talii i siała śmierć i zniszczenie na pokładzie działowym. Zmywani za burtę marynarze wrzeszczeli jak potępione dusze. Powietrze pobielalo od morskiej piany i choć głowa wystawała mu z wody, Schreuder miał wrażenie, że tonie. Nie widział nic przez tuman białej mgły.

Golden Bough wyprostowała się w końcu, ściągnięta przez obciążony ołowiem kil, lecz cały takielunek był w strzępach. W powietrzu fruwał}’ porwane liny. Połamane reje objęły się z łoskotem o maszty. Przechylając się ciężko pod ciężarem wody w ładowniach, Golden Bough dryfowała gnana wiatrem od rufy.

Krztusząc się i łapiąc kurczowo powietrze, Schreuder zdołał dopełznąć do obramowania luku. Przemoczony do nitki obserwował stamtąd z przerażeniem i fascynacją, jak cały otaczający go świat roztapia się w srebrzystym wodnym pyle i oszalałych zielonych falach pręgowanych drugimi pasmami piany.

Przez dwa dni wiatr nie osłabł ani na chwilę, a fale z każdą godziną robiły się coraz większe, aż w końcu zdawały się wyższe od grotmasztu. Podtopiona Golden Bough z ociąganiem podnosiła się na ich spotkanie, a one spadając, bryzgały pianą i przetaczały się po



pokładzie. Dwaj sternicy, przywiązani do rumpla, usiłovali utrzymać okręt dziobem do wiatru, lecz każda fala zalewała ich od stóp do głów. Pod koniec drugiego dnia załoga była u kresu wytrzymałości. Do jedzenia były tylko twarde suchary i od kilkudziesięciu godzin nikt nie zmrużył oka.

Llewellyn przywiązał się do grotmasztu i wydawał stamtąd rozkazy oficerom i marynarzom, starając się ratować statek. Ponieważ nikt nie był w stanie utrzymać się na górnym pokładzie, nie mógł rozkazać załodze, by stanęła przy głównych pompach, ale na pokładzie działowym ludzie pracowali gorączkowo przy pomocniczych, próbując wypompować sześć stóp z zęzy. Woda wracała jednak przez potrzaskane luki i pokrywy otworów działowych.

Po zawiętrznej stale majaczył zarys lądu i chociaż sternicy starali się odbić na pełne morze, Golden Bough zbliżała się nieubłaganie do brzegu. Tej nocy słyszeli w ciemności fale przyboju, które huczały niczym armatnie salwy, coraz głośniej i głośniej, w miarę jak burza gnała ich na skały.

O świcie trzeciego dnia zobaczyli przez mgłę i obłoki piany złowrogi ciemny zarys lądu. Od poszarpanych skał i stromych cypli dzieliła ich zaledwie jedna mila rozhukanej szarej wody.

Schreuder popelzł w stronę kapitana, łapiąc się masztów, wantów i baksztagów za każdym razem, gdy fala spadała na statek. Kiedy dotarł do Llewellyna, woda spływała mu z włosów po twarzy, zalewając usta i nozdrza.

- Znam to wybrzeże - zawołał. - Poznają ten cypel przed nami.

- Będziemy potrzebowali boskiej pomocy, żeby go ominąć - odkrzyknął Llewellyn. - Jesteśmy na łasce wiatru.

- W takim razie proszę się modlić z całego serca do Wszechmocnego, bo ratunek leży zaledwie pięć mil stąd.

- Skąd o tym wiesz?

- Zszedłem niedaleko stąd na brzeg i maszerowałem przez te tereny. Znam tutaj każdy zakątek. Za tym przylądkiem jest zatoka, którą nazwaliśmy Zatoką Bawołów, Kiedy do niej wpłyniemy, statek będzie osłonięty przed wiatrem. Po drugiej stronie zatoki stoją dwa skaliste cypły, strzegące wejścia do szerokiej cichej laguny. Znajdziemy tam bezpieczne schronienie nawet podczas tak silnego sztormu.

- Na moich mapach nie ma tej laguny.

Na twarzy Llewellyna nadzieja walczyła z powątpiewaniem.

- Słodki Jezu, musisz mi uwierzyć, kapitanie! - zawołał Schreuder. Morze było dla niego obcym żywiołem i nawet on był śmiertelnie przerażony.

- Najpierw musimy ominąć te skały. Dopiero potem będziemy mieli okazję sprawdzić, jak dobrą masz pamięć.

Schreuder umilkł, przywierając desperacko do masztu obok Llewellyna. Z przerażeniem patrzył, jak morze rozchyła wargi białej piany i szczyty czarne zęby głazów. Golden Bough wpływała prosto w jego paszczkę.

- Matko Boska, ocal nasze grzeszne dusze! - zawołał jeden ze sterników. - Zaraz wpadniemy na skały.

- Ster na burtę! - ryknął na niego Llewellyn.

Tuż obok nich morze rozstało się i niczym olbrzymi wieloryb wynurzyła się z niego rafa. Pazury skał zdawały się czepiać kruchych desek kadłuba. Byli tak blisko, że Schreuder widział masy okrywających je muszli i wodorostów. Kolejna fala, większa od poprzednich, porwała ich i rzuciła do przodu. Skały zniknęły pod kipiela, a Golden Bough skoczyła niczym koń pokonujący przeszkodę i przepłynęła nad nimi.

Kil zahaczył o rafę i statek zatrzymał się tak gwałtownie, że Schreuder puścił się masztu i poturlał kilka jardów po pokładzie. Już po chwili żaglowiec wyrwał się z pułapki i szybując na grzbiecie potężnej fali zsunął się ze skały do leżącej za nią zatoki. Schreuder wyprostował się i natychmiast poczuł, że słabnie straszliwy huragan. Chociaż okręt wciąż gnał jak szalony do przodu, można było nad nim zapanować i pułkownik czuł, jak odpowiada na poruszenia steru.

- Tam! - wrzasnął do ucha Llewellynowi. - Tam! Prosto przed nami!

- Wielkie nieba! Miałeś rację. - Przez tumany wodnego pyłu i piany Llewellyn zobaczył przed dziobem dwa bliźniacze cyple. - Rumb na lewo! - zawołał do sterników.

Choć ich przerażone miny świadczyły o tym, że woleliby nie wypełniać tego rozkazu, skierowali statek ku kolejnym czarnym skałom i spienionemu przybojowi.

- Tak trzymać! - rozkazał Llewellyn i Golden Bough ruszyła na złamanie karku w poprzek zatoki. - Panie Winterton! - ryknął do Vincenta, który kuczał wraz z kilkoma marynarzami przy obramowaniu luku. - Musimy rozrefować grotmarsel, żeby zapewnić statkowi sterowność. Potraficie to zrobić?

Nie był to rozkaz, lecz prośba, gdyż wysyłanie ludzi na szczyt grotmasztu przy tym huraganie nie różniło się wiele od wyroku śmierci. Musiał ich poprowadzić oficer, a Vincent był z nich wszystkich najsilniejszy i najdzielniejszy.

- Za mną, chłopcy! - krzyknął bez wahania do swoich ludzi. - Daję złotą gwineę każdemu, kto stanie przede mną na bramrei.

Wyskoczył z luku, podbiegł do wantów i zaczął się po nich wspinać. Jego marynarze ruszyli w ślad za nim.

Golden Bough pruła wody Zatoki Bawołów niczym koń wyścigowy.

- Proszę spojrzeć! - zawołał nagle Schreuder, wskazując wylaniające się między dwoma wysokimi cyplami wejście do laguny.

Llewellyn zadzierał głowę, obserwując maleńkie figurki marynarzy, którzy stanęli na rei i zmagali się ze zwiniętym płótnem. Poznawał Vincenta po jego muskularnym ciele i powiewających na wietrze ciemnych włosach.

- Jak na razie świetnie ci idzie - szepnął - ale pośpiesz się, chłopcze. Daj mi kawałek płótna, żebym mógł nią pokierować.

W tym samym momencie grotmarsel rozwinął się z hukiem przypominającym strzał z muszkietu. Przez krótką chwilę Llewellyn bał się, że huragan porwie go na strzepy, lecz żagiel wytrzymał i kapitan natychmiast wyczuł zmianę w ruchu okrętu.

- Matko Boska! Może nam się uda! - wychrypiał przez spuchnięte od soli gardło. - Ster na burtę! - zawołał i Golden Bough zmieniła posłusznie kurs.

Niczym wypuszczona z łuku strzała pomknęła najpierw ku zachodniemu cypłowi, a potem skręciwszy lekko, weszła do kanału. Sunąc z prądem trwającego właśnie przyływu, wyrównała kurs, minęła skalne ostrogi i wpłynęła do cichej laguny, gdzie nie mogła dosięgnąć jej burza.

Llewellyn wpatrywał się z zachwytem i ulgą w zalesione zielone brzegi. A potem spojrzał prosto przed siebie i znieruchomiał.

- Mamy towarzystwo! - stwierdził, wskazując stojącą nieopodal na kotwicy fregatę.

Znajdujący się za nim Schreuder osłonił oczy przed ostrymi podmuchami wiatru.

- Ja znam ten żaglowiec! - zawołał. - I to bardzo dobrze! To statek lorda Cumbrae! Guli of Moray!

E land! - szepnął cicho Althuda.

Hal wiedział, że to słowo oznacza po holendersku łosia, ale te okazy nie przypominały wielkich płowych jeleni, które widywał na północnej półkuli. Były olbrzymie, większe nawet od bydła, które hodował wuj Thomas w ich posiadłości w High Weald.

Wszyscy trzej, Hal, Althuda i Aboli, leżeli na brzuchach w niewielkim zagłębieniu gruntu porośniętego bujną trawą. Stado pasło się przed nimi w gaju ciemnych drzew. Hal naliczył pięćdziesiąt dwie sztuki łącznie z cielakami. Byki były grube i ociążałe; kiedy

stapały, podgardla kołysały się im na boki, a mięso na brzuchu i zadzie trzęsło się jak galareta. Przy każdym kroku słychać było dziwny odgłos, przypominający trzask łamanej gałązki.

- To trzaskają ich kolana - szepnął mu do ucha Aboli. - Nkulu Kulu, wielki bóg wszystkich rzeczy ukarał je w ten sposób, kiedy przechwalały się, że są największymi na świecie antylopami. Skazał je na tę przypadłość, żeby myśliwy zawsze słyszał je z daleka.

Hal uśmiechnął się, słysząc to szczególne wyjaśnienie, zaraz potem Aboli powiedział jednak coś, co zgasiło uśmiech na jego twarzy.

- Znam te zwierzęta. Myśliwi z mojego plemienia bardzo je cenili. Byk tak duży jak ten, który stoi przed nami, ma wokół serca tyle tłuszczu, że nie zdoła go unieść dwóch mężczyzn.

Od kilku miesięcy żaden z nich nie miał w ustach ani uncji tłuszczu; wszystkie zwierzęta, które upolowali, były go pozbawione. Wszyscy marzyli o kawałku słoniny, a Sukeena ostrzegła Hala, że brak tłuszczu w diecie może ich osłabić i wpędzić w choroby.

Hal obserwował bacznie przodownika stada, który skubał liście drzewa, naginając wyższe gałęzie masywnymi spiralnymi rogami. W odróżnieniu od samic, które miały brązową aksamitną sierść i białe pasy na łopatkach, stary byk był niebiesko-szary i miał kępę ciemniejszych włosów na czole między rogami.

- Zostaw byka - powiedział Aboli. - Jego mięso jest twarde i łykowate. Widzisz tę samicę, która za nim stoi? Będzie słodka i delikatna jak dziewczyna, a jej tłuszcz zamieni się w miód w twoich ustach.

Wbrew radzie przyjaciela, który, o czym Hal świetnie wiedział, rzadko kiedy się mylił, myśliwska żyłka kazała mu wybrać wielkiego byka.

- Jeśli chcemy bezpiecznie przeprowić się przez rzekę, potrzebujemy tyle mięsa, ile zdołamy unieść. Każdy bierze na cel swoje zwierzę. Ja celuję w byka, ty i Althuda w młodsze sztuki - zdecydował i popęzł na brzuchu w stronę stada. Aboli i Althuda ruszyli za nim.

W ciągu kilku dni, które minęły od ich zejścia z gór, odkryli, że zamieszkujące równinę zwierzęta prawie nie boją się człowieka. Siejąca zazwyczaj postrach dwunożna postać nie budziła w nich większego lęku; pozwalały myśliwym podchodzić na odległość pewnego strzału.

Tak musiało wyglądać życie w rajach przed upadkiem pierwszych rodziców, pomyślał Hal, zbliżając się do przodownika stada. Lekki wiaterek sprzyjał mu; błękitny dym z lontów unosił się w kierunku przeciwnym do stada.

Był teraz tak blisko, że widział pojedyncze rzęsy, które okalały wielkie zażawione oczy byka, a także czerwono-złote nóżki ptaków, których cała gromadka przysiadła na miękkiej skórze między jego przednimi nogami. Byk skubał młode zielone liście, zgarniając je niebieskim językiem między ciernistymi gałązkami.

Stojące po jego obu stronach dwie młode samice skubały listki tego samego drzewa. Jedna miała obok siebie cielaka, druga była w ciąży. Hal odwrócił powoli głowę, spojrzął na leżących za nim mężczyzn i wskazał im oczyma samice. Aboli kiwnął głową i podniósł muszkiet.

Hal ponownie skupił całą swoją uwagę na wielkim byku, śledząc linię skrytej pod skórą łopatki, szukając na gładkiej szaro-niebieskiej sierści miejsca, w które powinien wycelować. Podniósł muszkiet i oparł kolbę o ramię, czując instynktownie, że jego towarzysze uczynili to samo.

Byk zrobił krok do przodu i Hal wstrzymał się ze strzałem. Zwierzę ponownie się zatrzymało i podniosło głowę. Napinając grubą pofałdowaną szyję, położyło masywne kręte rogi na grzbiecie i sięgnęło ponad dwa sążnie w górę do najwyższych gałązek ciernistego drzewa, gdzie rosły najsłodsze pęki koronkowych liści.

Hal strzelił i usłyszał, jak huk muszkietów po jego obu stronach zlewa się z hukiem jego własnej broni. Widok zasłoniła mu skłębiona chmura białego dymu. Wypuścił z ręki muszkiet, poderwał się na nogi i przebiegł kilka kroków w bok, żeby zobaczyć, co się stało. Jedna z samic leżała na ziemi, wierzgając nogami i tocząc krew z rany na szyi. Druga uciekała, wlokąc za sobą złamaną przednią nogę. Aboli biegł już za nią z obnażonym kordem w dłoni.

Reszta zbitych w gęstą brązową masą zwierząt pocwałowała w dół doliny. Cielaki zostawały w tyle za matkami. Byk nie pognał jednak razem ze stadem - wyraźny znak, że ołowiana kula poważnie go raniła. Biegł pod górę po porośniętym trawą łagodnym zboczu, lecz jego chód był nierówny i kiedy zmienił kierunek i odwrócił się bokiem do Hala, cieknąca z rany na łopatce krew załśniła niczym czerwony sztandar w promieniach słońca. Widać na niej było bańki powietrza z przebitych pnie.

Hal puścił się za nim w pogoń, sadząc długimi susami przez kępy traw. Rana po ukąszeniu psa do reszty się zagoiła i została po niej tylko wypukła błękitna pręga. Długa wędrówka przez góry i równiny wzmocniła poszkodowaną kończynę i w ogóle już nie utykał. Byk wyprzedzał go o mniej więcej dwieście jardów, zostawiając za sobą w powietrzu rzadką różową mgiełkę. Rana na łopatce krwawiła coraz silniej i jego ślad znaczyły czerwone plamy na srebrzystej trawie.

Stopniowo go doganiał i w końcu znalazł się tylko kilkanaście kroków za zwałistą bestią. Byk wyczuł obecność myśliwego i odwrócił się, by stawić mu czoło. Hal spodziewał się, że go zaatakuje: pochyli wielki kosmaty łeb i obniży spiralne rogi. Zatrzymał się w miejscu i wyciągnął kord z pochwy, gotów do obrony.

Byk wlepił w niego wielkie ciemne zdumione oczy, które zachodziły mgłą agonii. Krew kapiała z jego nozdrzy, a z kącika mordy zwisał błękitny miękki język. Nie zrobił nic, żeby go zaatakować ani się bronić, i Hal nie zobaczył nienawiści ani gniewu w jego wzroku.

- Wybacz mi - wyszeptał.

Zaszedł zwierzę z boku i czekał, aż się odsoni. Na widok cierpień, które zadał temu wspaniałemu stworzeniu, jego serce zalała fala żalu i wyrzutów sumienia. A potem skoczył do przodu i zadał ostatnie pchnięcie. Doświadczony szermierz, zatopił całą długość korda w ciele byka, który szarpnął się i skoczył do tyłu, wrywając rękojeść z jego dłoni. Ale stał dosięgła serca. Pod bykiem ugięły się nogi i opadł z trudem na kolana. Po chwili przewrócił się na bok, wydał z siebie niski ryk i skonał.

Hal złapał za rękojeść korda i wyciągnął długą zakrwawioną klingę, po czym usiadł na stojącym nieopodal głazie. Czuł smutek i zarazem dziwne uniesienie. Te sprzeczne uczucia wprawiły go w zakłopotanie. Zdziwiony i zmieszany, dumął nad pięknem i majestatem zwierzęcia, które zredukował do leżącej na trawie żalostnej góry mięsa.

Czyjaś ręka oparła się o jego ramię.

- Tylko prawdziwy myśliwy zna ból zabijania, Gundwane - zamruczał cicho Aboh. - Dlatego ludzie z mojego plemienia śpiewają i tańczą, żeby przebłagać duchy zabitej zwierzyny.

- Naucz mnie tej pieśni i tego tańca - poprosił Hal i Aboli zaczął śpiewać swoim głębokim pięknym głosem.

Złapawszy rytm, Hal zaśpiewał wraz z nim, sławiąc piękno i grację zwierzęcia i dziękując mu za to, że oddało życie, aby mógł żyć myśliwy i jego plemię.

Przytupując i śpiewając, Aboli zaczął obchodzić ciało byka i Hal zatańczył razem z nim. Gdy pieśń dobiegła końca, usiadł ze ściśniętą piersią i łzami w oczach koło przyjaciela i obserwowali wspólnie prowadzoną przez Sukeenę niewielką kolumnę ludzi, która zbliżała się do nich w ukośnych promieniach słońca.

Zanim zapadł zmierzch, Hal zbudował wraz z innymi uciekinierami palisadę i dopilnował, by szpary w ogrodzeniu zatkane były gałęziami ciernistych drzew.

Przenieśli poćwiartowane mięso antylop do środka, żeby nie porwali go padlinożercy. Na zewnątrz zostawili tylko odpadki: odcięte racice i głowy, górę kiszek i wnętrzności



wypełnionych miazgą nie przetrawionych liści i trawy. Dookoła tych resztek skakały już albo sfruwały na swoich wielkich skrzydłach sępy, a hieny i szakale walczyły ze sobą o co lepsze kąski.

Kiedy wszyscy zjedli po kilka soczystych steków, Hal wyznaczył sobie i Sukeenie środkową wartę, która zaczynała się o północy. Choć była to najuciążliwsza z wart, o tej porze bowiem człowieka najbardziej morzy sen, chcieli, by noc należała tylko do nich.

Gdy ich towarzysze ułożyli się do snu, usiedli przy wejściu do obozowiska, okryci pojedynczym futrzanym kocem, z załadowanym muszkietem leżącym przy prawej ręce Hala. Pokochali się cicho i spokojnie, żeby nikogo nie zbudzić, a potem rozmawiali szeptem, obserwując niebo i gwiazdy, krążące po swoich dalekich odwiecznych orbitach.

- Powiedz mi prawdę, moja miła, co wyczytałaś w tych gwiazdach? Co nas czeka? Ilu synów mi urodzisz? - Dłoń Sukeeny spoczywała nieruchomo w jego ręce i poczuł nagle, jak cała sztywnieje. Nie odpowiedziała i musiał zapytać ponownie. - Dlaczego nigdy nie mówisz, co przyniesie nam przyszłość? Wiem, że stawiasz nasze horoskopy, bo często, kiedy wydaje ci się, że śpię, widzę, jak coś czytasz i piszesz w swojej małej niebieskiej książeczce. Sukeena położyła mu palce na ustach.

- Zamilcz, mój panie. W naszym życiu jest wiele rzeczy, które nie powinny zostać ujawnione. Dziś i jutro kochajmy się z całego serca i z całej siły. Korzystajmy z każdego dnia, którym obdarzył nas Bóg.

- Martwisz mnie, kochanie. Czy to znaczy, że nie będziemy mieli synów?

Nie odpowiedziała na jego pytanie. Oboje obserwowali przez chwilę spadającą gwiazdę, która opuściła swój ognisty podniebny szlak i zgasła na ich oczach. Sukeena westchnęła.

- Owszem, dam ci syna, ale... - szepnęła i urwała, nie chcąc powiedzieć tego, co cisnęło się jej na usta.

- W twoim głosie jest wielki smutek - zauważył zaniepokojony. - A mimo to myśl o tym, że dasz mi syna, napęnia mnie radością.

- Gwiazdy mogą być podstępne - westchnęła. - Czasami spełniają swoje obietnice w sposób, jakiego się w ogóle nie spodziewaliśmy, powodując, że pryskają pokładane w nich nadzieje. Jedno wiem na pewno: zostałeś powołany do rzeczy wielkich. Los zrządził tak w dniu twojego urodzenia.

- O tym samym zadaniu mówił mi ojciec - przypomniał sobie starą przepowiednię Hal. - Nie zamierzam sprzeciwiać się przeznaczeniu, ale musisz mi pomagać i wspierać mnie tak, jak to czyniłaś dotychczas.

- Wyznaczone ci zadanie ma coś wspólnego ze złożonymi ślubami i tajemniczym potężnym talizmanem - stwierdziła, nie odpowiadając na jego prośbę.

- Czy ty i twój syn będziecie ze mną, kiedy je wypełnię? - nalegał.

- Jeśli zdołam doprowadzić cię tam, dokąd wiedzie cię przeznaczenie, będę cię wspierać z całego serca i ze wszystkich sił.

- Ale czy będziesz mi towarzyszyć? - zapytał.

- Tak długo, jak długo pozwolą mi na to gwiazdy - obiecała. - Nic więcej nie wiem i nie mogę powiedzieć.

- Przecież... - zaczął, lecz ona zakryła ustami jego usta i nie pozwoliła mu się odezwać.

- Dostyć! Nie pytaj o nic więcej - ostrzegła go. - Teraz połączmy znów nasze ciała i pozwólmy rozstrzygnąć gwiazdom to, co mają do rozstrzygnięcia.

Pod koniec ich wachty Byk stanął wysoko i dumnie na nieboskłonie, a Siedem Sióstr zaszło za wzgórzami. Hal i Sukeena leżeli dalej na ziemi, trzymając się w ramionach i cicho rozmawiając, żeby odgonić ogarniającą ich senność. Przyzwyczaili się już do nocnych odgłosów sawanny: do płynnych treli ptaków, do szczekania i jodłowania małych czerwonych szakali i do przeraźliwych wrzasków i rechotu hien pożerających padlinę, lecz nagle rozległ się głos, który zmroził ich do szpiku kości.

Wydawało się, że dobiega z samego środka piekła; potworny ryk i pomruki, które uciszyły wszystkie mniejsze stworzenia, przetoczyły się przez wzgórza i powróciły do nich tysięcznym echem. Sukeena mimowolnie przytuliła się do Hala.

- Och, Gundwane, cóż to za potworna bestia?

Nie ją jedną ogarnęło przerażenie; nagle zbudził się cały obóz. Zwaantie zapłakała głośno i zaraz zawtórował jej mały Bobby. Nawet mężczyźni zerwali się na nogi i zaczęli wzywać boskiej pomocy.

Aboli pojawił się przy nich jak cień i uspokoił Sukeenę, kładąc dłoń na jej drżącym ramieniu.

- To nie żaden upiór, lecz stworzenie z tego świata - wyjaśnił. - Powiadają, że nawet najdzielniejszy myśliwy trzy razy boi się lwa: Po raz pierwszy, kiedy widzi jego ślady, po raz drugi, kiedy słyszy jego głos, i po raz trzeci, kiedy musi stawić mu czoło.

- Dorzucie więcej drew do ognia - zawołał Hal. - Zapalcie lonty muszkietów. Niech kobiety i dzieci zostaną w środku palisady.

Przykucnęli za prowizorycznym ogrodzeniem i przez chwilę było zupełnie cicho, ciszej niż przedtem. Nawet padlinożercy umilkli na dźwięk potężnego głosu, który odezwał się w ciemności.

Trzymając gotową do strzału broń, wpatrywali się w mrok, którego nie były w stanie rozjaśnić żółte płomienie ogniska. Hal ujrzał przesuwający się w ciemności upiorny kształt, lecz nie był pewien, czy migotliwe światło nie płała figłów jego oczom. Po chwili Sukeena złapała go za ramię, wbijając głęboko paznokcie, i domyślił się, że ona także go zobaczyła.

Przerażający ryk rozległ się ponownie i włosy podniosły się na ich głowach. Kobiety zaczęły krzyczeć, a mężczyźni zacisnęli drżące dłonie na broni, która wydawała im się teraz taka nędzna i zawodna.

- Tam! - szepnęła Zwaantie i tym razem nie mieli wątpliwości, że to, co widzą, istnieje naprawdę.

Olbrzymi kot, sięgający wysokością męskiego ramienia, przeszedł przed nimi bezszelestnie na swoich miękkich łapach. Płomienie rozjaśniły lśniąca miedzianym blaskiem grzywę; jego ślepie przypominały płonące szmaragdy, którymi wysadzana jest korona samego szatana. A potem predefilowały przed nimi szybko następane dwa lwy.

- Szykują się do walki - stwierdził Aboli, kiedy zniknęły w ciemności. - Wyczuły zapach krwi i mięsa i będą na nas polować.

- Czy nie powinniśmy w takim razie stąd uciec? - zapytał Hal.

- Nie! - Aboli potrząsnął głową. - Ciemność jest ich domeną. Widzą dobrze w nocy, kiedy my zamieniamy się w ślepców. W ciemności są śmielsze. Musimy zostać tutaj, żeby wiedzieć, skąd atakują.

Nagle z mroku wychynął lew przewyższający rozmiarami te, które widzieli niedawno. Stapał majestatycznym kołyszącym się krokiem, a okrywająca jego łeb i kark grzywa czarnych i złocistych włosów sprawiała, że wydawał się wielki jak stóg siana.

- Czy mam do niego strzelić? - zapytał szeptem Hal.

- Rana tylko go rozwścieczy - odparł Aboli. - Jeśli nie jesteś w stanie od razu go położyć, lepiej nie strzelaj.

Lew stanął w świetle ogniska, rozstawiając szeroko przednie nogi i chyląc łeb. Jego ciemna grzywa zjeżyła się na ich oczach i w tym momencie wydał im się jeszcze większy. Otworzył paszczę, szczerząc żółtawe lśniące kły i pokazując czerwony język. A potem ponownie zaryczał.

Ten dźwięk uderzył ich z fizyczną siłą niczym sztormowa fala, rozdzierając bębunki w uszach i porażając zmysły. Lew był tak blisko, że Hal czuł na twarzy jego oddech cuchnący padliną i nieświeżym mięsem.

- Spokojnie - szepnął. - Nie odzywajcie się ani nie ruszajcie, bo sprowokujecie go do ataku.

Usłuchały go nawet kobiety i dziecko. Stłumiły płacz i siedziały sztywne ze strachu. Lew przyglądał im się i wydawało się, że trwa to całą wieczność. Mały jednooki Johannes nie wytrzymał w końcu napięcia. Wrzeszcząc głośno, podniósł muszkiet i wypalił.

W ciągu krótkiej chwili, nim widok zasłoniły mu kłęby dymu, Hal zobaczył, że kula chybiła, trafiając w ziemię pomiędzy łapami olbrzyma. Nagle spowiła ich wszystkich gęsta chmura, z której dobiegało pomrukiwanie rozwścieczonego lwa. Obie kobiety uderzyły w płacz, a mężczyźni uciekli w głąb otoczonego palisadą obozowiska. Tylko Hal i Aboli pozostali na stanowiskach, celując z muszkietów w dymną zasłonę. Sukeena skuliła się u boku Hala, lecz nie uciekła.

I wtedy ujrzeli atakującego lwa. Hal pociągnął za cyngiel, ale jego muszkiet nie wypalił. Broń Abolego huknęła donośnie, lecz cel poruszał się zbyt szybko, a ciemność i kłęby dymu stanowiły dodatkowe utrudnienie. Kula musiała pójść bokiem, strzał nie wywarł bowiem żadnego wrażenia na lwie, który rycząc straszliwie wdarł się do środka obozowiska. Hal zakrył Sukeenę własnym ciałem, lecz lew przeskoczył ich oboje.

Spośród zbitych w gromadkę przerażonych ludzi najwyraźniej upatrzył sobie Johannes. Zacisnął szczęki na grzbiecie biedaka, uniósł go w górę tak, jak kot unosi złapaną mysz, kolejnym susem przesadził tylną ścianę palisady i zniknął.

Słyszeli, jak Johannes krzyczy w ciemności. Lew nie odszedł z nim daleko: zaczął pożerać go żywcem zaraz za kręgiem światła rzucanego przez ognisko. Słyszeli trask pękających w lwiej paszczy kości i odgłos rozrywanego ciała. Kolejne ryki i pomruki rozległy się, kiedy do lwa dołączyła zgłodniała lwica i wspólnie zaczęli rozdzierać swoją zdobycz. Wrzaski Johanna stopniowo słabły, aż w końcu zupełnie ucichły i z mroku dobiegały ich tylko ponure odgłosy uczyty.

Kobiety wpadły w histerię, a Bobby lkał przerażony, waląc małymi piąstkami w pierś Althudy. Hal objął opiekuńczym gestem Sukeenę, która szybko się uspokoiła.

- Nigdzie nie uciekajcie. Poruszajcie się cicho. Niech mężczyźni otoczą kołem kobiety i załadują muszkiety. Ale nie strzelajcie, póki nie dam rozkazu - powiedział, po czym spojrzął na Daniela i Abolego. - Zwabiło ich nasze mięso. Kiedy pojrzą Johanna, ponownie zaatakują obóz.

- Masz rację, Gundwane.

- W takim razie powinniśmy oddać im mięso antylopy, żeby dały nam spokój - stwierdził. - Pomóżcie mi.

Złapali wszyscy olbrzymią ćwiartkę surowego mięsa, po czym zataczając się pod jej ciężarem wyszli poza palisadę i cisnęli ją na ziemię.

- Nie uciekajcie - ostrzegł ich Hal - bo jeśli to zrobimy, rzuca się za nami w pogoń, tak jak kot rzuca się za myszą.

Wrócili do obozu i prawie natychmiast z mroku wyskoczyła lwica. Złapała zakrwawioną ćwiartkę i cofnęła się w ciemność. Przez chwilę słyszeli, jak inne lwy walczą z nią o łup, a potem warcząc i parszcząc każdy zaczął zżerać swój kawałek.

Mięsa było tyle, że zgłodniałe stado syciło się nim przez całą godzinę. Niedługo potem wielkie koty zaczęły się ponownie przechadzać wzdłuż palisady i straszyć zbitych w gromadkę przerażonych ludzi.

- Musimy je znowu nakarmić - oznajmił Hal.

Wkrótce stało się jasne, że lwy wolą przyjmować od nich tę daninę zamiast atakować obóz. Kiedy trzech mężczyzn wywlekli kolejną ćwiartkę za palisadę, zwierzęta zaczęły, aż odejdą, i dopiero wtedy lwica odciągnęła mięso dalej.

- Zawsze to kobieta jest najbardziej śmiała - stwierdził Hal, żeby odwrócić ich uwagę od śmierci Johannesesa.

- I zachłanna! - dodał Aboli.

- To nie nasza wina, że wam, mężczyznom, brakuje odwagi i nie chcecie się częstować - przymówiła im Sukeena i wszyscy roześmieli się, lecz bez większego przekonania.

Jeszcze dwa razy tej nocy Hal z towarzyszami wynosił udźce antylopy, żeby nakarmić żarłoczne stado. W końcu, gdy blady świt zaczął rysować na niebie korony cierniowych drzew, lwy zaspokoily swój apetyt. Słyszeli cichnący ryk samca z czarną grzywą, który oddalał się od obozowiska. Po raz ostatni odezwał się z odległości mili, kiedy słońce wychyliło płonącą złotą obręcz znad poszarpanych szczytów gór, wznoszących się równolegle do szlaku ich wędrówki.

Hal i Aboli wyszli poszukać szczątków biednego Johannesesa. Nie wiadomo dlaczego, lwy nie pożarły jego rąk i głowy. Hal zaniknął wytrzeszczone oczy, a Sukeena zawięła żalostne szczątki w kawałek materiału i pomodliła się nad wykopanym przez nich grobem. Hal ułożył na nim stertę kamieni, żeby nie rozkopały go hieny.

- Nie możemy tu dłużej zostać - powiedział, pomagając Sukeenie wstać. - Jeśli chcemy dotrzeć dzisiaj do rzeki, musimy natychmiast ruszać. Na szczęście zostało nam jeszcze dosyć mięsa.

Zawiesili ocalałe udźce antylopy na kijach i uginając się pod nimi, ruszyli przez pofałdowaną, porośniętą trawami sawannę. Dopiero późnym popołudniem dotarli do rzeki i spojrzeli z wysokiej skarpy na jej szerokie zielone wody, które miały okazać się tak trudną przeszkodą do przebycia.

Golden Bough zarzuciła kotwicę w Lagunie Słoni i Llewellyn natychmiast zagonił swoich ludzi do pompowania wody z żęzy i naprawy zniszczonego przez sztorm kadłuba i takielunku. Nad ich głowami wciąż szalał huragan i powierzchnię laguny pokrywały spienione białe fale, lecz wysokie skalne cyple osłabiły jego główny impet.

Pułkownik Cornelius Schreuder marzył o tym, żeby zejść na brzeg. Miał po dziurki w nosie Golden Bough i towarzystwa Anglików, których zdążył serdecznie znienawidzić. Widział teraz w lordzie Cumbrae przyjaciela i sojusznika i nie mógł się doczekać, aby się z nim spotkać i poprosić o wystąpienie w roli sekundanta w honorowej sprawie z Vincentem Wintertonem. Spakował pośpiesznie swoje kufry w małej kabinie i ponieważ nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc, sam zatargał je na pokład. Stojąc obok swojego bagażu przy burcie, spoglądał tęsknie ku bazie, którą Cochran założył na brzegu.

Myszołów rozbił obóz w tym samym miejscu co sir Francis Courteney, którego Schreuder zaatakował nie tak dawno na czele zielonych kubraków. W lesie prowadzone były intensywne prace ziemne. Pułkownik doszedł do wniosku, że Cochran kopie okopy i inne umocnienia, nie bardzo jednak widział sens budowania czegoś takiego przeciwko nie istniejącemu wrogowi.

Llewellyn nie zamierzał zejść na brzeg, póki nie upewnił się, że wszyscy przystąpili do naprawy szkód i że Golden Bough jest pod każdym innym względem bezpieczna. W końcu powierzył statek swojemu pierwszemu oficerowi Arnoldowi Fowlerowi i kazał spuścić na wodę jedną z szalup.

- Kapitanie Llewellyn! - zawołał do niego Schreuder. - Postanowiłem, że jeśli lord Cumbrae wyrazi zgodę, opuszczę twój statek i przeniosę się na Guli of Moray.

Llewellyn kiwnął głową.

- Szczerze mówiąc, pułkowniku, wątpię, czy ktoś uroni za tobą łzę, gdy będziesz nas opuszczał. Płynę teraz na brzeg, żeby znaleźć miejsce, gdzie będziemy mogli napęłnić beczki, do których dostała się morska woda. Zabiorę cię i twój bagaż do obozu Cochрана. Mam tutaj



pieniądze, którymi zapłaciłeś za swój przejazd. Żeby oszczędzić sobie dalszych przykrości i upokarzających kłótni, zwracam ci je w całości.

Schreuder z miłą chęcią odrzuciłby dumnie ofertę kapitana, ale tych kilka gwinei stanowiło cały jego ziemski majątek.

- Przynajmniej w tej kwestii zachowałeś się z honorem, kapitanie - mruknął niechętnie, biorąc chudą sakiewkę, którą wręczył mu Llewellyn. - Jestem zobowiązany.

Kapitan zajął miejsce na rufie łodzi, a Schreuder znalazł sobie ławkę na dziobie i usiadł sztywno, ignorując uśmiechy załogi i ironiczne saluty oficerów stojących na pokładzie statku. Kiedy byli w połowie drogi, na brzegu laguny pojawiła się znajoma postać w szkockiej spódniczce i ozdobionej wstążkami czapce. Z płonąca na słońcu rudą czupryną i brodą, Cochran podparł się pod boki i patrzył, jak podpływają.

- Na cuchnące łajno diabła, przecież to pułkownik Schreuder! - ryknął, rozpoznając go. - Moje serce raduje się, gdy widzę twoje uśmiechnięte oblicze.

Kiedy tylko dziób łodzi dotknął piasku, Schreuder wyskoczył na brzeg i uściśnął wyciągniętą dłoń Myszołowa.

- Jestem zaskoczony, ale niezmiernie się cieszę, że cię widzę, mój panie.

Myszołów zerknął przez jego ramię i szeroko się uśmiechnął.

- Czyż to nie mój umiłowany brat w zakonie, Christopher Llewellyn? Witaj, kuzynie, i niech spłynie na ciebie Boże błogosławieństwo.

Llewellyn nie odwzajemnił uśmiechu i nie uściśnął ręki, którą Cochran wyciągnął doń, kiedy tylko jego stopa dotknęła brzegu.

- Jak się miewasz, Cochran? Nasza ostatnia wymiana zdań w zatoce Trincomalee została przerwana w kluczowym momencie, gdy oddaliłeś się w pośpiechu.

- Och tak, ale to było w innym kraju i dawno temu, kuzynie. Ufam, że jesteśmy obaj dość wielkoduszni, aby wybaczyć sobie i zapomnieć o tych nic nie znaczących błahostkach.

- W moim kantorze pięćset funtów i życie dwudziestu ludzi nie jest błahostką. Przypominam ci także, że nie jestem twoim kuzynem ani nawet najdalszym krewnym - warknął Llewellyn, sztywniejąc na wspomnienie starej zwady.

Cochran jednak nie wydawał się wcale zbity z tropu.

- In Arcadia habito - powiedział półgłosem, obejmując go ramieniem.

Llewellyn toczył ze sobą najwyraźniej wewnętrzną walkę, nie mógł jednak naruszyć rycerskiej przysięgi.

- Flumen sacrum bene cognosco - odparł w końcu, zgrzytając zębami.

- Tu cię mam. - Myszołów wybuchnął śmiechem. - Nieźle cię zażyłem, co? Może nie łączą nas więzy krwi, ale jesteśmy przecież braćmi w Chrystusie.

- Żywiłbym do ciebie bardziej braterskie uczucia, mój panie, gdybym miał z powrotem w sakiewce moje pięćset funtów.

- Mógłbym potrącić ci z tego długu szkody, jakie poniosła moja słodka Guli, a także ja sam. - Myszołów odsłonił płaszcz, żeby pokazać jasną szramę na ramieniu. - Ale jestem pobłażliwym człowiekiem o czułym sercu, Christopher, i dlatego oddam ci wszystko co do grosza, razem z odsetkami. Masz na to moje słowo.

Llewellyn uśmiechnął się lodowato.

- Poczekam z podziękowaniem, aż poczuję w ręku ciężar sakiewki - odparł.

Cochran poznał po jego spojrzeniu, że czeka go twardy orzech do zgryzienia. Nie musiał patrzeć na długi rząd otworów działowych Golden Bough i zgrabną linię jego kadłuba, żeby wiedzieć, że ma przed sobą dorównującego mu siłą przeciwnika. Gdyby doszło do walki, czekała go równie ciężka przeprawa jak przed czterema laty w zatoce Trincomalee.

- Nie winie cię, że nie ufasz już nikomu w naszych okrutnych czasach, mój panie, ale jeśli zgodzisz się zjeść ze mną dzisiaj wieczерę na brzegu, oddam ci sakiewkę, przysięgam.

Llewellyn pokiwał ponuro głową.

- Dziękuję za gościnność, ale pamiętam dobrze, co się stało, gdy ostatnim razem przyjąłem twoje zaproszenie. Na pokładzie statku mam świetnego kucharza, który potrafi przyrządzić posiłek bardziej wedle mego smaku. Niemniej jednak wrócę tu przed zmrokiem, żeby odebrać sakiewkę, którą mi obiecałeś - oznajmił, po czym skłonił się i odszedł do swojej łodzi.

Myszołów obserwował z wyrachowaną miną, jak się oddala. Szalupa popłynęła w górę laguny, w stronę wpływającego do niej strumienia.

- Ten strojniś ma paskudny charakter - mruknął i stojący obok niego Schreuder pokiwał głową.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, mogąc z nim się rozstać i tu, na plaży, zaapelować do twojej przyjaźni. Cochran przyjrzał mu się bacznie.

- Masz nade mną przewagę, mój panie - stwierdził. - Co właściwie cię tu przywiodło i co mogę dla ciebie zrobić w imię naszej przyjaźni?

- Gdzie możemy porozmawiać? - zapytał Schreuder.

- Tędy, mój stary przyjacielu i towarzyszu broni - odparł Cochran. Zaprowadził go do swojej chaty w lesie i nalał pół kubka whisky. - Teraz możesz mi powiedzieć. Dlaczego nie dowodzisz już garnizonem na Przylądku Dobrej Nadziei?

- Jeśli mam być z tobą szczery, mój panie, wpadłem w piekielne tarapaty. Gubernator van de Velde oskarżył mnie o zbrodnię, której nie popełniłem. Wiesz, jak bardzo był zazdrosny i jak źle do mnie nastawiony.

Cochran pokiwał ostrożnie głową, nie potwierdzając tego głośno ani nie negując.

- Proszę cię, mów dalej.

- Dziesięć dni temu ogrodnik i oficjalny kat Kompanii zamordował w ataku szaleństwa i zwierzęcej chuci żonę gubernatora.

- Wielkie nieba! - zawołał Cochran. - Powolny Jan! Wiedziałem, że to szaleniec, poznałem to po jego oczach. Przeklęty maniak! Swoją drogą, bardzo mi żal tej kobiety. Był z niej słodki paczuszek. Wystarczyło spojrzeć na jej cycki, żeby człowiekowi twardniało na kość to, co ma w bryczesach.

- Van de Velde niesłusznie oskarżył mnie o to podłe morderstwo. Żeby uniknąć aresztowania i wydania na tortury, musiałem uciekać pierwszym statkiem, który się nawinał. Llewellyn zaproponował, że zawiezie mnie na Wschód. Chciałem wziąć udział w wojnie, na którą zanoszą się w Wielkim Rogu Afryki między Księdzem Janem a Wielkim Mogołem.

Na wzmiankę o wojnie oczy Cochrań zaświeciły się niczym u hieny, która poczuła zapach krwi z pola bitwy. Pochylił się do przodu na zydlu. W tym momencie miał już serdecznie dosyć dalszych poszukiwań nieuchwytnego skarbu Franky'ego Courteneya i perspektywa zdobycia łatwiejszych łupów szalenie go zainteresowała. Nie chcąc jednak pokazywać temu nadętemu bubkowi, jak bardzo mu na tym zależy, zostawił ten temat na później.

- Głęboko ci współczuję, panie, i zapewniam, że udzielę wszelkiej możliwej pomocy, jakiej będziesz potrzebował - oznajmił ze zrozumieniem.

Przez głowę przelatywały mu setki myśli. Czuł, że to właśnie Schreuder popełnił morderstwo, którego tak gorąco się wypierał, ale winny czy niewinny, był teraz banitą, całkowicie zdany na jego łaskę.

Myszolów miał już wcześniej okazję przekonać się, jaki z niego bitny żołnierz. Dobrze byłoby mieć kogoś takiego pod swoimi rozkazami, tym bardziej że wiedząc o jego winie i splamionych krwią rękach, całkowicie by go kontrolował. Jako uciekinier i morderca, Holender nie mógł być też zbyt drażliwy w kwestiach etycznych.

Panna, która straciła cnotę, o wiele chętniej zadziera sukienkę i kładzie się na sianie, powiedział sobie w duchu Cochran, ściskając mocno ramię Schreudera.

- Możesz na mnie polegać, przyjacielu - oświadczył. - Jak mogę ci pomóc?

- Chciałbym połączyć z tobą swój los. Zaofiarować ci moją służbę.

- A ja witam cię z całego serca - stwierdził z niekłamaną radością Cochran, uśmiechając się pod rudymi wąsami. W osobie Schreudera zyskiwał gończego psa, nie obdarzonego może wybitną inteligencją, lecz za to zajadłego i nieustraszonego.

- W zamian proszę, tylko o jedną przysługę - oznajmił pułkownik.

Myszołów zdjął rękę z ramienia Schreudera i w jego oczach pojawiła się ostrożność. Powinien wiedzieć, że tak hojny podarek będzie miał swoją ukrytą cenę.

- Przysługę? - powtórzył.

- Na pokładzie Golden Bough traktowano mnie w najbardziej niegodziwy i podły sposób. Grając w angielski hazard, zostałem obrabowany z dużej sumy pieniędzy przez jednego z oficerów, a kapitan Llewellyn i jego podwładni stale obrażali mnie i obrzucali obelgami. Na domiar wszystkiego osobnik, który okazał się oszustem, wyzwiał mnie na pojedynek. Nikt na pokładzie nie chciał wystąpić w roli mojego sekundanta, a Llewellyn odłożył całą sprawę do momentu, kiedy znajdziemy się w porcie.

Obawy Cochrana ulotniły się, gdy zdał sobie sprawę, w jakim kierunku podaży ich rozmowa.

- Proszę cię, mów dalej - zachęcił swego gościa.

- Byłbym bardzo zobowiązany i zaszczycony, gdybyś zgodził się zostać moim sekundantem.

- To wszystko, o co prosisz?

Cochran nie wierzył we własne szczęście. Już teraz widział korzyści, jakie mogła przynieść mu ta sprawa. Przynależał Llewellynowi, że odda mu jego pięćset funtów i miał zamiar to zrobić, lecz tylko pod warunkiem, że będzie mógł później odzyskać te pieniądze wraz ze wszystkim, co uda mu się przy okazji zdobyć.

Spojrzał na zakotwiczoną w lagunie Golden Bough, potężny, uzbrojony po zęby okręt. Gdyby przyłączył go do swojej flotylli, dysponowałby siłą, której mało kto na tych wodach mógłby się oprzeć. Wyobrażał już sobie bajeczne łupy, które mógł zdobyć, pojawiając się na czele tych dwóch statków przy brzegach Wielkiego Rogu Afryki, gdzie zgodnie z tym, co utrzymywał Schreuder, właśnie rozgorzała wojna.

- Wystąpienie w roli twojego sekundanta będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością i zaszczytem, panie - oznajmił Schreuderowi. - Powiedz, jak nazywa się łotr, który cię wyzwiał, a dopilnuję, żeby natychmiast dał ci satysfakcję.

Kiedy tego wieczoru Llewellyn przybył ponownie na brzeg, towarzyszyło mu dwóch oficerów i dwunastu marynarzy zbrojnych w kordy i pistolety. Cochran czekał na plaży, żeby go powitać.

- Mam sakiewkę, którą ci obiecałem, mój drogi Christopherze. Proszę, zajrzyj do mojej nędznej chaty i wypij za serdeczną przyjaźń i wesołe dni, które kiedyś razem wspólnie przeżyliśmy. Może najpierw jednak przedstawiś mi swoim szlachetnym towarzyszom?

- Arnold Fowler, mój pierwszy oficer. - Dwaj mężczyźni wymienili ukłony. - A to Vincent Winterton, trzeci oficer i syn mojego armatora, hrabiego Wintertona.

- A także, jak się dowiedziałem, mistrz hazardu i szczywany gracz w kości - stwierdził z uśmiechem Cochran i młodzieniec cofnął wyciągniętą ku niemu dłoń.

- Za pozwoleniem, co przez to rozumiesz, panie? - zapytał sztywno.

- Tylko tyle, że pułkownik Schreuder poprosił, bym mu sekundował. Czy mógłbyś poinformować mnie, panie, kto jest twoim sekundantem?

- Mam zaszczyt sekundować panu Wintertonowi - oznajmił szybko Llewellyn.

- W takim razie mamy dużo spraw do omówienia, mój drogi Christopherze. Zapraszam cię do siebie, ale ponieważ sprawy, o których będziemy dyskutować, dotyczą pana Wintertona, lepiej będzie, jeśli zostanie na plaży.

Myszolów zaprowadził Llewellyna do swojego domku i posadził go na zydlu naprzeciwko siebie.

- Kropelkę wody życia? Llewellyn potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Przejdźmy od razu do rzeczy.

- Zawsze byłeś uparty i niecierpliwy.

Cochran napełnił swój kubek, pociągnął z niego zdrowo, po czym mlasnął głośno i otarł wąsy wierzchem dłoni.

- Nie wiesz, co tracisz. To najlepsza whisky, jaką można znaleźć w promieniu tysiąca mil. A tu mam coś dla ciebie - oznajmił, przesuwając ciężką sakiewkę po denku beczki, która służyła mu za stół.

Llewellyn wziął ją i zważył nieufnie w dłoni.

- Jeśli chcesz, możesz je przeliczyć - zachęcił go Myszolów. - Wcale się nie obrażę.

Odchylił się do tyłu i obserwował z uśmiechem Llewellyna, który ustawił złote monety w równych kupkach na denku beczki.

- Równo pięćset plus pięćdziesiąt funtów odsetek. - Llewellyn wyraźnie się rozchmurzył. - Dziękuję, mój panie.

- To niewielka cena za twoją miłość i przyjaźń, Christopherze - stwierdził Cochran. - A teraz przejdźmy do tej drugiej sprawy. Jak już mówiłem, występuję w imieniu pułkownika Schreudera.

- A ja w imieniu pana Wintertona - odparł Llewellyn, kiwając głową. - Mój klient będzie usatysfakcjonowany, jeśli Schreuder go przeprosi.

- Wiesz dobrze, Christopherze, że mój klient tego nie zrobi. Obawiam się, że ci dwaj narwańcy będą musieli stoczyć pojedynek.

- Wybór broni należy do was - stwierdził Llewellyn. - Czy godzicie się na pistolety i dystans dwudziestu kroków?

- Nie ma mowy. Mój klient chce walki na szpady.

- W takim razie musimy się zgodzić. Kiedy i gdzie ma się odbyć walka?

- Tę decyzję zostawiamy wam.

- Kadłub i takielunek Golden Bough wymagają naprawy. Sztorm wyrządził nam trochę szkód. Pan Winterton będzie mi potrzebny na pokładzie. Czy odpowiada wam termin za trzy dni od dzisiaj, na plaży o świcie?

Myszolów skubiąc brodę, rozważał przez chwilę tę propozycję. Potrzebował kilku dni, żeby przygotować to, co zamierzał. Trzydniowe opóźnienie było mu jak najbardziej na rękę.

- Zgoda! - oznajmił.

Jego gość natychmiast wstał z zydlu i schował sakiewkę do kieszeni kurtki.

- Nie napijesz się ze mną kielicha, Christopherze? - powtórzył swoją propozycję Cochran, lecz Llewellyn odmówił.

- Mówiłem ci już, że mam mnóstwo roboty na statku.

Cochran patrzył, jak idzie przez plażę i wsiada do swojej łodzi. Płynąc z powrotem do stojącej na kotwicy Golden Bough, Llewellyn i Winterton pogrążeni byli w rozmowie.

- Młodego Wintertona czeka nie lada niespodzianka. Nigdy chyba nie widział Holendra ze szpadą w dłoni, skoro tak łatwo zgodził się na tę broń. - Cochran wysączył ostatnie krople whisky z kubka i jego twarz wykrzywił chytry uśmiech. - Zobaczymy, czy uda nam się również sprawić małą niespodziankę Christopherowi Llewellynowi. - Rąbnął kubkiem w denko beczki. - Sprowadźcie mi tutaj pana Bowlesa, ale migiem - ryknął.

Sam Bowles przybiegł prawie natychmiast. Uśmiechał się przymilnie i płaszczył niczym obity kijem pies, ale jego oczy były zimne i wyrachowane.

- Sammy, mój chłopcze. - Cochran klepnął go po ramieniu, aż zabolalo, lecz z twarzy mężczyzny nie zniknął uśmiech. - Mam dla ciebie robotę, która na pewno przypadnie ci do gustu. Słuchaj uważnie.

Sam Bowles usiadł naprzeciwko Cochrana i pochylił się do przodu, żeby nie uronić ani słowa. Zadał kilka pytań i raz czy dwa razy zachichotał radośnie, gdy Cochran wyjawiał mu swoje plany.



- Zawsze chciałeś dowodzić własnym statkiem, Sammy. Masz teraz okazję, by się wykazać. Służ mi wiernie, a go otrzymasz. Kapitan Sam Bowles. Jak ci się to podoba?

- Podoba mi się niezmiernie, wasza miłość. - Sam Bowles pokiwał głową. - I na pewno nie zawiodę waszej miłości.

- Na pewno nie zawiedziesz - potwierdził Cochran. - W każdym razie nie więcej niż raz. Bo jeśli to zrobisz, zadyndasz na rei grotmasztu.

Zielone wody rzeki toczyły się powoli między skalnymi ostrogami. Na skarpie rosły wierzby i ciemnozielone akacje, okryte płaszczem żółtych kwiatów. Wzdłuż brzegów ciągnęły się piaszczyste łachy, i kiedy przyglądali im się ze stromego urwiska, Sukeenę przeszedł nagły dreszcz.

- Jakie wstrętne i brzydkie stworzenia! To chyba te smoki, o których mówiliśmy?

- Masz rację, to prawdziwe smoki - zgodził się Hal, spoglądając na wygrzewające się na białym piasku krokodyle.

Było ich co najmniej kilkadziesiąt, niektóre nie większe od jaszczurki, inne wielkości szalupy; potężne szare potwory, które mogły z pewnością połknąć całego człowieka. Przekonali się, jak bardzo są agresywne przy pierwszej próbie forsowania rzeki, kiedy jeden z nich złapał Billy'ego Rogersa i wciągnął go pod wodę. Nie udało się odzyskać żadnej części jego ciała.

- Drzę na myśl, że będziemy musieli się znowu przeprawiać. Te stwory wciąż pilnują rzeki - szepnęła Sukeena.

- Aboli zna je ze swojego kraju na północy. Jego plemię potrafi sobie z nimi radzić.

Na wysokiej skale, tam, gdzie nie mogły dotrzeć krokodyle, rozłożyli gnijące już mięso antylop, żeby wyschło na słońcu. Hal wysłał następnie do lasu kilku mężczyzn po suche kłody, które unosiłyby się wysoko na wodzie. Pod kierunkiem Neda Tylera ociosali je odpowiednio kordami, choć Hal z bólem patrzył, jak tępią się i szczybią szlachetne ostrza. Kiedy kłody były gotowe, Althuda i Sukeena starannie pocięli mokrą skórę antylopy na długie paski, nie grubsze od jej małego palca.

Aboli odnalazł gatunek drzewek, których potrzebował, ociosał krótkie giętkie pnie z gałęzi i przytargał całe ich naręcza tam, gdzie pracowali inni. Duży Daniel pomógł mu zaostrić oba końce krótkich sprężystych żerdzi i zahartować je w ogniu, a potem obaj silni mężczyźni kolejno zginali je i owijali wokół ociosanych kłód, łącząc zaostrome szczyty, które Hal wiązał szybko paskami surowej skóry. Każda żerdź była napięta niczym stalowa sprężyna w zaniku muszkietu, gotowa wyprostować się, gdy przecięte zostaną skórzane paski. Do zachodu słońca sporządzili całkiem sporo tych pułapek.

Nauczeni gorzkim doświadczeniem, tej nocy umieścili udźce antylopy na gałęziach jednego z najwyższych drzew, które rosły przy brzegu rzeki. Własne obozowisko zbudowali w okazałej odległości od drzewa i zadbali o to, żeby ściany palisady były z solidnych pali, a wejście zasłonięte świeżo ściętymi gałęziami ciernistych krzewów.

Chociaż tej nocy niewiele spali, nasłuchując wycia i szwargotu hien i szakali, które gromadziły się pod drzewem, lwy już się nie pokazały. O świcie wyszli poza obręb palisady, żeby kontynuować przygotowania do przeprawy przez rzekę.

Ned Tyler zakończył budowę tratwy, wiążąc bale paskami surowej skóry.

- Nie wydaje się zbyt solidna - stwierdziła Sukeena, mierząc tratwę nieufnym spojrzeniem. - Te wielkie rzeczne smoki mogą przewrócić ją jednym machnięciem ogona.

- Dlatego właśnie Aboli przygotował dla nich swoje pułapki.

Wspięli się w górę zbocza, gdzie Alhuda i Zwaantie pomagali Abolemu owinąć kłody grubymi kawałami nadgniętego antylopiego mięsa.

- Krokodyl nie przeżuwa swojego jedzenia - wyjaśnił im Aboli, nie przerywając pracy.

- Każda z tych pułapek ma odpowiednie rozmiary, żeby połknął ją w całości.

Kiedy wszystkie przynęty zostały przygotowane, znieśli je na dół. Zbliżając się do piaszczystego brzegu, gdzie wygrzewały się na słońcu olbrzymie gady, zaczęli krzyczeć, klaskać w dłonie i strzelać z muszkietów. Hałas zaniepokoił krokodyle, które podniosły swoje cielska osadzone na krótkich grubych nogach, i poczłapały do rzeki, żeby schronić się w swym naturalnym żywiole. Zsuwając się z głośnym pluskiem do głębokiej zielonej wody, podnosiły fale, które rozbijały się aż na drugim brzegu. Gdy wszystkie się zanurzyły, mężczyźni położyli kawały cuchnącego mięsa na skraju wody, a potem szybko wdrapali się z powrotem na wysoką skarpe, gdzie czekały na nich kobiety.

Po kilku chwilach wszędzie na powierzchni wody ukazały się osadzone wysoko krokodyle oczy, które zaczęły sunąć wolno w stronę brzegu.

- To tchórzliwe zdradzieckie bestie - stwierdził Aboli z nienawiścią w głosie i wstrętem na twarzy - ale wkrótce, kiedy poczują mięso, ich żarłoczność okaże się silniejsza od strachu.

W tej samej chwili jeden z największych gadów wynurzył się z wody i wyszedł ostrożnie na brzeg, orząc za sobą bruzdę potężnym grzebieniastym ogonem. Nagle, z zaskakującą szybkością i zwinnością, skoczył do przodu, złapał jedną z przynęt i otworzył szeroko wielką paszczę, żeby ją połknąć. Siedząc na skarpie, patrzyli ze zgrozą, jak wielki kawał antylopiego mięsa znika w jego gardzieli, napinając miękkie białe łuski po zewnętrznej stronie gardła. Krokodyl zawrócił i pobiegł z powrotem do rzeki, ale zaraz potem z wody

wynurzył się kolejny pokryty łuskami gad i złapał swoją przynętę. Po chwili na brzegu zaroilo się od długich, śliskich, połyskujących w słońcu gadów, które syczały, kłapały paszczami i rzucały się na siebie, walcząc o mięso.

Kiedy wszystkie przynęty zniknęły, kilka krokodyli schroniło się z powrotem w wodzie, duża część została jednak na ogrzonym słońcem piasku, z którego nie tak dawno je przepłoszono. Na brzegu znowu zapanował spokój. Nad zieloną wodą szybowały zimorodki. Przy przeciwległym brzegu wynurzył głowę wielki szary hipopotam, co wywołało wśród zbiegów ogólną wesołość. Grzbiety tłoczących się wokół niego samiec przypominały błyszczące czarne otoczaki.

- Twój plan się nie powiódł - stwierdził po holendersku Sabah. - Krokodylom nic się nie stało. Są gotowe pożreć każdego, kto podejdzie blisko wody.

- Cierpliwości, Sabah - odparł Aboli. - Trochę potrwa, zanim soki ich żołądków przeżrą surową skórę. Wówczas żerdzie wyprostują się. Zaostrzone końce rozerwą ich wnętrzności i przebiją inne narządy.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy jeden z największych gadów, ten, który pierwszy połknął przynętę, wydał z siebie grzmiący ryk i wygiął grzbiet w łuk, aż grzebieniasty ogon znalazł się nad jego łbem. A potem ryknął ponownie i odwrócił się, żeby złapać potężnymi szczękami własny bok. Jego spiczaste żółte zęby rozdarły łuski pancerza i wyrwały kawałki własnego ciała.

- Widzisz! - Aboli zerwał się na nogi i wskazał ręką. - Ostry szpic żerdzi przeciął mu brzuch!

Wszyscy zobaczyli poczerniały od ognia koniec palika, który wystawał na szerokość dłoni z pokrytej łuskami skóry. Bestia wyla się i syczała w agonii, a tymczasem w gargantuicznych konwulsjach zaczął ciskać się drugi, a potem trzeci i czwarty gad, aż w końcu woda przy brzegu pobielała od piany. Potworne ryki i skrzeczenie odbijały się echem od skarpy, płosząc orły i sępy z gniazd, które uwiły sobie w skałach.

- Świetna robota, Aboli! Mamy wolną drogę - stwierdził Hal, zrywając się na nogi.

- Tak, teraz możemy się przeprawić - zgodził się Aboli. - Ale nie guzdrajcie się za długo w wodzie i przy brzegu, bo nie wszystkie ngwenya poczuły w brzuchach kolce.

Idąc za jego radą, zbiegli na dół i zepchnęli z brzegu prowizoryczną tratwę. Kiedy znalazła się na wodzie, wrzucili do niej kosze z prowiantem, skórzane juki i worki z prochem, a potem pomogli usadowić się w środku dwóm kobietom i małemu Bobby'emu. Rozebrani do pasa mężczyźni weszli do wody i walcząc z leniwym prądem pociągnęli tratwę za sobą.

Dotarłszy do drugiego brzegu, złapali szybko swoje pakunki i wdrapali się po skalistym zboczu na górę.

Dopiero wysoko nad rzeką mogli paść sobie nareszcie w ramiona i śmiejąc się, pogratulować udanej przeprawy. Tej nocy rozbili obóz na drugim brzegu. O świcie Aboli zbudził Hala.

- Jak daleko mamy stąd do Zatoki Słoni? - zapytał cicho. Hal rozwinął mapę i pokazał mu ich przybliżoną pozycję.

- Jesteśmy pięć mil od brzegu i nie więcej niż pięćdziesiąt mil od laguny. Jeśli nie napotkamy po drodze następnej równie szerokiej rzeki i będziemy szybko maszerować, powinniśmy tam dotrzeć w ciągu pięciu dni.

- W takim razie maszerujmy szybko - odparł Aboli i obudził innych.

Popędzani przez niego, zarzucili na plecy bagaże i czując na twarzach promienie wschodzącego słońca, ruszyli dalej w szyku, który utrzymywali przez całą długą wędrówkę.

W czterech szalupach, które odplynęły przed świtem z Golden Bough, roiło się od marynarzy. Na dziobie każdej stał człowiek z latarnią, która oświetlała drogę. Odpryski światła tańczyły niczym robaczki świętojańskie na gładkiej jak lustro czarnej powierzchni laguny.

- Llewellyn zabrał ze sobą chyba połowę załogi! - zawołał Myszołów, obserwując zmierzającą ku plaży małą flotę.

- Podejrzewa jakieś łajdactwo - roześmiał się Sam Bowles - dlatego przybył z tak liczną obstawą.

- Cóż za grubianin... Jak może podejrzewać nas o podstęp - mruknął Cochran, potrząsając ze smutkiem głową. - Zasłużył sobie na swój los.

- Podzielił siły. W tych łodziach jest co najmniej pięćdziesięciu ludzi - stwierdził Sam. - To ułatwi nam zadanie. Od tej chwili wszystko powinno pójść po naszej myśli.

- Miejmy nadzieję, panie Bowles - odparł Myszołów. - Teraz idę przywitać gości. Pamiętaj, że dam ci sygnał chińską racą. Czekaj do momentu, aż ją zobaczysz.

- Tak jest, kapitanie! - odparł Bowles salutując i zniknął w mroku.

Cochran ruszył szybkim krokiem na plażę, żeby powitać pierwszą łódź. Gdy zaryła dziobem w piasku, zobaczył w świetle lampy, że Llewellyn i Vincent Winterton siedzą obok siebie na rufie. Ranek był chłodny i Vincent włożył czarny wełniany płaszcz. Głowę miał odkrytą, a gęste włosy związał w kucyka, który opadał mu na plecy. W ślad za swoim kapitanem zszedł na brzeg.

- Dzień dobry, panowie - zawołał Cochran. - Podziwiam waszą punktualność.

Llewellyn skinął głową na powitanie.

- Pan Winterton jest gotów.\* Myszolów pokiwał brodą.

- Pułkownik Schreuder czeka. Tędy, jeśli łaska. Ruszyli wszyscy trzej wzdłuż plaży.

Za nimi pomaszerowali w równym szyku marynarze z czterech szalup.

- To niezwykle, by sprawa honorowa odbywała się na oczach takiego tłumu hultajów - zauważył Cochran.

- Tu za Linią przestrzega się niewiele zasad - odparował Llewellyn - ale jedna jest niezmiernie ważna: nie należy niepotrzebnie kusić losu.

- Zgadzam się z tobą - stwierdził chichocząc Cochran. - Żeby pokazać, że nie mam złych zamiarów, nie sprowadziłem tutaj moich ludzi. I jestem nie uzbrojony.

Na poparcie tych słów podniósł w górę obie ręce i rozchylił poły kurtki. W wygodnym miejscu za plecami zatknięty miał za pasem niedawno wprowadzony pistolet z zamkiem kołowym, pochodzący z warsztatów Fallona w Glasgow. Był to wspaniały wynalazek, ale kosztował nieprzyzwoicie drogo, co stanowiło główny powód jego słabego upowszechnienia. Po naciśnięciu cyngla poruszane sprężyną koło przesunęło się w zamku i pirytowa iglica uderzała w panewkę, krzesząc iskry, które odpalały ładunek. Pistolet kosztował Cochrana ponad dwadzieścia funtów, ale był wart swojej ceny, ponieważ nie zdradzał go tłący się lont.

- Żeby pokazać, że i ty nie masz złych zamiarów, Christopherze, może każesz łaskawie stanąć swoim ludziom po waszej stronie placu i postarasz się mieć nad nimi ścisłą pieczę.

Po kilku chwilach doszli do miejsca, w którym wyrównano piasek i wytyczono sznurami kwadratowy plac. W każdym z czterech rogów stała beczułka z wodą.

- Bok ma dwadzieścia kroków - powiedział Cochran, zwracając się do Llewellyna. - Czy twój klient będzie miał dosyć przestrzeni?

Wnterton ocenił wzrokiem plac i skinął głową.

- Nie mamy zastrzeżeń - odpowiedział w jego imieniu Llewellyn.

- Będziemy musieli poczekać, aż zrobi się jaśniej - stwierdził Cochran. - Mój kucharz przygotował na śniadanie gorące suchary i wino z korzeniami. Czy chcecie się poczęstować, panowie?

- Dziękuję, mój panie. Trochę wina dobrze nam zrobi - odparł Llewellyn i steward przyniósł im parujące kubki.

- Pozwólcie, że udam się teraz po mojego klienta - oznajmił Cochran.

Uklonił się, po czym odszedł ścieżką między drzewa i po kilku minutach wrócił z pułkownikiem Schreuderem. Stanęli po drugiej stronie wytyczonego sznurem placu i przez

chwile cicho rozmawiali. W końcu Cochran popatrzył na niebo, powiedział coś do Schreudera i podszedł do Llewellyna i Vincenta.

- Sądzę, że światło jest już odpowiednie. Zgadza się panowie?

- Możemy zaczynać - odparł sztywno Llewellyn.

- Mój klient pragnie, byście sprawdzili panowie jego broń - oświadczył Cochran, podając kapitanowi rękojeścią naprzód szpadę z Neptunem.

Llewellyn wziął ją i podniósł wysadzaną złotem klingę, która zalsniła w świetle poranka.

- Cudaczna broń - mruknął z naganą w głosie, dotykając grawerunków przedstawiających wodne nimfy. - Te gołe kobiety nadają się w sam raz do burdelu. Ale ostrze nie jest zatrute, a jego długość jest taka sama jak szpady mojego klienta.

Przyłożył do siebie obie klingi, żeby je porównać, a potem oddał Cochranowi do sprawdzenia szpadę Vincenta.

- Nie mamy zastrzeżeń - stwierdził Myszołów, oddając broń.

- Pięciominutowe rundy i walka do pierwszej krwi? - zapytał Llewellyn, wyjmując złoty chronometr z kieszeni kamizelki.

- Obawiam się, że nie możemy się na to zgodzić - odparł Cochran, kręcąc głową. - Mój klient chce walczyć bez przerwy aż do momentu, gdy jeden z nich padnie trupem albo poprosi o łaskę.

- Na Boga, mój panie - wybuchnął Llewellyn. - To są mordercze zasady.

- Jeśli twój klient sika jak szczeniak, nie powinien wyc razem z wilkami - odparł Cochran, wzruszając ramionami.

- Zgadza się - wtrącił Vincent. - Skoro Holender tego chce, będziemy walczyć na śmierć i życie.

- Tego właśnie chce - zapewnił go Cochran. - Jeśli jesteście gotowi, możemy zaczynać. Proszę dać sygnał, kapitanie Llewellyn.

Myszołów cofnął się i w kilku zwięzłych zdaniach wyjaśnił zasady Schreuderowi, który kiwnął głową, pochylił się i przeszedł pod sznurami. Miał na sobie białą, cienką, rozchyloną na szyi koszulę, żeby wszyscy widzieli, że nie włożył kolczugi. Zgodnie z tradycją nieskazitelna biel miała stanowić łatwy cel i splamiona krwią świadczyć o tym, że przeciwnik zadał uderzenie.

Stojący po drugiej stronie placu, Vincent rozpiął kłamrę płaszcza, który zsunął się z jego ramion na ziemię. Pod spodem miał taką samą białą koszulę. Trzymając szpadę w dłoni,



przeskoczył lekko przez linę i stanął naprzeciwko Schreudera. Obaj mężczyźni zaczęli zadawać próbne uderzenia. Klingi ich szpad śpiewały i połyskiwały w porannym słońcu.

- Jesteś gotów, pułkowniku Schreuder? - zawołał po kilku minutach stojący przy bocznej linii Llewellyn, podnosząc w górę czerwoną jedwabną szarfę.

- Gotów!

- Jesteś gotów, panie Winterton?

- Gotów!

Llewellyn upuścił na ziemię szarfę i wśród marynarzy Guli of Moray, stojących po drugiej stronie placu, dał się słyszeć głośny pomruk. Z początku dwaj szermierze krążyli ostrożnie wokół siebie z wyciągniętymi szpadami, na przemian podnosząc je i opuszczając. Nagle Vincent skoczył do przodu, markując cięcie w szyję, lecz Schreuder z łatwością odpowiedział, zwierając jego szpadę ze swoją. Przez dłuższą chwilę pasowali się ze sobą. Być może Vincent poczuł stalową siłę nadgarstka i zobaczył śmierć w utkwionych w nim nieubłaganych oczach przeciwnika, bo cofnął się pierwszy. Schreuder ruszył za nim, zadając serię ripost. Szpada z Neptunem śmigła i świeciła w jego ręku niczym promień słońca.

Cofając się krok za krokiem przed olśniewającą paradą, Vincent znalazł się przy jednej z baryłek, które wyznaczały róg placu. W tym miejscu był zdany na łaskę Schreudera. Ten jednak przerwał nagle atak, po czym odwrócił się pogardliwie plecami od młodszego mężczyzny, wrócił na środek pola i zająwszy pozycję obronną, czekał z podniesionym ostrzem na kolejną szarfę Vincenta.

Wszystkich widzów, z wyjątkiem Cochran, zdziwiło rycerskie zachowanie Holendra. Vincent Winterton był z pewnością doskonałym szermierzem, lecz musiał dać z siebie wszystko, by stawić czoło temu pierwszemu gwałtownemu atakowi. W głębi duszy Llewellyn wiedział, że przetrwał go wcale nie dzięki własnemu kunsztowi, lecz dlatego, że tak sobie życzył Schreuder. Młody Anglik został już trzykrotnie trafiony: dwa razy lekko w pierś i raz głębiej w lewe ramię. Jego rozdarta w trzech miejscach koszula robiła się czerwona od krwi, która sączyła się coraz obficiej z ran.

Vincent zerknął na nie i na jego twarzy odbiła się desperacja. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że nie dorównuje Holendrowi. Schreuder czekał w klasycznej aroganckiej pozie, z zaciętym i ponurym wyrazem twarzy, przyglądając mu się ponad rozkołysanym ostrzem szpady.

Anglik wyprostował się, przybrał pozycję szermierczą i z beztróskim uśmiechem na ustach ruszył do przodu, podążając w objęcia pewnej śmierci. Obserwujący go twardzi żeglarze, którzy potrafili wyć i wrzeszczeć podczas walki kogutów albo szczucia byków

psami, umilkli, przejęci rozgrywającą się przed ich oczyma tragedią. Llewellyn nie zamierzał do niej dopuścić.

- Przerwijcie walkę! - zawołał, po czym przeskoczył linę i wszedł z podniesioną ręką między dwóch szermierzy. - Pułkownik Schreuder, dałeś wszelkie powody, byśmy podziwiali twoje mistrzostwo. Ranieś przeciwnika, połała się krew. Czy nie chcesz zaskarbić sobie naszego szacunku, uznając, że otrzymałeś satysfakcję?

- Niech ten angielski tchórz przeprosi mnie w obecności wszystkich obecnych. Wtedy uznam sprawę za zakończoną - odparł Schreuder.

Llewellyn odwrócił się do Vincenta.

- Czy zrobisz to, czego chce pułkownik? - zapytał. - Zaklinam cię, Vincencie, uczyn to ze względu na mnie i przysięgę, jaką złożyłem twemu ojcu.

Twarz Vincenta była śmiertelnie blada. Krew, która splamiła jego koszulę, miała szkarłatny kolor kwitnących w czerwcu dzikich róż.

- Pułkownik Schreuder właśnie nazwał mnie tchórzem. Wybacz, kapitanie, ale nie mogę przyjąć jego warunków.

Llewellyn zmierzył swego protegowanego smutnym spojrzeniem.

- On chce cię zabić, Vincencie. Szkoda twego młodego życia.

- A ja chcę zabić jego. - Teraz, kiedy klamka zapadła, Vincent zdobył się na wesoły zuchowaty uśmiech. - Proszę się odsunąć, kapitanie.

Llewellyn cofnął się ze zwieszoną głową za liny.

- Broń się, mój panie - zawołał Vincent i ruszył do ataku, aż biały piasek poszedł spod jego obcasów.

Od tej chwili każde pchnięcie i parada mogły stanowić o życiu lub śmierci. Szpada z Neptunem tworzyła przed nim nieprzeniknioną ścianę, zatrzymując i odbijając jego własną klingę z łatwością, przy której wszelkie jego wysiłki wydawały się dziecinnymi próbami. Zacięty i ponury wyraz twarzy Schreudera ani na moment się nie zmienił i kiedy wreszcie Vincent zatrzymał się, dysząc i łapiąc kurczowo powietrze, na piersi miał dwie kolejne rany. Pot zabarwił na różowo sączącą się z nich krew, a w oczach młodzieńca odbijała się czarna rozpacz.

Teraz dopiero odzyskali język w gębie marynarze z Golden Bough, - Daruj mu życie, morderco! Nie zabijaj go, ty cholerny serojadzie! - krzyčeli. - Bądź człowiekiem! Daj chłopakowi żyć!

- Nie doczekają się łaski ze strony pułkownika Corneliusa - mruknął z ponurym uśmiechem Cochran - ale ich wrzaski ułatwią robotę Samowi.

Zerknął na zakotwiczoną w lagunie Golden Bough. Wszyscy obecni na jej pokładzie ludzie tłoczyli się przy jednej burcie, nateżając wzrok i śledząc przebieg pojedynku. Nawet majtek na bocianim gnieździe skierował swój teleskop na plażę. Nikt nie zauważył łodzi, które wypłynęły spomiędzy mangrowców na drugim brzegu. Cochran rozpoznał siedzącego w pierwszej szalupie Sama Bowlesa, a potem widok zasłoniła mu rufa statku. Zdobędziemy Golden Bough bez jednego wystrzału, pomyślał z radością, spoglądając z powrotem na plac.

- Miałeś okazję się wykazać, panie - stwierdził cicho Schreuder. - Teraz moja kolej. Broń się!

Trzema szybkimi krokami pokonał dzielącą go od Vincenta odległość. Młodzieniec sparował jego pierwsze, a potem drugie uderzenie, lecz szpada z Neptunem była szybka i nieuchwytna niczym rozwścieczona kobra. Zdawało się, że hipnotyzuje go swym morderczym migotliwym tańcem, zmuszając do powolnego ustępowania pola. Przy każdym kroku do tyłu Vincent chwiał się i tracił równowagę.

Nagle Schreuder zaatakował w sposób, na jaki niewielu szermierzy pozwoliłoby sobie poza polem ćwiczebnym. Połączył obie klingi w klasycznym przedłużonym zwarcu, obracając je dookoła. Stalowe ostrza wydały przenikliwy dźwięk, od którego zimne ciarki przeszły po plecach widzów. Żaden z obu szermierzy nie mógł się teraz wycofać, robiąc to, otworzyłby bowiem lukę we własnej obronie. Dwie szpady obracały się w zabójczym lśniąącym kręgu. Siła i wytrzymałość obu mężczyzn wystawione zostały na najwyższą próbę. Ramię Vincenta zamieniło się w ołów i pot kapał mu z podbródka. W jego oczach pojawiła się rozpacz, a nadgarstek zaczął drżeć i wyginać się z wysiłku.

Schreuder przerwał w końcu zaklęty krąg. Nie wycofał się, lecz unieruchomił po prostu szpadę Vincenta w stalowym imadle. Wymagało to tak wielkiej siły i opanowania, że nawet Cochran otworzył usta z podziwu.

Przez moment pojedynkujący się stali bez ruchu, a potem Schreuder zaczął podnosić obie szpady w górę, tak że w końcu, trzymane w wyprostowanych rękach, mierzyły prosto w niebo. Vincent był bezradny. Próbował utrzymać klingę przeciwnika, ale zaczęło mu drżeć ramię i drętwiały mięśnie. Z wysiłku przygryzł język i w kąciku jego ust ukazała się strużka krwi.

To nie mogło długo trwać.

- Trzymaj się, Vincent! - zawołał z rozpaczą Llewellyn widząc, że młody człowiek osiągnął kres swoich możliwości.

Na próżno. Vincent wycofał się ze zwarcia, z wysoko podniesioną ręką i odsłoniętą pierśią.

- Ha! - krzyknął Schreuder.

Jego pchnięcie było prawie niewidoczne, szybkie niczym strzała wypuszczona z łuku. Wbił szpadę cał pod mostkiem i przeszył nią ciało Vincenta, tak że ostrze wyszło z pleców na długość całej stopy. Vincent zastygł niczym postać wykuta w marmurze. A potem ugięły się pod nim nogi i runął na piasek.

- Morderstwo! - zawołał Llewellyn. Ukląkł przy konającym młodzieńcu, wziął jego głowę w ramiona i spojrzał na Schreudera. - Podłe morderstwo! - powtórzył.

- Muszę to potraktować jako prośbę - stwierdził z uśmiechem Cochran, zachodząc go od tyłu. - Którą spełnię z największą przyjemnością, kuzynie!

Wyciągnął zza pleców pistolet z zamkiem kołowym, przystawił lufę do głowy Llewellyna i pociągnął za cyngiel. W powietrze sypnął snop iskier i sekundę później pistolet zagrzmiał i podskoczył w jego dłoni. Wystrzelone z tak bliskiej odległości ołowiane śruciny przebiły na wylot czaszkę Llewellyna i oderwały w czerwonych strzępach pół jego twarzy. Kapitan runął do przodu, wciąż trzymając w rękach głowę Vincenta Wintertona.

Myszołów rozejrzał się szybko dookoła. Czerwona raca uniosła się już nad ciemnym zagajnikiem, zostawiając na bladym błękitcie srebrzystą parabolę dymu - sygnał dla Sama Bowlesa i jego ludzi, że mogą zaatakować Golden Bough.

Ukryci między drzewami kanonierzy ściągali gałęzie, którymi przykryte były kolubryny. Myszołów osobiście dopilnował, żeby działa pokryły ogniem cały fragment plaży za ogrodzonym sznurami placem, gdzie stali w czterech szeregach marynarze z Golden Bough. Każda z kolubryn załadowana była kartaczami.

Nieświadomi wymierzonej w nich baterii, marynarze szybko dochodzili do siebie po wstrząsie, jakim była dla nich śmierć własnych oficerów. W ich szeregach rozległ się gniewny pomruk i głośnie okrzyki oburzenia, nie było jednak żadnego dowódcy, który mógłby poprowadzić ich do boju, i chociaż obnażyli kordy, instynktownie wahali się i chowali jeden za drugim.

Cochran złapał pułkownika Schreudera za ramię.

- Chodź! Pośpiesz się! Zejdź z pola ostrzału! - wrzasnął mu do ucha i pociągnął za sobą, zabierając z wytyczonego sznurami placu.

- Na Boga, właśnie zamordowałeś kapitana Llewellyna! - zaprotestował Schreuder. - Był nie uzbrojony! Bezbronny!

- O szczegółach będziemy dyskutować później - obiecał Cochran, po czym podstawił mu nogę, popychając jednocześnie do przodu.

Dwaj mężczyźni wpadli prosto do płytkiego rowu, który Myszołów kazał wykopać w piasku specjalnie w tym celu. W tej samej chwili marynarze z Golden Bough wdarli się na plac, na którym odbywał się pojedynek.

- Co robisz? - ryknął Schreuder. - Proszę mnie natychmiast puścić!

- Ratuje ci życie, ty durna pało! - wrzasnął mu do ucha Cochran, chowając głowę za krawędź okopu, gdy plażę przeorała pierwsza salwa kartaczy wystrzelonych z zagajnika.

Wcześniej wyliczył starannie odległość, aby kartacze rozprysły się pod najbardziej morderczym kątem. Salwa trafiła prosto w tłum biegnących marynarzy, wzbijając w górę tuman białego piasku i przecinając niczym huragan spokojne wody laguny. Większość zginęła na miejscu, ale kilku pozostało na nogach. Ogluszeni i zdezorientowani chwiali się jak pijani pod wpływem odniesionych ran i podmuchu powietrza.

Cochran złapał swój szkocki miecz, który leżał na dnie okopu przysypany cienką warstwą piasku, i ściskając go oburącz, rzucił się na ocalałych niedobitków. Odjął jednym cięciem głowę pierwszemu, który pojawił się na jego drodze, a chwilę później z kłębow armatniego dymu wypadli jego ludzie, wyjąc jak diabły i wymachując kordami.

Rzucili się na zdziśiatkowany oddział, kłując i siekąc, i wkrótce mieli ręce unurzane po łokcie w krwi, a twarze pokryte czerwonymi piegami.

- Dosyć! Nie zabijajcie tych, którzy się poddają! - ryczał Cochran, lecz oni nie zwracali uwagi na jego rozkazy i musiał ich okładać pięściami i płazować mieczem. - Przestańcie! Potrzebujemy żeglarzy na Golden Bough. Zachowajcie przy życiu kilkunastu, przeklęte hultaje!

Oszczędzili mniej ludzi, niż się domagał. Kiedy jatka dobiegła końca, przy życiu zostało tylko dziewięciu marynarzy Llewellyna, związanych za ręce i nogi i leżących na brzuchu niczym rzeźne świnie na targu.

- Za mną! - wrzasnął Myszołów i pobiegł w stronę wyciągniętych na brzeg szalup z Golden Bough.

Wskoczyli do nich i złapali za wiosła. Ze stojącym na dziobie i ryczącym jak ranny lew Cochranem pokonali szybko dzielącą ich od statku odległość i wdrapali się na pokład z obnażonymi kordami i gotowymi do strzału pistoletami.

Ich pomoc nie była już jednak potrzebna. Piraci Sama Bowlesa zdobyli Golden Bough z zaskoczenia. Pokład był śliski od krwi i wszędzie walały się trupy. Pod przednim kasztelem niewielka garstka ludzi Llewellyna toczyła jeszcze rozpaczliwy bój z bandą Bowlesa, ale widząc Myszołowa i jego marynarzy, rzucili broń. Ci, którzy umieli pływać, podbiegli do burty i skoczyli do laguny, pozostali padli na kolana i błagali o łaskę.

- Oszczędź ich, panie Bowles! Potrzebuję żeglarzy! - zawołał Cochran, po czym nie patrząc nawet, czy wykonano jego rozkaz, wyrwał muszkiet z rąk najbliższego pirata i podbiegł do burty.

Uciekający płynęli wprawdzie w stronę przybrzeżnych mangrowców. Cochran starannie wymierzył, biorąc na cel marynarza, pod którego siwymi mokrymi włosami widniała różowa skóra czaszki.

Strzał okazał się celny; mężczyzna wyrzucił w górę ręce i poszedł na dno, zostawiając na wodzie różową smugę. Otaczający Cochraha piraci ryknęli z radości i przyłączyli się do zabawy, zakładając się o każdy celny strzał i prażąc do płynących marynarzy niczym do rannych kaczek.

- Kto da mi pięć szylingów za tego łotra z jasnym kucykiem? Sam Bowles podszedł do swojego kapitana, płaszcząc się i szczerząc zęby w uśmiechu.

- Okręt jest twój, wasza miłość.

- Dobra robota, panie Bowles. - Cochran klepnął go w dowód uznania z taką siłą, że Bowles o mało się nie wyrócił. - Paru łotrów schowało się na pewno pod pokładem. Wykurcie ich stamtąd, ale postarajcie się wziąć ich żywcem. Spuście łódź i wyłowcie również tamtych! - dodał, wskazując ręką kilku niedobitków, którzy wciąż młócili rękoma wodę, płynąc w stronę mangrowców. - Idę teraz do kabiny Llewellyna, żeby przejrzeć papiery. Zawołaj mnie, kiedy wszyscy więźniowie będą leżeli związani na śródokręciu.

Wyważył kopniakiem zamknięte drzwi i stanął w progu, podziwiając urządzone z przepychem wnętrze: rzeźbione meble i zasłony uszyte z delikatnego aksamitu.

W szufladce biurka znalazł klucze do żelaznego skarbca, który przyśrubowano do podłogi pod wygodną koją. Otworzywszy go, zobaczył na samej górze sakiewkę, którą dał Llewellynowi.

- Jestem ci bardzo zobowiązany, Christopherze. Tam, dokąd idziesz, nie będziesz jej potrzebował - mruknął, chowając ją do kieszeni. Pod spodem była druga sakiewka, której zawartość wysypał na blat biurka. - Dwieście szesnaście funtów pięć szylingów i dwa pensy - obliczył. - To pieniądze za zajęcie się statkiem. Niezbyt dużo, ale jestem wdzięczny za każdy skromny datek.

A potem ujrzał spoczywający na dnie skarbca mały drewniany kuferek i zaświeciły mu się oczy. Wyjął go i przeczytał wyryte na wieku nazwisko. „Czcigodny Vincent Winterton”. Kuferek był zamknięty na klucz, ale zamek ustąpił pod ostrzem sztyletu. Cochran uśmiechnął się widząc, co zawiera, i przesypał garść złotych monet między palcami.



- Są tutaj bez wątpienia pieniądze, które stracił grając w kości poczciwy pułkownik Schreuder. Zaopiekuję się nimi, żeby nie zechciał ich znowu przehulać.

Nalał sobie kubek francuskiej brandy z kapitańskich zapasów i zasiadłszy przy biurku, zaczął przeglądać dokumenty statku.

Dziennik okrętowy będzie z pewnością stanowił interesującą lekturę, na razie jednak odłożył go na bok. Z umowy z armatorem wynikało, że właścicielem statku jest lord Winterton.

- To już przeszłość, wasza lordowska mość - stwierdził, szczerząc zęby. - Z żalem informuję, że Golden Bough należy teraz w całości do mnie.

Spis ładunku rozczerował go. Statek wiozł w większości tanie towary powszechnego użytku: noże i topory, tkaniny, paciorki i miedziane obrączki. W ładowniach było jednak także pięćset muszkietów i spory ładunek prochu.

- Ho ho! Miałeś więc zamiar zająć się przemytem broni. Wstydz się, Christopherze - pokręcił z dezaprobatą głową. - W drodze powrotnej będę musiał wypełnić ładownie czymś o wiele wartościowszym - obiecał sobie, pociągając łyk brandy.

Przejrzał inne dokumenty. Było wśród nich kolejne pismo od Wintertona, na mocy którego Golden Bough miała przejść jako okręt wojenny na służbę Księdza Jana, a także opatrzony Wielką Pieczęcią kwiecisty list od lorda kanclerza Anglii, księcia Clarendona, polecający gorąco Christophera Llewellyna władcy Etiopii.

- To już coś lepszego. Zmieniwszy nieco nazwisko, mógłbym się nawet pod niego podszyc!

Złożył starannie list, umieścił z powrotem w skarbczyku kuferek, sakiewki, dziennik okrętowy i inne dokumenty, po czym zawiesił sobie na szyi wstążkę z kluczem i popijając brandy zaczął rozważać otwierające się przed nim nowe możliwości.

Intrygowała go wojna w Wielkim Rogu. Wkrótce na Oceanie Indyjskim miały zacząć wiać południowo-wschodnie pasaty. Wielki Mogoł wysłał do swoich przyczółków na wschodnim wybrzeżu Afryki statki wypełnione żołnierzami i skarbami z całego indyjskiego imperium. Z tych samych sprzyjających wiatrów będą korzystać pielgrzymi żeglujący przez Morze Arabskie do miejsca urodzenia Proroka. Możliwość władcy i książęta, ministrowie stanu i bogaci kupcy ze wszystkich zakątków Orientu - wszyscy oni będą wieźli ze sobą bogactwa, których wartości mógł się tylko domyślać, aby złożyć je w ofierze w świętych meczetach i świątyniach Mekki i Medyny.

Przez kilka minut marzył o ciemnoczerwonych rubinach, szafirach wielkości pięści i skrzyniach wypełnionych złotym i srebrnym kruszcem.

- Kiedy będę miał pod swymi rozkazami Guli of Moray i Golden Bough, nie oprze mi się żaden pogański książę. Wypełnię ładownie tym, co mają najlepszego. Nędzny skarb Franky'ego błędnie przy takiej obfitości - pocieszał się, lecz bolało go, że nie odnalazł kryjówki Francisa Courteneya. - Odpływając, zostawię tu na pamiątkę kości Jiriego i jego dwóch kompanów - mruknął z ponurą miną. Sam Bowles wyrwał go z zadumy, wsadzając głowę do kabiny.

- Wybacz, wasza miłość, ale wylapaliśmy już wszystkich marynarzy Golden Bough. Żaden nam nie uniknął.

Cochran wstał od biurka zadowolony, że ktoś przerwał mu niewesołe rozmyślenia.

- Zobaczmy, co to za ptaszki.

Związani więźniowie kucali w trzech szeregach na śródokręciu.

- Czterdziestu dwóch zahartowanych wilków morskich, wszyscy zdrowi i cali - oświadczył z dumą Sam.

- Żaden nie jest ranny? - zapytał z niedowierzaniem Myszołów.

- Wiem, że nie miałbyś ochoty ich niańczyć, panie. Przytrzymaliśmy rannym głowy pod wodą, żeby przenieśli się szybciej na łono Jezusa. Dla większości był to akt łaski.

- Podziwiam twoją wielkoduszność, panie Bowles - mruknął Cochran - ale w przyszłości oszczędź mi tego rodzaju szczegółów. Wiesz, że jestem człowiekiem o delikatnym usposobieniu.

Nie poświęcając temu zagadnieniu więcej uwagi, przyjrzał się więźniom. Wbrew zapewnieniom Bowlesa wielu było ciężko poturbowanych. Mieli podbite oczy i spuchnięte wargi. Kucali ze zwieszonymi w dół głowami, w ogóle na niego nie patrząc.

Cochran przeszedł wzdłuż szeregu, co jakiś czas łapiąc któregoś za włosy i przyglądając się jego twarzy.

- Słuchajcie mnie, hultaje - oznajmił jowialnie, przyjrząwszy się wszystkim. - Mam dla was koje. Dostaniecie szylinga miesięcznie i udział w łupach, a nie nazywam się Angus Cochran, jeśli nie będziemy mieli wkrótce worków srebra i złota do podziału.

Żaden nie odpowiedział na jego wezwanie i Myszołów zmarszczył brwi.

- Jesteście głusi, czy diabeł wyrwał wam języki? Kto pozęgluje z Cochranem lordem Cumbrae? - Nad pokładem zaległa głucha cisza. Cochran podszedł do jednego z bardziej rezolutnie wyglądających więźniów. - Jak się zwiesz, chłopcze?

- Davey Morgan.

- Popłyniesz ze mną, Davey?

Mężczyzna podniósł powoli głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Widziałem, jak zginął młody pan Winterton i jak zastrzelony został z zimną krwią nasz kapitan. Nie popłynę z mordercą i piratem.

- Piratem?! - ryknął Myszołów. - Masz czelność nazywać mnie piratem, ty śmierdzący gnoju? Urodziłeś się, żeby nakarmić mewy, i zaraz rzucę cię im na pożarcie.

Wysunął ze zgrzytem z pochwy wielki miecz, zamachnął się i odrąbał Daveyowi Morganowi głowę od zębów aż do ramienia. A potem z zakrwawionym ostrzem przeszedł ponownie wzdłuż szeregu.

- Czy jest wśród was ktoś jeszcze, kto ośmieli się nazwać mnie piratem? - Nikt się nie odezwał i w końcu Cochran przywołał do siebie Sama Bowlesa. - Zamknij wszystkich w ładowni Golden Bough i dawaj im po pół kwarty wody i jednego suchara dziennie. Niech ci pięknie namyślą się lepiej nad moją propozycję. Za kilka dni porozmawiam z nimi ponownie i założę się, że nabiorą lepszych manier. Widzę, że nie usunięto jeszcze wszystkich szkód, jakie wyrządziła burza - dodał ciszej, biorąc go na bok i wskazując takielunek. - To teraz twój statek, ty będziesz nim żeglował i dowodził. Doprowadź go migiem do porządku. Chcę najszybciej, jak można, opuścić to przeklęte miejsce. Zrozumiałeś, kapitanie Bowles?

Sam rozpromienił się, słysząc swój nowy tytuł.

- Możesz na mnie polegać, wasza miłość. Cochran podszedł do burty i zjechał po linie do czekającej szalupy.

- Wieźcie mnie na brzeg, hultaje - rozkazał.

Zanim jeszcze łódź przybiła do plaży, wyskoczył na zewnątrz i brodząc po kolana w wodzie, podszedł do czekającego pułkownika.

- Muszę z tobą porozmawiać, panie - oznajmił z miejsca Schreuder i Myszołów posłał mu zachęcający uśmiech.

- Dysputa z tobą jest dla mnie zawsze prawdziwą przyjemnością. Chodź ze mną, pułkowniku. Możemy rozmawiać, kiedy będę załatwiał swoje sprawy.

Cochran ruszył pierwszy plażą w stronę zagajnika.

- Kapitan Llewellyn był... - zaczął Schreuder, ale Myszołów nie dał mu skończyć.

- Llewellyn był niecnym piratem. Bronilem się przed jego podstępem. - Cochran zatrzymał się nagle i podwinął rękaw, żeby pokazać fioletową szramę, która deformowała jego ramię. - Widzisz? Tak mnie potraktował, kiedy mu poprzednio zaufałem. Gdybym nie uprzedził zamysłów Llewellyna, jego desperaci roznieśliby nas na strzępy. Jestem pewien, że to rozumiesz i jesteś mi wdzięczny za interwencję. Gdyby nie ja, to ciebie spotkałby ten los - dodał, wskazując grupkę marynarzy, którzy ciągnęli za nogi trupy Llewellyna i Vincenta Wintertona. Roztrzaskana głowa Llewellyna zostawiała krwawy ślad na piasku.

Schreuder przyglądał się przez chwilę temu orszakowi. W słowach Cochran'a wyczuł groźbę i jednocześnie ostrzeżenie. Za pierwszą linią drzew, w miejscu, gdzie rozbił kiedyś obozowisko Courteney, ciągnęły się świeżo wykopane rowy. Chata sir Francisa zniknęła; jej miejsce zajęła głęboka na dwadzieścia stóp dziura, której dno wypełniała słonawa woda z laguny. Kolejne wykopki znajdowały się w miejscu, gdzie niegdyś stały beczki z przyprawami. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że wśród drzew pracowała armia górników. Ludzie Myszołowa zaciągnęli zwłoki do skraju najbliższego wykopu i cisnęli je bezceremonialnie w dół. Ciała zsunęły się po stromej ścianie i wpadły z pluskiem do wody.

Na twarzy Schreudera widać było niepokój i niedowierzenie.

- Trudno mi uwierzyć, że Llewellyn był tego rodzaju osobą - mruknął, ale Cochran ponownie nie pozwolił mu dokończyć.

- Na Boga, Schreuder, czyżbyś podawał w wątpliwość moje słowa? Co z twoimi zapewnieniami, że chcesz się do mnie przyłączyć? Jeśli nie podoba ci się moje postępowanie, w takim razie może lepiej będzie się od razu rozstać. Dam ci szalupę z Golden Bough i kilku piratów Llewellyna do wiosł, żebyś mógł wrócić na Przylądek Dobrej Nadziei. Możesz opowiedzieć o swoich skrupałach gubernatorowi van de Veldemu. Czy to ci bardziej odpowiada?

- Nie, w żadnym wypadku - odparł szybko Schreuder. - Wiesz, że nie mogę tam wrócić, panie.

- Rozumiem zatem, że jesteś ze mną, pułkowniku?

Schreuder wahał się, obserwując ponurą pracę ludzi grzebiących trupy. Wiedział, że jeśli narazi się Cochranowi, wyląduje prawdopodobnie w dole razem z Llewellynem i marynarzami z Golden Bough. Znalazł się w pułapce.

- Jestem z tobą - wykrztusił w końcu. Myszołów pokiwał głową.

- W takim razie oto moja ręka - powiedział, podając mu swoją wielką piegowatą, pokrytą rudymi włoskami dłoń.

Schreuder powoli ją uściśnął. Zaczynał sobie uświadamiać, iż znalazł się poza nawiasem uczciwych ludzi. Cochran ujrzał to w jego oczach i cieszył się, że może mu wreszcie zaufać. Akceptując masakrę oficerów i marynarzy Golden Bough, Schreuder sam stał się piratem i banitą. Należał teraz do Cochran'a ciałem i duszą.

- Pozwól ze mną. Pokażę ci, co tutaj robiliśmy. - Myszołów zmienił lekkim tonem temat i poprowadził pułkownika obok masowego grobu, nie rzucając nawet okiem na stos ciał. - Znałem, widzisz, bardzo dobrze Francisa Courteneya... byliśmy jak bracia. Wciąż jestem przekonany, że gdzieś w pobliżu ukrył swoją fortunę., to, co zrabował ze

Standvastigheid i Heerlycke Nacht. Na krew wszystkich świętych, gdzieś pod tymi piaskami musi leżeć dwadzieścia tysięcy funtów.

Zbliżyli się do długiego głębokiego wykopu, w którym czterdziestu ludzi Cochran przystąpiło już ponownie do pracy. Wśród nich byli trzej czarni marynarze, których kupił na targu niewolników na Przylądku Dobrej Nadziei.

- Jiri! - ryknął Myszołów. - Matesi! Kimatti! Niewolnicy rzucili na ziemię łopaty, wyleźli z wykopu i stanęli drżąc przed swoim panem.

- Spójrz na tych piękniśków. Za każdego z nich zapłaciłem pięćset florenów. To był najgorszy interes, jaki kiedykolwiek ubiłem. Masz teraz przed oczyma żywy dowód, że czarnuch potrafi tylko trzy rzeczy. Oszukiwać, kraść i wykręcać kota ogonem. - Myszołów parsknął śmiechem. - Mam rację, Jiri?

- Tak jest, wasza miłość - odparł, szczerząc zęby, Jiri. - Bóg widzi, że macie rację.

Myszołów przestał się śmiać tak samo niespodziewanie, jak zaczął.

- Co ty wiesz o Bogu, poganinie?! - ryknął i silnym uderzeniem pięści strącił Jiriego z powrotem do wykopu. - Wracajcie wszyscy trzej do pracy!

Niewolnicy złapali łopaty i zaatakowali z pasją dno dołu, wyrzucając ziemię na zewnątrz. Cochran stanął nad nimi, podpierając się pod boki.

- Posłuchajcie mnie, synowie nocy. Powiedzieliście mi, że skarb jest zakopany właśnie tutaj. Skoro tak, znajdźcie go, bo inaczej nie będzie was na pokładzie, gdy podniosę żagle. Pochowam wszystkich trzech w tym grobie, który wykopaliście swoimi czarnymi pazurami. Słyszeliście?

- Tak jest, wasza miłość - odpowiedzieli chórem. Cochran wziął Schreudera po koleżeńsku pod ramię i poprowadził dalej.

- Muszę przyjąć do wiadomości przykry fakt, że tak naprawdę nigdy nie wiedzieli, gdzie Franky ukrył swoje łupy. Przez wszystkie te miesiące wodzili mnie za nos. Moi hultaje i ja mamy już powyżej dziurek w nosie zabawy w krety. Pozwól, że zaproszę cię w moje niskie progi i poczęstuję kubkiem whisky. Opowiesz mi o tej ślicznej, wojence, która toczy się między Wielkim Mogołem i Księdzem Janem. Wydaje mi się, że powinniśmy wspólnie poszukać lepszego zajęcia i większych profitów gdzieś poza Laguną Słoni.

Hal przyglądał się w świetle ogniska swoim ludziom, którzy z wilczym apetytem wcinali na kolację wędzone mięso. W ostatnich dniach nie udało im się upolować nic większego i wszyscy byli zmęczeni. Jego marynarze nigdy w życiu nie byli niewolnikami. Ciężka praca na murach zamku nie złamała ich, lecz zahartowała, i teraz, po długim marszu, byli w bojowym nastroju. Hal nie mógł od nich wymagać niczego więcej: okazali się

twardymi i wypróbowanymi żołnierzami. Althudę lubił i obdarzał zaufaniem, ale wiedział, że jego ludzie urodzili się w niewoli i niektórzy nigdy nie nauczą się wojennego rzemiosła. Sabah bardzo go rozczarował. Zanieczywał swoje obowiązki i protestował głośno za każdym razem, gdy Hal wydawał mu jakieś polecenia.

- Nie jestem już niewolnikiem! - krzyczał najczęściej. - Nikt nie ma prawa mi rozkazywać!

Kiedy dojdzie do walki, Sabah na pewno nie poradzi sobie z twardymi opryszkami Cochra, pomyślał Hal. A potem podniósł wzrok i uśmiechnął się do Sukeeny, która usiadła przy jego boku.

- Nie czyni sobie wroga z Sabah - szepnęła cicho.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł - ale każdy z nas musi robić, co do niego należy. Jesteś warta dziesięciu takich jak Sabah - dodał, patrząc na nią czule - ale dziś potknęłaś się kilka razy. Myślałaś, że cię nie obserwuję, lecz zobaczyłem ból w twoich oczach. Czy jesteś chora, kochanie? Może rzeczywiście narzucam zbyt szybkie tempo?

- Za bardzo się mną przejmujesz, Gundwane - stwierdziła z uśmiechem. - Poszłabym za tobą bez skargi do samych bram piekła.

- Wiem i to właśnie mnie trapi. Jak się mam domyślić, co ci dolega, skoro się w ogóle nie skarżysz?

- Nic mi nie dolega - zapewniła go.

- Przysięgnij, że nie ukrywasz przede mną żadnej choroby - nalegał.

- Daję ci słowo i pieczętuję tę przysięgę pocałunkiem - odparła, podając mu usta. - Wszystko jest w zgodzie z boską wolą. I zaraz ci to udowodnię - dodała, biorąc go za rękę i prowadząc w ciemny zakątek obozu, gdzie rozłożyła posłanie.

Mimo że przyjęła go z tą samą słodyczą co zawsze, wyczuł w niej jakąś dziwną miękkość i ociążałość i choć zachwyciło go to, gdy się kochali, potem ogarnął go niepokój i konsternacja. Zdawał sobie sprawę, że coś się zmieniło, nie wiedział jednak dokładnie co.

Nazajutrz obserwował ją uważnie podczas marszu i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na bardziej stromych odcinkach drogi jej krok nie jest tak sprężysty jak niegdyś, a w najgorętszej porze dnia zaczęła zostawać w tyle. W pewnym miejscu, gdy trzeba było pokonać skalny próg na udeptanej przez słonie ścieżce, Zwaantie chciała jej pomóc, ale Sukeena powiedziała coś ostrym tonem i odtrąciła jej rękę. Hal prawie odruchowo zwolnił tempo i zarządził w południe postój wcześniej, niż to normalnie robił.

Tej nocy Sukeena spała przy nim w śmiertelnym bezruchu. Hal nie mógł zasnąć. Nie miał już teraz wątpliwości, że dzieje się z nią coś złego i że ukrywa przed nim swoją chorobę.



Oddychała tak lekko, że musiał przytknąć ucho do jej ust, żeby się upewnić, czy żyje. Kiedy przysunął się do niej bliżej, jej ciało wydało mu się nienaturalnie rozgrzane. Raz, na krótko przed świtem, jęknęła tak żałośnie, że poczuł, jak serce wypełnia mu miłość i troska. W końcu zapadł w głęboki, pozbawiony wizji sen. Gdy się obudził i wyciągnął rękę, Sukeeny nie było na posłaniu.

Podparł się na łokciu i rozejrzał dookoła. W ognisku zostało tylko kilka żarzących się głowni, ale zawieszony nisko na zachodzie pызaty księżyc dawał dość światła, by zorientował się, że nie ma jej wewnątrz palisady. Dostrzegwał ciemną sylwetkę Abolego, który pełnił wartę przy wejściu; księżyc przyćmiewał prawie całkowicie blask porannej gwiazdy, świecącej dokładnie nad jego głową. Nie spał. Hal usłyszał jego cichy kaszel, a potem zobaczył, że otula się szczelniej futrzanym okryciem.

Zrzucił z siebie karros i podszedł do Abolego.

- Gdzie jest Sukeena? - zapytał, kucając przy nim.

- Przed chwilą wyszła.

- Dokąd?

- W dół strumienia.

- Nie zatrzymałeś jej?

- Poszła się załatwić. - Aboli zmierzył go zaciekawionym spojrzeniem. - Dlaczego miałbym ją zatrzymywać?

- Przepraszam - odparł Hal. - Nie mam do ciebie pretensji. Martwię się o nią. Nie czuje się dobrze. Nie zauważyłeś tego?

Aboli zawahał się.

- Być może - stwierdził, kiwając głową. - Kobiety są dziećmi księżyca. Brakuje mu tylko kilku nocy do pełni, więc może zaczęło się jej miesięczne krwawienie.

- Pójdę po nią.

Hal wstał i ruszył kamienistą ścieżką w stronę płytkiego stawu, w którym kapali się poprzedniego wieczoru. Miał już zamiar zawołać ją po imieniu, lecz nagle usłyszał dźwięk, który go zaniepokoił. Zatrzymał się i nadstawił ucha. Dźwięk rozległ się ponownie - słychać w nim było ból i cierpienie. Ruszył szybkim krokiem do przodu i zobaczył Sukeenę, która klęczała na piasku przy brzegu sadzawki. Odrzuciła na bok swój koc i księżyc lśnił na nagiej skórze, nadając jej odcień polerowanej kości słoniowej. Zgięta w pół w konwulsjach bólu i choroby, wymiotowała na piasek.

Przerażony Hal podbiegł i ukląkł tuż przy niej. Sukeena rzuciła mu zdesperowane spojrzenie.

- Nie powinieneś mnie oglądać w tym stanie - szepnęła ochryplym głosem, a potem odwróciła się i ponownie zwymiotowała. Hal objął ręką jej nagie ramiona. Były zimne i rozdygotane.

- Jesteś chora - szepnął. - Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wprost, kochana? Dlaczego próbowałaś to przede mną ukryć? Sukeena otarła usta wierzchem dłoni.

- Nie powinieneś za mną chodzić - mruknęła. - Nie chciałam, żebyś wiedział.

- Jeśli jesteś chora, muszę o tym wiedzieć. Powinnaś mieć do mnie dość zaufania, by mi powiedzieć.

- Nie chciałam być dla ciebie ciężarem. Nie chciałam, żebyś opóźniał marsz z mojego powodu. Przytulił ją do siebie.

- Nigdy nie będziesz dla mnie ciężarem. Jesteś powietrzem w moich płucach i krwią w moich żyłach. Powiedz mi szczerze, co ci dolega, kochanie.

Sukeena westchnęła i zadrżała w jego objęciach.

- Och, Hal, wybacz mi. Nie chciałam, żeby to stało się tak szybko. Brałam wszystkie leki, o których wiedziałam, że temu zapobiegają.

- Co to za choroba? - Hal był zmieszany i zdezorientowany. - Powiedz mi.

- Noszę w łonie twoje dziecko. - Spojrzał na nią z osłupieniem, niezdolny się poruszyć ani odezwać. - Dlaczego milczysz? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Proszę, nie gniewaj się na mnie.

Nagle przytulił ją całej siły do piersi.

- To nie gniew odebrał mi mowę. To radość. Radość z powodu naszej miłości. Radość z powodu syna, którego mi obiecałaś.

Tego dnia Hal zmienił szyk marszu: Sukeena szła teraz z nim na czele kolumny. Chociaż śmiała się i protestowała, wziął od niej koszyk i dołączył go do własnego bagażu. Ociążona w ten sposób, z łatwością dotrzymywała mu kroku. Mimo to w trudniejszych miejscach podawał jej rękę, a ona nie oponowała widząc, jak wielką radość sprawia mu to, że może się nią opiekować i chronić.

- Nie wolno ci mówić innym - mruknęła - bo ze względu na mnie będą chcieli zwolnić tempo.

- Jesteś silna jak Aboli i Duży Daniel razem wzięci - zapewnił ją skwapliwie - ale nic im nie powiem.

Nie mówili więc nic nikomu, trzymając się za ręce i spoglądając na siebie tak rozmarzonym wzrokiem, że gdyby nawet Zwaantie nie powiedziała Althudzie, a ten nie powiedział Abolemu, obaj musieliby się domyślić. Aboli szczyrzył zęby, jakby to on był

ojcem, i okazywał Sukeenie tak szczególne względy, że w końcu nawet Sabah zgadł, jaki jest powód niezwykłego ożywienia, jakie zapanowało w całej grupie.

Pokonywane przez nich teraz tereny były bardziej zalesione. Niektóre drzewa były monstrualnie wielkie i zdawały się niczym wielkie strzały przebijać niebo.

- Musiały być stare już wtedy, kiedy narodził się Chrystus Zbawiciel - dziwił się Hal.

Korzystając z mądrych rad Abolego, oswoili się z dzikim pustkowiem i zamieszkującymi je wielkimi zwierzętami. Stopniowo przestał im towarzyszyć strach, a Hal i Sukeena nauczyli się podziwiać otaczające ich piękno i cuda przyrody. Przystawali często na szczycie pagórka, żeby popatrzeć na orła żeglującego wysoko na nieruchomych skrzydłach, bądź też przyglądali się nie większemu od kciuka Sukeeny, połyskującemu metalicznie ptaszкови, który wisiał w powietrzu nad kwiatem i spijał z niego nektar zakrzywionym dziobem, tak samo długim jak reszta ciała.

Sawanna roiła się od dziwnych zwierząt, których kształty pobudzały ich wyobraźnię. Były tam stada tych samych granatowych antylop, które spotkali u stóp gór, oraz dzikie konie o sierści w kremowe, brunatne i czarne pasy. Między drzewami widzieli często ciemne zwaliste kształty dwurogiego nosorożca, przekonali się jednak, że to groźne zwierzę jest prawie zupełnie ślepe i że mogą łatwo uniknąć jego wścieklej szarży, obchodząc je szerokim łukiem dookoła.

Na otwartej przestrzeni za puszcza pasły się stada małych gazel koloru cynamonu, tak liczne, że sunęły po wzgórzach niczym tumany dymu. Ich boki przecinały poziome czekoladowe pasy, a na delikatnych głowach tkwiły rogi w kształcie liry. Zaalarmowane widokiem ludzi, pierzchały z zadziwiającą lekkością, skacząc wysoko w powietrze i migając śnieżystymi plamami na grzbiecie. Każdej samicy towarzyszyło małe jagnię i Sukeena klaskała w dłonie i krzyczała z radości widząc, jak młode szturchają wymię matki albo baraszkuje z rówieśnikami. Hal obserwował ją z czułością i myślał o tym, że ona także nosi w sobie dziecko. Dzielił z nią radość, jaką odczuwała na widok młodych innego gatunku i cieszył się z sekretu, który, jak im się wydawało, zdołali ukryć przed resztą.

W południe odczytał kąt padania słońca i wszyscy stanęli dookoła, kiedy nanosił ich pozycję na mapie. Sznur kropek na pergaminie zbliżał się powoli do zakrzywienia linii brzegowej, które na holenderskiej mapie zaznaczone było jako Buffels Baai, Zatoka Bawołów.

- Do laguny mamy teraz nie więcej niż pięć mil - stwierdził, podnosząc wzrok znad mapy.

- Gdy polowaliśmy dziś rano, rozpoznałem widoczne przed nami wzgórza - zgodził się z nim Aboli. - Ze szczytu pagórka zobaczyłem niskie chmury, które zawsze wiszą nad wybrzeżem. Jesteśmy bardzo blisko.

Hal pokiwał głową.

- Musimy posuwać się naprzód z dużą ostrożnością. W pobliżu mogą się kręcić grupy myśliwych z Guli of Moray. To dobre miejsce, żeby założyć stały obóz. Mamy tu wodę, dużo opału i dobry widok ze wzgórza. Rano Aboli i ja zostawimy was, żeby sprawdzić, czy Guli rzeczywiście stoi w Lagunie Słoni.

Na godzinę przed świtem Hal wziął na bok Dużego Daniela i powierzył Sukeenę jego opiece.

- Pilnuj jej dobrze, mistrzu Danielu. Ani na moment nie spuszczaaj jej z oka.

- Nie obawiaj się, kapitanie. Będzie ze mną bezpieczna. Kiedy tylko zrobiło się dostatecznie jasno, Hal i Aboli opuścili obóz. Sukeena odprowadziła ich kilkaset jardów.

- Powodzenia, Aboli - powiedziała, obejmując go. - Opiekuj się moim mężczyzną.

- Będę się nim opiekował tak samo, jak ty opiekujesz się swoim synem.

- Ty draniu! - zawołała, uderzając go żartobliwie w szeroką pierś. - Jak się o wszystkim dowiedziałeś? Byliśmy pewni, że udało nam się to zachować w tajemnicy. On wie! - zawiadomiła ze śmiechem Hala.

- W takim razie wszystko stracone. - Hal potrząsnął ze smutkiem głową. - Kiedy tylko mały się urodzi, ten łajdak będzie traktował go jak własnego syna, podobnie jak traktował mnie.

Patrzyła, jak wspinają się na wzgórze i machają do niej ze szczytu. Dopiero gdy zniknęli, uśmiech spęłzył z jej ust i pojedyncza łza spłynęła po policzku. W drodze powrotnej zatrzymała się przy strumieniu i obmyła ją. Kiedy zjawiała się z powrotem w obozie, Althuda podniósł wzrok znad klingi, którą polerował, i uśmiechnął się, nie domyślając się, jak bardzo jest strapiona. Podziwiał, jak pięknie i świeżo wygląda po kilku miesiącach ciężkiego marszu przez pustkowia.

Przed rokiem Hal i Aboli spenetrowali dokładnie te wzgórza. Znając dobrze bieg rzeki, zeszedli teraz do głębokiego wąwozu o milę od laguny i podążali udeptaną przez słonie ścieżką aż do płytkiego brodu. Nie zamierzali jednak iść dalej doliną.

- Ludzie z Guli mogą się tu wyprawiać po wodę - ostrzegł Aboli.

Hal pokiwał głową i wspiął się razem z nim na drugą stronę wąwozu. Zataczając szeroki krąg, okrążyli od tyłu pasmo wzgórz.

Po jakimś czasie wdrapali się prawie na samą górę. Hal wiedział, że tuż za granią znajduje się pokryta starodawnymi malowidłami skalna grot, w której figlował z Kalinką, i że ze szczytu rozpościera się panoramiczny widok na lagunę, skaliste cyple i leżący dalej ocean.

- Schowaj się za tymi drzewami, żeby nikt nie zobaczył cię na tle nieba - poradził mu cicho Aboli.

- Nie bój się, nie zapomniałem twoich nauk - odparł z uśmiechem Hal.

Wspinając się cał po calu, pokonał kilka ostatnich jardów i stopniowo wyłonił się przed nim widok na drugą stronę. Nie oglądał oceanu od kilku tygodni i teraz serce urosło mu w piersi, gdy zobaczył błękitny przestwór wód nakrapiany białymi grzywami fal, które pierzchały przed południowo-wschodnim wiatrem. Morze było jego żywiołem i poczuł, że strasznie mu go brakuje.

- Daj mi statek! - szepnął. - Boże, daj mi zobaczyć statek! Podciągnął się trochę wyżej i jego oczom ukazały się szare bastiony cypli strzegących wejścia do laguny. Zatrzymał się na chwilę, żeby przygotować się na straszliwe rozczarowanie, gdyby laguna okazała się pusta. Niczym gracz w kości, uzależnił swój los od tej jednej sprawy. Wspiął się jeszcze wyżej, po czym westchnął i złapał za ramię Abolego, wbijając palce w jego zawężłone mięśnie.

- Jest tam Guli of Moray - wymamrotał, jakby odmawiał modlitwę dziękczynną. - I nie tylko ona. Stoi tam jeszcze jeden piękny żaglowiec.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

- Znalazłeś statek, który im obiecałeś - powiedział w końcu cicho Aboli. - Jeśli go zdobędziesz, zostaniesz wreszcie kapitanem, Gundwane.

Wczołgali się na górę i leżąc na grani patrzyli na rozpościerającą się niżej lagunę.

- Co to za statek, ten obok Guli? - zapytał Hal. - Nie mogę odczytać stąd jego nazwy.

- To na pewno Anglik - oznajmił z przekonaniem Aboli. - Na żadnym innym nie mocuje się w ten sposób bramrei.

- Może to Walińczyk? Ma dziób wychylony do przodu i rasową linię pokładu. Tak budują statki na zachodnim wybrzeżu.

- Możliwe, ale bez względu na to, gdzie go zbudowano, to okręt wojenny. Spójrz na te działa. Niewiele jest statków, które potrafiłyby stawić mu czoło - mruknął w zadumie Aboli.

- Jest lepszy od Guli, prawda? - zapytał Hal, przyglądając się tęsknie obcemu żaglowcowi. Aboli potrząsnął głową.

- Nie waż się nawet o nim myśleć, Gundwane. Z pewnością należy do jakiegoś uczciwego angielskiego kapitana. Jeśli położysz na nim rękę, wszyscy zostaniemy piratami. Spróbujmy lepiej szczęścia z Guli.

Przez kolejną godzinę leżeli na szczycie wzgórza, rozmawiając, snując plany i przyglądając się obu statkom i obozowisku rozbitemu wśród drzew na brzegu laguny.

- Wielkie nieba! - krzyknął nagle Hal. - To przecież Myszołów we własnej osobie! Wszędzie poznałbym tę ognistą czuprynę. - Głos drżał mu z gniewu i nienawiści. - Wchodzi na drugi statek. Widzisz, jak włazi po drabince bez żadnego pytania o zgodę, jakby ta fregata należała do niego?

- A któż to będzie przywitać go przy burcie? - mruknął Aboli. - Przysięgłbym, że znam skądś tę łysą pałę lśniąca w promieniach słońca.

- To nie może być Sam Bowles... ale to on - przyznał ze zdumieniem Hal. - Wszystko to jest bardzo dziwne, Aboli. Jak możemy się dowiedzieć, co się tutaj dzieje?

Słońce zaczęło już wędrówkę na zachód, a oni wciąż obserwowali lagunę. Hal starał się opanować wzbierającą w nim wściekłość. Tam na dole byli dwaj ludzie odpowiedzialni za straszliwą śmierć jego ojca. Przeżywał na nowo każdy moment jego agonii i nienawidził Sama Bowlesa i Myszołowa do tego stopnia, że targające nim emocje lada chwila mogły wziąć górę nad rozsądkiem. Miał ochotę machnąć na wszystko ręką, zbiec na dół i pomścić śmierć i cierpienia ojca.

Nie wolno mi tego zrobić, powtarzał sobie. Muszę myśleć o Sukeenie i o dziecku, które mi urodzi.

Aboli dotknął jego ramienia i pokazał na dół. Zmieniły się rzucane przez drzewa cienie i widzieli teraz wyraźniej obozowisko Cochran.

- Myszołów buduje jakieś fortyfikacje - stwierdził zaintrygowany Aboli. - Ale nie są oparte na żadnym planie. Każdy okop biegnie w inną stronę.

- Mimo to do ich kopania zapędził wszystkich swoich ludzi. Muszą mieć jakiś plan... - Hal nagle urwał i wybuchnął śmiechem. - Oczywiście! Po to przecież wrócił do laguny. Wciąż szuka skarbu mojego ojca.

- Ma do niego jeszcze spory kawałek drogi - zachichotał Aboli. - Być może Jiri i Matesi umyślnie wprowadzili go w błąd.

- Najświętszą Panienko, oczywiście! Ci hultaje robią z niego durnia. Cochran nie wiedział, co kupuje na targu niewolników. Płaszcząc się przed nim i tytułując lordem, w rzeczywistości wodzą go za nos. - Hal uśmiechnął się, lecz zaraz potem spoważniał. - Myślisz, że wciąż jeszcze żyją? Może Myszołów kazał ich już zamordować?



- Nie zrobi tego dopóty, dopóki uważa, że mają dla niego jakąś wartość. Ryje w ziemi, a to znaczy, że nie stracił nadziei. Moim zdaniem jeszcze żyją.

- Spróbujmy ich wypatrzeć - powiedział Hal i przez kolejną godzinę leżeli w milczeniu na szczycie wzgórza. - Zaczyna się odpływ. Fregata obraca się na cumie - stwierdził w końcu. Patrzyli, jak żaglowiec kłania się ze stateczną gracją odpływowi. - Teraz widzę nazwę na rufie, ale trudno ją przeczytać. Czy to Golden Swan, Golden Hart? Nie, chyba nie. To Golden Boughl - Piękna nazwa dla pięknego statku - stwierdził Aboli, a potem drgnął nagle i wskazał z przejęciem doły między drzewami. - Z tamtego okopu wychodzą trzej czarni mężczyźni. Czy jest wśród nich Jiri? Twoje oczy są bystrzejsze od moich.

- Wielkie nieba! To on. Tuż za nim idą Matesi i Kimatti.

- Zabierają ich do szałasu niedaleko brzegu. Tam pewnie siedzą zamknięci w nocy.

- Musimy z nimi porozmawiać, Aboli. Po zapadnięciu zmierzchu zejść na dół i spróbuję dotrzeć do ich szałas. Kiedy wschodzi księżyc?

- Godzinę po północy - odparł Aboli. - Ale nie pozwolę ci tam iść. Obiecałem coś Sukeenie. Poza tym twoja biała skóra świeci w ciemności. Pójdę sam.

Rozebrany do naga Aboli wszedł do laguny. Kiedy woda sięgnęła mu do szyi, zaczął płynąć pieskiem, bez jednego plusku, zostawiając tylko oleisty ślad za głową. Dotarłszy do drugiego brzegu, leżał przez chwilę na płyciźnie i dopiero gdy upewnił się, że plaża jest pusta, przeczołgał się szybko przez otwartą przestrzeń i przykucnął za pnem pierwszego drzewa.

Od palących się w lesie ognisk dobiegały go męskie głosy, urywki piosenek i co jakiś czas wybuch śmiechu. W świetle płomieni dostrzegł szałas, w którym uwięzieni byli niewolnicy. Zbliżając się do niego, zobaczył żarzący się lont, i dzięki temu zlokalizował wartownika, który siedział oparty plecami o drzewo i zwrócony twarzą do drzwi szałas.

Nie są zbyt ostrożni, pomyślał. Wystawili tylko jednego strażnika, który w dodatku śpi.

Ruszył na czworakach do przodu, chcąc obejść szałas, nagle jednak usłyszał czyjeś kroki i schował się szybko za pień kolejnego drzewa. W jego stronę szli wolnym krokiem dwaj marynarze Cochrana. Idąc głośno się kłócili.

- Nie popłynę z tym małym szcurem - oznajmił jeden. - Poderznąłby człowiekowi gardło dla samej zabawy.

- Podobnie jak ty, Willy MacGregor.

- Zgadza się, ale ja nie zrobiłbym tego tępym ostrzem tak jak Sam Bowles.

- Popłyniesz, z kimkolwiek każe ci popłynąć Myszołów, i koniec - stwierdził towarzysz Willy'ego i zatrzymał się przy drzewie, za którym kucał Aboli. Podniósł nogawkę

szarawarów i wysikał się hałaśliwie, celując w pień. - Nawet mając Sama Bowlesa za kapitana, będę się cieszył, kiedy stąd w końcu odpłyniemy. Dałem drapak z miłej Szkocji, żeby uciec przed kopalnią węgla, a tu znowu ryję dziury w ziemi.

Strząsnął energicznie krople moczu na ziemię i razem ze swoim towarzyszem ruszył dalej. Aboli zaczekał, aż się oddalą, i podczołgał się do tylnej ściany szałas. Gałęzie, z których go sklecono, były oblepione gliną, która w wielu miejscach podpadała. Czołgał się powoli wzdłuż ściany, sprawdzając delikatnie łodygą trawy każde pęknięcie, aż w końcu trafił na takie, które przeszył na wylot.

- Jiri! - szepnął cicho, przykładając usta do otworu. Usłyszał jakiś ruch po drugiej stronie ściany i po chwili rozległ się strwożony szept.

- Czy to ty, Aboli, czy głos jego ducha?

- Ja żyję. Poczuj, jaki mam ciepły palec. To nie jest ręka umarłego.

Szeptali ze sobą prawie przez godzinę, zanim Aboli popęzł z powrotem na plażę i niczym wydra zanurzył się w wodach laguny.

Niebo na wschodzie przybrało już kolor cytryny i dojrzałej moreli, gdy wspiał się z powrotem na wzgórze, gdzie zostawił Hala. Nie było go w jaskini, ale kiedy zaćwierkał cicho ptasim głosem, wyszedł z kordem zza pędów dzikiego wina, które zasłaniało wejście.

- Mam wiadomości - szepnął Aboli. - Choć raz bogowie okazali się łaskawi.

- Opowiadaj! - rozkazał Hal, wsuwając kord do pochwy.

Usiedli obok siebie przy wejściu do jaskini, skąd rozciągał się widok na całą lagunę, i Aboli powtórzył mu szczegółowo to, czego dowiedział się od Jiriego.

Hal jęknął cicho, gdy Aboli opisał rzeź, której ofiarą padli kapitan i marynarze Golden Bough, oraz sposób, w jaki Sam Bowles topił rannych w płytkich wodach zatoki.

- Nawet jak na Cochрана to postępek, który woła o pomstę do nieba.

- Nie wszyscy zostali zamordowani - dodał Aboli. - Jiri twierdzi, że dość duża liczba marynarzy przetrzymywana jest w głównej ładowni Golden Bough. - Hal pokiwał w zadumie głową. - Mówi także, że Myszołów powierzył dowództwo Golden Bough Samowi Bowlesowi.

- Na Boga, ten łotr wysoko zaszedł - zawołał Hal. - Ale to może nam jeszcze przynieść korzyść. Golden Bough jest teraz statkiem pirackim i możemy go opanować. Z drugiej strony niełatwo będzie zaatakować Myszołowa w jego własnym gnieździe.

Powiedziawszy to, umilkł. Aboli nie odzywał się, nie chcąc mu przeszkadzać. W końcu Hal podniósł wzrok; widać było, że podjął jakieś postanowienie.

- Przysięgam ojcu, że nie zdradzę nikomu tego, co mam teraz zamiar ci wyjawić. Ale zmieniły się okoliczności. Wiem, że by mi wybaczył. Chodź ze mną, Aboli.

Poprowadził go w dół, a potem skręcił w stronę strumienia. Odnaleźli ścieżkę udeptaną przez pawiany i zeszli po stromym zboczu na samo dno wąwozu. Tutaj Hal skręcił pod górę. Otaczające ich z obu stron skały były coraz wyższe, a ścieżka coraz bardziej stroma. Miejscami musieli wchodzić do wody, żeby obejść sterczące w górę skalne iglice. Co kilkaset jardów Hal stawał, żeby się rozejrzeć. W końcu mruknął zadowolony, widząc uschnięte drzewo. Brodząc po pas w wodzie dotarł do drugiego brzegu strumienia i zaczął się wspinać.

- Dokąd idziesz, Gundwane? - zawołał za nim Aboli.

- Chodź za mną - odparł Hal.

Aboli wzruszył ramionami i wdrapał się w ślad za nim. Parsknął śmiechem, gdy Hal podał mu rękę i pomógł stanąć na wąskiej półce, której nie było widać z dołu.

- Czuje, że gdzieś tutaj musi być jaskinia kapitana Franky'ego - stwierdził. - Myszolów zaoszczędziłby sobie mnóstwo czasu, szukając w tym miejscu zamiast kopać dziury w ziemi. Mam rację?

- Tędy - mruknął Hal i stawiając ostrożnie stopy, ruszył w bok, za plecami mając skałę, a przed sobą głęboką na sto stóp przepaść.

Po chwili dotarł do miejsca, w którym półka zrobiła się szersza i przyjrzał się uważnie głazom blokującym skalną rozpadlinę.

- Nikt nie złożył tu wizyty, nawet małpy - stwierdził z ulgą.

Odłożył kamienie na bok, a potem wsunął się do środka i wymacał w ciemności hubkę, krzesiwo i świecę, które ojciec zostawił na półce na wysokości głowy. Hubka zatliła się, kiedy po raz trzeci uderzył w krzesiwo. Zapalił ogarek świecy i podniósł go wysoko w górę.

Aboli roześmiał się, widząc skąpane w żółtym świetle worki i skrzynie.

- Jesteś prawdziwym bogaczem, Gundwane. Ale co ci przyjdzie z tego całego srebra i złota? Nie kupisz sobie za nie strawy ani statku, który je stąd zabierze.

Hal podszedł do najbliższej skrzyni i podniósł wieko. W świetle świecy załśniły złote sztaby.

- Mój ojciec zginął, żeby zostawić mi to dziedzictwo. Wolałbym być żebrakiem i oglądać go w dobrym zdrowiu. - Zatrzasnął wieko i spojrzał ponownie na Abolego. - Wbrew temu, co być może myślisz, nie przyszedłem tutaj po złoto. Przyszedłem po to - powiedział, kopiąc stojącą przed nim baryłkę z prochem. - I po to! - Wskazał ręką oparte o ścianę jaskini

muszkiety i kordy. - A także po to! - dodał, podchodząc do leżących na ziemi krążków i dźwigarów. Podniósł z ziemi zwój konopnej liny, której używał wraz z ojcem, i sprawdził jej wytrzymałość, zakładając na plecy krótki odcinek i próbując go zerwać.

- Lina jest silna i nie przegniła - stwierdził, rzucając zwój na ziemię - więc mamy tutaj wszystko, czego potrzebujemy. Aboli usiadł obok niego na skrzyni.

- Widzę, że masz plan. Zdradź mi go, Gundwane - poprosił i kiedy Hal zaczął mówić, słuchał go uważnie, z rzadka kiwając głową i wysuwając jakąś sugestię.

Tego samego ranka wyruszyli z powrotem do obozu i, przeważnie biegnąc, dotarli tam zaraz po południu. Sukeena zobaczyła, jak wspinają się pod górę, i wybiegła im na spotkanie. Hal podniósł ją wysoko i okręcił w powietrzu, lecz potem zmitygował się i postawił na ziemi z olbrzymią ostrożnością, jakby była utkana z gazy i mogła się łatwo podrzeć.

- Wybacz, potraktowałem cię niedelikatnie - mruknął.

- Jestem twoja. Możesz mnie traktować, jak ci się podoba, i będę się z tego tylko cieszyć - odparła, tuląc się do niego i obsypując pocałunkami. - Powiedz, co odkryłeś. Czy w lagunie stoi statek?

- Stoi. Wspaniały statek, ale nawet w połowie nie tak piękny jak ty.

Ponaglani przez Hala, zwinęli obóz i wyruszyli natychmiast w stronę laguny. Hal i Aboli szli przodem, sprawdzając teren. Kiedy dotarli do strumienia, Hal zszedł w dół wąwozu i zostawił tam wszystkich marynarzy, z wyjątkiem Abolego i Neda Tylera. Żaden z nich nie wiedział, że w odległości zaledwie jednego kabla znajduje się jaskinia ze skarbem.

- Zaczekajcie na mnie tutaj, mistrzu Danielu. Muszę zaprowadzić resztę ludzi w bezpieczne miejsce. Dobrze się tu ukryjcie. Wrócę po zmroku - powiedział, po czym wspiął się z pozostałą grupą po zboczu wąwozu i obszedł z nimi dookoła wzgórza.

Późnym popołudniem dotarli do piaszczystego brzegu naprzeciwko wyspy, na której niegdyś zbudowali brandery.

Hal pozwolił im tutaj trochę wypocząć. Kiedy zapadła noc, brodząc przez płytką wodę, przeszli na wyspę. Hal niósł Sukeenę na plecach. Na wyspie szybko schowali się w gęstym buszu, gdzie nie można ich było dostrzec z obozu piratów.

- Nie palcie ognisk - ostrzegł Hal. - Rozmawiajcie tylko szeptem. Zwaantie, postaraj się, żeby mały Bobby nie płakał. Nie rozchodźcie się. Na czas mojej nieobecności dowództwo obejmuje Ned Tyler. Słuchajcie jego rozkazów - oznajmił, po czym wraz z Abolim ruszył przez busz w stronę plaży, która wychodziła na lagunę.

W miejscu, gdzie budowali brandery, krzewiła się ponownie bujna roślinność. Szukając w niej po omacku, znaleźli w końcu dwa porzucone dwukadłubowce, których nie użyli do ataku na Guli, i podciągnęli je bliżej plaży.

- Myślisz, że nie pójda od razu na dno? - zapytał z powątpiewaniem Aboli.

- Ned sporo się przy nich napracował i sprawiają dość solidne wrażenie - odparł Hal. - Jeśli je rozładujemy, nie będą tak głęboko zanurzone.

Szybko wyrzucili z łodzi łatwo palne, nasączone smołą szczapy.

- Tak jest lepiej - stwierdził z zadowoleniem Hal. - Są teraz lżejsze i łatwiej będzie nimi kierować. Zostało nam jeszcze dużo do roboty przed świtem.

Ukryli z powrotem łodzie, zakrywając je gałęziami, a potem wrócili na drugi brzeg. Większość ludzi Althudy zapadła już w sen.

- Nie budź Sukeeny - poprosił Hal jej brata. - Jest wyczerpana i musi odpocząć.

- Dokąd idziecie? - zapytał Althuda.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wrócimy przed świtem.

Hal i Aboli przepawili się z powrotem na stały ląd i ruszyli biegiem do lasu. Dotarli do linii pierwszych drzew i Hal nagle się zatrzymał.

- Jest tu coś, co muszę odnaleźć - stwierdził, po czym zawrócił w stronę migoczących światełek obozu piratów.

Szedł powoli, rozglądając się bacznie dookoła, aż w końcu zatrzymał się przy pniu wysokiego drzewa.

- To tutaj.

Ostrzem korda zbadał miękką gliniastą ziemię przy korzeniach. Kiedy metal uderzył o metal, ukląkł i zaczął kopać gołymi rękoma. Po chwili podniósł do góry złoty łańcuch, który zaśnił w świetle gwiazd.

- To rycerska pieczęć twojego ojca - rozpoznał ją od razu Aboli.

- Oraz jego pierścień. A także medalion z portretem mojej matki. - Hal wstał i starł wilgotną ziemię ze szkiełka, które chroniło miniaturę. - Dopiero teraz, kiedy to odzyskałem, czuję się w pełni mężczyzną - stwierdził, chowając wszystkie skarby do skórzanej sakiewki.

- Chodźmy, zanim nas odkryją - ponaglił Aboli. Minęła już północ, kiedy zeszli z powrotem do wąwozu. Duży Daniel zawołał do nich cicho, gdy stanęli przy strumieniu.

- To ja - uspokoił go Hal i pozostali marynarze wyszli z ukrycia. - Zostańcie tutaj - rozkazał. - Ja i Aboli zaraz wrócimy.

Ruszyli obaj w górę strumienia. Hal wspinał się pierwszy i wymacał drogę do jaskini. Pracując w migotliwym świetle świecy, związali kordy w dwa pakunki po dziesięć sztuk i

ustawili je przy wyjściu. Hal opróżnił jedną ze skrzyń z jej drogocennej zawartości, rzucając lekceważąco złote sztaby w róg jaskini, i załadował do niej dwadzieścia pistoletów.

Następnie wytoczyli na wąską skalną półkę baryłki z prochem, wynieśli lonty i zamontowali żuraw. Hal zszedł na dół i cicho zagwizdał, a Aboli spuścił na linie broń i baryłki.

Była to ciężka praca, lecz potężne mięśnie Abolego czyniły ją lżejszą. Kiedy skończyli, Aboli dołączył do Hala i zaczęli przenosić cały ładunek tam, gdzie czekali na nich Duży Daniel i inni marynarze.

- Poznaję te klingi - zachichotał Daniel. Przesunął palcami po ostrzach kordów, a potem przyjrzał im się dokładniej w świetle księżyca.

- Mam tu coś, co także powinieneś poznać - powiedział Hal, dając mu do niesienia dwie ciężkie baryłki z prochem.

Zarzuciwszy na plecy tyle, ile zdołali unieść, wspinali się po zboczu, zostawiali pakunki na górze i zbiegali na dół po następne. W końcu ciężko objuczeni ruszyli przez las. Hal zboczył trochę z trasy, żeby zostawić dwie baryłki prochu, wiązkę lontów i trzy kordy w jaskini ze skalnymi malowidłami. Potem poszli dalej.

Był już ranek, gdy dołączyli do Alhudy i jego ludzi. Zjedli zimną wędzoną dziczyznę, którą przygotowały dla nich Sukeena i Zwaantie. Kiedy inni zawinęli się z powrotem w swoje futrzane okrycia, Hal wziął Sukeenę na bok i pokazał jej wielką rycerską pieczęć i medalion.

- Gdzie to znalazłeś, Gundwane?

- Ukryłem to w lesie w dniu, w którym wzięto nas do niewoli.

- Kim jest ta kobieta? - zapytała, przyglądając się portretowi.

- To Edwina Courteney, moja matka.

- Jest piękna. Masz jej oczy.

- Daj te oczy mojemu synowi.

- Postaram się. Postaram się z całego serca.

Późnym popołudniem Hal obudził swoich ludzi i przydzielił im zadania.

- Sabah, wyciągnij pistolety ze skrzyni, przeładuj je i włóż z powrotem, żeby nie zamokły. - Sabah natychmiast zabrał się do roboty - Duży Daniel pomoże mi załadować broń na łódzie. Ty, Ned, zabierzesz kobiety na plażę i pokażesz im, jak mają zwodować drugą łódź, kiedy nadejdzie czas. Muszą zostawić wszystko na brzegu. Nie będzie miejsca ani czasu, żeby dbać o dodatkowy bagaż.

- Nie będzie miejsca nawet na moje torby? - zapytała Sukeena. Hal wahał się przez chwilę, a potem kiwnął stanowczo głową.



- Nawet na twoje torby - odparł.

Sukeena nie protestowała, spojrzała tylko na niego skromnie spod rzęs, po czym razem z Zwaantie, która niosła na plecach małego Bobby'ego, ruszyła w ślad za Nedom.

- Chodź ze mną, Aboli - powiedział Hal i zaprowadził go na sam koniec wyspy.

Przeszedłszy kilkadziesiąt ostatnich jardów na czworakach, położyli się na brzegu, skąd widać było obóz piratów i wyciągnięte na plażę szalupy Guli of Moray i Golden Bough.

Leżąc na ziemi, Hal przedstawił szczegóły i drobne modyfikacje pierwotnego planu. Od czasu do czasu Aboli kiwał wytatuowaną głową.

- To dobry i prosty plan - oznajmił w końcu. - Jeśli bogowie nam sprzyjają, powinien się powieść.

W zachodzącym słońcu obserwowali dwa zakotwiczone w lagunie statki i trwającą na plaży krzątaninę. Kiedy zrobiło się ciemniej, marynarze, którzy kopali przez cały dzień doły w ziemi, zakończyli pracę. Część zeszła na brzeg, żeby wykapać się w lagunie, inni popłynęli łodziami na Guli of Moray.

Dym z ognisk, przy których przygotowywano posiłek, wił się nad drzewami i snuł błękitną mgiełką po wodzie. Hal i Aboli czuli zapach pieczonej ryby. Dźwięki niosły się wyraźnie po gładkiej toni. Słyszeli męskie głosy, a czasami rozróżniali nawet poszczególne słowa, głośne przekleństwo albo hałaśliwą kłótnię. Dwukrotnie Hal był przekonany, że rozpoznał głos Myszołowa, ale nie zdołał go zobaczyć.

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, od burty Golden Bough odbiła szalupa, kierując się w stronę plaży.

- Na rufie stoi Sam Bowles - stwierdził Hal. W jego głosie brzmiała nienawiść.

- Kapitan Bowles, jeśli prawdą jest to, co powiedział Jiri - poprawił go Aboli.

- Niedługo zaczynamy - oznajmił Hal, gdy sylwetki stojących na kotwicy statków stopniowo zlewały się z ciemną plamą lasu. - Wiesz, co masz robić, i niech Bóg ma cię w swojej opiece, Aboli - dodał, ściskając go za ramię.

- Ciebie również, Gundwane.

Murzyn podniósł się i wszedł do wody. Płynąc bezszelestnie przez lagunę, zostawiał za sobą słaby fosforyzujący ślad na ciemnej tafli wody.

Hal wrócił przez busz do miejsca, w którym przy topornych branderach czekała na niego reszta ludzi. Poleciał im usiąść w ciasnym kręgu i przez jakiś czas przemawiał do nich półgłosem. Potem kazał każdemu powtórzyć otrzymane rozkazy, poprawiając go, kiedy się pomylił.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać, aż Aboli zrobi to, co do niego należy - stwierdził na koniec.

Aboli dopłynął do stałego lądu, wyszedł szybko na brzeg i pobiegł cicho przez las. Ciepła bryza osuszyła jego ciało, nim dotarł do jaskini ze skalnymi malowidłami.

Wślizgnąwszy się do środka, ukucnął przy baryłkach z prochem i zgodnie z instrukcjami Hala uciął z długiego lontu dwa kawałki. Jeden był długi tylko na sążęń, drugi miał ponad trzydzieści stóp. Pierwszy mógł tlić się przez dziesięć minut, drugi trzy razy dłużej, dokładnego czasu nie sposób było jednak wyliczyć.

Pracował szybko i kiedy wszystko było gotowe, przywiązał sobie trzy kordy do pleców, zarzucił jedną baryłkę prochu na lewe, drugą na prawe ramię i wypelzł z jaskini. Podkradając się poprzedniej nocy do chaty, w której trzymano Jiriego i innych niewolników, zauważył, że ludzie Myszołowa zgnuśniali. Spędzone w obozowisku długie miesiące, w trakcie których nie wydarzyło się nic ciekawego, uspiły ich czujność. Wartownikom zdarzało się spać na służbie. Mimo to zachowywał skrajną ostrożność.

Znajdował się tak blisko obozowiska, że widział wyraźnie twarze siedzących przy ogniskach mężczyzn. Wielu z nich poznawał, nie zobaczył jednak nigdzie Cochрана ani Sama Bowlesa. Zostawił jedną baryłkę najbliżej jak mógł obozu, w kępie zarośli, i nie zapalając lontu, pobiegł do jednego z dołów, które ludzie Myszołowa wykopali, szukając skarbu.

Położył drugą baryłkę, tę z dłuższym lontem, na skraju wykopu i przysypał ją piaskiem i ziemią. A potem rozwijając lont zszedł z nim na dół, zasłonił krzesiwo i krzemień własnym ciałem, żeby widok iskier nie zaalarmował piratów, i zapalił dodatkowy, trzeci lont. Kiedy zaczął się równo tlić, zapalił od niego najpierw dłuższy, a potem, wróciwszy do pierwszej baryłki, krótszy lont.

„Po pierwszym wybuchu rzucą się do ucieczki - wyjaśnił mu Hal. - Druga baryłka wybuchnie im prosto w twarz”.

Wciąż dźwigając na plecach trzy kordy, Aboli oddalił się najszybciej, jak mógł, od obozowiska. Istniała zawsze możliwość, że iskra przeskoczy szybciej do przodu i któraś z beczek wybuchnie przed czasem. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, zwolnił i po chwili znalazł ścieżkę, która prowadziła w stronę plaży. Dwukrotnie musiał z niej zbaczać, gdy z mroku wyłoniły się sylwetki marynarzy. Raz nie zdążył tego zrobić, nie stracił jednak rezonu i mruknął „dobranoc” do mijającego go pirata.

Rozpoznał glinianą chatę i podczołgał się do tylnej ściany. Jiri odpowiedział natychmiast na jego szept.

- Jesteśmy gotowi, bracie.

W jego szorstkim męskim głosie nie słychać już było uniżonego tonu niewolnika. Aboli położył na ziemi przeznaczone dla nich kordy, przeciął własną bronią spinający je sznurek i gdy z dziury w ścianie wynurzyła się ręka Jiriego, podał je po kolei do środka - Zaczekajcie, aż wybuchnie pierwsza baryłka - przypomniał mu, a potem wyjrzał zza rogu chaty.

Strażnik siedział w swojej normalnej pozycji naprzeciw drzwi. Tym razem nie spał: palił glinianą fajkę z drugim cybuchem. Kiedy się zaciągnął, Aboli zobaczył żarzący się w lulce tytoń.

Czas włókł się niemiłosiernie wolno i Aboli zaczął się obawiać, że lont przy pierwszej baryłce nie dopalił się do końca. Postanowił pójść sprawdzić. Już wstawał, gdy powietrzem targnął huk wybuchu.

Eksplozja połamała gałęzie drzew i porwała w górę płonący popiół i iskry z obozowych ognisk. Fala powietrza uderzyła w glinianą chatę, przewracając połowę frontowej ściany i zrywając słomiana strzechę. Strażnika pilnującego drzwi rzuciło do tyłu. Leżąc na plecach, próbował wstać, przeszkadzał mu w tym jednak jego wielki brzuch. Aboli postawił stopę na jego piersi, przygważdżając do ziemi, po czym dźgnął go kordem i poczuł, jak rękojeść drży mu w dłoni, gdy ostrze przecięło szyję. Ciało strażnika zadygotało i legło w bezruchu. Aboli zeskoczył z niego i złapał za powróż przymocowany do topornych drzwi. Trzej mężczyźni w środku pchnęli je mocno od środka i drzwi otworzyły się na oścież.

- Za mną, bracia! - zawołał Aboli, prowadząc ich na plażę. W obozie zapanował kompletny chaos. Ludzie zderzali się ze sobą w ciemnościach, wydawali rozkazy i klęli.

- Do broni! Ktoś nas zaatakował!

- Do mnie! - usłyszeli ryk Myszołowa. - Zaraz damy im łupnia, chłopcy!

- Petey! Gdzie jesteś, kochany? - zawodził jeden z rannych, wzywając swego przyjaciela. - Zabili mnie! Chodź do mnie, Petey.

Od płonących żagwi zapaliły się zarośla i płomienie zaczęły ogarniać las, iluminując w piekielny sposób całe obozowisko. Biegający w kółko ludzie rzucali monstrualne cienie. Ktoś wypalił z muszkietu i natychmiast rozpętała się dzika kanonada. Ogarnięci paniką piraci strzelali do własnych cieni i do siebie nawzajem. Fruwające w powietrzu kule zbierały obfite żniwo i co chwila słychać było krzyki i jęki rannych.

- Sukinsyny są w lesie za nami! - rozległ się ponownie głos Myszołowa. - Za mną, moje zuchy!

Na jego wezwanie poderwali się marynarze, którzy stacjonowali na plaży. Biegąc do obozu, trafili prosto na kule swych nerwowych kamratów schowanych za drzewami i odpowiedzieli na nie ogniem.

Kiedy Aboli i jego towarzysze wybiegli na plażę, przy wyciągniętych na brzeg łodziach nie było nikogo.

- Gdzie są narzędzia? - zapytał Jiriego.

- W tej szopie.

Łopaty, siekiery i ciężkie żelazne drągi leżały w otwartej przybudówce. Aboli schował do pochwy kord i złapał jeden z drągów. Pozostali poszli za jego przykładem i wrócili biegiem na brzeg.

Kilkoma potężnymi uderzeniami wybili dziury w drewnianych dnach wszystkich łodzi z wyjątkiem jednej.

- Szybciej! Nie traćcie więcej czasu!

Popędzani przez Abolego rzucili narzędzia na ziemię, spuścili na wodę nie zniszczoną łódź, złapali za wiosła i ruszyli w stronę fregaty, której sylwetka wyłaniała się z mroku, oświetlona trawiącymi las płomieniami.

Od brzegu dzieliło ich tylko kilka pociągnięć wiosła, gdy z zagajnika wypadła cizba piratów.

- Zatrzymajcie się! Wracajcie! - wrzasnął któryś.

- To te czarne mały! Ukradły jedną z naszych łodzi!

- Nie pozwólcie im odpłynąć!

Ktoś strzelił z muszkietu i kula zaświstała nad głowami wiosłarzy. Natychmiast pochyłili się i zwiększyli tempo, wiosłując z całej siły. Po chwili strzelali do nich prawie wszyscy; kule wbijały się z głuchym odgłosem w deski albo wpadały do laguny, ochlapując ich wodą.

Część piratów skoczyła do stojących na brzegu łodzi i puściła się w pogoń, prawie natychmiast jednak rozległy się okrzyki przerażenia. Przez dziury w deskach wlewała się woda. Niewielu umiało pływać i kiedy szalupy poszły na dno, gniewne wrzaski zmieniły się w żalose błagania o pomoc.

W tym momencie obozem wstrząsnął drugi wybuch. Okazał się jeszcze bardziej morderczy od pierwszego, gdyż, wykonując rozkazy Myszołowa, piraci biegli prosto w stronę dołu, przy którym była ukryta baryłka.

- To ich na jakiś czas zaabsorbuje - mruknął Aboli. - Płyńcie do fregaty, chłopcy, i zostawcie Myszołowa jego kumowi, diabłu.

Hal spuścił brander na wodę, nie czekając na pierwszy wybuch. Mężczyźni przeciągnęli szybko łódź po plaży. Bez ładunku była o wiele lżejsza. Wrzucili do środka kordy i skrzynię z załadowanymi pistoletami, po czym zostawili przy brzegu Sabaha i pobiegli po następny brander.

Tym razem, gdy ciągnęli łódź po piasku, towarzyszyły im kobiety. Duży Daniel trzymał małego Bobby'ego i podał go Zwaantie, kiedy usadowiła się bezpiecznie w środku. Hal wziął na ręce Sukeenę, posadził ją delikatnie na rufie i po raz ostatni ucałował.

- Trzymajcie się w bezpiecznej odległości, dopóki nie zdobędziemy statku. Słuchajcie Neda. On wie, co robić - powiedział, po czym podbiegł do pierwszej łodzi.

Czekali tam na niego Duży Daniel, a wraz z nim dwa ptaszki, Sparrow i Finch, oraz Althuda i Sabah. Jeśli mieli zamiar opanować fregatę, nikt nie mógł uchylać się od walki.

Zepchnęli łódź na głębszą wodę i gdy pod stopami zabrakło im gruntu, zaczęli płynąć, kierując ją w stronę żaglowca stojącego na kotwicy. Wkrótce miał się zacząć odpływ; korzystając z niego mogli przeprowadzić Golden Bough między skalnymi cyplami.

Najpierw jednak musimy ją zdobyć, pomyślał Hal, zaciskając palce na burcie i pracując silnie nogami.

- Zatrzymajcie się - szepnął, gdy znaleźli się w odległości jednego kabla od Golden Bough. - Nie powinniśmy się tam zjawić przed czasem.

Przestali płynąć i trzymali się łodzi dryfującej z prądem. Noc była cicha, tak cicha, że słyszeli głosy rozmawiających na plaży ludzi i leniwe skrzywienie takielunku. Gołe maszty fregaty stojącej na kotwicy obracały się prawie niedostrzegalnie w blasku gwiazd.

- Może Aboli wpadł w opałę - mruknął w końcu Duży Daniel. - Może będziemy musieli zaatakować bez jego pomocy.

- Zaczekaj! - odparł Hal. - Aboli na pewno nas nie zawiedzie.

Zanurzeni w wodzie, nerwy mieli napięte jak postronki. Nagle usłyszeli za sobą cichy plusk i Hal odwrócił głowę. Od strony wyspy zbliżała się do nich druga łódź.

- Ned jest nadgorliwy - mruknął Duży Daniel.

- Wykonuje tylko moje rozkazy. Ale nie wolno mu nas wyprzedzić.

- Jak możemy go zatrzymać?

- Muszę do niego popłynąć - odpowiedział Hal, po czym puścił burtę i nie zostawiając prawie żadnego śladu na powierzchni wody, ruszył wplaw do drugiej łodzi. - Ned! - zawołał cicho, znalazłszy się tuż przy niej.

- Słucham, kapitanie.

- Zaszło małe opóźnienie. Zaczekaj tutaj i nie wyprzedzaj nas. Jak usłyszysz pierwszy wybuch, podpłyn do fregaty i przycumuj do jej liny kotwicznej.

- Rozkaz, kapitanie.

Spoglądając na czarny kadłub brandera, Hal ujrzał wychyloną ku niemu postać. W świetle gwiazd zaśniła złota jak miód skóra Sukeeny. Wiedział, że jeśli się do niej odezwie albo podpłynie bliżej, przestanie racjonalnie myśleć - miłość zgasi płonąca w jego żyłach wolę walki. Odwrócił się i popłynął z powrotem do swojej łodzi.

Kiedy podniósł rękę, żeby złapać się burty, ciszę nocy rozdarł potężny grzmot i przez lagunę przetoczyło się odbite od wzgórz echo. Z ciemnego lasu strzeliły w niebo wysokie płomienie i na krótki moment zrobiło się jasno jak w dzień. Hal zobaczył każdą linę i drzewce fregaty, nie dostrzegł jednak na jej pokładzie żadnego śladu ludzkiej obecności.

- Teraz wszyscy razem, chłopcy - powiedział i ze zdwojoną energią ruszyli do przodu.

Pokonanie jednego kabla zajęło im kilka minut. W tym czasie noc zmieniała się nie do poznania. Słyszeli dobiegające z plaży krzyki i strzały z muszkietów. W wodzie wokół nich odbijały się płomienie i Hal obawiał się, że w ich świetle dostrzeże ich ktoś z pokładu fregaty.

Poczuł się o wiele lepiej, gdy znaleźli się w cieniu rzucanym przez wysoki kasztel. Oglądając się za siebie, zobaczył, że druga łódź jest całkiem niedaleko. Na jego oczach dopłynęła do zwisającej z fregaty liny kotwicznej. Sukeena stanęła na dziobie i złapała grubą powróż. Hal odetchnął z ulgą. Ned Tyler miał rozkaz zostać wraz z kobietami w bezpiecznym miejscu, póki nie opanują pokładu Golden Bough.

Ucieszył się widząc, że do burty żaglowca przycumowana jest mała łódź. Z pokładu fregaty spuszczone do niej sznurową drabinę. Na szczęście nikt po niej nie schodził i nie widać było, żeby ktoś stał przy relingu. Słyszał jednak dobiegające z góry stłumione głosy. Załoga musiała tłoczyć się przy drugiej burcie, obserwując z konsternacją i niepokojem pożar, błyski wystrzałów i biegających w kółko ludzi.

Pokonali ostatnie kilka stóp i brander uderzył cicho w kadłub pustej łodzi. Hal natychmiast wynurzył się z wody i nie czekając na innych, wspinał się po sznurowej drabince na górę.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, cała załoga obserwowała to, co działo się na brzegu. Zaskoczyła go jednak liczba piratów; wydawało mu się, że jest ich chyba pięćdziesięciu. W momencie gdy Hal szykował się do wejścia na pokład, w lesie nastąpił kolejny potężny wybuch.

- Na Boga, widzisz, co się tam dzieje? - zawołał jeden z piratów.

- To regularna bitwa.



- Nasi kamraci są w opałach. Potrzebują naszej pomocy.
- Nie jestem im nic winien. Mogą na mnie nie liczyć.
- Shamus ma rację. Niech Myszołów sam toczy swoje bitwy.

Hal wspiał się na pokład, przebiegł kilka kroków i schował się za przednim kasztelem. Kucając tam, rozejrzał się dookoła. Jiri powiedział Abolemu, że lojalni marynarze Golden Bough zamknięci są w głównej ładowni. Ale zrębica luku znajdowała się w zbyt widocznym miejscu.

Zerknął do tyłu i ujrzał pojawiającą się nad burta głowę Dużego Daniela. Nie mógł już dłużej czekać. Wskoczył zza kasztelu, podbiegł do luku i ukląkł za jego obramowaniem. Tuż obok leżał drewniany młotek, ale nie śmiał wybić nim klinów blokujących klapę. Piraci natychmiast by go usłyszeli i dopadli.

Zapukał lekko w deski rękojeścią kordu.

- Ahoj, Golden Bough - odezwał się półgłosem. - Słyszycie mnie?
- Słyszemy cię - odezwał się natychmiast stłumiony głos spod pokrywy. - Kim jesteś?
- Uczciwym Anglikiem, który przybył was uwolnić. Czy chcecie walczyć z nami przeciwko Cochranowi?

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, uczciwy Angliku. Błagamy, żebyś dał nam zakosztować jego parszywej krwi.

Hal obejrzał się za siebie. Duży Daniel zabrał ze sobą kilka kordów, kolejne wnosili na górę Wally Finch i Stan Sparrow. Althuda niósł skrzynię z załadowanymi pistoletami. Postawił ją na pokładzie i otworzył wieko. Broń wydawała się na pierwszy rzut oka sucha i gotowa do strzału.

- Mamy dla was broń - szepnął Hal. - Pomóżcie mi otworzyć klapę, kiedy wybije kliny, a potem wyskakujcie na pokład i walczcie jak teriery. Ale powtarzajcie głośno nazwę waszego statku, byśmy mogli się nawzajem rozpoznać.

Dał głową znak Danielowi i wziął do ręki ciężki młotek. Duży Daniel złapał za skraj pokrywy i z całej siły podciągnął ją do góry. Hal opuścił w dół młotek i wybił pierwszy klin, który potoczył się ze stukiem po pokładzie. Po kolejnych dwóch siarczystych uderzeniach młotka ustąpiły pozostałe. Ciągnięta przez Dużego Daniela i podważana od spodu pokrywa luku otworzyła się z hukiem i więźniowie wyroili się na zewnątrz niczym wściekłe osy.

Słyszając za sobą nagły zgiełk, ludzie Sama Bowlesa odwrócili się i stanęli jak wryci. Dłuższą chwilę trwało, nim uprzytomnili sobie, że statek został zaatakowany, a więźniowie wydostali się na wolność. W tym czasie Hal i Duży Daniel złapali kordy i stanęli przed nimi na oświetlonym płomieniami pokładzie.

Za ich plecami Althuda gorączkowo krzesił ogień, żeby zapalić lonty w zamkach pistoletów, a Wally i Stan rzucali kordy wyskakującym z ładowni marynarzom Golden Bough.

Prowadzeni przez Sama Bowlesa, piraci rzucili się z dzikim wrzaskiem do ataku. Pod ich naporem Hal i Daniel zaczęli się powoli cofać. Stał dzwoniła i zgrzytała o stal, gdy ustępowali pola, lecz udało im się zatrzymać piratów do chwili, kiedy do walki włączyli się marynarze Golden Bough.

Po minucie na pokładzie roilo się od walczących mężczyzn, którzy tylko po wojennych zawołaniach odróżniali wroga od świeżo zyskanego sojusznika.

- Cochran lord Cumbrae! - wrzeszczała załoga Sama Bowlesa.

- Sir Hal i Golden Bough! - odpowiadali na to ludzie Hala.

Uwolnieni marynarze pałali żądzą zemsty nie tylko za to, że wtrącono ich do ładowni, lecz za masakrę swoich oficerów i zatopienie rannych towarzyszy. Hal i jego ludzie mieli tysiącrotnie silniejsze powody do gniewu i o wiele dłużej czekali, by wyrównać rachunki.

Ludzie Bowlesa walczyli jak osaczone zwierzęta. Wiedzieli, że nie doczekają się pomocy od swoich towarzyszy na brzegu. Nie mogli także liczyć na łaskę i miłosierdzie ze strony atakujących mścicieli.

Liczebnie siły obu stron okazały się wyrównane, ale uwolnieni marynarze byli chyba osłabieni długim pobytem w ciemnej i dusznej ładowni. Walcząc w pierwszej linii, Hal zdał sobie sprawę, że szala zwycięstwa przechyla się na korzyść przeciwnika. Jego ludzie coraz bardziej ustępowali pola, cofając się na dziób.

Kątem oka zauważył, że Sabah rzuca na pokład swój kord i ucieka w stronę luku, chcąc ukryć się pod pokładem. Miał ochotę go za to zabić. Czasami wystarczy jeden tchórz, żeby wywołać panikę. Ale Sabah nie zdołał nawet dobiec do luku. Wysoki pirat z czarną brodą dźgnął go w krzyż tak głęboko, że szpada wyszła z drugiej strony przez pępek.

Może uratowałyby go kolejna godzina ćwiczeń, pomyślał Hal, zaraz potem musiał jednak skupić całą uwagę na czterech piratach, którzy osaczyli go ze wszystkich stron, wyjąc jak hieny dopadające swojej zakrwawionej ofiary.

Zabił pierwszego, trafiając go prosto w serce pod podniesionym ramieniem, i rozbroił drugiego szybkim cięciem, które zerwało napięte ścięgna nadgarstka. Ranny wypuścił szpadę z ręki, po czym przebiegł z krzykiem przez pokład i wyskoczył za burtę. Dwaj pozostali piraci cofnęli się wystraszeni. Korzystając z chwili wytchnienia, Hal rozejrzał się za Samem Bowlesem.

Zobaczył, jak chowa się z tyłu, w bezpiecznej odległości od walczących, wykrzykując rozkazy i groźby z wykrzywioną ze złości lisią twarzą.

- Widzę cię, Bowles! - zawołał. Sam spojrzał na niego ponad głowami rozdzielających ich ludzi i w jego bladych, blisko osadzonych oczach pojawiło się przerażenie. - Zaraz cię dopadnę! - ryknął Hal, ruszając naprzód, lecz drogę zagroziło mu trzech mężczyzn. W ciągu kilku sekund, które zajęło mu ich odparcie, Sam zdołał skoczyć w bok i ukrył się gdzieś w tłumie.

Piraci opadli teraz Hala niczym szakale lwa. Przez chwilę walczył tuż obok Daniela i zobaczył ze zdumieniem, że jego wielki towarzysz jest ranny w kilkunastu miejscach. A potem poczuł, że rękojeść jego kordu jest lepka, jakby zaczerpnął palcami miód ze słoika, i zdał sobie sprawę, że to nie miód, lecz jego własna krew. On też był ranny, lecz w bitewnym ferworze w ogóle nie czuł bólu i walczył dalej.

- Uważaj, sir Henry! - ryknął nagle Duży Daniel. - Bowles jest na rufie!

Hal odskoczył dwa kroki od przeciwnika i obejrzał się do tyłu. Ostrzeżenie Daniela nadeszło w samą porę.

Sam Bowles stał na górującym nad pokładem tylnym kasztelu. Spomiędzy słupków balustrady wystawała lufa odlanej z brązu ciężkiej hakownicy. Sam trzymał w ręku zapalony lont. Zauważył Hala w cizbie walczących i hakownica wycelowana była prosto w niego. Przytknął lont do panewki.

Zanim broń wypaliła, Hal złapał stojącego przed nim pirata i podniósł go do góry jak tarczę. Mężczyzna wrzasnął zaskoczony i w tej samej chwili grad ołowianych kul zasypał pokład. Trafione kilkoma ciężkimi pociskami ciało mężczyzny podskoczyło do góry. Skonał, zanim jeszcze Hal rzucił go na pokład.

Strzał poczynił jednak straszliwe spustoszenia wśród marynarzy Golden Bough, którzy walczyli blisko Hala. Trzech legło na pokładzie, a kolejni trzej zostali ranni i z trudem trzymali się na nogach.

Piraci zorientowali się, że strzał z hakownicy przechylił szalę zwycięstwa na ich korzyść, i ponaglani krzykami Sama, rzucili się hurmą na przeciwników. Niczym przerwana tama ludzie Hala zaczęli ustępować pola. Tylko sekundy dzieliły ich od totalnej klęski, gdy nagle nad burtą za plecami piratów pojawiła się wielka wytatuowana czarna twarz.

Aboli wydał z siebie ryk, od którego wszyscy zastygli w miejscu. Wskoczył na pokład, a tuż za nim pojawiło się kolejnych trzech wojowników, każdy z kordem w ręku. Zabili pięciu ludzi, zanim piraci zebrali siły do odparcia tego niespodziewanego ataku.

W walczących obok Hala marynarzy wstąpił nowy duch; zachęceni jego ochrypłymi krzykami, ruszyli ponownie pod wodzą Dużego Daniela do boju. Wzięci w dwa ognie piraci rzucili się do ucieczki. Ci, którzy nie umieli pływać, biegli do luków, żeby schronić się pod pokładem, inni wyskakiwali za burzę.

Walka się skończyła; fregata należała do Hala Courteneya.

- Gdzie jest Sam Bowles? - zawołał do Daniela.

- Widziałem, jak uciekł pod pokład.

Hal walczył przez chwilę z pokusą, żeby za nim pobiec i natychmiast pomścić śmierć ojca, potem jednak przypomniał sobie o ciężących na nim obowiązkach.

- Zajmiemy się nim później - oświadczył, po czym zajął przeznaczone dla kapitana miejsce na rufie i przyjrzał się swojemu statkowi. Niektórzy z jego ludzi strzelali z pistoletów do płynących do brzegu piratów. - Skończcie z tym! - krzyknął do nich. - Przygotujcie żaglowiec do wyjścia w morze. Myszołów może nas w każdej chwili zaatakować.

Nawet obcy marynarze, których uwolnił z ładowni, rozpoznali w głosie Hala władczy ton i stanęli na stanowiskach, gotowi wykonywać jego rozkazy.

- Aboli, mistrzu Danielu, sprowadźcie na pokład kobiety. Jak najszybciej - dodał cichszym tonem Hal i kiedy pobiegli do burty, poświęcił całą swoją uwagę fregacie.

Kilku marynarzy zdążyło się już wspiąć na wanty, a grupa innych stanęła przy kabestanie, żeby podnieść kotwicę.

- Nie mamy na to czasu - zawołał Hal. - Przetnijcie linę kotwiczną toporem.

Usłyszał, jak ostrze topora rozcina deski na dziobie, i poczuł, jak statek odpada od wiatru. Aboli wnosił już na pokład Sukeenę. Tuż za nim pojawił się Duży Daniel, niosąc na jednej ręce zapłakanego Bobby'ego, a na drugiej Zwaantie.

Wysoko nad głową Hala zakwitł grotżagiel. Przez chwilę łopotał leniwie na wietrze, a potem wypełnił się lekką bryzą. Hal odwrócił się i serce urosło mu w piersi, gdy zobaczył, że Ned Tyler stoi już przy sterze.

- Pełnym bejdewindem, panie Tyler - powiedział.

- Pełnym bejdewindem, kapitanie.

- Kurs na kanał.

- Rozkaz, kapitanie.

Ned nie mógł opanować uśmiechu i Hal również wyszczerzył »?by.

- Jak ci się widzi ten statek, panie Tyler? - zapytał.

- Widzi mi się dość dobrze - odparł Ned i zaświeciły mu się oczy, Hal wziął do ręki wiszącą na kołku tubę i celując nią w niebo kazał postawić marsy. Czuł, jak żaglowiec zadrżał pod jego stopami i poderwał się do lotu.

- Och, jak słodko... - szepnął. - Jest ptakiem i umiłował go wiatr. Sukeena klęczała już przy jednym z rannych.

- Powiedziałem ci chyba, żebyś zostawiła te torby na brzegu? - zapytał, podchodząc do niej.

- Owszem, mój panie - odparła, słodko się do niego uśmiechając. - Ale wiedziałam, że żartujesz. - Nagle na jej twarzy ukazał się niepokój. - Jesteś ranny - zawołała, zrywając się na nogi. - Pozwól, że cię opatrzę.

- Jestem draśnięty, nie ranny. Temu człowiekowi bardziej ode mnie jest potrzebna twoja opieka.

Hal odwrócił się od niej, podszedł do burty i spojrzał na plażę. Pożar objął dużą część lasu i na brzegu było jasno jak w dzień. Widział dokładnie ludzi tłoczących się nad wodą. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że sprzątnięto im statek sprzed nosa, i podskakiwali z frustracji i bezsilnej złości.

Rozpoznał na ich czele potężną sylwetkę Cochрана, który wymachiwał swoim szkockim mieczem. Gębę miał spuchniętą z wściekłości i wydawało się, że zaraz pęknie niczym przejrzały pomidor. Hal śmiał się z niego w żywe oczy i to wprawiało go w jeszcze większą furję. Jego tubalny głos przebił się przez wrzaski innych.

- Nie ma morza ani oceanu dość szerokiego, byś zdołał się przede mną ukryć, Courteney. Odnajdę cię, choćby miało mi to zająć pięćdziesiąt lat.

A potem Hal rozpoznał mężczyznę, który stał nieco wyżej na plaży, i śmiech zgasł mu na ustach. Z początku nie wierzył własnym oczom, ale płomienie oświetliły go tak wyraźnie, że nie mogło być mowy o błędzie. W przeciwieństwie do miotającego się Myszołowa, Cornelius Schreuder stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, mierząc Hala chłodnym wzrokiem, który do głębi zmroził jego serce. Ich oczy spotkały się i miał wrażenie, że stają do kolejnego pojedynku.

Golden Bough przechyliła się lekko; jej żagle wypełnił mocniejszy podmuch wiatru i woda zagulgotała pod dziobem niczym wesoly malec. Pokład zadrżał i zaczęli się oddalać od brzegu. Hal poświęcił całą uwagę prowadzeniu statku, przygotowując go do niebezpiecznego przejścia między cyplami. Dopiero po kilku minutach mógł ponownie spojrzeć na plażę.

Zostali na niej tylko dwaj mężczyźni. Dwaj mężczyźni, których nienawdził najbardziej na świecie, dwaj jego zagorzali wrogowie. Myszołów wlaź po pas w wodę, jakby

coś go do niego przyciągało. Schreuder stał w tym samym miejscu co poprzednio. Jego gadzi bezruch był tak samo złowrogi jak dzikie podrygi Cochrana.

- Nadejdzie dzień, kiedy będziesz musiał zabić ich obu - odezwał się obok niego głęboki bas i Hal odwrócił się do Abolego.

- Marzę o tym dniu - odparł.

Pod stopami czuł pierwsze uderzenia fal. Blask płomieni osłabił jego wzrok i przed sobą widział tylko ciemność. Musiał po omacku przeprowadzić Golden Bough przez zdradziecki kanał.

- Zgaście latarnie - rozkazał. Ich słabe światło tylko go osłepiało i tak nie przebijając mroku.

- Rumb na lewą burtę! - wydał cicho komendę Nedowi Tylerowi.

- Rumb na lewą burtę!

- Wstrzymywać sterem!

Wyczuwał raczej, niż widział majaczący przed nimi klif i słyszał fale łamiące się na rafie. Ustalał kurs na podstawie odgłosów morza, ruchu kadłuba i tchnienia wiatru, który głaskał jego pierś.

Po niedawnym zgiełku i strzelaniu na statku zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy marynarze na pokładzie wiedzieli, że Hal prowadzi ich przeciw odwiecznemu wrogowi, o wiele groźniejszemu od Myszołowa i jakiegokolwiek żyjącej istoty.

- Ustawcie ostrzej do wiatru grot i bezan - zawołał do ludzi na wantach. - Przygotujcie się do postawienia bramsli.

Prawie namacalna trwoga zaległa na Golden Bough. Znaleźli się na łasce odpływu i nie było sposobu, żeby zatrzymać statek, który sunął w stronę niewidocznych skał.

Nadszedł odpowiedni moment. Hal poczuł, jak o dziób uderza odbita od rafy fala. Zmienił się także kierunek wiatru.

- W prawo ster! - zawołał ostro. - Prawo na burtę! Postawić bramsle!

Golden Bough obróciła się i jej bramsle zatrzepotały na wietrze niczym skrzydła sępa wietrzącego padlinę. Statek pomknął w ciemność i wszyscy ludzie na pokładzie skulili się, czekając na potworny trzask rozdzieranego przez rafę kadłuba.

Hal podszedł do burty i spojrział na niebo. Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Zobaczył zarys cypla; wysoko nad głową, tam gdzie skalny masyw zasłonił gwiazdy.

- Środek ster! - rozkazał. - Tak trzymać, panie Tyler!



Serce biło mu w rytmie huczącego tuż obok przyboju. Zaciśnął pięści po bokach, bojąc się, że lada moment wpadną na rafę. Zamiast tego poczuł pod stopami kołysanie otwartego morza, które Golden Bough powitała z pasją prawdziwej kochanki.

- Ustawcie ostrzej bramsle! - zawołał głośno, żeby jego polecenie dotarło do tych na górze. Żagle przestały łopotać i usłyszał ponownie śpiew napiętego płótna.

Golden Bough wspięła się na pierwszą nadpływającą falę oceanu. Przez chwilę nikt nie wierzył, że Hal przeprowadził ich przez kipieli w bezpieczne miejsce.

- Zapalcie latarnie - powiedział cicho. - Panie Tyler, proszę wziąć kurs na południe. Musimy odejść od lądu.

Przez chwilę trwała cisza, a potem rozległ się radosny okrzyk z rei grotmasztu.

- Bóg ci sprzyja, kapitanie! Wyszliśmy na morze!

- Niech żyje kapitan Hal i Golden Bough - odpowiedzieli inni.

Wiwatowali na jego cześć, aż rozboleły ich gardła. Hal słyszał, jak jego imię wykrzykują również obce głosy. Marynarze, których uwolnił z ładowni, pozdrawiali go tak samo głośno jak inni.

Poczuł, jak w jego dłoń wsuwa się drobna i ciepła dłoń Sukeeny i zobaczył obok siebie jej twarz rozjaśnioną światłem latarni wiszącej przy kompasie.

- Już teraz kochają cię prawie tak samo mocno jak ja. Nie zejdziesz na dół, żebyś mogła opatrzyć twoje rany? - zapytała, pociągając go lekko za rękę.

On jednak nie miał na razie ochoty zejść ze stanowiska. Chciał nacieszyć się dłużej swoim nowym statkiem i odgłosami morza. Stał razem z Sukeeną na rufie sunącego przez noc żaglowca i gwiazdy świeciły na nich z wysokości.

W końcu pojawił się Duży Daniel, ciągnąc za sobą jakąś nędzną kreaturę. Z początku Hal nie poznał, kto to taki. Dopiero gdy usłyszał znajome płaczliwe zawodzenie, z nienawiści przeszły go ciarki i zjeżyły się włosy na karku.

- Błagam cię, słodki sir Henry, ulituj się nad swoim starym kompanem!

- Sam Bowles. - Hal starał się nie podnosić głosu. - Masz na swoim sumieniu tyle niewinnej krwi, że mogłaby po niej pożeglować fregata.

- Jesteś wobec mnie niesprawiedliwy, dobry sir Henry. Jestem biednym rozbitkiem, którego gnały z kąta w kąt życiowe zawieruchy, szlachetny sir Henry. Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić.

- Zajmę się nim rano. Przykujcie go do masztu i postawcie przy nim dwóch dobrych strażników - rozkazał Hal. - Zadbajcie, żeby tym razem nie wyślizgnął nam się z rąk i nie uciekł przed zemstą, która tak słusznie mu się należy.

Patrzył w świetle latarni, jak przykuwają Sama Bowlesa do masztu i jak stają przy nim dwaj marynarze z obnażonymi kordami.

- Mój młodszy brat Peter był jednym z tych, których zatopiłeś w lagunie - powiedział Bowlesowi starszy z dwóch strażników. - Daj mi najmniejszy powód, a z radością zatopię to ostrze w twoim brzuchu.

Hal powierzył Danielowi nadzór nad statkiem i razem z Sukeeną zszedł do kapitańskiej kajuty. Nie dała mu spokoju, póki nie pozwolił jej przemyć i zabandażować swoich ran, choć żadna z nich nie była zbyt poważna. Kiedy skończyła, Hal zaprowadził ją do małej sąsiedniej kabiny.

- Tu będziesz mogła spokojnie odpocząć - oznajmił, po czym wziął ją na ręce, położył na koi i chociaż protestowała, okrył wełnianym kocem.

- Są ranni, którzy potrzebują mojej pomocy - powiedziała.

- Mój nie narodzony syn i ja potrzebujemy cię jeszcze bardziej - odparł stanowczo, kładąc jej głowę na poduszkę.

Sukeeną westchnęła i prawie natychmiast zapadła w sen.

Hal wrócił do większej kabiny i zasiadł przy biurku Llewellyna. Pośrodku mahoniowego blatu leżała wielka Biblia oprawna w czarną skórę. W czasie całej swojej niewoli nie miał dostępu do tej księgi. Otworzył ją na pierwszej stronie i przeczytał inskrypcję zapisaną śmiałym pochylonym charakterem pisma: „Wielmożny Christopher Llewellyn, urodzony dnia 16 października roku pańskiego 1621”.

Pod spodem znajdowała się inna, nowsza inskrypcja: „Konsekrowany na Rycerza Navigatora Świątyni Zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala dnia 2 sierpnia 1643”.

Świadomość, że człowiek, który dowodził przedtem tym statkiem, był jego bratem w zakonie, dała Halowi głęboką satysfakcję i poczucie sensu. Przez godzinę przewracał kartki Biblii, czytając na nowo znajome i podnoszące na duchu fragmenty, za pomocą których ojciec uczył go żeglować przez życie. W końcu zamknął ją, wstał i zajął się myszkowaniem po kabinie, szukając dziennika okrętowego i dokumentów statku. Szybko odkrył stojący pod koją żelazny skarbiczek. Nie mogąc znaleźć klucza, wezwał do pomocy Abolego i wyważyli siłą wieko. Potem kazał odejść Abolemu i resztę nocy spędził, studiując przy świetle lampy papiery statku.

Lektura tak go zaabsorbowała, że kiedy godzinę po świcie Aboli pojawił się z powrotem, spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Która jest godzina?

- Drugi dzwonek porannej wachty. Ludzie chcą się z tobą zobaczyć, kapitanie.

Hal wstał zza biurka, przeciągnął się i przetarł oczy, a potem podszedł do drzwi kabiny, w której spała Sukeena.

- Powinieneś z nimi jak najszybciej porozmawiać, Gundwane - odezwał się zza jego pleców Aboli.

- Tak, masz rację - odparł Hal odwracając się.

- Daniel i ja powiedzieliśmy im już, kim jesteś, ale teraz musisz ich przekonać, żeby popłynęli pod twoim dowództwem. Jeśli nie zechcą widzieć w tobie nowego kapitana, niewiele możemy zrobić. Jest ich trzydziestu czterech, nas tylko sześciu.

Hal podszedł do małego lusterka zawieszzonego nad miednicą i dzbankiem z wodą. Widząc swoje odbicie, wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Na Boga, Aboli, wyglądam na tak srogiego pirata, że sam sobie nie ufam.

Sukeena musiała słyszeć jego ostatnie słowa, stanęła bowiem, z zarzuconym na ramiona kocem, w drzwiach kabiny.

- Powiedz im, Aboli, że przyjdziemy za chwilę. Postaram się, żeby jak najlepiej wyglądał.

Kiedy Hal i Sukeena wyszli razem na pokład, zgromadzeni na śródokręciu ludzie wlepili w nich zdumione oczy. Zmiana była niesamowita. Świeżo ogolony Hal miał na sobie czyste ubranie z kufra Llewellyna. Włosy Sukeeny były uczesane, namaszczone i splecione w warkoczyki, a dziewczęce biodra i talię owinęła jedną z aksamitnych zasłon wiszących w kabinie. Stanowili razem wspaniałą parę: wysoki młody Anglik i orientalna piękność.

Hal zostawił Sukeenę przy schodach i ruszył wzdłuż szeregu marynarzy.

- Nazywam się Henry Courteney. Jestem, podobnie jak wy, Anglikiem i podobnie jak wy, żeglarzem.

- Żeglarzem jak się patrzy, kapitanie - powiedział głośno jeden z nich. - Widzieliśmy, jak przeprowadziłeś po ciemku obcy statek między skałami. Za takiego żeglarza mogę wypić kufel piwa i poczuję, jak robi mi się lepiej na duszy.

- Żeglowałem razem z twoim ojcem sir Francisem na starej Lady Edwinie - odezwał się inny. - Był z niego świetny żeglarz i żołnierz, uczciwy do szpiku kości.

- Zeszłej nocy - zawołał kolejny marynarz - jeśli dobrze liczyłem, położyłeś własną ręką siedmiu psubratów Myszołowa. Syn wdał się w ojca, nie ma co mówić.

Wszyscy zaczęli wiwatować na jego cześć i przez dłuższy czas nie mógł dojść do głosu. W końcu podniósł w górę rękę.

- Powiem wam wprost, że przeczytałem dziennik okrętowy kapitana Llewellyna - oznajmił. - Preczytałem umowę, jaką zawarł z właścicielem statku, i wiem, dokąd płynęła

Golden Bough. - Przerwał i przez chwilę wpatrywał się w ich uczciwe, ogorzałe od wiatru twarze. - Mamy wybór, wy i ja. Możemy powiedzieć, że zostaliśmy napadnięci przez Myszołowa, i popłynąć z powrotem do Anglii.

W odpowiedzi rozległy się jęki i okrzyki protestu. Hal ponownie podniósł rękę, żeby ich uciszyć.

- Mogę też zrealizować umowę, którą kapitan Llewellyn zawarł z armatorem Golden Bough, a wy możecie zamustrować się u mnie na takich samych warunkach. Otrzymacie taki sam udział w łupach jak poprzednio. Zanim dacie odpowiedź, pamiętajcie, że jeśli popłyniecie ze mną, czeka was najprawdopodobniej ponowne spotkanie z Myszołowem i będziecie musieli z nim walczyć.

- Poprowadź nas na niego teraz, kapitanie - zawołał jeden z marynarzy. - Chcemy dać mu łupnia już dzisiaj.

- Nie, mój drogi. Jest nas zbyt mało i zanim spotkamy się ponownie z Myszołowem, muszę poznać ten statek. Zmierzymy się z nim w dniu i w miejscu, które ja wybiorę - oznajmił z powagą Hal. - Zawieszę wtedy jego głowę na najwyższym maszcie i podzielę między was jego pirackie łupy.

- Płynę razem z tobą, kapitanie - zawołał chudy jasnowłosy marynarz. - Nie potrafię napisać swojego nazwiska, ale postawię krzyżyk taki duży i taki czarny, że przerazi się go sam diabeł.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Przynieś księgę, kapitanie, byśmy mogli się wpisać.

- Jesteśmy z tobą. Masz na to moje słowo i podpis. Hal ponownie ich powstrzymał.

- Chcę, aby każdy z was przyszedł z osobna do mojej kabiny, bym mógł się dowiedzieć, jak się nazywa, i uścisnąć jego dłoń - powiedział, po czym podszedł do burty i wskazał ręką za rufę. - Jesteśmy już na pełnym morzu. - Błękitne wybrzeże leżało na skraju horyzontu. - Przygotujcie teraz statek do zwrotu, żebyśmy mogli pożegłować w stronę Wielkiego Rogu Afryki.

Wspięli się na wanty i reje i wkrótce płótno wyduło się i zaświeciło w słońcu niczym przecinająca niebo błyskawica.

- Jaki kurs, kapitanie? - zawołał od steru Ned Tyler.

- Północny wschód, panie Tyler - odparł Hal i odwrócił się, żeby spojrzeć na kilwater złobiący błękitne fale lśniąca linią piany.

Każdy marynarz, który mijał Sama Bowlesa, przykutego jak małpa za rękę i nogę do grotmasztu, przystawał, żeby zebrać w ustach ślinę i rzęsiście na niego splunąć.

Aboli przyszedł do Hala pod koniec przedpołudniowej wachty.

- Musisz się zająć Bowlesem. Ludzie tracą cierpliwość. Któryś z nich może sam wymierzyć sprawiedliwość i wbić mu nóż między zębra.

- Oszczędziłoby mi to mnóstwo fatygi - mruknął Hal, podnosząc wzrok znad map i almanachów żeglarskich, które znalazł w kufrze Christophera Llewellyna. Wiedział, że załoga będzie domagać się krwawej zemsty na Samie Bowlesie, i nie bardzo uśmiechało mu się to, co miało nastąpić. - Zaraz wyjdę na pokład - obiecał w końcu z westchnieniem, ulegając namowom Abolego. - Każ ludziom zgromadzić się na śródokręciu.

Miał nadzieję, że Sukeena jest wciąż w przylegającej do prochowni małej kabinie, którą zmieniła w infirmerię i w której wciąż walczyło o życie dwóch ludzi. Kiedy jednak pojawił się na pokładzie, wyszła mu naprzeciw.

- Powinnaś zejść na dół, Księżniczko - powiedział cicho. - To nie będzie widok dla twoich oczu.

- To, co dotyczy ciebie, dotyczy również mnie. Twój ojciec był częścią ciebie, więc jego śmierć boli mnie tak samo. Straciłam własnego ojca w straszliwych okolicznościach, ale pomściłam go. Zostanę, żeby zobaczyć, jak mścisz się za śmierć swojego.

- Doskonale - odparł kiwając głową. - Przyprawdźcie więźnia.

Musieli przywlec Sama Bowlesa przed oblicze oskarżycieli, ponieważ nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Łzy, które kapwały mu z oczu, łączyły się ze śliną, którą opluli go marynarze.

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić - zawodził. - Słuchajcie mnie, kamraci. To ten diabeł Cochran do wszystkiego mnie zmusił.

- Śmiałeś się, przytrzymując głowę mojego brata pod wodą - odkrzyknął jeden z marynarzy.

Gdy wlekli go obok Abolego, który stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, ten spojrzał na niego z dziwnym błyskiem w oku.

- Przypomnij sobie Francisa Courteneya! - zahuczał. - Przypomnij sobie, co spotkało przez ciebie najdzielniejszego żeglarza, jaki kiedykolwiek pływał po morzach i oceanach.

Hal przygotował listę zbrodni, które popełnił Sam Bowles. Kiedy odczytywał każdy zarzut, załoga domagała się głośno zemsty. Wreszcie dotarł do ostatniego punktu straszliwej litanii.

- Zarzucamy ci, Samuelu Bowlesie, że na oczach marynarzy Golden Bough zamordowałeś, topiąc w lagunie, rannych, którzy przeżyli twój zradziecki atak. Słyszałeś,

jakie postawiliśmy ci zarzuty, Samuelu Bowlesie. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

- zapytał srogim głosem, składając dokument.

- To nie moja wina! Gdybym tego nie zrobił, sam pożegnałbym się z życiem, przysięgam!

Załoga zakrzyczała go i dopiero po kilku minutach Hal zdołał ich uciszyć.

- Nie zaprzeczasz więc, że zarzuty są prawdziwe? - zapytał.

- Po cóż miałby zaprzeczać? - zawołał ktoś. - I tak widzieliśmy to na własne oczy.

Sam Bowles zaczął głośno szlochać.

- Na miłość słodkiego Jezusa, zlituj się nade mną, sir Henry. Wiem, że zgrzeszyłem, ale daj mi szansę, a do końca życia nie znajdziesz lojalniejszego i bardziej miłującego cię sługi.

Widok Bowlesa napawał Hala tak wielkim wstrętem, że najchętniej wypłukałby usta, żeby pozbyć się przykrego osadu. Nagle przed oczyma zobaczył obraz ojca leżącego na noszach i niesionego na szubienicę, z członkami połamanymi i wykręconymi przez koło tortur. Zaczął drżeć.

Stojąca obok Sukeena wyczuła, w jakim jest stanie, i położyła mu rękę na ramieniu. Hal zaczerpnął głęboko powietrza i oparł się czarnej fali rozpacz, która go przytłaczała.

- Przyznałeś się do wszystkich zarzucanych ci zbrodni, Samuelu Bowlesie. Czy jest coś, co chciałbyś powiedzieć, zanim wydam na ciebie wyrok?

Patrząc w załzawione oczy Bowlesa, spostrzegł, że zachodzi w nim dziwna przemiana. Łzy były tylko fortelem; Sam potrafił je wylewać na zawołanie. Coś wypaliło się w tajnych zakamarkach jego duszy i teraz emanowała z niego aura takiej podłości i zła, że Hal zaczął wątpić, czy patrzy w oczy ludzkiej istoty, czy raczej osaczonej dzikiej bestii.

- Wydaje ci się, że mnie nienawidzisz, Henry Courteneyu? Nie masz pojęcia, czym jest prawdziwa nienawiść! Serce rośnie mi w piersi, kiedy pomyślę o twoim ojcu wyjącym na kole tortur. To zasługa Sama Bowlesa. Pamiętaj o tym do końca życia. Sama Bowlesa nie będzie już może na tym świecie, ale to on tego dokonał! - Skazaniec podniósł głos do krzyku. Na jego ustach pojawiła się piana. Wylewało się z niego całe zło; dzikie wrzaski były coraz mniej zrozumiałe. - To mój statek, mój własny statek. Zostałbym kapitanem Samuelem Bowlesem, ale mi go odebrałeś. Niech diabeł żłopie w piekle twoją krew! Niech tańczy na poskręcanych i gnijącym trupie twojego ojca, Henry Courteneyu!

Hal odwrócił się plecami do tego obrzydliwego spektaklu, starając się zamknąć uszy na strumień inwektyw.



- Panie Tyler - odezwał się tak, żeby usłyszała go cała załoga. - Nie będziemy marnować więcej czasu na tę sprawę. Więzień ma być natychmiast powieszony. Zawieście sznur na grotrei.

- Uważaj, Gundwane! - zawołał nagle Aboli, skacząc do przodu.

Sam Bowles sięgnął pod swoje szarawary. Do uda, po wewnętrznej stronie miał przymocowaną skórzaną pochwę. Jego ręka była prędką niczym atakująca żmija. Cienkie ostrze sztyletu zalsniło w niej jak drzazga kryształu.

Hal odwrócił się, lecz Sam był szybszy. Ciśnięty sztylet przebył dzielącą ich odległość i Hal skrzywił się pewien, że ostrze wbije się zaraz w jego ciało. Nie poczuł jednak żadnego bólu i przez chwilę nie wierzył własnym zmysłom.

Opuścił wzrok i zobaczył, że Sukeena wyciągnęła gołą rękę, żeby go zasłonić. Srebrzyste ostrze wbiło się aż po rękojęść tuż pod jej łokciem.

- Słodki Jezu, miej ją w swojej opiece - wybełkotał, po czym złapał ją objęcia i przytulił do piersi.

Oboje spojrzeli na tkwiącą pod jej łokciem rękojęść.

Aboli dopadł Sama Bowlesa w ułamek sekundy po tym, jak sztylet wyfrunął z jego palców, i posłał na pokład uderzeniem zaciśniętej pięści. Ned Tyler i kilkunastu innych złapało go i podniosło na nogi. Ogłuszony ciosem, Bowles potrząsał półprzytomnie głową. Krew sączyła się z kącika jego ust.

- Spuście linę z grotrei! - zawołał Ned Tyler i jeden z marynarzy wspiął się po wantach, żeby wykonać rozkaz.

Przebiegł po rei i minutę później lina zjechała z krążka i klasnęła o deski pokładu.

- Sztylet wszedł głęboko - szepnął Hal, delikatnie unosząc ranną rękę.

- Jest wąski i ostry. - Sukeena dzielnie się do niego uśmiechnęła. - Tak ostry, że prawie nic nie czuję. Jeśli go zaraz wyciągniesz, kochany, rana prędko się zagoi.

- Pomóż mi! Przytrzymaj jej rękę - zawołał Hal do Abolego.

Murzyn podbiegł do nich, chwycił za smukłą grawerowaną rękojęść i jednym szybkim ruchem wyciągnął ostrze z rany. Wyszło z zaskakującą łatwością.

- Nic takiego się nie stało - powiedziała cicho Sukeena, ale poblady jej policzki i łzy zatrzepotały na rzęsach.

Hal wziął ją na ręce i ruszył w stronę kajuty na rufie. Zatrzymał ich dziki wrzask.

Sam Bowles stał pod sznurem zawieszonym na rei. Ned Tyler zakładał mu właśnie stryczek, a czterech ludzi czekało w gotowości, trzymając w rękach drugi koniec sznura.

- Twoja suka jest już martwa, Henry Courteneyu. Tak samo martwa jak twój rodzic. Sam Bowles zabił ich oboje i chwala mu za to. Pamiętaj o mnie w swoich modlitwach, krwawy Courteneyu. Nie zapomnisz mnie do końca życia!

- To tylko małe skaleczenie. Księżniczka jest silna i dzielna. Nic jej nie będzie - mruknął mu ponuro do ucha Ned Tyler. - To ty jesteś już trupem, Bowles.

Odstąpił o krok do tyłu i dał znak czterem marynarzom, którzy pociągnęły za sznur, plaskając gołymi stopami po deskach pokładu.

Sekundę przed tym, nim lina naprężyła się i zatrzymała jego oddech, Sam wrzasnął ponownie:

- Przyjrzyj się dobrze ostrzu, które zraniło twoją dziwkę, kapitanie! Pomyśl o Samie Bowlesie, kiedy będziesz je sprawdzał!

Zaciskająca się na jego gardle lina stłumiła następne słowa.

Załoga zawyla z dzikiej radości, gdy Bowles uniósł się w powietrze, kręcąc się w kółko i kołysząc razem ze statkiem. Jadąc do góry, wierzgał nogami, a łańcuchy krępujące jego kostki dźwięczały niczym dzwonki przy saniach.

Zatrzymał się przy bloczku na grotrei, wysoko nad pokładem, lecz wciąż rzucał się i rzeził.

- Niech wisi tam przez całą noc. Rano odetniemy go i rzucimy rekinom na pożarcie - rozkazał Ned Tyler, po czym podniósł sztylet z miejsca, gdzie rzucił go Hal. Przyjrzał się zakrwawionemu ostrzu i jego opalona twarz zrobiła się nagle żółtoszara.

- Słodka Maryjo, nie pozwól, żeby to była prawda! - szepnął. - Miałeś zbyt lekką śmierć! - dodał, spoglądając na kołyszące się na rei zwłoki Sama Bowlesa. - Gdyby to ode mnie zależało, zabijałbym cię sto razy, za każdym razem boleśniej niż poprzednio.

Hal położył Sukeenę na koi w swojej kajucie.

- Powinienem wypalić ranę, ale gorące żelazo zostawiłoby bliznę. - Ukląkł przy koi i przyjrzał się dokładnie ranie. - Jest głęboka, ale prawie nie krwawi - stwierdził, po czym obandażował jej ramię kawałkiem białego płótna, które Aboli wyjął ze stojącego przy koi kufra.

- Przynieś moją torbę - rozkazała Sukeena i Aboli wybiegł z kabiny.

Kiedy znaleźli się sami, Hal pochylił się i pocałował ją w blady policzek.

- Nadstawiłaś własne ramię, żeby mnie uratować - szepnął, tuląc do niej twarz. - Ryzykowałaś dla mnie własne życie i życie dziecka, które nosisz w swoim łonie. To była zła decyzja, najdroższa.

- Podjęłabym ją ponownie... - zaczęła i nagle poczuł, jak sztywnieje w jego ramionach.

- Co ci dolega, kochanie? - Hal odsunął się i spojrzał na jej twarz. Na jej skórze, niczym rosa na płatkach żółtej róży, pojawiły się drobne kropelki potu. - Boli cię?

- Pali - szepnęła. - Pali gorzej niż gorące żelazo, o którym mówiłeś.

Szybko odwinął bandaż z jej ramienia i ujrzał, jak bardzo zmieniła się rana w czasie, gdy się obejmowali. Ramię puchło na jego oczach niczym zamieszkująca rafę koralową ryba Toby'ego, która przestraszona przez napastnika nadyma się, wielokrotnie przekraczając swoje rozmiary.

Sukeena podniosła rękę i przycisnęła ją do łona, a potem załkała mimowolnie, gdy ból wypełnił jej piersi niczym lśniący płynny ołów.

- Nie rozumiem, co się dzieje - jęknęła, wijąc się na koi. - To nie jest normalne. Zobacz, jak zmienia kolor.

Hal patrzył bezradnie, jak piękna smukła ręka powoli puchnie i pokrywa się szkarłatnymi i fioletowymi pręgami, biegnącymi od łokcia aż po ramię. Z rany zaczęła się sączyć lepka żółtawa ciecz.

- Co mam robić? - wybełkotał.

- Nie wiem - odparła zrozpaczona. - To jest coś, czego nie rozumiem. - Nagle złapał ją spazm bólu i wygięła plecy w łuk. - Potrzebna mi jest moja torba - jęknęła. - Mam w niej proszek zrobiony z makówek.

Hal zerwał się na nogi i podbiegł do drzwi.

- Gdzie jesteś, Aboli?! - ryknął. - Przynieś torbę, ale szybko!

W progu kajuty stanął Ned Tyler. Trzymał coś w ręku i miał dziwny wyraz twarzy.

- Jest coś, co muszę ci pokazać, kapitanie - wyjąkał.

- Nie teraz, człowieku, nie teraz. Gdzie jesteś, Aboli? - powtórzył Hal, podnosząc głos. Aboli wpadł do kabiny ze skórzanymi jukami. - Co się stało, Gundwane?

- Z Sukeeną dzieje się coś niedobrego. Potrzebuje lekarstwa.

- Kapitanie! - Ned Tyler wsunął się obok Abolego do kabiny i złapał energicznie za ramię Hala. - Ta sprawa nie może czekać. Spójrz na sztylet. Spójrz na ostrze!

Podniósł nóż do góry i Hal razem z Abolim wlepili w niego wzrok.

- Na litość boską - szepnął Hal. - To nie może być prawda. Wzdłuż całego ostrza biegł wąski rowek wypełniony wyschniętą smolistą pastą.

- To broń zabójcy - stwierdził cicho Ned. - W rowku jest trucizna.

Hal poczuł, jak pokład ucieka mu spod nóg, zupełnie jakby w Golden Bough uderzyła wysoka fala. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

- To niemożliwe - jęknął. - Aboli, powiedz mi, że to niemożliwe.

- Bądź silny - mruknął Aboli, ściskając go za ramię. - Bądź silny ze względu na nią.

Hal odzyskał równowagę i rozjaśniło mu się przed oczyma, ale kiedy próbował zaczerpnąć powietrza, ołowiany ucisk przerażenia poraził jego zębra.

- Nie mogę bez niej żyć - szepnął niczym zagubione dziecko.

- Nic jej nie mów - poradził mu Aboli. - Niech rozstanie nie będzie dla niej trudniejsze niż to konieczne.

Hal wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc, o czym mówi. A potem pojął znaczenie wąskiego rowka w stalowym ostrzu i śmiertelnych gróźb wykrzyczanych przez Sama Bowlesa, gdy stał na pokładzie ze stryczkiem na szyi.

- Sukeeną umrze - oświadczył zdumionym tonem.

- To będzie dla ciebie trudniejsze niż wszystkie boje, które dotychczas stoczyłeś, Gundwane.

Nadludzkim wysiłkiem Hal zdołał się opanować.

- Nie pokazuj jej sztyletu - mruknął do Neda Tylera. - Idź! Wyrzuć tę przeklętą rzecz za burtę.

Wróciwszy do Sukeeny, starał się ukryć czarną rozpacz, która ścisnęła mu serce.

- Aboli przyniósł twoje torby - szepnął, kłękając przy niej. - Powiedz, jak przygotować wywar.

- Och, pośpiesz się - jęknęła, gdy złapał ją kolejny spazm bólu. - Proszek jest w niebieskiej flaszce. Rozpuść dwie miarki w kubku gorącej wody. Nie więcej, bo jest bardzo mocny.

Jej dłoń dygotała gwałtownie, kiedy próbowała wziąć od niego kubek. Mogła posługiwać się teraz tylko jedną ręką; druga spuchła i zsiniała, a smukłe niegdyś palce nabrzmiały do tego stopnia, że pękała na nich skóra. Miała trudności z utrzymaniem w dłoni kubka i Hal podniósł go do jej ust.

Wypiła wywar z żalonym pośpiechem, opadła na plecy i przez chwilę wiała się w mokrej od potu pościeli. Hal położył się obok i przytulił do niej, starając się ulżyć jej cierpieniom i wiedząc zarazem, jak próżne są jego wysiłki.

Po jakimś czasie napój zaczął działać. Sukeena przywarła do niego i przycisnęła twarz do jego szyi.

- Umieram, Gundwane.

- Nie mów tak - odparł błagalnym tonem.

- Wiedziałałam o tym od wielu miesięcy. Widziałam to w gwiazdach. Dlatego nie mogłam odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Umrę wraz z tobą, najdroższa.

- Nie. - Jej głos był teraz trochę silniejszy. - Ty pójdziesz dalej. Szłam z tobą, póki mi pozwolono. Ale ciebie opatrność przeznaczyła do rzeczy wielkich. - Przez chwilę odpoczywała i myślał już, że zapadła w śpiączkę, lecz ona odezwała się ponownie. - Będziesz żył. Będziesz miał wielu silnych synów, a ich potomkowie zaludnią ten kontynent i uczynią go swoim.

- Nie chcę żadnych synów prócz tych, których ty mi urodzisz - odparł. - Obiecałaś mi syna.

- Cicho, ukochany. Syn, którego ci dam, złamie ci serce.

Wstrząsnął nią kolejny spazm bólu i głośno krzyknęła. W końcu, kiedy wydawało się, że nie zdoła znieść cierpienia, osunęła się dygocząc na kolę i zaczęła płakać. Trzymając ją w objęciach, Hal nie potrafił znaleźć słów, by wyrazić swą żalność.

Mijały godziny. Dwa razy usłyszał dzwon sygnalizujący zmianę wachty. Czuł, jak Sukeena słabnie i odpływa od niego. W końcu jej ciałem szarpnęły silne konwulsje.

- Narodził się twój syn. Syn, którego ci obiecałam - szepnęła, osuwając się z powrotem w jego ramiona. Zacisnęła mocno oczy, ale spomiędzy powiek kapwały jej łzy.

Przez dłuższą chwilę nie rozumiał, o co jej chodzi, aż w końcu ze strachem odsunął koc.

Między zakrwawionymi udami Sukeeny leżał mały, połyskujący mokro różowy manekin, połączony z jej ciałem splątana pępowina. Mała główka była dopiero w połowie uformowana: tkwiące w niej oczy nie miały się już nigdy otworzyć, a usta posiadać piersi, zaśmiać się lub odezwać. Ale miała rację: to był rzeczywiście chłopak.

Objął ponownie Sukeenę, a ona otworzyła oczy i słabo się uśmiechnęła.

- Przykro mi, najdroższy, ale muszę cię opuścić. Możesz zapomnieć o wszystkim innym, lecz pamiętaj, że kochałam cię tak, jak nie zdoła cię już pokochać żadna kobieta.

Zamknęła oczy i poczuł, jak wycieka z niej życie i osuwa się w wielki bezruch.

Siedział z nimi, ze swoją kobietą i synem, aż do północy. Althuda przyniósł mu w końcu sztukę płótna, igłę, nitkę i żeglarski napastrzek. Hal położył martwe dziecko w ramionach Sukeeny i przywiązał je tam kawałkiem materiału. Potem razem z Althudą zaszyli oboje w całun z nowego jasnego płótna, kładąc armatnią kulę u jej stóp.

O północy Hal wyniósł kobietę i dziecko na pokład i przy świetle afrykańskiego księżycyca oddał ich morzu. Zniknęli pod ciemną powierzchnią wody i pozostała po nich zaledwie mała zmarszczka na kilwaterze.

- Do widzenia, moja ukochana - szepnął. - Do widzenia, moi najdrożsi.

Po chwili zszedł do kabiny na rufie. Otworzył Biblię Llewellyna i szukał pociechy i ukojenia między jej oprawnymi w czarną skórę okładkami, lecz ich tam nie znalazł.

Przez sześć długich dni siedział samotnie przy oknie kajuty. Nie tknął żadnego z posiłków, które przynosił mu Aboli. Czasami czytał Biblię, na ogół jednak wpatrywał się po prostu w spieniony kilwater. W południe każdego dnia wychodził chudy i wycieńczony na pokład, ustalał pozycję statku, dawał rozkazy sternikowi, a potem schodził z powrotem na dół, by pozostać sam na sam ze swą rozpaczą.

O świcie siódmego dnia przyszedł do niego Aboli.

- Smutek jest normalną rzeczą, Gundwane, ale ty po prostu sobie folgujesz. Zaniebdałeś swoje obowiązki i zawiodłeś tych, którzy ci zaufali. Dostyc tego.

- Nigdy nie będzie dostyc - odparł Hal, podnosząc wzrok. - Będę opłakiwał ją przez całe życie. - Wstał i nagle zawirowały wokół niego ściany kajuty: tak bardzo osłabł z rozpacz i głodu. - Masz rację, Aboli. Przynieś mi miskę stawy i kubek cienkiego piwa.

Kiedy coś zjadł, poczuł się silniejszy. Umył się, ogolił, zmienił koszulę i zaczesał włosy do tyłu, zaplatając je w gruby warkocz. Między kruczoczarnymi lokami wiły się białe pasemka. Spoglądając w lustro, z trudem rozpoznał widniejącą w nim ciemną opaloną twarz z zakrzywionym orlim nosem, bezwzględna linią szczęki i ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Oczy miał zielone jak szmaragdy i tak samo twarde.

Skończyłem ledwie dwadzieścia lat, pomyślał zdumiony, a wyglądam na dwa razy tyle.

Wziął leżącą na biurku szpadę i wsunął ją do pochwy.

- Dobrze, Aboli. Jestem gotów podjąć z powrotem swoje obowiązki - oznajmił i wyszli obaj na pokład.

Sternik zasalutował mu, a pełniący wachtę marynarze tręcili się łokciami. Wszyscy zdawali sobie sprawę z jego obecności, lecz nikt na niego nie patrzył. Hal stał przez chwilę przy burcie, omiatając uważnym wzrokiem pokład i takielunek.

- Steruj ostrzej na wiatr, gdzie masz oczy? - warknął na sternika.

Boczny lik grotzągla wpadł w prawie niedostrzegalny łopot, ale Hal natychmiast to zauważył i kucający przy grotmaszcie ludzie wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Kapitan objął z powrotem komendę.



Z początku nie zdawali sobie sprawy, co to oznacza, szybko jednak przekonali się o tym na własnej skórze. Hal zaczął od rozmowy w cztery oczy z każdym członkiem załogi. Pytał go o nazwisko, miejsce urodzenia i przebieg służby, przez cały czas bacznie mu się przyglądając i oceniając jego wartość.

Trzej wyróżniali się na korzyść; wszyscy byli dowódcami wacht pod komendą Llewellyna. Bosman John Lovell służył kiedyś pod rozkazami sir Francis Courteneya.

- Zachowasz swoje dawne stanowisko, bosmanie - oznajmił mu Hal i John uśmiechnął się.

- Służba pod twoją komendą będzie przyjemnością, kapitanie.

- Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania za miesiąc - odparł złowróźnie Hal.

Pozostali dwaj nazywali się William Stanley i Robert Moone i obaj byli sternikami. Halowi spodobali się od pierwszego spojrzenia; Llewellyn miał dobre oko do ludzi, pomyślał, ściskając ich dłonie.

Drugim bosmanem został Duży Daniel, a Ned Tyler, który potrafił pisać i czytać, matem. Althuda, jeden z nielicznych oprócz niego piśmiennych członków załogi, otrzymał stanowisko pisarza; pod jego pieczęcią znalazły się wszystkie dokumenty statku. Stanowił jedyne ogniwo łączące go z Sukeeną; Hal darzył go wielkim uczuciem i chciał mieć stale przy sobie. Mogli dzielić ze sobą swój ból.

John Lovell i Ned Tyler przejrzeni razem z Halem listę załogi i pomogli mu sporządzić kompletny wykaz dyżurów, dzięki któremu każdy wiedział, kiedy pełni wachtę i gdzie jest jego stanowisko.

Kiedy wykaz był gotów, Hal przystąpił do inspekcji statku. Zaczął od głównego pokładu i wraz z dwoma bosmanami otworzył każdy luk. Wdrapywał się, a czasami wczołgiwał do każdego zakamarka kadłuba, od stępki aż po bocianie gniazdo. W ładowni otworzył na chybił trafił trzy beczki i ocenił jakość prochu i lontów.

Sprawdził, czy ładunek zgadza się z okrętowym manifestem, i ze zdumieniem i radością odkrył, że ma w ładowniach dużą liczbę muszkietów i ołowianych kul, a także wiele towarów na sprzedaż.

Następnie kazał spuścić szalupę na wodę i opłynął dookoła statek, żeby ocenić jego przegłębienie. Przeniósł część kolubryn bliżej rufy i kazał zmienić położenie ładunku, aby uzyskać trym, o jaki mu chodziło. Potem ćwiczył załogę w stawianiu i opuszczaniu żagli, prowadząc Golden Bough każdym możliwym kursem i w każdym ustawieniu do wiatru. Trwało to prawie cały tydzień. Potrafił ściągać ludzi spod pokładu w południe albo w środku

nocy, żeby zwijali bądź rozwijali żagle i sprawiali, że statek szedł z największą szybkością, jaką dało się osiągnąć.

Wkrótce poznał Golden Bough niczym własną kochankę. Odkrył, jak ostro może ustawić ją do wiatru i jak chętnie idzie fordewindem z wszystkimi żaglami na rejach. Kazał polewać płótno wodą z kubłów, żeby lepiej trzymało wiatr, a kiedy żaglowiec pędził jak ptak, mierzył jego prędkość przy użyciu klepsydry i logu. Pod jego ręką Golden Bough dawała z siebie wszystko, reagując na najmniejsze poruszenie steru niczym koń wyścigowy na wędzidło.

Załoga zносиła to bez jednego słowa skargi. Aboli podsłuchał, jak rozmawiają ze sobą na przednim pokładzie. Zmiana stylu dowodzenia po raczej flegmatycznym Llewellynie przypadła im chyba do gustu.

- Ten młodzik to prawdziwy żeglarz. Golden Bough kocha go. Potrafi wycisnąć z niej siódme poty i sprawić, że frunie po wodzie, ot co - wywodził któryś.

- Z nas też chętnie wyciska siódme poty - zauważył ktoś inny.

- Rozchmurzcie się, wałkonie. Niech mnie dunder świsnie, jeśli nie czekają nas obfite łupy.

Hal rozpoczął ćwiczenia przy kolubrynach. Kazał ludziom wytaczać je i wtaczać z powrotem, aż szczyrzyli zęby i jęczeli z wysiłku, przeklinając go i nazywając tyranem. Potem polecił kanonierom strzelać do unoszących się na wodzie beczek i cieszył się wraz z innymi, gdy kule roztrzaskiwały cel.

Równocześnie uczył załogę posługiwać się kordem oraz piką i obnażony do pasa walczył razem z innymi, wybierając sobie za przeciwników Abolego, Dużego Daniela i Johna Lovella, który był najlepszym szermierzem spośród starej załogi.

Golden Bough opłynęła tymczasem południową Afrykę i wzięli kurs na pomoc. Teraz z każdą przebytą milą morze zmieniał swój charakter. Woda nabrała intensywnego koloru indyga, użyczając tego samego odcienia niebu. Była tak czysta, że stojąc na dziobie, Hal widział płynące cztery sążnie pod wodą stada morświnów, które baraszkowały niczym niesforne spaniele, wyskakując od czasu do czasu na powierzchnię. Dostrzegał wtedy, jak otwierają nozdrza dla zaczerpnięcia oddechu, łypiąc na niego wesołym rozumnym okiem.

Ich forysiami były żeglujące na lśniących srebrnych skrzydłach latające ryby, a morskimi latarniami wielopiętrowe białe cumulusy, wskazujące nieodmiennie drogę na północ.

Kiedy wpłynęli w rejon ciszy morskiej, Hal nie pozwolił załodze odpocząć, lecz spuścił łodzie i urządził wyścigi poszczególnych wacht, aż wiosła ubijały morską wodę na

pianę. Na koniec kazał im szturmować pokład Golden Bough, jakby to był nieprzyjacielski żaglowiec, a sam z Abolim i Dużym Danielem dowodził obroną.

W bezwietrznym żarze tropików, gdy Golden Bough toczyła się po leniwej fali, a żagle łopotały na słabym wietrze, kazał całym sztafetom majtków ścigać się po wantach do bocianiego gniazda i z powrotem, przyznając zwycięskiej drużynie dodatkową porcję rumu.

Po kilku tygodniach ludzie zmęcznieli, nabrali muskułów i rwali się do boju. Hala gnębiły jednak poważne obawy. Nie zdradzał ich nikomu, nawet Abolemu. Całymi nocami siedział przy biurku w kajucie, bojąc się zasnąć, we śnie prześladowały go bowiem wspomnienia utraconej kobiety i dziecka. Studiując mapy, starał się znaleźć rozwiązanie problemu.

Miał pod swoimi rozkazami zaledwie czterdziestu ludzi, dosyć, żeby żeglować, ale zdecydowanie za mało, żeby walczyć. Gdyby się ponownie spotkali, Myszołów był w stanie posłać stu ludzi na pokład Golden Bough. Jeśli chcieli stawić czoło jakiemukolwiek przeciwnikowi, nie mówiąc już o walce pod sztandarami Księdza Jana, musiał znaleźć nowych marynarzy.

Przeglądając mapy, nie widział zbyt wielu portów, w których mógłby znaleźć wykwalifikowanych żeglarzy. Większość należała do Portugalczyków i Holendrów, którzy na pewno nie powitaliby z radością angielskiej jednostki, zwłaszcza gdyby jej kapitan chciał podkupić im marynarzy.

Anglicy nie zapuszczali się jak na razie zbyt licznie w te rejony świata. Kilka faktorii handlowych na wybrzeżu Indii podlegało zwierzchniej władzy Wielkiego Mogoła, a poza tym podróżując do nich, musiałby zboczyć kilka tysięcy mil z planowanego kursu.

Hal wiedział, że na południowo-wschodnim wybrzeżu długiej Wyspy Świętego Wawrzyńca, nazywanej również Madagaskarem, francuscy rycerze zakonu Świętego Graala założyli bezpieczny port, Fort Dauphin. Gdyby tam zawinął, jako angielski rycerz zakonu mógł spodziewać się życzliwego przyjęcia i właściwie niczego więcej, chyba że cyklon zatopił akurat jakiś statek i w porcie pozostali bezrobotni marynarze. Mimo to postanowił odwiedzić w pierwszej kolejności Fort Dauphin i wziął kurs na wyspę.

Płynęli na północ, po lewej burcie zawsze widać było Afrykę. Czasami ład majaczył w błękitnej dali; innym razem był tak blisko, że czuli jego specyficzny aromat: pieprzną woń przypraw i intensywny mroczny zapach ziemi przypominający świeżo wyjętego z pieca suchara.

Jiri, Matesi i Kimatti stawali często przy relingu, pokazując rękoma zielone wzgórza i koronkową linię przyboju i rozmawiając cicho w języku lasów. Kiedy cichł wiatr, Aboli

wspinał się na bocianie gniazdo, długo wpatrywał się w ład, a potem schodził na dół z posepną i smutną miną.

Całymi dniami nie oglądali ludzkiej duszy. Na brzegu nie było widać żadnego miasta ani portu, na morzu żadnego statku, łodzi czy czółna.

Dopiero gdy dzieliło ich mniej niż sto mil od Przylądka Świętej Marii, najdalej na południe wysuniętego punktu wyspy, na horyzoncie ukazał się obcy żagiel. Hal kazał zająć wszystkim stanowiska bojowe i załadować działo kartaczami, na wodach za Linią nie można było bowiem nikomu ufać.

Kiedy znajdowali się prawie w zasięgu głosu, na obcym statku podniesiono banderę. Hal z radością zobaczył powiewającą na grotmaszcie brytyjską flagę oraz croix patte zakonu. W odpowiedzi wywiesił te same znaki i oba żaglowce zatrzymały się nieopodal siebie.

- Kto na statku? - zawołał Hal.

- Kapitan Welles. Rosę of Durham - nadeszła odpowiedź.

Rosę of Durham był statkiem handlowym, karawelą uzbrojoną w dwanaście dział po każdej stronie. Hal kazał spuścić łódź na wodę i podpłynął do jej burty. Na pokładzie czekał na niego nieduży rzeński mężczyzna w średnim wieku.

- In Arcadia habito - przywitał go.

- Flumen sacrum bene cognosco - odparł Hal i uścisnęli sobie ręce na modłę zakonu.

Kapitan Welles zaprosił Hala na dół do swojej kajuty, gdzie wypili po kubku cydru i przekazali sobie najnowsze wiadomości. Welles wypłynął przed czterema tygodniami z angielskiej faktorii Świętego Jerzego, położonej niedaleko Madrasu na wschodnim wybrzeżu Indii. Wiózł ładunek sukna, za które miał zamiar kupić niewolników w Gambii, następnie zaś pożeglować na Karaiby, wymienić niewolników na cukier i wrócić do Anglii.

Hala interesowały możliwości zamustrowania marynarzy w angielskich faktoriach na Wybrzeżu Goździków, ciągnącym się od Wschodnich Ghatów aż po Coromandel, ale Welles potrząsnął głową.

- Omijaj to wybrzeże szerokim hakiem. Kiedy stamtąd odpływałem, w każdej wsi i faktorii srożyła się cholera. Każdy człowiek, którego stamtąd weźmiesz, może przywlec ci na pokład śmierć.

Przeszedł go dreszcz na myśl o spustoszeniu, jakie zaraza mogła poczynić wśród jego i tak już znacznie uszczuplonej załogi. Stanowczo nie powinien zawijać do żadnego z tych portów.

Przy drugim kubku cydru Welles po raz pierwszy przekazał mu miarodajne informacje na temat konfliktu toczącego się w Wielkim Rogu Afryki.

- Młodszy brat Wielkiego Mogoła, Sadyk Chan Jahan, przybył tam z wielką flotą i połączył swe siły z królem Omanu Ahmedem El Grangiem, którego nazywają Mańkutem i który włada ziemiami graniczącymi z państwem Księdza Jana. Wspólnie ogłosili dżihad, świętą wojnę, i runęli jak huragan na chrześcijan. Zdobyli z zaskoczenia porty i przybrzeżne miasta, pałac kościoły, profanując klasztory, zabijając mnichów i świętych mężów.

- Mam zamiar zaoferować moje usługi Księdzu Janowi i pomóc mu walczyć z poganami - oświadczył Hal.

- To kolejna krucjata i przyświecają ci szlachetne intencje - pochwalił go Welles. - Wiele najświętszych relikwii chrześcijaństwa przechowywanych jest w etiopskim mieście Aksum i w ukrytych w górach klasztorach. Gdyby wpadły w ręce pogan, byłby to smutny dzień dla całego chrześcijańskiego świata.

- Skoro nie możesz sam wziąć udziału w tym zbożnym dziele, może oddasz mi kilkunastu swoich ludzi? - zapytał Hal. - Dotkliwie brakuje mi dobrych marynarzy.

Welles uciekł spojrzeniem w bok.

- Mam przed sobą długą podróż i spodziewam się dużych strat, kiedy dotrzemy do malarycznych wybrzeży Gambii i będziemy pokonywali Atlantyckie - mruknął.

- Pomyśl o swoich ślubach - przypomniał mu Hal.

Welles zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Zbiorę moich ludzi i jeśli któryś zgłosi się na ochotnika, możesz go ze sobą zabrać.

Hal podziękował mu wiedząc, że Welles mało ryzykuje. Niewielu marynarzy zgodziłoby się pod koniec dwuletniego rejsu zrezygnować z udziału w zyskach i perspektywy powrotu do domu, żeby wziąć udział w wojnie prowadzonej przez obcego władcę, nawet gdyby występował on w obronie chrześcijaństwa. Tylko dwóch żeglarzy odpowiedziało na apel Hala i Welles wyraźnie ucieszył się, mogąc się ich pozbyć. Hal domyślił się, że to typowi rozrabiacze i malkontenci, lecz nie mógł być zbyt wybredny.

Zanim się rozstali, wręczył Wellesowi dwa listy, zaszyte w płóciennym koperty, z czytelnie zapisanymi adresami. Pierwszy był do wicehrabiego Wintertona; Hal przedstawił mu, w jakich okoliczności zginął kapitan Llewellyn i jak doszło do przejęcia przez niego Golden Bough. Zobowiązywał się również poprowadzić statek zgodnie z oryginalną umową.

Drugi list zaadresowany był do jego wuja, Thomasa Courteneya w High Weald. Hal zawiadamiał go o śmierci ojca oraz o przejęciu przez siebie tytułu i prosił o dalsze zarządzanie posiadłością w jego imieniu.

W końcu pożegnał się z Wellesem i wrócił wraz z dwoma świeżo zamustrowanymi marynarzami na pokład Golden Bough. Wkrótce żagle Rosę of Durham zniknęły za południowym horyzontem, a kilka dni później na północy ukazały się góry Madagaskaru.

Tej nocy Hal, jak to miał w zwyczaju, wyszedł na pokład pod koniec wieczornej wachty, żeby odczytać dane z tabliczki kursowej i zamienić kilka słów ze sternikiem. Przy grotmaszcie czekały na niego trzy postaci.

- Jiri i inni chcą z tobą porozmawiać, Gundwane - powiedział Aboli.

Stanęli wokół niego przy zawietrznej burcie. Jiri przemówił pierwszy w języku lasów.

- Byłem dorosłym mężczyzną, kiedy handlarze niewolników porwali mnie z domu. Miałem dość lat, żeby zapamiętać lepiej od innych kraj, w którym się urodziłem - oznajmił cicho.

Aboli, Kimatti i Matesi pokiwali głowami.

- My byliśmy dziećmi - potwierdził Aboli.

- Kiedy w ciągu tych kilku ostatnich dni - podjął Jiri - poczułem zapach łądu i zobaczyłem ponownie zielone wzgórza, wróciły do mnie dawno zapomniane wspomnienia. W głębi serca wiem, że potrafiłbym odnaleźć drogę do wielkiej rzeki, przy której brzegach mieszkało kiedyś moje plemię.

- Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz, Jiri? - zapytał po krótkim namyśle Hal. - Chcesz wrócić do swojego plemienia? Jiri zawahał się.

- To było dawno temu - odparł. - Mój ojciec i matka nie żyją, zabici przez handlarzy niewolników. Moi bracia i przyjaciele z dzieciństwa także odeszli skuci łańcuchami. - Przez chwilę milczał. - Nie, kapitanie. Nie mogę odejść, bo, podobnie jak przedtem twój ojciec, ty jesteś teraz moim wodzem, a to są moi bracia - stwierdził wskazując Abolego i pozostałych dwóch czarnych.

- Jeśli Jiri potrafi zaprowadzić nas do wielkiej rzeki - powiedział Aboli - i jeśli odnajdziemy nasze plemię, możemy również znaleźć wśród nich stu wojowników, których zamustrujemy na statek.

Hal wlepił w niego zdumiony wzrok.

- Stu wojowników? Ludzi, którzy potrafią walczyć tak jak wy czterej? W takim razie rzeczywiście uśmiechnęły się do mnie gwiazdy.

Zabrał ich wszystkich czterech do swojej kajuty, zapalił lampy i rozłożył mapy na podłodze. Kucając wokół nich, Murzyni stukali palcami w pergamin i kłócili się cicho melodyjnymi głosami. Jiriemu, Kimattiemu i Matesiemu, którzy w przeciwieństwie do Abolego nie potrafili czytać, Hal starał się wyjaśnić, co znaczą poszczególne linie.



Kiedy okrętowy dzwon oznajmił początek porannej wachty, Hal wyszedł na pokład i wezwał do siebie Neda Tylera.

- Zmieniamy kurs, panie Tyler. Na zachód. Proszę zaznaczyć to na tabliczce.

Tyler wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, ale nie zadawał żadnych pytań.

- Tak jest, kurs na zachód.

Halowi zrobiło się go żal, widać było bowiem, że biedak umiera z ciekawości.

- Płyniemy z powrotem do wybrzeża Afryki - wyjaśnił.

Szybko przebyli szeroką cieśninę dzielącą Madagaskar od kontynentu. Kiedy na horyzoncie ukazała się błękitna smużka lądu, zmienili kurs i ponownie pozęglowali wzdłuż wybrzeża, tym razem na południe.

Aboli i Jiri spędzali większą część dnia w bocianim gnieździe, przyglądając się lądowi. Jiri zszedł dwa razy na dół i poprosił Hala o podejście do brzegu i zbadanie tego, co przypominało mu ujście rzeki. Za pierwszym razem okazało się, że to tylko głębsza zatoka, za drugim zaś Jiri nie poznał okolicy, gdy zarzucili kotwicę przy ujściu.

- Rzeka jest za mała. Ta, której szukam, ma cztery ujścia - stwierdził.

Podnieśli kotwicę i oddaliwszy się nieco od lądu, ruszyli dalej na południe. Hal zaczął wątpić w dobrą pamięć Jiriego, ten jednak nie dawał za wygraną. Kilka dni później dwaj siedzący w bocianim gnieździe Murzyni zaczęli z wyraźnym podnieceniem wpatrywać się w ląd i energicznie gestykulować. Matesi i Kimatti, którzy wylegiwali się w tym czasie na pokładzie, zerwali się na nogi i wspięli na wanty, żeby przyjrzeć się lepiej linii brzegu.

Hal podszedł do relingu, przystawił do oka mosiężny teleskop Llewellyna i zobaczył przed sobą deltę wielkiej rzeki. Wylewające się z kilku ujść wody miały zmieniony kolor i niosły ze sobą muł z bagien i nieznanych krajów leżących u jej źródeł. Powierzchnię morza przecinały wysokie trójkątne płetwy żerujących przy brzegu rekinów.

Hal wezwał do siebie na dół Jiriego.

- Jak twoje plemię nazywa tę rzekę? - zapytał.

- Ma dużo nazw, ponieważ jedna rzeka spływa do morza jako wiele rzek. Nazywają się Muselo, Inhamessingo i Chinde, ale najważniejsza z nich to Zambere.

- Wszystkie nazwy są miłe dla ucha - przyznał Hal. - Ale czy jesteś pewien, że te cztery rzeki łączą się w jedną?

- Przysięgam na głowę mojego ojca.

Podpływając do brzegu, Hal kazał dwóm ludziom stanąć na dziobie i sondować dno. Kiedy znaleźli się na głębokości dwunastu sążni, zarzucił kotwicę. Nie chciał narażać statku i

wpływać na płytkie przybrzeżne wody ani w kanały delty. Groziło im tu także inne niebezpieczeństwo, którego starał się uniknąć.

Wiedział od ojca, że tropikalne delty nie są zbyt zdrowe dla załogi. Wdychając nocne bagienne powietrze, ludzie szybko zapadali na śmiertelną gorączkę trafnie nazwaną malarią, czyli złym powietrzem.

W skórzanych jukach Sukeeny, jedynej rzeczy, jaka mu po niej pozostała prócz jaspisowej broszki jej matki, znajdował się pokaźny zapas proszku jezuitów, czyli ekstraktu z kory drzewa chinowego. Duży słoik z tą samą drogocenną substancją znalazł również w kufrze Llewellyna. Było to jedyne lekarstwo przeciwko malarii, chorobie, na którą żeglarze zapadali we wszystkich znanych zakątkach świata od dżungli Batawii i Indii po weneckie kanały, moczary Wirginii i wyspy Karaibów.

Nie wolno mu było narażać na niebezpieczeństwo zdrowia całej załogi. Kazał wyciągnąć z ładowni i zmontować na pokładzie dwie barki, a potem wyznaczył ludzi, którzy mieli wejść w skład ekspedycji. Byli wśród nich oczywiście czterej Afrykanie oraz Duży Daniel. Na dziobie każdej barki umieścił falkonet, a na rufie po dwie hakownice.

Wszyscy biorący udział w ekspedycji byli uzbrojeni po zęby. Hal umieścił ponadto w każdej łodzi po trzy ciężkie skrzynie z towarami: nożami, nożyczkami, małymi ręcznymi lusterkami i szklanymi weneckimi paciorkami.

Zostawił Golden Bough pod opieką Neda Tylera i Alhudy i kazał im zarzucić kotwicę w sporej odległości od lądu i czekać na ich powrót.

- Może nas nie być przez kilka dni, a nawet tygodni - ostrzegł Neda. - Czekajcie cierpliwie, aż otrzymacie od nas jakąś wiadomość.

Osobiście poprowadził pierwszą łódź, w której płynęli Aboli i Afrykanie. Drugą dowodził Duży Daniel.

Zbadali wszystkie cztery ujścia. Wydawały się płytkie; niektóre były prawie zupełnie zagrodzone łachami piasku. Z obawy przed krokodylami wolał nie wysłać ludzi na brzeg, by przeciągnęli łodzie po piasku. W końcu wybrał ujście, z którego wypływało najwięcej wody, i z żaglem wypełnionym wiejącą od morza poranną bryzą i wszystkimi ludźmi przy wiosłach udało im się wpłynąć w gorący cichy świat moczarów.

Wysokie ściany papirusów i namorzynów, rosnących po obu stronach kanału, ograniczały pole widzenia i nie dopuszczały najmniejszego podmuchu wiatru. Wiosłowali rytmicznie, sunąc krętym kanałem. Za każdym zakrętem ich oczom ukazywał się identyczny widok. Hal zdał sobie szybko sprawę, jak łatwo będzie zabłądzić w tym labiryncie, i zaczął oznaczać każdą odnogę, przywiązując paski płótna do najwyższych gałęzi namorzynów.

Przez dwa dni przedzierali się na zachód, kierując się wyłącznie wskazaniem kompasu i obserwacją prądów. W rozlewiskach pluskały się wielkie hipopotamy, które otwierały przepastne różowe paszcze i porykiwały dziko, kiedy się zbliżali. Z początku starali się omijać je szerokim łukiem, lecz później, gdy się z nimi oswoili, Hal zaczął ignorować ich ostrzegawcze ryki i prowadził łódź najkrótszą drogą.

Jego brawura wydawała się zrazu usprawiedliwiona, ponieważ zwierzęta zanurzały się, kiedy płynęli prosto na nie. Po jakimś czasie, pokonawszy kolejny zakręt, wpłynęli na duże zielone jezioro. Pośrodku na błotnistej wysepce stała wielka samica hipopotama, a przy jej boku małe hipopotamiątko niewiele większe od świni. Samica ryknęła groźnie, gdy płynęli w jej stronę, ale wioślarze wybuchnęli lekceważącym śmiechem.

- Odsuń się, staruszko - zawołał Hal. - Nie zrobimy ci nic złego, chcemy tylko przepłynąć.

Ogromne zwierzę pochyliło łeb i puściło się niezgrabnym galopem w ich stronę, chrząkając wojowniczo i wyrzucając spod kopyt grudy błota. Hal zdał sobie nagle sprawę, że to nie przelewki, i wyjął zapalony lont ze stojącego u jego stóp cebrzyka.

- Wielkie nieba, ona chce nas zaatakować!

Złapał żelazny uchwyt falkonetu i skierował lufę w jej stronę, ale hipopotamica dotarła tymczasem do skraju wody i skoczyła do niej w pełnym biegu, wzbijając w górę wysoką fontannę i znikając pod powierzchnią. Hal obracał bezradnie lufą falkonetu, chcąc strzelić, ale widział tylko zmarszczki na wodzie.

- Idzie prosto na nas! - zawołał Aboli. - Nie strzelaj, dopóki dobrze nie wycelujesz, Gundwane!

Trzymając w dłoni zapalony lont, Hal spojrzał w dół i w czystej zielonej toni zobaczył niezwykle widok. Samica hipopotama biegła po dnie wolnym sennym galopem, podnosząc przy każdym kroku tumany błota. Wciąż znajdowała się na głębokości jednego sążnia, poza zasięgiem strzału.

- Podchodzi pod nas! - zawołał do Abolego.

- Uważajcie! - ostrzegł Aboli. - Tak właśnie niszczą czołna ludzi z mojego plemienia.

Ledwie zdążył to powiedzieć, kiedy pod ich stopami rozległo się głośnie chrupnięcie. Zwierzę stanęło pod nimi dęba i ciężka łódź z siedzącymi w niej dziesięcioma wioślarzami wynurzyła się z wody.

Ludzie pospadali z ławek. Hal chwycił się poprzecznej belki i tylko dlatego nie wyleciał za burtę. Kiedy łódź opadła z powrotem, ponownie złapał za uchwyt falkonetu.

Hipopotamica przebiłaby niechybnie kadłub małej łodzi i z całą pewnością roztrzaskałaby tubylcze czółno, ale angielscy cieśle zbudowali ich barkę tak, by wytrzymała furie Morza Północnego.

Tuż obok nich wynurzył się z wody wielki szary łeb i hipopotamica rozwarła różową paszczę najeżoną żółtymi zębiskami, z których każdy był wielkości męskiego przedramienia. Z rykiem, od którego przeszedł ich dreszcz, zwierzę skoczyło na nich, chcąc rozedrzeć zębami burtę łodzi.

Hal przekreślił falkonet tak, że lufa dotykała niemal szarego łba, i przyłożył lont do panewki. Dym i ogień bluznęły prosto w rozwartą gardziel i paszcza zamknęła się. Bestia zniknęła w wirze wody i dopiero po kilku chwilach pokazała się w połowie odległości do błotnistej wysepki, na której stało opuszczone i przerażone hipopotamiątko.

Wielkie zaokrąglone cielsko wynurzyło się do połowy z wody, wstrząsane gargantuicznymi konwulsjami, a potem opadło z powrotem, zostawiając za sobą długą szkarłatną smugę.

Marynarze przyłożyli się ostrzej do wiosel i minęli kolejny zakręt. Barka Dużego Daniela płynęła tuż za ich rufą. Łódź Hala dość mocno przeciekała i jeden człowiek musiał stale wybierać wodę. Po pewnym czasie, kiedy znaleźli odpowiednie miejsce, wyciągnęli ją na piaszczysty brzeg, odwrócili i naprawili szkody. Wkrótce popłynęli dalej kanałem.

Stada wodnego ptactwa wzbijały się z otaczającego ich gąszczy papirusów i przysiadły na gałęziach namorzynów. Były wśród nich czaple, kaczki i gęsi, które poznawali, a także dziesiątki innych gatunków, które pierwszy raz widzieli na oczy. Kilka razy udało im się dostrzec dziwną antylopę o kosmatej brunatnej sierści i zakończonych jasno spiralnych rogach, która wydawała się zamieszkiwać te moczary. O zmierzchu zaskoczyli jedną z nich na skraju brzegu i Hal zdołał położyć ją dalekim strzałem. Ze zdumieniem odkryli, że ma zdeformowane, niezwykle długie kopyta. Hal domyślił się, że w wodzie służą jej niczym płetwy i pozwalają pewnie stąpać po miękkim błotnistym gruncie i trzcinach. Jej mięso było słodkawe i kruche i stęsknieni świeżego posiłku ludzie spałaszowali je z apetytem.

Nocami spali na gołych deskach, nękani przez chmary gryzących owadów. Rankiem twarze mieli spuchnięte i pokryte czerwonymi bąblami.

Trzeciego dnia gąszcz papirusów zaczął się przersedzać, ustępując miejsca otwartej równinie. Wiatr wypełnił postawiony przez nich żagiel i odgonił precz stada insektów. Płynąc z większą szybkością, dotarli do miejsca, gdzie liczne odnogi rzeki łączyły się w jedno koryto, szerokie co najmniej na trzy kable.

Równiny po obu stronach porośnięte były wysoką do kolan bujną trawą, na której pasły się stada bawołów. Nie sposób było policzyć zwierzynę; wspiąwszy się na maszt, Hal ujrzał tworzony przez nie ruchomy dywan wszędzie, gdzie sięgnął okiem. Paśla się tak blisko siebie, że w wielu miejscach nie widać było sawanny, lecz wyłącznie smoliste jeziora i rzeki bawolego mięsa.

Niektóre bawoły podchodziły do samych brzegów i wpatrywały się w nich przez wodę, tocząc ślinę z pysków i podnosząc wysoko guzowate łby ozdobione rogami. Hal podpłynął bliżej i huknął z falkonetu, kładąc jednym strzałem dwie młode krowy. Tej nocy po raz pierwszy rozbili obóz na brzegu i objedli się bawolimi stekami pieczonymi na węglach.

Przez wiele dni podążali w górę rzeki, która toczyła się powolnym majestatycznym nurtem, i równiny ustąpiły w końcu miejsca lasom i polanom. Koryto zwęziło się, nurt stał się bardziej wartki i trudniej im było płynąć pod prąd. Ósmego wieczoru po opuszczeniu statku zeszli na brzeg, żeby rozbić obóz w wysokim figowym gaju.

Prawie natychmiast natknęli się na ślady ludzkich siedzib. Na polanie stała rozpadająca się palisada zbudowana z potężnych belek. W środku podzielona była na zagrody, w których, jak domyślał się Hal, trzymano bydło albo inne domowe zwierzęta.

- Te zagrody zbudowali łowcy niewolników! - oznajmił z goryczą Aboli. - Trzymali tutaj moich ziomków. W jednej z tych borna, może właśnie tej, zmarła pod brzemieniem rozpaczy moja matka.

Palisada była od dawna nie używana, lecz Hal nie chciał obozować w miejscu naznaczonym tak wielkim ludzkim nieszczęściem. Popłynęli w górę rzeki i rozbili obóz na małej wysepce. Nazajutrz ruszyli dalej, nie natknęli się jednak na żadne dalsze ślady ludzkiej obecności.

- Łowcy przeczesałi dokładnie cały kraj - oświadczył ponuro Aboli. - Dlatego właśnie porzucili swoją faktorię i odpłynęli. Wygląda na to, że z mojego plemienia nie ocalał żaden mężczyzna ani kobieta. Musimy dać sobie spokój i wracać.

- Nie, Aboli. Płyniemy dalej.

- Wszędzie dookoła nas czai się rozpacz i śmierć - nalegał Aboli. - W tych lasach mieszkają tylko duchy mojego plemienia.

- To ja zadecyduję, kiedy wracać, a ta chwila jeszcze nie nadeszła - odparł twardo Hal.

W gruncie rzeczy zafascynował go ten dziwny nowy świat i mnogość zamieszkujących go dzikich zwierząt. Czuł nieodparte pragnienie, by podróżować coraz dalej i dalej, aż do źródeł wielkiej rzeki.

Nazajutrz dostrzegł z dziobu barki pasmo wznoszących się na północy niskich wzgórz. Kazał dobić do brzegu i zleciwszy Dużemu Danielowi i jego wioślarzom, żeby załatali kadłub łodzi, która w dalszym ciągu przeciekała po ataku hipopotama, ruszył wraz z Abolim w stronę wzgórz, chcąc przyjrzeć się lepiej leżącemu przed nimi krajowi. Szli bardzo długo, w przejrzystym powietrzu i jasnym afrykańskim słońcu nie ocenili bowiem dobrze odległości. Dopiero późnym popołudniem wspięli się na grań i spojrzeli na niezmierzone połacie puszczy i pasma wzgórz, które ciągnęły się jedno za drugim niczym odbite w błękitnym zwierciadle nieba obrazy nieskończoności.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, porażeni rozmiarami pustkowie. W końcu Hal wstał niechętnie z miejsca.

- Masz rację, Aboli. Nie ma tutaj śladu ludzkiej stopy. Musimy wracać na statek.

Mimo to dziwnie nie chciało mu się opuszczać tego ogromnego kraju. Czuł, że pociągają go tajemnice i romantyzm szerokich przestrzeni.

„Będziesz miał wielu silnych synów - przepowiedziała Sukeena. - Ich potomkowie zaludnią ten kontynent i uczynią go swoim”.

Nie pokochał jeszcze tej ziemi. Była zbyt dziwna i barbarzyńska, za bardzo różniła się od tego, co zapamiętał z łagodniejszej półkuli północnej, lecz mimo to jej magia weszła mu głęboko w krew. Nad wzgórzami zawisła przedwieczorna cisza; ów moment, kiedy całe stworzenie wstrzymuje oddech przed nadejściem zdradzieckiej nocy. Hal po raz ostatni omiół wzrokiem horyzont, na którym wzgórza zmieniały kolor niczym kameleony. Na jego oczach z szafirowych zrobiły się lazurowe i niebieskie jak grzbiet zimorodka. Nagle cały zeszywniał.

- Zobacz! - powiedział cicho, łapiąc Abolego za ramię i wskazując ręką następne pasmo wzgórz.

Spomiędzy rosnących u ich podnóża drzew unosiła się w fioletowym powietrzu wąska smużka dymu.

- Ludzie! - szepnął Aboli. - Miałeś rację, żeby nie wracać tak szybko, Gundwane.

Zeszli po ciemku ze wzgórza i ruszyli niczym cienie przez las. Hal prowadził, wpatrując się w wielki Krzyż Południa, wiszący nad wzgórzem, u którego podnóża zobaczyli kolumnę dymu. Po północy, kiedy posuwali się ostrożnie do przodu, Aboli zatrzymał się tak nagle, że Hal o mało nie zderzył się z nim w ciemności.

- Słuchaj! - szepnął i przez kilka minut stali w milczeniu.

- Nic nie słyszę - stwierdził wreszcie Hal.



- Poczekaj - nalegał Aboli i Hala dobiegł w końcu dobrze znany odgłos, którego nie słyszał, odkąd opuścili Przylądek Dobrej Nadziei: żalosne ryczenie krowy.

- Moi współplemieńcy to pasterze - szepnął Aboli. - Bydło jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiadają.

Poprowadził Hala dalej i po pewnym czasie poczuli zapach drzewnego dymu i znajomy odór bydłowej zagrody. Hal dostrzegł plamę dogasającego obozowego ogniska. W jego świetle widać było sylwetkę siedzącego mężczyzny opatulonego futrzanym karossem.

Położyli się na ziemi i czekali na świt. W obozie ruch zaczął się jednak na długo przed wschodem słońca. Strażnik wstał, przeciągnął się, odkaszlnął i splunął na wygasły popiół. Potem przyniósł świeże polana i ukląkł, żeby rozdmuchać ogień. W świetle płomieni Hal dostrzegł, że mają przed sobą chłopca. Odziany tylko w przepaskę na biodrach, zbliżył się do miejsca, gdzie się ukrywali, i zaczął sikać na trawę, celując strumieniem moczu w spadłe z drzew liście i gałązki i próbując z chichotem zatopić uciekającego przed powodzią skarabeusza.

Po chwili wrócił na dół i podszedł do skleconego z gałęzi i słomy szałas.

- Nadchodzi świt. Pora wyprowadzić stado - zawołał.

Miał wysoki i wyraźny głos i Hal z radością uświadomił sobie, że rozumie każde jego słowo. Chłopiec mówił językiem lasów, którego nauczył go niegdyś Aboli.

Z szałasów wyleźli, dygocząc z zimna, mamrocząc i drapiąc się pod pachami, dwaj inni chłopcy w tym samym wieku i cała trójka weszła do zagrody, w której stały zwierzęta. Przemawiali do nich, jakby one także były dziećmi, głaskali po łbach i klepali po bokach.

Kiedy zrobiło się jaśniej, Hal zobaczył, że krowy różnią się od tych, które widział w High Weald. Wyższe i smuklejsze, miały duże garby nad łopatkami i rogi tak szerokie, że sprawiały wrażenie groteskowych, zbyt ciężkich, by mogły je unieść nawet tak wielkie zwierzęta.

Chłopcy odepchnęli cielaka od krowy, po czym jeden z nich ukląkł i zaczął ją doić, strzykając strugami mleka do tykwy. Dwaj pozostali złapali tymczasem młodego byczka i zarzucili mu skórzaną pętlę na szyję. Kiedy ścisnęli ją mocniej i pod czarną skórą pokazały się naczynia krwionośne, jeden z nich nakłuł żyłę ostrym grotem strzały. Pierwszy chłopiec przybiegł z tykwą napełnioną do połowy mlekiem i nadstawił ją pod strumień jasnoczerwonej krwi, która trysnęła z przebitej żyły.

Gdy tykwa była pełna, jeden z chłopców zatamował garścią pyłu płynącą z rany krew i wypuścił byczka. Zwierzę, które zniosło całkiem niezłe ten zabieg, odbiegło różnym

krokiem na bok. Chłopcy potrząsnęli energicznie tykwą, a potem zaczęli kolejno pić zmieszane z krwią mleko, oblizując wargi i mlaskając z rozkoszy.

Zaabsorbowani swoim śniadaniem, dali się z łatwością zaskoczyć. Hal i Aboli zasłzli ich od tyłu i podnieśli do góry, wierzgających i drących się wniebogłosy.

- Zamknij się, ty mały pawianie - rozkazał Aboli.

- Łowcy niewolników! - wrzasnął najstarszy chłopak, widząc białą twarz Hala.

- Pożrą nas! - zaskrzeczał najmłodszy.

- Nie jesteśmy łowcami niewolników - uspokoił go Hal. - I nie zrobimy wam krzywdy.

Jego słowa wypowiedziane w ich języku wprawiły całą trójkę w jeszcze większe przerażenie.

- To demon! Potrafi mówić językiem niebios!

- Rozumie wszystko, co mówimy. To demon albinos!

- Na pewno nas pożre, tak jak ostrzegła moja matka. Aboli odsunął od siebie najstarszego na długość ramienia i zmierzył go surowym spojrzeniem.

- Jak się nazywasz, mały małpiszonie?

- Popatrzcie na jego tatuaże! - zawył chłopak, sztywniejąc ze strachu. - Jest wytatuowany jak Monomatapa, wybraniec niebios.

- To wielki Mambo!

- Albo duch Monomatapy, który zmarł dawno temu.

- Jestem rzeczywiście wielkim wodzem - zgodził się Aboli. - A wy powiecie mi teraz, jak się nazywacie.

- Ja jestem Tweti... och, Monomatapo, oszczędź mnie. Jestem bardzo mały. Starcze tylko na jeden kęs w twoich mocarnych szczękach.

- Zabierz mnie do swojej wioski, Tweti, a wtedy oszczędzę ciebie i twoich braci.

Po kilku chwilach chłopcy uwierzyli, że nie zostaną pożarci ani wzięci do niewoli, i zaczęli się nieśmiało uśmiechać w odpowiedzi na umizgi Hala. Nie minęło dużo czasu, a chichotali radośnie, ciesząc się, że to im właśnie przypadł w udziale zaszczyt zaprowadzenia wielkiego wytatuowanego wodza i dziwnego albinosa do wioski.

Gnając przed sobą stado, ruszyli ścieżką przez wzgórza i po pewnym czasie ukazała się ich oczom wioska otoczona niewielkimi półkami prosa. W krytych słomą chatkach przypominających kształtem ule nie było nikogo. Na węglach stały gliniane naczynia, w zagrodach porykiwały cielaki i wszędzie leżały plecione kosze, broń i inne sprzęty porzucone przez uciekających w popłochu wieśniaków.

Trzej chłopcy zaczęli wzywać głośno swoich ukrywających się w buszu ziomków.

- Chodźcie! Chodźcie zobaczyć! To wielki Mambo, który powrócił z krainy śmierci, żeby nas odwiedzić!

Jako pierwsza z gęstych zarośli wychyliła głowę zasuszona starucha. Ubrana w brudną skórzaną spódniczkę, miała tylko jedno oko i jeden żółtawy ząb w górnej szczęce. Obwisłe piersi objęły się o pomarszczony brzuch ozdobiony rytualnymi tatuażami.

Przyjrząwszy się uważnie twarzy Abolego, padła przed nim na ziemię i postawiła sobie jego stopę na głowie.

- Potężny Monomatapo - zaskrzeczała - wybrańcze niebios. Jestem tylko nędznym robakiem, gnojowym żukiem w obliczu twojej chwały.

Pojedynczo i parami, a potem większymi grupkami, inni wieśniacy zaczęli wychodzić z kryjówek w buszu i oddawać część Abolemu, klękając dookoła i posypując sobie głowy pyłem i popiołem.

- Nie pozwól, żeby te hołdy przewróciły ci w głowie, wybrańcze niebios - mruknął kwaśno Hal po angielsku.

- Udzielam ci królewskiej dyspensy - odparł Aboli, nie uśmiechając się. - Wolno ci nie klękać w mojej obecności i nie posypywać głowy popiołem.

Wieśniacy przynieśli im rzeźbione drewniane zydle, a także tykwy ze zmieszaniem z krwią zsiadłym mlekiem, papkę z prosa, dzikie ptaki z rusztu oraz pieczone termity i gąsienice z opalonymi w ogniu włoskami.

- Musisz spróbować wszystkiego, czym cię częstują, w przeciwnym razie bardzo się obrażą - ostrzegł Aboli, po czym wychylił całą tykwę zmieszanego z krwią mleka.

Hal zdołał przełknąć zaledwie kilka łyków, ale inne specjały przypadły mu nawet do gustu: gąsienice przypominały w smaku świeży sok z trawy, a termity były chrupiące i pyszne niczym pieczone kasztany.

Kiedy skończyli jeść, wódz wioski podpełzł na czworakach, żeby udzielić odpowiedzi na pytania Abolego.

- Gdzie leży miasto Monomatapy?

- W odległości dwóch dni marszu w stronę zachodzącego słońca.

- Potrzebuję dziesięciu mężczyzn, żeby mnie tam zaprowadzili.

- Jak sobie życzysz, wielki Mambo.

Dziesięciu mężczyzn było gotowych do drogi w ciągu godziny. Mały Tweti i jego towarzysze płakali gorzko, bo zamiast towarzyszyć wielkiemu wodzowi, musieli zająć się z powrotem swoimi krowami.

Szlak, którym posuwali się na zachód, prowadził przez szerokie trawiaste sawanny i rzadkie lasy porośnięte wysokimi pięknymi drzewami. Spotykali coraz więcej garbatego bydła, którego pilnowali mali nadzy chłopcy. Co dziwne, pasło się ono tuż obok stad dzikich antylop. Niektóre z tych ostatnich przypominały kształtem gniade lub karę konie, różniąc się od nich tylko wykrzywionymi do tyłu niczym orientalne szable rogami, które dotykały niemal ich boków.

Kilkakrotnie widzieli w lasach stada słoni składające się z samic i małych słońątek. Raz przeszli w odległości kabla od wychudłego samca stojącego pod ciernistym drzewem o płaskiej koronie, pośrodku otwartej sawanny. Nie okazując wcale strachu, rozpostarł swoje postrzępione uszy niczym bitewne sztandary, zadarł wysoko kły i przyglądał się im małymi oczkami.

- Jego kły musiałyby nieść dwóch silnych mężczyzn - oświadczył Aboli. - Na rynku w Zanzibarze dostaliby po trzydzieści funtów za sztukę.

Mijali po drodze małe wioski z krytymi słomą chatami w kształcie uli, podobnymi do tej, w której mieszkał Tweti. Wieść o ich przybyciu rozniosła się najwyraźniej po całej okolicy, ponieważ mieszkańcy wybiegali, żeby przyrzeć się tatuazom Abolego, a potem padali przed nim na twarz i posypywali głowy pyłem.

Każdy z miejscowych wodzów błagał Abolego, aby zaszczycił jego wioskę, spędzając noc w nowej chacie, którą wybudowali specjalnie w tym celu, gdy tylko usłyszeli, że się zbliża. Oferowano im jedzenie i picie, tykwy mleka zmieszanego z krwią i gliniane garnki z piwem z prosa.

Dostawali w prezencie żelazne groty dzid, ostrza siekier, niewielkie słoniowe kły, skórzane opończe i torby. Aboli dotykał każdego z podarunków na znak, że go przyjmuje, po czym zwracał go ofiarodawcy.

Przyprowadzali mu do wyboru dziewczęta, małe nimfetki z miedzianymi bransoletami na rękach i kostkach i osłaniającymi wstydlive miejsca skąpymi fartuszkami z paciorków. Dziewczęta chichotały, zasłaniając usta filigranowymi różowymi dłońmi i spoglądając nieśmiało na Abolego wielkimi ciemnymi, lśniącymi z podziwu oczyma. Ich pączkujące piersi wysmarowane były krowim sadłem i czerwoną gliną, a nagie okrągłe pośladki podrygiwały z żalu, gdy Aboli odsyłał je z powrotem. Odchodząc oglądały się przez nagie ramię z pożądaniem i czcią. Wiedziały, jak wielkim cieszyłyby się szacunkiem, gdyby wybrał je Monomatapa.

Drugiego dnia zobaczyli przed sobą kolejne pasmo pagórków. Były bardziej strome i skaliste niż te, które widzieli poprzednio. Podchodząc bliżej zauważyli, że szczyt każdego ufortyfikowano dodatkowo kamiennymi murami.

- To wielkie miasto Monomatapy. Zbudowano je na szczytach wzgórz, żeby odeprzeć ataki łowców niewolników. Jego wojownicy w każdej chwili gotowi są ich odeprzeć.

Na spotkanie wyległ tłum ludzi, setki kobiet i mężczyzn, którzy założyli z tej okazji najpiękniejsze ozdoby z paciorków i rzeźbionej kości słoniowej. Starsi mieli na głowach pióropusze z pawich piór i spódniczki z krowich ogonów. Wszyscy mężczyźni uzbrojeni byli w dzidy i bojowe łuki przewieszane przez plecy. Na widok twarzy Abolego wydawali z siebie jęk podziwu i padali przed nim na ziemię, tak że mógł stąpać po ich drżących ciałach.

Porwani przez tłum, podążali w stronę najwyższego wzgórza, mijając po drodze kilka bram. Część ludzi zostawała przed każdą z nich, aż w końcu, gdy zbliżyli się do fortecy stojącej na szczycie, towarzyszyło im tylko kilku wodzów, wojowników i najwyższej rangi doradców dzierżących wszystkie symbole i ozdoby swojego urzędu.

Nawet oni jednak zatrzymali się u progu ostatniej bramy. Jeden z dostojnych starców o srebrzystych włosach i orlim wzroku wziął Abolego za rękę i wprowadził go na wewnętrzny dziedziniec. Hal odtrącił doradców, którzy chcieli go powstrzymać, i podążył w ślad za Abolim.

Dziedziniec wyłożony był gliną, którą zmieszano z krwią i krowim nawozem, a potem wygładzono tak, że przypominała czerwony marmur. Wokół stały chaty o wiele większe od tych, które Hal widział poprzednio, bogato zdobione i kryte złocistą świeżo ściętą trawą. Wejście do każdej udekorowane było czymś, co na pierwszy rzut oka wydawało się wyrzeźbionymi z kości słoniowej kulami. Dopiero przecinając dziedziniec, Hal uświadomił sobie, że to ludzkie czaszki i że wokół całego dziedzińca wznoszą się co kilkanaście jardów usypane z nich wysokie piramidy.

Przy każdej piramidzie stał pał, którego zaostrzony koniec wbito w odbył sterczącego na nim skazańca. Większość ofiar była od dawna martwa i cuchnęła, ale dwie lub trzy wciąż poruszały się i jęczały żałośnie.

Starzec zatrzymał się pośrodku dziedzińca i Hal i Aboli stali przez chwilę w milczeniu. Nagle z największej i najbardziej imponującej chaty gruchnęła dziwaczna kakofonia niezbornych ludzkich głosów i prymitywnych instrumentów muzycznych. Na zalany słońcem dziedziniec wyszła procesja dziwnych osobników, którzy podrygiwali i pełzali jak insekty po gładkim klepisku. Ciała i twarze pomazane mieli kolorową gliną i wymalowane w fantastyczne wzory. Obwieszeni talizmanami, amuletami, magicznymi

fetyszami i innymi akcesoriami czarodziejskiego fachu, zawodzili, wyli i mamrotali niezrozumiale, przewracając oczyma, zgrzytając zębami, bijąc w bębenki i brzdąkając na jednostrunnych harfach.

W pewnej odległości podążały za nimi dwie zupełnie nagie kobiety. Pierwsza, dojrzała matrona, miała duże, pełne pokarmu piersi i pobrużdżony po wielu ciążach brzuch. Druga była smukłą zgrabną dziewczyną o okrągłej jak księżyc twarzy, pełnych wargach i zaskakująco białych zębach. Hal nie widział jeszcze tak ładnej kobiety w całym kraju Monomatapy. Miała wąską talię, szerokie biodra i skórę niczym czarna satyna. Po kilku krokach uklękła na czworakach, odwracając się do nich pośladkami. Hal przestąpił niespokojnie z nogi na nogę, gdy odsłoniła przed nim najbardziej intymne części swojego ciała. Mimo że znajdowali się w niebezpiecznej i niepewnej sytuacji, poczuł, jak podnieca go jej gotowość.

- Nie okazuj żadnych uczuć - ostrzegł go cicho Aboli. - Nie ruszaj się, jeśli ci życie miłe.

Czarownicy umilkli i przez chwilę nic się nie działo. A potem w progu chaty ukazał się potężny tegi mężczyzna w płaszczu ze skóry leoparda. Na głowie miał czapkę z takiego samego cętkowanego futra. Dzięki niej wydawał się jeszcze większy niż w rzeczywistości.

Mężczyzna stał przez chwilę w progu, łypiąc na nich okiem. Wszyscy klęczący na dziedzińcu czarownicy jęczeli głośno z zachwytu i zakrywali dłońmi oczy, dając do zrozumienia, że poraziło ich jego piękno i majestat.

Hal nie spuścił wzroku. Trudno było mu zastosować się do rady Abolego i nie okazywać żadnych uczuć, na obliczu Monomatapy widniał bowiem dokładnie taki sam tatuaż, jaki widywał od małego dziecka na wielkiej okrągłej twarzy Abolego.

- Widzę cię, wielki Mambo - przerwał ciszę Aboli. - Widzę cię, mój bracie. Widzę cię, NTofho, synu mego ojca.

Oczy Monomatapy zwężyły się lekko, ale jego hebanowe rysy pozostały nieporuszone. Wolnym i dostojnym krokiem podszedł do klęczącej dziewczyny, usiadł jak na stołku na jej wygiętym w łuk grzbiecie i nie odzywając się ani słodem, piorunował wzrokiem Abolego i Hala.

Po chwili machnął niecierpliwie ręką na stojącą obok kobietę, która ujęła jedną ze swoich piersi i wsunęła nabrzmiały sutek między jego wargi, dając mu possać. Monomatapa wypił trochę mleka, poruszając grdyką, a potem odsunął kobietę i otarł wierzch dłoni. Pokrzepiony ciepłym pokarmem, spojrzał na swojego głównego wróżbitę.



- Powiedz mi, kim są ci obcy, Sweswe! - rozkazał. - Chcę usłyszeć przepowiednię, o ty, którego umiłowały ciemne duchy!

Najstarszy i najbrzydszy ze wszystkich czarowników zerwał się na nogi i zaczął wirować w dzikim tańcu, podskakując wysoko i potrząsając trzymaną w rękę grzechotką.

- Zdrada! - wrzasnął, plując na wszystkie strony spienioną śliną. - Świętokradstwo! Kto ośmiela się twierdzić, że jest spokrewniony z Synem Niebios? - Niczym pomarszczona małpa doskoczył do Abolego na swoich chudych nogach. - Czuję w powietrzu woń zdrady! - Cisnął grzechotkę na ziemię i wyciągnął z pasa różdżkę z krowiego ogona. - Czuję woń buntu! - Machnął różdżką, zaczął drzeć na całym ciele i błyskać białkami oczu. - Cóż to za demon, który ośmiela się naśladować święty tatuaż? Uważaj! Duch twojego ojca, wielkiego Holomimy, domaga się krwawej ofiary! - wrzasnął, mając zamiar skoczyć na Abolego i uderzyć go w twarz magiczną różdżką.

Aboli był szybszy. Jego kord wysunął się z pochwy, jakby był żywą istotą. Aboli ciął na odlew i w słońcu błysnęło jasne ostrze. Odrąbana od tułowia głowa czarownika potoczyła się po jego plecach i legła na gładkim klepisku z wytrzeszczonymi oczyma i ustami, które wciąż krzywiły się i drżały, jakby chciały rzucić kolejne szalone oskarżenie.

Bezgłowe ciało stało przez chwilę na uginających się nogach. Z szyi trysnęła wysoko w górę fontanna krwi, magiczna różdżka wypadła z dłoni i czarownik osunął się powoli na ziemię.

- Duch naszego ojca domagał się krwawej ofiary - stwierdził cicho Aboli. - I oto jego syn, Aboli, złożył ją Holomimie.

Przez dłuższy moment, który Halowi wydawał się trwać całą wieczność, nikt z królewskiego otoczenia nie poruszył się ani nie odezwał. A potem Monomatapa zaczął się cały trząść. Podskakiwał mu wydatny brzuch i pokryty tatużami podwójny podbródek, a twarz wykrzywiło coś, co można było wziąć za grymas furii.

Hal położył dłoń na rękojeści kordu.

- Jeśli to naprawdę twój brat, w takim razie zabiję go za ciebie - szepnął do Abolego. - Ubezpieczaj mnie z tyłu, kiedy będziemy próbowali się stąd wydostać.

Król otworzył nagle szeroko usta i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Wytatuowany złożył ofiarę, której domagał się Sweswe! - ryknął i ogarnęła go taka wesołość, że przez dłuższy czas nie mógł się odezwać. Trząsał się cały, łapał kurczowo powietrze, chwycił się za brzuch i znowu wybuchnął śmiechem. - Widzieliście, jak stał tu bez głowy, a jego usta wciąż próbowały coś powiedzieć? - zapytał i po policzkach pociekły mu łzy.

Banda czarowników zaczęła mu wtórować, skrzecząc i piszcząc z uciechy.

- Niebiosy się roześmiały! - powtarzali. - I wszyscy nie posiadają się ze szczęścia!

Monomatapa nagle przestał się śmiać.

- Przynieście mi głupią głowę Sweswe! - powiedział i doradca, który wprowadził ich na dziedziniec, skoczył do przodu, żeby wykonać rozkaz. Podniósł ją i podał na klęczkach królowi.

Ten złapał głowę za zbitą masę wełnistych włosów, spojrzął w wytrzeszczone oczy czarownika i znowu zaczął się śmiać.

- Jak można być tak głupim, żeby nie rozpoznać królewskiej krwi? Jak mogłeś nie poznać mojego brata Abolego po jego majestatycznej postawie i gwałtownym temperamencie?

Cisnął ociekającą krwią głowę w innych czarowników, którzy pierzchli w popłochu.

- Uciecie się na głupich błędach Sweswe - upomniął ich. - Nie chcę słyszeć od was więcej fałszywych przepowiedni. Wynoście się wszyscy, bo poproszę mojego brata, żeby złożył kolejną krwawą ofiarę!

Czarownicy uciekli przerażeni, a Monomatapa wstał ze swego żywego tronu i podszedł do Abolego z szerokim radosnym uśmiechem na tłustej wytatuowanej twarzy.

- Witaj, Aboli, mój bracie, który umarł dawno temu i teraz znowu jest wśród żywych - powiedział, obejmując go.

Oddano im do dyspozycji jedną z bogato zdobionych chat przy głównym dziedzińcu i przysłano procesję dziewcząt dźwigających na głowach gliniane misy z gorącą wodą, żeby mogli się umyć. Inne dziewczęta niosły na tacach ozdobione paciorkami skórzane przepaski na biodra i płaszcze z piór i futer, które miały zastąpić ich pobrudzone podczas podróży ubrania.

Umyli się i przebrali w nowe szaty. Kolejna grupka dziewcząt przyniosła tykwy z piwem, sfermentowanym dzikim miodem oraz zmieszany z krwią mlekiem, a także tace z gorącym jedzeniem.

Gdy się najedli, złożył im wizytę srebrnowłosy starzec, który zaprowadził ich wcześniej na główny dziedziniec. Z wielką uprzejmością i oznakami szacunku przykucnął przy Abolim.

- Kiedy mnie ostatnio widziałeś, panie, byłeś zbyt mały, żeby mnie zapamiętać. Nazywani się Zama. Byłem Induną twojego ojca, wielkiego Monomatapy Holomimy.

- Bardzo żałuję, Zamo, ale pamiętam niewiele z tamtych czasów. Pamiętam mojego brata, NTofho. Pamiętam ból, jaki sprawił mi tatuaż i obrzezanie, któremu zostaliśmy wspólnie poddani. Pamiętam, że NTofho kwiczał głośniej ode mnie.

Zama ściągnął brwi i potrząsnął głową, jakby chciał ostrzec Abolego, że nie wolno w tak lekceważący sposób mówić o królu.

- Wszystko to prawda, tyle że Monomatapa nigdy nie kwiczał - oznajmił spokojnie. - Byłem obecny podczas rytuału noża i to ja trzymałem twoją głowę, kiedy gorące żelazo znaczyło twoje policzki i przycięło kaptur twojego penisu.

- Mam wrażenie, że przypominam sobie teraz niewyraźnie twoje ręce i słowa pociechy. Dziękuję ci za nie, Żarno.

- Ty i NTofho byliście bliźniakami. Urodziliście się w tej samej godzinie i dlatego wasz ojciec rozkazał, abyście obaj nosili królewski tatuaż. Wcześniej nie było takiego zwyczaju. Nigdy przedtem obaj królewscy synowie nie zostali wytatuowani podczas tej samej ceremonii.

- Mało pamiętam mojego ojca, prócz tego że był wysoki i silny. Pamiętam, jak bardzo się bałem, kiedy zobaczyłem po raz pierwszy jego tatuaże.

- Był potężnym i groźnym królem - zgodził się Zama.

- Pamiętam noc, kiedy zginął. Pamiętam krzyki, strzały z muszkietów i straszliwe płomienie, które rozjaśniły noc.

- Byłem tu, kiedy przybyli ze swoimi łańcuchami łowcy niewolników. - W oczach starego zalśniły łzy. - Byłeś taki mały, Aboli. Dziwię się, że to pamiętasz.

- Opowiedz mi o tamtej nocy.

- Zgodnie ze zwyczajem i moim obowiązkiem spałem przy drzwiach chaty twojego ojca. Byłem przy nim, gdy trafiła go kula wystrzelona z muszkietu łowcy niewolników. - Zama umilkł na chwilę, przypominając sobie tę scenę, a potem podniósł z powrotem wzrok. - Zostaw mnie, Zamo, szepnął umierając. Ratuj moich synów. Ocal Monomatapę, powiedział i pobiegłem wypełnić jego ostatnią wolę.

- Pobiegłeś mnie ratować? - zapytał Aboli.

- Pobiegłem do chaty, gdzie spałeś wraz ze swoim bratem i matką. Chciałem cię zabrać, ale twoja matka nie zgodziła się na to. Weź NTofho, zawołała, bo zawsze byłeś jej ulubieńcem. Złapałem więc twojego brata i wybiegłem z nim w noc. Ja i twoja matka zgubiliśmy się w ciemności. Słyszałem jej krzyki, ale trzymałem w objęciach drugie dziecko, a powrót oznaczałby niewolę dla nas wszystkich i wygaśnięcie królewskiej dynastii. Przebacz mi, Aboli, ale zostawiłem ciebie i twoją matkę i uciekłem razem z NTofho w góry.

- Nie można cię za to winić - rozgrzeszył go Aboli. Zama rozejrzał się ostrożnie dookoła. Jego usta poruszyły się, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

- Dokonałem złego wyboru. Powinienem być zabrać ciebie.

Wyraz jego twarzy zmienił się i przysunął się do Abolego, jak gdyby miał zamiar powiedzieć coś więcej. A potem odsunął się niechętnie, jakby zabrakło mu odwagi na podjęcie niebezpiecznej gry.

- Wybacz mi, Aboli, synu Holomimy - powiedział wstając - ale muszę już iść.

- Wybaczam ci wszystko - odparł cicho Aboli. - Wiem, co myślisz w głębi serca. Zastanów się nad rym, Zamo. Inny lew ryczy teraz na szczycie wzgórza, które mogło należeć do mnie. Mnie przeznaczony jest już inny los.

- Masz rację, Aboli, a ja jestem już stary. Nie mam sił i chęci zmieniać tego, czego nie można zmienić. - Zama wyprostował się. - Monomatapa udzieli wam kolejnego posłuchania jutro rano. Przyjdę po was. Proszę, nie próbujcie opuszczać królewskiej rezydencji bez zgody króla - dodał, zniżając głos.

Kiedy odszedł, Aboli uśmiechnął się.

- Zama poprosił, żebyśmy się stąd nie oddalali. Niełatwo byłoby to zrobić. Widziałeś strażników, których postawiono przy każdym wyjściu?

- Trudno ich nie zauważyć.

Hal wstał z rzeźbionego zydła i podszedł do niskiego wyjścia z chaty. Przy bramie naliczył dwudziestu mężczyzn. Wszyscy byli roslymi wojownikami, wysokimi i dobrze umięśnionymi, zbrojnymi w dzidy i wojenne topory, z tarczami z nakrapianej czarnej bydłowej skóry i piórami żurawia we włosach.

- Trudniej stąd wyjść niż tu wejść - zauważył ponuro Aboli. O zachodzie słońca do chaty weszła kolejna procesja młodych kobiet, niosąc wieczorny posiłek.

- Rozumiem teraz, dlaczego twój królewski brat ma tyle tłuszczu - stwierdził Hal, zerkając na tace uginające się pod ciężarem jedzenia.

Gdy zaspokoili głód, kobiety odeszły, zabierając półmiski i tykwy, i do chaty zajrzał ponownie Zama. Tym razem prowadził ze sobą za ręce dwie dziewczyny, które uklękły przed Halem i Abolim. W ładniejszej i śmielszej Hal rozpoznał tę, która służyła za żywy tron Monomatapie.

- Monomatapa przysłała te dwie młódki, żeby osłodziły wasze sny miodem swoich lędźwi - oświadczył Zama, po czym wyszedł.

Skonsternowany Hal zobaczył, że ładniejsza dziewczyna podnosi głowę i nieśmiało się do niego uśmiecha. Miała łagodną słodką buzię, pełne wargi, wielkie ciemne oczy i

ozdobione paciorkami warkoczyki, które opadały jej na ramiona. Jej błyszczące ciało było pulchne i nagie, z wyjątkiem skąpego fartuszka z paciorków z przodu.

- Patrzę na ciebie, wielki panie - szepnęła - i przymykam oczy z zachwytu na twój widok.

Podpełzła bliżej niczym kociak i położyła głowę na jego kolanach. Hal zerwał się jak oparzony.

- Nie możesz tu zostać - powiedział. - Musisz stąd natychmiast odejść.

Dziewczyna spojrzała na niego przerażona. W jej ciemnych oczach stanęły łzy.

- Czy ci się nie podobam, wielki panie? - wymamrotała.

- Jesteś bardzo ładna, ale... - zaczął i urwał. Jak mógł jej wytłumaczyć, że poślubił złote wspomnienie?

- Pozwól mi ze sobą zostać, panie - rzuciła błagalnym tonem. - Jeśli mnie odrzucisz, trafię w ręce kata. Zginę na palu, którego ostry koniec przebije moje wnętrzności. Błagam, pozwól mi żyć, wielki panie. Zlituj się nad nędzną kobietą, Przeświecna Biała Twarzy!

- Co mam robić? - zapytał Hal, zwracając się do Abolego.

- Odeślij ją - odparł, wzruszając ramionami. - Jak sama powiedziała, jest tylko nędzną kobietą. Możesz zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć, jak krzyczy wbita na pal.

- Nie kpij ze mnie, Aboli. Wiesz, że nie mogę zdradzić kobiety, którą kochałem.

- Sukeena umarła, Gundwane. Ja też ją kochałem, kochałem jak brat, ale umarła. To dziecko jeszcze żyje, lecz jeśli się nad nim nie zlitujesz, nie doczeka jutrzejszego wieczoru. Sukeena nie domagała się od ciebie ślubu czystości.

Aboli pochylił się nad drugą dziewczyną, podał jej rękę i pomógł wstać.

- Nie mogę ci w niczym pomóc, Gundwane. Jesteś mężczyzną i Sukeena dobrze o tym wiedziała. Nie sądzę, żeby miała ci za złe to, że zachowujesz się, jak na mężczyznę przystało.

Zaprowadził swoją dziewczynę w głąb chaty, gdzie stały dwa rzeźbione drewniane zagłówki. Położył ją na miękkich karossach i zaciągnął za sobą skórzaną zasłonę.

- Jak się nazywasz? - zapytał Hal klęczącej u jego stóp dziewczyny.

- Mam na imię Inyosi, Pszczeli Miód. Proszę, nie wysyłaj mnie na śmierć - odparła, łapiąc go za nogi i tuląc twarz do jego podbrzusza.

- Nie mogę - wymamrotał. - Moje serce należy do innej. - Ale miał na sobie tylko opaskę z paciorków i czuł jej ręce, które gładziły go po udach, i ciepły oddech na brzuchu. - Nie mogę - powtórzył z rozpaczą i w tej samej chwili dłoń Inyosi wsunęła się pod jego opaskę.

- Twoje usta mówią jedno, potężny panie - mruknęła - lecz wielka włócznia twojej męskości mówi co innego.

Hal wydał z siebie stłumiony jęk, po czym złapał ją na ręce i zaniósł na własne posłanie. Inyosi była początkowo zaskoczona gwałtownością jego pasji, ale po chwili wydała z siebie radosny okrzyk i odpowiedziała pocałunkami na jego pocałunki.

- Ocaliłeś moje nędzne życie. W zamian ja spróbuję ocalić twoje, wielki panie - mruknęła o świcie, szykując się do wyjścia. Pocałowała go po raz ostatni, a potem, nie odejmując prawie warg od ust Hala, szepnęła: - Słyszałam, jak Monomatapa rozmawiał z Zamą, siedząc na moim grzbiecie. Uważa, że Aboli wrócił, żeby odebrać mu Niebiański Tron. Jutro podczas audiencji, na którą wezwał ciebie i Abolego, da rozkaz swoim strażnikom, żeby was ujęli i stracili ze szczytu skały na pożarcie sępom i hienom. - Inyosi przytuliła się do jego piersi. - Nie chcę, żebyś umarł, mój panie. Jesteś zbyt piękny.

Powiedziawszy to, wstała z posłania i wyślizgnęła się z chaty. Hal podszedł do paleniska i dorzucił do niego kilka drewna. Dym wydostał się na zewnątrz przez dziurę w sklepionym dachu, a płomień zalał wnętrze migotliwym żółtym światłem.

- Jesteś sam, Aboli? Musimy natychmiast porozmawiać - zawołał i Murzyn wyjrzał zza zasłony.

- Dziewczyna śpi, ale mówmy lepiej po angielsku.

- Twój brat ma zamiar zabić nas obu podczas audiencji.

- Powiedziała ci o tym twoja przyjaciółka? - zapytał Aboli. Na wzmiankę o swej niewierności Hal pochylił ze skruchą głowę.

Aboli uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Mała Inyosi uratowała ci życie. Sukeena bardzo by się z tego ucieszyła. Nie powinieneś robić sobie wyrzutów.

- Jeśli nawet uda nam się uciec, twój brat wyśle za nami w pościg całą armię. Nigdy nie dotrzemy z powrotem do wielkiej rzeki.

- Więc może masz jakiś plan, Gundwane?

Starzec przyszedł, żeby zaprowadzić ich na królewską audiencję. Wyszli z mrocznego wnętrza chaty na oślepiające afrykańskie słońce i Hal przystanął na chwilę, żeby przyjrzeć się dworowi Monomatapy.

Nie był w stanie zliczyć wszystkich obecnych, ale na dziedzińcu stała chyba cała armia: przeszło tysiąc rośli wojowników przystrojonych w wysokie pióropusze, które czyniły z nich prawdziwych olbrzymów. Lekki poranny wietrzyk szarpał i stroszył żurawie pióra, a słońce lśniło na szerokich grotach włóczni.



Całą przestrzeń za królewską gwardią aż po granitowe mury cytadeli wypełniała plemienna starszyzna. Sto królewskich żon tłoczyło się przy wejściu do chaty władcy. Niektóre były tak grube i obwieszane tyloma bransoletami i ozdobami, że nie mogły chodzić o własnych siłach i opierały się o swoje służebnice. Kiedy szły, ich pośladki kołysały się niczym miękkie pęcherze wypełnione sadłem.

Zama zostawił Hala i Abolego pośrodku dziedzińca. Zapadła głucha cisza i wszyscy zastygli w bezruchu. Dowódca straży zadał w końcu w spiralny róg antylopy kudu i w drzwiach królewskiej chaty ukazał się Monomatapa.

Przez tłum przeszło głębokie westchnienie i wszyscy jak jeden mąż padli na ziemię, zakrywając twarze. Tylko Hal i Aboli stali w miejscu.

Monomatapa podszedł do swojego żywego tronu i zasiadł na nagich plecach Inyosi.

- Odezwij się pierwszy! - szepnął półgębkiem Hal. - Nie pozwól mu wydać rozkazu naszej egzekucji.

- Widzę cię, mój bracie! - zawołał Aboli i dworacy jęknęli głośno, przerażeni tak bezczelnym naruszeniem protokołu. - Widzę cię, Wielki Władco Niebios!

Monomatapa nie dał po sobie poznać, że go słyszy.

- Przynoszę ci pozdrowienia od ducha naszego ojca, Holomimy, który był Monomatapa przed tobą.

Brat Abolego wzdrygnął się, jakby zobaczył przed sobą szykującą się do ataku kobrę.

- Rozmawiasz z duchami? - zapytał drżącym głosem.

- Dziś w nocy przybył do mnie nasz ojciec. Był wielki jak drzewo baobabu, a zamiast oczu miał w twarzy dwa gorejące płomienie. Jego głos huczał niczym niebiański grzmot. Przybył, żeby mnie ostrzec.

Wszyscy zgromadzeni jęknęli, przejęci zabobonnym lękiem.

- Przed czym cię ostrzegł? - zaskrzeczał Monomatapa, wpatrując się ze zgrozą w swego brata.

- Ojciec obawia się o nas, o ciebie i o mnie. Obu nam zagraża wielkie niebezpieczeństwo.

Kilka tłustych żon wrzasnęło ze strachu, a jedna padła na ziemię, tocząc z ust pianę.

- Cóż to za niebezpieczeństwo, Aboli? - zapytał król, oglądając się niespokojnie dookoła, jakby podejrzewał o mordercze zamiary któregoś ze swoich dworaków.

- Ojciec powiedział, że nasze losy są nierozdzielnie związane ze sobą. Jeśli jednemu dobrze się wiedzie, to samo można powiedzieć o drugim.

Monomatapa kiwnął głową.

- Co jeszcze powiedział ci nasz ojciec?

- Powiedział, że śmierć połączy nas tak samo, jak połączyło nas życie. Przepowiedział, że umrzemy tego samego dnia i że sami sobie ten dzień wybierzemy.

Król zrobił się szary na twarzy i oblał perlistym potem. Starcy wrzasnęli głośno, a ci, którzy stali najbliżej, wyciągnęli małe żelazne noże i zaczęli kaleczyć nimi piersi i ramiona, kropiąc krwią ziemię, żeby uchronić władcę od złego uroku.

- Słowa mojego ojca głęboko mnie zaniepokoiły - podjął po chwili Aboli. - Chciałbym zamieszkać wraz z tobą w Niebiańskim Kraju, aby uchronić cię przed złym losem, niestety ojciec ostrzegł mnie, że jeśli zostanę tutaj choćby dzień dłużej, umrę, a wraz ze mną umrze Monomatapa. Muszę cię natychmiast opuścić i nie wolno mi tu nigdy powrócić. To jedyny sposób, żebyśmy obaj uniknęli wiszącej nad nami klątwy.

- Niechże więc tak się stanie. - Monomatapa podniósł się z żywego tronu i wyciągnął w stronę Abolego drżący palec. - Dzisiaj musisz nas opuścić.

- Niestety, mój ukochany bracie. Nie mogę odejść, jeśli nie uzyskam łaski, o którą przybyłem cię prosić.

- Mów, Aboli. Czego ci brakuje?

- Muszę mieć stu pięćdziesięciu najlepszych wojowników, aby chronili mnie przed straszliwym wrogiem. Bez tych żołnierzy czeka mnie niechybna śmierć, a moja śmierć pociągnie za sobą śmierć Monomatapy.

- Wybierz ich sobie! - ryknął król. - Wybierz najlepszych Amadoda i zabierz ich ze sobą. Będą twoimi sługami i możesz zrobić z nimi, co ci się podoba. Ale odejdz stąd już dzisiaj, zanim zajdzie słońce. Opuść na zawsze mój kraj.

Dowodzący pierwszą barką, Hal, minął piaszczystą mierzewę i wypłynął z ujścia rzeki Muselo na pełne morze. Tuż za nim płynął Duży Daniel, a przed nimi, dokładnie tam, gdzie ją zostawili, stała na głębokości dziesięciu sążni Golden Bough. Widząc, jak się zbliżają, Ned Tyler kazał załodze zająć stanowiska bojowe i wyrzucić działa. W obu łodziach siedziała taka masa ludzi, że burty wystawały za ledwie na cal z wody i z daleka przypominały wojenne afrykańskie czółna. Błyszczące groty włóczy i powiewające na wietrze pióropusze wojowników potęgowały groźne wrażenie i Ned kazał oddać ostrzegawczy strzał. Działo bluznęło ogniem i pół kabla przed prowadzącą barką podniosła się fontanna wody. Hal stanął na dziobie i pomachał croixpatte.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - jęknął Ned. - Strzelaliśmy do naszego kapitana.

- Nieprędko zapomnę, jakie zgotowałeś mi powitanie, panie Tyler - oznajmił cierpko Hal, wchodząc na pokład. - Należy mi się salut z czterech dział, a niejeden strzał.

- Niech cię Bóg błogosławi, kapitanie. Nie miałem pojęcia, że to ty. Myślałem, że to banda dzikusów.

- Ale to my, panie Tyler. To my! - oświadczył Hal, szczerząc zęby, kiedy horda roślących wojowników wspięła się na pokład Golden Bough. - Myślisz, że zdołamy z nich zrobić żeglarzy, panie Tyler?

Kiedy tylko wyszli na pełne morze, Hal skierował ponownie dziób na północ i pożegłował cieśniną, która dzieliła Madagaskar od kontynentu. Płynął do Zanzibaru, gdzie koncentrował się cały handel wschodniego wybrzeża Afryki. Miał nadzieję zasięgnąć języka na temat wojny toczącej się w Wielkim Rogu i przy odrobinie szczęścia dowiedzieć się czegoś o zamiarach Cochrana.

Dla czarnych wojowników był to czas aklimatyzacji. Wszystko na pokładzie Golden Bough było dla nich obce. Żaden nie widział dotąd morza. Uważali, że barki są największymi czółnami, jakie kiedykolwiek zbudował człowiek, i zgrozą przejęły ich rozmiary statku, wysokość jego masztów i rozpiętość żagli.

Większość natychmiast zapadła na chorobę morską i minęło wiele dni, nim ponownie stanęli pewną nogą na pokładzie. Dieta składająca się z sucharów i solonego mięsa rozregulowała ich kiszki przyzwyczajone do kaszy z prosa i zmieszanego z krwią mleka. Nigdy jeszcze nie byli zmuszeni gnieździć się na tak niewielkiej przestrzeni i tęsknili za szerokimi sawannami.

Dokuczał im chłód, gdyż wiejące z południa pasaty były zimne, a temperatura ciepłego mozambickiego prądu o wiele stopni niższa od tej, która panowała na spalonych słońcem afrykańskich równinach. Hal nakazał Althudzie, pod którego pieczęcią znajdowały się okrętowe magazyny, wydać im bele żaglowego płótna, a Aboli pokazał, jak uszyć sobie portki i kubraki.

Wkrótce zapomnieli o tych strapieniach, gdy Aboli rozkazał drużynie wspiąć się wraz z Jirim, Matesim i Kimattim na wanty i postawić oraz refować żagle. Na zawrotnej wysokości stu stóp nad pokładem i falującym morzem, zawieszeni na wielkim wahadle grotmasztu, wojownicy, z których każdy zabił swojego lwa, po raz pierwszy w życiu poczuli paniczny strach.

Aboli wdrapał się tam, gdzie czepiali się bezradnie wantów, i zaczął się z nich naigrawać.

- Spójrzcie tylko na tych prawiczków. Myślałem, że znajdzie się wśród nich może jeden mężczyzna, ale widzę, że powinni wszyscy kucać, kiedy sikają.

Staął wyprostowany na kołyszącej się rei, a potem śmiejąc się z nich przebiegł po jej drzewcu na sam kraniec i zaczął przytupywać i podskakiwać w wojennym tańcu. Jeden z wojowników nie mógł znieść dłużej jego drwin; przestał trzymać się kurczowo olinowania i przeszedł na drżących nogach po rei.

- Jeden prawdziwy mężczyzna! - roześmiał się Aboli, obejmując go i ściskając.

W ciągu następnego tygodnia trzech wojowników spadło z rei, chcąc dokonać tej samej sztuki. Dwóch runęło do morza i zanim Hal zdążył zawrócić statek, pożarły ich rekiny. Trzeci roztrzaskał się o deski pokładu i ten miał z nich wszystkich najłagodniejszą śmierć. Więcej wypadków nie było i wojownicy, z których każdy przywykł od najmłodszych lat wspinać się po miód i ptasie jaja na najwyższe drzewa, rychło stali się wprawnymi majtkami.

Kiedy Hal kazał wynieść z ładowni i rozdać ciężkie piki, z ich gardel wydarł się krzyk radości i odtańczyli triumfalny taniec, byli bowiem urodzonymi oszczepnikami. Podziwiali solidne drzewca i mordercze żelazne groty. Aboli dostosował ich taktykę i szyk bitewny do ograniczonej przestrzeni Golden Bough. Pokazał, jak sformować klasycznego „rzymskiego żółwia”, z nachodzącymi jedna na drugą tarczami, które wyglądały niczym łuski pancernika. Ustawieni w tym szyku, mogli bez przeszkód poruszać się po pokładzie nieprzyjacielskiego okrętu.

Na polecenie Hala zawieszono pod przednim kasztem ciężką matę z pakuł. Służyła im jako tarcza, i kiedy nauczyli się chwytać w odpowiednim miejscu ciężkie piki, rzucali nimi na całą długość statku, wbijając groty w zbitą masę włókien. Oddawali się tym ćwiczeniom z takim wigorem, że dwóch kolejnych straciło życie, zanim Aboli zdołał wbić im do głowy, iż walczą na niby i nie powinni zabijać przeciwnika.

A potem nadeszła pora, by zapoznać ich z angielskim hakiem. Ich własne łuki były w porównaniu z nim krótkie i słabe, i wojownicy patrzyli spod oka na mającą sześć stóp broń, potrząsając głowami i z powątpiewaniem napinając potężną cięciwę. Hal zabrał im łuk, założył strzałę i spojrział na pojedynczą czarno-białą mewę, która szybowała wysoko nad grotmasztem.

- Czy zjecie tego ptaka na surowo, jeśli go trafię? - zapytał, a oni roześmieli się głośno z jego żartu.

- Zjem go razem z piórami - zakrzyknął jeden z nich, duży chwata o imieniu Ingwe, Leopard.

Hal naciągnął jednym płynnym ruchem cięciwę i wypuścił strzałę, która zatoczyła łuk w powietrzu. Wojownicy krzyknęli z podziwu, kiedy ugodziła śnieżne podbrzusze ptaka, który zwinął swoje szerokie skrzydła. Mewa runęła w dół i spadła na pokład u stóp Hala. Jeden z wojowników podniósł ją i martwy ptak przechodził z rąk do rąk wśród pomruków zdumienia.

- Nie zmierzwiście mu piór - ostrzegł ich Hal. - Zepsujecie smak obiadu Ingwemu.

Od tej chwili pokochali nową broń wielką miłością i w ciągu zaledwie kilku dni stali się wyśmienitymi łucznikami. Hal spuścił na wodę pustą beczkę i holował jaw odległości jednego kabla od statku, a oni strzelali do niej, wprawdzie indywidualnie, a potem grupami na wzór angielskich łuczników. Gdy wciągnięto beczkę z powrotem, przypominała z wyglądu grzbiet jeżozwierza i udało im się odzyskać siedem z każdych dziesięciu strzał.

W jednej dziedzinie Amadoda okazali się zupełnie niepojętni. Mimo wszelkich gróźb i drwin, którymi obsypywał ich Aboli, nie odważyli się podejść bliżej do wielkich odlanych z brązu kolubryn.

- To czarna magia - wyli po każdej salwie, zdjęci zabobonnym lękiem. - To niebiański grzmot.

Hal sporządził nowy wykaz wacht. Stanowiska bojowe przy działach obsadził białymi żeglarzami, a czarnych wojowników wyznaczył do stawiania żagli i abordażu.

Wysoki wał chmur wiszących przed dziobem Golden Bough wskazywał, że zbliżają się do Zanzibaru. Szpaler kokosowych palm okalał białą plażę zatoki, ale jeszcze bielsze były potężne mury fortecy, lśniące niczym ściany lodowca w promieniach słońca. Cytadelę zbudowali przed stu lary Portugalczycy i aż do niedawna zapewniała im ona kontrolę nad wszystkimi szlakami handlowymi wschodniego wybrzeża Afryki.

Przed dziesięciu laty omańscy Arabowie pod wodzą wojowniczego króla Ahmeda El Granga „Mańkuta” przyплыли tu na swoich wojennych barkach, zaatakowali Portugalczyków i zadając im wielkie straty, wyparli stąd ich garnizon. Zanzibarska klęska oznaczała zmierzch portugalskich wpływów na tym wybrzeżu; odtąd to Omańczycy mieli przodować w handlu na Wschodzie.

Hal obejrzał fort przez okular teleskopu i zauważył powiewającą na wieży islamską chorągiew oraz gęste baterie dział na murach. Odpalona z nich salwa mogła posłać na dno każdy nieprzyjacielski statek, który odważył się wplłynąć do zatoki.

Z dreszczem podniecenia uświadomił sobie, że zaciągając się pod sztandary Księdza Jana, stanie się tym samym wrogiem Ahmeda El Granga. Któregoś dnia te wielkie działa mogły zasypać kulami Golden Bough. Tymczasem jednak musiał skorzystać z ostatniej

okazji, aby wkroczyć jako osoba neutralna na terytorium Omańczyków i zebrać jak najwięcej informacji na ich temat.

W porcie było wiele małych łodzi, w większości muzułmańskich barek z Indii, Arabii i Maskatu. Wśród nich stały tylko dwa wysokie żaglowce; na jednym powiewała flaga hiszpańska, na drugim francuska, ale Hal nie znał żadnego z nich.

Wszystkich tych kupców przyciągały do Zanzibaru bogactwa Afryki: złoto z Sofali, guma arabska, kość słoniowa i nie kończący się strumień niewolników. Co roku, gdy wraz z pasatami do portu przybywały statki z Przylądka Dobrej Nadziei i z całego rozległego basenu Oceanu Indyjskiego, wystawiano tu na sprzedaż siedem tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Hal opuścił banderę, oddając salut fortecy, i wpłynął na samych topslach do zatoki. Na jego rozkaz kotwica zanurzyła się z pluskiem w wodzie, a ostatnie żagle zwinięte zostały przez tryskających energią wojowników Abolego. Prawie natychmiast statek otoczyła flotylla łódek, z których oferowano wszelkie możliwe dobra, od świeżych owoców aż po małych chłopców. Tym ostatnim ich panowie kazali stawać na ławkach, zadzierać w górę koszulę i wypinać małe brązowe pośladki ku uciechu tłoczących się przy burcie marynarzy.

- Ładne kochasie! - wołali łamanym angielskim właściciele. - Słodkie pupy, dojrzałe jak mango.

- Panie Tyler, proszę spuścić szalupę - rozkazał Hal. - Płynę na brzeg. Zabiorę ze sobą Althudę, mistrza Daniela i dziesięciu twoich najlepszych ludzi.

Podpłynęli do kamiennych stopni pod murami fortecy i Duży Daniel pierwszy wyskoczył na brzeg, żeby odepchnąć przekupniów, których cała wataha zbiegła na dół, chcąc zaferować to, co mieli do sprzedania. W trakcie poprzedniej wizyty w Zanzibarze towarzyszył sir Francisowi w drodze na brzeg i teraz to on wskazywał drogę. Jego marynarze sformowali wokół Hala falangę i pomaszzerowali wąskimi uliczkami w głąb miasta.

Po drodze mijali bazyry i zatłoczone souki, na których handlarze wystawiali swoje towary. Kupcy i marynarze z innych statków stojących w zatoce przebierali w stosach kości słoniowej i rogów nosorożca, bryłkach pachnącej złotej gumy arabskiej i wiązkach pawich piór, targowali się o cenę dywanów z Maskatu oraz kolców jeżozwierz wypełnionych grudkami złota z Sofali i rzek afrykańskiego interioru. Łowcy niewolników zachwalali swój towar, namawiając ewentualnych nabywców, by obejrzeni zęby i pomacali mięśnie mężczyzn, albo podnieśli fartuszki i przyjrzeni się skarbowi młodych kobiet.



Z dzielnicy handlowej przeszli do innej części miasta. Budynki po obu stronach ulicy stykały się tu niemal nad ich głowami, zasłaniając światło dnia. Odór ludzkich odchodów płynących rynsztokami do portu nie dawał im prawie oddychać.

Duży Daniel zatrzymał się nagle przed obitą żelaznymi ćwiekami bramą z mahoni, na której wryto skomplikowane islamskie motywy. Pociągnął energicznie za sznur z dzwonkiem i po kilku chwilach usłyszeli odsuwane po drugiej stronie rygle. Wielkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i nagle ujrzeli przed sobą sześcioro dzieci, chłopców i dziewczynek mieszanej krwi, w wieku od pięciu do dziesięciu lat - Witajcie! Witajcie! - zaszczębiotały z dziwnym akcentem. - Niechaj spłynie na ciebie błogosławieństwo miłosiernego Allacha, angielski panie! Niech wszystkie twoje dni opływają złotem i pachną dzikim jaśminem.

Mała dziewczynka wzięła Hala za rękę i zaprowadziła go na wewnętrzny dziedziniec. Pośrodku pluskała fontanna, w powietrzu unosił się zapach migdałów i żółtych kwiatów tamaryndy. Wysoki mężczyzna w obszernych białych szatach i arabskim złotym turbanie na głowie uniósł się ze stosu jedwabnych dywanów, na których odpoczywał.

- Przyłączam się po tysiącokroć do pozdrowień, którymi powitały cię moje dzieci, zacny kapitanie. Niechaj Allah obsypie się bogactwem i błogosławieństwami - odezwał się ze znajomym i miłym dla ucha akcentem z Yorkshire. - Zobaczyłem, jak twój wspaniały statek zarzuca kotwicę w zatoce, i wiedziałem, że wkrótce złożysz mi wizytę.

Mężczyzna klasnął w dłonie i z domu wyszli niewolnicy z tacami, na których stały kolorowe szklanki z sorbetem i mlekiem kokosowym oraz małe miseczki ze słodyczami i pieczonymi orzechami. Konsul odesłał Dużego Daniela i jego ludzi do kwater dla służby na tyłach domu.

- Dostaną coś na wzmocnienie - powiedział.

Hal rzucił Danielowi wymowne spojrzenie, które bosman świetnie zrozumiał. W islamskim domu nie mogli liczyć na poczęstunek alkoholem, lecz były za to kobiety i marynarzy trzeba było chronić przed nimi samymi. Hal zatrzymał przy sobie Althudę na wypadek, gdyby trzeba było sporządzić jakiś dokument albo coś zanotować.

Konsul zaprowadził ich w zaciszny kąt dziedzińca.

- Pozwólcie teraz, że się przedstawię. Jestem William Grey, konsul Jego Królewskiej Mości w sułtanacie Zanzibaru.

- Henry Courteney, do twoich usług.

- Znałem niejakiego sir Francisa Courteneya. Czy to może twój krewny?

- To mój ojciec.

- Ach! To prawy człowiek. Proszę, przekaż mu moje uszanowanie, gdy się z nim spotkasz.

- Niestety ojciec poległ w czasie wojny z Holendrami.

- Moje kondolencje, sir Henry. Siadaj, proszę.

Przy Halu piętrzył się stos pięknie zdobionych jedwabnych dywanów. Konsul spoczął naprzeciwko niego. Kiedy się wygodnie rozsiadł, niewolnik przyniósł mu nargile.

- Bhang to najlepsze lekarstwo na choroby wątroby i malarię, która jest prawdziwą plagą w tych rejonach - stwierdził Grey. - Masz ochotę skosztować fajki razem ze mną, panie?

Hal odmówił, słyszał bowiem o tym, co indyjskie konopie potrafią wyczyniać z umysłem, a także o snach i transach, w jakie wtrącają palacza.

Pykając z nargili, Grey wypytywał go chytrze o ostatnie posunięcia i plany na przyszłość. Hal odpowiadał grzecznie, lecz wymijająco. Niczym dwaj szermierze wymieniali sztychy, czekając na lukę w obronie. Woda bulgotała w wysokim szklanym naczyniu, nad dziedzińcem snuł się pachnący dym i w miarę upływu czasu Grey stawał się coraz bardziej wylewny i uprzejmy.

- Żyjesz tutaj niczym wielki szejk, panie - stwierdził Hal, chcąc mu pochlebić, i Grey jeszcze bardziej się rozpromienił.

- Czy uwierzysz, że jeszcze piętnaście lat temu byłem skromnym urzędnikiem w służbie angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej? Kiedy mój statek rozbił się na rafach koralowych Sofali, przybyłem tutaj jako rozbitek. - Grey wzruszył ramionami i uczynił gest, który był bardziej orientalny niż angielski. - Jak mówią, Allah był dla mnie łaskaw.

- Nawróciłeś się, panie, na islam? - zapytał Hal. Starał się nie pokazywać po sobie odrazy, jaką poczuł do konsula.

- Wierzę w jedyne Boga i Mahometa, który jest jego Prorokiem - odparł Grey kiwając głową.

Ciekawe, pomyślał Hal, jaki wpływ na jego decyzję miały względy praktyczne i polityczne. Chrześcijanin Grey z pewnością nie zbiłby w Zanzibarze takiej fortuny jak Grey wyznawca islamu.

- Większość Anglików, którzy odwiedzają Zanzibar, myśli tylko o jednym - kontynuował konsul. - Przybywają w celach handlowych, na ogół po to, by wypełnić ładownie niewolnikami. Żałuję, ale nie jest to najlepszy okres na ich nabywanie. Kupcy z Indii i leżących dalej krajów wybrali już najlepsze okazy i na rynku zostały wyłącznie

odpadki. W moich własnych barakach mam jednak dwie setki pierwszorzędного towaru, najlepszego, jaki znajdziesz w promieniu tysiąca mil od tego wybrzeża.

- Dziękuję ci, panie, ale nie zajmuję się handlem niewolnikami - odparł grzecznie Hal.

- To godna pożałowania decyzja. Zapewniani cię, że wciąż można na nim zarobić krocie. Brazylijskim i karaibskim plantatorom trzciny cukrowej stale brakuje siły roboczej do pracy w polu.

- Jeszcze raz dziękuję. Nie interesuje mnie ten rynek - powtórzył Hal.

Rozumiał teraz, w jaki sposób Grey zbił swoją fortunę. Stanowisko konsula było tylko przykrywką dla interesów, które prowadził jako agent i pośrednik europejskich kupców zawijających do Zanzibaru.

- Jest jeszcze jeden bardzo lukratywny interes, który mógłbym ci polecić - powiedział Grey i taktownie przerwał. - Obserwowałem twój statek z dachu mojego domu, gdy rzucałeś kotwicę, i nie mogłem nie dostrzec, że jest dobrze uzbrojony. Ktoś mógłby pomyśleć, że to okręt wojenny. - Hal kiwnął niezobowiązująco głową i Grey podjął przerwany wątek. - Może o tym nie wiesz, ale sułtan Omanu, umiłowany przez Allacha Ahmed El Grang toczy właśnie wojnę z cesarzem Etiopii.

- Obiło mi się o uszy.

- Wojna toczy się na lądzie i na morzu. Sułtan daje listy kaperskie kapitanom statków, którzy chcą się do niego przyłączyć. Listy te mogą w zasadzie otrzymać tylko muzułmanie, tak się jednak składa, że mam duże wpływy na dworze sułtana i mógłbym spowodować, że go dostaniesz. Takiego przywileju nie otrzymuje się naturalnie za darmo. Załatwienie dla ciebie listu kaperskiego będzie mnie kosztować dwieście funtów.

W pierwszej chwili Hal chciał odrzucić z oburzeniem propozycję udziału w wojnie przeciwko Chrystusowi i jego wyznawcom, ale instynkt ostrzegł go, żeby się tak łatwo nie zdradzał.

- Powiadasz, że można tam zdobyć duże łupy? - zapytał zamyślony.

- W istocie. Można zgarnąć prawdziwe krocie. Cesarstwo Księdza Jana jest jedną z najstarszych twierdz chrześcijaństwa. Od ponad tysiąca lat w skarbcach kościołów i monastyrów gromadzono złoto i ofiary pielgrzymów. Sam Ksiądz Jan jest bogatszy od niejednego europejskiego władcy. Mówią, że w jego skarbcu w Aksum jest ponad dwadzieścia ton złota.

- A ty, panie, załatwisz mi list kaperski od sułtana? - zapytał Hal, pochylając się do przodu z udawanym zapałem.

- W rzeczy samej. Nie dalej jak przed miesiącem załatwiłem taki list pewnemu Szkotowi. - Greyowi przyszła do głowy nagła myśl i uśmiechnął się. - Jeśli uda mi się uzyskać go dla ciebie, niewykluczone, że połączysz z nim swoje siły. Dwa wasze okręty będą w stanie pokonać każdą flotę, którą wyśle przeciwko wam władca Etiopii.

- To mnie podnieca. - Hal uśmiechnął się zachęcająco, starając się zarazem nie okazywać zbyt wielkiego zainteresowania. Domyślał się, jak nazywa się ów Szkot. - Ale powiedz mi, panie, kim jest kapitan, o którym mówisz?

- To zacny szlachcic i wspaniały żeglarz - oznajmił z entuzjazmem Grey. - Wypłynął z Zanzibaru przed czterema tygodniami, kierując się w stronę Wielkiego Rogu.

- W takim razie być może zdołam go dogonić i połączę z nim swe siły - zastanawiał się na głos Hal. - Powiedz mi, jak się nazywa.

Grey rozejrzał się ukradkiem po dziedzińcu.

- To szlachcic wysokiego rodu Lord Cumbrae - odparł, ścisząc konspiracyjnie głos, po czym odchylił się do tyłu i uderzył po kolanach, żeby podkreślić niezwykłość swojej informacji. - No i co na to powiesz, mój panie?

- Doprawdy brak mi słów. - Hal nie musiał kryć swojego podniecenia. - Naprawdę jesteś pewien, że uda ci się uzyskać dla mnie taki sam list? Jak długo to potrwa?

- W Arabii niczego nie załatwia się z dnia na dzień - odparł Grey. - Ale sprawę można zawsze popchnąć małym bakszyszem. Powiedzmy, że za dodatkowe dwieście funtów, czyli razem za czterystu, będę mógł wręczyć ci list kaperski jutro wieczorem. Muszę oczywiście dostać od ciebie z góry te pieniądze.

- To olbrzymia suma.

Hal zmarszczył czoło. Teraz, gdy dowiedział się, dokąd zmierza Myszołów, chciał wrócić biegiem na pokład Golden Bough i natychmiast puścić się za nim w pogoń. Powstrzymał się jednak. Musiał wycisnąć jak najwięcej informacji z Greya.

- Owszem - zgodził się konsul. - Pomyśl jednak, panie, o zyskach, jakie przyniesie. Dwadzieścia ton czystego złota dla tego, kto odważy się zabrać je ze skarbcza Księdza Jana. Nie koniec na tym. Są jeszcze klejnoty i inne kosztowności wysyłane przez ponad tysiąc lat w daninie cesarstwu, są skarby kościołów koptyjskich... relikwie Jezusa Chrystusa, Najświętszej Panienki, apostołów i świętych. Okup, jaki można za nie uzyskać, jest nie do wyobrażenia. Powiadają... - Grey ponownie urwał i ściszył głos. - Powiadają, że Ksiądz Jan jest strażnikiem samego świętego Graala.

- Świętego Graala...?

Hal poblądł z przejęcia i Grey pokraśniał na twarzy, widząc, jakie wywołał wrażenie.

- Tak! W rzeczy samej! Świętego Graala! Drogocennego pucharu, którego chrześcijanie poszukują od czasu ukrzyżowania Chrystusa.

Hal potrząsnął głową i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Greya z niekłamanym osłupieniem. Ogarnęło go dziwne poczucie déjà vu. Przypomniawszy sobie przepowiednie ojca i Sukeeny. W głębi serca wiedział, że to wszystko stanowi część pisanego mu przeznaczenia.

Grey wziął jego milczenie za oznakę sceptycyzmu.

- Zapewniam cię, panie, że to właśnie chęć zdobycia świętego Graala jest główną przyczyną, dla której Wielki Mogoł i Ahmed El Grang zaatakowali Etiopię. Słyszałem to z własnych ust sułtana, który jest również przekonany, że relikwia znajduje się pod opieką Księdza Jana. Jeden z najpotężniejszych ajatollahów przepowiedział, że jeśli uda mu się odebrać Graala Księdzu, jego dynastia zyska niebywałą władzę i zapewni triumf islamu nad wszystkimi fałszywymi religiami świata.

Hal nie odrywał od niego wzroku. Miał mętlik w głowie i nie był już dłużej pewien ani siebie, ani żadnej rzeczy, która go otaczała. Z olbrzymim wysiłkiem opanował przerażenie, jakie wywołała w nim perspektywa upadku chrześcijaństwa, i spróbował zebrać myśli.

- Gdzie przechowywana jest ta relikwia? - zapytał ochryłym głosem.

- Tego nie wie nikt na pewno z wyjątkiem Księdza i jego mnichów. Niektórzy mówią, że w Aksum albo Gonderze, inni, że w jakimś monasterze wysoko w górach.

- Może wpadła już w ręce El Granga albo Mogola? Może wojna jest już zakończona? - zapytał Hal.

- Nie, nie - zaprzeczył energicznie Grey. - Dzisiaj rano przyплыnęła barka z Zatoki Adeńskiej. Wieści, które przywiozła, pochodzą sprzed ośmiu dni. Wynika z nich, że zwycięskie armie islamu zostały powstrzymane pod Mitsiwą. W szeregach chrześcijan pojawił się potężny wódz. Nazywa się Nazet i choć jest jeszcze młodzieńcem, podporządkowały mu się armie Tigre i Galia. - Z tonu, jakim konsul opowiadał o niepowodzeniach przywódców islamskich, Hal domyślił się, że gra na dwie strony. - Nazet odparł atak El Granga i Wielkiego Mogola. Stanęli naprzeciwko siebie pod Mitsiwą, szykując się do wielkiej bitwy, która zadecyduje o losach wojny. Ale nieprędko do niej dojdzie. Zapewniam cię, mój młody przyjacielu, że kiedy będziesz miał w ręku list kaperski, który ci załatwię, zdążysz dopłynąć do Mitsiwy i wziąć udział w podziale łupów.

- Muszę przemyśleć to wszystko, co mi powiedziałaś. - Hal wstał ze stosu dywanów. - Jeśli zdecyduję się skorzystać z twojej wspianalomyślnej oferty, wrócę tutaj jutro z czterystoma funtami, żeby otrzymać list od sułtana.

- Będziesz zawsze miłym gościem w moim domu - zapewnił go Grey.

Wracajmy czym prędzej na statek - powiedział Hal do Dużego Daniela, kiedy tylko zamknęły się za nimi wysokie rzeźbione drzwi. - Chcę wypłynąć z wieczornym odpływem.

Nie zdążyli dojść do pierwszego bazaru, kiedy Althuda złapał go za ramię.

- Muszę wracać - oznajmił. - Zostawiłem na dziedzińcu swój dziennik.

- Bardzo mi się śpieszy, Althudo. Myszołów wyprzedził nas co najmniej o miesiąc, ale wiem teraz chociaż, gdzie go szukać.

- Muszę odzyskać dziennik. Płynięcie na statek. To nie zajmie mi dużo czasu. Wyślijcie po mnie łódź. Niech czeka przy stopniach portu. Wróć, zanim odpłyniecie.

- Nie zawieźdź mnie. Nie mogę zwlekać.

Hal pozwolił mu niechętnie zawrócić i ruszył dalej. Kiedy tylko weszli na pokład Golden Bough, wysłał z powrotem szalupę po Althudę i kazał przygotować statek do wyjścia na morze. Następnie zszedł do swojej kabiny i rozłożył na biurku pod oknem wskazówki żeglarskie i mapy Zatoki Adeńskiej oraz Morza Czerwonego, które odziedziczył po Llewellynie.

Studiował je prawie codziennie, odkąd objął dowodzenie Golden Bough i bez kłopotu zlokalizował teraz wszystkie miejsca, o których wspomniał Grey. Zamierzał opłynąć Wielki Róg, a potem skierować się na południe przez Zatokę Adeńską i cieśninę Bab al-Mandab aż do południowych krańców Morza Czerwonego. Przy brzegach Etiopii leżały setki małych wysepek, które mogły stanowić znakomitą kryjówkę dla statków pirackich i kaperskich.

Dopóki nie dotrze na dwór Księdza Jana i nie uzyska od niego listu kaperskiego, musiał za wszelką cenę unikać statków Wielkiego Mogoła i Omańczyków. Gdyby zaatakował muzułmanów, nie mając w ręku tego dokumentu, naraziłby się, podobnie jak jego ojciec, na zarzut piractwa.

Być może zdoła się spotkać z dowódcą armii chrześcijan, generałem Nazetem, o którym mówił Grey, i oddać Golden Bough do jego dyspozycji. Tak czy owak domyślał się, że na tych zatłoczonych szlakach pełno będzie statków transportujących islamską armię i że łatwo padną one ofiarą śmiało dowodzonej szybkiej fregaty. W jednym konsul Grey miał na pewno rację; nadchodzące dni powinny mu przynieść sławę i fortunę.

Słyszając dzwonek sygnalizujący koniec wachty, zostawił mapy i wyszedł na pokład. Po zmianie pozycji statku natychmiast poznał, że zaczął się odpływ.

A potem zerknął w stronę portu i choć od nabrzeża dzieliła go duża odległość, rozpoznał Althudę, stojącego na szczycie kamiennych stopni, pogrążonego w rozmowie ze Stanem Sparrowem, który popłynął po niego łodzią.



- Niech go diabli! - mruknął. - Traci czas na czcze pogawędki.

Przez kilka chwil skupił całą uwagę na Golden Bough i patrzył, jak marynarze wspinają się szybko i pewnie po wantach, żeby postawić żagle. Kiedy spojrzął z powrotem na zatokę, łódź z Althudą dopływała właśnie do burty. Althudą wspiał się szybko na pokład i podszedł do niego z poważną miną.

- Przyplłynąłem, żeby zabrać Zwaantie i mojego syna - oznajmił. - I żeby się z tobą pożegnać.

- Nie rozumiem - odparł ze zdumieniem Hal.

- Konsul Grey zatrudnił mnie jako pisarza. Pragnę pozostać wraz z rodziną w Zanzibarze.

- Ale dlaczego, Althudo? Dlaczego?

- Jak dobrze wiesz, Sukeena i ja zostaliśmy wychowani przez naszą matkę w wierze Mahometa, który jest Prorokiem Allacha. A ty masz zamiar wystąpić przeciwko muzułmanom w imię chrześcijańskiego Boga. Nie mogę dłużej ci towarzyszyć.

Althudą odwrócił się i odszedł w stronę przedniego kasztelu. Po kilku minutach powrócił, prowadząc Zwaantie i niosąc małego Bobby'ego. Zwaantie popłakiwała cicho, ale nie spojrzała nawet na Hala. Althudą zatrzymał się przy burcie.

- Żałuję, że musimy się rozstać, ale zawsze będę pamiętać o miłości, jaką żywiłeś do mojej siostry. Będę się za ciebie modlił - powiedział, po czym zszedł w ślad za Zwaantie do łodzi.

Hal patrzył, jak płynie do brzegu, a potem wchodzi po kamiennych stopniach do miasta. Althudą ani razu się nie obejrzał i wkrótce razem z rodziną zniknął w tłumie odzianych na białą kupców i ich niewolników.

Ogarnięty smutkiem, Courteney nie zauważył nawet powracającej łodzi. Wzdrygnął się widząc, że wciągnięto ją na pokład, a Ned Tyler stoi przy sterze, czekając na jego rozkazy.

- Proszę podnieść kotwicę, postawić topsle i wziąć kurs na kanał, panie Tyler - wydał polecenie i spojrzął po raz ostatni na ląd. Czuł się osierocony; Althudą przeciął ostatnią nić, jaka łączyła go z Sukeeną. - Odeszła - szepnął. - Teraz naprawdę ode mnie odeszła.

Niechętnie odwrócił się plecami do białej cytadeli i spojrzął przed siebie, na góry Usumbara, mające nisko na błękitnym horyzoncie.

- W lewo ster. Proszę postawić wszystkie żagle. Bierzemy kurs na północny wschód, na wyspę Pemba. Proszę zaznaczyć to na tabliczce.

Wiatry sprzyjały Golden Bough. Dwanaście dni później minęli przylądek Guardafui u szczytu Wielkiego Rogu Afryki i ich oczom ukazała się Zatoka Adeńska. Hal kazał zmienić kurs i popłynęli na zachód.

Poszarpane czerwone klify i wzgórza Adenu stanowiły bramę Afryki. Wpłynęli w nią, czując w żaglach ostatnie podmuchy pasatów. Lejący się z nieba żar zapierał dech w piersiach; gdyby nie lekki wietrzyk, nie sposób byłoby wytrzymać. W jaskrawoniebieskim morzu odbijały się śnieżne brzuchy podążających za statkiem mew.

Skaliste brzegi zwężyły się w gardło Bab al-Mandab. Minęli cieśninę w świetle dnia i kiedy znaleźli się w przelocie Morza Czerwonego, Hal kazał skrócić żagle, były to bowiem niebezpieczne wody, usiane setkami wysp i najeżone ostrymi zębami raf koralowych. Na wschodzie leżały gorące krainy Arabii, na zachodzie wybrzeża Etiopii i cesarstwo Księdza Jana.

Na tym zatłoczonym akwenie zaczęli spotykać inne statki. Kiedy tylko z bocianiego gniazda rozlegał się ostrzegawczy krzyk, Hal wspinał się na górę, modląc się, żeby zobaczyć na horyzoncie prostokątne żagle Guli of Moray. Za każdym razem jednak czekało go rozczarowanie. Widzieli tylko barki, które umykały przed ich wysokim złowrogim cieniem, szukając schronienia na przybrzeżnych płycznach, gdzie Golden Bough bała się zapuszczać.

Hal przekonał się szybko, jak niedokładne były mapy, które znalazł w biurku Llewellyna. Pewnych wysp, które mijali, w ogóle na nich nie było, inne leżały wiele mil od miejsc, gdzie naniesiono je na rycinach. Podane głębokości stanowiły wytwór wyobraźni kartografa. Noce były bezksiężycowe i bał się żeglować w ciemnościach między rafami i wysepkami. O zmierzchu zarzucił kotwicę po zawietrznej jednej z większych wysp.

- Żadnych świateł - uprzedził Neda Tylera - i trzymajcie gęby zamknięte na kłódkę.  
- Nie sposób uciszyć ludzi Abolego, kapitanie. Drą się niczym gęsi pożerane przez lisa. Hal uśmiechnął się.

- Porozmawiam z Abolim - obiecał.

Kiedy na początku pierwszej psiej wachty ponownie wyszedł na pokład, wokół było cicho i ciemno. Obszedł statek, zatrzymując się na kilka chwil, żeby porozmawiać z Abolim dowodzącym wachtą, a potem stanął samotnie przy burcie, zadarł głowę do góry i podziwiał rozgwieżdżone niebo.

Nagle usłyszał jakiś obcy dźwięk. Z początku myślał, że dochodzi z żaglowca, ale potem uświadomił sobie, że to ludzkie głosy mówiące w języku, którego nie rozumiał. Kiedy cofnął się na rufę, głosy zabrzmiały bliżej i wyraźniej. Słyszał skrzypienie takielunku i plusk wody rozgarnianej wiosłami.

Pobiegł z powrotem na dziób i odnalazł Abolego.

- Zbierz dziesięciu uzbrojonych ludzi - szepnął. - Spuście cicho łódź.

Wykonanie rozkazu zajęło Abolemu tylko kilka minut. Kiedy szalupa została spuszczone, zjechali do niej po linach i natychmiast odbili od burty. Hal siedział przy rumplu, wypatrując w ciemnościach niewidocznej wyspy.

- Zatrzymajcie się! - szepnął po jakimś czasie i marynarze przestali wiosłować.

Minęło parę chwil, i usłyszeli, jak coś stuka o deski pokładu i ktoś krzyczy z bólu albo ze złości. Hal natężył wzrok i w świetle gwiazd ujrzał błądy zarys łacińskiego żagla.

- Wiosłujcie z całej siły! - szepnął i łódź skoczyła do przodu.

Aboli stał na dziobie, trzymając w ręku hak z liną. Mała barka, która wyłoniła się nagle z mroku tuż przed nimi, nie była wiele wyższa od szalupy. Aboli zarzucił hak na jej burzę i przyciągnął linę.

- Mam ją - mruknął. - Naprzód, chłopcy!

Marynarze rzucili wiosła i z mrozącym krew w żyłach wyciem skoczyli na pokład obcej łodzi. Przywitały ich wrzaski przerażenia. Hal zablokował rumpel, złapał osłoniętą latarnię i pośpieszył w ślad za swoimi ludźmi, żeby ostudzić ich bitewny zapach.

Odsłoniwszy latarnię, zobaczył, że załoga barki leży już obezwładniona na pokładzie. Wśród kilkunastu półnagich ciemnoskórych marynarzy wyróżniał się starszy mężczyzna w długiej po kostki szacie, którego Hal wziął w pierwszej chwili za kapitana.

- Przeprowadźcie go tutaj - rozkazał.

Kiedy przywleczono do niego więźnia, zauważył, że ma sięgającą prawie do kolan rozwianą brodę oraz koptyjskie krzyże i różańce na piersi. Kwadratowa mitra na jego głowie była wyszywana złotymi i srebrnymi nićmi.

- W porządku. Traktujcie go łagodnie. To kapłan - polecił wojownikom, którzy od razu go puścili.

Starzec poprawił szaty i rozczesał brodę palcami, a potem wyprostował się i zmierzył Hala chłodnym spojrzeniem.

- Mówisz po angielsku, ojcze? - zapytał Hal.

Starzec nie spuszczał z niego wzroku. Nawet w słabym świetle latarni jego spojrzenie przeszywało na wylot. Mina świadczyła o tym, że nic nie rozumie.

- Kim jesteś ojcze? - pytał dalej Hal, przerzucając się na łacinę.

- Jestem Fasilides, biskup Aksum, spowiednik Jego Chrześcijańskiej Wysokości Ijasu, cesarza Etiopii - odparł starzec w płynnej szkolnej łacinie.

- Błagam o wybaczenie. Wziąłem wasz statek za islamskiego marudera. Pokornie proszę o błogosławieństwo, Wasza Ekszelencjo.

Hal przyklęknął na jedno kolano. Może trochę przesadzam, pomyślał, ale biskup najwyraźniej uznał to za sprawę oczywistą. Uczynił znak krzyża nad jego głową i przystawił mu do czoła dwa palce.

- In nomine patris, et filio et spiritu sancto - wymamrotał i dał Halowi do ucałowania swój pierścień. Sprawiał wrażenie w wystarczającym stopniu udobruchanego.

- To prawdziwe zrzęczenie opatrności, że się spotkaliśmy, Wasza Ekszelencjo - oznajmił Hal, wstając na nogi. - Jestem kawalerem zakonu Świętego Jerzego i Świętego Graala. Płynę, żeby oddać do dyspozycji mój statek i jego załogę Księdzu Janowi, arcychrześcijańskiemu cesarzowi Etiopii w świętej wojnie przeciwko siłom islamu. Jako spowiednik Jego Wysokości, na pewno będziesz mógł mnie wprowadzić na dwór cesarski.

- Być może uda ci się uzyskać posłuchanie - odparł wyniosłe Fasilides.

Spuścił jednak nieco z tonu, kiedy zobaczył o świcie Golden Bough, a potem ożywił się jeszcze bardziej, gdy Hal zaproponował, żeby odbył dalszą podróż na pokładzie żaglowca.

Hal mógł jedynie zgadywać, w jakim celu biskup Aksum płynął w nocy w małej śmierdzącej rybackiej łodzi. Zapytany o to Fasilides zaczął ponownie zadzierać nosa.

- Nie wolno mi dyskutować na temat spraw państwa, zarówno tych doczesnych, jak i duchowych - stwierdził.

Zabrał ze sobą dwóch służących, a także rybaka z barki i rozgościł się w małej kajucie przylegającej do kabiny kapitana. Mając na pokładzie lokalnego pilota, Hal mógł ruszyć szybko do Mitsiwy i nie skracał nawet żagli o zmierzchu.

Zaprosił Fasilidesa na kolację i zacnemu biskupowi bardzo przypadło do smaku należące do Llewellyna wino i brandy. Hal pilnował, żeby kielich gościa był stale wypełniony po brzegi, co wymagało nie lada zręczności. Wyniosłość biskupa zmniejszała się wraz z obniżaniem się poziomu brandy w karafce i z coraz mniejszymi oporami odpowiadał na pytania Hala.

- Cesarz przebywa wraz z generałem Nazetem w klasztorze Świętego Łukasza na wzgórzach nad Mitsiwą. Jadę tam się z nim spotkać - wyjaśnił.

- Słyszałem, że cesarz odniósł pod Mitsiwą wielkie zwycięstwo nad poganami? - zapytał Hal.

- Wielkie olśniewające zwycięstwo - rozpromienił się Fasilides. - Na Wielkanoc olbrzymia armia pogan przekroczyła cieśninę Bab al-Mandab i ruszyła na północ, opanowując wszystkie porty i miasta wybrzeża. Nasz cesarz Kaleb, ojciec Ijasu, poległ w

boju i wojska etiopskie poszły w rozsypkę. Wojenne barki El Granga napadły naszą flotę w zatoce Adulis i zdobyły lub spaliły dwadzieścia statków. A potem poganie stanęli w sile stu tysięcy ludzi pod Mitsiwą i wydawało się, że Bóg zapomniał o Etiopii. - W oczach Fasilidesa zalśniły łzy i musiał pociągnąć solidny łyk brandy, żeby się uspokoić. - Lecz On ukochał swój lud i przysłał nam rycerza, który poprowadził rozbite wojska. Z gór zszedł generał Nazet, prowadząc ze sobą armię Amharów, która dołączyła do naszych wojsk na wybrzeżu. W jego taborach znajduje się Tabernakulum Matki Boskiej. Ten talizman jest niczym piorun w ręku Nazeta. Poganie cofają się przed nim w panice.

- Cóż to za talizman, o którym mówisz, Ekscelencjo? Czy to jakaś święta relikwia? - zapytał Hal.

Biskup pochylił się nad stołem, wziął go za rękę i spojrzał prosto w oczy.

- To relikwia Jezusa Chrystusa. Najpotężniejsza w całym chrześcijaństwie - stwierdził, ścisząc głos. W jego oczach płonął tak silny religijny fanatyzm, że Hal poczuł, jak chodzą mu po plecach ciarki. - W Tabernakulum Maryi ukryty jest Kielich Życia, święty Graal, z którego Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy. Ten sam kielich, w który Józef z Arymatei zebrał krew Zbawiciela, kiedy ten wisiał na krzyżu.

- Gdzie jest teraz Tabernakulum? - zapytał ochryłym głosem Hal, ściskając dłoń Fasilidesa z taką siłą, że starzec skrzywił się z bólu. - Czy widziałeś je na własne oczy? Czy naprawdę istnieje?

- Modliłem się przy Tabernakulum, w którym złożony jest święty kielich. Lecz nikt nie ma prawa zobaczyć ani dotknąć samego pucharu.

- Gdzie jest ten święty przedmiot? - powtórzył Hal, podnosząc głos. - Opowiadano mi o nim przez całe życie. Zakon, którego jestem rycerzem, opiera swoją regułę na istnieniu tego legendarnego pucharu. Gdzie mogę go znaleźć i oddać mu cześć?

Jego podniecenie otrzeźwiło nieco Fasilidesa, który odsunął się do tyłu i wyzwoił dłoń z uścisku.

- Są rzeczy, których nie wolno mi wyjawić - stwierdził i ponownie stał się wyniosły i nieprzystępny.

Hal zdał sobie sprawę, że nie powinien na razie drążyć tej kwestii i starał się znaleźć inny temat, żeby go udobruchać.

- Opowiedz mi o bitwie morskiej w zatoce Adulis, Wasza Ekscelencjo - poprosił. - Jestem żeglarzem i najbardziej interesują mnie sprawy morza. Czy wśród statków muzułmanów był wysoki żaglowiec podobny do mojego?

Biskup trochę się rozchmurzył.

- W bitwie uczestniczyło wiele statków po obu stronach. Działa bluzgały ogniem i ludzie ginęli jak muchy - powiedział.

- Statek z prostokątnymi żaglami, z powiewającym na najwyższym maszcie czerwonym *croix patte*? - nalegał Hal. - Może ktoś opowiadał o nim Waszej Ekscelencji?

Było jednak jasne, że biskup nie odróżnia fregaty od galery.

- Być może będziesz mógł uzyskać odpowiedź na te pytania od naszych admirałów i generałów, kiedy dotrzemy do klasztoru Świętego Łukasza - odparł.

Nazajutrz po południu minęli wejście do zatoki Adulis nieopodal wyspy Dahlak. W tym jednym punkcie relacja Fasilidesa okazała się prawdziwa. Na tle okalających zatokę rudych wzgórz widać było las masztów i takielunku. Na każdym maszcie powiewały flagi islamu i proporce Omańczyków i Wielkiego Mogoła.

Hal kazał postawić *Golden Bough* w dryfie, wdrapał się na grot-reję i siedział tam przez godzinę z teleskopem przytkniętym do oka. Nie sposób było policzyć statków stojących na kotwicy w zatoce: po jej wodach sunęły setki małych łodzi, które dostarczały towary i prowianty wielkiej armii stacjonującej na lądzie. Kiedy zszedł na pokład i kazał ponownie postawić żagle, był pewien jednego: w zatoce Adulis nie stał ani jeden wielki żaglowiec.

Resztki rozbitej floty cesarza Ijasu schroniły się przy brzegach Mitsiwy. Hal zarzucił kotwicę w znacznej odległości od popalonych i porozbijanych kadłubów, a Fasilides wysłał na brzeg w łodzi jednego ze swoich służących.

- Musi się dowiedzieć, czy sztab Nazeta w dalszym ciągu mieści się w klasztorze - wyjaśnił. - Jeśli tak, musi załatwić konie, byśmy mogli tam dojechać.

Czekając na powrót służącego, Hal poczynił przygotowania na czas swej nieobecności na statku. Postanowił, że weźmie ze sobą tylko Abolego, a dowództwo *Golden Bough* powierzy Nedowi Tylerowi.

- Nie stójcie tu na kotwicy, bo wiatr wieje od morza i Myszołów będzie miał nad wami przewagę, kiedy was znajdzie - ostrzegł Neda. - Krążcie w dużej odległości od brzegu i traktujcie każdy obcy statek jak nieprzyjaciela. Gdybyście trafili na Guli of Moray, pod żadnym pozorem nie podejmujcie walki. Wrócę najszybciej, jak będzie można, i dam wam sygnał z brzegu czerwoną chińską racą. Kiedy ją zobaczycie, wyślijcie po mnie łódź.

Przez resztę dnia i całą noc nie mógł usiedzieć w miejscu. O świcie rozległ się okrzyk majtka siedzącego w bocianim gnieździe.

- Z zatoki wypływa mała barka. Kieruje się w naszą stronę.



Hal usłyszał go i wybiegł na górę. Nawet bez teleskopu rozpoznał postać służącego w małej otwartej łodzi. Po Fasilidesie, który również wyszedł na pokład, widać było efekty wieczornej popijawy.

- Cesarz i generał są w klasztorze - poinformował Hala, zamieniwszy ze służącym kilka słów w języku gyyz. - Na plaży czekają na nas konie. Możemy tam dotrzeć w południe. Mój służący przywiózł stroje dla ciebie i twojego służącego, żebyście nie rzucali się tak bardzo w oczy.

W kajucie Hal wdział rozszerzone na udach i ściągnięte w kostkach bryczesy z delikatnej bawełny. Buty z miękkiej skóry miały zadarte w górę noski. Na bawełnianą koszulę włożył wyszywany kaftan, który sięgał połowy ud. Służący biskupa pokazał mu, jak zawiązać na głowie długi biały turban, na który wsadził wypolerowany cebulasty hełm ze spiczastym zakończeniem oraz wygrawerowanymi i inkrustowanymi koptyjskimi krzyżami.

Kiedy Hal wyszedł razem z Abolim na pokład, załoga rozdziawiła gęby na widok swego kapitana, a Fasilides pokiwał z uznaniem głową.

- Teraz nikt nie rozpozna w tobie Europejczyka.

Barka zawiozła ich na plażę pod urwistym klifem, gdzie czekała uzbrojona eskorta. Przeznaczone dla nich araby miały długie ogony i grzywy, szerokie nozdrza i szlachetne oczy. Siodła wyrzeźbione były z jednego bloku drewna i udekorowane mosiądzem i srebrem, a uprzęż sztywne od ozdób wyszywanych metalową nitką.

- Do klasztoru czeka nas długa droga - uprzedził ich Fasilides. - Nie możemy tracić czasu.

Wspięli się ścieżką prowadzącą na szczyt klifu i ich oczom ukazała się równina rozciągająca się u stóp Mitsiwy.

- To pole naszej zwycięskiej bitwy! - oznajmił Fasilides, stając w strzemiączkach i zataczając szeroki krąg ręką.

Chociaż bitwa skończyła się przed kilkoma tygodniami, sępy wciąż unosiły się ciemną chmurą nad równiną, a szakale i pokryte parchami psy ogryzały stosy kości, żrąc przylegające do nich, poczerniałe od słońca mięso. W powietrzu roiło się od wielkich niczym pszczoły niebieskich much, które siadały Halowi na twarzy, próbując pić z jego oczu i lachocząc go w nozdrza. W gnijących zwłokach było tak dużo białych larw, że ciała wydawały się poruszać jak żywe.

Po szerokim polu kręciły się również ludzkie hieny, kobiety i ich dzieci w długich zakurzonych szatach, o ustach i nosach zasłoniętych szmatami, które chroniły przed fetorem.

Kobiety miały w rękach kosze, do których wrzucały błyszczące guziki, drobne monety, biżuterię, sztylety i pierścienie zrywane z palców przegniłych do kości.

- Wróg stracił tutaj dziesięć tysięcy ludzi - stwierdził z triumfem Fasilides, prowadząc ich traktem, który oddalał się od pola bitwy i omijał łukiem mury Mitsiwy. - Generał Nazet zbyt dobrze zna się na wojowaniu, żeby zamykać nas w murach. Z tych wzgórz panuje nad całym terenem - dodał, wskazując stojące przed nimi wzniesienia.

Na otwartym polu pod Mitsiwą obozowała zwycięska armia cesarza Ijasu. Było to całe miasto skórzanych namiotów oraz pośpiesznie skleconych, krytych słomą chat i przybudówek z kamienia, które ciągnęły się na przestrzeni pięciu mil między morzem i pasmem szarych wzgórz. Przy prymitywnych kwaterach pasły się stada koni, wielbłądów i wołów, a chmury kurzu i niebieskiego dymu unoszącego się z ognisk, w których palono suszony nawóz, zasłaniały błękit nieba. Woń zwierzęcego moczu, gnijących na słońcu odpadków, dołów z odchodami, zwierzęcej padliny i nie mytych ludzkich ciał dorównywała fetorowi, który unosił się nad polem bitwy.

Mijali oddziały kawalerii dosiadającej wspaniałych rumaków z powiewającymi grzywami i podniesionymi dumnie ogonami. Jeźdźcy mieli na sobie dziwaczne zbroje i fantazyjne kostiumy we wszystkich kolorach tęczy. Ich uzbrojenie stanowiły łuki, lance i rusznice o długich lufach i wysadzanych klejnotami zakrzywionych kolbach.

Tabory artylerii zajmowały ponad milę kamienistej pustyni i liczyły setki armat. Niektóre z ogromnych dział oblężniczych miały kształt delfinów albo smoków i spoczywały na lawetach zaprzężonych w sto wołów. Furgony z amunicją i beczkami prochu ustawiono w wielkie czworokąty.

Pułki piechoty maszerowały w tę i z powrotem po równinie. Oprócz własnych egzotycznych mundurów żołnierze wkładali na siebie to, co zdobyli na polu bitwy, i żaden z nich nie był tak samo ubrany. Ich tarcze były kwadratowe, okrągłe i owalne, zrobione z mosiądzu, drewna i skór zwierzęcych. Mieli jastrzębie, ciemne twarze, a brody srebrne jak piasek płazy albo czarne niczym skrzydła kruków, które szybowyły nad obozem.

- Sześćdziesiąt tysięcy ludzi - oznajmił Fasilides. - Póki mamy Tabernakulum i dowodzi nami Nazet, nie oprze nam się żaden wróg.

Prostytutek i markietanek, które nie zajmowały się akurat grabieniem pola bitwy, było w obozie prawie tyle samo co mężczyzn. Doglądały ognisk albo wypoczywały w cieniu wozów. Były wśród nich okryte welonami wysokie i tajemnicze Somalijki, a także dziewczęta z ludu Galia. Te ostatnie obnażały piersi i strzelały śmiało oczyma. Niektóre

zwróciły uwagę na barczystą jurną sylwetkę Hala i wołały do niego głośno, wykonując sprośne gesty, które nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do treści ich słów.

- Nie, Gundwane - mruknął mu do ucha Aboli. - Nawet o tym nie myśl. Galia obrzezuje swoje kobiety i tam, gdzie spodziewasz się gładkiego i wilgotnego powitania, odnajdziesz suchą pokiereszowaną jamę.

Otoczająca ich ciżba była tak gęsta, że musieli zwolnić do stępa. Wierni, którzy rozpoznali sylwetkę biskupa, biegli i padali na kolana przed kopytami konia Fasilidesa, żeby błagać go o błogosławieństwo.

W końcu wydostali się ze zbitej masy ludzi i ruszyli stromą drogą pod górę. Fasilides pędził pierwszy galopem; długie szaty wirowały wokół jego kościstej sylwetki, a broda powiewała za ramionami. Na szczycie wzgórza ściągnął cugle i wskazał ręką południe.

- Tam! - zawołał. - Tam leży zatoka Adulis i tam przed portem Zulla obozuje islamska armia.

Hal osłonił oczy przed blaskiem pustyni. Przez ciemną chmurę kurzu i dymu widział iskierki słonecznego światła, które odbijało się od armatnich luf drugiej wielkiej armii.

- Ilu ludzi ma pod swoim dowództwem El Grang?

- To było przedmiotem mojej misji, kiedy mnie spotkałeś. Chciałem dowiedzieć się tego od naszych szpiegów.

- Więc ilu ich jest? - nalegał dalej Hal i Fasilides wybuchnął śmiechem.

- Odpowiedź na to pytanie przeznaczona jest wyłącznie dla uszu generała Nazeta - odparł, po czym spał ostrogami konia. Wjechali wyżej kamienistym traktem i po chwili znaleźli się na następnym wzniesieniu. - Tam! - powiedział Fasilides, wskazując ręką przed siebie. - Tam stoi klasztor Świętego Łukasza.

Klasztor przywarł do urwistego zbocza góry. Zarysu wysokich murów nie urozmaicał żaden ornament, kolumna ani architrav. Jeden z towarzyszących biskupowi jeźdźców zadał w koźli róg i po chwili otworzyła się przed nimi pojedyncza masywna brama. Wjechali galopem na dziedziniec i zeskoczyli z siodła przed warownią. Stajenni podbiegli do nich i odprowadzili konie.

- Tędy! - rozkazał Fasilides. Wszedł przez wąskie drzwi do środka i poprowadził ich labiryntem korytarzy i schodów. Podeszwy butów stukały o kamienną posadzkę i odbijały się echem w zadymionych komnatach.

Nagle znaleźli się w mrocznej przestronnej kaplicy. Sklepiony sufit tonął w ciemnościach wysoko nad ich głowami. Setki migoczących świec i wiszące kadzidła

oświetlały rozmieszczone na ścianach gobeliny przedstawiające męczenników i świętych, a także poszarpane chorągwie zakonne i wysadzone klejnotami ikony.

Fasilides ukląkł przy surowym ołtarzu, na którym stał wysoki na sześć stóp srebrny koptyjski krzyż. Hal ukląkł obok biskupa, a Aboli stanął za nimi, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Boże naszych ojców, Panie Zastępów - zaintonował Fasilides, modląc się ze względu na Hala po łacinie. - Dziękujemy ci za Twą szczodroliwość i zwycięstwo, które pozwoliłeś nam odnieść nad poganami. Polecamy Twojej opiece wiernego sługę, Henry'ego Courteneya. Niechaj odnosi sukcesy w służbie jedynego prawdziwego Boga i niech pierzchają przed nim niewierni.

Hal nie zdążył jeszcze powiedzieć amen, kiedy biskup zerwał się na nogi i zaprowadził go do mniejszego ołtarza w bocznej nawie.

- Zaczekaj tutaj - polecił.

Podszedł do wiszącej za ołtarzem barwnej wełnianej zasłony, odsunął ją na bok, ukazując niskie wejście, po czym pochylił się i zniknął w wąskim korytarzu.

Przyglądając się uważnie małemu ołtarzowi, Hal odkrył, że jest bogaciej zdobiony od tego, który stał w głównej nawie. Pokryty był złotym metalem, który mógł być mosiądzem, ale świecił niczym złoto w blasku świec. Krzyż wysadzany był dużymi kolorowymi kamieniami. Być może zrobiono je ze zwykłego szkła, lecz Hal przysięgłby, że mają połysk szmaragdów, rubinów i diamentów. Na sięgających sklepionego sufitu półkach złożone były dary od zamożnych i wysoko urodzonych penitentów i suplikantów. Niektóre musiały tam leżeć nietknięte od stuleci, ponieważ pokrywała je gruba warstwa kurzu i pajęczyn i nie sposób było odgadnąć, co się pod nią kryje. Pięciu mnichów w zgrzebnych postrzępionych habitach modliło się, klęcząc przed posągami czarnolicy Madonny, która trzymała w ramionach małego czarnego Jezusa. Zatopieni w modłach, nie zwrócili w ogóle uwagi na ich obecność.

Hal i Aboli stali obok siebie, oparci o kamienną kolumnę ołtarza. Czas dłużył się niemiłosiernie. W powietrzu unosiła się ciężka dławiąca woń kadzideł i starości. Ciche zawodzenie mnichów działało jak hipnoza. Hal czuł, jak nachodzi go fala senności i z wysiłkiem powstrzymywał opadające powieki.

Nagle zza zasłony dobiegły go czyjeś szybkie kroki. Wyprostował się i w tej samej chwili do kaplicy wbiegł beztroskim krokiem bosy chłopczyk. Ubrany w prostą białą bawełnianą koszulkę, mógł mieć cztery albo pięć lat. Błyszczące czarne loki na jego głowie zatańczyły niespokojnie, kiedy stanął w miejscu i rozejrzał się po kaplicy. Ciemne wielkie

oczy przypominały oczy świętych ze stylizowanych portretów, które wisiały za jego plecami na kamiennych ścianach.

Zobaczywszy Hala, podbiegł do niego i zmierzył go tak poważnym spojrzeniem, że oczarowany małym elfem Courteney przykląkł na jedno kolano, żeby mogli się sobie lepiej przyjrzeć.

Chłopiec powiedział coś w języku, w którym Hal rozpoznawał teraz gyyz. Była to najwyraźniej jakaś prośba, nie potrafił się jednak domyślić, czego dotyczy.

- Nawzajem - odpowiedział ze śmiechem, lecz dziecko nie uśmiechnęło się i zadało ponownie to samo pytanie. Hal wzruszył ramionami, a chłopiec tupnął nogą i zadał pytanie po raz trzeci.

- Tak - odparł Hal, kiwając energicznie głową.

Mały roześmiał się radośnie i klasnął w dłonie. Hal wyprostował się, ale chłopiec wyciągnął do niego ramiona. Wypowiedziana przez niego prośba mogła oznaczać tylko jedno.

- Chcesz, żebym cię wziął na ręce?

Hal pochylił się i podniósł go z posadzki. Chłopiec spojrzał mu prosto w oczy i ponownie coś powiedział, wskazując z taką pasją jego twarz, że o mało nie wbił mu małego palca w oko.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, mały - odparł łagodnie Hal.

- Jego Arcychrześcijańska Wysokość Cesarz Ijasu, Król Królów, Władca Galia i Amhara, Obrońca Wiary Ukrzyżowanego Chrystusa zauważył, że twoje oczy mają dziwny zielony kolor, jakiego nie widział nigdy przedtem - odezwał się zza jego pleców Fasilides, który wyszedł cicho zza zasłony.

Hal spojrzał na anielskie rysy malca, którego trzymał w ramionach.

- To jest Ksiądz Jan? - zapytał zdumiony.

- Owszem - odparł biskup. - Przysiękłeś także, że zabierzesz go na przejażdżkę swoim wysokim statkiem, który mu opisałem.

- Czy mógłbyś powtórzyć cesarzowi, że będę niezmiernie zaszczycony, mogąc gościć go na pokładzie Golden Boughl Ijasu wysunął się nagle z objęć Hala, wziął go za rękę i pociągnął w stronę ukrytego za zasłoną długiego korytarza. Drogę oświetlały im pochodnie tkwiące w żelaznych uchwytych. Przy końcu korytarza stali dwaj uzbrojeni strażnicy, ale na wydany przez cesarza rozkaz usunęli się na bok i oddali salut Jego lilipuciej Wysokości. Ijasu wprowadził Hala do długiej komnaty.

Wysoko w kamiennych ścianach umieszczone były wąskie okna, przez które rzucało snopy złotego światła jasne pustynne słońce. Całą komnatę zajmował długi stół, przy którym siedziało pięciu mężczyzn. Na widok cesarza wstali i złożyli mu głęboki ukłon, zerkając z ciekawością na Hala.

Wszyscy byli żołnierzami - można to było poznać po ich postawie i stroju: mieli na sobie kolczugi i pancerze, a dwóch czy trzech stalowe hełmy i ozdobione krzyżami i innymi motywami heraldycznymi szaty, które narzucili na zbroje.

U szczytu stołu stał najmłodszy i najprościej ubrany, lecz mimo to najbardziej imponujący i władczy z nich wszystkich. Oczy Hala natychmiast przykuła jego szczupła, pełna gracji sylwetka.

Gaworząc w języku gyyz, Ijasu ciągnął go niecierpliwie w stronę młodego rycerza, który przyglądał mu się spokojnym szczerym spojrzeniem. Choć sprawiał wrażenie wysokiego, w rzeczywistości był o głowę niższy od Hala. Snop światła padającego z jednego z wysokich okien otaczał go złotą aurą, w której tańczyły i wirowały drobiny kurzu.

- Ty jesteś generał Nazet? - zapytał po łacinie Hal i rycerz skinął głową otoczoną ciemną koroną kręconych włosów.

Na kolczugę włożył biały kaftan, jednak nawet w tym grubym odzieniu był zgrabny i szczupły w pasie.

- Owszem, to ja - powiedział.

Głos miał niski i ochryple, lecz mimo to dziwnie melodyjny. Hal z zaskoczeniem uświadomił sobie, jak bardzo jest młody. Jego nieskazitelna skóra miała bursztynowy odcień arabskiej gumi. Najmniejszy ślad brody ani wąsa nie znaczył gładkiego podbródka ani dumnie wydętych warg. Nos miał prosty i wąski, nozdrza pięknie rzeźbione.

- Jestem Henry Courteney - przedstawił się Hal. - Angielski kapitan Golden Bough, - Biskup Fasilides opowiedział mi o tobie, kapitanie. Może wolisz rozmawiać w swoim języku? - zapytał Nazet, przerzucając się na angielski. - Muszę przyznać, że moja łacina nie jest tak płynna jak twoja.

Zaskoczony Hal zapomniał na chwilę języka w gębie.

- Mój ojciec był ambasadorem na dworze doży w Wenecji - dodał z uśmiechem Nazet. - Znaczoną część dzieciństwa spędziłem na północnej półkuli i nauczyłem się języków dyplomacji: francuskiego, włoskiego i angielskiego.

- Zdziwiasz mnie, generale - przyznał Hal, starając się zebrać rozproszone myśli.

Zauważył, że oczy Nazeta są barwy miodu, a rzęsy długie, gęste i zawinięte jak u dziewczyny. Nigdy dotąd nie pociągał go żaden mężczyzna, teraz jednak, patrząc na te



królewskie rysy, delikatną złotą skórę i lśniące oczy, poczuł, jak coś ściska go w piersi i utrudnia zaczerpnięcie oddechu.

- Proszę cię, usiądź, kapitanie.

Nazet wskazał mu stojący obok zydel. Usiedli tak blisko siebie, że Hal poczuł jego zapach. Generał nie używał żadnych pachnidel i jego ciało wydierało naturalną ciepłą piżmową woń. Hal wdychał ją z wyraźną przyjemnością. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie z poczuciem winy, jak grzeszne i nienaturalne są te odczucia, i odsunął się od Nazeta na tyle, na ile pozwalał mu niski twardy stółek.

Cesarz wdrapał się Nazetowi na kolana i poklepał go po gładkim złotym policzku, trajkocząc coś piskliwym dziecinnym głosem. Generał roześmiał się cicho i odpowiedział w języku gyyz, nie spuszczając wzroku z Hala.

- Fasilides wyjaśnił mi, że przyłynęłaś do Etiopii, aby zaoferować swoje usługi arcychrześcijańskiemu cesarzowi.

- Owszem. Chcę prosić Jego Wysokość o wydanie mi listu kaperskiego, abym mógł skierować mój statek przeciwko nieprzyjaciołom Chrystusa.

Nazet pokiwał głową.

- Przybywasz w najbardziej odpowiednim momencie - stwierdził. - Czy Fasilides opowiedział ci o klęsce, jaką nasza flota poniosła w zatoce Adulis?, - Mówił także o wspaniałym zwycięstwie, jakie odniosłeś pod Mitsiwą.

Pochwała nie wywarła na Nazecie żadnego wrażenia.

- Jedno równoważy drugie - stwierdził krótko. - Panując na morzu, El Grang może sprowadzać posiłki i zaopatrzenie z Arabii i krajów należących do Wielkiego Mogola. Już odrobił straty, które zadałem mu pod Mitsiwą. Czekam na oddziały, które mają przybyć z gór, i dlatego nie mogę zaatakować go teraz pod Zullą. Codziennie otrzymuje drogą morską nowe posiłki i rośnie w siłę.

- Rozumiem twoją troskę, generale - powiedział Hal, pochylając się ku niemu.

W głosie Nazeta było coś, co nie dawało mu spokoju. Gdy generał był czymś poruszony, jego tembr wyraźnie się podnosił. Hala kosztowało dużo wysiłku, aby skupić uwagę na słowach, a nie na nim samym.

- Obecnie spędza mi sen z powiek nowe zagrożenie - kontynuował Nazet. - We flocie El Granga pojawił się obcy statek. Jego siła ognia przewyższa siłę ognia wszystkich jednostek, które możemy przeciw niemu posłać.

Hal poczuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie i jeżą się włoski na przedramionach.

- Co to za statek? - zapytał cicho.

- Nie jestem żeglarzem, ale moi admirałowie powiedzieli mi, że ma ożaglowanie rejowe i jest fregatą. - Nazet przyjrzał się uważnie Halowi. - Musi być podobny do twojego żaglowca.

- Czy wiesz, jak się nazywa jego kapitan, generale? - zapytał Hal, ale Nazet potrząsnął głową.

- Wiem tylko, że zadaje dotkliwe straty flocie, która dostarcza nam zaopatrzenie z północy.

- Pod jaką banderą pływa? - pytał dalej Hal. Nazet zamienił w gyyz kilka słów z jednym z oficerów, po czym zwrócił się do Hala.

- Pływa pod flagą omańską, ale na jego maszcie powiewa również bandera przedstawiająca dziwnego kształtu czerwony krzyż na białym polu.

- Chyba wiem, kim jest ten maruder - stwierdził ponuro Hal - i przy pierwszej nadarzającej się okazji stawię mu czoło... oczywiście jeśli Jego Arcychrześcijańska Wysokość wyda mi list kaperski, na podstawie którego mój statek wejdzie w skład jego floty.

- Na prośbę Fasilidesa kazałem już dworskim skrybom sporządzić jego wstępną wersję. Kiedy tylko uzgodnimy warunki, podpiszę go w imieniu cesarza. - Nazet wstał z zydła. - A teraz pozwól, że pokażę ci dokładnie pozycje naszych wojsk i wojsk El Granga.

Razem z innymi wyższymi dowódcami przeszli na tyły komnaty i stanęli przy okrągłym stole. Cały jego blat zajmowała gliniana makieta Morza Czerwonego i otaczających je terytoriów, wykonana z wielką dbałością o szczegóły i realistycznie pomalowana. Zaznaczono wyraźnie każde miasto i port; małe wystrugane z drzewa statki żeglowały po niebieskiej wodzie, a pułki kawalerii i piechoty symbolizowane były przez wyrzeźbione z kości słoniowej figury w stosownych mundurach.

Kiedy przyglądali się z powagą makiecie, mały cesarz przysunął sobie stołek i szybko się na niego wdrapał. Śmiejąc się radośnie i naśladując dziecinnym głosikiem rzenie koni i salwy z dział, zaczął przesuwac figury po makiecie. Nazet wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać, i Hal przyjrzał się dłoni generała. Była wąska, gładka i drobna, z długimi filigranowymi palcami i perłoworóżowymi paznokciami. Nagle wszystkiego się domyślił.

- Na Boga, przecież ty jesteś kobietą! - zakrzyknął po angielsku. Nazet spiorunowała go wzrokiem i jej bursztynowe policzki pociemniały z gniewu.

- Dobrze ci radzę, nie dyskredytuj mnie ze względu na moją płeć, kapitanie. Jako Anglik pamiętasz chyba nauczkę, jaką pod Orleanem dała waszym wojskom pewna kobieta.

Owszem, ale to było przeszło dwieście lat temu i spaliliśmy ją potem na stosie, chciał odpowiedzieć Hal, lecz na szczęście ugryzł się w język i spróbował zamiast tego pojednawczego tonu.

- Nie chciałem cię obrazić, generale. To zwiększa tylko podziw, jaki budzą we mnie twoje zdolności przywódcze.

Nazet nie dała się jednak tak łatwo udobruchać. Przemawiając ostrym rzeczowym tonem, przedstawiła taktyczne i strategiczne pozycje obu armii i wyjaśniła, w jaki sposób można najlepiej wykorzystać potencjał Golden Bough. Nie patrzyła już na niego i zacisnęła gniewnie swoje miękkie pełne wargi.

- Oczekuję, że będziesz podlegał bezpośrednio mnie, kapitanie. Poleciałam w związku z tym admirałowi Senecowi, aby opracował prosty system łączności przy użyciu rac i latarni w nocy oraz flag i sygnałów dymnych w dzień. Dzięki temu będę mogła przekazywać ci rozkazy z lądu na morze. Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, generale, nie mam nic przeciwko.

- Jeśli chodzi o podział łupów, dwie trzecie przechodzi na rzecz skarbu cesarstwa. Reszta przypada tobie i twojej załodze.

- W zwyczaju jest, że kapitan i załoga zatrzymuje połowę łupów - zaprotestował Hal.

- Na tych morzach zwyczajnie ustanawia Jego Arcychrześcijańska Wysokość.

- W takim razie muszę ustąpić - odparł Hal z ironicznym uśmiechem, lecz wzrok Nazet ostudził w nim zapędy do dalszych żartów.

- Wszelkie zdobyte przez ciebie wojskowe zaopatrzenie i prowiant, podobnie jak nieprzyjacielskie okręty, zostaną wykupione przez państwo - oznajmiła, po czym spojrzała na skrybę, który wszedł do komnaty i skłoniwszy się głęboko, wręczył jej sztywny arkusz żółtego pergaminu.

Przejrzała szybko dokument, po czym wzięła od skryby gęsie pióro, wypełniła puste miejsca i podpisała się „Judith Nazet” na samym dole, stawiając krzyż obok swego nazwiska.

- List napisany jest w języku gyyz - powiedziała, sypiąc piasek na mokry atrament. - Kiedy się ponownie zobaczymy, będę miała dla ciebie gotowe tłumaczenie. Tymczasem musi ci wystarczyć moje zapewnienie, że dokument zawiera omówione przez nas warunki - dodała, po czym związała wstążką zrolowany pergamin i oddała go Halowi.

- Twoje słowa w zupełności mi wystarczają - odparł Hal, chowając dokument do rękawa.

- Na pewno chcesz jak najszybciej wrócić na swój statek, kapitanie. Nie będę cię dłużej zatrzymywać.

Udzielwszy mu w ten sposób odprawy, Nazet najwyraźniej zapomniała o jego obecności, skupiając całą uwagę na glinianej makiecie i otaczających ją oficerach.

- Mówiłaś coś o systemie sygnałowym, generale...

Co dziwne, mimo ostentacyjnej oschłości Nazet, Hal czuł, że nie ma wcale ochoty się z nią rozstać. Przyciągała go tak, jak północ przyciąga igłę kompasu.

- Admirał Senec przekaze ci książkę sygnałów, zanim odpłyniesz - oświadczyła, nie patrząc na niego. - Biskup Fasilides odprowadzi cię na dziedziniec, gdzie czekają konie. Żegnaj, kapitanie.

Hal ruszył razem z biskupem długim kamiennym korytarzem.

- Tabernakulum Maryi jest tutaj, w tym klasztorze - powiedział cicho. - Chyba się nie mylę?

Fasilides zatrzymał się jak wryty i zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

- Skąd wiesz? Kto ci powiedział?

- Jako gorliwy chrześcijanin chciałbym obejrzeć tę świętą relikwię - odparł Hal. - Czy możesz spełnić moje życzenie? Fasilides targnął nerwowo brodę.

- Być może. Zobaczymy. Chodź ze mną.

Odprowadził Hala do kaplicy, w której przez cały czas czekał na niego Aboli, po czym, pokonawszy w trójkę kolejny labirynt schodów i korytarzy, zatrzymali się przy drzwiach strzeżonych przez czterech księży w długich szatach i turbanach.

- Czy twój służący jest chrześcijaninem? - zapytał Fasilides, spoglądając na Abolego. Hal potrząsnął głową. - W takim razie musi tu pozostać - stwierdził biskup, po czym wziął go pod ramię, podszedł do drzwi i zamienił w gzyz kilka słów z jednym z księży.

Starzec wyjął spomiędzy fałd szaty wielki czarny klucz i przekręcił go w zamku, a Fasilides wszedł do krypty, pociągając za sobą Hala.

Pośrodku kamiennej posadzki, otoczone lasem świec płonących w wysokich wieloramiennych lichtarzach, stało Tabernakulum Maryi.

Hal poczuł, jak spływa na niego przemożny zachwyt i łaska. Wiedział, że to jeden z najważniejszych momentów w jego życiu, być może nawet powód, dla którego urodził się i żył.

Niewielka szkatuła, w której spoczywała relikwia, stała na czterech rzeźbionych nogach przypominających kształtem łwie łapy. Po bokach miała cztery uchwyty i nakryta była starodawną tkaniną wyszywaną srebrnymi i złotymi nićmi. W każdym rogu klęczał miniaturowy złoty anioł z pochyloną głową i dłońmi złączonymi w modlitwie. Całość tchnęła niezwykłym pięknem.

Hal padł na kolana, przybierając tę samą pozycję co złote anioły.

- Panie Boże Zastępów, przybyłem, aby wypełnić twoją wolę - zaczął na głos modlitwę. Po dłuższej chwili przeżegnał się i powstał z klęczek. - Czy mogę zobaczyć kielich? - zapytał nieśmiało, lecz Fasilides potrząsnął głową.

- Nawet ja go nie widziałem - odparł. - Jest zbyt święty, by spoczęły na nim oczy śmiertelnych. Mógłbyś stracić wzrok.

W nocy etiopski pilot poprowadził Golden Bough na południe. Płynąc pod samymi topslami po zawietrznej wyspy Dahlak, zakradli się pod wejście do zatoki Adulis.

Hal nasłuchiwał nerwowo okrzyków sondującego dno marynarza.

- Nie ma gruntu! - wołał, rzucając ołowianą kulę. - Nie ma gruntu! - A potem nagle w jego głosie zabrzmiała wysoka nuta. - Dwadzieścia stóp!

- Panie Tyler! - warknął Hal. - Proszę zrefować topsle i przygotować się do rzucenia kotwicy!

- Dziesięć stóp! - zaśpiewał jeszcze wyżej majtek na dziobie.

- Zwinąć wszystkie żagle! Rzucić kotwicę! Golden Bough przepłynęła jeszcze kilkanaście jardów, po czym zatrzymała ją kotwiczna lina.

- Proszę przejąć dowodzenie, panie Tyler - oznajmił Hal. - Wchodzę na bocianie gniazdo.

Nie zatrzymując się ani razu, wspiął się z pokładu na szczyt grotmasztu i z zadowoleniem stwierdził, że oddech ma równy i spokojny.

- Widzę cię, Gundwane - powitał go Aboli, robiąc mu obok siebie miejsce w płóciennym gnieździe.

Hal usadowił się koło niego i najpierw spojrzał na wyspę Dahlak, która stanowiła ciemniejszą plamę na tle nocnego nieba; znajdowali się w odległości całego kabla od jej skał. Potem skierował wzrok na zachód: wokół zatoki Adulis paliły się ogniska armii El Granga, który obozował na brzegu wokół niewielkiego portu Zulla. Na wodach zatoki migotały postojowe latarnie floty islamskiej stojącej na kotwicy. Próbował je policzyć, ale doszedłszy do sześćdziesięciu czterech, dał za wygraną. Zastanawiał się, czy stoi wśród nich Guli of Moray i na samą myśl o tym ścisnęło go w żołądku.

Odwrócił się na wschód i ujrzał, jak pierwsza błada obietnica świtu wydobywa z mroku poszarpane szczyty Arabii, skąd barki El Granga dostarczały ludzi, konie i zaopatrzenie dla jego legionów.

Spoglądając niżej, zobaczył mrugające niczym robaczki świętojańskie lampy statków, które płynęły z nocną bryzą w stronę zatoki Adulis.

- Potrafisz je zliczyć? - zapytał i Aboli parsknął śmiechem.

- Moje oczy nie są tak bystre jak twoje, Gundwane. Powiedzmy po prostu, że jest ich dużo, i poczekajmy do świtu, żeby stwierdzić, ile dokładnie.

Siedzieli w milczeniu, czując, jak mimo porannego chłodu grzeje ich myśl o bitwie, którą miał przynieść nadchodzący dzień. Na wąskim morzu roilo się od nieprzyjacielskich statków.

Niebo na wschodzie zaczęło się jarzyć niczym palenisko kowala. Strome skały wyspy zabłyśły blado w półmroku, upstrzone odchodami ptactwa zamieszkującego je od stuleci. Ptaki poderwały się ze swych gniazd i krzycząc niespokojnie, sunęły nierównym szykiem na tle czerwonego nieba. Patrząc na nie, Hal poczuł, jak poranny wiatr muska mu policzki zimnymi palcami. Wiało, zgodnie z jego przewidywaniami, z zachodu. Flotylla małych barek znajdowała się po zawietrznej i zdana była na jego łaskę.

Wschodzące słońce zabłyśło nad szczytami gór i ich zbocza stanęły w ogniu. Daleko za niskimi skałami wyspy nad ciemną tonią morza zamigotał pierwszy i drugi żagiel, a potem, w miarę jak poszerzał się krąg światła, tuzin następnych.

Hal klepnął lekko Abolego po ramieniu.

- Pora zabrać się do roboty, stary przyjacielu - powiedział i zjechał na dół po wantach.  
- Proszę podnieść kotwicę, panie Tyler - zawołał, kiedy jego stopy dotknęły pokładu. -  
Wszyscy na reje.

Uwolniona z uwięzi Golden Bough rozpostarła żagle i ruszyła z miejsca. Prując dziobem fale i zostawiając za sobą spieniony kilwater wypłynęli z ukrycia za wyspą Dahlak.

Zrobiło się tymczasem dość jasno i Hal widział wyraźnie sunące po pomarszczonym morzu statki. Przez chwilę szukał wśród nich wysokiego żaglowca, ale zobaczył tylko łańskie żagle arabskich barek.

Najbliższe z nich nie wydawały się wcale zaalarmowane widokiem wysokiej piramidy żagli, które wyłoniły się przy wejściu do zatoki Adulis. Nie zmieniały kursu i kiedy fregata ruszyła w ich stronę, Hal zobaczył, że marynarze i pasażerowie pierwszej barki stoją przy burcie i przyglądają im się z ciekawością. Kilku mężczyzn wdrapało się na przysadzisty maszt i machało do nich rękoma.

Hal zatrzymał się przy sterze.

- Najprawdopodobniej widzieli na tych wodach tylko jeden statek podobny do naszego i była to Guli of Moray. Biorą nas za sojuszników - powiedział do Neda Tylera.

Zadzierając głowę, spojrzął na wanty, na których wisieli marynarze gotowi do pokierowania wielką masą żagli, następnie zaś zerknął na krzątających się przy kolubrynach



puszkarzy i ich pomocników, którzy wybiegali spod pokładu, dźwigając na ramionach śmiercionośny ładunek prochu.

- Panie Fisher! - zawołał. - Jedną baterię po każdej stronie niech pan załaduje kulami, resztę siekańcami i łańcuchami.

Duży Daniel wyszczerzył w uśmiechu czarne zepsute zęby i zasalutował. Hal miał zamiar unieszkodliwić nieprzyjacielskie jednostki, nie chciał ich jednak palić lub zatapiać. Nawet najmniejsza i najnędniejsza z nich mogła okazać się bezcenna dla floty jego cesarskiej mości, gdyby udało się zdobyć ją i przekazać admirałowi Senecowi w Mitsiwie. Załadowane kulami baterie trzymane były w rezerwie.

Pierwsza barka była tak blisko, że Hal widział twarze jej kilkunastu marynarzy. Ubrani w postrzępione i spłowiałe szaty, na głowach mieli turbany. Większość wciąż się uśmiechała i machała do nich rękoma, ale starszy mężczyzna przy sterze rozglądał się dziko dookoła, jakby szukał drogi ucieczki przed wysokim kadłubem, który sunął nieubłaganie w jego kierunku.

- Proszę podnieść banderę, panie Tyler - rozkazał Hal i popatrzył na croixpatte, który wjechał na maszt razem z białym koptyjskim krzyżem na błękitnym polu.

Twarze marynarzy barki wykrzywiło przerażenie, gdy ujrzeli wróżący im zgubę krzyż cesarstwa.

- Wytoczyć działa, mistrzu Danielu! - wydał następny rozkaz Hal.

Trzasnęły kłapy otworów działowych i przez cały kadłub przeszedł potężny łoskot - kolubryny wystawiły na zewnątrz odlane z brązu lufy.

- Mijam nieprzyjaciela z prawej burty. Strzelaj, kiedy znajdzie się na naszej wysokości, mistrzu Danielu.

Duży Daniel pobiegł na dziób, aby objąć komendę nad pierwszą baterią po prawej burcie. Hal obserwował, jak rychtuje kolejne działa, wbijając kliny, żeby obniżyć cel. Mijając barkę, powinni strzelać prawie prosto w dół.

Golden Bough sunęła cicho ku mniejszemu przeciwnikowi. Hal spojrział na sternika.

- Rumb na lewą burtę. Powoli - powiedział półgłosem.

Widząc wymierzone w nich działa, marynarze barki usiłowali schronić się za krótkim przysadzistym masztem i ustawionymi na pokładzie beczkami i belami materiałów.

Pierwsza bateria bluznęła ogniem i dymem i wszystkie pociski dosięgły celu. Podstawa masztu poszła w drzazgi, a cały takielunek runął w dół. Płatnina lin i żagli zawisła na burcie. Starszy mężczyzna przy sterze zniknął, jakby rozpląnął się w powietrzu. Została po nim tylko czerwona plama na deskach pokładu.

- Przerwać ogień! - ryknął na całe gardło Hal, żeby usłyszeli go ogłuszeni salwą puszkarzy.

Barka była okaleczona; jej dziób wypadł spod wiatru, ster został odstrzelony, a maszt wyleciał za burtę. Golden Bough zostawiła ją za sobą.

- Tym samym kursem, panie Tyler.

Żaglowiec sunął prosto na flotyllę małych stateczków. Widząc okrutny los, jaki spotkał pierwszą barcę, oraz powiewającą na grot-maszcie flagę cesarstwa, wszystkie robiły teraz zwrot przez rufę i ruszały fordewindem, uciekając na gęsiach skrzydłach przed ścigającą je fregatą.

- Steruj na barcę, która płynie przed nami - rzucił półgłosem Hal i Ned zmienił kurs o jeden rumb.

Wybrany przez Hala statek był jednym z największych w zasięgu wzroku. Na jego pokładzie roilo się od ludzi. Było ich co najmniej trzystu. Podróż przez wąskie morze nie trwała długo i kapitan zaryzykował: zabrał na pokład więcej żołnierzy, niż powinien.

- Allah Akbar! Allah jest wielki! - usłyszał Hal, gdy znaleźli się bliżej barki.

Stalowe hełmy połyskiwały na głowach Omańczyków, którzy wymachiwali długimi zakrzywionymi szablami. Chwilę później usłyszał nieregularną palbę z muszkietów i przy burcie barki pojawiły się obłoczki dymu. Ołowiana kula wbiła się w maszt nad jego głową.

- Na jej pokładzie są sami żołnierze - powiedział na głos. Nie musiał dodawać, że jeśli pozwoli im dopłynąć do zachodniego brzegu, pomaszerują przeciwko Judith Nazet. - Salwa żelaznymi kulami. Zatop ich, mistrzu Danielu!

Ciężkie żelazne kule przeorały pokład barki aż do kilu, tnąc go jak topór szczapę. Morze wlało się w jej rozdarte wnętrze i w wodzie pojawiły się głowy tonących mężczyzn.

- Steruj na barcę ze srebrnym proporcem - rzucił Hal.

Wpłynęli w sam środek flotylli niczym barakuda w ławicę latających ryb. Żadna barka nie była w stanie przed nimi umknąć. Ze wznoszącą się nad pokładem górą białych żagli Golden Bough doganiała je, jakby stały na kotwicy. Jej działa pluły ogniem i dymem. Część małych jednostek nabierała wody i tonęła, inne zostawały z tyłu z połamanymi masztami i zwisającymi żaglami. Widząc wymierzone w nich lufy, niektórzy marynarze od razu wyskakiwali za burtę. Woleli rekiny od ognia dział.

Kilka statków uciekło w stronę wyspy i próbowało zarzucić kotwicę na płyciźnie, gdzie Golden Bough nie mogła ich dosięgnąć. Inne celowo wpływały na mieliznę, a ich załogi skakały do wody i płynęły do brzegu.

Tylko te barki, które znajdowały się najbliżej brzegu Arabii, miały dość czasu, żeby umknąć przed fregatą. Zerkając za rufę, Hal zobaczył, że na wodzie unosi się kilkadziesiąt unieruchomionych przez niego jednostek. Każda mila, którą przebył na wschód w pogoni za uciekającymi, oddała armię islamską od Mitsiwy.

- Prędko tu nie wróć! - stwierdził ponuro, patrząc, jak nieprzyjacielskie jednostki pierzchają w popłochu. - Proszę łaskawie obrócić statek i pójść ostrym prawym kursem, panie Tyler.

Dla Golden Bough był to najlepszy kurs względem wiatru.

- Żaden zbudowany w Arabii żaglowiec nie potrafi płynąć tak ostro pod wiatr jak moja ślicznotka - powiedział głośno Hal, widząc po nawietrznej dwadzieścia statków, które próbowały umknąć przed nim na zachód.

Golden Bough ruszyła z powrotem na rozbitą flotyllę i na kilku barkach zrzucano teraz szerokie trójkątne żagle i modlono się do Allacha o ratunek.

Zbliżając się do każdego statku, Hal zwracał fregatę dziobem do wiatru i wysyłał łodzią grupę składającą się z jednego białego marynarza i sześciu czarnych wojowników, którzy mieli przejąć wrogą jednostkę.

- Jeśli nie ma wartościowego ładunku, zabierzcie załogę i puśćcie statek z dymem - rozkazał.

Wracając późnym popołudniem do Mitsiwy, ciągnęli za sobą na holu pięć dużych barek. Siedem kolejnych płynęło obok pod prowizorycznym ożaglowaniem, z wojownikami Abolego na pokładzie. Każda z nich wyładowana była po brzegi wojennymi dostawami. Niebo za nimi pociemniało od dymu z rozbitych wraków, a morze usiane było szczątkami statków.

Siedząc na czarnym arabskim ogierze, generał Nazet obserwowała ze skalistego klifu flotę wpływającą na redę Mitsiwy. Po pewnym czasie złożyła teleskop.

- Rozumiem teraz, dlaczego nazwałś go El Tazar - zwróciła się do towarzyszącego jej admirała Seneca. - Ten Anglik jest rzeczywiście ostry jak barakuda.

Odwróciła się od admirała, żeby nie zobaczył rozmarzonego uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz. El Tazar. To dla niego dobre imię, pomyślała, a potem nie wiadomo skąd, przyszła jej do głowy kolejna myśl. Ciekawe, czy jest równie ognistym kochankiem jak żołnierzem. Po raz pierwszy, odkąd Bóg wybrał ją, by poprowadzić Jego legiony przeciw poganom, spojrzała na mężczyznę oczyma kobiety.

Pułkownik Cornelius Schreuder zeskoczył z konia przed wielkim namiotem z połyskującego czerwono-żółtego jedwabiu. Stajenny zabrał jego wierzchowca, a on

przystanął i rozejrzał się po obozie. Królewski namiot stał na niewielkim pagórku, z którego rozpościerał się widok na zatokę Adulis. Tu na górze, dzięki wiejącej od morza bryzie, było nieco chłodniej i mógł swobodniej odetchnąć. Na równinie ciągnącej się wokół portu Zulla, gdzie obozowała islamska armia, kamienie pękały z gorąca.

W zatoce stało mnóstwo statków, nad wszystkimi jednak górowały wysokie maszty Guli of Moray. Żaglowiec Cochra na przyplłynął ostatniej nocy i Schreuder słyszał teraz podniesiony głos Szkota, dochodzący z wnętrza jedwabnego namiotu. Jego usta wykrzywił pozbawiony humoru uśmiech. Poprawił wiszącą przy pasie złotą szpadę i wszedł do środka. Wysoki subahdar złożył mu ukłon. Wszyscy w obozie zdążyli już dobrze poznać pułkownika; chociaż służył u nich od niedawna, jego brawurowe wyczyny przeszły do legendy. Oficer zaprowadził go przed książęce oblicze.

Wnętrze namiotu było przestronne i urządzone z przepychem. Całą podłogę zaścielały przepiękne jedwabne dywany. Podwójne jedwabne draperie chroniły przed słonecznym żarem. Na niskich stolikach z kości słoniowej i rzadkich gatunków drewna stały naczynia z czystego złota.

Pośrodku namiotu siedział na stosie jedwabnych poduszek brat Wielkiego Mogoła, maharadża Sadyk Chan Jahan. Miał na sobie pikowany żółty kaftan z jedwabiu, pan talony w złote i czerwone pasy i szkarłatne pantofle ze złotymi sprzączkami i długimi zadartymi noskami. Żółty turban spięty był nad brwią szmaragdem wielkości włoskiego orzecha. Maharadża był gładko ogolony; tylko nad wydętą górną wargą zostawił sobie cienki wąsik. Na jego kolanach leżała szabla w pochwie tak bogato wysadzanej klejnotami, że od ich blasku bolały oczy. Na odzianej w rękawicę dłoni siedział sokół, wspaniały pustynny saker. Kiedy pułkownik wszedł do środka, maharadża podniósł ptaka i pocałował go czule w dziób, jakby był piękną kobietą, albo raczej, pomyślał zgryźliwie Schreuder, jednym z jego ślicznych tancerzy.

Trochę z tyłu, na drugim stosie poduszek siedział Ahmed El Grang, Lewa Ręka Allacha. Miał gruby kark pokryty węzłami mięśni i ramiona tak szerokie, że wydawały się zdeformowane. Na głowę włożył wojenny hełm, a brodę ufarbował henną na czerwono, wzorem Proroka. Potężną pierś okrywał pancerz, na przegubach połyskiwały stalowe bransolety. Pod krzaczastymi brwiami lśniły oczy zimne i nieubłagane jak u orła.

Za tą źle dobraną parą siedziała cała chmara wystrojonych dworaków i żołnierzy. Klęczący przed księciem tłumacz usiłował, dotykając głową ziemi, nadażyć za potokiem inwektyw Myszołowa.

Cochran stał przed księciem, podpierając się dłońmi pod boki. Na głowie miał ozdobioną wstążkami czapkę, a jego broda była bujniejsza i bardziej ruda niż farbowana i ufryzowana bródka El Granga. Miał na sobie szkocką spódniczkę, a pierś chronił mu półpancerz. Na jego twarzy odbiła się wyraźna ulga, gdy pułkownik złożył głęboki pełen szacunku ukłon najpierw księciu, a potem El Grangowi.

- Jezus cię tu sprowadził, pułkowniku. Chcę przemówić do rozumu tym dwóm lalusiom. Ta małpa... - mówiąc to trącił butem płaszczącego się tłumacza - bełkocze bez sensu i nie potrafi im powtórzyć tego, co mówię.

Wiedział, że Schreuder spędził wiele lat na Wschodzie i włada płynnie arabskim.

- Powiedz im, że przybyłem tutaj zdobywać łupy, a nie stawać do walki z żaglowcem, który dorównuje siłą Guli of Moray i może ją zatopić! - poinstruował go Myszołów. - Chcą, żebym zmierzył się z Golden Bough.

- Wyjaśnij mi szerzej, o co chodzi - poprosił Schreuder. - Będę mógł ci wtedy lepiej pomóc.

- Golden Bough pojawiła się na tych wodach. Musimy zakładać, że dowodzi nią młody Courteney.

Twarz Schreudera pociemniała, gdy padło to nazwisko.

- Czy nigdy się go nie pozbedziemy?

- Wygląda na to, że nie - zachichotał Myszołów. - Tak czy owak pływa pod banderą cesarstwa i dezorganizuje cały transport El Granga. W zeszłym tygodniu zatopił lub wziął do niewoli dwadzieścia trzy barki i żaden z muzułmańskich kapitanów nie wypływa z portu, kiedy Courteney jest na morzu. Sam jeden blokuje całe wybrzeże Etiopii. - Cochran potrząsnął niechętnie głową z podziwu. - Z klifu nad Tenwerą patrzyłem, jak atakuje wojenną flotyllę El Granga. Rozbił ją w puch. Jezu, kieruje tym swoim statkiem nie gorzej, niż to robił stary Franky. Krążył wokół muzułmanów, strzelając w nich jak w kaczki. Cała flota miłościwego Allacha tkwi zakorkowana w porcie, a El Grangowi zaczyna brakować zaopatrzenia i prowiantów. Muzułmanie nazywają młodego Courteneya El Tazarem, Barakudą, i żaden nie chce stawić mu czoła.

Nagle przestał się uśmiechać i zacisnął ponuro wargi.

- Golden Bough to świetny statek i nie obrośnięty wodorostami. Moja Guli jest na morzu od trzech lat i kadłub przeżarły jej świdraki. Obawiam się, że choćbym ustawił ją najlepiej do wiatru, Golden Bough będzie szybsza o jakieś trzy węzły.

- Co chcesz, żebym powiedział jego wysokości? - zapytał pogardliwie Schreuder. - Że boisz się spotkania z młodym Courteneyem?

- Nie boję się żadnej żywej istoty... ani, jeśli o to chodzi, nieboszczyka. Ale dbam o swoje interesy. Hal Courteney nie ma niczego, co byłoby mi potrzebne, lecz jeśli dojdzie do walki dwóch statków, moja Guli może odnieść poważne szkody. Jeżeli mam z nim walczyć, muszą mi to wynagrodzić.

Schreuder wyjaśnił księciu w dyplomatyczny sposób cały dylemat. Sadyk Chan Jahan słuchał go z kamiennym wyrazem twarzy, gładząc swojego sokoła, który przymknął żółte oczy i nastroszył pióra. Kiedy Schreuder skończył, książę odwrócił się do El Granga.

- Jak mówiłeś, że nazywają tego rudobrodego pyszałka? - zapytał.

- Myszołów, wasza wysokość - odparł ochryplym głosem El Grang.

- Trafny przydomek, wygląda bowiem na to, że woli wydłubywać oczy konającym i żywić się padliną porzuconą przez silniejszych drapieżników, aniżeli samemu polować. Nie jest sokołem.

El Grang pokiwał głową.

- Zapytaj tego szlachetnego drapieżnego ptaka, jakiej zapłaty domaga się za pokonanie El Tazara - zapytał książę, zwracając się do Schreudera.

- Powiedz temu przystojniakowi, że chcę lakh rupii w złocie i chcę go dostać, nim wypłynę z portu - odparł Cochran i nawet Schreudera zdumiała jego zuchwałość. Jeden lakh równał się stu tysiącom rupii. - Trzymam go teraz w ręku z gołym tyłkiem i pantalonami spuszczone do kostek - dodał z uśmiechem Myszołów. - Mogę go wyruchać, ale niekoniecznie tak, jak lubi.

Schreuder przekazał księciu żądania, wysłuchał jego odpowiedzi i zwrócił się ponownie do Cochrana.

- Mówi, że za sto tysięcy rupii możesz zbudować dwadzieścia takich statków jak Guli of Moray.

- Możliwe, ale nie kupię sobie za nie jaj, żeby zastąpić te, które odstrzeli mi Hal Courteney.

Książę uśmiechnął się, kiedy Schreuder przetłumaczył mu te słowa.

- Powiedz Myszołowowi, że musiał stracić jaja już dawno temu, ale miły z niego eunuch. Mogę dla niego zawsze znaleźć miejsce w moim haremie.

Cochran parsknął śmiechem, słysząc tę obelgę, ale potrząsnął głową.

- Powiedz temu pederascie, że jeśli nie będzie złota, Myszołów odfrunie.

Książę i El Grang szeptali ze sobą przez chwilę, żywo gestykulując. W końcu podjęli najwyraźniej wspólną decyzję.



- Mam inną propozycję, która być może bardziej przypadnie do smaku dzielnemu kapitanowi. Ryzyko, jakie podejmie, nie będzie aż tak wielkie, lecz i tak dostanie sto tysięcy, których się domaga. - Książę podniósł się i cały jego dwór padł na kolana, dotykając głowami ziemi. - Sułtan Ahmed El Grang wyjaśni to wam na osobności.

Książę uchylił zasłonę z tyłu namiotu i wyszedł na zewnątrz. W ślad za nim podążył cały jego orszak. W namiocie zostali tylko dwaj Europejczycy i sułtan.

El Grang dał im znak, żeby podeszli bliżej i usiedli.

- To, co wam teraz powiem, nie może wpaść w cudze uszy. - Namysłając się, dotknął starej wypukłej szramy, która biegła od ucha aż pod wysoki kołnierz kaftana; ślad po lancy, która uszkodziła połowę jego strun głosowych. - Cesarz poległ pod Suakin i koronę Księdza Jana odziedziczył jego małoletni syn Ijasu - zaczął zachrypniętym rzeżącym głosem. - Wojsko cesarskie było w rozsypce, gdy pojawiła się młoda prorokini i oznajmiła, że chrześcijański Bóg wybrał ją, aby stała na czele armii. Przybyła z gór, prowadząc ze sobą pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych i niosąc przed sobą religijny talizman, który zwał Tabernakulum Maryi. Tym wojskom, ożywionym religijnym fanatyzmem, udało się zatrzymać nas pod Mitsiwą.

Schreuder i Cochran pokiwali głowami. Nie było to nic nowego.

- Obecnie Allah dał mi sposobność porwania za jednym zamachem talizmanu i młodocianego cesarza. - El Grang umilkł, po czym odchylił się do tyłu i przyjrzał bacznie twarzom białych rozmówców.

- Gdy będziemy mieli w naszych rękach Tabernakulum i cesarza, armie Nazet roztopią się niczym śnieg w wiosennym słońcu - stwierdził cicho Schreuder.

El Grang przytaknął skinieniem głowy.

- Pewien mnich renegat przybył do nas i zaproponował, że poprowadzi niewielki oddział dowodzony przez śmiałego oficera do miejsca, w którym przebywa cesarz i ukryte jest Tabernakulum. Kiedy znajdą się w naszych rękach, będę potrzebował szybkiego potężnego okrętu, który przewiezie dziecko i talizman do Maskatu, zanim Nazet zdoła ruszyć za nimi w pogoń. Ty, pułkowniku, jesteś tym śmiałym oficerem, którego potrzebuję. Jeśli ci się uda, też dostaniesz jeden lakh. Ty, kapitanie - dodał, zwracając się do Cochra - masz szybki statek, który popłynie do Maskatu. Tym razem - stwierdził, uśmiechając się lodowato - zapłacę ci nie za to, byś walczył z El Tazarem, lecz za to, żebyś przed nim uciekał. Czy masz dość twarde i duże jaja, żeby podjąć się tego zadania, Myszołowie?

Żagle płynącej na południe Golden Bough lśniły niczym złota wieża w ostatnich promieniach słońca.

Szpiedzy Fasilidesa donosili, że Guli of Moray stoi na kotwicy w zatoce Adulis, a kapitan żaglowca zszedł na ląd. Podobno naradzał się z El Grangiem. Raport pochodził jednak sprzed dwóch dni.

Stojąc na pokładzie, Hal zastanawiał się, czy Myszołów jeszcze tam jest. Golden Bough szła pod wszystkimi żaglami i każdy cal płótna wypełniony był przez wiatr. Kadłub przecinał wodę, a pokład drżał pod jego nogami niczym żywa istota. Jeśli odnajdę Guli na kotwicy, możemy ją zaatakować nawet w nocy, rozważał, ruszając w stronę dziobu, żeby sprawdzić talie dział. Biali żeglarze uśmiechali się do niego i salutowali, dotykając palcami czoła. Czarni wojownicy przyciskali otwartą prawą dłoń do piersi. Byli niczym myśliwskie psy, które zwietrzyły trop jelenia. Wiedział, że bez zmruczenia oka pójdą do ataku, gdy podpłynie do Guli i da rozkaz do abordażu.

Słońce dotarło wkrótce do horyzontu i ugasiło w morzu swoje płomienie. W zapadającym mroku rychło zatarły się zarysy lądu., Za dwie godziny wzejdzie księżyc, pomyślał Hal, stając przy kompasie, żeby sprawdzić kurs. Wtedy będziemy już w zatoce Adulis. Spojrzał na Neda Tylera, którego twarz oświetlała lampa kompasu.

- Postawić nowe żagle - polecił i Ned powtórzył jego rozkaz przez tubę.

Nowe żagle leżały już na pokładzie, z szotami przewleczonymi przez ucha, ale trwało jeszcze godzinę, nim zrzuciono na dół stare i zwinięto je, a potem zawieszono na rejach i rozwinięto nowe płótna pociągnięte smołą.

Czarny kadłub i czarne jak północ żagle. Golden Bough nie zabłyśnie w świetle księżyca, wpływając do zatoki Adulis i atakując z zaskoczenia stojącą na redzie islamską flotę.

Boże, spraw, żeby był tam Myszołów, modlił się po cichu Hal. Boże, nie pozwól mu odpłynąć.

Powoli wyłoniła się przed nimi zatoka i zobaczyli, przypominające światła wielkiego miasta, latarnie nieprzyjacielskiej floty. Trochę dalej odbijały się w niskich chmurach kurzu i dymu ogniska armii El Granga.

- Kurs na lewą burtę, panie Tyler. Niech pan steruje do zatoki. Statek skręcił i ruszył szybko ku flocie stojącej na redzie.

- Proszę zrefować grotżagiel i rozwinąć topsle, panie Tyler. Golden Bough zwolniła i ucichł plusk wody rozcinanej dziobem. Hal ruszył na dziób. Z mroku wyłonił się Aboli.

- Czy twoi łucznicy są gotowi? W ciemności błysnęły białe zęby.

- Są gotowi, Gundwane.

Dostrzegł ich teraz; ciemne sylwetki wojowników kucających przy burcie, między kolubrynymi, a także leżące u ich stóp wiązki strzał.

- Pilnuj ich - ostrzegł Abolego.

Jeśli ci ludzie mieli jakąś wadę, to było nią zbytnie zapamiętanie w walce. Ponośla ich żądza krwi.

Podchodząc do Daniela pełniącego służbę na śródokręciu, sprawdził, czy wszystkie lonty ukryte są w tubach i czy żarzące się końcówki nie zaalarmują czujnego przeciwnika.

- Dobry wieczór, mistrzu Danielu. Twoi ludzie nigdy dotąd nie walczyli w nocy. Trzymaj ich w cuglach. Nie pozwól, żeby walili na oślep.

Kiedy stanął ponownie obok steru, statek wpłynął już do zatoki i sunął ciemny po ciemnych wodach. Księżyc wstał za ich plecami i Hal ujrzał sylwetki nieprzyjacielskich jednostek. Miał pewność, że jego okręt jest niewidoczny.

Byli teraz dość blisko, żeby słyszeć odgłosy śpiewu, modlitw i kłótni, dochodzące z jednostek stojących na kotwicy. Ktoś walił drewnianym młotkiem w deskę, w dulkach skrzypiały wiosła i trzeszczało otaklowanie barek kołyszących się łagodnie na wodzie.

Hal natężył wzrok, próbując rozpoznać wysokie maszty Guli of Moray, wiedział jednak, że jeśli nawet stoi w zatoce, zobaczy ją dopiero, kiedy ciemności rozjaśni pierwsza salwa.

- Duża barka na wprost - powiedział do Neda Tylera. - Miń ją z lewej burty. Uwaga, mistrzu Danielu - dodał, podnosząc głos. - Celujcie w statek z lewej burty.

Podkradli się pod stojącą na kotwicy barkę i kiedy znaleźli się dokładnie na jej wysokości, salwa z Golden Bough rozświetliła niebo niczym błyskawica. Huk armat poraził ich bębni i odbił się echem od pustynnych wzgórz. W trwającej ułamek sekundy światłości Hal zobaczył jasno oświetlone kadłuby i maszty całej floty i poczuł w żołądku ołów rozczarowania.

- Guli odpłynęła - powiedział na głos.

Po raz któryś z rzędu Myszołów zdołał przed nim umknąć. Jeszcze się spotkamy, pocieszył się szybko i skupił całą uwagę na bitwie, która rozgorzała przed jego oczyma niczym jakaś piekielna pantomima.

Kiedy pierwsza salwa rozbiła stojącą obok barkę, Aboli nie musiał czekać na rozkaz. Amadoda zapalili swoje ogniste strzały i na pokładzie zabłyśły dziesiątki małych płomyków. Do żelaznego grotu każdej z nich przywiązany był rozpleciony konopny sznur, nasączony w smole, która, gdy przytknięto do niej lont, zaskwierczała i zapaliła się ostrym płomieniem.

Łucznicy wypuścili strzały, które zatoczyły wysoki ognisty łuk i wbiły się w deski zakotwiczonej jednostki. Na jej roztrzaskanym armatnią salwą pokładzie rozległy się wrzaski przerażenia i bólu. Golden Bough sunęła tymczasem dalej, między nieprzyjacielskie statki.

- Dwie barki jeden rumb na prawo i jeden na lewo od dziobu - mruknął Hal. - Steruj między nimi.

Gdy mijali je w niewielkiej odległości, fregata przechyliła się najpierw na lewą, a potem na prawą burtę. Jedna po drugiej zagrzmiały dwie salwy i deszcz ognistych strzał rozjaśnił niebo nad trafionymi barkami.

Pierwszy statek stanął tymczasem w ogniu; w świetle jego płomieni puszkarze ujrzeli wyraźniej następne cele.

- El Tazar! El Tazar!

Hal uśmiechał się pośepnie, słysząc przerażone głosy arabskich żeglarzy, którzy przekazywali sobie ze statku na statek jego przydomek. Marynarze przecinali w panice kotwiczne liny i usiłowali umknąć przed ziejącymi ogniem działami. Teraz płonęło już pięć barek, które dryfowały na stłoczone obok siebie inne statki.

Część nieprzyjacielskich jednostek rozpoczęła ogień, strzelając na oślep i nie starając się w ogóle celować w Golden Bough. Wystrzelone zbyt wysoko, zabłąkane kule wyły nad ich głowami, podczas gdy te wystrzelone zbyt nisko odbijały się od powierzchni wody i rozbijały zakotwiczone obok barki.

Płomienie przeskakiwały ze statku na statek i wkrótce w zatoce zrobiło się jasno jak w dzień. Po raz kolejny Hal poszukał wzrokiem wysokich masztów Guli of Moray. Gdyby tu stała, Myszolów postawiłby żagle i nie sposób byłoby pomylić jej sylwetki z innym statkiem. Nie było jej jednak nigdzie w zasięgu wzroku. Hal zacisnął wargi i wykonywał dalej swoje zadanie, którym było zniszczenie jak największej liczby islamskich jednostek.

Jedna z płonących za jego rufą barek musiała być załadowana tonami prochu dla armii El Granga, bo w powietrze wznosił się nagle wysoki słup czarnego dymu, w którym przebłyskiwały czerwone płomienie. Wyglądało to tak, jakby sam diabeł otworzył bramy piekła. Kolumna dymu wznosiła się coraz wyżej, aż w końcu jej szczyt przestał być widoczny i wydawał się sięgać samych niebios. Wybuch uderzył w najbliższe statki, roztrzaskując je albo wywracając do góry dnem.

Podmuch eksplozji przetoczył się przez pokład fregaty, jej żagle zapadły się i Golden Bough straciła na moment sterowność. Ale po chwili wiejąca od brzegu bryza wypełniła płótno i ruszyli dalej, sunąc w sam środek nieprzyjacielskiej floty.

Hal kiwał głową z ponurą satysfakcją po każdej salwie oddanej z Golden Bough. Rozlegał się jeden ogłuszający huk; wszystkie jego działa pluły równocześnie ogniem. Nawet wojownicy Abolego strzelali wszyscy naraz i w powietrze wlatywała jedna chmura strzał. W przeciwieństwie do nich puszkarze z nieprzyjacielskich statków walili bez żadnego ładu i składu.

Zaspani kanonierzy El Granga dobrnęli tymczasem do swych olbrzymich oblężniczych dział i stopniowo zaczęły budzić się do życia nadbrzeżne baterie. Wypuszczenie każdego pocisku przypominało pojedyncze uderzenie pioruna i zagłuszało nawet zmasowane salwy fregaty. Hal uśmiechał się widząc, jak potężne lufy bluzgają płomieniem z kamiennych umocnień na brzegu zatoki. Ich kanonierzy nie widzieli prawdopodobnie w zamieszaniu i tumanach dymu czarnych żagli Golden Bough. Walili do własnych statków; Hal zobaczył co najmniej jedną barcę, którą rozbiła w drzazgi pojedyncza kula posłana z ładu.

- Przygotować się do zwrotu! - zawołał, kiedy na krótką chwilę umilkła kanonada.

Zbliżali się szybko do brzegu i przeciwnik mógł im wkrótce odciąć drogę odwrotu. Marynarze na rejach bezbłędnie wykonali swoje zadania. Dziób zatoczył szeroki łuk, a potem znieruchomiał, gdy skierowali się z powrotem na otwarte morze.

Oświetlony jasną luną palących się statków, Hal ruszył na dziób.

- Nie wątpię, że El Grang na długo zapamięta tę noc - zawołał tak, żeby usłyszeli go wszyscy członkowie załogi.

- Niech żyje sir Hal i Bough - odpowiedzieli, rychnując działa i zakładając strzały na cięciwy łuków.

A potem ktoś zawołał „El Tazar!” i wszyscy zawtórowali mu z takim zapalem, że ich głos musiał dobiec do uszu księcia i El Granga, którzy stali przed jedwabnym namiotem na wzgórzu, patrząc na swą rozbitą flotę.

- El Tazar! El Tazar!

Hal skinął głową sternikowi.

- Proszę nas stąd wyprowadzić, panie Tyler.

Klucząc między płonącymi kadłubami i szczątkami, które unosiły się na wodzie, zbliżali się wolno do wyjścia z zatoki. I wtedy pojedyncza kula wystrzelona z jednej z dryfujących barek przebiła burzę i przeleciała przez otwarty pokład. Minęła jakimś cudem kanonierów i półnagich łuczników, nie robiąc im żadnej krzywdy, ale przy drugiej burcie stał dowodzący baterią Stan Sparrow. Kula odjęła mu gładko obie nogi tuż nad kolanami.

Hal, który chciał mu pobiec na pomoc, z trudem się powstrzymał. Jako kapitan nie powinien zajmować się rannymi i poległymi, lecz czuł, jak ścisną mu się serce. Stan Sparrow był z nim od samego początku. Był dobrym człowiekiem i towarzyszem broni.

Niosący go marynarze przeszli niedaleko Hala. Twarz Stana była blada jak kość słoniowa; odplynęła z niej cała krew. Konając dostrzegł Hala i zsalutował.

- To były dobre czasy, kapitanie - szepnął i opadła mu ręka.

- Z Bogiem, mistrzu Stanie - odparł Hal i spojrzął za burzę, żeby w świetle płonących barek nikt nie zobaczył jego zasmuconej twarzy.

Po wyjściu z zatoki wzięli kurs na północ do Mitsiwy. Na nocnym niebie długo jeszcze płonęła luna pożarów. Dowódcy sekcji przychodzili kolejno do Hala, żeby zdać mu raport. Z całej załogi poległ tylko Stan Sparrow, ale trzech innych ludzi poraniły kule wystrzelone z mijanych barek, a jednemu z kanonierów zmiażdżyła nogę laweta przegrzanej kolubryny. Hal zdawał sobie sprawę, że zapłacili niewielką cenę, lecz nie mógł pogodzić się ze śmiercią Stana.

Bolała go głowa od bitewnego zgiełku i armatniego dymu, był jednak zbyt podekscytowany, by udać się na spoczynek. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Zostawił przy sterze Neda Tylera i ruszył samotnie na dziób, żeby ochłonać w chłodnym nocnym powietrzu.

Wciąż tam stał, gdy Golden Bough weszła o świcie na redę portu w Mitsiwie. Pierwszy zobaczył trzy chińskie czerwone race, które wystrzelono z klifu nad zatoką.

Judith Nazet informowała w ten sposób, że musi się z nim pilnie widzieć. Serce zabiło mu szybciej z obawy.

- Zawieś trzy czerwone latarnie na grotmaszcie! - zawołał do Abolego, który pełnił wachtę.

Trzy latarnie stanowiły potwierdzenie otrzymania sygnału.

Usłyszała huk dział, zobaczyła lunę pożarów, pomyślał, i chce, abym zdał jej raport z bitwy. Coś podpowiadało mu jednak, że to nieprawda, i próbował opanować ogarniające go złe przeczucia.

Kiedy zbliżyli się do brzegu, ujrzał w porannym świetle łódź, która wypłynęła im na spotkanie, a potem z odległości dwóch kabli rozpoznał stojącą przy pojedynczym maszcie szczupłą postać. Serce skoczyło mu w piersi i poczuł, że zamiast się smucić cieszy się na to spotkanie.

Judith stała z odkrytą głową; jej twarz okalała ciemna aureola włosów. Miała na sobie pancerz i przypasany do boku miecz, pod pachą trzymała stalowy hełm.



Hal przeszedł na śródkręcie i wydał rozkaz sternikowi.

- Zrób zwrot i puść statek w dryf! Niech łódź przybije do burty. Judith Nazet wspięła się z gracją na pokład. Jej piękna twarz była ściągnięta bólem.

- Dziękuję Bogu, że tak szybko sprowadził cię z powrotem - powiedziała drżącym z emocji głosem. - Wydarzyła się straszliwa katastrofa. Trudno mi znaleźć słowa, żeby ją opisać.

Z założonymi na końskie kopyta skórzanymi łapciami pędzili cicho po kamienistym gruncie. Mnich jechał obok Schreudera. Pułkownik wolał się zabezpieczyć: obwiązał go w pasie stalowym łańcuszkiem, a drugi koniec przymocował do własnego nadgarstka. Zakonnik miał rozbiegane oczy i lisią twarz, która nie wzbudzała w nim zaufania.

Jechali w dwóch rzędach wąską doliną i choć od godziny już świecił księżyc, skaliste ściany wciąż oddawały nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Schreuder wybrał piętnastu najbardziej zaufanych ludzi ze swojego pułku i wszyscy dosiadali szybkich rumaków. Broń i metalowe części upręży owinęli materiałem, żeby nie robić w nocy hałasu.

Mnich podniósł nagle rękę do góry.

- Zatrzymajcie się!

Schreuder powtórzył szeptem rozkaz.

- Muszę pójść do przodu, żeby sprawdzić, czy droga jest wolna - oznajmił mnich.

- Idę razem z tobą.

Schreuder zeskoczył z konia i skrócił łączący ich łańcuch. Zostawili resztę oddziału w dole wąwozu i wspięli się po stromym zboczu.

- To klasztor Świętego Łukasza - powiedział zakonnik, wskazując ręką masywną czworokątną twierdzę, która wznosiła się przed nimi na wzgórzu, zasłaniając połowę świecących na niebie gwiazd. - Błyśnij dwa razy po dwa razy.

Schreuder podniósł w górę małą latarnię, uchylił zasłonę, która zakrywała płomyk, i dał sygnał. Czekali kilka chwil, ale nic się nie działo.

- Jeśli stroisz sobie ze mnie żarty, utnę ci głowę - mruknął Schreuder.

Zakonnik zatrząsł się ze strachu.

- Zaświeć znowu - poprosił i Schreuder powtórzył sygnał. Na murach pojawiło się nagle słabe światelko. Zabłyśło dwa razy i zgasło.

- Możemy iść - szepnął podniecony zakonnik, ale Schreuder powstrzymał go.

- Co powiedziałaś ludziom, którzy mają nas wpuścić do klasztoru?

- Poinformowano ich, że przenosimy cesarza i Tabernakulum w bezpieczne miejsce, żeby uchronić go przed zamachem zaplanowanym przez możnowładcę z plemienia Galia, człowieka, który ma zamiar zasiąść na tronie Księdza Jana.

- Dobry pomysł - mruknął Schreuder i wrócił na dół, gdzie czekały konie i reszta oddziału.

Zakonnik poprowadził ich dalej. Wspiąwszy się na kolejne zbocze, stanęli przed wysokimi murami mającymi w ciemności.

- Zostawcie tu konie - szepnął drżącym głosem mnich.

Ludzie Schreudera zeskoczyli z siodła i przekazali lejce dwóm towarzyszom, którzy mieli pilnować koni. Schreuder zebrał oddział i ruszył w ślad za mnichem do murów. Z góry zwisała sznurowa drabinka. Pułkownik nie widział w ciemnościach jej drugiego końca.

- Zrobiłem to, co do mnie należało - mruknął zakonnik. - Na górze będzie na was czekał ktoś inny. Czy masz nagrodę, którą mi obiecano?

- Dobrze się spisałeś - przyznał skwapliwie Schreuder. - Nagroda jest w moich jukach. Wrócisz do koni z jednym z moich ludzi i dostaniesz ją od niego. Zaopiekuj się nim, Ezekielu - powiedział po arabsku do stojącego obok porucznika, przekazując mu koniec łańcuszka. - Daj mu nagrodę, na którą zasłużył.

Ezekiel odprowadził mnicha, a pułkownik zaczekał kilka minut przy murach. W mroku rozległ się nagle stłumiony jęk i cichy syk powietrza wydostającego się z przeciętej tchawicy. Ezekiel powrócił cicho jak duch, wycierając sztylet w fałdę turbanu.

- Gładko to załatwiłeś - pochwalił go Schreuder.

- Mam ostry nóż - odparł porucznik, wsuwając go do pochwy.

Schreuder postawił stopę na najniższym szczeblu drabiny i zaczął się wspinać. Pięćdziesiąt stóp wyżej dotarł do osadzonego w murze okna, dość szerokiego, by mógł się przez nie przecisnąć. Po drugiej stronie, w małej kamiennej celi czekał na niego kolejny mnich.

Jeden po drugim ludzie Schreudera wspinali się w ślad za swoim dowódcą i w końcu w celi znalazł się cały oddział.

- Zaprowadź nas najpierw do infanta! - rozkazał Schreuder, kładąc dłoń na kościstym ramieniu zakonnika.

Żołnierze ruszyli za nim ciemnym krętym korytarzem, trzymając dłonie na ramionach swoich poprzedników.

Przez dłuższy czas kluczyli pogrążonym w mroku labiryntem. W końcu zeszli spiralnymi schodami na dół i zobaczyli przed sobą światło, które jaśniało coraz wyraźniej, w

miarę jak zbliżali się do masywnych drzwi. Po ich obu stronach paliły się osadzone w uchwytach pochodnie. Na progu leżeli zwinięci w kłębek dwaj strażnicy, a obok porzucona przez nich broń.

- Zabij ich - szepnął Schreuder do Ezekiela.

- Są martwi - mruknął zakonnik.

Pułkownik trącił jednego z nich butem: ramię strażnika osunęło się bezwładnie i z dłoni wysunęła się miska, w której podano mu zatruty miód.

Mnich zastukał w umówiony sposób do drzwi i po drugiej stronie podniesiono zasuwę. Drzwi uchylły się i w świetle pochodni zobaczyli piastunkę, która trzymała w ramionach dziecko. Oczy miała wytrzeszczone z przerażenia.

- Czy to on?

Pułkownik uniósł fałd kocyka i przyjrzał się słodkiej brązowej twarzy śpiącego dziecka. Miało zamknięte oczy i mokre od potu ciemne loki.

- Tak, to on - potwierdził zakonnik.

Schreuder złapał mocno za ramię piastunkę i przyciągnął ją do siebie.

- Teraz chodźmy po tę drugą rzecz - powiedział cicho.

Ruszyli dalej przez labirynt mrocznych komnat i wąskich korytarzy i po pewnym czasie dotarli do kolejnych obitych ćwiekami masywnych drzwi. Leżały przy nich poskręcane w agonii ciała czterech otrutych mnichów. Zakonnik przyklęknął przy jednym z nich i przetrząsnął jego szaty. Kiedy się wyprostował, trzymał w ręku potężny żelazny klucz. Przekręcił go w zamku i cofnął się.

Schreuder szeptem przywołał do siebie Ezekiela i powierzył mu piastunkę.

- Pilnuj jej dobrze! - powiedział i nacisnął klamkę.

Kiedy otworzył drzwi, jego żołnierze i zdraziecki mnich cofnęli się przed blaskiem, który padał z kamiennej krypty. Po otaczającym ich mroku światło setek świec było oślepiające.

Pułkownik przestąpił próg, a potem nagle zawahał się i zatrzymał niepewnie w miejscu. Popatrzył na Tabernakulum nakryte świetlistą tkaniną. Klęczące anioły wydawały się tańczyć w migotliwym świetle i na ich widok zdjął go zabobonny lęk. Przeżegnał się instynktownie. Chciał dać krok do przodu i złapać za jeden z uchwytów, ale uniemożliwiła mu to jakaś niewidzialna bariera. Oddychał chrapliwie i czuł ucisk w piersi. Miał nieprzepartą ochotę odwrócić się i uciec, gdzie pieprz rośnie. Z trudem opanował ten irracjonalny odruch i wycofał się powoli z krypty.

- Ezekiel! - odezwał się ochryplym szeptem. - Ja zajmę się kobietą i dzieckiem. Weź do pomocy Mustafę i zabierzcie tę skrzynię.

Dwaj muzułmanie nie mieli żadnych religijnych skrupułów; weszli ochoczo do krypty i złapali za uchwyty. Tabernakulum było zaskakująco lekkie, i bez trudu ponieśli je między sobą.

- Konie czekają na nas przy głównej bramie - powiedział po arabsku Schreuder, zwracając się do przewodnika. - Zaprowadź nas tam.

Posuwali się szybko mrocznymi korytarzami. W pewnym momencie wpadli nieoczekiwanie na odzianego w białe szaty kapłana, który powłócząc nogami wyłonił się zza zakrętu. Widząc w słabym świetle pochodni Tabernakulum niesione przez dwóch uzbrojonych żołnierzy, wydał okrzyk zgrozy i padł na kolana. Schreuder lewą ręką trzymał piastunkę, w prawej miał obnażoną szpadę z Neptunem. Zabił klęczącego księdza jednym sztychem wymierzonym między żebra.

Przez chwilę nasłuchiwali w milczeniu, ale nikt nie podniósł alarmu.

- Prowadź dalej - rozkazał Schreuder.

Ich przewodnik nagle się, zatrzymał.

- Do bramy jest już bardzo blisko. Pełni przy niej wartę trzech ludzi - oznajmił. Widzieli padającą z uchylonych drzwi wartowni smugę światła. - Ja muszę was teraz opuścić.

- Z Bogiem - pożegnał go ironicznie Schreuder i zakonnik się oddalił. - Ezekiel, postaw skrzynię na podłodze. Idź tam i zajmij się strażnikami.

Trzej żołnierze ruszyli do przodu, zostawiając pułkownika razem z piastunką. Ezekiel wślizgnął się do wartowni. Przez moment było cicho, a potem coś stuknęło o kamienną posadzkę.

Schreuder skrzywił się, ale hałas się już nie powtórzył i po chwili Ezekiel pojawił się z powrotem.

- Na starość robisz się niezgrabny - złajał go Schreuder, ruszając w stronę masywnej bramy.

Trzej ludzie unieśli blokujące ją ciężkie drewniane zasuwę. Ezekiel pociągnął za prymitywny kołowrót i drzwi się otworzyły.

- Trzymajcie się teraz razem - uprzedził ich Schreuder, po czym poprowadził oddział biegiem po mostku i kamienistym trakcie.

Po kilku chwilach zatrzymał się w świetle księżycy i cicho zagwizdał. Rozległ się przytłumiony stukot owiniętych skórą kopyt i dwaj żołnierze wyprowadzili konie z kryjówek wśród skał. Ezekiel ułożył Tabernakulum na siodle jucznego konia i dobrze je

przywiązał. Jeźdźcy złapali za cugle swoich wierzchowców i wskoczyli na siodła. Schreuder pochylił się i wziął śpiące dziecko z ramion piastunki. Malec zakwilił przez sen, ale pułkownik uciszył go i posadził przed sobą na łęku siodła.

- Odejdź! - rozkazał piastunce. - Nie jesteś już dłużej potrzebna.

- Nie mogę opuścić mojego maleństwa - odparła podniesionym z przejęcia głosem.

Schreuder ponownie wychylił się z siodła i jednym pchnięciem szpady uśmiercił piastunkę. Zostawił jej ciało pośrodku drogi i poprowadził oddział w stronę doliny.

Dwaj zakonnicy z klasztoru śledzili uciekających świętokradców - wyjaśniła Judith Nazet. Nawet w obliczu katastrofy miała dumnie zacięte usta i spokojne oczy.

Hal podziwiał jej hart ducha. Rozumiał teraz, jak udało jej się odbudować rozbitą armię i zamienić klęskę w zwycięstwo.

- Gdzie są teraz? - zapytał. Straszliwe wieści tak nim wstrząsnęły, że trudno mu było logicznie myśleć.

- Prosto z klasztoru skierowali się do Tenwery. Dotarli tam tuż po świcie, trzy godziny temu. W zatoce czekał na nich na kotwicy wielki żaglowiec.

- Czy opisali ci, jak wyglądał?

- Owszem. To ten statek kaperski, który pływa pod banderą Wielkiego Mogoła. Ten, o którym mówiliśmy ostatnio. Ten sam, który zadał tyle strat naszej flocie transportowej.

- Myszołów! - zawołał Hal.

- Tak właśnie nazywają go jego sojusznicy - potwierdziła Judith. - Moi ludzie widzieli ze skał, jak mała łódź zabiera cesarza i Tabernakulum na pokład żaglowca. Kiedy tylko znaleźli się na statku, Myszołów podniósł kotwicę i odpłynął.

- W jakim kierunku?

- Po wyjściu z zatoki pożeglował na południe.

- No tak, oczywiście. - Hal pokiwał głową. - Kazano mu zawieźć Tabernakulum i cesarza do Maskatu albo nawet do Indii, do państwa Wielkiego Mogoła.

- Wysłałam już za nim jeden z naszych najszybszych statków. Ma do niego zaledwie godzinę straty, a wiatr nie jest zbyt silny. To mała barka i nigdy nie odważy się zaatakować tak potężnego przeciwnika. Ale jeśli Bóg nam sprzyja, niewykluczone, że wciąż go śledzi.

- Musimy natychmiast ruszać. - Hal odwrócił się do Neda Tylera. - Zrób zwrot i postaw wszystkie żagle, każdy jard płótna, jaki możesz zawiesić na rei. Bierzymy kurs na południe, na Bab al-Mandab.

Wziął Judith pod ramię, po raz pierwszy w życiu jej dotykając, i sprowadził na dół, do swojej kabiny.

- Jesteś zmęczona - powiedział. - Widzę to po twoich oczach.

- Nie, kapitanie - odparła. - To, co widzisz, to nie zmęczenie, lecz rozpacz. Jeśli nie zdołasz nas uratować, wtedy wszystko stracone. Nasz władca, nasz kraj i nasza wiara.

- Proszę cię, usiądź. Pokażę ci, co musimy zrobić - oznajmił, rozkładając przed nią mapę. - Myszołów mógł pożeglować prosto do zachodnich wybrzeży Arabii. Jeśli to zrobił, przegraliśmy. Nawet tym statkiem nie zdołam go dogonić, nim dotrze do drugiego brzegu.

Przez okna na rufie zaświeciło poranne słońce, bezwzględnie obnażając udrekę, jaka malowała się na ślicznej twarzy Judith. Hal nie mógł patrzeć na ból, jaki jej zadał. Opuścił wzrok i spojrzał na mapę.

- Nie sędzę jednak, żeby to zrobił. Gdyby pożeglował bezpośrednio do Arabii, cesarz i Tabernakulum musieliby odbyć długą i niebezpieczną drogę lądem, żeby dotrzeć do Maskatu albo Indii. - Hal potrząsnął głową. - Nie. Myszołów popłynie na południe, do cieśniny Bab al-Mandab. Jeśli dotrzemy tam przed nim, nie zdoła nam umknąć - stwierdził, dotykając palcem zaznaczonego na mapie wąskiego przejścia na Morze Czerwone. - Bab jest zbyt wąska. Na pewno go dopadniemy.

- Boże, spraw, żeby tak się stało!

- Mam do wyrównania długi rachunek z Myszołowem - stwierdził ponuro Hal. - Aż mnie świerzbi, żeby zbliżyć się do niego na odległość strzału.

Judith spojrzała na niego z konsternacją.

- Nie możesz strzelać do tego statku - powiedziała.

- Jak to? - zapytał, wbijając w nią zdumiony wzrok.

- Myszołów ma na pokładzie cesarza i Tabernakulum. Nie możesz narażać ich na niebezpieczeństwo.

Hal zdał sobie sprawę z tego, że Judith ma rację, i zamarło w nim serce. Będzie musiał dogonić Guli of Moray i zbliżyć się do niej, nie odpowiadając na kule, którymi Myszołów zasypie Golden Bough. Wyobrażał już sobie straszliwe straty, które poniesie, nim dojdzie do abordażu; rozrywany pociskami kadłub i masakrę na pokładzie.

Golden Bough sunęła dalej na południe. Pod koniec przedpołudniowej wachty Hal zwołał całą załogę na śródokręciu, aby poinformować wszystkich o czekającym ich zadaniu.

- Myszołów będzie mógł do nas strzelać, ile wlezie, a nam nie wolno będzie rozpocząć ognia. - Ludzie stali w milczeniu z poważnymi minami. - Ale pomyślcie, jak słodko będzie ich dopaść na pokładzie i potraktować ostrą stalą - dodał.



Załoga wydała okrzyk na jego cześć, lecz kiedy kazał im wrócić na reje i trzymować żagle, żeby sunący ku Bab al-Mandab statek rozwinął maksymalną szybkość, w oczach marynarzy czał się strach.

- Obiecałeś im śmierć, a oni wiwatowali na twoją cześć - stwierdziła cicho Judith Nazet, gdy zostali sami. - I ty nazywasz mnie przywódcą.

Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie więcej szacunku.

- Żagiel na horyzoncie! - zawołał w połowie pierwszej psiej wachty majtek na bocianim gnieździe. - Prosto na dziobie!

Halowi zabiło mocniej serce. Czyżby tak szybko udało im się dogonić Myszołowa? Zdjął z uchwytu tubę.

- Hej, bocianie gniazdo. Co to za statek?

- Łaciński żagiel. - Hal przygryzł wargę. - Mała jednostka. Idzie tym samym kursem co my.

- To może być barka, którą wysłałam za Guli of Moray - powiedziała półgłosem Judith.

Stopniowo doganiali mniejszy statek. Po półgodzinie widać już było z pokładu jego kadłub. Hal podał teleskop Judith, która przyjrzała się uważnie barce.

- Tak. To mój zwiadowca - stwierdziła, opuszczając teleskop. - Czy możesz wciągnąć na maszt cesarską banderę, żeby ich uspokoić, a potem podpłynąć, bym mogła z nimi porozmawiać?

Podeszli tak blisko do barki, że z góry widać było jej pokład. Judith zapytała o coś w języku gyyz i wysłuchała niewyraźnej odpowiedzi. Kiedy odwróciła się z powrotem do Hala, w jej oczach płonęło podniecenie.

- Miałaś rację. Płynęli za Guli od świtu. Jeszcze przed dwiema godzinami widzieli jej najwyższe żagle, ale potem zerwał się silniejszy wiatr i stracili jaz oczu.

- Jakim kursem szła, kiedy ją ostatnio widzieli?

- Tym samym co przez cały dzień. Na południe. Kieruje się prosto do cieśniny Bab al-Mandab.

Chociaż prosił ją, żeby zeszła do jego kabiny i odpoczęła, Judith uparła się, że zostanie z nim na rufie. Nie rozmawiali ze sobą wiele, oboje byli bowiem zbyt spięci i pełni obaw, powoli jednak budziło się w nich poczucie wspólnoty. Podnosili się nawzajem na duchu, odnajdując w sobie tę samą siłę i determinację.

Co parę minut Hal spoglądał na czarne cmentarne żagle Golden Bough i podchodził do kompasu. Nie musiał wydawać żadnych rozkazów sternikowi, Ned Tyler prowadził bowiem statek najlepszym możliwym kursem.

Na pokładzie zaległo głuche bolesne milczenie. Ludzie nie pokrzykiwali do siebie i nie wybuchali śmiechem. Marynarze, którzy skończyli wachtę, nie drzemali w cieniu grotzagli, jak to było w zwyczaju, lecz zbili się w małe grupki i obserwowali Hala, wyczuleni na każdy jego gest i słowo.

Słońce zatoczyło majestatyczny krąg po niebie i zawisło nad wzgórzami wznoszącymi się daleko na zachodzie. Noc nadeszła ukradkiem jak zabójca; horyzont rozmazał się i zlał z ciemniejącym niebem, a potem zniknął.

W ciemności Hal poczuł na swoim ramieniu rękę Judith. Była ciepła, gładka i silna.

- Zgubiliśmy ich, ale to nie twoja wina - powiedziała cicho. - Zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy.

- Jeszcze się nie poddałem - odparł. - Zawierz Bogu i miej do mnie zaufanie.

- Masz zamiar ścigać po ciemku? Myszołów na pewno nie zapalił żadnych świateł. Jutro o świcie będzie już na pełnym morzu, daleko za Bab al-Mandab.

Chciał jej wyznać, że wszystko to było mu już od dawna sądzone, że płynie na południe na spotkanie przeznaczenia. Jeśli nawet uzna, że to tylko jego wymysł, musiał jej powiedzieć.

- Judith... - zaczął i umilkł, szukając odpowiednich słów.

- Hej, tam na pokładzie! - zadudnił w mroku nad ich głowami głos Abolego.

Coś w jego brzmieniu sprawiło, że Halowi ciarki przeszły po skórze i zjeżyły się włosy na karku.

- Co jest? - odkrzyknął.

- Światło prosto przed nami!

Hal objął ramieniem Judith. Nie starała się wcale od niego odsunąć, przeciwnie, przysunęła się bliżej.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie - szepnął.

- Dziękujemy za nią Bogu - odparła.

- Muszę wejść na górę. Może za bardzo zależy nam, żeby coś zobaczyć, i diabeł płata nam figle. - Hal podniósł rękę z jej ramienia i podszedł do Neda Tylera. - Całkowite zaciemnienie, panie Tyler. Przeciągnę pod kilem każdego, kto zapali światło. Żadnego gadania i żadnych hałasów.

Wdrapał się szybko po wantach i dołączył do Abolego.

- Gdzie jest to światło? - zapytał, wpatrując się w ciemność. - Nic nie widzę.

- Zgasło, ale paliło się prawie dokładnie przed nami.

- Może gwiazda stanęła ci przed oczyma?

- Zaczekaj, Gundwane. To było małe światełko, daleko stąd.

Mijały powoli minuty, i nagle ujrzał je. Nawet nie błysk, lecz słabe lśnienie, tak niewyraźne, że nie wierzył własnym oczom, zwłaszcza że siedzący obok Aboli najwyraźniej go nie zauważył. Odwrócił wzrok, żeby dać odpocząć oczom, i po chwili spojrzął z powrotem w to samo miejsce i zobaczył, że wciąż tam jest; blask zbyt niski na gwiazdę, dziwny i nienaturalny.

- Tak, Aboli. Teraz widzę światło.

Kiedy to mówił, błysnęło jaśniej i Aboli też je zauważył. A potem błysk zniknął.

- To może być jakiś inny statek, niekoniecznie Guli.

- Myszołów nie jest chyba tak nieostrożny, żeby zapalać na maszcie latarnię...

- Może to lampa w kabinie na rufie? Albo odbłask kompasu?

- Lub jeden z jego ludzi zapalił sobie po cichu fajeczkę?

- Módlmy się, żeby to była jedna z tych rzeczy. Światło widać w miejscu, w którym powinien płynąć Myszołów. Będziemy je obserwować do wschodu księżyca.

Siedzieli razem, wpatrując się w noc. Dziwne światło ukazywało się czasami jako wyraźny punkt, innym razem było tylko słabym lśnieniem i często gasło. W pewnym momencie zniknęło na pół godziny, a potem rozbłysło zdecydowanie jaśniej.

- Zbliżamy się - odważył się szepnąć Hal. - Jak daleko od nich jesteśmy?

- Mile, może mniej - odparł Aboli.

- Gdzie jest ten księżyc? - Hal spojrzął na wschód. - Czy nigdy nie wzejdzie?

Za ciemnymi górami Arabii ukazała się łagodna poświata, a chwilę później, nieśmiały jak panna młoda, odsłonił swoją twarz księżyc. Na wodzie ukazała się wytyczona przez niego srebrna ścieżka i Hal poczuł, że oddech zamiera mu w piersi i wszystkie mięśnie napinają się jak cięciwa łuku.

Z ciemności wyłoniła się przed nim przepiękna zjawą, delikatna jak chmura opalizującej mgły.

- To ona - szepnął. Musiał zacerpnąć głęboko powietrza, żeby nie drżał mu głos. - Przed nami jest Guli of Moray. - Złapał Abolego za ramię. - Zejdź na dół i ostrzeż Neda Tylera i Dużego Daniela. Zostań tam do momentu, aż zobaczycie ich z pokładu. Wtedy wróć do mnie.

Aboli odszedł, a Hal patrzył, jak żagle Guli zastygają w świetle księżyca. Czuł lęk, jakiego rzadko doświadczał, lęk nie tylko o siebie samego, lecz o ludzi, którzy mu zaufali, o kobietę czekającą na dole, i o dziecko na pokładzie drugiego statku. Jakim sposobem uda mu się dobić do burty Guli, skoro nie będą mogli odpowiedzieć na jej salwy? Ilu ludzi będzie musiało umrzeć w ciągu następnej godziny i kto się wśród nich znajdzie? Wyobraził sobie dumne szczupłe ciało Judith Nazet rozdarte przez kartacze. Nie pozwól, żeby to się stało, Boże. Zabrałeś mi i tak więcej, niż potrafię znieść. Ile jeszcze? Ile jeszcze ode mnie zażadasz?

Ponownie zobaczył światło na pokładzie Guli. Jarzyło się w wysokim oknie na jej rufie. Czyżby paliły się tam świece? Wytrzeszczał oczy, aż go rozboleły, ale to światło nie miało najwyraźniej żadnego źródła.

Ktoś dotknął go lekko w ramię. Nie usłyszał Abolego, który wspiął się z powrotem do bocianiego gniazda.

- Widzimy Guli z pokładu - powiedział cicho. Hal nie mógł jeszcze zejść na dół. Wpatrując się w dziwny błysk na rufie żaglowca, czuł, jak ogarnia go nabożny lęk.

- To nie jest lampa ani świeczka, Aboli - stwierdził. - To Tabernakulum Maryi świeci w ciemności. Latarnia, która prowadzi mnie ku memu przeznaczeniu.

Aboli poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

- To prawda. To nie jest światło z tego świata. To czarodziejskie światło, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem - oznajmił drżącym głosem. - Ale skąd o tym wiesz, Gundwane? Skąd wiesz, że to ten talizman?

- Po prostu wiem - odparł Hal i kiedy to powiedział, światło zgasło i Guli ponownie spowijała ciemność. Widzieli tylko jej oświetlone księżycową poświatą żagle.

- To znak - mruknął Aboli.

- Tak, to znak - potwierdził Hal i jego głos był znowu silny i spokojny. - Bóg dał mi znak.

Zeszli na pokład i Hal ruszył prosto do steru.

- Mamy ich, panie Tyler.

Obaj spojrzeli przed siebie, tam, gdzie w świetle księżyca lśniła sylwetka żaglowca.

- Tak jest, kapitanie, mamy ich.

- Proszę zgasić lampę przy kompasie. Dobijamy do burty Guli of Moray. Niech czterech ludzi czeka w pogotowiu, żeby przejąć ster, gdyby zabity został sternik.

- Tak jest, sir Hal.

Ruszył na dziób. Z ciemności wyłoniła się postać Dużego Daniela.

- Przygotowałeś haki, mistrzu Danielu?

- Tak jest, kapitanie. Zarzucę je razem z moimi dziesięcioma najsilniejszymi ludźmi.

- Nie, Danielu. Zostawimy to Johnowi Lovellowi. Dla ciebie i Abolego mam ważniejsze zadanie. Chodź.

Razem z Abolim i Danielem podszedł do Judith Nazet, która stała przy grotmaszcie.

- Wy dwaj pójdziecie z generałem Nazet. Weźcie dziesięciu najlepszych ludzi. Nie wdawajcie się w walkę na pokładzie. Najszybciej, jak to możliwe, zejdźcie do kabiny na rufie Guli. Znajdziecie tam Tabernakulum i dziecko. Przynieście je z powrotem. Nic nie może was odwieść od tej misji. Rozumiecie?

- Skąd wiesz, gdzie trzymają cesarza i Tabernakulum? - zapytała cicho Judith Nazet.

- Po prostu wiem - odparł Hal z takim przekonaniem, że nie pytała dalej.

Chciał powiedzieć, żeby schroniła się w bezpiecznym miejscu, ale wiedział, że i tak odmówi; a poza tym nigdzie nie jest bezpiecznie, gdy dwa tak potężne statki toczą śmiertelny bój.

- A ty gdzie będziesz, Gundwane? - zapytał Aboh.

- Z Myszołowem - odparł Hal i odszedł, nie mówiąc ani słowa więcej.

Idąc na dziób, zatrzymywał się przy każdej grupie marynarzy i zamieniał półgłosem kilka słów z ich bosmanami.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Samuelu Moone. Być może trafią nas raz albo dwa razy, zanim weźmiemy Guli abordażem, ale pomyśl o tym, jak słodko będzie znaleźć się na jej pokładzie.

- To będzie walka, o której opowiesz kiedyś swoim wnukom - powiedział Jiriemu.

Porozmawiawszy z każdym, ponownie stanął na dziobie i spojrzał na Guli Myszołowa. Wyprzedzała ich o jeden kabeł, sunąc spokojnie pod żaglami skąpanymi w księżycowej poświacie.

Wolno, boleśnie wolno zmniejszali dzielącą ich odległość. Teraz już nie zdołają przed nami uciec, pomyślał z ponurą satysfakcją. Jesteśmy zbyt blisko.

Z bocianiego gniazda Guli rozległ się nagle dziki wrzask:

- Widać statek! Za rufą! To Golden Boug! A potem wszyscy zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać. Wściekły werbel wzywał załogę do zajęcia stanowisk bojowych. Usłyszeli kłapanie wielu biegnących po pokładzie bosych stóp, serię głośnych trzasków, gdy otwierano otwory działowe, a chwilę później zgrzyt i stukot wystawianych kolubryn. Wzdłuż ciemnej rufy zabłysły w dwudziestu miejscach armatnie lonty i zaśniły stalowe lufy.

- Zapalić światła bojowe! - ryczał Myszołow, goniąc na stanowiska swoją spanikowaną załogę. - Ster lewo na burtę! - usłyszeli wyraźnie rozkaz, jaki wydał sternikowi.

- Damy im powąchać armatniego prochu, żeby pierdzieli diabłu w gębę, kiedy wyślemy ich do piekła.

Na Guli zapalono bojowe latarnie, by mogli przy nich pracować puszkarze. W ich złotym blasku Hal ujrzał rudą czuprynę i brodę Myszołowa.

Guli zaczęła skręcać i jej sylwetka raptownie się zmieniła. Hal pokiwał głową. Myszołów działał instynktownie, lecz niezbyt mądrze. Gdyby nie zmieniał kursu, Golden Bough musiałaby odejść od wiatru. Mógłby przez dłuższy czas ostrzeliwać fregatę, która me była w stanie rozpocząć ognia. Teraz, jeśli będzie miał szczęście i się pośpieszy, wypali najwyżej jedną salwę, nim Golden Bough przycumuje do jego burty.

Hal uśmiechnął się. Cochran padł ofiarą własnej niegodziwości. Najprawdopodobniej nie przyszło mu nawet do głowy, że jego przeciwnik wstrzyma ogień ze względu na dziecko i starą relikwię. Na miejscu Hala użyłby wszystkich dział.

Golden Bough gnała jak na skrzydłach ku wykonującej zwrot Guli i przez chwilę Hal miał nadzieję, że dobiją do jej burty, nim znajdą się na linii strzału.

Do celu pozostało im tylko sto jardów i Ned dał już rozkaz skrócenia żagli, kiedy Guli pokonała kilka ostatnich stopni łuku i teraz wszystkie jej kolubryny wycelowane były prosto w burtę fregaty.

Hala oślepił jaskrawoszkarałatny błysk. Fala powietrza uderzyła ich z taką gwałtownością, że rzuciło go do tyłu i przez chwilę myślał, że trafiła go kula. Wszędzie dookoła latały z bzyczeniem drewniane drzazgi, a grupkę stojących obok niego czarnych wojowników po prostu wywiało w nicość. Trafiony wieloma kulami żaglowiec przechylił się gwałtownie; nad strzaskanym kadłubem unosiły się kłęby gryzącego dymu.

Straszliwą ciszę, która zapadła po oddaniu salwy, przerywały tylko krzyki i jęki rannych i konających. A potem chmura dymu rozwiała się i z drugiego statku dobiegły ich głośnie wiwaty:

- Guli i Cumbrae! - krzyczeli ludzie Cochрана.

Hal usłyszał łoskot wtaczanych z powrotem na pokład armatnich lawet. Zastanawiał się, ilu stracił ludzi. Połowę czy jedną czwartą załogi? Spojrzał na pokład, ale ciemność skrywała przed jego oczyma strzaskane deski i stosy zabitych i konających. Słyszał stukanie wyciorów, którymi upychano w lufach proch i kule.

- Szybciej! - szepnął. - Szybciej, moja słodka. Pokonaj te kilkadziesiąt jardów i nie każ nam znosić kolejnej takiej salwy.

Usłyszał skrzypienie talii i łoskot lawety. Załoga jednego z dział skończyła ładowanie przed innymi i wytaczała do przodu swoją kolubrynę. Dwa statki były teraz tak blisko siebie,



że Hal widział wystającą z otworu działowego monstrualną lufę. Dotykając prawie burty Golden Bough, działo ryknęło ponownie i rozległ się trzask desek i krzyki ludzi rozrywanych ciężką kulą.

Nim wytoczono następną kolubrynę, dwa statki zetknęły się z ogłuszającym łoskotem. W świetle bojowych latarni Guli of Moray Hal zobaczył zarzucane na jej pokład haki i usłyszał, jak toczą się po deskach. Bez wahania podbiegł do burty i przeskoczył przez wąski pas wody dzielący oba sunące obok siebie kadłuby. Wylądował miękko jak kot wśród puszkarzy Myszołowa i zabił dwóch, nim zdążyli wyciągnąć kordy.

Chwilę później ruszyła za nim fala jego ludzi, prowadzonych przez czarnych wojowników uzbrojonych w piki i topory. W ciągu kilku sekund pokład Guli zamienił się w pole bitwy. Ludzie walczyli wręcz, piersią w pierś, wyjąc i wrzeszcząc z gniewu i przerażenia.

- El Tazar! - ryczeli marynarze z Golden Bough.

- Guli i Cumbrae! - odpowiadali ich przeciwnicy.

Hal zorientował się, że osaczyło go jednocześnie czterech ludzi, i musiał cofnąć się do burty. W tym czasie John Lovell zaatakował ich od tyłu i zabił jednego z nich sztychem między łopatki. Hal uśmiercił następnego, który się zawahał, a dwaj pozostali przestraszyli się i uciekli. Korzystając z chwili spokoju, rozejrzał się dookoła. Daleko z boku ujrzał Myszołowa, który ryczał z wściekłości i wymachiwał swoim wielkim mieczem, tnąc każdego, kto stanął mu na drodze.

Kątem oka Hal dostrzegł błyszczący hełm Judith Nazet i osłaniające ją z obu stron potężne postaci Abolego i Dużego Daniela. Przebiegli przez pokład i zniknęli w wejściu prowadzącym do kabiny na rufie. Ten moment nieuwagi mógł kosztować go życie; jeden z marynarzy Myszołowa zamierzył się na niego piką i Hal uchylił się w ostatniej chwili. Ponownie znalazł się w wirze walki.

Położył kolejnego przeciwnika pchnięciem w brzuch i rozejrzał się za Myszołowem. Zobaczył go na śródokręciu.

- Idę do ciebie, Cumbrae! - zawołał, ale w panującym zgiełku Myszołów najwyraźniej go nie usłyszał.

Hal ruszył ku niemu, wyrabując sobie drogę w tłumie walczących.

Cięśnięty przez jednego z czarnych wojowników topór nie trafił w pirata, w którego był wymierzony, i przeciął główną wantę. Wisząca na niej latarnia rozbiła się z hukiem u stóp

Hala. Ten w pierwszej chwili cofnął\* się przed rozlaną płonąca oliwą, a potem zebrał odwagę i przeskoczył przez ogień, żeby dotrzeć do Myszołowa.

Wylądowawszy po drugiej stronie, rozejrzał się szybko wokół siebie, lecz Myszołów zniknął i zamiast niego zaatakowało go dwóch marynarzy. Hal przeciął ścięgną uzbrojonej w kord ręki pierwszego z nich, po czym nie zatrzymując szpady, wbił ją głęboko w gardło drugiego.

Wyprostował się i obejrzał przez ramię. Płomienie z roztrzaskanej latarni objęły deski i oświetlały jasną luną cały pokład. Języczki ognia biegły po przeciętej wancie ku żaglom. Przez tańczące płomienie zobaczył Judith Nazet, która wyskoczyła ze schodków prowadzących do kabiny na rufie. Tuż za nią kroczył Duży Daniel, niosąc na ramieniu Tabernakulum Maryi i balansując nim tak lekko, jakby nic nie ważyło. Złote anioły na pokrywie migotały w świetle płomieni.

Jakiś marynarz zaatakował Judith piką i Hal wrzasnął z przerażenia, gdy lśniący grot uderzył ją w bok pod podniesioną ręką. Pika przebiła bawełniany kaftan, lecz ześlizgnęła się po chroniącej ją pod spodem koleczudze. Judith odwróciła się niczym wściekła pantera i wbiła mu szpadę prosto w twarz. Siła uderzenia była tak wielka, że ostrze wyszło z drugiej strony czaszki i pirat runął u jej stóp.

Oczy Judith poszukały Hala na pokładzie rojącym się od walczących.

- Ijasu! - zawołała. - Ijasu zniknął.

- Idź z Danielem! - odkrzyknął Hal przez dzielące ich płomienie. - Zejdźcie z tego statku i zabierzcie Tabernakulum w bezpieczne miejsce na Golden Bough. Ja odnajdę Ijasu.

Nie próbując się z nim kłócić, Judith podbiegła razem z Danielem do burty i przeskoczyła na pokład Golden Bough. Hal zaczął przedzierać się ku zejściu na niższy pokład, gdzie musiało być przetrzymywane dziecko, lecz na drodze stanęła mu falanga Murzynów prowadzonych przez Jiriego. Czarni wojownicy zwarli razem tarcze w szyku żółwia i wysunawszy na zewnątrz piki, parli do przodu. Piraci nie byli w stanie ich zatrzymać.

W każdej bitwie jest moment, w którym decyduje się jej wynik. Ten moment nadszedł, kiedy marynarze Guli zaczęli pierzchać przed nacierającymi z rykiem czarnymi wojownikami. Ludzie Myszołowa byli pobici.

Muszę odnaleźć Ijasu, nim ogień dotrze do prochowni, powiedział do siebie Hal, skręcając w stronę luku pod przednim kasztel, skąd najłatwiej było dostać się na niższy pokład. Wtedy zatrzymał go tubalny okrzyk.

Myszołów stał wysoko na przednim kasztelu, oświetlony blaskiem tańczących dookoła żółtych płomieni.

- Czyjego właśnie szukasz, Courteney?! - ryknął.

Miał gołą głowę i splecione rude włosy opadały mu na twarz. W prawej ręce trzymał swój miecz, a w lewej Ijasu. Przerażony chłopczyk wrzasnął, kiedy Myszołów podniósł go wyżej. Ubrany był tylko w podwiniętą do pasa cienką nocną koszulę i jego szczupłe brązowe nogi wierzgały wściekle w powietrzu.

- Jego szukasz? - powtórzył Cochran i podniósł dziecko wysoko nad głowę. - Więc chodź tu i weź sobie tego gnojka.

Hal skoczył do przodu, kładąc po drodze dwóch ludzi. Myszołów patrzył, jak zbliża się do drabinki prowadzącej na przedni kasztel. Musiał wiedzieć, że bitwa jest przegrana - jego statek stał w ogniu, a załogę spychała za burtę falanga wojowników z pikami - ale szczyrzył zęby niczym gargulec.

- Pokażę ci sprytną sztuczkę, sir Henry. Nazywa się to nabijaniem dzieciaka na rożen.

Mówiąc to, wyrzucił chłopca na wysokość piętnastu stóp i ustawił swój miecz szczytem w górę.

- Nie! - krzyknął dziko Hal.

Kiedy wydawało się, że miecz już, już przebije dziecko, Myszołów odsunął broń i złapał nie draśniętego malca włochatą grubą ręką.

- Proponuję ci układ - zawołał Hal. - Oddaj mi dziecko całe i zdrowe, a pozwolę ci odpłynąć ze swoim łupem.

- Cóż za wspaiałomyślna oferta! Ale mój statek płonie i razem z nim płoną moje łupy.

- Posłuchaj mnie - błagał Hal. - Puść chłopca.

- Jak mógłbym odmówić memu bratu w zakonie - odparł Myszołów, nie przestając się śmiać. - Dostaniesz, o co prosisz. Patrz. Puszczam tego małego czarnego gnojka.

Zataczając szeroki krąg ręką, cisnął Ijasu za burtę. Okrywająca ciało chłopca nocna koszula zatrzepotała w powietrzu, gdy spadał. A potem z miękkim pluskiem połknęło go ciemne morze.

Hal usłyszał za plecami krzyk Judith Nazet. Rzucił szpadę na pokład, dobiegł trzema susami do burty i skoczył głową w dół. Zanurkował głęboko i zawrócił ku powierzchni.

Na głębokości dwudziestu stóp woda była przejrzysta niczym górskie powietrze. Widział mijający go, obrośnięty wodorostami kadłub Guli i odbijające się na pomarszczonej toni płomienie, które buchały ze statku. Nagle dostrzegł na ich tle mały ciemny kształt. Drobne ciało Ijasu miotało się niczym ryba w sieci; z jego ust płynęły srebrne bańki powietrza.

Hal popłynął w górę. Złapał małego, nim porwał go wir, i przyciskając go do piersi, wynurzył się na powierzchnię. Ijasu przez chwilę krztusił się i kaszłał, a w końcu wydał z siebie cienki przerażony krzyk.

- Wypluj to z siebie - szepnął Hal, rozglądając się dookoła.

Duży Daniel musiał wezwać z powrotem swoich ludzi i odciąć haki, żeby pożar nie przerzucił się na Golden Bough. Dwa statki oddalały się od siebie. Marynarze z Guli wyskakiwali za burzę, nie mogąc znieść żaru płomieni. Statek Myszołowa dryfował bez sternika pod płonącymi żaglami, sunąc powoli ku unoszącemu się na wodzie Halowi, który młócił rozpaczliwie wodę jedną ręką, starając się przed nim uciec.

Przez długą straszną minutę wydawało się, że zmiążdży ich kadłub, ale wiatr przesunął dziób o jeden rumb i Guli minęła ich zaledwie o długość łodzi.

Ujrzał ze zdumieniem, że Myszołów wciąż stoi samotnie na przednim kasztelu. Zewsząd otaczały go płomienie, lecz on wydawał się nie czuć ich żaru. Z poczerwiałą i dymiącą brodą spojrział w dół i widząc Hala, głośno się roześmiał. Krztusząc się ze śmiechu, otworzył usta, żeby do niego zawołać, i w tej samej chwili przepalił się fokżagiel; wielka płachta płótna opadła, przykrywając Myszołowa. Hal usłyszał dobiegający spod płonącego całunu straszliwy krzyk, a potem płomienie skoczyły wysoko i ciężko ranna Guli oddaliła się z wiatrem, unosząc na pokładzie swego kapitana.

Hal wpatrywał się w ten obraz, póki rozkołysany ocean nie zasłonił płonącego statku. Po dłuższym czasie uniosła go w górę razem z dzieckiem zabłąkana fala. Guli of Moray znajdowała się mniej więcej w odległości mili od nich i w tym momencie płomienie musiały dotrzeć do prochowni, ponieważ statek wyleciał z ogłuszającym hukiem w powietrze. Hal poczuł, jak fala uderza go w pierś, przekazując siłę eksplozji. Płonące szczątki kadłuba wzbily się wysoko w górę, spadły do wody i nagle zrobiło się ciemno i cicho.

Nigdzie nie było widać Golden Bough. Dziecko płakało żałośnie, a Hal nie znał jednego słowa w jego języku, żeby pocieszyć malca. W końcu zaczął przemawiać do niego po angielsku.

- Silny z ciebie chłopak. Musisz być dzielny, bo urodziłeś się cesarzem, a ja wiem bardzo dobrze, że cesarze nigdy nie płaczą - mówił.

Skórzane buty i mokre ubranie ciągnęły go w dół i musiał przebierać z całej siły nogami, aby utrzymać się na powierzchni. Wraz z Ijasu unosił się na wodzie przez całą noc. O świcie uświadomił sobie, że wyczerpują się jego siły. Dziecko drżało, łkając cicho w jego ramionach.

- Już niedługo, Ijasu. Zaraz zacznie się jasny dzień - wychrypiał przez gardło spuchnięte od morskiej soli. Wiedział jednak, że ani on, ani mały nie wytrzymają do tej pory.

- Gundwane! - usłyszał nagle dobrze znany głos. To musiało być złudzenie i Hal głośno się roześmiał.

- Nie róbcie sobie ze mnie żartów. Nie jestem w nastroju - mruknął. - Dajcie mi spokój.

Z mroku wyłoniła się płynąca ku niemu łódź i usłyszał plusk zanurzających się w wodzie wiosł.

- Gundwane! - odezwał się ponownie głos.

- Aboli! - zakrakał Hal. - Tu jestem, Aboli!

Wielkie czarne ręce złapały go i wciągnęły wraz z dzieckiem do łodzi. Hal rozejrzał się dookoła. Jego żaglowiec dryfował pół mili dalej, z wszystkimi zapalonymi latarniami, ale Judith Nazet siedziała tutaj, w łodzi. Wzięła od niego chłopca, okryła go swoim płaszczem i lulając w ramionach, przemówiła doń w jego języku. Ijasu zasnął w jej objęciach, zanim dopłynęli do Golden Bough.

- Co z Tabernakulum? - zapytał ochryplym głosem Hal. - Czy jest w bezpiecznym miejscu?

- Jest w twojej kabinie - uspokoił go Aboli. - Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak przepowiedział twój ojciec - dodał półgłosem. - Gwiazdy muszą w końcu darować ci wolność. Ziściło się zapisane w nich proroctwo.

Hala ogarnęło głębokie poczucie spełnienia. Zmęczenie opadło z jego ramion niczym zużyty płaszcz. Czuł się lekki i wolny, jakby odprawił w końcu długą bolesną pokutę. Spojrzał na Judith, która bacznie go obserwowała. W jej ciemnym spojrzeniu było coś, czego nie potrafił rozszyfrować, a ona spuściła oczy, zanim zdążył to zrobić. Hal chciał przysunąć się do niej bliżej, chciał dotknąć jej i opowiedzieć o tych dziwnych uczuciach, które nim owładnęły, ale w zatłoczonej łodzi dzieliły ich cztery rzędy wiosłarzy.

Cała załoga Golden Bough wspięła się na wanty i wiwatowała na jego cześć, kiedy szalupa dobiła do burty. Aboli wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wejść po drabince, ale Hal zignorował go i wspiął się sam. Na pokładzie stanął jak wryty, widząc długi rząd zaszytych w płótno zwłok i straszliwe szkody, jakie zadały jego fregacie kolubryny Guli. Nie pora na łzy, powiedział sobie. Później powiel rzą swoich poległych morzu i będą ich oplakiwać; teraz był czas zwycięstwa.

- Zapłaciliście Myszołowowi i jego rzezimieszkom cięższą monetą, niż się spodziewali, moje zuchy - oznajmił, patrząc na ich uśmiechnięte gęby. - Panie Tyler, proszę

wytoczyć baryłkę rumu i wydzielić podwójną porcję każdemu członkowi załogi. Niech wypiją za pomyślną podróż Myszołowa do piekła. Potem bierzemy kurs z powrotem na Mitsiwę.

Wziął dziecko od Judith Nazet i zaniósł je do kabiny na rufie. Położył małego na koi i odwrócił się do Judith, która stanęła tuż za nim.

- To silny chłopak i nic mu nie będzie. Powinniśmy pozwolić mu się wyspać.

- Tak - odparła, mierząc Hala nieprzeniknionym mrocznym spojrzeniem. A potem wzięła go za rękę i poprowadziła do oddzielonej zasłoną alkowy, gdzie stało Tabernakulum Maryi. - Pomodlisz się ze mną, El Tazar? - zapytała i Hal ukląkł obok niej.

- Dziękujemy Ci, Panie, że ocaliłeś naszego cesarza, twego małego sługę, Ijasu. Dziękujemy, że wybawiłeś go z podłych rąk bluźniercy. Prosimy, abys udzielił błogosławieństwa jego wojskom w nadchodzącym konflikcie. Kiedy odniesiemy zwycięstwo, błagamy Cię, abys zapewnił mu długie i spokojne panowanie. Uczyni z niego mądrego i łagodnego władcę. W imię boskie, amen.

- Amen - powtórzył za nią Hal i chciał wstać, ale ona położyła mu rękę na ramieniu.

- Dziękujemy Ci także, Boże, że zesłałeś nam dobrego i wiernego Henry'ego Courteneya. Gdyby nie jego męstwo i bezinteresowna służba, bezbożni odnieśliby nad nami triumf. Niech nagrodą będzie mu wdzięczność całego ludu Etiopii oraz miłość i podziw, jakie żywi do niego Twoja służebnica, Judith Nazet.

Hal poczuł, jak dreszcz przechodzi przez całe jego ciało. Spojrzał na Judith, ale ona miała zamknięte oczy. Wydawało mu się, że się przesłyszał, lecz Judith ścisnęła go mocniej za ramię.

Nie patrząc na niego, zaprowadziła go do sąsiedniej niewielkiej kajuty i zamknęła drzwi na klucz.

- Masz mokre ubranie - powiedziała i niczym pokojówka zaczęła go rozbierać.

Jej ruchy były spokojne i niespieszne. Zdjęła koszulę, dotknęła jego nagiej piersi i przesunęła długimi brązowymi palcami po bokach. Po chwili uklękła, rozpięła mu pasek i ściągnęła bryczesy. Kiedy był zupełnie nagi, zmierzyła uważnym spojrzeniem jego przyrodzenie, lecz nie dotknęła go. Podniosła się, wzięła go za rękę i podeszła do twardej drewnianej koi. Chciał, żeby położyła się obok niego, ale ona odsunęła jego ręce.

Stojąc przed nim, zaczęła zdejmować z siebie ubranie. Rozsznurowana kolczuga opadła na podłogę wokół jej stóp. Pozbawione ciężkiego męskiego przyodziewku ciało okazało się ideałem kobiecości. Miała bursztynową lśniącą skórę, niewielkie piersi i twarde



brodawki, okrągłe i czerwone niczym dojrzałe jagody. Szczupłe biodra zaokrąglały się słodko w talii. Wzgórek Wenusy pokrywały kędzierzawe czarne włosy.

W końcu podeszła do koi, na której leżał, pochyliła się i pocałowała go głęboko w usta. A potem krzyknęła cicho i osunęła się na niego zwinnym ruchem. Kiedy do niej przywarł, zdumiała go siła i gibkość jej ciała.

Późnym popołudniem tego upalnego sennego dnia obudził ich płacz dziecka w sąsiedniej kabinie. Judith westchnęła i natychmiast podniosła się z koi. Ubierając się, obserwowała Hala, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół jego twarzy i ciała.

- Tak, kocham cię - powiedziała, sznurując kolczugę. - Lecz Bóg wybrał mnie w podobny sposób, w jaki wybrał ciebie. Muszę dopilnować, aby mały cesarz bezpiecznie zasiadł na tronie Księdza Jana w Aksum. - Po chwili milczenia dodała cicho: - Jeśli jeszcze raz cię pocałuję, mogę nie wytrwać w swoim postanowieniu. Do widzenia, Henry Courteneyu. Żałuję z całego serca, że nie jestem zwykłą dziewczyną.

Podeszła do drzwi i zostawiła go, żeby utulić swojego cesarza.

Hal zarzucił kotwicę na redzie portu Mitsiwa i spuścił na wodę łódź. Daniel Fisher postawił z szacunkiem na jej pokładzie Tabernakulum Maryi. Na dziobie stanęła w pełnej zbroi i hełmie Judith Nazet, trzymając za rękę małego chłopca. Hal usiadł przy rumplu i dziesięciu wioślarzy zawiozło ich przez niski przybój na plażę.

Na czerwonym piasku czekał na nich biskup Fasilides i pięćdziesięciu najwyższych rangą dowódców. Dziesięć tysięcy zbrojnych stało na wysokim nadbrzeżnym klifie. Ujrawszy swojego wodza i swojego monarchę, wzniesli triumfalny okrzyk, który przetoczył się przez równinę i podchwycony przez pięćdziesiąt tysięcy gardel odbił się echem od pustynnych wzgórz.

Pułki, które upadły na duchu i maszerowały już drogą w głąb lądu, sądząc, że opuścił je ich generał i ich władca, usłyszały ten okrzyk i zawróciły. Oddział za oddziałem, kolumna za kolumną, wzniesając wysoką chmurę czerwonego kurzu spod końskich kopyt, z bronią, która lśniła w promieniach słońca, i ze śpiewem, który potężniał w jeden zgodny chór, zeszedł z powrotem z gór na równinę.

Fasilides podszedł, żeby powitać Ijasu, który stał na brzegu wraz z Judith trzymającą go za rękę. Pięćdziesięciu kapitanów uklękło na piasku, podniosło w górę miecze i poprosiło Boga o błogosławieństwo dla władcy. Następnie ruszyli tłumnie do przodu, by ubiegać się o honor dźwigania Tabernakulum na własnych ramionach, i śpiewając wojenny hymn, pomaszerowali z nim na górę.

Judith Nazet dosiadła swojego czarnego rumaka z kitą ze strusich piór i złotą zbroją na piersi i zmusiła go, by tańcząc i przysiadając na zadzie, podjechał do Hala, który stał tuż przy brzegu.

- Jeśli bitwa zakończy się dla nas pomyślnie, poganie będą próbowali uciekać przez morze. Poprowadź przeciw nim swój dzielny statek i spraw, by dosięgnął ich gniew i zemsta Wszechmocnego - rozkazała. - Gdyby losy bitwy potoczyły się inaczej, czekaj tu na pokładzie Golden Bough, żeby zabrać cesarza w bezpieczne miejsce.

- Będę na ciebie czekał, generale Nazet - odparł Hal, starając się nadać swoim słowom specjalne znaczenie.

Judith wychyliła się z siodła i coś zalśniło w jej ciemnych oczach, nie potrafił jednak powiedzieć, czy to bojowy zapal, czy łza za utraconym kochankiem.

- Będę żałowała przez całe życie, że to, co było między nami, nie skończyło się inaczej - powiedziała, po czym wyprostowała się w siodle, zawróciła konia i ruszyła stromą ścieżką pod górę.

Cesarz Ijasu odwrócił się w ramionach Fasilidesa, pomachał do Hala i zawołał coś w języku gyyz swoim wysokim piskliwym głosem, lecz Courteney nie zrozumiał z tego ani słowa.

- Wzajemnie, chłopcze! - odkrzyknął, machając małemu. - Wzajemnie!

Golden Bough wypłynęła z zatoki i gdy znaleźli się na głębokości pięćdziesięciu sążni, odsłonili głowy w palącym afrykańskim słońcu i oddali morzu swoich poległych. W płóciennych całunach było ich razem czterdziestu trzech, mieszkańców Walii i Devonshire, a także tajemniczych krain za rzeką Zambezi, teraz na zawsze złączonych w obliczu śmierci.

Następnie popłynęli z powrotem na płytkie strzeżone wody i Hal zagonił całą załogę do naprawy szkód odniesionych w czasie walki i uzupełniania zapasów prochu i kul dostawami, które przysłała mu generał Nazet.

Trzeciego dnia obudził go w ciemności huk dział. Natychmiast wyszedł na pokład. Przy zawietrznej burcie stał już Aboli.

- Zaczęło się, Gundwane. Generał Nazet wydała ostateczną bitwę El Grangowi.

Stojąc razem przy burcie, patrzyli na ciemny brzeg, rozświetlane piekielnymi błyskami dalekie góry i olbrzymią kolumnę kurzu i dymu, która rosła powoli na bezwietrznym niebie, przybierając kształt wysokiej burzowej chmury.

- Jeśli El Grang przegra, będzie próbował uciec ze swoją armią morzem do Arabii - wyjaśnił Hal Abolemu i Nedowi Tylerowi. - Proszę podnieść kotwicę i wziąć kurs na

południe - rozkazał Tylerowi. - Przetniemy drogę uciekinierom, którzy będą usiłowali wydostać się z zatoki Adulis.

Po południu Golden Bough stanęła u wyjścia z zatoki, z opuszczonymi częściowo żaglami. Huk dział nie ustawał nawet na chwilę. Hal wdrapał się na maszt i skierował teleskop na szeroką równinę za portem Zulla, gdzie zwały się w śmiertelnych zapasach dwie wielkie armie.

W tumanach pyłu i dymu zobaczył podobne zjawom miniaturowe figurki pędzących na siebie jeźdźców. Widział jasnoczerwone w słonecznym blasku długie płomienie ziejące z wielkich kolubryn i pułki piechoty, które wiły się w czerwonej mgle niczym zdychające węże, okryte gadzimi łuskami żelaznych grotów.

Bitwa powoli przesuwała się ku linii brzegu i Hal ujrzał szarżę kawalerii, która gnała skrajem klifu, nacierając na przeredzone oddziały piechoty. Atakowani rozpierzchli się przed unoszącymi się i opadającymi w dół szablami. Część skakała ze stromego urwiska prosto do morza.

- Kim oni są? - denerwował się Hal. - Czyja to kawaleria? Nagle dostrzegł przez teleskop, że nad pędzącymi w stronę Zulli jeźdźcami powiewa chorągiew z białym etiopskim krzyżem.

- Nazet pobiła ich - oświadczył Aboli. - Armia El Granga poszła w rozsypek!

- Proszę zacząć sondować głębokość, panie Tyler. Podchodzimy bliżej.

Golden Bough wpłynęła cicho w głąb zatoki, sunąc zaledwie jeden kabel od brzegu. Ze szczytu masztu Hal widział, jak unoszący się nad polem bitwy brunatny tuman toczy się powoli w stronę brzegu. Żołnierze pokonanej armii El Granga uciekali przed szwadronami etiopskiej kawalerii.

Rzucając broń kuśtykali, żeby znaleźć jakikolwiek statek, który zabierze ich do Arabii. Wypełniona uciekinierami pstra armada barek najróżniejszych rozmiarów odbiła od plaż wokół płonącego portu, kierując się ku wyjściu z zatoki.

- Wielkie nieba! - roześmiał się Duży Daniel. - Jest ich tyle, że człowiek mógłby przejść suchą nogą od jednego do drugiego brzegu!

- Proszę wytoczyć działa, mistrzu Danielu - rozkazał Hal. - Zobaczymy, czy uda nam się ich trochę zmoczyć.

Golden Bough wpłynęła w sam środek islamskiej floty. Małe łodzie próbowały uciekać, ale żaglowiec doganiał je bez trudu i zaraz zaczynały grzmieć jego działa. Jedna po drugiej, barki wywracały się do góry dnem, a wyczerpani i pokonani żołnierze wpadali do wody. Ciężkie zbroje pociągały ich szybko w głąb.

Masakra była tak straszliwa, że kanonierzy nie wiwatowali już, wytaczając działa, lecz rychtowali je w ponurym milczeniu. Hal chodził wzdłuż baterii, przemawiając do nich surowym głosem.

- Wiem, co czujecie, chłopcy, ale jeśli ich dzisiaj oszczędzicie, jutro wejdą wam na kark i nie wiadomo, czy zlitują się, jeśli poprosicie o łaskę.

Jemu też robiło się niedobrze i marzył, żeby zdarzyło się coś, co pozwoli mu przerwać tę rzeź. Sposobność, by to uczynić, wyłoniła się zupełnie nieoczekiwanie.

Aboli opuścił swoje stanowisko przy prawej baterii i podbiegł do stojącego na rufie kapitana. Hal zmierzył go ostrym wzrokiem, ale nim zdążył udzielić mu reprymendy, Aboli wyciągnął rękę w stronę dziobu.

- Ten statek z czerwonym żaglem. Mężczyzna przy sterze. Widzisz go, Gundwane?

Hal rozpoznał opierającą się o rampel wysoką postać i poczuł, jak ciarki chodzą mu po ramionach i zimny pot spływa po plecach. Mężczyzna był teraz gładko ogolony, znikły spiczaste wąsy. Miał na sobie bogato haftowany kaftan islamskiego szejka, białe bryczesy, sięgające kolan buty z miękkiej skóry i żółty turban na głowie, lecz jego twarz różniła się od fizjonomii otaczających go ciemnobrodych mężczyzn. Byli wśród nich równie barczyści, atletyczni i wysocy, ale żaden nie miał przy pasie szpady w złotej pochwie.

- Proszę obrócić statek, panie Tyler, i podejść do tej barki z czerwonym żaglem - rozkazał Hal.

- Niech mnie dunder świśnie, to Schreuder - wrzasnął Ned, podążając za wzrokiem kapitana. - Niech go piekło pochłonie!

Na widok zbliżającej się fregaty Arabowie wyskoczyli za burtę i próbowali płynąć z powrotem do brzegu, wybierając raczej śmierć z ręki Etiopczyków aniżeli salwę kolubryń. Schreuder został sam przy sterze i mierzył Golden Bough swoim chłodnym nieubłaganym spojrzeniem. Kiedy podpłynęli bliżej, Hal zobaczył, że ma twarz pokrytą kurzem i kopciem i podartą, poplamioną błotem odzież.

Podszedł do burty i zmierzył go takim samym spojrzeniem. Stali tak blisko, że nie musiał nawet podnosić głosu.

- Masz moją szpadę, pułkowniku Schreuder.

- W takim razie może zejdiesz tutaj i mija odbierzesz, mój panie?

- Panie Tyler, na czas mojej nieobecności obejmujesz dowodzenie. Proszę podpłynąć jeszcze bliżej, żebym mógł wejść na pokład barki.

- To szaleństwo, Gundwane - stwierdził cicho Aboli.

- Dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Ty też nie próbuj tego robić - oświadczył Hal i podszedł do burty.

Kiedy mała barka znalazła się tuż obok nich, zszedł po drabince i zeskoczył na jej pokład.

Wyciągnął szpadę i jego oczy pobiegły ku rufie. Schreuder puścił ster i zsunął z ramion sztywny kaftan.

- Jesteś romantycznym głupcem, Henry Courteneyu - mruknął i zadźwięczała cicho wysuwana z pochwy szpada z Neptunem.

- Na śmierć i życie? - zapytał Hal.

- Oczywiście. - Schreuder pokiwał posępnie głową. - Mam przecież zamiar cię zabić.

Podeszli do siebie z niespieszną gracją tańczących menueta kochanków. Ich szpady spotkały się i zaczęły flirt, dotykając się, ślizgając i muskając stałą o stałą, a oni zataczali kręgi, ani na chwilę nie stając w miejscu, z uniesionymi wysoko klingami i utkwionymi w sobie oczyma.

Ned Tyler odpłynął na odległość pięćdziesięciu jardów od barki i zachowywał ten dystans, dotykając lekko steru i trzymując skrócone żagle. Marynarze tłoczyli się w milczeniu przy burcie, obserwując z uwagą pojedynek. Niewielu znało się na subtelnościach stylu i techniki, nie mogli jednak nie dostrzec piękna i gracji tego śmiertelnego rytuału.

Halowi wydawało się, że słyszy głos swojego ojca.

„Miej oko na jego oczy. Czytaj w nich jego duszę”.

Twarz pułkownika pozostawała nieruchoma, ale coś nowego pojawiło się w jego chłodnych błękitnych oczach. To nie był strach, lecz szacunek. Nawet tych kilka lekkich pchnięć pozwoliło mu ocenić przeciwnika. Mając w pamięci ich poprzednie spotkania, nie spodziewał się po Courteneyu takiej siły i biegłości. A Hal wiedział, że jeśli przeżyje tę walkę, nigdy już nie otrze się tak blisko o śmierć.

Dostrzegł w oczach Schreudera zamiar ataku, chwilę przedtem, nim ten dał krok do przodu, i wykonał serię szybkich wypadów. Cofając się i parując pchnięcia, wyczuł kryjącą się w nich siłę. Wpatrując się prosto w oczy Holendra, nie słyszał prawie nerwowego pomruku stojących przy burcie widzów. Schreuder zadał nagle pierwszy groźny sztych, mierząc w jego szyję, a kiedy Hal sparował, wycofał się płynnie, przyklęknął na prawe kolano i próbował dosięgnąć łydki, żeby przeciąć mu ścięgno Achillesa i okaleczyć.

Hal skoczył w górę, uciekając przed błyszczącą złotą klingą, ale jej koniec zahaczył go lekko o piętę buta. Mając obie stopy w powietrzu, na moment stracił równowagę. Schreuder wyprostował się i niczym atakująca kobra zmienił kąt nachylenia szpady, celując

prosto w jego brzuch. Cofając się Hal poczuł, że ostrze dosięgło go, ale płytkie draśnięcie nie było zbyt bolesne. Odbił się z lewej stopy i wycelował w jedno z błękitnych oczu Schreudera. Przez ułamek sekundy zobaczył w nim zdumienie, a potem pułkownik uchylił się i ostrze przecięło mu policzek.

Odskoczyli do tyłu i znowu zaczęli krążyć wokół siebie. Teraz obaj krwawili. Hal czuł, że jego koszula przesiąka ciepłą wilgotną krwią. Szkarłatna strużka sączyła się powoli po policzku Schreudera, mijając kącik jego wąskich ust i kapiąc z podbródka.

- Pierwsze trafienie było chyba moje? - zapytał pułkownik.

- Owszem, mój panie - przyznał Hal. - Ciekawe, kto zada ostatnie?

Nie skończył jeszcze mówić, gdy Schreuder zaatakował nie na żarty. Na oczach wyjących z podniecenia widzów, którzy podskakiwali na pokładzie Golden Bough, zmusił Hala do cofnięcia się krok po kroku na dziób barki i przyparł go plecami do burty. Stali teraz ze szpadami skrzyżowanymi na wysokości twarzy i oczyma oddalonymi na długość ręki. Ich oddechy łączyły się ze sobą i Hal zobaczył, że na górnej wardze Schreudera starającego się utrzymać go w tej pozycji pojawiają się kropelki potu.

Celowo odchylił się do tyłu i ujrzał triumfalny błysk w utkwionych w nim błękitnych oczach. Mięśnie grzbietu miał napięte niczym gotowy do strzału łuk. Wyprostował się i całą siłą nóg, ramion i tułowia odrzucił Schreudera do tyłu, po czym nie zatrzymując się, zaatakował i zagonił go z powrotem na rufę.

Pułkownik poczuł za plecami rumpel i nie mógł cofać się dalej. Skrzyżował szpadę z Halem i używając całej siły nadgarstka zmusił go do przedłużonego zwarcia, sztuczki, która pomogła mu zabić Vincenta Wintertona, a przed nim kilkunastu innych. Dźwięczące klingi obracały się w srebrnym wirze roztopionego słonecznego światła, wirze, który dzielił ich i jednocześnie łączył.

Trwało to bardzo długo. Pot spływał im po twarzach i obaj łapali kurczowo powietrze. Cofnięcie szpady oznaczało śmierć. Ich nadgarstki wydawały się wykute z tej samej stali co klingi i nagle Hal zobaczył w oczach Schreudera coś, czego nigdy nie spodziewał się ujrzeć - strach.

Pułkownik próbował się zatrzymać i unieruchomić obie szpady, tak jak to zrobił z Vincentem, lecz Hal nie pozwalał mu na to i obracali się dalej w zakętym kręgu. Hal wyczuł pierwsze oznaki słabości w żelaznym ramieniu Schreudera i dostrzegł rozpacz w jego oczach.

A potem pułkownik cofnął szpadę i Hal zadał pchnięcie w chwili, gdy ostrze odpadło i otworzyła się luka w obronie. Trafił w sam środek piersi i poczuł, jak klinga przeszywa ciało i przebija kość.



Dobiegający z fregaty ryk przetoczył się nad nimi niczym fala sztormowego przyboju. W momencie gdy triumfujący Hal poczuł drżenie zatopionej w piersi przeciwnika broni, Schreuder cofnął się o dwa kroki. Podniósł wysadzaną złotem szpadę z Neptunem na wysokość oczu, w których zaczynał już gasnąć odbity blask szafirów, po czym skoczył do przodu.

Tkwiąca w jego ciele klinga wbiła się przez to jeszcze głębiej, lecz Hal nie był w stanie obronić się przed szpadą wymierzoną w jego pierś. Puścił gardę własnej broni i odskoczył do tyłu, nie zdołał jednak umknąć przed ostrym jak świder szczytem złotego ostrza.

Szpada trafiła go wysoko po lewej stronie piersi. Cofając się poczuł, jak ostrze wysuwa się z rany. Z wysiłkiem utrzymał się na nogach. Dwaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Obaj byli ciężko ranni, lecz Hal nie miał broni, a Schreuder wciąż dzierżył w prawej dłoni szpadę z Neptunem.

- Chyba cię zabiłem, panie - szepnął pułkownik.

- Być może. Aleja zabiłem cię z całą pewnością - odparł Hal.

- W takim razie ja też muszę zyskać pewność - mruknął Schreuder. Zrobił niepewny krok w jego stronę, lecz nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Pochylił się do przodu i runął na pokład.

Hal przyklęknął przy jego ciele. Przyciskając lewą rękę do rannej piersi, prawą otworzył martwe palce zaciśnięte na rękojeści szpady z Neptunem. Odebrał ją pułkownikowi, wyprostował się i odwrócił w stronę Golden Bough.

Kiedy podniósł wysoko lśniąca klingę, załoga wzniosła na jego cześć dziki triumfalny okrzyk. Ich wiwaty odbiły się dziwnym echem w jego uszach. Nagle pociemniało jasne afrykańskie słońce i mrok zasnuł mu oczy. Usiadł ciężko na pokładzie barki i położył sobie szpadę na kolanach.

Poczuł, lecz nie widział, jak prowadzona przez Neda fregata uderza w bok barki, a, później, jak Aboli bierze go na ręce i podnosi w górę.

- To już koniec, Gundwane - usłyszał przy uchu jego głęboki głos. - Wszystko skończone.

Ned Tyler wprowadził żaglowiec w głąb zatoki i zarzucił kotwicę na spokojnych wodach nieopodal Zulli, nad której nadwreżonymi przez kule murami powiewała teraz chorągiew z białym krzyżem Etiopii.

Hal leżał przez czternaście dni w kabinie na rufie, dogładany tylko przez Abolego. Piętnastego dnia Aboli i Duży Daniel wynieśli go na dębowym krześle na pokład. Marynarze podchodzili doń jeden po drugim i nieśmiało pozdrawiali, dotykając palcami czoła.

Pod jego nadzorem przygotowywali statek do wyjścia w morze. Cieśle wymienili strzaskane deski, a żaglomistrze połatali rozdarte żagle. Duży Daniel skoczył do morza i opłynął dookoła kadłub, żeby upewnić się, czy nie ma uszkodzeń poniżej linii wodnej.

- Jest szczelny i słodki jak cipka dziewicy! - krzyknął, wynurzając się po drugiej stronie.

Odwiedzało ich wielu gości. Wielkorządcy, szlachta i żołnierze przybywali z podarkami, żeby podziękować Halowi, i przyglądali mu się z podziwem. Kiedy odzyskał siły, Hal witał ich, stojąc na rufie. Oprócz podarunków przynosili wiadomości.

- Generał Nazet odwiozła cesarza z powrotem do Aksum - poinformowali go.

- Chwała niech będzie Najwyższemu - usłyszał wiele dni później. - Cesarz został ukoronowany w Aksum. Czterdzieści tysięcy ludzi przybyło na koronację.

Hal spoglądał tęsknie na stojące w błękitnej mgiełce dalekie góry i tej nocy prawie nie spał.

Rano przyszedł do niego Ned Tyler.

- Statek jest gotów do wyjścia w morze, kapitanie - oznajmił.

- Dziękuję, panie Tyler - odparł Hal, po czym odszedł, nie wydając żadnych rozkazów. Gdy dotarł do schodków prowadzących do kabiny na rufie, odezwał się marynarz siedzący w bocianim gnieździe.

- Z portu wypływa łódź!

Hal podszedł szybko do burty i poszukał wzrokiem wśród pasażerów smukłej sylwetki w zbroi, z ciemną aureolą loków okalających ukochaną twarz. Ujrzawszy w łodzi tylko chudą postać biskupa Fasilidesa i jego powiewającą na wietrze białą brodę, poczuł, jak przygniata go do ziemi ciężar rozczarowania.

Wchodząc na pokład, Fasilides uczynił znak krzyża.

- Błogosławię ten wspaniały statek i wszystkich dzielnych ludzi, którzy stanowią jego załogę. - Nieokrzesani marynarze odślonili głowy i uklękli. Pobłogosławiwszy wszystkich, Fasilides podszedł do Hala. - Przynoszę wieści od cesarza - oznajmił.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece!

- Ijasu pozdrawia cię i dziękuje tobie i twoim ludziom. - Fasilides odwrócił się do jednego z księży, którzy mu towarzyszyli, i wziął od niego ciężki złoty łańcuch. - W imieniu cesarza nadaję ci order Złotego Lwa Etiopii - oznajmił, zawieszając Halowi na szyi łańcuch z wysadzonym klejnotami medalionem. - Przywożę również pieniądze, które zarobiłeś, walcząc dzielnie z poganami, a także osobistą nagrodę od cesarza.

Z barki podniesiono małą drewnianą skrzynkę. Była zbyt ciężka, żeby wtaszczyć ją po drabinie, i czterech silnych marynarzy musiało użyć bloku, żeby wciągnąć ją na pokład Golden Bough.

Fasilides uchylił wieko skrzynki i w promieniach słońca zabłysło złoto.

- Po powrocie do Plymouth, każdy będzie miał w sakiewce dość, żeby kupić sobie beczkę piwa - zawołał Hal do swoich ludzi.

- Kiedy wypływacie? - chciał wiedzieć Fasilides.

- Wszystko jest gotowe - odparł Hal. - Ale powiedz, ojcze, czy masz jakieś wieści o generał Nazet? Fasilides przyjrzał mu się bacznie.

- Żadnych. Po koronacji zniknęła, a wraz z nią Tabernakulum Maryi. Niektórzy mówią, że odeszła z powrotem w góry, z których przybyła.

Twarz Hala pociemniała.

- Odpywam jutro rano, ojcze. Dziękuję tobie i cesarzowi za waszą szczodroblewość i błogosławieństwa.

Nazajutrz rano Hal pojawił się na pokładzie dwie godziny przed świtem. Na nogach była cała załoga. Wszystkim udzieliło się podniecenie, które towarzyszy zwykle wyjściu w morze. Tylko Hal wydawał się zupełnie obojętny. Dręczyło go poczucie zdrady i straty. Chociaż niczego mu nie obiecywała, miał nadzieję, że Judith Nazet jednak przybędzie. Dokonując ostatniej inspekcji statku, całą siłą woli powstrzymywał się, by nie spoglądać ciągle w stronę brzegu.

- Zaczął się odpływ, kapitanie - powiedział Ned, podchodząc do niego. - Z tym wiatrem dotrzemy do wyspy Dahlak bez zmiany halsu.

Hal nie mógł już dłużej zwlekać.

- Proszę podnieść kotwicę i postawić wszystkie żagle. Płyniemy na południe, do Zatoki Słoni. Mamy tam do załatwienia pewną sprawę.

Ned Tyler i Duży Daniel wyszczerzyli zęby, ciesząc się z perspektywy odzyskania łupów, które, o czym dobrze wiedzieli, były tam ukryte.

Żagle załopotały na rejach i Golden Bough zadrżała lekko i obudziła się ze snu. Jej dziób zatoczył krąg i znieruchomiał, wskazując wyjście z zatoki.

Hal stał z rękoma splecionymi na plecach, wpatrując się prosto przed siebie. Aboli podszedł do niego z płaszczem przewieszonym przez ramię i kiedy kapitan odwrócił się, rozpostarł go i podniósł wyżej.

- Na plecach ma croixpatte. Taki sam płaszcz wkładał twój ojciec, wypływając w każdy nowy rejs.

- Skąd go masz, Aboli?

- Kazałem go dla ciebie zrobić w Zulli, kiedy leżałeś ranny. Zasłużyłeś na to, żeby go nosić. - Aboli zarzucił Halowi płaszcz na ramiona i cofnął się, żeby mu się lepiej przyjrzeć. - Wyglądasz zupełnie jak twój ojciec, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem.

Słyszając te słowa, Hal nieco się rozchmurzył.

- Hej, na pokładzie! - rozległ się nagle okrzyk z bocianiego gniazda.

- Co jest? - odparł Hal, zadzierając głowę.

- Sygnał z brzegu!

Hal odwrócił się tak szybko, że płaszcz zawirował mu wokół kostek. Nad murami Zulli zawisły na jaśniejącym niebie trzy jaskrawo czerwone światła i na jego oczach zaczęły opadać z gracją.

- Trzy chińskie race - mruknął Aboli. - Ktoś cię wzywa.

- Proszę obrócić statek z powrotem, panie Tyler - polecił Hal i podszedł do burty.

- Z portu wypływa łódź! - zawołał za nim Aboli.

Nateżając wzrok, Hal zobaczył w półmroku zarys niewielkiej barki, która płynęła im na spotkanie. Gdy zmniejszyła się dzieląca ich odległość i zrobiło się trochę jaśniej, poczuł, jak serce zamiera mu w piersi.

Na dziobie stała kobieta w niebieskim kaftanie i takiego samego koloru kwefie. Kiedy łódź przybiła do burty, zdjęła kwef i Hal zobaczył przepiękną ciemną koronę jej włosów.

Czekał na nią przy burcie.

- Dzień dobry, generale - przywitał ją niezgrabnie, kiedy Judith Nazet postawiła stopę na pokładzie.

- Nie jestem już generałem. Jestem teraz zwykłą dziewczyną o imieniu Judith.

- Miło cię widzieć, Judith.

- Przybyłam tak szybko, jak to było możliwe. - Miała ochryply i trochę niepewny głos.

- Ijasu zasiadł w końcu na tronie, a Tabernakulum wróciło na swoje miejsce w górach.

- Straciłem już nadzieję, że cię zobaczę - powiedział.

- Niesłusznie, El Tazar. Nigdy tego nie rób. Hal spostrzegł ze zdziwieniem, że jej barka płynie już z powrotem do brzegu. Nie wyładowano z niej żadnego bagażu.

- Niczego ze sobą nie zabrałaś? - zapytał.

- Tylko moje serce - odparła cicho.

- Płynę na południe.

- Moje miejsce jest przy tobie, mój panie.

- Proszę obrócić statek i zmienić hals - polecił Hal, zwracając się do Neda Tylera. - Kurs na wyspę Dahlak, a potem na Bab al-Mandab. Pełnym bejdedwindem, panie Tyler.

- Pełnym bejdedwindem, kapitanie - odparł Ned, uśmiechając się szeroko i mrugając do Dużego Daniela.

Załoga wykonała rozkaz i Golden Bough wypłynęła na spotkanie świtu. Hal stał wysoko na rufie, opierając dłoń na szafirze, który zdobił gardę szpady z Neptunem. Drugą rękę wyciągnął do Judith Nazet. Przytuliła się do niego z ochotą.